

OPOWIEŚCI CELTYCKIE

CENA PRZYWÓDZTWA

KAROLINA
JANOWSKA

NOVAE RES

Na cykl OPOWIEŚCI CELTYCKIE składają się tomy:

Opowieści celtyckie. Początek
Opowieści celtyckie. Droga do władzy
Opowieści celtyckie. Cena przywództwa

KAROLINA JANOWSKA

OPOWIEŚCI
CELTYCKIE

CENA PRZYWÓDZTWA



NOVAE RES

Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

I

- Wodzu, w Rzymie Cezar objął siedem dni temu stanowisko konsula! - wysapał posłaniec, który dopiero co powrócił z kilkumiesięcznej wyprawy, między innymi odwiedziwszy właśnie Rzym. - Odprawił jako pierwszy modły w świątyni, a także dokonał wróżb. Mówi się, że chce jak najszybciej przedstawić zgromadzeniu projekty swoich ustaw, gdyż w przyszłym miesiącu władzę przejmie jego kolega.

Ariowist pogładził brodę, którą zaplecioną miał w cztery popielatoblond warkocze, po czym upił solidny łyk piwa z pięknie rzeźbionego i inkrustowanego srebrem i bursztynem rogu.

- Hmm - mruknął. - Dobrze się spisałeś, Jorg. A co słyhać u moich najdroższych Sekwanów? Kastykus wciąż jest mi przychylny?

- Boi się ciebie, wodzu - odparł posłaniec, młody jeszcze człowiek, który jako szpieg cieszył się zaufaniem Ariowista.

- Boi się - powiedział w zadumie Ariowist. - Boi się... Dopóki się lęka, będzie uznawał moją władzę. To nie mnie jednak boi się najbardziej, ale Dumnoryksa, a także jego brata Dywicjaka. A co słyhać u Helwetów? Ruszyli już?

- Jeszcze nie, wodzu - odparł Jorg. - Orgetoryks chce to uczynić następnego lata. Tak przynajmniej donoszą moi szpiedzy u Celtów.

Ariowist nie powiedział nic więcej. W zamyśleniu gładził znowu brodę. Był postawnym mężczyzną w sile wieku, miał czterdzieści sześć lat, surowe oblicze, ciemnoblond włosy, które spletał w warkocz na plecach, i bystre niebieskie oczy. Od lat był wodzem Germanów. Nie tylko Swebów, ale także

Markomanów, Harudów i Triboków, a do federacji, dość luźnej, której przewodził, należały także niedobitki Teutonów i Cymbrów, pięćdziesiąt lat wcześniej rozgromionych przez Mariusza.

Germanie i Celtowie od niepamiętnych czasów żyli w mniejszej lub większej wrogości, chociaż wywodzili się z tego samego prastarego ludu, który mniej więcej osiemset lat wcześniej zamieszkiwał wyżyny Anatolii, a później podzielił się na wiele grup, z których część rozeszła się na wschód, do Indii, część osiedliła w Persji, część w Helladzie, a reszta ruszyła na zachód przez wielkie wschodnioeuropejskie niziny. Umowną granicą między ziemią Germanów i Celtów była rzeka Ren, Celtowie jednak zamieszkiwali też tereny wzdłuż Dunaju, a także bardziej na wschód, na północ od Macedonii, tam gdzie później osiedlili się Trakowie i Dakowie. Germanie zajmowali wielkie połacie ziemi od Renu aż do Łaby, a nawet dalej, plemiona Jutów udały się na wysunięty ku północy półwysep, Swearowie zaś poszli jeszcze dalej, przeprawili się przez morze, docierając aż na północny kontynent, gdzie osiedli. Swebowie zamieszkiwali tereny na wschód od Renu i ojciec Ariowista bardzo dbał o to, by tej granicy nie przekraczali. Pozostałe plemiona germańskie nie znały osiadłego trybu życia, ale wędrowały w poszukiwaniu lepszych ziem. Traf chciał, że owe lepsze ziemie znajdowały się na zachodzie, za Renem i Rodanem, za Wogezami – u Celtów.

Ariowist nie kontynuował polityki ojca. Przebiegły jak jego matka, wywodząca się ze szlacheckiego rodu naczelników i władców, przybierał maskę życzliwości i łagodności, lecz w głębi ducha był zimnym, cynicznym władcą, któremu zależało przede wszystkim na własnej chwale, a co za tym idzie, na chwale swego plemienia, za które czuł się wszakże w najwyższym stopniu odpowiedzialny.

Kiedy jedenaście lat wcześniej wódz Sekwanów Kastykus, poprosił go, aby najechał ziemie Eduów, dając mu w zamian część swoich ziem, Ariowist nie wahał się ani sekundy. Jakkolwiek wiedział, że Eduowie chwala się tytułem przyjaciół ludu rzymskiego, nie miał większych oporów przed

najechem ich ziem. Jeszcze wcześniej, kiedy krótko po śmierci swego ojca on sam był zaledwie początkującym wodzem, układał się z dobrze rokującym wodzem Arwernów Celtyllusem. Ten człowiek miał wielkie ambicje, chciał zostać królem Arwernów, a później wszystkich Celtów, ale za swe idee i dążenia został zamordowany przez swoich. Ariowist żałował tego człowieka, ponieważ zawsze podziwiał ludzi ambitnych i żądnych władzy, nawet jeśli stawali na jego drodze i koniec końców okazywali się wrogami. Celtyllus za swoje przywódcze aspiracje zapłacił straszliwą cenę, czego znowu Ariowist nie mógł zrozumieć, gdyż władza u Germanów przechodziła dziedzicznie z ojca na syna – tak było zawsze, dopóki przedstawiciel możniejszego rodu nie pokonał panującego w walce.

Swoich szpiegów Ariowist miał wszędzie. Jego agenci przenikali do plemion celtyckich, które wiecznie były ze sobą mniej lub bardziej skłócone. Obecnie najpotężniejsi byli Eduowie, Sekwanowie, Arwernowie i Wenetowie. Na północy Galii mocni byli Belgowie, oni też byli najbardziej waleczni ze wszystkich Celtów. Trzy plemiona: Eduowie, Sekwanowie i Arwernowie rywalizowali o pozycję hegemonów w Celtyce, o ile można mówić o takim statusie wśród nieuporządkowanych, narowistych Celtów, którzy ochoczo podrywali się do walki o byle obelgę, skakali po stołach z mieczami i kłócili się o wołowe udźce! Coś takiego było nie do pomyślenia u Germanów. Niech no który spróbowałby wskoczyć Ariowistowi na stół! Jego ludzie roznieśliby takiego śmiałka na dzidach. Ale Celtowie tacy właśnie byli: nieokrzesani, nieopanowani, łatwi do pokonania w bitwie, naiwni i zabawni w swym wojennym zadufaniu, że jacy to z nich wojownicy! Fakt, że trzysta lat temu udało się im, to znaczy Allobrogom, napaść na Rzym, ale co z tego, skoro odstąpili od miasta i zadowolony się nędznym okupem, pomaszrowali z powrotem? Później raz po raz różne plemiona celtyckie dostawały cięgi od legionów rzymskich. A Rzymianie byli jedynym narodem, który Ariowist szanował.

Teraz w Celtyce znowu się kotłowało. Ariowist wiedział

o tym i tylko czekał na okazję. Wiedział, że Orgetoryks, jeden z przywódców plemienia Helwetów zamieszkującego teren między Dunajem, Rodanem i Alpami, planuje przesiedlenie swego ludu, a jednocześnie dąży do objęcia władzy królewskiej. Błąd! Orgetoryks powinien pamiętać o nieudanej próbie sięgnięcia po koronę przez nieszczęsnego Celyllusa i zatrutym kielichu na jego własnej uczcie. Tak, Ariowist wiedział to wszystko. Nie na darmo miał swoich zaufanych ludzi, między innymi takiego Jorga, ledwo dwudziestoosmiolatek, ale za to jak obrotnego! Zdolny chłopak! Szkoda, że Ariowist nie miał syna podobnego do Jorga. Doprawdy miałyby komu przekazać władzę, a tak musiał szukać odpowiedniego męża dla swojej córki, przynajmniej na razie – dla tej starszej.

W zasadzie kandydat sam się zgłosił, i to niedawno. Wercyngetoryks, syn Celyllusa, dwukrotnie wysyłał do Ariowista poselstwo z prośbą o zawiązanie sojuszu. Wercyngetoryks był młody, miał, zdaniem wodza Germanów, jakieś dwadzieścia trzy lata, ale łeb na karku i sporo oleju w głowie. Chłopak doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że sojusz z Sekwanami przeciwko Eduom nie wystarczy. Eduowie byli przyjaciółmi Rzymian, a tak się składało, że Ariowist dwukrotnie ich już najechał, przy okazji zresztą gwałcąc zasady sojuszu z Sekwanami, których ziemię w końcu też zdobył, przynajmniej częściowo, i obsadził swoimi ludźmi zza Renu, wbrew wyraźnej obietnicy danej ongiś Kastykusowi. Ale, ale: Wercyngetoryks. Tak, on może daleko zajść, jeśli będzie chciał. Zdawał sobie sprawę, że Ariowist stanowi przeciwwagę dla potęgi Eduów i ma swoje wpływy w Rzymie. Nie na darmo wódz Germanów wysyłał wielokrotnie posłów do tego miasta i dawał konsulom rzymskim zakładników, między innymi własnego siostrzeńca i szwagra. Ten właśnie kuty na cztery kopyta Wercyngetoryks chciał ożenić się z córką Ariowista.

Lorelei... Tak, wszyscy chcieli pojąć ją za żonę, nie tylko Wercyngetoryks. Ariowist wcale się nie dziwił, że młody naczelnik plemienia Arwernów pragnął Lorelei, wiedział jednak również, że akurat jemu chodziło bardziej o sojusz, ponieważ po pierwsze miał już żonę, a wcześniej był żonaty z kapłanką

z Sein, a po drugie nigdy nie widział Lorelei na oczy, chociaż jej uroda znana była nie tylko wśród Germanów.

Ariowist złapał się na tym, że rozmyśla teraz o Wercyngetoryksie. Nie dał mu jednoznacznej odpowiedzi, jakkolwiek rok wcześniej zawarł z nim przymierze - nie sojusz, ale luźną obietnicę przyjaźni, którą w każdym czasie można było zerwać. Ariowist wiedział, że Wercyngetoryks posiada nie byle jaką doradczynię w sprawach polityki. Scatah, jedna z najpotężniejszych celtyckich kapłanek, odpowiedniczka druidów, która zmarła nieoczekiwanie zeszłej zimy, doradzała mu i szkoliła go. Teraz funkcję tę przejęła jego pierwsza żona Uatah. Tak, Ariowist wiedział o tym, wiedział również, że kobiety te pełniły u Celtów bardzo ważną rolę, podobnie jak wieszczki u Germanów. A to, co wieszczka oznajmiła, było święte. Ariowist sam miał jedną taką, starą babę o imieniu Hulda, która przepowiedziała mu, że stanie się wielkim wodzem i pokona Celtów zza Renu, ma się jednak wystrzegać bitwy z rzymskim wodzem, który jako pierwszy przekroczy tę rzekę. Na razie żadnemu wodzowi rzymskiemu do głowy nie przyszło zapuszczać się za Alpy, co najwyżej do ich własnej prowincji, toteż Ariowist nie bał się przepowiedni, dbał jednak o to, by jego stosunki z Rzymem były poprawne.

Tak, Ariowist uważał Rzym za potęgę niemającą sobie równych. Armia rzymska była jedną z najlepiej wyszkolonych i zorganizowanych, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia - może nie osobiście, ale słyszał przecież opowieści swego ojca i innych wojowników o pogromie Teutonów i Cymbrów, o potędze legionów Mariusza. Ich posłuszeństwo i karność były znane również u Swebów. A Ariowist, tkwiąc na lewym brzegu Renu, słyszał niejedną opowieść z ust Celtów, którzy przecież wojowali z Rzymianami co najmniej od dwustu lat.

Celtowie byli słabi. Ariowist słyszał o poselstwie Allobrogów, którzy przybyli do Rzymu w roku konsulatu Cyncerona. To doprawdy oznaka miernoty, kiedy wysyła się posłów do swych okupantów! Zresztą nic dziwnego, Celtowie zmieniali swe preferencje szybciej od wiatru wiejącego z zachodu. Ariowist często zdumiewał się na myśl o ich

zmiennych nastrojach i nastawieniach. Sekwanowie i Eduowie nienawidzili się, to prawda, podobnie jak Eduowie i Arwernowie. Jedni i drudzy jednak wspierali Helwetów i z tego, co Ariowist wiedział, Orgetoryks wydał swoją siostrę za Dumnoryksa, a sam pojął za żonę siostrę Kastykusa, byle tylko uzyskać dostęp do ziemi jednych i drugich. Aż dziw brał, że te dwa skłócone plemiona w tej kwestii były zgodne.

Wieści z Rzymu były pomyślne. Cezar był tym człowiekiem, którego Ariowist na rzymskim krześle kurulnym oczekiwał od lat. Wódz Germanów doskonale orientował się w rzymskich nastrojach dzięki swoim szpiegom. Cezar nie był jednym z tych zacofanych idiotów, sługusów Senatu, takich jak Katon, Domicjusz Ahenobarbus, Balbus, Pizon i inni mądrale. Cezar nie był wielkim, zadufanym w sobie wodzem pokroju Pompejusza. Nie był również ksenofobem jak Krassus, który co prawda miał pieniądze, ale stronił od ludzi. W końcu Cezar nie posiadał tak chwiejnego i słabego charakteru jak Cynceron, za którego zdecydowała jego żona. Nie, Cezar miał otwarty umysł, nie postrzegał Rzymu jako małego miasta italskiego, on rozumował w kategoriach wielkiego światowego imperium. Ariowist, który systematycznie dążył do powiększenia swoich ziem i poszerzenia granic, podziwiał Cezara. Może „podziwiał” to za dużo powiedziane, ale w każdym razie szanował go i był przekonany, że tym razem jego wniosek przyznania mu miana Przyjaciela Narodu Rzymskiego zostanie przyjęty.

Ariowist uważał, że lepiej zapewnić sobie przychyłność Rzymian niż wzniecić ich gniew. Dlatego właśnie kilka lat temu, to znaczy po pierwszym zwycięstwie nad Eduami – a potem ponownie po ich pogromie ostatecznym, który nastąpił rok temu – Ariowist wysłał do Rzymu petycję z prośbą o uznanie go przyjacielem. Wiedział bowiem, że Eduowie długo nie wytrzymają pod germańskim jarzmem i prędzej czy później wyślą do Rzymu swoich emisariuszy. A Ariowist nie bardzo chciał dopuścić do tego, żeby sprawdziło się proroctwo Huldy i żeby on sam został pokonany w boju. Dotychczas to się nie zdarzyło i on miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, jakkolwiek uważał, że koniec końców powinien umrzeć, jak

na wodza przystało, w bitwie, a nie we własnym łóżku. No ale na to miał jeszcze czas.

Teraz siedział przy stole i spożywał kolację, a słudzy uwijali się jak w ukropie, żeby nadażyć z wnoszeniem potraw. Ariowist jadał w towarzystwie swoich dowódców i krewnych, w tym dwóch żon, które pojął ze względów politycznych. Starsza z nich, Mergh, była córką naczelnika Markomanów i to ona urodziła Ariowistowi jedyne syna, który nie dożył jednak wieku męskiego i w szesnastej wiosnie zginął podczas polowania na niedźwiedzia. Mergh była również matką Lorelei, ukochanej, najdroższej córki Ariowista. Rzecz jasna wódz Swebów nigdy w życiu nie przyznałby się do głębokiego uczucia, jakim darzył swoją córkę. Drugą, młodszą żoną Ariowista była Grynilda, wnuczka wodza Teutonów, który został zabity przez armię Mariusza. Była ona matką drugiej córki Ariowista – Adair. Lorelei miała obecnie siedemnaście lat, Adair piętnaście i w zasadzie obie były pannami na wydaniu. Ariowist szukał im mężów wśród swoich ziomków, ale jego zdaniem żaden z nich nie nadawał się do tej roli.

Mergh była piękną kobietą, obecnie dobiegała czterdziestki, ale nadal zachowała urodę z lat młodości. Miała włosy koloru starego srebra i tenże srebrzysty kolor odziedziczyła po niej Lorelei. Ale Ariowist nie brał sobie żony dla urody i do poślubienia jej nie skłoniły go ani szlachetne rysy twarzy Mergh, ani jej powabne ciało. Przede wszystkim była to bowiem kobieta obdarzona silnym charakterem i nieprzeciętną inteligencją. Kochała swego męża, ale ważniejsze było to, że była mu szczerze oddana. To Mergh uważana była za panią domu, to ona była oficjalną żoną wodza, jej składano łupy, ona odprawiała modły, ona posyłała po wieszczki, ona wreszcie rozpalala ogień na palenisku. Z Mergh należało się liczyć, była kobietą o kamiennym sercu, twardą i nieugiętą, chociaż potrafiła okazywać dobroć i litość.

Grynilda, młodszą od pierwszej żony Ariowista, obecnie trzydziestoletnia, była wysoka, potężnie zbudowana, miała szerokie biodra, duże piersi, umięśnione barki i ramiona, walczyła w bitwach jak mężczyzna, a w łóżu zachowywała się

jak wojownik w boju, ale była też bystra i inteligentna, przebiegła i chłodna w ocenie, a nade wszystko lojalna i dzielna. Ponadto znała mowę Celtów, a co lepsze, mowę Rzymian. Grynilda bowiem jako dziecko trafiła do rzymskiej niewoli, z której udało jej się wykupić, i jako czternastolatka wróciła do osady swego dziadka, już wówczas od dawna nieżyjącego. Jej wuj dał ją za żonę Ariowistowi, którego co prawda nie zachwycała uroda drugiej żony, ale poślubił ją dla innych korzyści.

Córki zrodzone z dwóch żon bardzo się między sobą różniły. Lorelei odziedziczyła po matce smukłe ciało i pięknie rzeźbioną twarz, a także niezwykle srebrzyste włosy, które lśniły pięknie w blasku księżyca. Miała chłodną urodę, jasnoniebieskie oczy, pełne usta i prosty nos. Adair wyrastała na hożą dziewczynę, wszystko wskazywało na to, że odziedziczy mocną budowę swej matki i jej rude kręcone włosy. Nie zapowiadała się na ładną kobietę, ale była posłusznym, dobrym dzieckiem i ojciec bardzo ją kochał. Zastępowała mu syna, którego już nie miał.

Ariowist nie dbał o urodę. O wiele bardziej zwracał uwagę na przymioty ducha, a najbardziej na inteligencję i spryt. Cenił w ludziach hart i siłę psychiczną – sam był niewiarygodnie silny, podobnie jak jego obie żony i córki. Dlatego właśnie uważał, że młody Wercyngetoryks miałby szansę być dobrym zięciem. Zamierzał poważnie porozmawiać z Lorelei na temat tego związku. Musiał to zrobić, jego córka bowiem wchodziłaby w małżeństwo polityczne, bez miłości, jakkolwiek była ona do tego przygotowywana od dziecka. Ponadto byłaby drugą żoną tego Celta, który usiłował piąć się po szczeblach kariery. Najchętniej wódz Germanów spotkałby się z młodzieńcem sam i porozmawiał, ale na to nie było odpowiedniej okazji, chyba że spotkaliby się na neutralnym gruncie, bo Ariowist nie sądził, by Wercyngetoryks fatygował się na ziemi Eduów. Ale na wszystko był jeszcze czas. Najpierw chciał porozmawiać z Lorelei, a potem poczekać na rozwój wydarzeń w Rzymie. Jeśli Cezar jako konsul uznałby go za godnego miana Przyjaciela Narodu Rzymskiego, wówczas Ariowist nie musiałby koniecznie wiązać się z Arwernami. Jeden układ wystarczy.

W Galii wrzało niczym w kotle czarownicy. Ariowist wiedział o tym i czekał. Siedząc na ziemiach Sekwanów i Eduów, zasiedliwszy je swoimi ludźmi zza Renu, był chwilowo panem sytuacji. Nie przewidział tylko jednego. Konsekwencji konsulatu Cezara w Rzymie.

*

- Wzywałeś mnie, ojciec - odezwała się Lorelei swoim jasnym głosem, wchodząc do sieni.

Ariowist posłał po nią do pomieszczeń kobiecych, w których ona i jej młodsza siostra przedły zapewne lub tkały. Rzemiosło wojenne dostępne było germańskim kobietom, do ich zadań należało jednak przede wszystkim prowadzenie domu, tkanie i szycie ubrań, pilnowanie dzieci, dbanie o pożywienie i tym podobne obowiązki. Nie można więc powiedzieć, by ich zajęcia różniły się znacznie od obowiązków galijskich żon. Rzecz jasna Ariowist posiadał zastępy sług i klientów, i to właśnie słudzy wykonywali lwią część obowiązków. Posiadał także niewolników zdobytych na wojnach lub urodzonych w niewoli. Ale on sam wychodził z założenia, skądinąd słusznego, że kobieta powinna wiedzieć wszystko o prowadzeniu gospodarstwa, nawet jeśli - a może właśnie tym bardziej jeśli - będzie żoną możnowładcy.

Spojrzał na swoją córkę, uważnie starając się patrzeć jak obcy człowiek na młodą kobietę, a nie jak ojciec na dziecko. Niewątpliwie Ariowist był niesłychanie dumny ze swoich dzieci - były przecież jego potomstwem! Ale, jako się rzekło, był człowiekiem obiektywnym w ocenie, toteż spoglądając na Lorelei, po raz pierwszy chciał w niej widzieć kobietę, a nie własną córkę. I w istocie było na co patrzeć. Dumna postawa, piękne ciało, srebrzystoblond włosy splecione w warkocz, twarz o szlachetnych rysach, chłodne niebieskie oczy przywodzące na myśl niebieskawy lód na rzece, ładnie uformowane usta, białe zęby... I to spojrzenie: dumne, świadczące o pewności siebie. Lorelei nie ugnie się przed wolą celtyckiego pana. Będzie niezależną panią samej siebie, nawet jeśli jej ojciec odda ją w ramach sojuszu mężczyźnie z innego plemienia, z innej

nacji.

Ariowist zajmował ziemie na zachód od Renu już drugi rok. Wcześniej pokonał Eduów, ale Celtowie byli narodem nieznoszącym czyjejś dominacji, chcieli być wolni i rządzić się sami, chociaż zdaniem Ariowista niewiele dobrego z owych samodzielnych rządów wynikało.

- Lorelei, wezwałem cię, bo chcę z tobą omówić pewną sprawę - rzekł Ariowist po chwili milczenia. - Siadaj, nie stój tak, nie jesteś moim zbrojnym.

Dziewczyna uśmiechnęła się na moment, ale już wkrótce spoważniała. Ona i Adair bardzo się różniły nie tylko urodą, ale również charakterem. Młodsza z córek Ariowista była wesoła i pogodna, Lorelei miała poważną naturę, raczej smutną niż skłoną do żartów, była wrażliwa, ale również niesłychanie silna i dumna. I to właśnie dlatego Ariowist zdecydował się dać za żonę Wercyngetoryksowi starszą córkę.

- Słucham cię, ojczy.

- Jesteś w wieku odpowiednim do zamążpójścia - powiedział Ariowist, który zwykł był wykladać jasno swoje zamiary i niczego niepotrzebnie nie owijał w bawełnę. - Tak się składa, że znalazł się konkurent do twojej ręki. Tyle że on jest naczelnikiem plemienia Arwernów. Byłoby to małżeństwo polityczne, które po jakimś czasie możemy zerwać. Co ty na to, córko?

Lorelei bez wyrazu patrzyła na ojca swymi pięknymi oczami. Nie mogła powiedzieć, że nie zgadza się na to małżeństwo, bo nie chce i już. To nie byłaby odpowiedź godna córki wodza Swebów. Arwernowie mieszkali daleko na południu, daleko od ziemi Ariowista, daleko od Eduów, za Wogezami, za Renem, nad Rodanem, na ogromnym płaskowyżu w samym centrum Galii. Byli bogaci, kontrolowali bowiem szlaki rzeczne z północy na południe aż do Massalii. Ich naczelnicy opływali w złoto, a kiedyś to właśnie Arwernowie wydali największego wodza, jakiego znał celtycki świat - Brennosa, który w swych podbojach dotarł aż do Hellady.

- Co to za człowiek? - zapytała poważnym tonem.

- Wercyngetoryks, syn Celtyllusa, z którym wiele lat temu

chciałem wejść w sojusz. Jest młody, nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat. Ma przed sobą dużą szansę. Tyle że ma już żonę i dzieci. Jak mówię, byłoby to małżeństwo polityczne, Lorelei. Zastanów się nad odpowiedzią. Nie chcę cię do niczego przymuszać. Zawsze jest jeszcze Adair i ją mogę dać Wercyngetoryksowi. Albo jedną z moich bratanic lub siostrzenic.

Więc daj – pomyślała Lorelei.

Nie chodziło o to, że miałyby poślubić Celta, chociaż już sam ten fakt niespecjalnie jej się podobał. Problem polegał na tym, że w sercu Lorelei był już ktoś inny, z kim ona pragnęła dzielić życie, a kogo jej ojciec być może zaakceptowałby jako zięcia. Od lat już Lorelei patrzyła z podziwem na Jorga, zaufanego człowieka swego ojca. A i ona nie była mu obojętna. Ze względu jednak na jego pozycję, Lorelei była dla niego nieosiągalna, a on był dla niej zakazany. Co prawda nic by się wielkiego nie stało, gdyby spoczęli razem w łóżu, gorzej jednak, gdyby z tego związku narodziło się dziecko. Córka wodza nie sypia ze zbrojnymi swego ojca. Ona przeznaczona jest do znacznie lepszych łóżnic.

Pomyślała o Adair, swojej młodszej siostrze. Dlaczego ten Wercyngetoryks nie może ożenić się z nią? Przecież nie pragnął miłości, ale pewnie wspólnych dzieci, a o to znowu nie tak trudno. Wystarczy zlegnąć razem i to wszystko. Lorelei nie była głupia, doskonale wiedziała, jak odbywa się płodzenie dzieci u Celtów, zresztą Germanie nie różnili się zbytnio w obyczajach w tej kwestii. I jedni, i drudzy brali sobie żony z chęci związania się z możliwym rodem, z chęci pozyskania sojusznika w postaci ewentualnego teścia, zatem wysyłało się córkę do łóża syna owego człowieka i płodziło się potomstwo. Potem małżeństwo mogło zostać rozwiązane, losem młodych też nikt się za bardzo nie przejmował. Ale dzieci, wspólne wnuki, były gwarantem lojalności! Dziewictwo u Celtów i u Germanów nie miało najmniejszego znaczenia, o ile ojciec uznał dziecko za własne. Nie było istotne, ilu kochanków matka miała wcześniej.

Lorelei myślała o Jorgu. Pewnie i tak by go nie dostała.

A może? Gdyby zapytała ojca... On bardzo cenił Jorga.

Uważał, że jest to jego najlepszy człowiek. Był zaufanym Ariowista. Był jego prawą ręką.

- Jak długo miałyby potrwać to małżeństwo? - zapytała rezolutnie.

- Tyle, ile trzeba, byś urodziła dziecko - odparł ojciec. - Jeżeli nie chcesz, powiedz od razu.

Lorelei zamyślona patrzyła na płomienie ognia płonącego na wielkim palenisku w biesiadnej izbie. Dziewki służące kręciły się wokół kotła, w którym gotowano strawę, potrawkę z zajęcy i kaszę. Do tego miano podać płaski chleb i piwo. W środku zimy jadano przede wszystkim mięso, latem można było sobie pozwolić na bardziej lekkostrawną dietę. W ich osadzie po przeciwnej stronie Renu zimy były naprawdę ostre i surowe. Niekiedy żeby wyjść z domu, trzeba było przebijać się przez ściany śniegu. Tutaj, po drugiej stronie Wogezów, zimy były znacznie cieplejsze, ale mimo to Lorelei drżała w swoim futrzanym okryciu, które narzuciła na suknię.

- Ojcze, jeżeli wyjawię ci wszystko, co noszę w sercu, czy będziesz umiał mnie zrozumieć? - zapytała otwarcie. - Wiem, że dla ciebie taki sojusz jest ważny, inaczej nie trudziłbyś się wydawaniem swoich córek za cudzoziemców, w dodatku za jednego z Arwernów. A dla córki wodza wypełnienie woli ojca jest obowiązkiem i powinnością. Ale ja kocham Jorga, ojcze, i myślę, że on mnie również. Jeżeli wyjdę za mąż za tego Celta, urodzę mu dziecko i je wychowam, czy będę mogła wrócić tutaj i poślubić Jorga?

Ariowist przyglądał się swej córce zdumiony. Lorelei musiała być bardzo odważna, że wystąpiła z takim zapytaniem. Nawet jego żony się go obawiały. Mergh posiadała bardzo silną pozycję, a mimo to również ona niekiedy drżała ze strachu przed swoim mężem. Z drugiej jednak strony wszyscy wiedzieli, że Ariowist jest człowiekiem honoru i lubi, jeśli mu się otwarcie przedstawia swój punkt widzenia, nawet w przypadku gdy zdanie petenta nie pokrywa się z jego własnym.

Lorelei nie była zwyczajną dziewczyną. Widział to. Widział inteligencję w jej spojrzeniu. Ona rozumiała znacznie więcej niż inne kobiety w jej wieku. Zwykle w siedemnastej zimie były one

jeszcze na tyle niedojrzałe, że łatwo było nimi kierować. Ale nie Lorelei.

- Jorg, powiadasz - mruzczał ojciec. - No tak, jemu akurat niczego odmówić nie mogę. Ale rozumiesz chyba, że córka wodza nie powinna wychodzić za mąż za jego zbrojnego, żeby był nie wiem jak uzdolniony?

- Przecież możesz mianować Jorga jednym z naczelników - stwierdziła Lorelei. - A wówczas ja mogłabym zostać jego żoną.

Ariowist zaśmiał się z rezerwowości swej córki. Jak to sobie obmyśla!

- Lorelei, to nie jest gra w kości - powiedział w końcu. - Polityka jest znacznie bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. Chcę cię dać Wercyngetoryksowi, żeby się z nim związać sojuszem. Ale to jemu zależy bardziej, zwłaszcza jeśli w Rzymie przegłosują wniosek, żeby nadać mi tytuł przyjaciela. Wiesz chyba, jak bardzo ci Celtowie są ze sobą skłóceni. Do jakiego stopnia trzeba być nierozsądnym, żeby wzywać wroga, aby pozbyć się innego?

Wiedział, że z córką może o tym otwarcie rozmawiać, bo umysł Lorelei był bardzo dojrzały. Była inteligentna, ogarniała też sprawy, nad którymi Ariowist pracował.

- Poza tym Arwernowie nienawidzą Eduów - kontynuował ojciec. - A ten chłopak może w przyszłości okazać się dobrym sojusznikiem w walce z Eduami. Doprawdy Dumnoryks stał się ostatnio niezwykle bezczelny, a jego brat Dywicjak jest jeszcze gorszy, do tego zaprzyjaźnia się z Rzymianami, czego akurat Dumnoryks nie może ścierpieć. Ale są braćmi, staną jeden za drugim, jeśli będzie trzeba. O ile nie wsadzi się tam kija w mrowisko. Małżeństwo Celta i Germanki będzie dla nich solą w oku - to nie do pomyślenia. A my będziemy mieć podwójną korzyść, w razie czego Arwernowie pospieszą nam z pomocą przeciwko Eduom.

Lorelei myślała, że tak naprawdę niewiele ją obchodzi zamiary ojca. Ariowist od wielu lat łakomił się na żyzne ziemie Eduów za Renem. Co prawda ziemia między Renem a Łabą nie była zła, wprost przeciwnie, Germanie mieli też dostęp do północnego morza, ale ponieważ od wschodu napierały

migrujące plemiona i wypierały Germanów coraz dalej i dalej na zachód, a poza tym liczba ludności także z roku na rok rosła, Ariowist zmuszony był do szukania innego miejsca, które wyżywiłoby wszystkich.

- Ojczy, twoje zamiary są zapewne słuszne, o ile się orientuję - odezwała się Lorelei. - Ale ja chcę znać odpowiedź na moje pytanie. Czy jeśli zgodzę się na małżeństwo z Arwernem, będę mogła potem poślubić Jorga, o ile on mnie jeszcze zechce?

Zechce... - myślała. To, co muszę wykonać z obowiązku, nie powinno mieć dla niego znaczenia. Zechce. Nie musi wiedzieć, w jakim celu pojedę do Gergowii.

- Tak, córko - odparł Ariowist. - Jeżeli to uczynisz, twojemu życzeniu stanie się zadość. Masz moje słowo.

- W takim razie, ojczy, wyjdę za mąż za Wercyngetoryksa - oznajmiła Lorelei.

*

Hulda, wieszczka Ariowista, mieszkała w małej chacie nieco na uboczu osady. Była stara, wróżyła już za czasów ojca Ariowista, teraz musiała dobiegać osiemdziesiątki, ale pomimo że wiek przygiął ją do ziemi, umysł staruszki pozostawał jasny. Wiek nie odebrał jej również zdolności magicznych i Hulda odczytywała z kości wolę bogów równie sprawnie jak wiele lat temu. To ona wywróżyła klęskę Teutonów i Cymbrów, ona doradziła ojcu Ariowista, aby nie mieszał się w plany pobratymców, nie szedł na legiony rzymskie. Ona powiedziała Ariowistowi, kiedy uderzyć na Eduów. Wódz Germanów wierzył jej i ufał bezgranicznie.

Lorelei szła do chaty Huldy z mieszanymi uczuciami. Bała się wieszczki jak chyba wszyscy, a poza tym nie była do końca pewna, czy chce znać odpowiedź na swoje pytanie. Ojciec bardzo poważał Huldę. Matka Lorelei bała się staruchy i była to chyba jedyna osoba na świecie, przed którą Mergh drżała. Lorelei słyszała od swojej piastunki, że Hulda przepowiedziała śmierć syna Ariowista, a wszak jego jedyny syn był dzieckiem

Mergh. Kiedy Skuld, jej brat, zginął, ona sama miała dwanaście lat. Pamiętała rozpacz matki, jej krzyki, kamienną twarz Ariowista, jego łzy wylewane, kiedy sądził, że nikt go nie widzi. Śmierć Skulda wieszczka przepowiedziała wiele lat wcześniej. Mówiła, że chłopak zginie od oszczepu, toteż Ariowist zakazał swoim ludziom uczyć go walki tym narzędziem. Na polowaniu Skuld nadział się na oszczep jednego z drużynników Ariowista. Umarł od zakażenia kilka dni później. Od tego czasu Mergh bała się Huldy i nigdy więcej nie chodziła do niej po wróżby.

Ale Lorelei chciała wiedzieć. Musiała wiedzieć! Godziła się na związek, jaki obmyślił dla niej ojciec, bo wiedziała, że Ariowist tak czy inaczej, nawet gdyby ona się nie zgodziła, narzuci swoją wolę, dając temu Arwernowi za żonę jedną z kuzynek Lorelei albo nawet jej siostrę Adair.

W głębi ducha Lorelei gardziła zarówno Grynildą, drugą żoną ojca, jak i jej córką. *Niewolnica!* – myślała z pogardą o swej macosze. *I tę niewolnicę Rzymian ojciec poślubił tylko dlatego, że była biegła w obcej mowie. Równie dobrze mógł sobie zatrudnić tłumacza.* Grynilda była zdaniem Lorelei brzydka jak noc, nie to co jej matka, piękna Mergh. W tym jednym Lorelei różniła się od swego ojca, który do wyglądu nie przywiązywał dużej wagi. Ona, owszem, przy osądzaniu człowieka kierowała się wyglądem.

Jeśli o to chodzi, Hulda też nie przedstawiała sobą najpiękniejszego widoku, ale miała już osiemdziesiąt lat, o ile nie więcej, toteż nic dziwnego, że czas zatarł w wyglądzie tej kobiety najmniejsze ślady urody. Może jedynie oczy zdradzały, że Hulda mogła być kiedyś piękna. Bo oczy miała naprawdę ładne, przejrzyste, ciemnozielone, niezmacone bielmem starości. Wzrok miała bystry, przenikliwy, chociaż tak zgarbiona i przyciśnięta do ziemi już była, że aby spojrzeć w oczy swemu rozmówcy, musiała zadzierać głowę. Długie, zupełnie białe, ale gęste włosy opadały jej na zgarbione plecy. Starucha podpierała się sękatym kijem i ledwo stała na drżących nogach, ale kiedy Lorelei zapukała do jej chaty, sama otworzyła drzwi.

– Wejdz, dziecko, szybko, bo zimno leci – wymamrotała. – A więc dumna córka Ariowista weszła w moje skromne progi.

Cóż za zaszczyt!

Lorelei miała paskudne wrażenie, że stara z niej kpi, ale Hulda zbyt wielki budziła respekt, by traktować ją z góry.

- Przyszłam zapytać o moją przyszłość, matko - odezwała się czystym głosem.

- O przyszłość, he, he - zarechotała Hulda i pokuśtykała do paleniska. - Tak, wy, młodzi, sądzicie, że wszystko zdołacie ułożyć po swojemu. Ale los każdego człowieka jest nieunikniony. Nie pytaj mnie o przyszłość, Lorelei. Nie chcesz jej znać, tak jak twoja matka nie chciała znać przyszłości swego syna.

Lorelei niepytana usiadła na niskim zydlu przy palenisku. Hulda zajęła miejsce w wymoszczonym futrem karle. Sięgnęła do woreczka, który miała przytroczone do sukni. Wyjęła z nich kości, białe i czarne, wykonane z palików niedźwiedzi.

- Jesteś dumna i pełna pychy, dziecko - odezwała się. - Jesteś piękna i wiesz o tym, ale jesteś też zimna. Gardzisz życiem w niewoli. Pragniesz Jorga.

- To prawda - przytaknęła Lorelei. - Czy go dostanę? Ojciec chce mnie wydać za mąż za wodza Arwernów.

Hulda rzuciła kości. Błysnęły krwawo w blasku ognia. W domu wieszczki panował półmrok, nieco światła sączyło się przez dymnik, a odrobina matowego zimowego słońca wpadała przez uchyloną okiennicę w ścianie. Lorelei poczuła nagle, że się boi. Kobieta obok niej błędziła po innym świecie. Z pewnością posiadała moc, rozmawiała z bogami. Lorelei, będąc na ziemiach Eduów i mając styczność z kupcami, usłyszała raz o wieszczkach z południa, z Hellady, przez które przemawiał bóg. Wiedziała też, że Celtowie mają swoje święte kobiety, które edukują młodych mężczyzn. Gdzieś na Atlantyku leżała wyspa, mała wyspa, na której mieszkały owe kapłanki. Stale mieszkało ich tam dziewięć, reszta żyła rozproszona w całej Galii i Brytanii. Kobiety te posiadały ogromną moc i wiedzę.

- Wódz Arwernów - mamrotała stara. - Młody i piękny, odważny i ambitny. Z wysokiego rodu. Syn naczelnika. Ma chęć sięgnąć po jedynowładztwo. Chce być wodzem Arwernów,

jedynym, nie tylko naczelnikiem. Chce zjednoczyć wszystkich Celtów. To dobry człowiek. I rozumny. Ale gwałtownik. Kocha swoją żonę. Ciebie chce dla sojuszu z Ariowistem.

- Dostanie mnie?

- Zgodziłaś się przecież - zaśmiała się Hulda. - Będzie, jak powiedziałaś. Ariowist da mu ciebie za żonę. Ale nie urodzisz mu dziecka. Nikomu nie urodzisz dziecka, Lorelei. Nie ma w tobie mocy dawania życia. Twoje łono będzie jałowe. Za kilka lat wrócisz tutaj. A potem za Ren...

Hulda umilkła. Lorelei z przerażeniem spoglądała na jej oblicze, na którym malowała się groza.

- Oni nadejdą - szeptała. - Przyjdzie ten, który przekroczy Ren i pokona Swebów. Już niedługo. Przyniesie ogień i śmierć.

- Kto nadejdzie? - dopytywała się Lorelei, ale bezskutecznie. Hulda zdawała się trwać pogrążona w transie.

- Będzie silny, niepokonany, niezwyknięty - mamrotała. - Pokona Celtów, Germanów, poskromi Brytów. Ariowist niech wraca na nasze ziemie. Za Ren. Do domu.

- Co ty mówisz?! - krzyknęła Lorelei. - Kto przyjdzie? Ten Arvern? Wercyngetoryks?

Oczy Huldy patrzyły w nicość. Gdzieś ponad czasem, ponad światem. Lśniły jak dwa ciemnozielone jeziora, głębokie, przepastne.

- Wercyngetoryks... - mruzczała. - Widzę go, jak zjeżdża konno z osady na wzgórzu. Objeżdża je trzykrotnie. Odejdiesz od niego, kiedy Ariowist ci nakaże. Niebawem. Ojciec przywoła cię do domu. Za Ren, Lorelei. Ale... widzę skałę. Wysoką, wnoszącą się nad rzeką. Nazwą ją twoim imieniem.

Lorelei patrzyła na Huldę ze strachem.

- A Jorg? - zapytała. - Dostanę go?

- Jorg... - mruknięła Hulda. - Widzę krew i śmierć. Jorg... Pochylasz się nad nim. Tak, dostaniesz go, dziecko. Dostaniesz.

Lorelei usłyszała to, co chciała, kiedy jednak te słowa padły, odniosła wrażenie, że za nimi kryje się coś jeszcze. Niewiele zrozumiała z wypowiedzi Huldy i z jej nieskładnego proroctwa, pojęła jednak, że zostanie żoną Wercyngetoryksa, a po kilku latach ojciec nakaże jej wracać i wyda ją za mąż za Jorga.

- To nie do końca tak, jak myślisz, Lorelei - powiedziała Hulda, jakby czytając w myślach dziewczyny. - Dostaniesz swoje, owszem. Ale nie pytaj o nic więcej. Ariowist pojedzie tego lata do Rzymu. Dostanie to, czego pragnie. To jednak nie stanowi gwarancji władzy i potęgi. Idź, Lorelei. Nie unikniesz swego losu, dziecko. To pewne.

Lorelei opuściła dom Huldy z mieszanymi uczuciami. Starucha, stojąc na progu domostwa, patrzyła na nią i powoli kręciła głową.

- Ciesz się życiem, póki jest ci ono dane, Lorelei - szepnęła. - Bo nadchodzi ten, który pokona twego ojca i który sprowadzi na ciebie niedolę.

Jak wielką niedolę, tego Hulda nawet w myślach nie chciała przyznać. Żal jej było dziewczyny, bo Lorelei należała do dumnych, poważnie traktujących siebie ludzi, którzy nienawidzą, kiedy ktoś z nich szydzi, i w ogóle są pozbawieni wszelkiego poczucia humoru. Lorelei, będąc dopiero w siedemnastym roku życia, traktowała wszystko zbyt poważnie, nie miała dystansu do świata. Pójdzie za mąż za naczelnika Arwernów, ale na zawsze pozostanie córką germańskiego wodza. Nic jej nie odmieni.

Hulda, wzdychając ciężko, powłokła się do chaty. Wiedziała, że powinna pomówić z Ariowistem, ale miała też świadomość, że niepytana nie ma prawa narzucać mu się ze swoją magią. Mogła jedynie żyć z wiedzą, którą tego dnia z woli bogów uzyskała.

*

Traf chciał, że gdy Mergh i jej córka Lorelei rozmawiały na temat małżeństwa tej ostatniej z naczelnikiem Arwernów, Adair siedziała w świetlicy. Siedziała z niewykończoną szatą na kolanach i właśnie ozdabiała ją haftem, kiedy z ust Mergh padły słowa o zamążpójściu.

- Dziecko, nie jedziesz tam po to, by grzać łożę celtyckiemu księciu, ale po to, by pełnić rolę oczu i uszu twego ojca w kraju Arwernów - mówiła matka. - Nie wyobrażaj sobie, że mężczyźni

pragną żon z miłości. Ten człowiek nigdy cię nie widział i przygotowany jest na wszystko, na każdą ewentualność. Równie dobrze mogłaby tam jechać twoja siostra.

Adair nie lubiła Mergh. Nie dało się ukryć, która z żon Ariowista cieszy się większym poważaniem i autorytetem w jego domostwie. Mergh jednak była nie tylko osobą obdarzoną charyzmą i silnym charakterem, ale cechował ją także osobliwy chłód w stosunku do ludzi, który Lorelei po niej odziedziczyła. Mergh była zimną, wyrachowaną kobietą. Nie przepadała za Grynildą, matką Adair, a także za nią samą, choćby z tego powodu, że Grynilda swego czasu znajdowała się w rzymskiej niewoli. Przyszła na świat jako niewolnica, która sama zdołała się wykupić z niewoli, i to dosyć szybko, bo w wieku lat czternastu. Niebawem jak na niewolników, w dodatku urodzonych w domu pana. Mergh jednak, będąc osobą wolno urodzoną, gardziła ludźmi zrodzonymi w niewoli. Ponieważ zaś nie lubiła Grynildy, uczucie to przenosiła również na Adair, chociaż nigdy oficjalnie by się do tego nie przyznała. Nie, Mergh była panią domu, pierwszą żoną Ariowista, i nie wypadało, by zniżala się do okazywania niechęci drugiej żonie i nałożnicom, a tych Ariowist miał zawsze sporo. Obecnie wybierał sobie ładne, głupiutkie dziewczęta, by grzały go w łóżu przez kilka nocy, potem jednak – jak zawsze, tak i teraz – wróci do swych żon.

Adair jednak wiedziała, że ojciec nie sypia z jej matką tak często jak z Mergh, i to też sprawiało jej przykrość. Grynilda nigdy się jednak na to nie skarżyła. Tutaj, na ziemiach Celtów, była bardzo przydatna mężowi, ponieważ znała celtycką mowę. Ona, Adair, również znała język Celtów, a także Rzymian, bo matka ją tego nauczyła. Nie odznaczała się wszak taką urodą jak Lorelei. Daleko jej było do tej łabędzicy, do syreny, jak nazywano starszą córkę Ariowista. Faktycznie zresztą imię tamtej oznaczało właśnie syrenę. Adair była zbyt mocno zbudowana i miała zbyt pospolite rysy twarzy – były to rysy jej ojca przemieszane z dość grubymi rysami matki, co nie dawało zachwycającego efektu. Niemniej bystrością umysłu z pewnością przewyższała Lorelei, która, zdaniem młodszej

siostry, w ogóle do najmądrzejszych nie należała. Adair musiała w końcu znaleźć sobie jakiś powód, żeby nie czuć się gorsza.

- Skąd to wiesz, matko? - zapytała Lorelei z niechęcią.

Teraz, kiedy Ariowist oficjalnie już postanowił wysłać posłów do Wercyngetoryksa z informacją, że oddaje mu swoją córkę za żonę, Lorelei ogarnęła dziwna, niezrozumiała niechęć.

Mergh uśmiechnęła się z wyższością kobiety, która swoje już w życiu przeszła. Córka wydała jej się dziecinna i naiwna.

- A tobie się wydaje, córko, że twój ojciec wziął mnie dla urody? Czy Grynildę także wziął dla jej pięknej twarzy?

- No, ją na pewno nie - wymamrotała Lorelei. - Bogowie jedni wiedzą, dlaczego ją wziął.

Adair chrząknęła znad swojej roboty, dając kobietom do zrozumienia, że słyszy każde wypowiedane przez nie słowo. Lorelei zaczerwieniła się.

- Lorelei, nie bądź naiwna - mówiła dalej matka. - Ariowist wziął mnie dla koneksji politycznych. Dla sojuszu z moim ojcem i stryjem. Nawet gdybym była brzydką wiedźmą, ożeniłby się ze mną, bo zależało mu na przyjaźni mego ojca. Nikt nigdy nie wmówi mi, że było inaczej.

- Tak, ale ty kochasz ojca, prawda, matko? - zapytała Lorelei.

Mergh zapatrzyła się w ogień na wielkim palenisku. Czy kochała Ariowistę? No cóż, później może już tak. Kiedy pojęła, że żaden inny los nie będzie jej pisany. Ojciec nie pytał jej o zdanie, dając za żonę synowi wodza Swebów. Nie obchodziło go, co ona pomyśli. Miała dać wnuki, gwarancję trwałości przymierza. Na szczęście jako pierwszy urodził się Skuld, potem drugi syn, który żył ledwie siedem dni, a potem Lorelei. Więcej dzieci Mergh nie miała i prawdę mówiąc, dziękowała za to losowi. Była lojalna wobec swego męża, bo tego od niej wymagano, poza tym znała twarde germańskie prawa, ale czy go kochała i była z nim szczęśliwa, tego powiedzieć nie umiała. Dobrze im było w łóżu, temu zaprzeczyć nie mogła, poza tym Ariowist był człowiekiem honoru i za to go ceniła. Ale miłość? To była dobra rozrywka na długie zimowe wieczory za Renem. Życie nie składało się jednak z poezji i miłosnych uniesień,

o tym Mergh boleśnie przekonała się wiele lat temu.

Adair ze swego miejsca obserwowała pierwszą żonę swego ojca. Mergh nie była głupia, Adair doskonale o tym wiedziała. To Lorelei, pomimo swej powagi i pozornego rozsądku, porażała czasem naiwnością.

W głębi duszy Adair czuła rozczarowanie i smutek. To nie ją ojciec zaproponował na szpiega, czyli żonę, dla celtyckiego władcy. A Adair nie była na tyle głupia, by nie wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi ojcu. Bynajmniej nie o sojusz! No, może też przy okazji, Ariowist jednak zbyt był przebiegły, by nie wykorzystać sytuacji. Germanie i Celtowie nie przepadali za sobą do tego stopnia, że jedni nie wydawali swoich córek za synów drugich, tak więc Ariowist chciał najwidoczniej upiec dwie pieczenie na jednym ogniu - i tego Adair, w przeciwieństwie do Lorelei, była całkowicie świadoma. Adair zastanawiała się, czy Mergh również o tym wie. Ależ na pewno wie! Nie jest głupia!

- Dziecko drogie, kocham twego ojca - przyznała teraz matka Lorelei. - Ale głupstwem byłoby mniemać, że tak było od początku. Kiedy mój ojciec wydał mnie za męża, byłam młodsza od ciebie. Bałam się. Ariowist był ode mnie sporo starszy, dojrzały, miał dwie nałożnice zza północnego morza, z plemienia Swearów, jego ojciec budził we mnie przerażenie, a poza tym nasze ziemie leżały dalej na wschód, nad Łabą, gdzie klimat był cieplejszy niż nad Renem. Urodziłam Skulda w samym środku zimy, kiedy Ariowist wybrał się na wyprawę wojenną. Byłam sama, przerażona, w otoczeniu obcych osób, miałam może szesnaście lat, może mniej nawet. Doprawdy nie jest łatwo młodej dziewczynie w takich okolicznościach.

- Boję się tego Arwerna - powiedziała nagle Lorelei.

Adair poruszyła się w swoim kącie.

- Ja się go nie boję - odezwała się, chociaż wiedziała, że nie powinna wtrącać się w rozmowę kobiet wyżej postawionych od siebie. - Jeżeli ty nie chcesz, siostrze, to ja wyjdę za niego za męża.

Mergh i Lorelei spojrzały na nią ze zdumieniem. Nie chodziło o to, że Lorelei gardziła młodszą siostrą, ale jednak

zawsze uważała ją za kogoś gorszego od siebie. Teraz także skrzywiła się z irytacją, że Adair zabiera głos. Zanim zdołała się odezwać, Mergh zrobiła to za nią.

- Ty, Adair?! - prychnęła. - Nie sądzisz, że jesteś na to cokolwiek za młoda?

- Dopiero co powiedziałaś, szlachetna Mergh, że byłaś w moim wieku, kiedy wydano cię za mego ojca - zauważyła Adair.

- O, to ogromna różnica - stwierdziła Mergh.

- A to dlaczego? - uniosła się Adair. - Bo nie posiadam twojej urody i powabu? Bo jestem niezgrabna i brzydka? To jest główna przyczyna, że ojciec wybrał na żonę dla tego człowieka właśnie Lorelei?

Mergh miała wrażenie, że zapędzono ją w kozi róg. Chyba po raz pierwszy w życiu odczuwała dyskomfort z tego powodu, że młoda dziewczyna tak trafnie odgadła jej myśli.

Tymczasem właśnie w tej chwili druga małżonka, niespecjalnie piękna, ale za to obdarzona innymi cnotami, weszła do sieni w otoczeniu mężczyzn, którzy wnosili martwego, wypatroszonego jelenia.

- Dajcie go zaraz na ruszt - zarządziła. - Ariowist i jego drużyna zapewne zmęczeni wrócą z podróży. Do wieczora powinno się upiec.

Mergh wstała.

- Tym jednym jeleniem chcesz nakarmić wojsko naszego męża? - zapytała.

Zwykle to ona dbała o pożywienie, czasami robiła to właśnie Grynilda, która jednak na co dzień służyła Ariowistowi w inny sposób. Była jego doradcą w sprawach Celtów, ponieważ płynnie mówiła w ich języku.

- Tego jelenia upolowałam sama - odparła hardo Grynilda. - Korzystając z faktu, że nasz małżonek i jego wojowie pojechali do obozu za wzgórzami, udałam się z drużyną na polowanie. Jeżeli trzeba, zaszlachtuje się też wieprza. Ale spójrz, Mergh, jaka wielka sztuka. My, kobiety, możemy przecież zjeść zupę albo gulasz.

Mergh obejrzała zdobycz i doszła do wniosku, że nie warto

spierać się z Grynildą (zwłaszcza z Grynildą uzbrojoną w oszczep i miecz). Druga żona Ariowista chętnie jeździła na polowania, w ogóle charakteryzował ją pociąg do walki, a Ariowist nie zabraniał jej wprawiania się w wojennym rzemiośle.

- Ostatecznie może być z tego pieczeń - zgodziła się. -
Wydasz odpowiednie polecenia, Grynildo?

Adair odłożyła swoją robotę i podeszła do matki.

- Słyszałaś, że Lorelei ma iść jako żona do kraju Arwernów?
- zapytała szeptem.

Grynilda zdejmowała właśnie płaszcz z wilczego futra. Jej szeroką twarz o wydatnych kościach policzkowych wykrzywił grymas.

- Adair, nie mów, że chciałabyś być na jej miejscu. -
Zaśmiała się cicho. - Celtowie nie są tacy jak my. Ten człowiek, Wercyngetoryks... słyszałam o nim.

- I co słyszałaś, matko? - dopytywała się Adair.

- Miał za żonę wiedźmę z Sein. Córkę najwyższej kapłanki. Jest wielce uczony w sztuce wojennej. To wojownik, Adair. Z krwi i kości. Tak jak twój ojciec. Ale jest młody, porywczy i gwałtowny. Lorelei nie idzie tam jako upragniona żona. On chce związać się z twoim ojcem.

- Ale matko, ja jestem bardziej biegła w językach niż Lorelei - protestowała Adair. - Czemu ja nie mogę...

Grynilda przerwała jej ruchem ręki.

- Adair, Wercyngetoryks jest młody i pragnie pięknej kobiety, wobec czego Ariowist mu ją da. Swoje oczy i uszy. Myślisz, że jestem idiotką? Jak myślisz, kto pojedzie razem z nią?

- Matko, nie mówisz chyba poważnie! - oburzyła się Adair. -
Mam być jej sługą?

- Nie sługą. Krewną. Ona będzie żoną, ty zakładniczką. Taki jest zwyczaj. Będiesz się tam zajmowała nie tylko tym co tu, w domu. Ty będziesz pośrednikiem między Arwernami a Ariowistem. Wiem coś, czego nie wie Mergh, bo jest na to za głupia - zachichotała Grynilda.

- Co takiego wiesz, matko?

- Wiem, że Helwetowie chcą ruszyć na ziemię Eduów i Sekwanów, bo im własnej ziemi za mało - odparła Grynilda w zamyśleniu. - A kiedy oni ruszą, zjawią się tu Rzymianie.

- Rzymianie! - Adair ze zdumienia i strachu zaparło dech. - Dlaczego akurat oni?

Grynilda spoglądała gdzieś daleko przed siebie. Niewidzącym wzrokiem błędziła po wielkiej sieni. Nie dostrzegała mężczyzn nadziejących jelenia na ruszt ani służby czy dziewczek krzątających się wokół, Mergh tkającej ubranie ani Lorelei siedzącej nad swoją robotą. Widziała inny świat, wąskie, brudne uliczki, śmierdzące zaułki, brunatne wody Tybru i mężczyzn w togach przechadzających się po Forum w asyście niewolników. Gdyby ona sama nie ukradła złota swej babki, gdyby nie zdążyła przed swoimi krewnymi urodzonymi w niewoli, pewnie nadal byłaby niewolnicą. Ale Grynilda nie miała najmniejszego zamiaru szczeznąć w rzymskiej niewoli.

- Moja córko - odezwała się, powracając do rzeczywistości. - Rzymianie nie pozwolą, by Celtowie, nieważne jakiej nacji, przeszli przez ich prowincję. A Orgetoryks musi tamtędy iść, innej drogi nie ma, chyba że przez ziemię Germanów. Kiedyś, pięćdziesiąt lat temu, jak nie więcej, moje plemię szukało lepszej ziemi. I Mariusz wyciął w pień Cymbrów i Teutonów. Nie pytaj, z jakiego powodu. Rzymianie nikogo nie dopuszczą do swoich ziem i do swoich bogactw. A zatem, moje dziecko, jeśli Rzymianie tu dotrą, wybuchnie wojna, i to bardzo szybko. A słyszałam, kto teraz otrzymał najwyższą władzę w Rzymie. Jego imię nie jest mi obce.

Cezar... - myślała Grynilda. Tak, znała go. Znała bardzo dobrze, była bowiem niewolnicą w domu jego ciotki Julii, żony Mariusza. Wiedziała, jakim człowiekiem jest ów Cezar. Przerażał ją, a trzeba przyznać, że niewiele rzeczy na tym świecie było w stanie przestraszyć Grynildę. To między innymi dlatego Ariowist wziął ją za żonę: znała od podszewki dom rzymskich patrycjuszów. Wiedziała, jakimi są ludźmi. Znała ich mowę. Znała język celtycki. Znała mowę Greków. Ona wiedziała, na co się zanosi, i dziękowała bogom, że to nie Adair

miała zostać żoną jednego z Arwernów. Bo prędzej czy później Cezar zdejmie maskę, pokaże swoje prawdziwe, drapieżne oblicze, a wtedy Celtowie sięgną po broń. Lorelei może sobie ginąć, bogowie z nią, ale Adair nie. Grynilda wiedziała, że będzie gotowa zrobić wszystko, by ocalić życie córce. Nawet jeśli to oznaczałoby, że Adair trafi do rzymskiej niewoli. Dostanie wtedy bowiem tyle złota i srebra, że zdoła się szybko wykupić. A kiedy wróci do Germanii, tu będzie już spokój.

Grynilda wiedziała to bez nic niewartych wróżb Huldy. Była w Rzymie dostatecznie długo, by wiedzieć, że wróżby służą polityce. Niech sobie Mergh siedzi w otoczeniu służby, niech się raduje swą pozycją, bo niebawem już może ją stracić. Grynilda nie dbała o swe własne życie. Zależało jej na dobru Adair. Ona sama zbyt wiele musiała przejść pomimo swoich trzydziestu ledwie lat. Wyśle Adair do Arwernów, niech uczy się sztuki szpiegowania. Niech zdobędzie pozycję wśród swoich pobratymców. Niech pozna kulturę Celtów, ich zwyczaje. To wyjdzie jej tylko na dobre. A Lorelei niech dalej dba o swą urodę i nic poza tym. I niech sobie wzdycha do Jorga. Grynilda wiedziała, że w obliczu prawdziwego zagrożenia uroda niewiele pomaga, bo pozbawieni moralności żołnierze będą gwałcić wszystko, co stanie im na drodze: kobiety, dziewczynki, młodych chłopców, stare baby, nawet owce i kozy, jeśli będą płci żeńskiej. Jej babka na własnej skórze doświadczyła, czym jest żołnierska chuć. Przeżyć coś takiego to żadna przyjemność.

- Adair, uwierz mi, jesteś w lepszej sytuacji - zapewniła córkę. - I naprawdę nie masz czego zazdrościć swej siostrze. Każdej z was pisany jest taki los, jaki same sobie zgotujecie. Ty masz głowę na karku. A to znacznie bardziej przydatne niż piękna buzia.

Z tymi słowami Grynilda odwróciła się, by powrócić do mężczyzn, którzy nadziali już jelenia na ruszt, oraz by wydać im dodatkowe polecenia. Mergh obserwowała ją spod oka. Lorelei siedziała z pochyloną głową, jej piękne włosy połyskiwały srebrem. Dwie żony Ariowista i dwie jego córki oceniały się nawzajem. Wiedziały, że ich los leży całkowicie w rękach wodza Swebów. Los Lorelei miał się niedługo objawić.

II

Gwynn tkala w dużej izbie. Jej mąż Galvan został niedawno mianowany naczelnikiem plemienia Arwernów. Z rąk Uatah i Maerina przyjął złoty torkwes, oznakę władzy. To było kilka tygodni temu, na początku zimy, niedługo po Samain. Galvan od tego czasu stał się odmieniony – gdzieś zapodział się młody chłopak, którego ongiś spotkała przy drodze. Ten Galvan, który przyjął władzę i naczelnikostwo, był dorosłym mężczyzną. Przerzązał ją i fascynował. Co prawda w stosunku do niej odnosił się tak samo, ale jego zachowanie wyraźnie uległo zmianie.

Gwynn otoczona była służbą i klientelą Galvana, który przebywał na zgromadzeniu klanów w Gergowii. Jej dzieci, cała trójka, spały w sąsiedniej izbie, odbywając poobiednią drzemkę. Gwynn wiedziała, że powinna się cieszyć ich obecnością, jak długo może, ponieważ niebawem – Drust miał już prawie dwa lata – chłopcy zostaną oddani na wychowanie. Nie chciała tego. Wystarczyło, że swego czasu, zaraz po narodzinach, Uatah i Scatah zabrały jej córkę Morgwynn na wychowanie na Sein. Na szczęście szybko ją oddały.

Scatah przerzązała ją od zawsze. Gwynn pamiętała, że kiedy ona sama była jeszcze dziewczynką, ta straszna wiedźma pojawiała się we wsi wielokrotnie. Piękna jak drapieżny kot, rudowłosa, młoda, chociaż była w wieku matki Gwynn, straszna, przerządzająca. Zresztą jej imię, Scatah, właśnie to oznaczało – przerządzająca.

Teraz jednak nie żyła. Nikt nie umiał wytłumaczyć, dlaczego nagle umarła. Nie było żadnej bitwy, w której mogłaby polec. Nic się nie wydarzyło od owego pamiętnego wieczoru, kiedy to ona, Gwynn, i jej teściowa Geillis sprowokowały

zniechęconego stryja Galvana, a męża Geillis - Cynnusa. Odbił się pojedynek, Cynnus przegrał i jako jeniec Scatah udał się z nią do jej doliny za wielkim masywem. Do doliny Rodanu. Od tamtej pory, a minęło już wiele księżyców, minęło przesilenie zimowe i powoli zbliżało się święto Imbloc, które wypadło w środku zimy, nikt nic o Cynnusie nie słyszał. Galvan chodził jak kot, który upolował mysz, ale nawet on nic nie wspominał o zabójcy swego ojca. Gwynn domyślała się, że Cynnus nie żyje, nie miała jednak pojęcia, jak to wszystko się potoczyło.

Faktem było, że Scatah również nie żyła, i to zastanawiało Gwynn najbardziej. Bo chociaż Scatah przerażała ją ponad wszelkie granice, to jednak dawała pewnego rodzaju oparcie, z kolei jej córka Uatah, pierwsza żona Galvana, a teraz jego doradca wojenny, wydawała się Gwynn zbyt nieobliczalna. Poza tym Gwynn nie byłaby sobą, gdyby nie zorientowała się w sytuacji. Uatah zakochana była w Galvanie, a i on w niej przez długi czas, dopóki Uatah nie zabrała Morgwynn. Potem jednak coś się między nimi zmieniło i kiedy Uatah przybyła tu po zimowym przesileniu, aby oznajmić śmierć swej matki i mianować Galvana naczelnikiem, oboje odnosili się do siebie chłodno i z rezerwą, poprawnie i grzecznie... Więc jednak coś było inaczej, nie tak jak przedtem.

No cóż, Gwynn nie mogła powiedzieć, by taka sytuacja jej nie odpowiadała. O swoich uczuciach, odkąd została żoną Galvana, nie mówiła za dużo, ale kochała go, kochała do szaleństwa całą mocą swego młodego serca. Wcale nie podobało jej się, że jakaś kobieta, w dodatku była żona, żywi do niego takie same uczucia, a i on na nie odpowiada. Bywało jej przykro.

Ariowist od niemal dziesięciu lat stacjonował u Eduów - to zajmował ich ziemie, to znowu je tracił. Eduowie pod wodzą dwóch braci: Dywicjaka, który piastował godność druida, i Dumnoryksa, wielokrotnie ślali posłów do Rzymu celem odepchnięcia Ariowista na jego własne ziemie, za Ren, ale widocznie Rzymianie nie byli zbyt zainteresowani jakimś nic nieznaczącym celtyckim plemieniem, nawet jeśli owo plemię

nosiło tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego. To, widać, było za mało, aby Rzymianie zechcieli pofatygować się tak daleko na północ.

Gwynn akurat była z tego powodu bardzo rada. Nie życzyła sobie tutaj żadnych Rzymian. Wystarczająco się o nich nasłuchiwała. Jakkolwiek będąc w Rzymie, zachwycała się pięknem miasta i wspaniałościami architektury, to jednak nie miała ochoty widzieć Rzymian stojących do walki z Celtami. A już tym bardziej z Galvanem. Wcale nie cieszyła się z faktu, że jej mąż stał się osobą publiczną. Odkąd został naczelnikiem, przychodzili do niego klienci i petenci, musiał jeździć na wiece i zgromadzenia i doprawdy niewiele czasu pozostawało mu dla rodziny, czyli dla niej i dla dzieci. Co prawda jeżeli chodzi o dzieci, to tragedii nie było, Galvanowi bowiem i tak nie wypadało pokazywać się publicznie z Drustem, który nie skończył jeszcze dwóch lat, syn jednak potrzebował ojca i dopóki pozostawał pod dachem Galvana, Gwynn życzyłaby sobie stanowczo więcej kontaktów ojca z synem.

Zastanawiała się, gdzie też należałoby Drusta oddać. Ale zanim zdecydują, czyja rodzina byłaby najlepsza, do namysłu mieli jeszcze rok. Gwynn nie miała najmniejszej ochoty rozstawać się z synem, wiedziała jednak, że na to nie było rady. Mogła tylko mieć nadzieję, że Galvan nie wpadnie na pomysł, aby swego pierworodnego oddać do adopcji jakiemuś innemu plemieniu, bo tego by chyba nie zniosła. Wystarczająco ciężko będzie jej, gdy Drust trafi do jakiejś wysoko postawionej rodziny z Gergowii.

Geillis, matka Galvana, przedła, siedząc tyłem do paleniska. Nadal była piękna. Zachowała urodę pomimo upływających lat i czasami Gwynn zazdrościła jej, bo sama w wieku swej teściowej również chciałaby dobrze wyglądać. Ale Geillis była twardą kobietą, wydana została za mąż przez swego brata Gobannicjona z czystego rozsądku i poniekąd z wyrachowania, jako że Celyllus był w owym czasie naczelnikiem i dążył do przejęcia całkowitej władzy.

Gwynn poczuła się nagle znużona tkaniem. Chociaż pogoda na zewnątrz do tego nie zachęcała, wstała, narzuciła gruby

płaszcz i wyszła na podwórze. Był sam środek zimy, Imbloc zbliżało się wielkimi krokami, śnieg zasypał całą okolicę, w oddali widziała pokryte białym puchem wzgórza. Drzewa stały nagie, obsypane śniegiem, a ich kora miała ten charakterystyczny dla zimy fioletowy poblask, jakiego nigdy nie może mieć latem. Wyciągały ku szaremu niebu bezlistne konary, a Gwynn poczuła naraz w sobie przemożną tęsknotę. Chciała, by Galvan wrócił już do domu. Tęskniła za nim. Pragnęła, żeby wszystko było tak jak kiedyś, zanim sięgnął po władzę. Ale wiedziała, że tak już nigdy nie będzie, bo wraz z nadaniem mu tytułu naczelnika Gergowii zmieniło się całe ich życie.

Zima tego roku była surowa. Nawet tu, gdzie zwykle nie padało tyle śniegu, w tym roku spadło go zatrważająco wiele. Zasypało szlaki handlowe i kupcy nie docierali do Gergowii. Czasami szalały zamiecie śnieżne, a wichur wył w gałęziach drzew, przychodziły mrozy tak ostre, że drewniane chaty skrzypiały nocą. Gwynn otulała się wówczas futrami i kryła się w ramionach Galvana. On miał tak gorącą krew, że mógł spać nago pod okryciem i wcale nie drżał z zimna. Tęskniła za nim. Chciała go już z powrotem.

Niecierpliwie westchnęła i weszła z powrotem do sieni.

*

Galvan wrócił w asyście krewnych i klientów trzy dni później. Pogoda zmieniła się, przyszedł wyż, a z nim siarczysty mróz. Niebo było idealnie niebieskie, śnieg odbijał się od niego, aż raziło w oczy, słońce przeglądało się w kryształkach śniegu i lodu, które chrzęściły pod stopami. Gwynn akurat wyszła na dwór, kiedy ujrzała nadjeżdżających mężczyzn. Z chrap koni unosiła się kłębam para. Głosy niosły się daleko w ten mroźny zimowy dzień.

- Dzień dobry, Gwynn! - zawołał Galvan, zsiadając z konia. - Miałem nadzieję przyjechać szybciej, ale wiec się przedłużył. Czy wszyscy są zdrowi?

Gwynn zarzuciła mu ręce na szyję i przylgnęła do niego

całym ciałem. Galvan pocierał policzkiem jej czoło i mrucał we włosy, że bardzo za nią tęsknił. Odkąd Uatah zwróciła im córkę, Galvan, kiedy byli sami, okazywał swej małżonce dużo czułości.

- Tak, wszystko jest w porządku - odparła. - Dzieci też są zdrowe, nic im nie jest. Ale widzę, że jesteś w dobrym humorze. Czy więc przebiegł pomyślnie?

- No cóż, jeżeli uznasz to za pomyślne - mruknął Galvan, odwracając twarz. - Otrzymałem od Ariowista wieść, że da mi swoją starszą córkę za żonę.

Gwynn znieruchomiała w jego objęciach. Słyszała już wcześniej, że Galvan ma zamiar zawrzeć sojusz z wodzem Swebów, który siedział na ziemiach Eduów, a przynajmniej na ich części, i ani myślał wracać za Ren. Ale zapomniała najwidoczniej, w jaki sposób przypieczętowywano owe sojusze. Galvan miałby ożenić się z córką wodza?

Małżonce Galvana nie przeszkadzał fakt, że jej mąż sypia z nałożnicami. Robił to rzadko, najczęściej kiedy ją zmagaly kobiece słabości, kiedy była w ciąży lub w połogu albo po prostu kiedy naszła go taka ochota. Nałożnice i konkubiny nie miały najmniejszego znaczenia, wszak mężczyźni nie potrafią panować nad swoją chucią, tego uczyła Gwynn jeszcze jej matka Evar. Ale to ona była jego żoną, ona była panią domu i to jej słuchano w obejściu, zarówno tu, na wsi, jak i w Gergowii. Nie miała ochoty oddawać części władzy drugiej żonie, tym bardziej córce jakiegoś barbarzyńcy, a za takowych uważała Germanów.

- Nie wspominałeś o tym wcześniej - wykrztusiła wreszcie.
- Nie wiedziałam, jakie masz plany.

To powiedziawszy, odwróciła się i weszła do domu. Była zła i rozgoryczona. Nie dość, że wcześniej musiała znosić słabość Galvana do tej przeklętej Uatah, to jeszcze teraz oznajmiał on, że ma zamiar ożenić się z drugą kobietą. Tego było dla Gwynn po prostu za wiele.

Geillis od razu zauważyła wzburzenie na twarzy synowej. Za nią wbiegł Galvan, cokolwiek zażenowany, ale chyba bardziej zdenerwowany.

- Gwynn, zaczekaj! Na Teutatesa, nie zachowuj się jak dziecko! - krzyknął za nią. - Nie mam żadnego obowiązku spowiadać się z moich poczynań.

- Ach tak?! - prychnęła. - Ciekawe, swojej wspaniałej Uatah spowiadałeś się zapewne z każdego czynu!

Geillis obserwowała ich w milczeniu. Nie mogła się wtrącać. Z tego rodzaju małżeńskimi problemami powinni radzić sobie sami.

Galvanowi przemknęło przez myśl, że mimo wszystko z Uatah żył w odosobnieniu, daleko od prawdziwego życia i prawdziwych trosk. W nierzeczywistym świecie czarów, magii i miłości, gdzie nie czyhało na nich nic złego, gdzie mogli bez przeszkód się wzajemnie uwielbiać i trwać w idylli.

- Nie mieszaj jej w to, Gwynn - powiedział ponurym głosem. - Ona nie jest moją żoną, dobrze o tym wiesz.

Wiedziała, jednak jej zazdrość o Uatah wciąż była ogromna. Po prawdzie nie chodziło jej wcale o to, że Galvan miał zamiar wziąć do łóża kolejną kobietę, ale o to, że chciał sprowadzić sobie legalną żonę, jakby jednej mu było mało!

- Gwynn, uspokój się. Posłuchaj mnie, do licha! Jak inaczej zawrę sojusz z Ariowistem? Czy chcę, czy nie, muszę poślubić jego córkę.

- A nie możesz wymienić zakładników? - zapytała Gwynn.

Galvan już o tym myślał. Miał jednak oczy, widział, co Germanie wyrabiają w kraju Eduów, jak bezlitośnie zabijają zakładników i pozwalają, by zabijano ich własnych ludzi, ponieważ na ich miejsce mogli zawsze przybyć następni osadnicy zza Renu. Ariowist widocznie miał ich w zanadru wielu, zdecydowanie więcej niż Dumnoryks i Dywicjak.

- Nie, Gwynn - odparł zatem. - W grę wchodzi jedynie małżeństwo. I nie myśl, że mam na to ochotę. Te germańskie kobiety są po prostu okropne: wielkie, rozłożyste jak kobyły, o brzydkich twarzach i płowych włosach. Uwierz mi, kochana, że będzie to wyłącznie małżeństwo polityczne, bo kocham tylko ciebie.

Gwynn nie uznała za stosowne odpowiadać. W milczeniu wyminęła męża i wyszła na zewnątrz. Blask ostrego zimowego

słońca oślepił ją. Po chwili z domu wyszła Geillis i stanęła obok synowej.

- On ci kazał tu przyjść, matko? - zapytała Gwynn zaczepnym tonem.

- Nie, uznał, że i tak cię nie przekona, i poszedł do siebie - odparła Geillis. - Ale ja widzę, że się poróżniliście z powodu jego pomysłu sojuszu z Ariowistem, więc przyszedłem z tobą pomówić, bo jesteś rozsądną dziewczyną i wiem, że zrozumiesz jego przesłanki.

- Matko, jego przesłanki nic mnie nie obchodzą - powiedziała Gwynn z mocą dziewiętnastoletniej, zranionej w uczuciach dziewczyny.

Mimo wszystko bowiem Gwynn nadal była dzieckiem. Chociaż od dwóch lat była żoną Galvana, chociaż urodziła mu trójkę dzieci, nadal miewała dziecinne odruchy. *Nic dziwnego* - myślała Geillis wyrozumiale - *ja w jej wieku nie byłam lepsza*. Pomyślała jednak również, że ona sama, mając zaledwie dwadzieścia cztery lata, została wdową - na jej oczach zabito Celyllusa, a ona sama musiała wyjść za męża za jego brata, który okazał się zabójcą i który traktował Geillis jak nic nieznaczącą konkubinę. Ją, która pochodziła z możnego rodu kowali, której brat Gobannicjon był mistrzem w swoim fachu, posiadającą koneksje z Sekwanami, a nawet z ludami Brytanii!

Celyllus zresztą wcale lepszy nie był, jeżeli chodzi o kobiety, bo on też sypiał z nałożnicami, a nawet, za zgodą Geillis, wziął sobie drugą żonę. Z tego akurat Geillis była wielce rada, bo nie była w stanie zaspokoić nieokiełznanych żądz swego męża, poza tym Aman bardzo ją odciążała w pracy domowej. Galvan jednak popełnił błąd, nie informując swej młodej małżonki o zamiarze poślubienia kolejnej kobiety. Jego ojciec był na tyle lojalny, że zapytał Geillis o zdanie.

- Gwynn, nie bądź dzieckiem - powiedziała Geillis niecierpliwym tonem. - Pamiętaj, że żaden władca nie robi tego, co mu się podoba. A Galvan ma teraz stanowisko, które powinien traktować poważnie. Sojusz z Germanami akurat teraz jest dla nas korzystny.

- Gdyby tylko nie musiał tu sprowadzać więcej kobiet! -

jęknęła Gwynn.

Tak, Geillis doskonale rozumiała swoją synową. Sama nie zniosłaby chyba podobnej sytuacji, gdyby Celtyllus zapragnął ożenić się, na przykład, z siostrą Ariowista albo innego przywódcy Germanów, a przecież dwadzieścia lat temu dążył do sojuszu z nim.

- Gwynn, twojej pozycji nie zajmie żadna inna - powiedziała Geillis z przekonaniem. - Znam mojego syna na tyle, by wiedzieć, że on nie wywyższy Germanki nad ciebie.

- Jak możesz go znać, skoro wychowywała go moja matka? - zapytała Gwynn niezbyt taktownie. - W twoim domu on się nawet nie wychowywał. Wrócił jako dorosły mężczyzna. Skąd wiesz, co robi? A może ta córka Ariowista będzie tak piękna i powabna, że Galvan straci dla niej głowę?

- Och, nie jest już młodzikiem, jak wówczas, w dolinie Scatah - odparła Geillis rezolutnie. - Mężczyzna w jego wieku powinien myśleć głową, a nie inną częścią ciała.

- A dlaczego sojusz z Germanami jest taki istotny? - zapytała Gwynn, która w przeciwieństwie do swej teściowej nie interesowała się zbyt sprawami polityki.

- Bo Eduowie są przyjaciółmi Rzymian - wyjaśniała cierpliwie Geillis. - A Germanie zajmują połowę ich ziem. Mało tego, napadają również Sekwanów. Jeśli Ariowist otrzyma, jak pragnie, tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego, my będziemy z nim związani i nie ucierpimy, gdyby Rzymianie tu przyszli. A mogliby przyjść, jeśli tego zażądata Eduowie.

Nie powiedziała, że Dywicjak już drugi raz słał do Rzymu poselstwo z prośbą, by znienawidzonego Ariowista wykurzyć wreszcie za Ren. Wojska germańskie były na tyle silne, że trzymały się swoich zdobyczy, a Ariowist na tyle przebiegły, że zdołał utrzymać się na swych pozycjach już drugą zimę. Pomimo zrywów wojskowych Eduów, pomimo ich zaangażowania, Germanie z powodzeniem okupowali ich ziemię. Wszystko zależało od polityki Rzymu. A Geillis słyszała, że władzę tam objął jakiś młody, ambitny człowiek, który sprzyjał Eduom i pragnął nawet nadać obywatelstwo Celtom mieszkającym w Prowincji rzymskiej. Geillis wiedziała

to wszystko od swojego brata Gobannicjona. Ten zaś dowiadywał się wszystkich spraw podczas swoich podróży handlowych do Rzymu i do Hiszpanii.

Gwynn nie odpowiedziała. Jej wzrok wyrażał bezgraniczny smutek. Geillis pomyślała, że już wtedy, wiele lat temu, kiedy wracały przez Alpy do domu z podróży do Rzymu, Gwynn była w Galvanie beznadziejnie zakochana, a teraz poprzez codzienne wspólne życie i dzielenie trosk i radości jej miłość jeszcze się pogłębiła. Tymczasem Galvan myślał jak mężczyzna i nie zwracał uwagi na takie szczegóły jak kobiece uczucia. Nie żeby był zły albo nie szanował swej żony, po prostu nie był w stanie zaprzętać sobie głowy wieloma sprawami naraz, jak typowy przedstawiciel rodu męskiego, niestety. Kobiety, zdaniem Geillis, wykazywały w tej kwestii znacznie większe umiejętności.

Gwynn wróciła do domu i odnalazła Galvana siedzącego przy stole.

- I kiedy niby ta Germanka ma się tu zjawić? - zapytała ostro.

Galvan jadł właśnie kaszę i popijał ją gorącym piwem przyprawionym miodem.

- Nie prędzej jak wiosną - odparł z pełnymi ustami. - Nie obawiaj się.

- Nie zapytałeś mnie o zdanie w tej kwestii! - napadła na niego Gwynn. - Nie postąpiłeś uczciwie. Oczywiście Scatah i Uatah doradzały ci ten sojusz. Ja nie będę się sprzeciwiać. Skoro uważasz, że to konieczne, to wiąż się z Ariowistem. Ale jeżeli zauważę, że ta kobieta jest stawiana wyżej ode mnie, to przysięgam ci, Galvanie, na życie naszych dzieci, że odejdę od ciebie.

Galvan po raz pierwszy widział swą łagodną żonę tak wzburzoną. Na jej twarzy malowała się wściekłość, oczy ciskały skry, nozdrza miała rozszerzone i pobielale z gniewu. Złość wprost z niej emanowała.

- Gdybym ci się teraz sprzeciwiła, postawiłabym cię pod ścianą i ośmieszyła - kontynuowała Gwynn. - Ale nie myśl, że jestem naiwnym dzieckiem. Wiem bardzo dobrze, że ożeniłeś

się ze mną z rozsądku, żeby zawrzeć przymierze z moim ojcem. Bogowie jedni wiedzą, jak było mi z tym ciężko. A teraz, kiedy wszystko między nami jest dobrze, ty sprowadzasz jakąś kobietę i mówisz mi, że będziesz z nią sypiał dla politycznego dobra!

Gdyby Galvan chciał się ostro odciąć, musiałby otworzyć szeroko usta, a to nie byłoby stosowne, wobec czego milczał, ale jego pochmurne spojrzenie zdradzało, co sobie w tej chwili myśli. Zrozumiał jednak, że Gwynn nie zamierza żartować i naprawdę odejdzie, jeśli on popełni głupstwo. Pojął, że jeśli chce utrzymać w domu spokój, musi również zachować umiar i traktować Gwynn z należytych jej szacunkiem i zgodnie z jej pozycją w domu. Druga żona ma wiedzieć, gdzie jej miejsce. Domyślał się, że między jedną a drugą trwać będzie nieustanna wojna, o ile córka Ariowista nie zaakceptuje swej roli w domu Wercyngetoryksa. Galvan podejrzewał jednak, że jest ona na tyle dumną kobietą, że będzie rywalizować z Gwynn o pierwszeństwo, choćby z tej prostej przyczyny, że u siebie w domu miała bardzo wysoką rangę z racji urodzenia.

Westchnął ciężko.

- Gwynn, będzie, jak chcesz - powiedział wreszcie.

- I bardzo dobrze - ucięła Gwynn, po czym odwróciła się i chcąc zademonstrować swoją wściekłość na męża, bez słowa zajęła się tkaniem.

*

Galvanowi wcale nie uśmiechał się mariaż z córką Ariowista. Od swoich klientów i towarzyszy dowiedział się, że germańskie kobiety nie słyną z urody, są duże i niezgrabne jak kobyły, biją swoich mężów i rządzą domostwem żelazną ręką. Jeżeli jednak Galvan chciał sojuszu z Ariowistem, nie mógł postąpić inaczej, jak tylko ożenić się z jego córką. Ariowist nie tak dawno powiedział mu przez posłów, że on traktuje przymierze jako rzecz świętą i nie wystarczy mu wymiana zakładników.

Traf chciał, że towarzyszyła mu Uatah, która na tego rodzaju wiecach pełniła funkcję jego wojennego doradcy.

Co prawda wojny teraz nie było, ale plemiona celtyckie, zwłaszcza Arwernowie i Sekwanowie, z uwagą śledzili sytuację w kraju Helwetów, gdyż wrzało tam jak w kotle czarownicy i nie zanosiło się na nic dobrego.

- Jeżeli Orgetoryks zapragnie władzy królewskiej, jego rodacy go zabiją - stwierdził Ruten, który, jako jego teść, zasiadał obok Galvana. - Jeśli zaś nawet Helwetowie doprowadzą rzecz do końca, będą musieli przejść przez prowincję rzymską, a na to znowu nie zgodzi się Rzym.

Czemu oni są tacy pewni odmowy Rzymian? - zastanawiał się Galvan. A co, jeśli Rzymianie właśnie się zgodzą, bo to przyniesie im zysk? Co, jeśli Rzymianie po prostu zażądają okupu za przemarsz ludzi Orgetoryksa?

Orgetoryks był jednym z przywódców Helwetów, człowiekiem niespotykane ambitnym i żądnym władzy. Galvan słyszał o nim co nieco. Plotki głosiły, że Dumnoryksowi dał on za żonę swoją siostrę, a sam ożenił się z jego krewną. Matkę z kolei dał za żonę Kastykusowi... A może odwrotnie? Nieważne. Galvan nie interesował się tymi sojuszami do tego stopnia, by to wiedzieć. Ale kiedy tylko wiec się rozpoczął, przybyli posłowie od Ariowista.

Uatah nie wyglądała na wielce zadowoloną z takiego obrotu sprawy, ale milczała. Wiedziała doskonale, że Ariowist nie pozwoli Galvanowi tanim kosztem wkupić się w łaski. Nic z tego. Germanie byli przebiegli, a Ariowist przodował w tym wybitnie nawet wśród swoich. Ona sama najchętniej nie pełniłaby funkcji doradcy Galvana, ale takie stanowisko kazał jej zająć Marerin, a ponieważ on był zwierzchnikiem druidów, Uatah nie miała wyjścia i musiała go słuchać.

- To, co on ci proponuje, Galvanie, to coś więcej niż sojusz - odezwała się, unikając jednak wzroku byłego męża. - Ariowist nie jest idiotą. Chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Galvan patrzył na nią uważnie. Jej piękna twarz, kiedy kobieta do niego mówiła, wydawała się wykuta z kamienia. Galvan pamiętał ten dzień, kiedy bliscy byli pogwałcenia odwiecznych, świętych praw wyspy Sein, praw druidów, praw kapłanek. W dniu narodzin bliźniaków, kiedy Uatah i Scatah

przybyły po jego nowo narodzoną córkę Morgwynn, wówczas po raz ostatni miał swą byłą żonę w ramionach, kochali się nad rzeką, ale potem Uatah powiedziała, że posłuszna jest rozkazom swej matki. Od tamtego czasu ona i Galvan spotykali się jedynie jako kapłanka i naczelnik. Dla niego było to bolesne, ale podejrzewał, że dla niej również było to trudne do zniesienia. Nie móc okazać swej miłości człowiekowi, którego tak się kocha...

Bo Galvan wiedział, że ona nadal go kocha, podobnie jak on nadal kochał ją. Uczucie, które łączyło ich w dolinie, wcale nie wygasło. To, że Galvan ożenił się z Gwynn, miał z nią dzieci i szczerze ją kochał, bo w końcu dotarło do niego, że darzy swą żonę szczerym uczuciem, nie znaczyło wcale, że tamta miłość do Uatah się ulotniła. To pierwsze zauroczenie, młodzieńcze zakochanie, które przerodziło się w więź nie do zerwania...

Wiele razy zastanawiał się, co by się stało, gdyby wtedy on i Uatah uciekli. Pewnie błąkaliby się teraz po Europie, może udaliby się gdzieś w nieznane, na ziemię Germanów, Bałtów albo dalej, na północ, do Swearów, bądź też jeszcze gdzie indziej. Czy musieli poddać się prawom druidów? A gdyby pojechali do Eire? Albo na północ?

Nie można było jednak cofnąć raz podjętej decyzji, tak jak nie sposób zatrzymać płynącej rzeki. Galvan nie chciał wiedzieć, co by było gdyby. Choć wielokrotnie musiał zaciskać zęby, żeby nie powiedzieć Uatah kilku nieprzemyślanych słów.

- Germanki są paskudne - rzekł Gobannicjon. - Ze wszystkich ludów, z którymi handlowałem, ich kobiety są zdecydowanie najbardziej odpychające. Niekobiece! Zachowują się jak mężczyźni. Wyglądają jak samice niedźwiedzia. Zastanów się, chłopcze.

Galvan zignorował napomknięcie wuja.

- Chcesz powiedzieć, Uatah, że Ariowist zamierza wysłać tu swoją córkę jako swego szpiega? Miałaby pełnić podwójną rolę? Mojej żony i jego oczu?

Uatah pomyślała, że nie na darmo jej matka szkoliła tego mężczyznę. Pamiętała ten dzień, kiedy piętnastoletni Galvan przybył do ich doliny. Jaki był piękny z tymi włosami koloru

dojrzałej pszenicy, z oczami jak niebo, z czystymi rysami twarzy, olśniewającą bielą zębów, z tym gibkim, smukłym ciałem. Jak ona, wbrew sobie, zapalała do niego miłością. Pamiętała swoją dławiacą zazdrość i wściekłość, kiedy jej matka wtajemniczała wybranego. Siedem nocy spędził wtedy z nią, a każdego wieczoru Uatah musiała jej służyć, myć ją i przygotowywać do kolejnego rytuału wtajemniczenia. Nie chodziło tylko o cielesną miłość. Wtajemniczenie obejmowało znacznie więcej. Dla Uatah był to koszmaryny okres. Nie chciała patrzeć wówczas matce w oczy, nawet jeśli wiedziała, że dla samej Scatah był to jedynie obowiązek i... może najwyżej odrobina przyjemności. Koniec końców w dwudziestym roku życia Galvan był wspaniale zapowiadającym się młodym mężczyzną.

A potem ona sama została mu oddana za żonę i w ich noc poślubną przelała swą dziewiczą krew. Na zawsze miała zachować przed oczami wydarzenia tamtej nocy. Galvan zdejmujący powoli ubranie w blasku ognia. Jego włosy lśniące jak złoto w półmroku komnaty. Jego ciepłe, miękkie usta, smak wina na języku, jego pieszczące ją dłonie, którym poddawała się z nieznaną dotąd uległością. Jego ciało, twarde i nabrzmiące, pulsowanie w jej wnętrzu. To nieznośne pragnienie, by nagim ciałem dotknął jej ciała, a potem zespolenie, przeszywający ból, uwielbienie, kiedy rozsunął jej uda, kiedy ją wziął, kiedy stała się jego, zjednoczona z nim, kiedy przepłynęła przez nią jego życiodajna moc.

Kochała go. Uwielbiała do bólu. Cierpiała katusze, kiedy dowiedziała się, że on ożenił się z Gwynn. Wiedziała, że nie miał wyjścia, oboje musieli iść za swoim przeznaczeniem, ani on, ani ona nie mieli większego wpływu na swoje życie, jeżeli chodzi o tę sferę. Kiedy przyjechała odebrać poród Gwynn i trzymała w rękach jej nowo narodzone dzieci, przez jedną straszną sekundę miała ochotę chwycić noworodki za nóżki i rozbić im głowy o ścianę, ale na samą myśl o tak potwornej zbrodni zatrwożyła się. Dzieci nie były niczemu winne. Staną się kiedyś gwarantem nowych sojuszy. Syn i córka – ona będzie oddana za żonę jakiemuś możnowładcy, a młodszy syn pójdzie do druidów, aby pobierać od nich nauki i zyskiwać mądrość.

Najstarszy syn, Drust, o ile nie zostanie zabity, przejmie dziedzictwo swego ojca.

Ale Uatah wiedziała, że nad przyszłością dzieci Wercyngetoryksa leży cień nadciągający z południa. Widywała go w snach. Widziała mężczyznę w czerwonym płaszczu.

Gdy tamtego ranka nad rzeką ostatni raz kochała się z Galvanem, przemknęło jej przez myśl, że w akcie rozpacz mogłaby z nim uciec. Wszystko jedno gdzie. Nic jej w tym momencie nie obchodziła matka ani nawet Aife, którą przecież kochała nad życie. Jedyne, co do niej docierało, to obecność Galvana, jego pożądanie, jego miłość. Ale gdy skończyli i kiedy już ubrana patrzyła mu w twarz, pojęła, że nigdy nie zdołają nawet przekroczyć granic Galii, zostaną bowiem złapani i zabici.

- Tak, Galvanie - odezwała się i spojrzała mu w oczy. Zakręciło jej się w głowie. - Właśnie po to Ariowist chce dać ci za żonę swoją córkę.

- Ty wiesz więcej, prawda, Uatah? - zapytał Galvan. - Widziałaś coś.

- Widziałam. Dostaniesz starszą córkę. Ukochane dziecko Ariowista. Ale przyjedzie też młodsza i to ona będzie niebezpieczna. Uważaj na nią. Starsza córka nie jest groźna, ona przyjedzie do ciebie wypełnić polecenie ojca, bo pragnie w ten sposób zasłużyć na spełnienie własnego pragnienia. Ale jej oczami i uszami będzie młodsza, zazdrosna o siostrę, o jej względy u ojca. To ona...

Uatah urwała. Galvan nie naciskał. Wiedział, że zarówno matka, jak i córka miewały sny i wizje, które nie zawsze chciały wyjaśnić. On sam pamiętał sny z czasów dorastania - swoje senne wizje, w których zmagał się z przeciwnikami, w których leżał w łożu ze Scatah, wszystkie przebiegające na skraju jawy i fantazji.

Bursztynowe oczy Uatah błyszczały. Galvan pamiętał, że oczy jej matki były inne, zielone, wpadające w odcień niebieskiego, migotliwe jak morze, niezgłębione. Oczy dziewczyny z kolei przybierały czasami złocisty odcień, zwłaszcza gdy padało w nie światło słoneczne.

- Uważasz, że powinienem się z nią ożenić? - zapytał.

- Uważam, że nie masz wyboru, jeśli chcesz związać się z Ariowistem - odparła Uatah sucho.

Nie powiedziała nic więcej. Wiedziała coś, czego Galvan się nawet nie domyślał. Spoglądała na mężczyznę, który był kiedyś jej mężem, któremu urodziła dziecko, którego jej matka nazywała wybranym i którego szkolila przez długie lata. On nie wiedział tego, że zagrożenie jest coraz bliżej, trwał w błogiej nieświadomości. Ariowist już to przewidywał. To dlatego był czujny. Chciał zapewnić sobie plan rezerwowy. Poparcie Arwernów. Nie wiedział, że najsłabszym punktem w jego planie okaże się to, co poczytywał za własny atut.

Uatah uśmiechnęła się do siebie. Młodsza córka Ariowista... Tak, zaskoczy ją uroda Galvana, zaskoczy ją nienawiść Gwynn i jej ogólna nieprzychylność. Bo Gwynn kocha Galvana miłością niepodzielną, zaborczą i władczą, bo ona nie będzie dzielić się swoim mężem z jakąkolwiek inną kobietą, o ile nie jest to zwykła niewolnica lub nałożnica. Tu akurat Uatah bardzo dobrze ją rozumiała. Ona też za nic w świecie nie chciałaby dzielić się Galvanem z żadną inną i to, że jej własna matka Scatah sypiała z nim przez siedem nocy, bolało ją niezmiernie nawet pomimo tego, że ona sama miała do dyspozycji cały rok.

Gwynn miała całe życie.

Ale Gwynn była młoda i niedoświadczona.

- Galvanie, kiedy przyjdą Rzymianie - zaczęła Uatah - zachowaj bierność. Nie włączaj się w walki.

- Skąd wiesz, że przyjdą? - zapytał Galvan.

- Nie bądź dzieckiem! - ofuknęła go. - Przyjdą. Wiesz o tym, moja matka pokazywała ci to w snach. Poczekaj na odpowiedni czas. Ja wiem, że Scatah pragnęłaby, byś rzucił się w wir walk. Ale poczekaj. Zjednaj ich sobie. Uderz wówczas, gdy będą słabi. Twój czas nadejdzie, ale jeszcze nie teraz. Zaufaj mi, Galvanie.

Galvan nic na to nie powiedział. Zastanawiały go słowa dotyczące mariażu z córką Ariowista. Nie chciał tego i spodziewał się, że będzie to małżeństwo polityczne, porozumienie dwóch wodzów, nic więcej. Jedyne, czego nie przewidział, to reakcja jego własnej żony, która na wieść

o planowanym małżeństwie wpadła w istną furję.

*

Gwynn unikała swego męża przez następne dni i noce. Nie chciała się pogodzić z tym, że Galvan ma zamiar zawrzeć polityczne małżeństwo - ta prawda wciąż jeszcze do końca do niej nie docierała. Geillis mogła sobie mówić, co chciała, już Gwynn dobrze pamiętała, jak jej teściowa reagowała na swego politycznego męża. Ona, Gwynn, za nic nie chciała dopuścić, by jakaś nowa kobieta przybyła z obcego plemienia i zajęła należne jej miejsce. Prawda była bowiem taka, że może i Gwynn była córką jednego z możnych Arwernów, ale tamta była córką wodza Swebów.

Gwynn odmawiała Galvanowi nawet małżeńskich przywilejów, wykręcała się bólem głowy, kobiecymi dolegliwościami albo złym samopoczuciem, a on nie należał do mężczyzn, którzy czerpali przyjemność z przymuszania kobiety. Korzystał z niewolnic i zadowalał się nałożnicami, ale ostatecznie to Gwynn była jego żoną - jeżeli on miał wobec niej jakieś zobowiązania, to ona wobec niego również.

Jego małżonka chodziła zła i ponura. Swe obowiązki wykonywała w całkowitym milczeniu. Do Galvana nie odzywała się ani słowem przez wszystkie zimowe dni od święta Imbloc. Światła i dnia przybywało, powoli nadchodziła wiosna, wieczory stawały się coraz jaśniejsze, mróz powoli ustępował, któregoś dnia lód na rzece zaczął pękać, a Gwynn milczała zawzięcie, jakby Galvan dla niej nie istniał. On sam czynił przygotowania do ślubu, który miał się odbyć niebawem po święcie Beltaine. Wiosną, w pełnym jej rozkwicie. Ariowist oznajmił, że nie pozwoli, aby jego córka podróżowała przez Galię zimą, i Galvan w pełni to rozumiał, bo i sam nie miałby najmniejszej ochoty przedzierać się w tym czasie przez góry. Bywało, że rozmawiał na temat swego przyszłego związku z matką - Gwynn tymczasem stale zawzięcie milczała.

I wreszcie któregoś dnia pod koniec zimy, kiedy cieplejsze powietrze zaczęło napływać od strony morza, Galvan nie

wytrzymał i zdecydował się przerwać milczenie swej żony. Wyczekał chwili, kiedy Geillis wyszła z domu i gdy najmniej domowników krzątało się po obejściu. Gwynn tkąła. Mogła sobie na to pozwolić, ponieważ była panią domu i nie musiała gręplować wełny, prząść jej ani wykonywać wszystkich prac, które spadały na niewolnice. Gdy siedziała pochłonięta robotą, Galvan wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

- Tak dalej nie można, Gwynn - odezwał się. - Musisz wreszcie zacząć ze mną rozmawiać i zachowywać się jak przystało żonie.

Gwynn zwróciła ku niemu pochmurne oblicze.

- To znaczy jak? - zapytała i były to jej pierwsze słowa wypowiedziane do niego od wielu tygodni.

- Nie rozumiem powodu twojego gniewu - powiedział Galvan. - Przecież wyjaśniłem ci, jak się sprawy mają. A ty upierasz się i złościsz jak dziecko.

- Jak dziecko - roześmiała się Gwynn. - Galvanie, ty naprawdę sądzisz, że masz przed sobą głupią dziewczynkę? Co ty sobie wyobrażasz?! Że możesz podejmować tak ważne decyzje, nie konsultując ich ze mną? Tylko ze swoją najdroższą Uatah? Czy nie musiałam znosić twej miłości do niej i jej do ciebie? Myślisz, że nie pamiętam, jak trzymając mnie w ramionach, krzychałeś jej imię? A teraz mam znosić myśl, że ożenisz się z kobietą z Germanii, z córką wodza Swebów, która przewyższa mnie urodzeniem, żeby zrealizować jakieś niedorzeczne zamiary swojej pierwszej żony? To ty jesteś głupcem!

Galvan zaniemówił. Nigdy nie brał pod uwagę faktu, że Gwynn może wiedzieć, co on tak naprawdę czuł do Uatah przez dwa pierwsze lata ich małżeństwa.

- Skoro kochasz Uatah, skoro chcesz nowej żony, to kim ja jestem w twoim domu? - drążyła dalej Gwynn. - Klaczą rozplodową? Jesienią mówiłeś, że mnie kochasz, a teraz sprowadzasz sobie nową kobietę. To do czego ja ci jestem potrzebna? Żeby ci rodzić dzieci? Troje wystarczy, nie sądzisz?

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Galvan z niedobrym przeczuciem.

- Nie wiem jeszcze - odparła twardo. - Ale nie będziesz mnie traktował w ten sposób. Nie jestem nałożnicą, ale twoją żoną. Ja, a nie Uatah ani Geillis! To ze mną powinieneś omawiać takie sprawy! To ja wyrażam zgodę na twoje kolejne związki. A ty mnie znieważyłeś, potraktowałeś jak nałożnicę, a nawet jeszcze gorzej. Jakim prawem, Galvanie? Odkąd zostałeś naczelnikiem i dostałeś ten przeklęty torkwes, to już ci wszystko wolno? A jeżeli ja nie zgadzam się na twoje małżeństwo? Jeżeli chcę, żebyś w inny sposób zawarł sojusz z tym Swebem?

Patrzyła mu w oczy z taką złością i goryczą, jakiej nie widział u niej jeszcze nigdy. Najgorsze było poczucie, że w swej zranionej dumie ona ma rację. To on nie zachował się należycie. On ją zlekceważył. Powinien był najpierw zapytać o zdanie ją, a nie radzić się Uatah. Powinien był wiedzieć, że pierwsza żona, nie bacząc na nic, doradzi mu małżeństwo.

Gwynn wyglądała na zdecydowaną. Gdyby zażądała rozwodu i powołała na świadków swoich rodziców i krewnych, on musiałby na to przystać, oddać jej dzieci, posag i tę część majątku, którą wspólnie wypracowali przez lata małżeństwa. Straciłby w tym momencie poparcie Rutena i jego klanu, straciłby poważanie wśród Arwernów, bo jaki rozsądny mężczyzna nad Galijkę przedkłada cudzoziemkę?

- Gwynn, chyba nie zamierzasz odejść? - zapytał ze smutkiem w głosie. - Nie sądziłem, że moja decyzja zmieni coś między nami.

- To źle myślałeś - odparła. - Zawsze myślisz tylko o sobie i swoich korzyściach. Ożeniłeś się ze mną dla korzyści. Za nic miałeś moje uczucie do ciebie. Liczy się to, co powiedziała ci Scatah, to, co powie ci Uatah, to, co możesz zyskać. Moje zdanie i moje uczucia są dla ciebie najmniej istotne. A ja jestem przy tobie i trwam u twego boku jak lojalna żona. Tym razem jednak przesadziłeś.

Galvan w duchu przyznał jej rację. Gdy spojrział na swoje postępowanie z perspektywy swej żony, istotnie musiał stwierdzić, że kierował się subiektywnymi pobudkami, nawet jeśli Gwynn stanowczo przesadzała, twierdząc, że jest egoistą.

Kiedyś Scatah powiedziała mu, że władza kosztuje, że władca niczego nie robi dla samego siebie, wszystkie korzyści, jakie pragnie zdobyć, muszą wynikać z pragnienia dobra ogółu. Skoro został naczelnikiem Arwernów i skoro chciał utrzymać sojusze, musiał liczyć się z innego rodzaju stratą i nie oglądać się na własne dobro. A inni naczelnicy popierali go w jego dążeniu do zawarcia przymierza z Ariowistem ze względu na oczywiste korzyści wynikające z tego układu. Być może za kilka lat te korzyści przestaną mieć znaczenie i wówczas Galvan będzie mógł odprawić drugą żonę. Na razie jednak układ, który zawierał, dawał mu jedynie pożytek.

Zastanawiał się tylko, czy pożytek ten jest tak duży, że zrekompensuje mu ewentualną utratę Gwynn. Gdyby odeszła, jego życie straciłoby sens. No, może nie aż tak dramatycznie, ale z pewnością nie byłoby już takie pełne. Wystarczy, że musiał stracić jedną żonę, Uatah. Nie może sobie pozwolić na stratę kolejnej. Nie miał na to najmniejszej ochoty.

W blasku ognia z paleniska i smolnych szczap wetkniętych w uchwyty na ścianach, a także w blasku lamp tranowych, Galvan mógł dobrze przypatrzeć się swojej żonie. Wydorosła od czasu wydania na świat dzieci. Nawet jej twarz się zmieniła, zniknęły dziecięce krągłości, które miała w dniu, gdy ją poznał. Wówczas miała niespełna siedemnaście lat, teraz wkrótce skończy dwadzieścia. Jest kobietą, zdecydowanie kobietą, nie dziewczyną, którą można traktować nie do końca poważnie. Zresztą widział, że Gwynn nie pozwoli na to, miała swoją godność i dumę. Gdyby tak nie było, on sam nie ożeniłby się z nią przecież.

Gwynn miała w sobie coś, czego nie miała Uatah. Jakiś rys kobiecości, którego trudno szukać u wojowniczkii. Jakkolwiek Uatah była dziewczyną piękną, inteligentną, odważną, dumną i pod wszelkimi względami wspaniale wyszkoloną, to jednak nie potrafiła stworzyć prawdziwie domowej atmosfery, nie potrafiła sprawić, że miejsce, do którego wracał, było przytulne i ciepłe. Gwynn natomiast miała w sobie tego ciepła tak wiele, że stwarzała dom pełen miłości i kobiecości. Przyjemnie było przebywać w dużej sieni, kiedy i ona tam była. Gwynn nie

szkoliła się nigdy w sztukach walki, może jedynie trochę, celem zaznajomienia się z bronią na wszelki wypadek. Nie, Gwynn była stworzona do pełnienia roli matki i żony, gospodyni, pani domu. Rozsiewała kobiece ciepło, a nie dziewczęcy urok i powab.

I kochała go. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Na myśl, że mógłby stracić miłość Gwynn, ogarniała go panika. Na co mu wtedy sojusze, na co mu zaszczyty, skoro zabraknie jej, z którą pragnął dzielić to wszystko?

- Wybacz mi, Gwynn - odezwał się z pokorą w głosie. - Nie chciałem cię zranić, wiesz przecież. I nie traktuję Uatah jak żony, tylko jako doradcę. Ona jest moim głosem wojny, doradza mi, jakie i z kim zawierać sojusze. Nie mogę cofnąć czasu.

- Ale chciałbyś - mruknęła Gwynn.

- Wcale nie - odparł Galvan i stwierdził, że mówi całkowitą prawdę. Nie chciałby cofnąć czasu i być znowu mężem Uatah. - Gwynn, nie robię tego, aby ci sprawić przykrość albo dokuczyć.

Gwynn odwróciła się do niego. Uderzył go wyraz znużenia na jej młodej twarzy.

- Tak, twoja matka wyjaśniła mi, że chodzi o sojusz - powiedziała. - Że to dla naszego wspólnego dobra. Ale ja nie mogę znieść myśli, że będziesz z nią dzielił łóżę i jakkolwiek wydam ci się dziecinna i niedojrzała, nie mogę w sobie zdusić tego uczucia. To dlatego, że żeniąc się ze mną, kochałeś Uatah, i ja o tym wiedziałam.

Gwynn umilkła. Pamiętała, jak jej matka rozmawiała z nią przed ślubem i to właśnie ona uświadomiła Gwynn, dlaczego Galvan nagle jej zapragnął. Bo była córką swego możnego ojca, bo była piękną, młodą dziewczyną, bo Ruten miał dużą klientelę i znaczne wpływy w Gergowii. Bynajmniej nie z miłości zawierane było to małżeństwo. Ale w końcu Galvan ją pokochał. I sam jej to wyznał poprzedniej zimy.

Galvan wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach. Był pewien, że ona go odtrąci, ale Gwynn siedziała spokojnie. Widać najgorszy gniew już jej przeszedł. Jednak Galvan otrzymał wyraźne ostrzeżenie, co może się stać, jeśli będzie ją

lekceważył. Gwynn była zapamiętała w swym gniewie, długo chowała urazę.

- Gwynn, obiecuję ci, że nie wywyższę tej kobiety ponad ciebie - odezwał się. - Nigdy o czymś takim nie pomyślałem. To ty jesteś tutaj panią. Ty. Nawet nie moja matka. Pamiętam o tym.

- Ale musisz się z nią kłaskać - wróciła do sprawy Gwynn. - Będziesz miał z nią dzieci.

Galvan spojrział na swą żonę spod oka. Ach tak! To tutaj był pies pogrzebany. W zasadzie rozumiał ją - każda matka troszczyłaby się o to, żeby jej dzieci odziedziczyły wszelkie dobra i tytuły po swoim ojcu. Ruten miał tylko jedną żonę, jakkolwiek posiadał nałożnice, ale w tym wypadku tylko rodzeni bracia Gwynn mieli prawo do dziedziczenia, gdyż dzieci nałożnic i niewolnic nie posiadały żadnych praw dziedzicznych. Tak samo synowie Celtyllusa, których miał z nałożnicami, Celtillognatos i Brennus, nie mogli przejąć schedy po ojcu, jakkolwiek starszy brat Galvana został druidem i piastował obecnie wysokie stanowisko. Brennus był młodszy, a chociaż ich ojciec ożenił się w końcu z Aman, matką Brennusa, to jednak również on napiętnowany był jako dziecko pozamałżeńskie i nie mógł odziedziczyć nic po swoim ojcu, chyba że Galvan zdecydowałby się odstąpić mu część praw. Teraz obaj przyrodni bracia Galvana znajdowali się w Gergowii. Brennus się doksztalał, Celtillognatos natomiast pokonywał kolejne szczeble swojej wtajemniczenia.

- Gwynn - zaczął Galvan powoli. - Nie sądzisz chyba, że poddam w wątpliwości pierworództwo Drusta?

- Galvanie, to Aife jest twoją pierworodną córką - przypomniała mu niechętnie Gwynn.

- Aife jest córką Uatah - parsknął Galvan, ugodzony do żywego. - Dobrze o tym wiesz, Gwynn. Ja nie mam do niej żadnych praw wynikających z ojcostwa.

Nachmurzył się. Aife była dzieckiem jego i Uatah, ale doskonale wiedział, że dla niego jest ona obcą osobą. Jeśli się kiedykolwiek spotkają, Aife pozostanie jedynie kapłanką dla niego. Taka była bolesna prawda. Kapłanki z Sein rodziły dzieci

nie na chwałę ich ojców, ale dla własnych celów, których on do końca nie znał, chociaż przez wiele lat mieszkał pod opieką jednej z nich, a z drugą przez rok żył w związku małżeńskim i miał dziecko.

- I będziesz jej pożądał - dokończyła strapiona Gwynn.

Galvan przypomniał sobie, jak opowiadano, że jego ojciec Celyllus sypiał jednocześnie ze swymi dwiema żonami - jego matką Geillis i matką Brennusa Aman. Jedno spojrzenie na Gwynn wystarczyło, by pojął, że z nią nie ma co liczyć na takie igraszki. Jakkolwiek Gwynn uszczęśliwiała go w łóżu i nie mógł mieć do niej żadnych, naprawdę żadnych zastrzeżeń, to jednak wiedział, że istnieją pewne granice, których nie przekroczy. Geillis nie kochała Celyllusa. Gdyby żywiła do niego prawdziwą, szczerą miłość, nie zgodziłaby się nigdy w życiu na obecność we wspólnym łóżu innej kobiety.

- Gwynn, tacy są już mężczyźni - stwierdził z rozbawieniem. - Požadają każdej pięknej kobiety. Jakoś ci dotychczas nie przeszkadzało, że biorę sobie nałożnice.

Skąd ty możesz to wiedzieć? - pomyślała Gwynn niechętnie, ale nie skomentowała wypowiedzi męża ani jednym słowem. Niech sobie myśli, że jej to odpowiada. Kobiety niewiele miały do powiedzenia, jeśli chodziło o to, z kim używali sobie ich mężowie. Mogły się tylko cieszyć, gdy odbywało się to stosunkowo rzadko, jak w przypadku Galvana.

- Powiedz, że się już nie gniewasz - poprosił ją. - Że zaakceptujesz moją decyzję.

- Trochę na to za późno, nie sądzisz? - zakpiła Gwynn. - Skoro już ją podjąłeś. Będzie, jak chcesz. Sprowadzaj sobie tę germańską żonę. Ja naprawdę nie będę się wtrącać w twoje sprawy.

Tylko nie przychodź do mnie, kiedy stwierdzisz, że poniosłeś porażkę - dokończyła w myślach. Nie życzyła Galvanowi źle, ale jakaś ukryta część jej samej pragnęła gorąco, aby sparzył się na tym związku z Germanką, aby jej ojciec go oszukał, aby Galvan poczuł, że zrobił źle. Sama przed sobą wstydziała się takich myśli. Czy były one oznaką, że już go nie kocha? Nie, co za brednie! Przecież go kocha i dlatego

myśl o innej kobiecie w jego łóżu doprowadza ją do łez i furii.

- Nie gniewam się - skłamała. - Nie żywię do ciebie urazy, Galvanie.

To nieprawda - myślała ze złością. Mogłabym cię zabić za twoje głupie pomysły. Wiem, że to dziecinne, ale nic nie mogę na to poradzić. Chcę cię tylko dla siebie. Nie podoba mi się wcale, że jakaś obca kobieta ma tu przyjechać, węszyć, spędzać czas u twego boku i dzielić z tobą miejsce do spania. A co ze mną? Zostanę odstawiona w kąt? Będę niepotrzebna? Zbędna? Bo sojusz z moim ojcem jest już osiągnięty i ja się więcej nie liczę?

Gwynn sama przed sobą musiała przyznać, że tak nie jest. Liczyła się, choćby jako matka jego dzieci. I Galvan mówił prawdę: Drust był pierworodnym, nawet jeśli on miał córkę z Uatah. To się nie liczyło, dla Arwernów znaczenie miał syn naczelnika, nie jego córka na wyspie Sein, która tak czy inaczej nie poślubi żadnego z członków ich ludu.

- Dziękuję ci za wyrozumiałość - powiedział Galvan.

Gwynn nie odpowiedziała. Czekwała na jego dalsze słowa. Wiedziała, że nadejdą.

- Czy zechcesz dzisiaj dzielić ze mną łóżo? - zapytał.

Chciała. Bardzo chciała. Pomimo swego uporu i gniewu tęskniła za nim. Chciała czuć w nocy jego obejmujące ją ramiona, chciała tulić się do jego silnego, ciepłego ciała. Pragnęła czuć go w sobie, patrzeć mu w oczy i słyszeć jego szept. Tylko sama przed sobą bała się to przyznać, bo to bolało, zwłaszcza w połączeniu z myślą, że on tak samo będzie leżał ze swoją drugą żoną.

Kiwnęła głową, nie mogąc zdobyć się na wypowiedzenie słowa. Na myśl, że będą ze sobą spać, oblała ją fala gorąca i dziękowała bogom, że w sieni jest dość ciemno i on tego nie zobaczy.

Galvan uśmiechnął się ze szczerą radością. Pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło, po czym wyszedł na zewnątrz. Miał nadzieję, że między nimi wróci dawne porozumienie. Doprawdy nic nie męczyło go bardziej niż te ostatnie, pełne chłodu tygodnie.

III

Burzowe chmury nadciągały znad Gór Sabińskich, zmrok spływał na Rzym, słoneczny letni dzień szedł w zapomnienie. O tej porze roku burze nie były w zasadzie niczym niezwykłym, a przynajmniej nie powinny być, ale fakt pozostawał faktem, że gwałtowne ulewy i burze z piorunami niepokoiły mieszkańców. Ulice Rzymu były wąskie, ponieważ miasto nie zostało rozplanowane wedle etruskiej dyscypliny, ale powstało spontanicznie na skutek wieloletniej – czy raczej wielowiekowej – koegzystencji ludności z siedmiu okolicznych wzgórz. Domy budowane były z łatwopalnych materiałów, z drewna i kiepskiej jakości cegieł, toteż ludzie obawiali się pożarów. W Rzymie nie było straży ogniowej, z wyjątkiem przyuczonej do tego fachu drużyny niewolników Krassusa. Ten patrycjusz doprawdy zbijał majątek na pożarach, jako że na miejsce ewentualnego wypadku posyłał swoich ludzi, którzy nie prędkiej gasili ogień, aż on sam za korzystną cenę nabył ruinę. Wówczas pożar był gaszony dość sprawnie, ale i tak powstawało niebezpieczeństwo, że ogień rozprzestrzeni się niepotrzebnie w inne rejony. Teraz też ludzie w swoich domach lub świątyniach składali ofiary Wulkanowi, bogu ognia, a także Jowiszowi, ojcu wszystkich bogów, prosząc o litość i błogosławieństwo.

Oddalone o kilka kilometrów od miasta morze ściągało ciemne chmury. Raz po raz widlasta błyskawica przecinała niebo, po czym następował potężny grzmot. Od rana powietrze było gorące, wręcz skwarne, ale około południa nad wschodnim niebem zaczęły gromadzić się chmury, które teraz przetaczały się ciężką masą nad Forum, zalegały nad Kapitołem, gdzie

wznosiła się świątynia Jowisza Najlepszego Największego, nad Palatynem, nad Karynnami, nad Suburą, nad Wielkim Cyrkiem, nad wspaniałymi budowlami rzymskiej architektury.

I nad domem Cezara, który od początku tego roku sprawował urząd konsula.

Cezar jako Pontifex Maximus zajmował wspaniały dom tuż przy Forum, w najlepszej dzielnicy miasta. Sprawowanie od czterech lat funkcji najwyższego kapłana miało niewątpliwie swoje plusy. Po pierwsze dawało nieograniczoną władzę nad kolegium kapłańskim, nie tylko nad pontyfikami, ale także nad augurami, westalkami i innymi kapłanami. Po drugie – możliwość podejmowania decyzji politycznych na podstawie wyroczni i wróżb, co było niebywale wygodnym narzędziem do rozprawiania się z politycznymi wrogami. Dla Cezara było to bardzo korzystne, zwłaszcza że od jego opinii i zdania zależało niejedno głosowanie w dzielnicach i niejedno zgromadzenie ludowe na Polu Marsowym. Co prawda jego kolega konsul również uciekał się do wróżb, żeby zapobiec wdrażaniu w życie ustaw Cezara, ale tym akurat władca niezbyt się przejmował. Trzecim plusem był ten dom!

Wcześniej Cezar mieszkał w nieszczególnie przyjemnej dzielnicy, jaką bez wątpienia była położona za Tybrem Subura. Zatybrze było od dawien dawna siedliskiem wszelkiego rodzaju motłochu, zamieszkiwał go głównie plebs, i to o nie najlepszej reputacji i niskim pochodzeniu. Rzecz jasna istniały także i bogate rody plebejskie. Żeby nie szukać daleko, plebejuszem był na przykład jego wuj Mariusz. Z rodu plebejskiego wywodził się niejeden trybun ludowy. Ale generalnie Suburę zamieszkiwały elementy niekoniecznie pożądane. I właśnie w tej dzielnicy posiadał dom ojciec Cezara, tam też i sam obecny władca się wychował. Przy czym jego dom budowany był według dobrego rzymskiego stylu, był otoczony ogrodem, murem i w ogóle był niedostępny z ulicy.

Ale wychowanie w Suburze miało swoje niewątpliwe korzyści. Dzięki temu Cezar, choć arystokrata z urodzenia (jakkolwiek jego ród za czasów dziadka był już mocno podupadły), poznał z doświadczenia życie biedoty i potrafił

do niej przemawiać.

Czwartą zaletą sprawowania funkcji najwyższego kapłana był fakt, że na tym stanowisku Cezar miał prawo noszenia wysokich czerwonych butów, które były niebywale wygodne i dostosowane do stóp. Nienawidził szczerze zwykłych sandałów, a żołnierskich butów zwanych caligae nie sposób było nosić na ulicach Rzymu. Buty kapłańskie bardzo przypominały wojskowe trzewiki, toteż Cezar nosił je z upodobaniem, chociaż narażał się tym niejednokrotnie na zbędne gadanie senatorów.

Cezar stał na progu domu w atrium i patrzył na burzowe chmury. Mijał szósty miesiąc jego konsulatu, jak dotąd udanego, chociaż jego polityczni przeciwnicy wprost wychodzili ze skóry, żeby przeszkodzić mu w uprawianiu polityki. W styczniu, kiedy objął konsulat, pojawiły się pierwsze problemy. Ponieważ Cezar wygrał wybory większością głosów, a jego przeciwnik polityczny Marek Bibulus był drugi, to właśnie Cezar rozpoczął rok poprzez składanie ofiar i wróżby. Wiedział, że w lutym pierwszeństwo na stanowisku przejmie jego rywal, toteż spieszył się, żeby jak najszybciej przedstawić ludowi swoje ustawy. Nie tylko ludowi. Na początek musiał spróbować uzyskać poparcie dla nich w Senacie, a dopiero jeśli się to nie udało, mógł je poddać opinii ludu rzymskiego. Pamiętał, jak jego największy polityczny przeciwnik Katon, notabene teść Bibulusa, nie chcąc dopuścić do przedstawienia projektu reformy agrarnej, zastosował swoją ulubioną taktykę przemawiania w Senacie.

Katon! Ten głupiec! Na myśl o nim Cezar zgrzytał zębami ze złości. Nie chodziło o to, że Katon był jego politycznym przeciwnikiem. Cezar miał ich wielu, wszak on i chociażby Cynceron również stali po przeciwnych stronach barykady. Cynceron jednak był człowiekiem inteligentnym i w gruncie rzeczy dalekowzrocznym, chociaż zbyt zapatrzonym w to stado konserwatywnych, trzęsących się o własne posady niedorajd. Ale Katon to była zupełnie inna historia. Zdawał się on zupełnie nie dostrzegać, że Republika w takiej postaci, jaką miała teraz, długo nie pociągnie i że aby Rzym nie pogrążył się w chaosie,

potrzeba zdecydowanych reform. Dla Cezara wojna domowa sprzed ponad dwudziestu lat była ostrzeżeniem, że system chwieje się w posiadach. Arystokracja, senatorowie, rody patrycjuszowskie tak bardzo obawiali się utraty władzy, że kosztem Republiki starali się za wszelką cenę utrzymać przy władzy. Nie obchodziło ich, że lud rzymski głoduje, że ogromne rzesze chłopstwa muszą sprzedawać za bezcen swoje majątki i migrować do miasta, gdzie powiększały i tak stale głodny proletariatus, że wielkie połacie ziemi publicznej leżą odłogiem, podczas gdy żołnierze powracający ze służby wojskowej nie mają się gdzie podziąć. Nie obchodziło ich, że prokonsulowie wyzyskują prowincje, jak tylko się da, że stosując niepotrzebny ucisk, przyczyniają się do buntów miejscowej ludności. Nie widzieli konieczności rozbudowy miasta, nawet temu się sprzeciwiali. Nie chcieli nadać praw obywatelskich mieszkańcom podbitych ziem, chociaż wojna sprzymierzeńców, w której brał czynny udział ojciec i stryj Cezara, powinna im była uzmysłwić krótkowzroczność takich nieprzemyślanych decyzji. Nie chcieli też uznać zdobyczy Pompejusza na Wschodzie w obawie, że ten i tak wielki wódz stanie się zbyt potężną personą w Rzymie (jakby już nią nie był), a tymczasem podbite ziemie obfitowały w bogactwa. Na czele zaś owych zatwardziałych głupców stał nie kto inny jak Katon, który grzmiał z trybuny, że Cezar jest wywrotowcem, dąży do jedynowładztwa i chce zniszczyć Republikę.

Bogowie! Trzeba było być naprawdę idiotą, żeby wymyślać podobne brednie! On, Cezar, tonął w długach – chociaż dzięki kampaniom w Hiszpanii zdołał się przynajmniej częściowo wykaraskać z najgorszego – a jakkolwiek dążył do stanowiska i sławy, czynił to z zupełnie innych pobudek. Jeżeli nienawidził Katona, to właśnie za jego głupotę i nieustępliwość.

Cezar uśmiechnął się pod nosem. Katon nienawidził Cezara przede wszystkim dlatego, że ten sypiał z jego przyrodnią siostrą. Serwilia i on mieli romans od wielu lat, było to wiadome wszystkim naokoło, bo ani on sam, ani ona nie robili z tego tajemnicy. Serwilia była kobietą inteligentną, piękną i czarującą, chociaż czasami męczyła Cezara swoją

nazbyt rozbudowaną ambicją oraz chęcią dominacji i mieszania się do polityki. Jednak dla Cezara była przede wszystkim partnerką pod względem intelektualnym i politycznym, a także wspaniałą kochanką. Lubił spędzać z nią czas, ale do głowy by mu nie przyszło, żeby się z nią ożenić. Dla niego małżeństwo oznaczało sojusz polityczny. Tak było od śmierci Kornelii.

Ale wracając do sedna, Katon nie mógł znieść myśli, że jego siostra dzieli łożę z Cezarem. On sam był do tego stopnia konserwatystą (jakkolwiek Cezar uważał, że jest po prostu chory psychicznie), że nawet przyjemności małżeńskie uważał za coś uwłaczającego godności. Swoją drogą Cezar zastanawiał się, jakim cudem poczał swoje dzieci, skoro orgazm uważał za dopust boży, a spółkowanie w ogóle za przykry obowiązek, i wychodził z założenia, że kobieta nie powinna podczas stosunku w ogóle nic odczuwać. Rozpusta jego siostry była więc dla niego nieustannym źródłem ponizenia.

Cezar przypomniał sobie pewien incydent, który miał miejsce kilka lat wcześniej, podczas debaty nad spiskiem Katyliny. Wówczas Ciceron zabawiał się w zbawcę Republiki i perorował o konieczności zgładzenia przywódców spisku. Katon przemawiał akurat, długo i żarliwie, a przede wszystkim nudno, na temat bezczelnych spiskowców, którzy ośmielili się podnieść rękę na naród rzymski, na Republikę, na ojczyznę! I oto w samym środku jego płomiennego przemówienia posłaniec przyniósł Cezarowi tabliczki, na których znajdował się list miłosny od Serwili. Ona sama była wówczas jeszcze męzatką i fakt, że ośmieliła się na taki gest, mógł ją kosztować życie. Katon zauważył rzecz jasną, że Cezar dostał jakąś wiadomość, i z wrzaskiem i niemal pianą na ustach, bo był strasznym pieniaczem, doskoczył do swego oponenta z żądaniem natychmiastowego przeczytania na głos owych wiadomości, które otrzymał.

- Patrzcie, ojcowie, oto Cezar jest w zмовie ze spiskowcami! - parskął niczym rozjuszony byk. - Przeczytaj, Cezarze, co ci banda Katyliny przesłała!

Cezar spokojnie oddał tabliczki Katonowi.

- Sam to przeczytaj - powiedział z uśmiechem. - Ale

gwarantuję ci, że wcale nie chcesz znać ich treści.

Katon ogarnął wzrokiem tabliczki i spurpurowiał. Po pierwsze bowiem poznał pismo swej siostry, a po drugie znieść nie mógł tego rodzaju lektury, która nie była niczym innym jak erotycznym wyznaniem. „Pragnę poczuć twoje ostrze w mej gorącej jaskini” – pisała Serwilia. Katon, mruczając pod nosem, ze złością oddał tabliczki właścicielowi. Miał ogromną ochotę rozbić je o podłogę, ale to za bardzo zwróciłoby uwagę słuchaczy. Wycofał się zatem jak niepyszny, ale od tamtej chwili jeszcze bardziej, o ile było to możliwe, znienawidził Cezara.

W czerwcu główną funkcję konsula miał sprawować ten nieudacznik Bibulus, ale zdarzyło się coś takiego, że rywal Cezara wcale nie miał ochoty pełnić tej funkcji. Cezar uśmiechał się szyderczo pod nosem. Rzecz jasna to on do tego doprowadził. Gdyby Bibulus nie był tak głupi i uparty jak jego zacny teść, on i Gajusz mogliby dojść do jakiejś komitywy, ale ponieważ Marek uparcie wetował wszystkie projekty ustaw Cezara, należało się nim odpowiednio zająć. Nim i Katonem, który miał okropny zwyczaj przemawiania na zgromadzeniach Senatu tak długo, że któregoś dnia Cezar nie wytrzymał i kazał go aresztować, a swoje projekty przedstawił bezpośrednio komicjom trybusowym. Tym posunięciem bynajmniej nie zjednał sobie przychylności Senatu i optymatów, dał jednak do zrozumienia swoim politycznym wrogom, że nie pozwoli im siebie zakrzyczeć. Co prawda Katona musiał czym prędzej z więzienia wypuścić, tego domagał się bowiem lud, ale efekt poczynań Cezara i jego bojówek, które oficjalnie prowadził niejaki Klodiusz, był taki, że Bibulus po cichu zrezygnował z piastowania godności konsula i siedział w domu. Kiedy Cezar chciał przegłosować ustawę, Bibulus oznajmiał, że czas ku temu jest nieodpowiedni albo też że wróżby tego dnia były niepomyślne i należy anulować wyniki głosowania. Rzecz jasna Cezar, jako Pontifex Maximus, nic sobie z tego nie robił i dalej przeprowadzał wybory.

Koniec końców teść i zięć osiągnęli tyle, że zostali odsunięci od głównego nurtu polityki, także bowiem i Katon, urażony w swej powadze i godności, zamknął się w domu, gdzie

oddawał się tworzeniu natchnionych pism filozoficznych. Zdaniem Cezara filozoficzne upodobania Katona były niewarte splunięcia, jako że sympatyzował on ze stoikami w taki sposób, że sprowadzał ich filozofię do granic rozsądku. To, co w swej ostrożnej rozwadze propagował Cynceron jako myśli godne mędrca (za którego się notabene uważał), Katon przeinaczył, wyprał z uczuć, wlewając we wszystko swój zimny fanatyzm. Człowiek, zdaniem Katona, nie powinien absolutnie oddawać się uczuciom. I z takiego oto pokroju umysłem przyszło Cezarowi walczyć!

Doszło do tego, że złośliwi śmiali się, że nastał rok konsulatu Juliusza i Cezara. Bibulus, zdaniem Cezara, wystawiał się na śmieszność. Ale wszystko dlatego, iż Bibulus nienawidził Cezara od czasów, kiedy wspólnie pełnili funkcję edyla, a do ich zadań należała organizacja igrzysk. Wówczas Cezar zadłużył się niesamowicie, aby dać ludowi jak najbardziej wystawne widowiska, i Bibulus nie był w stanie dorównać mu nawet w jednej czwartej. Był on bowiem skażony nadmiernym konserwatyzmem Katona, nie posiadał daru dalekowzroczności, który cechował Cezara. Bibulus, Katon, Domicjusz Ahenobarbus, ba, nawet Pompejusz i Cynceron widzieli tylko to, co działo się tu i teraz w Rzymie. Ponieważ wywodzili się z możnych rodów, wszyscy oprócz Cyncerona, nie mieli pojęcia, jak naprawdę przedstawia się sytuacja w narodzie, czego chcą tłumy, czego pragnie zwykły, szary obywatel, niekoniecznie mieszkaniec miasta. Dalej niż Rzym ich horyzonty, niestety, nie sięgały.

Jeśli jednak wziąć pod uwagę tak silną opozycję, zdaniem Cezara jego konsulat był i tak nad wyraz udany. Udało mu się przeforsować ustawę agrarną, dał ziemię weteranom Pompejusza, Senat zatwierdził też jego prowincje na Wschodzie, co dało mu możliwość odbycia triumfu, a Pompejusz pomimo swego wieku nadal niezwykle był łasy na wszelkiego rodzaju pochwały i przejawy szacunku. Cezar uśmiechnął się z goryczą na wspomnienie, jak to przed niemal dwudziestoma laty Pompejusz zażądał, by na jego triumfie ciągnął go powóz zaprzężony w słońce (był to bodajże pierwszy

jego triumf, jaki się odbywał). Słonie! Jak na ironię ulice Rzymu, a tym bardziej łuk triumfalny, który wzniesiono na cześć Pompejusza, nie nadawały się kompletnie do tego celu i upokorzony Pompejusz musiał siedzieć w powozie ciągniętym przez konie, niestety. Teraz otrzymał zatwierdzenie swoich zdobyczy, tym samym Syria i Palestyna weszły w skład Republiki. Egipt spoglądał na to niechętnie, bo sam był łasy na te ziemie, które de facto kiedyś do niego należały. Rzymianie, czy raczej Senat rzymski, mogli dziękować bogom, że na tronie egipskim brakowało stabilizacji, a Ptolemeusz Auletes był tylko bezsilnym dłużnikiem Republiki - inaczej sytuacja mogłaby przedstawiać się niewesoło.

Widlasta błyskawica rozświetliła niebo pochmurne, ciemne i przerażające od antracytowogranatowych, ciężkich chmur. Sunęły one posępnie, napełniając grozą przesądny rzymski lud. Kalpurnia siedziała tego dnia w atrium i przędła, typowo kobiece zajęcie, ale też aura nie zachęcała do wyjścia na miasto. Klienci też tego dnia nie przyjdą do domu Cezara. Ludzie siedzieć będą w swoich domostwach i czekać na koniec tej przerażającej burzy, która właśnie nadciągała nad miasto.

W zasadzie Cezar zadowolony był z małżeństwa z Kalpurnią. Okazała się ona znakomitą żoną, potrafiła utrzymać dyscyplinę wśród niewolników, żelazną ręką kierowała domem pod jego nieobecność i ogólnie radziła sobie doprawdy świetnie. Nie wydawała więcej pieniędzy, niż było to absolutnie konieczne, wskutek czego Cezar nie popadł w jeszcze większe długi, niż miał, a jeżeli nie wzbogacił się za konsulatu, to nie była to w każdym razie wina jego żony. Była inteligentna, reprezentacyjna. W dodatku dla mężczyzny obdarzonego takim temperamentem jak on Kalpurnia była idealną partnerką w łóżku, pod jej maską nieśmiałości kryły się bowiem pokłady zmysłowości i pasji. Jakkolwiek Cezar posiadał kochanki - Serwilia nie była jedyną - bo sporo uciechy przynosiła mu świadomość, że w sypialni pokonuje swoich politycznych przeciwników, że doprawia rogi tym pewnym swej męskości senatorom i ekwitom, to jak każdy Rzymianin na pierwszym miejscu stawiał obowiązek małżeński. Płodzenie

dzieci, nowych obywateli, było jedną z największych powinności każdego Rzymianina.

Szkoda tylko, że Kalpurnia nie mogła dać mu syna! Raz jeden zaszła w ciążę, ale szybko straciła dziecko. Cezar obwinił za to siebie, a Kalpurnia wzięła z kolei winę na własne barki, oboje jednak wiedzieli, że na takie przypadki losu nie ma rady i nie należy winić się za śmierć płodu, bo powody tego mogą być rozmaite. Zenon, osobisty medyk Cezara, pocieszał go, że strata dziecka jest wyrokiem bogów, a na to nie ma rady. Poradził też Cezarowi, by za jakiś czas spróbował znowu obdarzyć żonę potomkiem, nie za szybko jednak, by organizm Kalpurni doszedł do siebie.

Teraz chyba już doszedł - rozmyślał Cezar. Był koniec czerwca, w przyszłym miesiącu wypadały jego czterdzieste pierwsze urodziny. W lipcu też przybyć miał do Rzymu wódz Germanów Ariowist, któremu Senat, na wniosek Cezara, przyznać miał tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego. Rzecz jasna Senat nie mógł się nadziwić, dlaczego to konsul wystąpił z takim wnioskiem, on jednak uzmysłowił tym półgłówkom, jak istotne strategicznie znaczenie mają dla nich Ariowist i jego wojska. Otóż od dwóch lat okupował on ziemię Sekwanów, a teraz wdarł się na terytorium Eduów, którzy również cieszyli się zaszczytnym przywilejem przyjaciół Rzymu. Nie należy drażnić kogoś, kto może okazać się niebezpiecznym przeciwnikiem.

Ale Cezar tak naprawdę chciał jeszcze czegoś innego. Chciał rozdrażnić Galów, pobudzić ich gniew, domyślał się bowiem, że człowiek taki jak Ariowist, posiadając tytuł tak zaszczytny i mając Rzymian za swoich popleczników, popadnie w zbytnią dumę, pychę, którą Grecy określali mianem hybris, a przez to stanie się nieostrożny. Tego chciał Cezar: fałszywego kroku ze strony Ariowista, a nade wszystko apelu Eduów o usunięcie go z Galii. To byłby świetny pretekst, by wmieszać się w tamtejsze konflikty. A tych było niemało, informował go o tym jego szpieg Dywicjak z plemienia Eduów, a także inni agenci. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że jeden z zaufanych ludzi Cezara Tytus Labienus posiadał dużą sieć

klientów w rzymskiej Prowincji. A był to człowiek całkowicie pozbawiony skrupułów.

Pragnienie posiadania męskiego potomka było u Cezara tym silniejsze, że liczył się on z faktem, iż za sześć, góra osiem miesięcy wyjedzie na prowincję, a wówczas niełatwo będzie mu spotkać się z żoną. Prędeż z jakąś obozową ladacznicą, których zawsze pełno w obozach, ale nie mógł przecież uznać dziecka spłodzonego w ten sposób. Podejrzewał, że na Wschodzie i w Hiszpanii także pozostawił po sobie bękarty, wszak nie żył tam w cnocie i celibacie, na to miał zbyt rozpasaną naturę, ale tacy synowie spłodzeni z ladacznic nie obchodzili go ani trochę. Bo obywatelem rzymskim, następcą Cezara, mógł być tylko syn zrodzony z obywatelki, nie inaczej.

Dla Cezara fakt, że nie ma syna, był gorzką pigułką do przełknięcia. Pompejusz miał synów, Sulla miał synów, Cynceron w końcu doczekał się syna, tylko on, Cezar, nie mógł go spłodzić. Nawet ten przeklęty Katon – o zgrozo! – miał synów, a to już był dla dumnego Cezara cios poniżej pasa. Nad nim w tej kwestii zawisło jakieś fatum.

Co prawda, będąc w Prowincji, mógłby wezwać Kalpurnię do siebie, nie bardzo chciał jednak narażać ją na uciążliwą podróż przez Apeniny, a potem Alpy. Tym bardziej jeśli jechałaby tam w celu spłodzenia potomka.

Nic też nie wskazywało na to, by niebawem miała zająć w ciężę Julia. Przeszła już dwa poronienia, a to ostatnie było dla niej bardzo bolesne. Cezar, rzecz jasna, wiedział, kto za tym stoi. Nie było dla niego tajemnicą, że palce maczała w tym Atia, której zależało na tym, by Cezar nie miał innych spadkobierców poza jej synem Gajuszem Oktawiuszem. Cezar był nieodpowiedzialny, kiedy decydował się na tak poufną rozmowę ze swoją siostrzenicą, ale uważał wtedy, że musi podjąć odpowiednie kroki celem zapewnienia przyszłości rodu Juliuszów. A skoro nie mógł mieć własnego syna, postanowił adoptować wnuka swojej siostry. Tym sposobem wszystko zostałoby w rodzinie.

Cezar miał też pewne podejrzenia co do faktycznej przyczyny niepłodności Kalpurni, ale sam przed sobą nie chciał

się do nich przyznawać. Podejrzewał bowiem, że Atia wcale nie była tak naiwna i bezbronna, jak sądził. Pozbawiona męża sprawowała w swym domu nieograniczoną władzę. Sam Cezar zakazał jej ponownego małżeństwa - nie chciał, by jakiś mądrała z Senatu adoptował dziecko Atii albo, co gorsza, pozbył się go tak jak lew, który zagryza kocięta lwicy, by posiać w niej własne nasienie. Doprawdy mężczyźni niczym nie różnili się od zwierząt! Cezar zastanawiał się, co on sam by zrobił, gdyby Kalpurnia na przykład posiadała już syna. Zapewne nic. Tak jak nie skrzywdził, bo i po co, syna Serwili Brutusa. Nawet lubił tego nieszczęsnego siostrzeńca Katona. Chłopak był brzydki jak noc, miał paskudną ospowatą cerę, nękały go trądzik i inne przykre dolegliwości skórne, tak że aby ukryć niedoskonałości skóry, musiałby zapuścić brodę. Przez jakiś czas Cezar zastanawiał się nad możliwością wydania Julii za mąż za Brutusa, ale ostatecznie zrezygnował. A potem na arenie pojawił się inny gladiator, Pompejusz.

No właśnie, Pompejusz. Cezar musiał przyznać, że spodziewał się czegoś innego. Sądził, że małżeństwo jego córki i chwilowego politycznego sprzymierzeńca - tak, bo Cezar nie miał złudzeń, że taki sojusz może długo potrwać, na to warunki w Rzymie były zbyt niesprzyjające - nie będzie niczym więcej niż tylko politycznym związkiem dwóch mężczyzn. A jednak Julii udało się do tego stopnia oczarować podstarzałego senatora i wodza, że świata nie widział poza swą małżonką. Różnica wieku była między nimi spora, wszak dzieliło ich prawie ćwierć wieku, i Pompejusz odbywał pierwszy triumf, kiedy Julia przychodziła na świat. Cezar, wydając ją za mąż, przeżywał doprawdy straszliwe rozterki. Sama Julia też nie była zbyt zachwycona faktem, że ma być wydana za mąż za starego rozpustnika, jakim to mianem określała wówczas Pompejusza. On sam był wdowcem i rozwodnikiem, miał dwóch dorosłych synów i w zasadzie nie musiałby się powtórnie żenić, ale mężczyzna w pewnym wieku do tego stopnia przyzwyczajony jest do posiadania małżonki, że nie wyobraża sobie zupełnie innej formy egzystencji. Nawet jeśli połowę życia spędza na kampaniach, a drugą w Senacie. Córka Cezara

i Kornelii była piękną kobietą i Pompejusz nie potrafił się jej oprzeć. Ale że do tego stopnia straci dla niej głowę, a i że ona zakocha się w nim – to dla Cezara było równie niepojęte, jak korzystne.

Kiedy deszcz zaczął padać, a wielkie krople uderzyły w wysadzaną mozaiką podłogę dziedzińca, Cezar otulił się płaszczem i wszedł do domu. Było tak ciemno, że Kalpurnia poleciła zapalić lampki oliwne, na palenisku zaś, pomimo że było lato, trzaskał wesoło ogień. Żona Cezara siedziała w otoczeniu niewolnic przy krosnach i tkła, niewątpliwie nową tunikę dla męża. Miała również zamiar utkać mu nowe okrycia na przyszłoroczną kampanię. Wiedział o tym, gdyż widział, jak wydawała zarządcy polecenia dotyczące zakupienia purpury. Cezar, patrząc na nią, poczuł ciepło wokół serca. Wprawdzie Kalpurnia to nie Kornelia, jego jedyna miłość, ale nie mógł ukryć, że lubił swą żonę, a co więcej, miał dla niej wiele czułości.

– Kiedy udam się do Galii, będziesz tu tkwić za krosnami niczym Penelopa, Kalpurnio – odezwał się Cezar.

Żona podniosła głowę znad roboty. Miała na sobie długą stolę farbowaną szafranem, włosy ułożono jej w kunsztowny kok, ale nie dało się ukryć, że rysy twarzy miała ostre, choć całkiem regularne.

– Mam nadzieję, że nie spędzisz siedmiu lat u Kalipso jak Ulisses – odparła, patrząc mężowi w oczy. – Nie chciałabym spędzić tak długiego czasu w samotności.

Cezar usiadł przy niej i skinął na sługę, który natychmiast przyniósł mu grzanego wina z przyprawami.

– No cóż – mruknął między jednym łykiem a drugim – Odys błędził po morzu dziesięć lat, zanim wrócił szczęśliwie do domu. A wcześniej spędził dekadę pod Troją. Penelopa zmarnowała młodość i urodę. Chcesz czekać, Kalpurnio? Czy może dać ci rozwód?

Kalpurnia wyprostowała się.

– Cezarze, raczysz żartować. Czyż nie jestem ci wierną i posłuszną żoną? Boisz się może, że sprowadzę sobie innego mężczyznę, podczas gdy ty będziesz wojował w Galii?

Cezar roześmiał się.

- Owszem, jesteś wierną i posłuszną żoną - przyznał. - Myślałem o czym innym. Co powiedziałaś na to, żeby jechać ze mną na Prowincję^I?

- Wziąłbyś mnie ze sobą? - zapytała Kalpurnia. - Cezarze, wszak pojedziesz na wojnę. Nie będziesz tam ściągał podatków, jak robiłeś ongiś w Hiszpanii.

Cezar spoglądał na żonę badawczo. Kalpurnia wyznała mu kiedyś, że miewa prorocze sny, wiele z nich sprawdziło się ze szczegółami. Tak naprawdę nie wiedział, co o tym sądzić, bo nie wierzył w bogów ani w ogóle w żadne zabobony. Co najwyżej w los i łut szczęścia. Dla celów wyłącznie propagandowych chwalił się swoim pochodzeniem od Wenus - wiedział bowiem, że prosty lud wierzy w bogów, bo tak jest mu łatwiej przyjmować ciosy od życia. On sam cierpiał na apopleksję, co prawda jej ataki zdarzyły mu się zaledwie parę razy, ale medycy orzekli, że jest to boska choroba, która dotyka wybrańców bogów. Nie uważał się bynajmniej za boskiego wybrańca. Nie uważał też, że Kalpurnia jest nawiedzona przez bogów. Ale jej prorocze sny sprawdzały się, sam był tego świadkiem. Teraz siedział i droczył się z nią, ale czy przypadkiem ona nie przepowiadała mu właśnie przyszłości?

- Czy śniło ci się coś na temat mojej wyprawy, Kalpurnio? - zapytał podejrzenie spokojnym tonem.

Kalpurnia niechętnie zwierzała się innym ze swoich snów. Nie lubiła tego. Uważała siebie za przeklętą, nienawidziła tego daru, bo niektórych rzeczy wolałaby nie widzieć. Nie lubiła też, kiedy mąż pytał ją o takie sprawy, winna mu bowiem była posłuszeństwo, a wiedziała, że niektóre rzeczy powinna przed nim przemilczać.

- Widzę przed tobą wiele lat walk, Cezarze - odparła zamyślona. - Widzę człowieka, który cię zdradzi. Ten, który przyjedzie do Rzymu w przyszłym miesiącu, ten władca Swebów, będzie przyczyną długich wojen, z których ostatecznie wyjdiesz zwycięsko, ale zapłacisz ogromną cenę.

Cezar chciał wiedzieć więcej, ale Kalpurnia pokręciła

głową. To, co widziała w snach, przychodziło do niej zazwyczaj mniej lub bardziej niewyraźne, zamglone, ale czasami przejrzyste, krystaliczne. Bądź co bądź Cezar nie był małym chłopcem, wiedział, co to znaczy kampania wojskowa. Wybierając się do Galii, musiał być przygotowany na długie walki. A co do zdrady, czaiła się wszędzie tam, gdzie liczył się zysk.

- Cezarze, nie znam przyszłości - szepnęła. - I nie chcę jej znać.

Ale Cezar był zadowolony. Ariowist stanie się przyczyną wojny? Ależ to świetnie, znakomicie! Na to właśnie liczył, nadając mu tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego. Rzadko kiedy tacy barbarzyńcy otrzymywali tak prestiżowy tytuł. Ariowist niczym szczególnym się wśród nich nie wyróżniał. A Cezar wiedział od swoich szpiegów, że Galowie są porywczy, niestali i skłonni do zdrady. Liczył się z tym.

Właściwie Kalpurnia powinna była pójść do westalek na trzydziestoletnią służbę bogini - myślała. Ze swoim proroczym darem nadawałaby się tam idealnie. Ale ojciec, Kalpurniusz Pizon, postanowił inaczej. I w gruncie rzeczy Cezar cieszył się z tego faktu, bo w swoim wieku i przy swoich ambicjach lepszej żony by nie znalazł. Jakkolwiek bowiem rozumiał się z Serwilią, jakkolwiek bywał w niej zakochany, to jednak, z różnych powodów, nie zamierzał się z nią żenić. Po pierwsze nie chciał wchodzić w rodzinę optymatów. Po drugie nigdy w życiu nie uzyskałby zgody Katona na poślubienie jego siostry. A poza tym Serwilia była dla niego za silna - była znakomitym materiałem na kochankę, ale kiepskim na żonę, bo Cezar nie miał ochoty wiązać się formalnymi więzami z kobietą, która do tego stopnia interesowała się polityką i pragnęła wywierać wpływ na mężczyzn. Była piękna, inteligentna i ambitna, ona i Cezar od wielu lat tworzyli parę - spotykali się okresowo, zrywali i wracali do siebie. Ale nie poślubiłby jej, nawet gdyby Katon nieoczekiwanie spadł ze Skały Tarpejskiej i się zabił, czego zresztą Cezar nieomalże mu życzył.

W zasadzie dla Cezara miłość była czymś bardzo osobistym.

Kochał Kornelię, ale też była ona jego pierwszą i jedyną prawdziwą miłością. Zakochał się w niej jako szesnastolatek, zerwał dla niej zaręczyny z Kosucją, ożenił się z nią w wieku lat siedemnastu i darzył ją szczerym, prawdziwym uczuciem. Gdy umarła, Cezarowi świat zawalił się na głowę, zgasło słońce, życie straciło sens. Po Kornelii nie potrafił już tak naprawdę obdarzyć miłością żadnej kobiety, nawet Serwili. Darzył je sympatią, namiętnością, ale miłości nie potrafił w sobie wzbudzić. Patrząc teraz na Kalpurnię, zdawał sobie sprawę, że ta kobieta jest dla niego najbardziej odpowiednią żoną, a przez to, że jej nie kocha, posiada nad nią władzę, jakiej nigdy nie miał nad Kornelią. Mimo to nie potrafił Kalpurni pokochać – jego serce umarło wraz z pierwszą żoną.

O drugiej, Pompei, wolał nawet nie wspominać.

Cezar wiedział, że kiedy wyjedzie do Galii, może spokojnie oddać dom pod władzę swojej żony. Kalpurnia nie zdradzi go, nie zrobi nigdy niczego wbrew jego woli, nie zachowa się skandalicznie, nie przyniesie mu hańby. I chociaż zdawał sobie sprawę, że zostawi tę kobietę na pięć lat w samotności, to jednak uważał, że gra jest warta świeczki i poświęcenia z jej strony. Zresztą pomimo całego swego uczucia dla żony, jakkolwiek by je nazwać, nie zamierzał dla nikogo ani dla niczego rezygnować ze swych planów wyjazdu do Galii.

*

Delegacja Germanów przybyła do Rzymu w początkach lipca. Ludzie wychodzili na ulicę, by zobaczyć tę osobliwość składającą się z Ariowista, jego dwóch małżonek, córek i świty zbrojnych, którzy najwyraźniej mieli za zadanie strzec swego wodza. Towarzyszyli im, rzecz jasna, niewolnicy, bo taki człowiek jak Ariowist nie przyjeżdżałby do Rzymu sam. Dla motłochu było to zjawisko, tym bardziej że przybyciu zacnego gościa miały towarzyszyć widowiska w cyrku i teatrze, oczywiście darmowe, a także uczyty na koszt państwa. Te ostatnie finansował Cezar, który w ten sposób, jak zwykle, starał się zjednać sobie kapryśny lud rzymski. Goście mieli się

zatrzymać w specjalnie na ten cel zarezerwowanych pokojach w Domus Publica, który był budynkiem przeznaczonym dla tego rodzaju delegacji.

Ponieważ było lato i żar dosłownie lał się z nieba, a większość patrycjuszy znajdowała się w swoich letnich willach, normalnie ulice nie były tak zatłoczone, tego dnia jednak każdy, kto tylko mógł, wylegał z domu. Na temat Germanów krążyły mniej lub bardziej ubarwione opowieści, więc teraz ludzie mieli okazję przekonać się sami, jak też naprawdę wyglądali owi barbarzyńcy z dalekiej północy. Już sam fakt, że nosili spodnie, rodzaj odzienia Rzymianom nieznany, budził zaskoczenie. Co prawda Rzymianie uważali spodnie za odzież niemęską, ale też nie znali chłódów północnych rejonów Europy. Tego rodzaju odzienie nosili też Partowie i Medowie, uważani przez Rzymian i Greków za zniewieściałych. Germanie nosili tkane koszule, na owłosionych ramionach dźwięczały im bransolety z brązu, długie blond włosy wiąźali z tyłu głowy, a długie brody mieli w misterny sposób zaplecione. Wyglądali straszliwie, ich krok był ciężki i miarowy, byli wysocy i potężni, budzili strach wśród ludu Rzymu.

Ich kobiety z kolei w oczach Rzymian były po prostu odpychająco brzydkie, chociaż żona Ariowista uchodzić mogła za piękność. Duże, rozłożyste, wysokie, prawie tak wielkie jak ich mężowie, jasnowłose lub rude, o białej skórze, groźne i krzykliwe, szorstkim, grubym głosem wypowiadały niezrozumiałe słowa w swym języku. Mężczyźni rzymscy zastanawiali się, jak też można wziąć sobie do łóża tego rodzaju virago! Najdziwniejszy jednak był fakt, że Germanie przybyli razem z kobietami do Rzymu, że Ariowist przywiózł swoje małżonki i córki, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, podczas gdy żaden grecki czy wschodni władca tak by się nie zachował. To było nie do pomyślenia! W świecie śródziemnomorskim prym wiedli mężczyźni, dla kobiet nie było miejsca w polityce.

Jeżeli jednak Cezar sądził, że będzie miał problem ze zrozumieniem germańskiego gościa, to musiał być mile

zaskoczony. Już bowiem pierwszego wieczoru, kiedy goście spożywali kolację w domu najwyższego kapłana i urzędującego konsula w jednej osobie, Ariowist zaskoczył swego gospodarza.

- Nie myśl, szlachetny Cezarze, że skoro nie jesteśmy Rzymianami, to ciąży na nas piętno barbarzyńców - odezwał się swoim grubym głosem. - Moja żona Grynilda i moja córka Adair doskonale władają twoim językiem.

W rzeczy samej brzydka jak Hekate żona Ariowista przetłumaczyła jego słowa zaskoczonemu Cezarowi.

Cezar ze swej strony podejmował gości jako urzędnik państwowy, towarzyszyło mu zatem dwunastu liktorów. Ponieważ był najwyższym kapłanem, przy kolacji obecna była również Kalpurnia, która teraz obserwowała swego męża spod na wpół przymkniętych powiek. W zasadzie nie tyle przymkniętych, ile po prostu skromnie spuszczonej. Podczas gdy żony i córki Ariowista czuły się za stołem jak ryby w wodzie, Kalpurnia wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Zajmowała pozycję półleżącą - jakkolwiek jeszcze pięćdziesiąt lat wcześniej kobiety siedziały na taboretach, podczas gdy miejsca na kanapach zajmowali wyłącznie mężczyźni - ale leżała ze złączonymi nogami i pięknie udrapowaną suknią.

Kobiety Ariowista, zachowując się zgoła odmiennie, przypominały Kalpurni przyczajone w swych legowiskach wilczyce. Zastanawiała się, która z nich pełni rolę wadery, i szybko to odkryła. Kobieta po prawicy wodza, niemłoda już, ale piękna, o wysokich kościach policzkowych, inteligentnym spojrzeniu, odziana w suknię farbowaną na zielono i naszyjnik z bursztynów.

Doprawdy mieli bursztyn!

Kiedy ta druga kobieta, brzydka, ale wyraźnie inteligentna (Kalpurnia poznała to po oczach), przetłumaczyła słowa Ariowista, na twarzy Cezara odmalowało się coś, co jego żona określała jako wyraz twarzy kota, który właśnie upolował mysz. Wprost czytała w myślach swego małżonka. Ariowist chciał się zapewne pochwalić, jaki to jest wykształcony i obyty w świecie, którym niby tak gardził, ale nieświadomie zdradził swój słaby punkt. Jeżeli Cezar kiedykolwiek zdecyduje się wszcząć przeciw

niemu kampanię, w pierwszej kolejności będzie dążył do pojmania jego znajdujących łacinę żony i córki.

- Znakomicie - odezwał się Cezar. - Ale muszę z przykrością cię poinformować, że twoje kobiety nie wejdą jutro do Kurii. U nas żony nie mieszają się w sprawy państwa i nie mają dostępu do polityki.

- U nas natomiast jest przeciwnie - odparł Ariowist, kiedy żona przetłumaczyła mu słowa gospodarza. - Kobiety walczą na wojnach, wieszczą, o ile bóg położył na nich swą rękę, a kiedy mężczyzna jedzie w bój, to kobiety rządzą całymi osadami. Nie widzimy powodu, by odsuwać je od tego, co stanowi część naszego życia.

No cóż - pomyślał Cezar. Może wasze kobiety mają dość rozumu albo wybitnie się nudzą na tych waszych hiperborejskich rubieżach, ale nasze w Italii są na tyle głupie albo przewrotne, że lepiej im nie dawać steru rządów, bo dopiero byśmy mieli tutaj politykę! Taką, jaką Arystofanes opisał w swej Lizystracie, albo i lepszą.

Cezar spoglądał na pierwszą małżonkę Ariowista z niekłamanym podziwem - ona odpowiadała mu dumnym spojrzeniem - jakkolwiek wiedział doskonale, że bałamucenie żony Germanina pod własnym dachem byłoby przejawem skrajnej głupoty. Ale ta kobieta podobała mu się. Miała charakter i była świadoma swej wartości. Kalpurnia była zupełnie innym typem, jej siła tkwiła w skromności i świadomości własnej pozycji w domu patrycjusza. Ta barbarzynka nauczona była rządzenia i rozkazywania. Ta druga, brzydsza, wyraźnie ustępowała jej miejsca.

- To moja małżonka Mergh - przedstawił Ariowist piękną kobietę. - A to nasza córka Lorelei. Gdy wrócimy na nasze ziemie, poślubi ona władcę Arwernów Wercyngetoryksa.

- Słyszałem, że Celtowie nie mają władców - zagaił Cezar z zainteresowaniem.

- Nie mają królów, to pewne - odparł Ariowist. - Mają natomiast naczelników, którzy zwykle są ze sobą skłóceni. Warto to wykorzystać, gdybyś przypadkiem był w Galii.

Cezar roześmiał się. Gdyby przypadkiem tam był!

- A to moja małżonka Grynilda i nasza córka Adair - ciągnął prezentację rodziny Ariowist. - Jest na razie za młoda na małżeństwo. Ma dopiero piętnaście lat.

Cezar miał ochotę pokazać mu swoją córkę Julię, ale przebywała ona w domu swego małżonka Pompejusza, a to nie była prywatna kolacja. Patrzył na Lorelei, niezwykle piękną dziewczynę o smutnym spojrzeniu, i poczuł do niej litość, bo domyślał się przyczyn mariażu. On sam nie był lepszy, wydając za mąż Julię, ale na szczęście wszystko dobrze się potoczyło. W tym przypadku podejrzewał, że Lorelei nie ma ochoty na związek z obcym mężczyzną. W jej spojrzeniu było coś, co nie dawało Cezarowi spokoju. Wiedział, że tej dziewczyny nie umiałby zabić ani wziąć do niewoli. Wiedział też, że ona do niewoli nie pójdzie. Przeniknął go dreszcz. Gdyby kiedykolwiek przyszło mu wojować z Ariowistem, nie chciałby trzymać w swoich rękach losu jego córek.

- To dla mnie ogromny zaszczyt, że otrzymam od waszego Senatu tak wspaniałe wyróżnienie - oznajmił Ariowist.

Cezar upił łyk wina i patrzył uważnie na swego rozmówcę. Tak, bez wątpienia był to dla niego zaszczyt. Nie każdy władca, a już zwłaszcza z Germanii, otrzymywał taki tytuł.

- Co ci on daje? - zapytał otwarcie. - Ochronę z naszej strony, to oczywiste, ale co jeszcze? Umocnisz dodatkowo swą pozycję na ziemiach Sekwanów?

- Czyżbyś miał coś przeciwko temu, Cezarze? Siedzisz po swojej stronie Alp, a jeśli nawet otrzymałbyś namiestnictwo Galii, to przecież twym obowiązkiem będzie pilnowanie spraw Republiki w granicach waszych posiadłości.

- Nie inaczej - przytaknął Cezar. - Ale chciałbym wiedzieć.

- No cóż. - Ariowist również upił łyk wina. - Nie jest tajemnicą, że od wschodu ciągną niezliczone rzesze obcych plemion, które powoli wypierają nas na zachód, za Ren. Aby nasze plemiona nie wyginęły, musimy mieć ziemię. A tak się składa, że za Wogezami ziemie są znakomite pod uprawę.

Tak, Cezar wiedział o tym od swoich informatorów. Wiedział też, że Germanie są rolnikami, im chodziło głównie o tereny pod uprawę. Chcieli zboża i jedzenia dla swoich. *Wędrowni*

obcych plemion - myślał - chyba nie przebiega tak intensywnie, bo w przeciwnym razie Germanie podejmowałyby bardziej radykalne działania. Ale też Cezar liczył się z tym, że nieznanne barbarzyńskie hordy zamieszkujące wschodnie rubieże Europy, tereny nieznanne Rzymianom, gdzieś daleko na północ od Dunaju i na wschód od Renu, prędzej czy później będą migrować na zachód. O tym, że na wschodzie żyły inne społeczeństwa, Cezar wiedział bardzo dobrze. I nie chodziło tylko o Indie, do których szlak był znany. Chodziło o kraje daleko, daleko na wschodzie, skąd sprowadzano między innymi jedwab.

Nie to jednak stanowiło sedno jego rozważań. Jeżeli plemiona germańskie będą się przesuwać na zachód, spowoduje to z kolei migracje plemion celtyckich. Ale przede wszystkim wywoła niepokój wśród tych Galów, którzy teraz pozostają na swoich ziemiach. Każdy pretekst był dobry. Cezar był zbyt wytrawnym i chłodnym politykiem, by tego nie wiedzieć i by to zignorować.

W duchu dziwił się swemu gościowi. Ariowist albo był pewny swego, albo potwornie naiwny. On, Cezar, zastanowiłby się ze sto razy, zanim podzieliliby się z cudzoziemskim politykiem takimi informacjami. A już nigdy w życiu nie powiedziałby takich słów tak otwarcie do człowieka, który w przyszłości mógłby okazać się jego przeciwnikiem. Sojusze bywały nietrwałe, historia tego uczyła, a on sam na własnej skórze doświadczył zmienności Fortuny i wiedział, że ktoś, z kim dzisiaj jadł wieczerzę, jutro mógłby się okazać najzagorzalszym wrogiem. Żeby nie szukać daleko, Pompejusz był zbyt mocno związany z optymatami i zbyt mocno ciągnęło go do Senatu, by można mu było w stu procentach ufać. Dzisiaj był z nimi poróżniony, ale Cezar zdawał sobie sprawę, że taka sytuacja nie będzie trwać wiecznie. On sam dostał swoje pięć minut i musiał bardzo się starać, by jak najlepiej je wykorzystać. Zanim wiatr nie zacznie wiać z innej strony.

Zauważył, że jego germańscy goście bardzo byli zawiedzeni potrawami, jakie przyszło im spożywać podczas wieczerzy. Cezar, jakkolwiek cenił zbytek i luksus, jeśli chodzi o potrawy

i życie codzienne, wierny był obyczajom przodków. Kolacja składała się głównie z ryb, warzyw, oliwek, sera i chleba. Oni pewnie byli przyzwyczajeni do innego rodzaju pożywienia, zapewne jedli dużo więcej mięsa i zboża. Konsul postanowił to zapamiętać.

- Dlaczego wydajesz swoją córkę właśnie za jednego z Arwernów? - zapytał po chwili. - Nie bliżej ci do Eduów? Albo do innych plemion? Remów, Belgów...

- Arwernowie są jednymi z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludów wśród Celtów - odparł Ariowist. - Kontrolują szlak wodny Rodanem do morza, ich ziemie leżą niemal w centrum Galii, mają blisko do waszej Prowincji i w ogóle ten sojusz jest ze wszech miar korzystny. Jeśli chodzi o Belgów, to oni nie dbają za bardzo o sprawy Galii. Izolują się. Są bitni, odważni, ale nie solidaryzują się zbyt z resztą Galów. W ogóle muszę ci powiedzieć, Cezarze, że Galowie są jak dzieci. Naiwni i łatwowierni, szybko zapalają się do bitwy, ale łatwo ich pokonać, bo rzucają na pierwszy ogień najlepszych i najbardziej bitnych ludzi, a potem zostają z niczym. Dziwni z nich ludzie. Gościnni i otwarci, to prawda, ale też strasznie zadufani w siebie. Nie masz pojęcia, jak łatwo jest obrazić Gala! Wystarczy powiedzieć, że jest słabeuszem, a taki już będzie cię wyzywał na udeptaną ziemię.

Cezar pił wino i słuchał. Ariowist opowiadał o swoich potyczkach z Sekwanami, o wielkich zrywach narodowościowych, które trwały krótko niczym majowe burze. Wychodziło na to, że aby pokonać Celtów, należało zabić ich wodza, a reszta wojsk rozpierzchała się niczym stado owiec bez przewodnika. Jego kobiety w niektórych momentach uśmiechały się drwiąco, zwłaszcza gdy Ariowist opowiadał, jak to celtyckie wojowniczkę chwyciły za broń - straszne i przerażające. Ale germańskie niewiasty wcale nie były gorsze, a wojskiem dowodziły nie gorzej od mężczyzn. Widocznie obie amazonki Ariowista brały udział w podobnych spektaklach.

Kiedy uczta dobiegła końca i Cezar wraz z Kalpurnią opuścili triclinium, by udać się do swej sypialni, Cezar zapytał małżonkę, co sądzi o gościach.

- Są zbyt otwarci moim zdaniem - orzekła Kalpurnia. - Albo są naiwni, albo chcą cię wciągnąć w zasadzkę, mężu.

- Też tak uważam. - Cezar pokiwał głową.

Przychylał się jednak do pierwszej opinii, mianowicie, że Germanie są po prostu otwarci, chociaż tak szydzą z otwartości i naiwności Celtów. Ich pragnienie imponowania i zaszokowania gospodarzy było aż nadto wyraźne. Niech sobie Rzymianie nie myślą, że takiego Ariowista, najlepszego i najdzielniejszego wśród ludów północy, można lekceważyć! To dlatego tak skwapliwie opowiadał o swoim wojsku, o waleczności Germanów i Galów oraz o przewadze, jaką, jego zdaniem, posiadali ci pierwsi nad tymi drugimi. Co do tego ostatniego Cezar nie był taki pewny, bo jakkolwiek Germanie mogli posiadać niezliczone rzesze wojowników za Renem, to Galowie znajdowali się na swoim terenie i z pewnością łatwiej było im skrzyknąć ogół wojowników i zarządzić wojnę. A poza tym sprowadzenie wojsk zza rzeki tak potężnej jak Ren wymagało z pewnością żmudnych przygotowań. No i nie było powiedziane, czy wszystkie plemiona tak chętnie podążą na wojnę i porzucą swoje pola uprawne. A o to przecież przede wszystkim władcy germańscy musieli zabiegać.

- Mam wrażenie, że on chce zagarnąć ziemie nie tylko Sekwanów, ale również Eduów i dlatego tak mu w smak tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego - powiedział Cezar bardziej do siebie niż do żony. - Będzie chciał podbić całą północną część Galii i tam osadzić swoich rolników. Weteranów wojennych. Da im za żony celtyckie kobiety i w ten sposób połączy dwie odrębne nacje. Niegłupi człowiek, rozumuje jak ongiś Aleksander.

- Niebezpieczny człowiek, Cezarze - wtrąciła Kalpurnia. - On jest bystry i inteligentny, pomimo swojej hybris, potrafi planować i przewidywać. Nie działa nierozważnie. Zauważ, że wybrał sojusz z tym plemieniem Galów, które uważa za najbogatsze i najlepiej położone. Z jednymi Galami toczy wojnę, z innymi się sprzymierza.

Cezar pozwolił, by niewolnik zdjął z niego togę. Trwało to dosyć długo, toteż miał chwilę na pozbieranie myśli. W jego

głowie powoli układał się plan i Cezar mógł mieć tylko nadzieję, że wszystkie elementy tej układanki w odpowiednim czasie będą do siebie pasowały. Ariowist byłby wspaniałym przeciwnikiem. Cezar wcale nie pragnął jego śmierci, ale pokonanie jego wojsk to dopiero byłby wyczyn!

Będę na ciebie patrzeć, Gajuszu.

Czy patrzy? Jeśli tak, to widzi wszystkie posunięcia polityczne Cezara i zna jego myśli. Cezar oficjalnie wyznawał religię państwową i nie opuścił ani jednej ceremonii, w której jego udział byłby niezbędny, chyba że w tym czasie przebywał na prowincji. Ale wierzył, bo chciał wierzyć, że jego zmarła żona faktycznie spogląda na niego z zaświatów, gdziekolwiek by się znajdowała, i że jest z niego dumna. Chciał tak myśleć, inaczej jego poczynania byłyby jałowe, bez sensu. Na co mu wieczna sława, skoro jej owocami nie może podzielić się z tą, którą kochał najbardziej na świecie?

Niewolnik poradził sobie z togą i tuniką swego pana, po czym Cezar zażył pospiesznej wieczornej kąpieli i wrócił do cubiculum, gdzie oczekiwała już na niego Kalpurnia. Cezar chciał, żeby dzielili ze sobą łożę, chociaż gdy był mężem Pompei, nie miał nic przeciwko temu, by tamta sypiała w osobnym łóżku. Lubił sypiać z Kalpurnią nie tylko dlatego, że była podniecającą młodą kobietą, ale ponieważ lubił jej obecność przy sobie. Promieniowała kobiecością, ciepłem i powabem.

- Ci Germanie to jednak barbarzyńcy - mruzczał, kładąc się do łóżka. - Jak można mieć jednocześnie dwie żony?

Kalpurnia nie odpowiedziała, ale zacisnęła usta. Być może mają dwie żony, to prawda, ale za to Rzymianie oprócz posiadania jednej małżonki chwalili się również posiadaniem tabunu kochanek. Sama nie wiedziała, co jest gorsze: dzielić się swoim mężem z drugą kobietą o podobnym statusie czy przymykać oko na fakt, że jest zdradzana z inną obywatelką rzymską. Bo uprawianie miłości z niewolnicami Kalpurnia uważała za coś najzwyczajszego w świecie, wszak niewolnicy stanowili własność pana, i jeżeli Cezar pragnął ulżyć sobie ze swoją rzeczą, jaką była niewolna kobieta, to proszę bardzo,

nie godziło się tego nawet wspominać.

Cezar jednak był inteligentny i zrozumiał w lot wymowne milczenie żony.

- No tak - zaśmiał się, przygarniając ją do siebie. - Ty byś pewnie nie zniosła takiej sytuacji, w której miałbym w łóżku dwie żony.

Kalpurnia zgasła lampkę oliwną.

- Nie, Cezarze - szepnęła z pasją. - Wbiłabym jej sztylet w serce.

Cezar przyjął tę odpowiedź z zadowoleniem.

*

Uroczystości nadania tytułu Przyjaciela Narodu Rzymskiego rozpoczęły się zwyczajem Rzymian od wróżb i modlitw. Jednym i drugim przewodniczył Cezar, który - jako się rzekło - łączył funkcję najwyższego kapłana i urzędującego konsula. Ariowist uczestniczył w ceremoniach w charakterze biernego obserwatora, jako że nie wolno było cudzoziemcowi kalać obyczajów przodków Rzymian. Jego żony i córki w ogóle nie miały wstępu do świątyni Jowisza Najlepszego Największego, kiedy modlili się tam senatorowie, ale Adair, jako tłumacz, została dopuszczona do późniejszych ceremonii.

Ponieważ rzadko nadawano tak zaszczytny tytuł cudzoziemcom, a już w ogóle po raz pierwszy w historii stało się to udziałem Germanina, Senat postanowił złożyć w ofierze bogom byka. Rzecz jasna, ofiary dokonywał Pontifex Maximus u stóp świątyni. Wybranego byka przygotowano starannie. Cezar musiał orzec, że zwierzę spełnia wszelkie warunki, to znaczy nie jest chore i nie ma żadnych podejrzanych znamion ani zmian na ciele. Pozłożono mu rogi, a na szyję założono wieniec laurowy.

Cezar, jako najwyższy kapłan, musiał znać się na składaniu ofiar. Najpierw odprawił modły do Jowisza, po czym podszedł do zwierzęcia i ofiarnym nożem uciął nieco sierści z jego łba i spalił ją w ogniu ofiarnym. Następnie dał bykowi do zjedzenia święte zboże i odprawił kolejną modlitwę. Najgorszym etapem

składania ofiar było uśmiercanie zwierzęcia, ale z tym również musiał sobie poradzić Cezar. Byk otrzymał cios między rogi specjalnie do tego przygotowaną dwusieczną siekierą, która była na tyle tępa, by zwierzę zostało jedynie ogłuszone, po czym najwyższy kapłan poderżnął mu gardło i spuścił krew do uprzednio przygotowanego naczynia. Powietrze przesyciły ciężkie opary krwi. Szata Cezara została zbryzgana krwią, ale on specjalnie się tym nie przejął. Jako najwyższy kapłan nieraz musiał składać ofiary bogom, a niekiedy przy ważniejszych świątach składano ofiarę potrójną: ze świni, wołu i owcy. Taka ofiara nosiła nazwę *suovetaurilia* i składana była Marsowi. Wówczas kapłan musiał się namęczyć, a najgorsze ze wszystkiego było szlachtowanie poświęconej bogom świni. Cezar miał zawsze nieodparte wrażenie, że biedne zwierzę doskonale wiedziało, co je czeka, i dlatego stawiało zaciekły opór.

Byk został następnie odarty ze skóry i wypatroszony. Mięsem ofiarnym zajęli się kapłani niższej rangi, podczas gdy Cezar wróżył z wątroby zwierzęcia. Wróżenie z wnętrzości zwierzęcych należało do sfery wierzeń etruskich, które Rzymianie niejako odziedziczyli. Chociaż Etruskowie po długoletnich wojnach zostali przez Rzymian pokonani, a dwanaście potężnych etruskich miast ostatecznie zostało wcielonych do Republiki, kultura etruska bynajmniej nie poszła w zapomnienie, ale dokonała się jej zadziwiająca asymilacja z wierzeniami i kulturą Latynów i Sabinów, od których koniec końców pochodzili Rzymianie. Cezar jednak nie zastanawiał się nad tym zbyt wiele, grzebiąc w parujących wnętrzościach byka. Na wątrobie dostrzegł znamiona i plamy. Oznaka wojny. Wiedział już, że z tym człowiekiem przyjdzie mu się kiedyś zetrzeć w boju, ale niekoniecznie musiał o tym informować lud rzymski. Tym bardziej że nie wierzył w żadnych bogów. Istniał terakotowy model wątroby wołowej, który pokazywał, w jaki sposób należy interpretować wszelkie zmiany i oznaki. Cezar znał ów model na pamięć, uczył się go, kiedy jeszcze w młodości był kapłanem Jowisza.

- Bogowie przyjęli ofiarę - oznajmił oczekującym

senatorom.

Senatorowie mogli sobie nienawidzić Cezara, ale kiedy nakładał on strój najwyższego kapłana, czerwone buty pontyfika i purpurową togę, którą ponadto nakrywał głowę, musieli okazywać należyty szacunek. Rzymscy patrycjusze byli zbyt przesądni, by obrażać kapłana, a już tym bardziej najwyższego z nich, który sprawował pieczę nad innymi kolegiami. Dlatego też Cezar mógł bez większych przeszkód oznajmić „wolę bogów” i nie zagłębiać się zbytnio w szczegóły.

Po złożeniu ofiar następowała zwykle uczta, jednak tym razem należało najpierw udać się do Kurii, gdzie na nadzwyczajnym posiedzeniu Senatu miało się odbyć nadanie Ariowistowi tytułu Przyjaciela Narodu Rzymskiego. Zadanie to przypadało najstarszemu z senatorów, noszącemu zaszczytny tytuł Princeps Senatus. On, przeprowadzając całą ceremonię, na wniosek urzędującego konsula uroczyście odczytywał po łacinie akt nadania tytułu, po czym wręczał go odznaczonej osobie. Tak było i tym razem. Dokument ten sporządzony był po łacinie i po grecku, żeby w całym świecie śródziemnomorskim, gdziekolwiek Ariowist by się udał, wszyscy wiedzieli, z kim mają do czynienia. Co prawda sam zainteresowany niewiele pewnie z tego tekstu rozumiał, ale też Ariowist miał córkę, która mogła mu ów dokument przetłumaczyć.

Ariowist był pierwszym przedstawicielem plemienia Swebów, któremu przypadł w udziale zaszczyt wzięcia udziału w zgromadzeniu Senatu, a także pierwszym Germaninem, który otrzymał zaszczytny tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego. Senatorowie zgromadzeni w Kurii przypatrywali mu się z nieskrywanym zainteresowaniem. Zapewne niektórzy z nich odczuwali trwogę na widok potężnego, dzikiego mężczyzny ubranego po barbarzyńsku, z długimi blond włosami splecionymi w warkocz i z długą brodą. Głos miał Ariowist donośny, a jego mowa była szorstka w porównaniu ze śpiewnym językiem Rzymian. Niektórzy poszeptywali, że Ariowist winien był przywdziać strój rzymski, czyli togę, nie sposób było jednak wyobrazić go sobie w takim ubraniu. Inni zastanawiali się, jak

też wyglądać muszą pozostali Swebowie, skoro ich wódz przeraża swą dzikością.

Ariowist z uroczystym wyrazem twarzy odebrał z rąk Princepsa Senatu dokument, który bardzo ułatwiał mu życie w Galii, po czym wygłosił mowę dziękczynną i pieśń pochwalną na cześć Rzymian, którą Adair bezbłędnie przełożyła na łacinę. I znowu rzymski patrycjat zdumiał się, że mieszkańcy dalekiej północy nie są jednak do końca nieokrzesani i dzicy, skoro nawet kobiety znają tam łacinę.

Gdy wszelkie oficjalne uroczystości dobiegły końca, przystąpiono do uczy. Rzecz jasna jedzono mięso ofiarne zarżniętego rano byka, a ucza odbywała się na koszt państwa. Ariowist jako gość honorowy zaszczycony został najlepszą sztuką mięsa. Igrzyska, wyścigi rydwanów w cyrku oraz przedstawienia teatralne cieszyły lud rzymski jeszcze przez kilka dni. Wódz Swebów uczestniczył we wszystkich imprezach i można powiedzieć, że był wielce usatysfakcjonowany.

Kiedy odjeżdżał pod koniec lipca, Cezar z zadowoleniem spoglądał za jego wozem wyładowanym teraz prezentami i kosztownościami. I on, i Ariowist wiedzieli, że to tylko gra, że to pozory, że każdy z nich załatwił swój interes i że każdy z nich otrzymał de facto to, co chciał. Cezar po cichu liczył na to, że przyznanie wodzowi Germanów tytułu Przyjaciela Narodu Rzymskiego wywoła oburzenie wśród Galów, że prędzej czy później i tak już nadmierna pycha Ariowista zaprowadzi go wreszcie na manowce, a on, Cezar, będzie mógł tę sytuację wykorzystać.

A wódz Swebów wracał na ziemie Sekwanów, które zajmował od ponad dwóch lat, z uczuciem triumfu. To, co ci naiwni Rzymianie dawali mu za bezcen, otworzy przed nim drzwi do jeszcze łatwiejszego podboju Galów. Teraz wyda Lorelei za wodza Arwernów i dzięki temu umocni swoją i tak już wybitnie mocną pozycję w Galii. Nic nie było w stanie zmącić dobrego humoru Ariowista, kiedy w piękny letni dzień opuszczał Wieczne Miasto i udawał się w długą drogę powrotną do Galii.

I Chodzi o starożytną nazwę Prowansji, która wówczas stanowiła prowincję rzymską (Provincia Romana lub Galia Przedalpejska).

IV

Lorelei nie do końca wiedziała, czego spodziewać się po swoim nowym mężu ani tym bardziej po Arwernach. Rzecz jasna ojciec i matka przygotowali ją dobrze do pełnienia roli szpiega w domostwie Wercyngetoryksa, niemniej jednak Lorelei do tej pory zbyt zajęta była innymi sprawami, by interesować się Celtami. To jej siostra Adair lepiej niż ona nadawała się na oczy i uszy Ariowista. Lorelei jechała konno, podobnie jak młodsza siostra, przy czym orszakiem starszej dowodził Jorg, a ojciec jako posag przeznaczył jej dwa wozy wyładowane kosztownościami, skórą, bronią i znakomitym winem z winnic znad Renu.

Tak naprawdę w czasie tej podróży Lorelei skupiała się bardziej na osobie Jorga niż na myśleniu o swojej nowej roli. Hulda powiedziała jej, że nie doczeka się z Wercyngetoryksem dziecka i w zasadzie Lorelei była za to wdzięczna losowi. Nigdy nie przepadała zbyt za dziećmi, jakkolwiek zdawała sobie sprawę, że jako kobieta powinna urodzić przynajmniej jedno. Gdyby już koniecznie przyszło jej posiadać dziecko, na jego ojca bez wahania wybrałaby Jorga, a nie jakiegoś celtyckiego księcia, kimkolwiek by on był. Nie kochała Wercyngetoryksa, nie chciała go i samą powinność małżeńską względem niego uważała za rzecz ohydną. Jej ciało i umysł pragnęły Jorga i gdyby dano jej wybór, nie zastanawiałaby się ani sekundy.

Wspominała w podróży swą niedawną wyprawę do Rzymu, gdzie jej ojciec odebrał tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego. Podobało jej się to miasto, nade wszystko jednak spodobał jej się gospodarz, ów Cezar. Nie z wyglądu bynajmniej, ale z obejścia, zachowania, zaimponowała jej jego inteligencja. Był

to bez wątpienia człowiek, z którym należało się liczyć – to zauważyła nawet Lorelei. Zresztą jej matka Mergh także zwróciła na to uwagę, dodając przy okazji, że ten człowiek jest strasznym lubieżnikiem, co ukrywa skrzętnie pod maską obojętności.

- Patrzył na mnie w taki sposób, jakby mnie już widział leżącą na jego łożu – skomentowała Mergh. - To prawdziwy samiec.

Lorelei była dziewicą, głównie dzięki staraniom jej ojca, by wydać ją za mąż czystą i nietkniętą. Od dziecka wiedziała, że jej główne przeznaczenie polegać będzie na zawarciu dla swego ojca jakiegoś korzystnego sojuszu. Na to człowiek miał córki, by je odpowiednio wydać za mąż, i Ariowist pod tym względem wyjątku nie stanowił. Los obdarzył ją nieprzeciętną urodą, toteż zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później przypadnie jej w udziale jakiś znakomity – zdaniem Ariowista – małżonek. Bynajmniej jej to nie cieszyło. Ale jadąc do domu z podróży do Italii, po raz pierwszy usłyszała, jak jej matka wypowiada takie słowa:

- Lorelei, pamiętaj, jeżeli kiedykolwiek przyszłoby ci w życiu stanąć oko w oko z tym człowiekiem – mówiła matka – z tym Cezarem, a różne i nieprzewidziane są boskie wyroki, nie czekaj, aż on uczyni z ciebie swoją niewolnicę. Zabij się. Ten Rzymianin traktuje kobiety jak trofea, a ciebie, skoro jesteś taka piękna, zechce mieć w łożu. Nigdy mu na to nie pozwól.

Lorelei pomyślała, że matka opowiada niestworzone historie, bo przecież nie do pomyślenia było, żeby jakiś

Rzymianin, nieważne, czy obecnie sprawujący władzę konsul, czy zwykły senator, chciałby zapuszczać się na północne rubieże i zagarniać nic nieznaczącą dla Rzymu ziemię. Tak jej się wydawało.

- A skąd możesz wiedzieć, czy on kiedykolwiek przybędzie do Galii, matko? – zapytała.

Mergh popatrzyła na swą córkę spod oka. To prawda, że Lorelei była piękna, ale niestety niezbyt roztargnięta, skoro pytała o takie sprawy. Ona, Mergh, nie uczestniczyła w rozmowie, wiedziała tylko tyle, ile Grynilda tłumaczyła

Ariowistowi, ale już z samej tej rozmowy dość jasno wynikało, że Cezar jest zainteresowany najazdem na Galię, i to w dość niedługim czasie. Szkoda – pomyślała Mergh w zadumie. *To Adair lepiej nadawałaby się na żonę dla Wercyngetoryksa i chyba tylko dlatego, że bogowie poskąpili jej urody, Ariowist zdecydował się oddać Lorelei. Bo celtyckiemu księciu nie było zapewne obojętne, którą z córek dostanie za żonę.*

Potem, po przyjeździe do domu, spakowano rzeczy Lorelei, piękne skrzynie, dary dla przyszłego małżonka, ubrania, biżuterię, broń, a także namioty na czas podróży, i córka Ariowista udała się w długą podróż do kraju Arwernów, by tam połączyć się ze swym nowo poślubionym małżonkiem. W tej podróży ochraniać miał ją Jorg, z czego akurat dziewczyna była zadowolona. Miała jej również towarzyszyć siostra Adair, co cieszyło Lorelei już znacznie mniej. Nie lubiła młodszej siostry, chociaż nie miała ku temu powodu, gdyż na dworze Ariowista to starsza zajmowała lepszą pozycję z racji urodzenia. Adair była córką zbiegłej niewolnicy, podczas gdy matka Lorelei pochodziła z szacownego rodu, a przede wszystkim urodziła się wolna.

Jorg jechał głównie na czele karawany, jakby nie chciał lub nie mógł przebywać zbyt długo w jej towarzystwie, i ten demonstracyjny chłód, jaki jej okazywał, stanowił dla Lorelei źródło żalu i smutku. Jechała na swoje wesele z miną godną żalobnicy, ale też nie miała powodów, żeby cieszyć się ze swego dalszego losu. Uświadomiła jej to Adair już pierwszego dnia podróży, kiedy tylko opuściły ziemię Sekwanów.

– Widzisz, siostrzo, byłaś pierwsza na dworze Ariowista, ale u Wercyngetoryksa będziesz ledwie drugą żoną – zauważyła pogodnie, ale spojrzenie miała nienawistne. – Zobaczysz wtedy, jak to jest, kiedy inna kobieta tobą pomiata.

Lorelei udała, że tego nie słyszy, i wprawnie prowadziła wierzchowca. Wiedziała, że lepiej będzie milczeć, jako że akurat w tej kwestii Adair miała rację. Wcześniej ona sama wiele razy dawała jej do zrozumienia, gdzie jej miejsce. Mimo że Adair rozumem przewyższała starszą siostrę co najmniej o klasę, to jednak jeśli chodzi o urodę i urodzenie, stała

znacznie niżej. Gdyby nie była taka brzydka, to ona jechałaby teraz jako panna młoda, tymczasem ojciec dał jej za zadanie szpiegowanie na dworze swego nowego szwagra, oficjalnie zaś jechała jako tłumacz swej starszej siostry. Jakkolwiek Adair pragnęłaby zamiany miejsc, to jednak uważała, że jej zadanie jest o niebo lepsze. Przynajmniej nikt nie będzie jej upokarzał.

Starsza siostra szukała wzrokiem Jorga. Adair śledziła jej spojrzenie i nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu. Nie była zła z natury, w miarę jednak jak oddalały się od ojcowizny, rosła w niej chęć dokuczania Lorelei i mszczenia się za poniżanie, jakiego doznawała z jej strony. *Zobacz, księżniczko, jak to jest spaść z piedestału – myślała złośliwie. Zobacz, jak to jest, kiedy nie możesz dostać tego, czego pragniesz najbardziej na świecie.*

Za sprawą sobie tylko znanych sposobów Adair wiedziała, że Lorelei odwiedziła zimą chatę Huldy. Mało co uchodziło przed byстрыm wzrokiem młodszej córki Ariowista. Wiedziała też, w jakim celu Lorelei tam poszła. Nie żeby ją to specjalnie interesowało, ale dobrze znać czułe punkty swego przeciwnika. Była na tyle bystra, by widzieć ukradkowe spojrzenia, jakimi Jorg od czasu do czasu obdarzał Lorelei. I wiedziała, co się za tym kryje.

- Jorg odjedzie, jak tylko dotrzemy do Gergowii - powiedziała zjadliwym tonem. - Ojciec kazał mu wracać. Jest najlepszym zbrojnym i doskonałym szpiegiem. Nie myśl sobie, że będzie nas niańczył u Wercyngetoryksa.

- Milcz, Adair - odparła wreszcie Lorelei. - Nie kazano ci się odzywać.

- Ty nie kazałaś - mruknęła Adair, poprawiając się w siodle. - Ale nie jesteś moją panią ani ja nie jestem twoją służką. Mam do wypełnienia zadanie dla naszego ojca tak samo jak ty.

O tak - pomyślała Lorelei ze złością. Ty nie będziesz musiała kłaść się z obcym człowiekiem i udawać, że jesteś z tego zadowolona.

Z twarzy Adair nie znikał pełen złośliwości uśmiech.

Trzeciego dnia podróży znaleźli się w dolinie Rodanu, skąd wiódł dobrze utrzymany trakt handlowy na południe. Siostry ze zdumieniem obserwowały ruch na rzece. Na południe, w stronę morza, płynęły barki obładowane bronią, skórą, złotem i brązem; wracały zaś stamtąd statki bogate w amfory, piękne tkaniny, przyprawy nieznane w ich zimnej ojczyźnie – mówiąc krótko, kwitła tu wymiana handlowa. Ariowist tęsknił do takiego świata, pragnął zaznać dóbr śródziemnomorskiej cywilizacji, chciał chodzić w purpurze i jedwabiu sprowadzonym z zamorskich krain, pragnął nardowych olejków i kadzidła, pragnął italskiego wina, chociaż nigdy o tym nie mówił. Lorelei stanowiła klucz do sukcesu, ale i tak była przed nim jeszcze długa droga.

Rodan wił się niczym błękitny wąż po zielonej równinie, jego wody latem były spokojne, rozlewały się szeroko i gładko. Na obu brzegach rozpościerały się wioski i pola, kraina Arwernów, dzięki położeniu między masywnymi górami a doliną rzeki, była bogata i żyzna. Kontrolowali wodny szlak na południe. Ponieważ lato stało w pełni, pola złociły się i srebrzyły od dojrzewających kłosów. Lorelei zdumiała się, widząc to wszystko, i zrozumiała, dlaczego jej ojciec tak bardzo pragnął uprawnych pól południa.

Ostatniej nocy przed przybyciem do Gergowii zatrzymali się na nocleg tuż nad rzeką, w miejscu, gdzie tworzyła ona małe zakole. Jorg otoczył wozy i namioty strażą, tak jak czynił to przez ostatnie trzy noce, po czym osobiście dopilnował, by rozstawiono namioty kobiet w samym centrum obozu. Obchodził strażę od zewnętrznej strony, ciesząc się, że stacjonują na skraju lasu, gdyż żaden nieprzyjaciel nie mógł się do nich dostać po cichu ani niepostrzeżenie. Gdy miał już wracać, ciemność obok niego niespodziewanie ożyła i drobna dłoń zacisnęła się wokół jego nadgarstka.

- Lorelei - szepnął zdumiony. - Nie powinnaś...

- Adair śpi - szepnęła dziewczyna. - Dosypałam jej do wina zioła od Huldy. Szpieguje mnie od początku naszej podróży. Nie chciała, żebym miała okazję z tobą pomówić.

- O czym chcesz mówić? - westchnął Jorg. - O przyszłości,

której nie ma? Jedziesz w ramiona innego, Lorelei. Będziesz żoną Wercyngetoryksa, który jest najznamienitszym wśród Arwernów.

Lorelei czuła jego oddech tuż przy swoim policzku i z trudem hamowała się, żeby nie zarzucić mu rąk na szyję i nie przywrzeć całym ciałem do jego silnej postaci. Sama nie wiedziała, kiedy uświadomiła sobie swe uczucie do niego, które jak dotąd objawiło się pod postacią nieprzejednanej tęsknoty. Lorelei nie sądziła, że może istnieć więcej, a jednak istniało, i pragnienie, by go poczuć, wypełniało ją coraz bardziej i mocniej.

- Jorg, ja wrócę któregoś dnia - powiedziała rozgorączkowana. - Hulda mi wróżyła. Powiedziała, że zostanę żoną tego księcia Arwernów, ale potem wrócę i zostanę przy tobie.

- Hulda?! - roześmiał się Jorg. - Wierzysz w przepowiednie tej starej wiedźmy?!

Lorelei patrzyła na niego poważnym wzrokiem. Mimo ciemności Jorg mógł dostrzec w jej oczach niemal fanatyczny blask.

- Wierzę w to, co ona mówi - szepnęła. - Gdyby było inaczej, jak mogłabym poddać się losowi i rozkazom mojego ojca?

Jorg nie odpowiedział. Od dawna wiedział, że Lorelei nie jest dla niego, ona stworzona była do wyższych celów, a w każdym razie Ariowist nigdy nie dał mu do zrozumienia, że chętnie widziałby go w roli swego zięcia. To, co do niej czuł, skrywał głęboko pod maską surowości, ale myśli o tej dziewczynie nawiedzały go w nieprzespane noce, nie dawały odetchnąć, toteż zatracał się w bojach i walkach, aby zagłuszyć głos serca i zapomnieć o swych pragnieniach. Ponieważ był mężczyzną i nie mógł zapanować nad swą naturą, brał kobiety, ale każda z nich miała w nocy twarz Lorelei i rano, kiedy budzili się razem na futrach, każda z nich była obcą osobą. Teraz zaś eskortował ją w podróży do jej męża, a jedynym, czego pragnął, było znalezienie się obok niej. To uczucie jednak też w sobie tłumił.

- Lorelei, nie chcesz chyba powiedzieć, że uciekniesz od tego celtyckiego wielmoży i wrócisz do domu? - zapytał głucho. - Wiesz, że Ariowist zabije cię za taki czyn.

- Ariowist obiecał mi, że to małżeństwo jest niczym więcej jak sojuszem politycznym, który kiedyś wygaśnie - odparła Lorelei. - Jorg, w przeciwnym razie wybrałabym sztylet lub truciznę. A Hulda powiedziała, że kiedyś będę mogła wrócić i dostanę cię.

- Po co mi to mówisz? Nie wiesz nawet, czy ja tego chcę.

- Gdybym nie wiedziała, nie odważyłabym się w ten sposób z tobą rozmawiać. Kobiecie nie przystoi wyjawiać swoich uczuć. Ale ja chciałabym, żebyś na mnie czekał, chociaż to samolubne i z pewnością nie mam prawa żądać od ciebie takiej ofiary. Chciałabym, żebyś czekał, bo w duszy należę tylko do ciebie. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Lorelei wiedziała, że mówi prawdę. Jakkolwiek ten obcy celtycki wojownik mógł osiąść jej ciało, to jednak nigdy nie będzie posiadał jej duszy ani serca. Ono zostanie z Jorgiem aż do jej powrotu.

Zbrojny Ariowista zawahał się przez moment, po czym niepewnie wyciągnął rękę i dłonią nawykłą do dzierżenia miecza dotknął gładkiej skóry na policzku Lorelei. Nieskończenie delikatnie przyciągnął dziewczynę do siebie, uniósł jej twarz ku sobie i pocałował ją. Lorelei zabrakło tchu, nogi się pod nią ugięły i upadłaby, gdyby nie podtrzymały jej jego silne ramiona. Wszystko wokół stało się słodkie i cudowne, jakby unosiła się w zaczarowanej mgłę, gdzie cały świat kołysał się i drżał. Ciemność wokół niej ożyła i stała się namacalna, dłonie Jorga błędziły wzdłuż jej ciała, a ona poddawała się ich dotykowi, ulegała nieznannej mocy, sile, która promieniowała z tego mężczyzny i czyniła ją całkowicie poddaną.

On pierwszy oprzytomniał.

- Lorelei, musisz zostać dziewicą - wymamrotał i odsunął się od niej gwałtownie.

Dziewczyna odczuła to niemal jako ból. W jednej chwili był tak blisko, w następnej odsuwał się od niej, jakby go parzyła. Jej poruszone, rozbudzone zmysły drżały niespokojnie, pragnęła

czegoś, czego nie umiała nazwać po imieniu, ale wiedziała z opowieści, co to takiego.

- Co za różnica - szepnęła, przysuwając się do niego. - Myślisz, że temu człowiekowi aż tak na mnie zależy, żeby dbać o takie szczegóły?

Jorga ogarnęło współczucie dla niej. Jechała jako gwarancja sojuszu, ofiarna owieczka, jako przypieczerowanie paktu między dwoma wodzami, nie zaś jak kobieta do ukochanego mężczyzny. Jorg, obserwując swoje plemię, a także inne narody europejskie, zastanawiał się czasami, czy miłość ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie, a jeśli nie, to dlaczego bogowie w swym okrucieństwie skazali na nią człowieka i naznaczyli go tym piętnem, rozkazując mu szukać swej drugiej połowy, czasem bezskutecznie. Dlaczego Lorelei, kochając jego, Jorga, musiała oddać się w ręce innego człowieka, który dbał nie tyle o nią, ile o pakt z jej ojcem. W oczach tamtego Lorelei pozostawała jedynie dodatkiem, była warta tyle samo, co każda z jego nałożnic. Jorg na tyle znał obyczaje Celtów, by wiedzieć, że władzę w klanie sprawowała zawsze pierwsza żona, druga zaś, jeśli się pojawiała, miała za zadanie odciążać pierwszą w pracy i obowiązkach domowych, ewentualnie dać męskiego potomka, jeżeli pierwsza żona nie mogła. Lorelei była córką Ariowista, dumną i piękną, teraz zaś wydała mu się bezbronna jak mała dziewczynka.

I Jorg wiedziony instynktem opiekuńczym, a także innymi uczuciami, które pochodziły z jego duszy, wziął ją w ramiona i utulił jak dziecko, chociaż pragnął czegoś zgoła innego. Jej prężne, gibkie ciało drżało w jego objęciach. Jorg chciał zdjąć z niej ciężkie suknie, położyć ją na ziemi i kochać bez opamiętania, ale wiedział, że pakt musi zostać przypieczerowany, a Wercyngetoryks ma dostać dziewicę, nietkniętą wcześniej córkę wodza Swebów. Nie wiedział, na ile Celtowie przywiązują wagę do dziewictwa, ale wolał tego nie sprawdzać.

- Poczekam na ciebie, Lorelei - wyszeptał w jej srebrzyste włosy. - Choćby całą wieczność. Nawet jeśli wrócisz od niego jako staruszka, pomarszczona i siwa. Poczekam na ciebie i nie

związę się z żadną inną kobietą.

Słone łzy spłynęły po twarzy córki Ariowista.

- Kocham cię, Jorg! - szepnęła w ciemność.

Uścisk jego ramion przybrał na sile.

*

Nazajutrz dotarli do Gergowii.

Lorelei nie oczekiwała hucznego powitania, ale na spotkanie wyszła jej delegacja składająca się z najbliższej rodziny pana młodego, czyli jego dwaj przyrodni bracia, a także bracia mleczni i niewolnicy, którzy mieli za zadanie eskortować orszak germańskich gości. Lorelei nadziwić się nie mogła, jak dwaj bracia mogli być między sobą tak różni. Dopiero później dowiedziała się, że Celtillognatos i Brennus pochodzili z dwóch różnych matek, ale też takie same zwyczaje praktykowane były u Swebów.

Po wymianie uprzejmości, za pośrednictwem Adair, delegacja ruszyła dalej. Orszak przejechał przez miasto, które Lorelei wydało się hałaśliwe i cuchnące (takie było w istocie), i ruszył do wsi, gdzie władzę sprawował Wercyngetoryks. Panna młoda starała się nie wyglądać na nieszczęśliwą, ale niezbyt jej się to udawało. Nie mogła jednak zapanować nad ciekawością, podobnie jak jej siostra, która w przeciwieństwie do niej znakomicie orientowała się w celtyckiej mowie i rozumiała, co bracia Wercyngetoryksa mówią do siebie. Komentowali oni wspaniałą urodę Lorelei i zastanawiali się, co też na oblubienicę powie pierwsza żona ich brata.

- Nie będzie zachwycona, to pewne - stwierdził Brennus. - Widzę, że nasz braciszek ściągnął na swoją głowę kłopoty.

- Nie gadaj głupstw! - odparł starszy brat. - Nasz ojciec też miał wiele kobiet i żyły ze sobą w zgodzie. Moja matka, co prawda, była jedynie nałożnicą, ale posłusznie ustąpiła miejsca Geillis, a twoja matka też nie sprawiała problemów i nie żądała dla siebie więcej, niż mogłaby dostać.

- Być może - mruknął Brennus. - Ale pamiętaj, bracie, o jednym istotnym fakcie: Gwynn kocha Galvana ponad

wszystko. Geillis nie szła w małżeńskie łóżce z miłości, a moja matka też początkowo była nałożnicą, toteż nie mogę powiedzieć, by darzyła naszego ojca gorącym uczuciem. Natomiast ta dziewczyna kocha swego męża i będzie o niego walczyć. Pewnie Galvan zawarł korzystny sojusz z tym Ariowistem, skoro jest on przyjacielem Rzymian i dał bobu Eduom, ale żeby od razu żenić się z jego córką, to nie było zbyt mądre.

- Uatah natomiast uważa, że to dobre posunięcie - odparł Centillognatos, który jako druid na wyższym stopniu wtajemniczenia miał znacznie częściej okazję do spotkań z Uatah niż Brennus.

- Och, a jakże inaczej - roześmiał się Brennus. - Uatah najchętniej odesłałaby wszystkie żony Galvana do piekieł albo straciła ze skały.

Certillognatos rzucił spojrzenie na Adair i stwierdził, że dziewczyna przysłuchuje się im z uwagą. Tak, oczywiście, przecież rozumiała ich mowę, była tłumaczem swej pięknej siostry. Przywołał ją gestem dłoni. Odziany był w białą szatę druida, ale u boku miał przepasany miecz. Jako nieodrodny syn Celtyllusa odznaczał się silną budową, był barczysty, wysoki i potężny, miał ciemnoblonde włosy i brodę w tym samym odcieniu. Rysy twarzy odziedziczył po ojcu, dość grube, ale regularne i czyste. Adair podjechała do niego z mieszanymi uczuciami.

- Jesteś jej siostrą, prawda? - zagaił Certillognatos. - I rozumiesz naszą mowę?

- Rozumiem mowę Celtów, Brytów i Rzymian - odparła Adair. - Moja matka mnie nauczyła.

- I jesteś tutaj w roli tłumaczki swej siostry? Nie jesteście z jednej matki?

- Nie. To chyba widać - mruknęła Adair.

Certillognatos westchnął ciężko.

- Mój brat miał już kiedyś żonę poślubioną dla celów, że tak powiem, politycznych - zaczął. - Kapłankę, kobietę, z którą mógł się związać na rok. Teraz ma drugą żonę, Gwynn, i mają trójkę dzieci. Nie sądzę, by małżeństwo z twoją siostrą miało

być czymś więcej niż sojuszem. Ale Gwynn nie pozwoli wejść sobie na głowę, toteż jeśli twoja piękna siostra pragnie żyć tutaj w spokoju, niech schodzi żonie Wercyngetoryksa z drogi i lepiej, żeby zajęła należne sobie miejsce, bo nie potrzebujemy tu wojny zamiast sojuszu.

- Słyszałam pewną baśń, którą opowiadali sobie mieszkańcy Hellady - zaczęła Adair niepewnie. - O wojnie wywołanej przez kobietę.

- Tak, tak, dziecko drogie, w Rzymie i Grecji znane są pieśni Homera - zaśmiał się Celtillognatos. - Ich kupcy docierają również do nas, jeśli o tym nie wiesz, cała Massalia jest greckim miastem. Znam te pieśni, a w każdym razie ich fragmenty, i wiem, o co ci chodzi. Oby twoja siostra nie okazała się drugą Heleną, przez którą mój brat poróżnił się z twoim ojcem. Tego nam jeszcze brakuje, żebyśmy zamiast paktu mieli tutaj wojnę.

Adair milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ty mi wyglądasz na rozsądną osobę - ciągnął druid. - W przeciwieństwie, wybac mi, do niej. - Wskazał głową na Lorelei. - Szczerze mówiąc, gdybym był Ariowistem, dałbym memu bratu za żonę ciebie, bo choć urodą nie grzeszysz, to jednak posiadasz bystry rozum, co widać. Zatem pilnuj tej ślicznotki. Zbyt dużo problemów mamy we własnym narodzie, żeby jeszcze dodatkowo kłócić się z innymi, a już szczególnie ze Swebami. Możesz odejść.

Adair posłusznie odjechała, a do Celtillognatosa podjechał zdumiony Brennus.

- Czy ty rozum postradałeś, żeby w ten sposób z nią rozmawiać?! - zbeształ brata. - Nie wiesz, czy ona przypadkiem nie szpieguje dla Ariowista.

- Ależ oczywiście, że szpieguje - zaśmiał się Celtillognatos. - I bądź pewien, że tak jest lepiej. Niech myśli, że z nas takie prostaki, które jej dobrze radzą. W nosie mam to, jak te dwie kobiety będą się do siebie odnosić. To sprawa Galvana, żeby nie skakały sobie do oczu. A co się tyczy Uatah, to powinna rozstać się ze swoją żalobą po naszym bracie i zacząć myśleć rozsądnie. Scatah miała głowę na karku i nie mieszała uczuć

z obowiązkami, ale jej córka jest ulepiona z innej gliny.

Kondukt jechał dalej. Adair zamyślona spoglądała na jadących przed nią druidów, ale nie powtórzyła rozmowy z nimi swojej siostrze. Ostatecznie Lorelei nie musi wiedzieć, że Celtowie ją przejrzeni, ani nie musi słyszeć niezbyt chwalebnych komentarzy pod adresem samej Adair. Niech sobie jedzie ze wzrokiem utkwionym w Jorgu i myśli, że nikt tego nie widzi.

Adair nie wiedziała, że na nią samą los też gotuje pułapkę, i to w sposób zupełnie nieprzewidziany.

*

Galvan uparł się, że pojedzie przywitać swą nową małżonkę, ale nie wziął pod uwagę uporów swojej obecnej żony. Gwynn wprost pieniała się ze złości i słyszeć nie chciała o takim układzie, toteż ostatecznie Galvan ustąpił jej dla świętego spokoju i czekał grzecznie w domu, a po Lorelei wysłał swoich braci, by dziewczyna nie sądziła, że przybywa oto do jego domu niczym nałożnica.

Z Gwynn nie chciał się kłócić. Już raz dyskutował z nią na ten temat i wiedział, że jeśli chodzi o córkę Ariowista, Gwynn nie ustąpi ani o milimetr. Instynktownie nienawidziła tej dziewczyny, chociaż Galvan brał ją tylko i wyłącznie jako dodatek do paktu - dodatek, który zaproponował mu sam Ariowist. Tego dnia, kiedy Lorelei miała przyjechać, Gwynn demonstrowała od rana swoje niezadowolenie, ale jako że nie uchodziło, by żona oficjalnie podważała zdanie swego męża, demonstracje te ograniczały się do czterech ścian domostwa, względnie do obejścia. Galvan zastanawiał się czasem, dlaczego tak bardzo złościł ją fakt, że bierze sobie drugą żonę, przymykała zaś oczy na jego kontakty z nałożnicami, chociaż wiedziała, że sobie tego nie odmawiał, zwłaszcza gdy ona była brzemienna lub w połogu.

Tego uroczystego dnia przybyła do nich również Uatah, której zadaniem było dokonanie ostatecznego obrzędu zaślubin. Nie wyglądała na zadowoloną i chyba po raz pierwszy Galvan miał okazję zobaczyć te dwie kobiety zjednoczone w niechęci

do niego samego. Jakkolwiek Uatah jako kapłanka doradzała mu mariaż z Lorelei, to jednak drzemiąca w niej była żona z trudem znosiła fakt, że w życiu Galvana pojawić się ma kolejna kobieta.

Dzień włókł się niemiłosiernie i praktycznie rzecz biorąc, Galvan nawet nie zauważył przygotowania do wieczornej uczy, w której mieli wziąć udział członkowie jego rodziny, także Evar i Ruten. Evar, rzecz jasna, wyraziła swoje niezadowolenie z faktu, że Galvan bierze drugą żonę, ale Ruten, jak na mężczyznę przystało, traktował tę okoliczność jako coś naturalnego. Wszak mężczyźni miewają po kilka żon, to normalne, dlaczego zatem kobiety czynią z tego takie wielkie przestępstwo?! Ruten podejrzewał, że inaczej sprawy by się miały, gdyby kobietom pozwolono posiadać więcej niż jednego męża – na to chętnie by przystały, ale z kolei mężczyźni nie życzyli sobie konkurentów do płodzenia potomstwa. Jeżeli żona brała już sobie kochankę, a była na tyle sprytna, by robić to skrycie, za plecami męża, patrzono na to przez palce, o ile pilnowała się, by w kołysce leżało tylko legalne potomstwo.

Troje dzieci Galvana hasało po biesiadnej sali, aż wreszcie piastunki musiały interweniować. Bliźniaki raczkowały po wysypanej świeżym sianem podłodze, natomiast Drust biegał między nogami dziewczek służących, aż któraś wreszcie potknęła się i wylała świąteczne wino na klepisko. Harmider jakby nie docierał do uszu Gwynn, która zazwyczaj pilnowała porządku w biesiadnej izbie. Tego dnia jednak zdawała się nieprzytomna, a w każdym razie nie reagowała na nic, nawet nie ugościła jak należy Uatah.

Wreszcie jednak na dziedzińcu rozległa się wrzawa i Galvan zrozumiał, że oto przybyła jego oblubienica. Poprawił torkwes na szyi i wyszedł, aby powitać córkę Ariowista.

Na dziedzińcu zamarł.

Germański wojownik właśnie pomagał zejść na ziemię dziewczynie o zjawiskowej urodzie, ale tak smutnym spojrzeniu, że serce krajało się na ten widok. Lorelei o srebrnych włosach, smukłej kibici i jasnoniebieskich oczach wywoływała wzruszenie i czułość nawet u tych, którzy nie

zamierzali odczuwać niczego takiego. Gwynn stała obok Galvana, ale na widok Lorelei coś ścisnęło jej gardło i Gwynn pomyślała, że nie jest winą tej dziewczyny, iż tu przybyła. Zapewne wcale tego nie chciała, to mądrzy ludzie podjęli za nią decyzję, a ona mogła jedynie podporządkować się swemu ojcu. Nie dano jej wolnego wyboru, nie mogła zadecydować sama o sobie, jak ongiś Gwynn. Nawet Geillis zapytano o zdanie, a ona świadomie zgodziła się poślubić Celyllusa, natomiast Lorelei postawiono przed faktem dokonanym.

Drugą osobą, która na dziedzińcu zamarała, była Adair. Młodsza córka Ariowista nie spodziewała się, że wódz Arwernów okaże się dwudziestokilkuletnim młodzieńcem ani tym bardziej że obdarzony będzie tak fascynującą urodą. Długie pszenicznoblond włosy splecione miał w warkocze, twarz o czystych, regularnych rysach kusila, by jej dotknąć, intensywnie błękitne oczy prześlizgiwały się po obecnych na dziedzińcu ludziach, a kształtne usta już rozciągały się w szerokim uśmiechu.

Adair nigdy w życiu nie widziała nikogo piękniejszego niż ten celtycki książę. Był idealny, przewyższał sobą wszystko, co do tej pory widziała w swym młodym życiu. Na to matka jej nie przygotowała. Galvan był rzeczywiście wyjątkowo urodziwym mężczyzną i tak młoda i niedoświadczona dziewczyna jak córka germańskiego wodza w okamgnieniu uległa jego zachwycającej urodzie. Tak jak kiedyś Uatah, tak jak Gwynn, tak samo Adair padła ofiarą jego piękna. Tylko Lorelei pozostała niewzruszona, jej uroda Galvana nie porażała, ona szukała wzrokiem spojrzenia Jorga, czego nie dostrzegł zafascynowany Galvan, a co od razu zauważyła zarówno Gwynn, jak i Uatah. Również Geillis przechwyciła spojrzenie nowej synowej i zrozumiała, że to małżeństwo stanowić będzie wyłącznie związek polityczny. O miłości ze strony Lorelei raczej nie mogło być mowy.

W końcu jednak Galvan się opamiętał. Wystąpił do przodu i dwornie powitał swą żonę.

- Witaj w moim domu, żono - odezwał się. - Obyś zaznała tu szczęścia i pomyślności. Wszystko, co moje, od tej pory

należy również do ciebie. Czuj się jak we własnym domu.

Adair beznamiętnym tonem przetłumaczyła słowa Galvana. Rzecz jasna dostrzegła, że nie spuszcza on wzroku z jej siostry, i naraz musiała przełknąć kulę dławiącą ją w gardle. Poczua się brzydka i nic nieznacząca, była nikim, niczym innym jak tylko tłumaczem, cieniem swej siostry, brzydszą, niechcianą córką Ariowista, której żaden mężczyzna nigdy nie zapragnie do łóża.

- Dziękuję, mężu - odparła Lorelei czystym jak kryształ głosem. - Mój ojciec przysłał ci podarunki i pragnie przypomnieć o wiążącym was sojuszu.

Ani słowa o szczęściu czy radości. Kpina w spojrzeniu jasnych oczu. O czym ty mówisz, celtycki wojownik? O pomyślności? Tutaj? Lorelei widziała przecież wrogość w oczach jego żony, widziała niechęć w oczach kapłanki. Będzie tu zawsze cudzoziemką, córką potencjalnego wroga, który na chwilę, na okoliczność, zawarł sojusz z jednym z Arwernów, bo wydało mu się to ze wszech miar korzystne. Ale co się stanie, jeśli sytuacja się zmieni, jeśli powieje wiatr z południa, jeśli zza Alp nadciągną ciemne, złowrogie chmury?

- Niezła sztuka, bracie - mruknął Celtillognatos, kiedy orszak gości wchodził do domu na ucztę. - Piękna i dworna.

Galvan uśmiechnął się zażenowany i w tym samym momencie spojrzał w oczy Gwynn. To, co w nich wyczytał, sprawiło, że poczuł nagły ścisk w żołądku. Nie była to niechęć ani nienawiść, był to żal tak jawny, że Galvan przez chwilę pragnął cofnąć czas i odwołać całe to małżeństwo. W oczach Gwynn stał się zdrajcą, pomimo zapewnień o miłości z niekłamanym pożądaniem patrzył na obcą kobietę.

Ale w oczach Gwynn czaiło się coś jeszcze. Jakby zapowiedź odwetu. W jednej chwili Galvan zrozumiał, że jego żona nie jest już bynajmniej tamtym nieśmiałym, zakochanym dzieckiem, lecz stała się świadomą swej wartości i pozycji kobietą. I gdy tamta młoda dziewczyna uległaby mu we wszystkim, kobieta, która teraz spoglądała na niego w milczeniu, nie godziła się na takie traktowanie. Gwynn nie była taka jak Geillis, nie życzyła sobie drugiej żony u boku swego męża, nie akceptowała

w jego łożu innej kobiety, o ile nie była to niewolnica.

Jako ostatnia do sali biesiadnej zmierzała Uatah. Na jej ustach błąkał się pełen kpiny uśmieszek, ale głębokie bruzdy po obu stronach ust świadczyły o bólu i goryczy.

- Dobry sojusz, Galvanie - szepnęła. - Ale czy jesteś pewien, że chcesz zapłacić za niego cenę?

Zielone oczy byłej żony załśniły złotawo i na Galvana spłynęło przeczucie nadciągających konsekwencji. Było to tak silne doznanie, że wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu ciarki. Jako ostatni wszedł na swoją weselną ucztę.

*

Tej nocy Galvan nie położył się na posłaniu obok Gwynn. Aby małżeństwo mogło uchodzić za zawarte, musiał je dopełnić w łożu świeżo poślubionej małżonki. W trakcie uczy Lorelei sprawiała wrażenie zagubionej, Gwynn natomiast nie raczyła odezwać się do swego męża ani jednym słowem. Galvan miał wrażenie, jakby znalazł się na bezludnej wyspie, po raz pierwszy w życiu był samotny wśród tłumu i stwierdził, że samo wdrapanie się na szczyt władzy nie jest tak trudne, jak samotne na tym szczycie bytowanie. Nie był już jednym z biesiadników, był gospodarzem, najwyższym naczelnikiem, głową rodu, przywódcą. Ludzie zgromadzeni na jego uczcie byli jego poddanymi, jakkolwiek nazywał ich własnym plemieniem. Miał to, czego chciał, ale kiedy siedział w pięknych szatach, ze złotym naszyjnikiem, złotymi bransoletami, otoczony swymi małżonkami, wasalami i klientami, sojusznikami i rodziną, wspominał mądre słowa Scatah o goryczy, jaką niesie władza.

- U szczytu władzy jesteś samotny, Galvanie - mówiła mu którejś spędzanej wspólnie z nim nocy. - Czujesz tylko żal i pustkę i nagle to, czego tak pragnąłeś i do czego dążyłeś, jawi ci się jako ciężar, jako kajdany u twych nóg. Twój ojciec był nimi spętany i ty również będziesz.

Galvan leżał wówczas u jej boku i rozkoszował się dotykiem jej ciała, ale jednocześnie drżał ze strachu przed tą kobietą, której tak bezgranicznie pożądał.

- Więc dlaczego tak pragniesz mnie na ten szczyt zaprowadzić? - zapytał.

- Bo takie jest twoje przeznaczenie - odparła Scatah, wodząc palcami po jego nagiej piersi. - Nie uciekniesz przed nim.

Czy jego przeznaczeniem było tkwienie samotnie na własnej uczcie, w otoczeniu najbliższych osób, które nagle okazywały się obce? Czy to jego ukochana Gwynn siedziała po jego prawicy? Żona, do której dotarł w końcu pomimo trudności, którą nauczył się kochać miłością dnia codziennego. Czy to Uatah, jego pierwsza młodzieńcza miłość, jego tęsknota i namiętność, czy tylko wyniosła, obca kapłanka o twarzy naznaczonej zmarszczkami goryczy, pomimo że nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat? Między jej rudymi brwiami widniały dwie głębokie kreski, a wokół ust wyraźnie malowały się pionowe linie i naraz Galvan przypomniał sobie, że podobne widział wyryte na gładkiej poza tym twarzy Scatah, kiedy ucztowała z nimi w czasie ich inicjacji.

Czy u niego też się takie pojawiają, gdy będzie siedział na swym naczelnikowskim tronie?

Czyż jego pierwszym krokiem na drodze do władzy nie było zabicie morderców ojca i usunięcie stryja? Czyż nie zostało to zaplanowane? Czy taka była cena przywództwa? Samotność i gorycz?

Goście wszakże bawili się i cieszyli na ślubnej uczcie Wercyngetoryksa tak jak ćwierć wieku temu bawili się zapewne na weselu Celyllusa. Nie co dzień pojmuje się za żonę księżniczkę Germanów, córkę wodza zza Renu, o którym wśród Arwernów, wśród zwykłych chłopów, krążyły jedynie plotki. Lorelei była tak piękna, że mężczyznom świeciły się oczy, a niejeden zapewne pragnąłby ją widzieć w swoim łożu, i tak smutna, że serce się krajało. Jej młodsza siostra podejmowana była z wszelkimi honorami, ale nie dało się ukryć, że jest tutaj osobistością numer dwa, że swej pięknej siostrze nie dorasta do stóp.

Bursztynowe oczy Uatah świdrowały go zza stołu. Kapłanka odziana była w piękną zieloną szatę, która podkreślała ich

głęboką barwę. Czy Aife, gdy dorośnie, będzie mieć oczy takiego koloru? Czy będzie siać grozę i postrach jak jej babka Scatah? Czy gdyby Galvan nie był naznaczony swym przeznaczeniem nie do uniknięcia, mógłby w spokoju cieszyć się rodzinnym życiem u boku swej żony i patrzeć, jak rosną jego dzieci? Czy gdyby Uatah urodziła syna, Galvan któregoś dnia ujrzałby go w zastępie druidów? Czy jego syn zostałby jego doradcą? Syn, o którym nic by nie wiedział? Czy Aife dorastać będzie na wyspie Sein w otoczeniu dziewięciu kapłanek, które raz do roku dokonywały straszliwej ofiary bogom? Czy zostanie wyszkolona w starodawnej sztuce i wiedzy, a potem przeżyje swoje życie z kamiennym sercem w piersi, zraniona ostrzem pierwszej i jedynej miłości?

Tak - zdawało się mówić spojrzenie Uatah - zazdrościłeś mojej matce potęgi i władzy, zazdrościłeś jej godności, zatem posmakuj, jak to jest, kiedy gorycz wykrzywia ci usta, a ty musisz wyginać je w uśmiechu i nie dać po sobie poznać, jak bardzo w środku cierpisz i jak bardzo chciałbyś być zwykłym, szarym człowiekiem.

Choć uczta trwała nadal, Galvan musiał opuścić swe paradne miejsce i udać się ze swą świeżo poślubioną małżonką do łożnicy. Aby uniknąć wszelkiego rodzaju plotek, musiało się to dokonać na oczach biesiadników, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że nie widział, jak wódz szedł konsumować małżeństwo. Odprowadzała ich Uatah, z pochodnią w ręku. Galvan przypomniał sobie, jak przed kilkoma laty jego i Gwynn odprowadzał druid, który potem błogosławił ich związek. Ironią losu wydało mu się, że jego nowej żonie ma błogosławić jego była żona.

Ale spojrzenie Uatah niemal przez cały czas było spojrzeniem kapłanki z Sein, niczym więcej. Jej dłonie, które w błogosławieństwie dotykały głowy Galvana, a potem głowy Lorelei, były rękami kapłanki przelewającej moc, głos wypowiadający zaklęcia był zimny i beznamiętny, mimo to przez ułamek sekundy Galvan dostrzegł w jej oczach wyraz cierpienia i znowu poczuł pragnienie, by cofnąć czas i obudzić się w dolinie Scatah w ramionach swej młodej oblubienicy z tym

poczuciem bezgranicznego szczęścia, które go wówczas wypełniało.

Uatah wyszeptała słowa błogosławieństwa do końca i zamknęła za sobą drzwi. Galvan i Lorelei zostali sami w ciemności rozpraszanym jedynie światłem oliwnej lampki. Po raz pierwszy w życiu Galvan nie wiedział, jak się zachować w stosunku do kobiety, bo nie znał jej języka, a nie mógł przecież prosić jej siostry o tłumaczenie. Pora ku temu była raczej niestosowna. Miewał wprawdzie kochanki, nałożnice i niewolnice, ale zawsze potrafił się do nich odezwać, a poza tym kładąc się z niewolnicą, kierował się bardziej własnym pragnieniem niż jej przyjemnością, tutaj zaś nie mógł się zachować jak bezrozumny samiec, bo córka Ariowista była z pewnością dziewicą, a poza tym sprawiała wrażenie tak bezbronnej, że Galvan obawiał się wyrządzić jej krzywdę.

Ale pragnął jej, gdyż była piękną kobietą, i nie potrafił swego pragnienia ukryć.

Lorelei jednak wiedziała, co do niej należy, bo sama bez jego słów zdjęła z siebie swą piękną szatę i stanęła przed nim całkowicie naga, z rozpuszczonymi srebrnymi włosami, smukła i gibka, olśniewająco piękna swą dziewiczą urodą.

Jej uległość zdumiała go, ale szybko odnalazł się w sytuacji i ściągnął z siebie ubranie. Kiedy jednak legł na niej i odnalazł do niej drogę, zrozumiał, że tego aktu będzie musiał dokonać w całkowitej samotności, bo kobieta, z którą się zespolił, nie chce do niego należeć nawet cieleśnie, nawet przez krótki moment. Chociaż była piękna i pociągająca, nie chciała dzielić z nim iskry życia, pozostawała bierna i cicha w jego objęciach, a kiedy było po wszystkim, zobaczył na jej twarzy łzy płynące nieprzerwanym strumieniem. Chciał ją pocieszyć, ale Lorelei odsunęła się, dając do zrozumienia, że między nimi nie ma i nie będzie więzi innej niż tylko sojusz polityczny, a ona, jakkolwiek będzie mu posłuszna, to jednak nie zapala do niego uczuciem i nie okaże mu niczego poza uprzejmością i uległością.

Galvan, leżąc w ciemnościach i nasłuchując oddechu swej nowej żony, wracał myślami do nocy spędzonych ze Scatah, która przecież nie kochała go, dla której był nikim więcej jak

tylko uczniem, ale która oddawała mu się i brała go z całą dozą namiętności, dla której zespolenie cielesne było aktem boskim i koniecznym w niekończącym się kręgu życia. Wspominał noce z Uatah wypełnione miłością i radością, wreszcie noce z Gwynn, kiedy jej szeroko otwarte oczy zachodziły mgłą pożądania i rozkoszy, kiedy jej usta szeptały w uniesieniu jego imię, kiedy ich oddechy łączyły się w rozedrganych momentach całkowitej ekstazy.

Czy cena sojuszu z Ariowistem nie była zbyt wysoka?

Tej nocy Galvan zaznał gorzkości samotności i oddałby wiele, aby znaleźć się w ciepłych i zmysłowych ramionach Gwynn. Wiedział jednak, że idąc do łóżka z Lorelei, na zawsze zniszczył coś pomiędzy nim a tamtą małżonką. I kiedy to sobie uzmysłowił, poczuł nieutulony żal za czymś, co posiadał i co stracił bezpowrotnie za cenę przywództwa.

*

Jak czuje się żona, wiedząc, że jej mąż, mężczyzna, którego kocha, spędza noc w objęciach innej? W dodatku w ramionach kobiety, która również jest jego żoną, poślubioną na tych samych prawach, która zajmuje usankcjonowane prawem równorzędne miejsce w jego domu?

Gwynn nienawidziła ongiś pierwszej żony Galvana, Uatah, nienawidziła jej z całego serca, uczuciem gwałtownym i dziecinnym, leżąc jednak samotnie w ciemności na swojej połowie pośłania, które normalnie dzieliła z Galvanem, zrozumiała, że jej nienawiść była zbyt duża i nie na miejscu. Uatah tak samo była kiedyś żoną Galvana, tak samo go kochała i tak samo cierpiała, kiedy ona, Gwynn, zajęła jej miejsce, a przecież Uatah i Galvan nie rozstali się bynajmniej dlatego, że ich uczucie wygasło, ale ponieważ wymagały tego twarde i nieugięte prawa Celtów. Uatah była kapłanką, a Galvan synem wodza Arwernów - mogli zawrzeć uświęcony związek na dwanaście miesięcy, po czym musieli się rozstać.

Ale Gwynn poślubiła Galvana z miłości, nawet jeśli jej ojciec uważał ten mariaż za świetny interes i doskonały polityczny

sojusz. Galvan pochodził wszak ze znakomitego rodu, jego koneksjami rodzinnymi i klanowymi nie można było pogardzić, a sam Ruten miał wówczas tylko jedną córkę na wydaniu (młodsze siostry Gwynn były za małe na zamążpójście). Taka gratka nie co dzień się zdarzała.

Nic nie zmieniało faktu, że Gwynn kochała Galvana miłością potężną i równie dziecinną jak jej nienawiść do Uatah. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy na ukwieconej łące któregoś dnia późnego lata, zakochała się bez pamięci, a że siedemnastoletnie dziewczęta ciężko przeżywają swą pierwszą miłość, Gwynn cierpiała z powodu nieodwzajemnionego uczucia. I nagle okazało się, że Galvan pragnie jej za żonę, nie ze względu na nagle odkrytą w sobie miłość do niej, ale z bardziej prozaicznych przyczyn. Tak czy inaczej chciał ją dla siebie i ona zgodziła się bez wahania.

Dopiero później zrozumiała, jak pochopna była jej decyzja. Małżeństwo z Galvanem bynajmniej nie było usłane różami. Jasne stało się dla Gwynn, że on nadal darzy uczuciem swą pierwszą żonę, chociaż jej samej również okazywał troskę, sympatię i czułość. Naprawdę starał się być dobrym mężem – był troskliwy i oddany, pełen dobroci i zrozumienia, a nocami oboje dawali sobie wiele radości – myślami jednak trwał przy Uatah i tego Gwynn nie mogła mu wybaczyć aż do dnia, w którym urodziła bliźnięta. Wtedy Uatah zraniła go do głębi, zabierając jedno z dzieci, a on zrozumiał, że to Gwynn jest mu teraz najbliższą istotą.

Całą zimę spędzili w przekonaniu, że należą do siebie, aż któregoś dnia Galvan oznajmił jej swój zamiar zawarcia sojuszu z Ariowistem i pojęcia za żonę jego córki. Do tej nocy, która teraz nastąpiła, Gwynn miała wrażenie, że tkwi w upiornym, nierzeczywistym śnie, ale od chwili, gdy ujrzała Galvana opuszczającego salę biesiadną z tą germańską ladacznicą, trwała w złudnej nadziei, że się z niego przebudzi. Nikogo nie nienawidziła tak jak Lorelei, nawet jeśli ta dziewczyna wzbudzała w niej jednocześnie wzruszenie i tkliwość. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie, że ten związek Galvana to jedynie sojusz, że on nie kocha córki Ariowista, którą brał sobie

w czasie, gdy Gwynn z różnych względów nie mogła iść z nim do łóżka.

Nałożnice nic jej nie obchodziły. Istniały od zawsze – jej ojciec posiadał ich kilka i matka nigdy nie zrobiła mu z tego powodu awantury, nigdy mu nie wypomniała ani jednej nocy spędzonej w ramionach niewolnic. To było tak, jakby korzystał ze swej broni, dosiadał ulubionego konia lub oddawał się innym niewinnym uciechom. Ale posiadaniu drugiej żony Evar się sprzeciwiła, chociaż z Rutenem nie wiązało jej płomienne uczucie. To ona była małżonką i żadna inna kobieta nie miała prawa zająć jej miejsca u boku męża.

Gwynn nie dbała o niewolnice, z którymi Galvan sypiał. Skoro ona mu nie wystarczała i on musiał ulżyć sobie z innymi kobietami, które poza tym nic go nie obchodziły, to niech sobie ma te chwile przyjemności. Gwynn nadto miała zajęć z trójką dzieci, by móc zawsze być do jego dyspozycji. Po porodzie bliźniąt trudno jej było dojść do zdrowia, toteż nie zwracała uwagi na chwilowe kochanki swego męża. Ale czym innym było zabawianie się z niewolnymi dziewczkami, a czym innym spanie u boku drugiej żony.

Gorące łzy spływały Gwynn po twarzy. Ile razy jeszcze on złamie jej serce, a ona mu wybaczy? Dlaczego musi mu wybaczać? Uważał on swoje czyny za jak najbardziej naturalne, to było jego niezbywalne prawo, podczas gdy ona musiała leżeć w samotności, w zimnym łożu, zraniona i odepchnięta, niechciana, niegodna nowego sojuszu, z którym przeklęty Galvan tak się obnosił.

Drzwi do jej sypialni skrzypnęły i ktoś wszedł do środka. W pierwszym odruchu Gwynn chciała poderwać się z łoża, bo sądziła, że to Galvan wrócił, ale ten ktoś stąpał lekko jak kot po drewnianych deskach pokrytych słomą.

Wokół kobiety unosił się zapach sosnowych szpilek i ziół.

Uatah.

Co ona robiła w sypialni Gwynn i Galvana? Jakim prawem tu weszła?!

Ale to była ona, kapłanka – milcząca i poważna. Wspaniałe miedziane włosy opadały jej luźno na ramiona, odziana była

w zwykłą niefarbowaną szatę, niezwiązaną żadnym sznurem. Bosa przykucnęła przy pościeli, zielonobłękitne oczy lśniły w półmroku.

- Gwynn - szepnęła - nie jest łatwo być jego żoną.

Uatah była od niej starsza, była starsza nawet od Galvana. Przez szczeliny w ścianach do środka sączyły się promienie księżycy, tak że w granatowym mroku Gwynn mogła dostrzec jej twarz. Była piękna, tak jak piękna była jej matka Scatah, była przerażająca w swej surowości, ale usta nosiły piętno gorzkości, a wzrok pozbawiony był radości.

- Szłaś w jego objęcia ogarnięta miłosnym uniesieniem, ale szybko pojęłaś, że on nie da ci szczęścia, że nie zaznasz przy nim prawdziwej radości, prawda? - Uatah się uśmiechnęła. - Ja też go kochałam. Nadal go kocham. Moje serce krwawi, kiedy na niego patrzę. I ja też mu uległam i szłam do jego łóżka, wiedząc, że zapłacę za to straszliwą cenę złamanego serca. Gwynn, moja matka ostrzegła mnie przed tą miłością i tym związkiem, a jednak kochałam go tak mocno, że zostałam jego żoną, urodziłam mu dziecko i spędziłam u jego boku jeden jedyny rok prawdziwego szczęścia. Teraz życie straciło barwy, a ja jestem nikim więcej jak zabawką w rękach bogów, karzącą ręką Cerdiwen.

- Po co mi to mówisz?! - zapytała Gwynn ze złością. - Po co tu przyszedłaś?!

- Bo wiem, co czujesz, moja droga. Nie żywię do ciebie urazy ani nienawiści, nie mogę, bo to nie ja, ale przeznaczenie zdecydowało, że odeszłam od Galvana i że ty z nim jesteś. - Kapłanka usiadła na pościeli. - Przyszedłam, żeby spędzić z tobą tę noc - szepnęła. - Jesteśmy siostrami, żonami jednego mężczyzny, obie urodziłyśmy mu dzieci, nie powinnaś sama zostawać tej nocy, kiedy on dopełnia swego obowiązku z Lorelei.

Gwynn przesunęła się na pościeli, robiąc miejsce Uatah, ale sama siebie nie rozumiała. Nie wiedziała, czy jest bardziej spragniona pocieszenia, czy towarzystwa drugiej osoby.

- Uwierz mi, Gwynn, on nie zazna z nią radości - powiedziała Uatah, układając się na miejscu, które zazwyczaj

zajmował Galvan. - Lorelei jest dla niego jedynie pieczęcią. To nie jest żona, to gwarancja nienaruszalności paktu.

- To ty go namówiłaś na sojusz z Ariowistem - stwierdziła Gwynn. - Dlaczego?

- Bo jest to obecnie sojusz korzystny - odparła Uatah. - Ci dwaj potrzebują się wzajemnie. Ale nie martw się, przyjdzie moment, kiedy równowaga sił zostanie zachwiana. Ariowist jest teraz przyjacielem Rzymian, a Galvan, jeśli opowie się najpierw po jego stronie, a potem nie będzie za bardzo mieszał się w sprawy rzymskie, zyska kilka lat spokoju. Chociaż i tak nie uniknie swego przeznaczenia. Moja matka je poznała, ale ja uważam, że pochoptą decyzją byłoby rzucanie się w wir wydarzeń zaraz na początku.

- O czym ty mówisz, Uatah? - zdenerwowała się Gwynn. - O przepowiedni Scatah na temat wybrańca, który zjednoczy Celtów?

- Właśnie o tym. Moja matka przypłaciła życiem swoją misję skierowania Galvana na właściwą drogę. Ja nie chcę zniweczyć jej dzieła, a widzę, że Galvan jest w gorącej wodzie kąpany. Lepiej niech jeszcze poczeka, zanim rozpęta się tu pożoga.

Gwynn opadła na posłanie.

- Uatah - szepnęła - mówisz o rzeczach dla mnie niepojętych. Wyjaśnij mi.

- Za rok o tej porze Rzymianie wkroczą do Galii - powiedziała Uatah spokojnie. - I od Galvana będzie zależało, czy pozwoli im zająć nasze ziemie, czy też, zanim weźmie w ręce wodze przeznaczenia, zdecyduje się poczekać i poznać lepiej przeciwnika. Gwynn, ten człowiek, którego widziałas w snach, przybędzie tutaj z ogniem i mieczem. Bądź na to gotowa.

Sny! Gwynn niejasno pamiętała swoje sny sprzed kilku lat. Miewała je, kiedy była w ciąży z Drustem, widziała rzeczy niepojęte, których nie rozumiała.

- Dlaczego Rzymianie pragną tu wejść? - zapytała jak naiwne dziecko. - I co ma wspólnego z Rzymianami sojusz z Ariowistem?

Uatah uśmiechnęła się i pogładziła twarz Gwynn uspokajającym gestem, jakby chciała pocieszyć dziecko.

- Zobaczysz. Przekonasz się.

Gwynn nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kapłanka zataja przed nią sprawy, które były istotne. Nie rozumiała, co dobrego w obliczu inwazji rzymskiej przynieść może sojusz z Germanami, ale najwidoczniej taki właśnie był plan Uatah - przebiegły, perfidny i... zawily. Zastanawiała się też, jaka jej przypadnie w tym planie rola, ale jakiś głos w jej sercu podpowiadał jej, że lepiej się tego nie dowiadywać.

Silne ramiona Uatah otoczyły ją i przytuliły i wkrótce Gwynn zasnęła. Kapłanka jednak nie spała, czuwała całą noc, wiedząc, że niebawem już nadejdzie czas, kiedy przepowiednia, w którą wierzyła jej matka, zacznie się wypełniać.

V

Cena przywództwa była ogromna - jak wielka, tego Cezar przewidzieć nie mógł. Nie chodziło bynajmniej o brzemię władzy ani o konieczność podejmowania decyzji, to bowiem Cezar potrafił znieść, ale o niezrozumienie ze strony Senatu i ludzi w nim zasiadających. Dowiódł tego boleśnie. Kiedy w styczniu Cezar obejmował urząd, miał gotowy cały pakiet nowych ustaw, które bezwzględnie należało przegłosować, a następnie wcielić w życie.

Jedną z pierwszych istotnych reform była powracająca stale od ponad pół wieku, o ile nie dłużej, reforma agrarna. Problem ziemi publicznej narastający w Italii od co najmniej stu lat, a de facto od zakończenia wojen z Kartaginą i Macedonią, stawał się w ostatnich latach palący. Polegał on na tym, że arystokracja, głównie przedstawiciele Senatu, bo tylko najmożniejsze rodziny miały prawo w nim zasiadać, na różne sposoby skupiała w swoich rękach ziemię małych chłopów, czasem wywłaszczając ich z posiadanych dziedzin, czasem wykupując od uboższych rolników ziemię za bezcen, a tym samym przyczyniając się do powiększania stale i tak olbrzymiej masy rzymskiego proletariatu. Chłopi, którzy ziemi już nie mieli, za marne grosze uzyskane na kiepskich transakcjach wędrowali wprost do Rzymu, gdzie przyłączali się do wiecznie głodnego motłochu, domagającego się chleba i igrzysk. Trybuni mieli za zadanie rozdawać temu głodnemu tłumowi za darmo zboże, godziło to jednak poważnie w gospodarkę państwa.

Z drugiej zaś strony istniał problem niewykorzystanej ziemi publicznej, która leżała odłogiem lub była zajmowana przez rody senatorskie, niekoniecznie zgodnie z literą prawa, a która

znakomicie nadawałaby się pod uprawę dla owych biednych wywłaszczonych chłopów lub weteranów wojennych. Reforma wojskowa Mariusza, notabene wuja Cezara, doprowadziła do przekształcenia armii rzymskiej z pospolitego ruszenia w wojsko zawodowe, w którym mężczyźni służyli przez minimum szesnaście lat, po czym, o ile udało im się przeżyć, najczęściej odchodzili z niczym. Ponieważ nie mieli dokąd pójść, albo decydowali się na pozostanie w wojsku, albo przyłączali się do najrozmaitszych szajek spod ciemnej gwiazdy, co kończyło się w podobny sposób jak w przypadku wywłaszczanych chłopów - powiększeniem liczebności proletariatu.

Trzydzieści lat przed narodzeniem Cezara trybun ludowy Tyberiusz Semproniusz Grakchus, a potem jego brat Gajusz usiłowali przeprowadzić szereg reform, które rozwiązałyby przynajmniej część problemów z ziemią niczyją, czyli państwową, poprzez nadanie jej najuboższym, senatorowie jednak, zazdrośnie broniąc własności, którą uważali za swoją, doprowadzili do zamordowania obu braci. To zaś stało się preludium do niekończących się wojen domowych, w których głównym celem weteranów Mariusza lub Sulli było otrzymanie ziemi za bezcen. Jako że Senat obstawał przy swoim, problem ziemi pozostał nierozwiązany, motłoch rzymski, głodując na ulicach, wrzeszczał głośno o swój przydział chleba, a arystokracja bogaciła się jak zwykle kosztem najuboższych.

- Cała Kampania leży odłogiem - denerwował się Cezar, kiedy któregoś grudniowego popołudnia, jeszcze przed objęciem urzędu, leżał wraz z Serwilią na sofie w jej triclinium i spożywał kolację. - Połowa Etrurii jest nieobsadzona! Galia Przedalpejska tylko czeka, żeby ją rozparcelować, reszta jest niewykorzystana, mało tego, za murami Rzymu jest cała masa ziemi, ogromne latyfundia, a ci idioci z Senatu pod wodzą twojego brata nieudacznika nie widzą, albo nie chcą widzieć, że mają dostatecznie dużo bogactw, aby mogli tą ziemią podzielić się z potrzebującymi. Jak tak dalej pójdzie, to dobra ziemia i dobrzy ludzie będą się marnować, a jak lud się wreszcie rozzłości, dojdzie do rewolucji albo do buntu podobnego

do tego, jaki wzniecił Spartakus.

Serwilia obracała w smukłych palcach dojrzałą oliwkę. Nadal była piękną kobietą – piękną, zmysłową i inteligentną. Stanowiła bardzo niebezpieczne połączenie kobiecej urody i męskiego umysłu, czym nieodparcie pociągała Cezara. Jediną jej wadą było pokrewieństwo z Katonem, w dodatku pokrewieństwo bardzo ścisłe, była bowiem jego przyrodnią siostrą.

– Mój brat to głupiec, Gajuszu – stwierdziła głębokim głosem, pełnym zmysłowości. – Nie widzi, że przyczynia się do zguby Republiki. Nie powinien być nigdy drażnić Pompejusza i odmawiać mu zatwierdzenia jego zdobyczy na tych nieszczęsnych Judejczykach.

– Och, Judea i Palestyna to tylko kropla w morzu, Serwilio – odparł Cezar z przekonaniem. – Katon upokorzył Pompejusza, odmawiając mu prawa do triumfu, odmawiając mu zatwierdzenia zdobyczy i przede wszystkim odmawiając mu prawa do nadania ziemi jego weteranom. A przecież właśnie to Pompejusz obiecał swym żołnierzom. Gdyby Katon tego nie zablokował, on nigdy nie rozpuściłby armii w Brundyzjum, moja droga.

– I nigdy nie przystąpiłby do waszego tajnego układu? – Serwilia uśmiechnęła się.

Cezar spurpurowiał na twarzy, ale nie stracił rezonu.

– Za dużo widzisz, kochana – powiedział. – A czasami dostrzegasz to, czego nie ma.

Serwilia z wdziękiem wsunęła w usta oliwkę.

– Gajuszu, nie musisz przede mną kłamać – oznajmiła. – Nie musisz się obawiać, że pobiegnę do mego głupiego brata i przekażę mu to, co wiem. Od dawna o tym wiem i jak widzisz, milczę. Co obiecałeś Pompejuszowi? Przeprowadzenie ustawy agrarnej? Zresztą nie chcę tego wiedzieć. Ale bądź przygotowany na to, że Marek, mój brat, zrobi wszystko, żeby nie doszło do jej przeforsowania. Ze zwykłej głupoty i nienawiści. On nie widzi głębszego sensu w tym, co robi, byleby było to przeciwko tobie.

Cezar przyglądał się swej kochance w blasku lampek

oliwnych i musiał dojść do słusznego wniosku, że Serwilia jest czasami zbyt przenikliwa i za dużo widzi swymi pięknymi, bursztynowymi jak u lisa oczami.

Faktem było, że do przeprowadzenia najistotniejszej w swoim mniemaniu ustawy agrarnej, mającej na celu zlikwidowanie palącego problemu braku ziemi dla weteranów Pompejusza, ale także dla części proletariatu, Cezar przygotowywał się sumiennie już od lipca zeszłego roku, kiedy to został wybrany na konsula na rok następny. Zwerbował do swego obozu, o ile można tak to określić, mieszkańca hiszpańskiego miasta Gades Lucjusza Korneliusza Balbusa, którego poznał i z którym rozpoczął współpracę podczas pełnienia obowiązków propretora w Hiszpanii Dalszej. Był to świetny orator, znakomity agent, człowiek wykształcony i inteligentny. Jemu właśnie powierzył Cezar misję zjednania dla swego projektu Cyclerona, na którego poparcie naprawdę liczył. Zależało mu na tym dlatego, że Cycleron, jakkolwiek wybitnym politykiem nie był – a ponadto za bardzo leżały mu na sercu uznanie i przyjaźń ze strony tych skorumpowanych dziadów z Senatu – posiadał nieprzeciętny, jedyny w swoim rodzaju dar oratorski i dar przekonywania. Przed paroma laty nie kto inny jak właśnie Cycleron doprowadził do skazania uczestników spisku Katyliny, on jeden potrafił wpłynąć pozytywnie na tego idiotę Katona, on stanowił pomost między Senatem i obozem optymatów a Cezarem i popularami.

Tak więc pewnego grudniowego dnia Balbus zjawił się w domu Cyclerona, rządzonym twardą ręką przez Terencję, jako tajny agitator Cezara na rzecz uchwalenia ustawy agrarnej. Cycleron nastawiony był negatywnie do wszelkich pomysłów dotyczących redystrybucji ziemi i trzy lata wcześniej sprzeciwił się przegłosowaniu jednej z takich ustaw, które raz po raz wysuwali zdesperowani popularzy. Teraz jego głos znów mógł okazać się decydujący.

– Marku Tuluszu, zapewniam cię, że Cezar chce pójść za moją i Pompejusza opinią w każdej sprawie i będzie się starał pogodzić Pompejusza i Krassusa – zapewniał Balbus, który doskonale wiedział, że ci dwaj nieprzejednani wrogowie

są już pogodzeni.

Cycon dość długo zastanawiał się nad dziwną i niespodziewaną wizytą Cezarowego agenta. On i Cezar nigdy nie darzyli się wzajemnie niechęcią ani nie okazywali sobie wrogości. Przeciwnie, choć należeli do odmiennych ugrupowań politycznych, darzyli się wzajemnie szacunkiem, a nawet wywiązała się między nimi swoista nić porozumienia. Mieli odmienne charaktery: Cycon przejawiał skłonność do samouwielbienia, hysterii i był raczej chwiejnej natury, podczas gdy Cezar miał charakter silny i zdecydowany, nie zmieniał raczej swych politycznych sympatii. O dziwo jednak potrafili dojść między sobą do specyficznego porozumienia, a dokładniej rzecz biorąc, jeden nie wchodził drugiemu w drogę.

Cycon wiedział, że jeśli poprze ustawę Cezara, zyska na tym przez związanie się z Pompejuszem, a być może i z samym Cezarem. Jednak orator był w Senacie homo novus, nigdy do końca niezaakceptowanym, a z powodu dokonanej przed trzema laty egzekucji spiskowców w każdej chwili groziło mu oskarżenie o nadużycie władzy, toteż przezornie wolał on trzymać raczej z Senatem niż popierać wywrotowe idee Cezara i ostatecznie odrzucił propozycję przyłączenia się do obozu Pompejusza i Cezara.

Tak naprawdę Cezar spodziewał się takiego obrotu spraw.

- Na Cycona nie mógłbym do końca liczyć - wyznał Serwili. - Ten człowiek za bardzo boi się twojego brata.

- Ten człowiek - odparła z namysłem Serwilia - upadnie tak nisko, jak wysoko kiedyś stał. Nikt nie może bezkarnie nadużywać władzy, a potem wypierać się swych własnych czynów.

Nikt nie może nadużywać władzy. Cezar, sącząc wyborne falernum, patrzył głęboko w oczy swej kochance. Dla niego władza była czymś więcej niż honorem. On chciał pokierować Republiką, nadać jej nowy kształt, przyczynić się do jej rozkwitu, a w każdym razie zahamować proces upadku. Niewymownie drażniły go głupota i ograniczenie tych senatorskich głów, tych skostniałych starców i potomków

magnackich rodów, bo oni wszyscy zachowywali się tak, jakby Rzym nadal był niewiele znaczącym miasteczkiem w Lacjum, które walczyło z Etruskami i Sabinami o niezależność i hegemonię w jednej prowincji. Nie dostrzegali, że Rzym to nie jest już miasto, ale imperium, wielonarodowe imperium, którym należało odpowiednio pokierować. A skoro oni tego nie umieli, on musiał się podjąć tego zadania.

Będę na ciebie patrzeć, Gajuszu. I ocenię cię na koniec. Potomni cię ocenią. Nie ci zaciętrzewieni politycy, którzy dla spokoju sumienia i dla własnej sprawy blokowali decyzje korzystne dla ludu i dla państwa w ogóle.

Kornelio, gdybyś żyła, za cały przepych Rzymu wystarczyłby mi twój uśmiech! Gdy odeszłaś, zabrałaś moją duszę, zostawiłaś jedynie rosnące ambicje, zostawiłaś pustkę, którą muszę wypełnić, bo inaczej moje istnienie na tej ziemi okaże się bezsensowne i nic niewarte.

Gładka dłoń Serwili potarła policzek Cezara. Uśmiechnął się do niej i upił łyk wina. Wtedy jeszcze wierzył, że uda mu się bezproblemowo załatwić kwestię ustawy agrarnej. Wszystko jednak potoczyło się inaczej.

*

Zapewne gdyby Katon wiedział, jak – wybiegając wiele lat w przyszłość – ostatecznie zakończy się historia nieszczęsnej ustawy, zastanowiłby się tysiąc razy, czy jego chora ambicja i zastarzałe idee, które przejął od swego sławnego pradziadka Marka Porcjusza Katona Starszego Cenzora, są warte kolejnego rozlewu krwi i chaosu w państwie. Problem jednak polegał na tym, że Katon Młodszy, w przeciwieństwie do Starszego, nie był obdarzony darem dalekowzroczności. Katon Cenzor był człowiekiem przebiegłym, inteligentnym, konserwatywnym, ale umiejącym w razie potrzeby schować swój konserwatyzm głęboko w fałdy togi i dostosować się do wymogów twardej rzeczywistości. Dowodem tego był fakt, że on, zatwardziały przeciwnik wpływów greckich, jakie pojawiły się w Rzymie pod wpływem wojen z Kartaginą i wojen z Macedonią, głoszący

kalumnie pod adresem greckich nauczycieli i lekarzy, na stare lata wiedziony koniecznością nauczył się wreszcie tego znieawidzonego przez siebie języka. Ponadto ów surowy cenzor dostrzegał konsekwencje posunięć politycznych i w zwykłej fidge zerwanej z drzewa w kartagińskiej wsi dopatrzył się nieubłaganego wzrostu potęgi niemal zupełnie pokonanego przeciwnika. Katon Starszy był w swej nienawiści równie zajadły jak jego słynny prawnuk, raz nabrawszy tego rodzaju odczuć w stosunku do niegdysiejszej morskiej potęgi, nie wyrzekł się ich nawet na starość i jako prawie dziewięćdziesięcioletni starzec grzmiał w Senacie, że owa figa świadczy o tym, iż przekłeta Kartagina podnosi się z gruzów, dlatego należy ją bezwzględnie i raz na zawsze zniszczyć. Tak też uczyniono i tego samego roku, w którym z ziemią został zrównany Korynt, wrzaskom Katona stało się zadość. Zburzono Kartaginę, wypędzono mieszkańców, a ziemię posypano solą, aby nic więcej na niej nie urosło. Katon bowiem uważał, że Kartagina jest jak wojsko zasiane ze smoczyczych zębów – jeżeli utnie się jednemu żołnierzowi głowę, następne zastępy armii urosną same.

Jego prawnuk odziedziczył po swoim słynnym i notabene wielkim przodku zaciekły upór, fanatyzm i chorobliwą wręcz nienawiść, ale niestety nie odziedziczył rozumu pradziada. Tam, gdzie Katon Starszy mógł się popisać mądrością, jego potomek odznaczał się głupotą, a najgorsze było to, że podobnie jak wielu głupich ludzi, nie dostrzegał swoich błędów, nad wyraz czasem oczywistych, i wpadał we wściekłość, kiedy ktoś mu je wytknął. Rzecz jasna taki człowiek stawał się w oczach Katona Młodszego nieprzejednanym wrogiem nie tylko jego samego, ale również Republiki.

Jak przystało na arystokratę, patrycjusza z dziada pradziada (jakkolwiek jego dziadek był synem niewolnicy), Katon uważał się za władcę świata, czy może jednego z władców, predestynowanego do posiadania wszelkich dóbr i monopolu na nieomyślność. Po co ziemia była potrzebna motłochowi, skoro patrycjusze mogli czerpać z niej zasłużony zysk? To chyba oczywiste, że prowincje istnieją po to, by z nich

czerpać pełnymi garściami, a cała podbita ludność ma służyć Rzymowi bez szemrania. Co tam pragnienia ludu! Co tam niezadowolenie proletariatu!

Katon był zbyt głupi, by móc realnie ocenić zagrożenie ze strony zbuntowanego ludu, przyłączających się do nich niewolników i całych zastępów niezadowolonych plebejuszy. Uważał, że Senat i armia rzymska są w stanie zapobiec ewentualnej rebelii, co było ewidentną brednią, jako że rody senatorskie same na siebie kręciły bicz w postaci niezliczonych ustaw, które nie zezwalały plebejuszom na poślubianie patrycjuszek. Jakkolwiek prawo to później zniesiono, to jednak skutkiem wieloletniej praktyki było zamknięcie dopływu świeżej krwi do szlacheckich rodów, a tym samym znaczne ich ograniczenie. I tak rodów plebejskich było pięciokrotnie więcej niż rodów patrycjuszowskich, a ponieważ oligarchia senatorska tak się bała mieszania krwi, wykształcił się z czasem trzeci stan, ekwitów, którzy zaczęli tworzyć właściwą rzymską nobilitas. Gdyby doszło do faktycznej rebelii, w co Katon nie był w stanie uwierzyć, jego stronnictwo nie miałoby większych szans na utrzymanie władzy.

Człowiekiem, którego Katon nienawidził z urzędu, był Cezar. Tak naprawdę Katon nie umiał odpowiedzieć, skąd brała się ta zajadła nienawiść, bo nie chodziło tyle o przekonania polityczne, ile o instynktowne, prymitywne uczucie niechęci i nienawiści w sercu arystokraty. Może brała się ona stąd, że Cezar, będąc potomkiem szlacheckiego rodu, co prawda mocno zubożałego, ale wciąż jednak patrycjuszowskiego, zdradził swój stan i przeszedł do obozu popularów, domagał się niekorzystnych dla nobilitas reform, a poza tym nosił się jak fircyk w zalotach: chociaż skończył już czterdzieści lat, udało mu się jakimś niesłychanym sposobem zdobyć miłość tłumu, został wybrany na znakomite stanowisko najwyższego kapłana i teraz jako Pontifex Maximus paradował sobie po Forum w czerwonych kapłańskich butach, rządził, jak chciał, kolegium westalek i miał w swojej pieczy wszystkie urzędy kapłańskie. Może brała się ona stąd, że pochodząc z miernej Subury, nagle awansował na mieszkańca Domus Publica, może stąd, że tonąc

w długach tak mocno, iż wierzyciele nie chcieli go dwa lata temu puścić do Hiszpanii, potrafił zorganizować tak wspaniałe igrzyska, jakich tłum dotąd w Rzymie nie widział. Może stąd, że był przystojny i pociągający, co nawet Katon musiał przyznać, miał szlacheckie rysy, a pomimo wątłego z natury zdrowia wykazywał krzepę i siłę niemającą sobie równych. Może stąd wreszcie, że otwarcie romansował z siostrą Katona, tą ladaczną Serwilią, która jawnie sprowadzała na jego dom hańbę. Wiele było powodów, fakt jednak był taki, że Katon nienawidził Cezara i tylko z tego powodu gotów był wetować jego przeklętą ustawę agrarną.

To był punkt zapalny, ale o tym Katon nie wiedział, czy raczej nie chciał przyjąć tego faktu do wiadomości. Gdyby rozumiał, gdyby przejrzał kierunek polityki Cezara, gdyby umiał uczyć się na własnych błędach, być może ostatecznie nie przypłaciłby życiem swego zaciętrzewienia, ale Katon uważał się za nieomylnego i nie dostrzegał subtelnych znaków, jakie ongiś dawał mu Pompejusz. Ten zaś wielki wódz był bowiem jak dziecko: łasy na pochlebstwa i żądny uwielbienia tłumu. Chciał prostych rzeczy: triumfu, zatwierdzenia zdobyczy na Wschodzie i nadania ziemi swoim weteranom. Katon jednak uparcie widział w nim uzurpatora, pomimo że Pompejusz potulnie rozwiązał armię po tym, jak dwa lata wcześniej wylądował w Brundyzjum, podobnie zrobił zresztą po rozgromieniu piratów na morzu. Mimo to Katon obawiał się, że Pompejusz, jak wcześniej Sulla, a jeszcze wcześniej Mariusz, zechce sięgnąć po jedynowładztwo, dlatego uparcie odmawiał nadania mu przywilejów, które zresztą słusznie mu się należały. Ponadto Pompejusz, podobnie jak przeklęty Cezar, cieszył się uwielbieniem tłumów. Lud go kochał, lud bowiem był równie głupi i dziecinny, spragniony wielkich fet, igrzysk, chleba i widowisk na koszt państwa. Katon zaś uważał, że lud winien cieszyć się z tego, że w ogóle dane mu jest przeżyć o chlebie państwowym, za naturalne zaś uważał własne bogactwo i możliwość sprawowania władzy.

Kiedy więc nadszedł drugi dzień stycznia, drugi dzień sprawowania władzy przez Cezara, Katon zdecydowany był

zrobić wszystko, byle tylko nie dopuścić do głosowania nad ustawą godzącą w sprawę optymatów. Wiedział, że debata Senatu zostanie podana do publicznej wiadomości, takie było wczorajsze zarządzenie Cezara (sprytnie posunięcie, dzięki któremu lud będzie wiedział, jak naprawdę przebiegają obrady). Dlatego stwierdził, że poczeka, aż konsul przeczyta głośno projekt i zapyta każdego z senatorów, co myśli o jego ustawie.

Ustawa agrarna Cezara przygotowana była głównie z myślą o ziemi publicznej w Kampanii, która nie miała zostać poddana redystrybucji. Inne ziemie zaś miały być oddane w użytkowanie przede wszystkim weteranom Pompejusza. Wprowadzono klauzule, które miały gwarantować poszanowanie własności prywatnej, a specjalnie powołana komisja dwudziestu obywateli miała czuwać nad zakupem i podziałem ziemi pomiędzy weteranów Pompejusza i biedotę miejską. Komisarze mogli nie tylko kupować ziemię od tych, którzy chcieli ją dobrowolnie sprzedać, ale również płacić za nią według wartości odnotowanej w ostatnim cenzusie. Fundusze na ten cel pochodzić miały z nadwyżki, której dostarczyły zwycięstwa Pompejusza na Wschodzie. Inne klauzule ustawy wyraźnie uznawały obecny stan własności ziemi, aby rozwiać obawy, że ktoś będzie sprawdzał, czy została ona legalnie nabyta. Ustawa zabraniała sprzedawania ziemi nowym nabywcom przez kolejnych dwadzieścia lat, aby mogły wykształcić się trwałe i stabilne społeczności. Komisja miała zostać wyłoniona w drodze wyborów, a ustawa wyraźnie zabraniała Cesarowi wejścia w jej skład, a zatem nikt nie mógł powiedzieć, że proponuje on ustawę, która przyniosłaby mu bezpośrednie zyski. Katon widział zatem, że był to projekt rozsądny i sensowny, nie było sensu krytykowania go, a senatorowie zdawali sobie sprawę, że wszystko, co powiedzą, zostanie podane do publicznej wiadomości.

Cezar jako urzędujący konsul i autor ustawy miał obowiązek przeczytania jej przed obradami Senatu, a następnie musiał zapytać o zdanie każdego senatora po kolei, tak jak ongiś Cynceron po wygłoszeniu swojej płomiennej mowy musiał

zwrócić się do zgromadzonych z prośbą o opinię w sprawie wyroku śmierci na spiskowcach. Jako pierwszy głos zabrał Krassus, pomimo że nie był ani najstarszym senatorem ani Princepsem Senatu. Pochwalił on projekt ustawy agrarnej Cezara w taki sposób, że Katon zmrużył swoje i tak kaprawe oczy i jak nadąsane dziecko wydał usta, wyrażając niezadowolenie. Jako drugi wypowiadał się Pompejusz, ale jasne było dla wszystkich, że będzie on gorącym zwolennikiem ustawy gwarantującej nadanie ziemi jego własnym weteranom. Inni senatorowie, przede wszystkim byli konsulowie, nie zapatrywali się na projekt reformy tak optymistycznie i entuzjastycznie, ponieważ jednak była ona profesjonalnie przygotowana i nie sposób było przyczepić się do jej klauzul, wypowiadali się w jej kwestii pozytywnie. Cezar wyglądał na zadowolonego i dopiero kiedy zwrócił się z zapytaniem do byłych trybunów, napotkał trudności.

Katon, zapytany o zdanie, podniósł się i przeszedł w stronę mównicy. Czarne oczy Cezara rozbliły, jakby ów wiedział, co za chwilę nastąpi. Katon to był twardy orzech do zgryzienia, posiadał też bardzo skuteczne narzędzie walki politycznej, jakim była zdolność przemawiania bez przerwy przez kilka godzin z rzędu.

- Twoja ustawa, konsulu, zapewne jest dobra i znakomicie zaprojektowana - zaczął Katon swą wypowiedź. - Nie znalazłem ani jednego punktu, z którym mógłbym się nie zgodzić. Ustawa zasadniczo nie dotyczy problemu nas nurtującego, czyli ziemi w Kampanii, jednakowoż daje możliwość zadośćuczynienia pretensjom Pompejusza co do ziemi mającej być nadaną jego weteranom. Podoba mi się pomysł powołania komisji nadzorującej proces nadawania ziemi, a także fakt, że ty jako konsul wykluczyłeś samego siebie ze składu owej komisji.

Po tych słowach nastąpiła cisza. Cezar zdezorientowany patrzył na swego przeciwnika, przygotowany bowiem był na krytykę, i to dość dosadną, zamiast tego usłyszał pochwałę swego projektu ustawy. Zastanawiał się, co się za tym kryje, i długo nie musiał czekać na odpowiedź.

- Jednakże - ciągnął Katon - uważam, że czas

na wprowadzenie tego rodzaju ustaw jest nieodpowiedni. Ze wszech miar nieodpowiedni. Wprowadzanie wszelkiego rodzaju innowacji w nasz znakomicie dopracowany system byłoby błędem. W tym roku nie należy wprowadzać nowych ustaw, co może potwierdzić nasz drugi konsul, Marek Bibulus. Wystarczy spojrzeć na znaki na niebie, by zrozumieć, że podejmowanie pochopnych decyzji jest wielce szkodliwe i nieprzemyślane.

Cezar rzucił poprzez salę spojrzenie na Pompejusza, ale ten wzruszył tylko ramionami, bo nie wypadało przerywać oracji senatorowi, zwłaszcza komuś tak poważanemu jak Katon. Ten tymczasem mówił i mówił jednym tchem, aż niektórzy zgromadzeni zaczęli niespokojnie wiercić się na swoich miejscach. Kiedy upłynęła godzina, a Katon nadal przemawiał, perorując teraz o chwale Republiki i zwycięstwach przodków, w Cezarze krew zaczęła się gotować. Jasne stało się dla niego, że ten arcygłupiec zamierza kontynuować swą bezsensowną orację aż do zmroku, kiedy to należy zakończyć posiedzenie Senatu. Cezar znał tę jego taktykę, stosował ją bowiem już wówczas, gdy on stał u bram miasta, bezskutecznie czekając na pozwolenie wysunięcia swej kandydatury in absentia, ponieważ wkraczając w obszar pomerium, tracił prawo do odbycia triumfu. Zapłacił ogromną cenę za możliwość kandydowania na konsula i na szczęście wygrał wybory, ale to, co się teraz odbywało w siedzibie Senatu, zakrawało na maskaradę. Czy ten Katon rozumu nie ma?

Kiedy upłynęła druga godzina przemówienia, Cezarowi puściły nerwy. Na Herkulesa, ten głupiec będzie tak gadał i gadał, aż sprawa upadnie! Jutro Senat nie może się zebrać, bo jest feralny dzień, pojutrze zresztą też, a do końca miesiąca ustawa musi przejść, bo inaczej w lutym rządy przejmie Bibulus i już on doprowadzi do tego, by projekt został kategorycznie odrzucony. Wówczas Cezar nie wywiąże się z obietnicy danej Pompejuszowi, a poza tym kwestia agrarna nie zostanie rozwiązana przez następną dekadę. Konsul nie mógł do tego dopuścić, dlatego w końcu polecił straży aresztowanie gadającego bez ustanku Katona.

Kiedy woźni chwycili senatora za ramiona i wyprowadzili z sali obrad, w Senacie zapanowało ogromne poruszenie. Szmer przeszedł wkrótce w głęboki pomruk.

- Odejdę! - darł się Katon z przedsonka. - Sprzeciwię się tyranii! Cezarze, sięgnąłeś po jedynowładztwo, nie pozwalasz, aby usłyszano głos ludu rzymskiego!

Cezar nigdy jeszcze nie czuł takiej furii jak tego dnia, a już do żywego ubodły go słowa Katona świadczące o fanatyzmie równym fanatyzmowi jego pradziada. Kiedy za Katonem drzwi się zamknęły, debata trwała dalej, ale w którymś momencie jeden z senatorów, Marek Petrejusz, wstał ze swego miejsca i zaczął kierować się w stronę wyjścia.

- Dlaczego opuszczasz zgromadzenie? - zapytał Cezar zirytowany. - Przecież jeszcze nie koniec obrad.

- Gdyż wolę być w więzieniu z Katonem niż w pałacu z Cezarem - odparł niewzruszenie weteran z trzydziestoletnim doświadczeniem wojskowym, po czym niezrażony wyszedł.

Cezar zrozumiał, że popełnił błąd. Gdyby pozwolił Katonowi mówić, senatorowie zapewne znudziliby się w końcu jego oracją i przestaliby zwracać na niego uwagę, a do głosowania tak czy inaczej by doszło. Teraz jednak Senat widział w Katonie obrońcę wolności, a w Cezarze tyrana pragnącego narzucić ludowi, a co gorsza, Senatowi, swoją ustawę, która godziła w arystokrację.

- Wypuście Katona z więzienia - polecił wreszcie trybunom ludowym. - Zawetujcie mój rozkaz. Niech idzie do domu. Nic na tym nie zyskam.

Debata trwała dalej, do głosowania jednak nie doszło. Cezar zirytowany ogłosił, że nazajutrz odda ustawę pod głosowanie komicji trybusowych. Niech lud rzymski zadecyduje, jakie będą losy jego projektu.

- Pompejusz dał nam dość funduszy na to, by ziemia została rozparcelowana! - zawołał jeszcze Cezar, kiedy senatorowie wychodzili już z sali posiedzeń. - Pompejuszu, co zrobisz, jeśli jutro na głosowaniu ktoś chwyci za miecz, aby zablokować ustawę?

Pompejusz odwrócił się ze ściągniętą gniewem twarzą.

- Chwyćę wówczas i za miecz, i za tarczę, Cezarze! - odkrzyknął.

Tłum zgromadzony przed Kurią wybuchnął głośnym aplauzem, senatorowie jednak poczuli, że ciarki przebiegają im po plecach, jasne stało się bowiem, że ci dwaj niegdysiejsi przeciwnicy stanęli obok siebie, jednocząc się we wspólnej sprawie.

Tego dnia znienawidzony przeciwnik pokonał go, ale Cezar nie miał zamiaru tak łatwo się poddać. Ośli upór politycznego rywala tylko podsycił jego gniew i żar, z którym tym bardziej starał się doprowadzić do celu swoje projekty. I w przeciwieństwie do Katona wiedział on, jak skutecznie podburzyć tłum, aby osiągnąć swoje cele.

*

Wieczorem on i Pompejusz spotkali się w domu tego ostatniego celem naradzenia się przed jutrzejszym dniem. Cezar specjalnie udał się do Pompejusza, pragnął bowiem spotkać się również ze swą córką Julią. Jeżeli coś mogło ucieszyć Cezara jako ojca, to tylko widok szczęścia na twarzy jego córki, która wydawała się naprawdę zadowolona ze swego małżeństwa. Pomijając, rzecz jasna, ostatnie wydarzenia, jako że Julia dwukrotnie już straciła dziecko i na razie nie chciała przeżywać tego koszmaru po raz kolejny. Utrata ciąży nie była niczym zaskakującym, takie rzeczy się zdarzały, a i śmiertelność noworodków była ogromna, Cezar jednak widział, jak ciężko Julia przeżyła oba te przypadki, i życzył jej, aby kolejną ciążę donosiła szczęśliwie do końca.

Wraz z Cezarem przyszła również Kalpurnia, przede wszystkim po to, żeby nadać spotkaniu pozory wizyty rodzinnej. W takim mieście jak Rzym wszystkie ruchy polityków były śledzone przez szpiegów i agentów strony przeciwnej, a kiedy urzędujący konsul wychodził z domu, towarzyszyła mu zawsze ekipa dwunastu liktorów, więc nie mógł niezauważony chyłkiem przemknąć się ulicami miasta.

Również po to, aby zmylić czujność niewolników - którzy,

jak wiadomo, spotykając się na rynkach i sklepach z innymi niewolnikami, plotkowali i wymieniali informacje, często na polecenie swego pana – Pompejusz faktycznie przygotował skromną kolację, bez udziału lektora i fletnistek. Do stołu kazał nakryć na sześć osób, przyszedł bowiem również Krassus ze swą małżonką. Przez pierwszą część kolacji rozmawiali głównie o błahostkach, ale później, gdy już uprzątnięto naczynia i niewolnicy przynieśli dla mężczyzn gorące wino z przyprawami, a dla kobiet ziołowe napary, rozmowa zesłała na konkretny temat.

– Popełniłem błąd, wtrącając tego głupca do więzienia – stwierdził z niezadowoleniem Cezar. – Powinienem był pamiętać, że z jego strony było to jedynie zagranie polityczne.

– Które miało na celu właśnie wyprowadzenie ciebie z równowagi – zauważył Pompejusz. – I które podziałało. Nigdy jeszcze nie widziałem cię, Cezarze, do tego stopnia zaślepionego gniewem.

Julia przypomniała sobie moment, w którym jej ojciec jeden jedyny raz w życiu zdenerwował się na nią i podniósł głos. To było wówczas, gdy oznajmił chęć poślubienia Kalpurni, a efektem tego była pierwsza utrata dziecka przez Julię. Cezar powiedział Julii, że chce poślubić Kalpurnię, a ona wpadła w złość i z nerwów poroniła ciążę. Cezar, tak zazwyczaj opanowany i chłodny, tamtego dnia wybuchnął niczym Wezuwiusz na zboczach kampanjskich. Nauczyciel Julii, stary grecki retor, powiedział jej kiedyś, że należy bać się gniewu ludzi spokojnych i opanowanych, jest to bowiem zazwyczaj gniew słuszny i sprawiedliwy. A Cezar należał do osób, które nawet w najbardziej nerwowych sytuacjach potrafią zachować zimną krew i rozsądek.

Tego dnia w Senacie dał się jednak ponieść emocjom na swoją niekorzyść.

Krassus popijał przyprawione goździkami wino.

– Moim zdaniem to nie była gra pod publikę – oznajmił. – Katon to głupiec, w swej upartości i w swym zaślepieniu za wszelką cenę nie chce dopuścić do głosowania nad ustawą, toteż zastosował jedyny znany sobie wybieg, żeby do tego nie

doprowadzić. Nie pierwszy raz działał w ten sposób.

- Co mi radzicie? - zapytał Cezar swoich aktualnych sojuszników. - Czy mam jutro udać się bezpośrednio na komicje trybusowe i przedstawić moją ustawę do głosowania ludowi?

- Bezwzględnie - odparł Pompejusz z pewnością w głosie. - Zwołamy lud przed świątynią Kastora i Polluksa, niech tam się zgromadzą, bo tam jest więcej miejsca niż przy Rostrach. Załatwię tak, żeby plebs o planowanym jutrzejszym zebraniu dowiedział się jeszcze dzisiaj.

Z tymi słowami skinął głową na niewolnika, który natychmiast wyszedł, a po chwili wrócił w towarzystwie jednego z agentów Pompejusza. Agent i gospodarz szeptali ze sobą przez krótki czas, po czym ten pierwszy bezszelestnie opuścił triclinium. Pompejusz, zadowolony, pociągnął łyk wina. Cezar wiedział doskonale, w jaki sposób załatwia się podobne sprawy, bo sam nieraz korzystał z usług swoich klientów i tak zwanych pasożytów, których jedynym celem było napełnienie brzucha na koszt swego pana, a w zamian za to służyli mu o każdej porze dnia i nocy. Jeśli patron zażyczył sobie, by jego klient i podopieczny pod osłoną nocy rozpuścił wieść o jutrzejszym głosowaniu i dorzucił po cichu obietnicę zapłaty pod różną postacią, mógł być pewien, że nazajutrz tłum dosłownie zwali się na miejsce spotkania.

- Szkoda, że nie zdołałem uzyskać aprobaty Cyncerona dla mojego projektu - westchnął Cezar.

- Znasz Cyncerona, ojciec - wtrąciła się Julia, która pamiętała doskonale, jak to niegdyś Cezar poprosił ją, by poszła do domu wielkiego oratora z tabliczką, na której znajdowały się poufne informacje. - Wiesz, że jest zbyt praworządny i za bardzo sympatyzuje z optymatami.

Cezar chrząknął znacząco, chcąc przypomnieć córce, że do niedawna jej własny mąż także należał do grona optymatów. Jednakże ich krótkowzroczność i zapatrzenie w siebie, a także skoncentrowanie na własnych jedynie potrzebach doprowadziło do tego, że Pompejusz odsunął się zdecydowanie od Senatu i przeszedł na stronę Cezara, zachęcony przezeń dodatkowo obietnicą mariażu z Julią.

- Cezarze, ja bym wszakże uważał na tłum - odezwał się Krassus. - Rozkażę jutro moim ludziom, by stali w pogotowiu, a ty i ty także, Gnejuszu, uczynicie rozsądnie, jeśli przyślecie na miejsce swoich klientów. Im więcej naszych tam się znajdzie, tym większe mamy szanse na powodzenie.

Krassus popierał Cezara, gdyż ten obiecał mu nie tylko wygrane wybory na konsula na rok następny - urząd ten piastowałyby wówczas z Pompejuszem - ale również wprowadzenie ustawy zmniejszającej podatek od lichwy, a tym przecież Krassus się parał.

Kalpurnia pogryzała suszone owoce, które podano jako przekąskę, i spoglądała na trzech mężczyzn wokół stołu. Byli mniej więcej równi wiekiem i godnością. Krassus znany był obok Lukullusa jako największy bogacz Rzymu i w zasadzie tylko ów Lukullus przewyższał go majątkiem, czy może raczej pychą i arogancją w afiszowaniu się swym bogactwem, jako że kazał przekuć skałę, aby do swojej sadzawki z ulubionymi murenami doprowadzić morską wodę. Krassus nie był wybitnym wodzem, wslawił się jako pogromca zbuntowanych niewolników, których to pokonał prawie dwadzieścia lat temu razem z Pompejuszem. Był to człowiek przebiegły i sprytny, który bogacił się przy każdej możliwej okazji, ale największy majątek zbił podczas proskrypcji Sulli, kiedy to kupował za bezcen domy zabitych i skazywanych dopiero na śmierć.

Pompejusz był wybitnym wodzem i świetnym żołnierzem, był też bardzo dobrym politykiem, ale nadto żądnym sławy i poklasku. Do swoich celów dochodził nierzadko po trupach, oddany był jednak Republice - to musiał przyznać każdy. A skoro otrzymywał to, czego chciał, czyli sławę i rozgłos, potrafił bogactwo, łupy i zdobycze przekazać skarbowi państwa, zadowolając się wpływami ze swych latyfundiów i zostawiając dla siebie jedynie minimum należnej części, jaka przysługiwała imperatorowi.

Cezar był z nich wszystkich najmłodszy i najbardziej ambitny. Kalpurnia, patrząc na niego, dostrzegała więcej, niż widzieli ci dwaj siedzący obok. Oni widzieli człowieka, który chce piąć się po stopniach kariery, ona widziała przebiegłego,

rasowego polityka, zimnego i wyrachowanego, który swoim wrodzonym urokiem osobistym czarował tłumy, który ku wściekłości i rozpaczki senatorów potrafił dotrzeć do ludu rzymskiego i za każdym razem przekabacić go na swoją stronę. On chciał czegoś więcej niż osobistej władzy. Pragnął, rzecz jasna, sławy i chwały, jak każdy chyba Rzymianin, ale on postrzegał siebie jako narzędzie służące ulepszeniu państwa, a przy okazji chciał upiec na tym samym ogniu własną pieczeń.

Kalpurnia wiedziała, że Cezar chce za wszelką cenę przeforsować swoje ustawy, w tym przede wszystkim ustawę agrarną, nie tylko dlatego, że była ona istotnie konieczna i potrzebna, ale także dlatego, żeby pokazać swoim politycznym wrogom, że może to uczynić, że jest w stanie osiągnąć to, czego pragnie. Krocząc swą drogą, Cezar zdawał sobie znakomicie sprawę z faktu, że poważnie naraża się innym politykom, że przeciąga strunę ich cierpliwości, a głównym wichrzycielem i „obrońcą” Republiki był nieprzejednany, krótkowzroczny Katon. Kalpurnia, podsłuchując rozmowy swego ojca, wielokrotnie słyszała, że nawet optymaci zżymają się na Katona i mówią, że jest głupcem, wszelako człowiek ten był do tego stopnia patriotą i fanatykiem, że potrafił, tak jak Cezar, pociągnąć za sobą tłumy.

Głupcom niekiedy się to udaje.

Cezar wiedział, co robi, oddając głosowanie nad ustawą w ręce ludu. Większość mieszkańców Cesarstwa Rzymskiego, a przynajmniej samej stolicy, uważała rozdawnictwo ziemi za znakomity pomysł, ponieważ problem plebsu stawał się palący. Konsul zdawał sobie jednak sprawę z tego, że otwarte poparcie ze strony Pompejusza i Krassusa może zastanowić co niektórych polityków, a tym samym na światło dzienne może wyjść ich potajemny spisek.

- Marku, rozsądnie mówisz - przyznał Cezar. - Należy obstawić Forum i świątynię naszymi ludźmi, przeciwny jestem jednak wszelkiemu rozlewowi krwi. Nie chcę mieć tu powtórek z historii i nie zamierzam skończyć jak nieszczęśni Grakhowie.

- Nie dopuścimy do tego, Gajuszu - uspokoił go Krassus.

Nie w smak byłoby mu stracić takiego sojusznika jak Cezar, który posiadał wszelkie predyspozycje do przeforsowania swoich ustaw, a co za tym idzie, do zrealizowania cichych planów jego i Pompejusza.

- Poza tym jeżeli poleje się krew - ciągnął Cezar - to będzie woda na młyn dla Katona, który zacznie natychmiast wrzeszczeć, że chcemy dokonać przewrotu w państwie. Już to widzę, jak on, jego tępy zięć Bibulus, Domicjusz Ahenobarbus, Metellus Celer, Lukullus, Kurion i inni fanatycy chwytają za miecze, a Cynceron z mównicy głośno wzywa do obrony ojczyzny. Bogowie! Do tego stopnia są zaślepieni własnym bogactwem i chęcią zysku, że zwykłą parcelację ziem publicznych nazywają rewolucją.

Cokolwiek towarzysze Cezara mogli o nim powiedzieć, to z pewnością nie to, że żąda on dla siebie bogactwa i dóbr, ponieważ odkąd go znali, tonął w długach, a jakkolwiek urządzał wystawne uczyty i widowiska, to robił to dla ludu, nigdy dla własnej satysfakcji. W czasie kampanii hiszpańskiej Cezar sypiał na gołej ziemi nakryty zaledwie płaszczem, dzielił się skromnymi racjami ze swym wojskiem, nie oszczędzał się i nie wywyższał, za co w końcu żołnierze go pokochali. Stał się w ich oczach prawdziwym wodzem.

Natomiast Katon, w przeciwieństwie do Cezara, wykazywał skłonność do ascetyzmu. Popadał w skrajności i tam, gdzie Cezar zachowywał umiar, Katon umiaru nie miał. Zresztą on nie miał umiaru w niczym, a już zwłaszcza w swym fanatyzmie.

- Katon na pewno się zjawi - stwierdził Pompejusz. - I bądź na to przygotowany, Gajuszu, że jutro żadne głosowanie się nie odbędzie.

Cezar zacisnął zęby, aż uwydatniły się jego kości żuchwy.

- Otóż odbędzie się, Gnejuszu, bez względu na to, co ten głupiec uczyni - odparł Cezar lodowatym tonem. - Nie mamy czasu i ty o tym wiesz najlepiej. Katon uczyni wszystko, żeby tylko nie dopuścić do głosowania, bo wie, że jeśli jutro do niego nie dojdzie, będę musiał przesunąć sprawę aż do marca, a wtedy on zdoła przeciągnąć większość na swoją stronę. Jeśli chcesz coś osiągnąć, rób to szybko i sprawnie.

Wąska dłoń Kalpurni spoczęła na silnej ręce Cezara. Odwrócił się zdumiony i spojrzał głęboko w oczy swej żony. Kalpurnia uśmiechała się uspokajająco, a Cezar wiedział, że nie musi już o nic pytać.

- Cezarze, bogowie cię kochają - powiedziała cicho Kalpurnia. - Ale pamiętaj, że za wszystko w życiu trzeba kiedyś zapłacić.

Tak, Cezar wiedział o tym. Wiedział, że ceną przywództwa, jaką musi codziennie płacić, są nienawiść ze strony optymatów, ich nieustanne próby przeszkodzenia mu w prowadzeniu polityki, ośmieszanie go, podważanie jego autorytetu i inne podejmowane ataki. Nie wiedział jednak, że jego zwycięstwo w kwestii agrarnej rozпали w sercu Katona tak silny płomień nienawiści, że pewnego dnia doprowadzi on do otwartej pożogi.

*

Od samego rana Forum, a szczególnie świątynia Kastora i Polluksa, otoczone było bojówkami Cezara, Krassusa i Pompejusza. Strażnicy ci, ubrani w togi lub zwykłe tuniki, w zależności od stanu, do którego przynależeli, mieli na wszelki wypadek schowane pod ubraniem miecze lub sztylety. Cezar starannie przygotował się do przemówienia, wypił napój z miodu, mleka i jajek na wzmocnienie strun głosowych, kazał gładko się ogolić i utrefić włosy, jakkolwiek to ostatnie stawało się coraz trudniejsze ze względu na pogłębiające się zakola, a ku cichej rozpaczycy Cezara, również ze względu na pojawiające się na czubku głowy prześwity między włosami. W wieku lat czterdziestu zacząłłysieć, co spędzało mu niekiedy sen z powiek. Oddany niewolnik przez pół godziny układał na nim fałdy togi w taki sposób, aby jego pan miał swobodne obie ręce, to znaczy, aby mógł szybko odrzucić zwisający kraniec materiału. Tunikę Cezar założył szafranową, co podkreślało jego cerę i czarne oczy. Tego ranka był próżny i strojny, ale w końcu wysunął język do swego odbicia w lustrze, zabrał potrzebne dokumenty, czy może raczej uczynił to jego sekretarz, i wyszedł na Forum.

Obecność tak liczного tłumu go nie zdziwiła. Dwunastu liktorów z różgami kroczyło dostojnie przed nim, wołając na ludzi, żeby ustąpili z drogi, bo konsul idzie. Kiedy dotarł do świątyni Kastora i Polluksa, narzucił skraj togi na głowę i odprawił modlitwy rozpoczynające obrady zgromadzenia ludowego. Miał do tego prawo i jako Pontifex Maximus, i jako urzędujący konsul. Po skończonym nabożeństwie wygłosił do tłumu mowę, w której zaznaczył, jak istotna dla ludu rzymskiego jest jego ustawa.

- Weterani wracający z szesnastoletniej służby nie mają własnego domu - perorował. - Ci ludzie, którzy z oddaniem i poświęceniem walczą za wolność naszej ojczyzny! Czyż nie zasługują na skrawek własnej ziemi, na własny sad i ogród, w którym mogliby cieszyć się urokami starości? Czy lud rzymski wypełniający ulice Rzymu nie ma prawa do prywatnej własności? Każdy z was, którzy przyszedliście dzisiaj na to głosowanie, będzie mógł prawnie odkupić od państwa własną parcelę, aby na niej wieść spokojny żywot, uprawiać winorośl i oliwki, aby posiadać własnych niewolników, zmienić się ze zwykłego obywatela w posiadacza ziemskiego! Ziemia leży odłogiem, nieuprawiana, niewykorzystana, a wy głodujecie! Nie ma dla was zboża, nie możecie upiec sobie chleba, a tymczasem hektary ziemi wołają o uprawę! Senat nie chce wam jej oddać, ba, nie chce nawet sprzedać! Nie chce wykorzystać nadwyżek, które dał nam nasz ukochany wódz Pompejusz! Czy chcecie na to pozwolić, obywatele, kwirycci? Ziemia w Italii, w Galii, w Hiszpanii musi zostać skolonizowana! Czy chcecie tkwić beczynnie w mieście, czy też uchwalicie ustawę dla was korzystną, która pozwoli wam wieść dostatnie i bezpieczne życie?

Ledwo Cezar wypowiedział te słowa, gdy ujrzał przeciskających się przez tłum Katona i Bibulusa. Nie byli sami, towarzyszyło im trzech trybunów ludowych, których celem było zablokowanie ustawy, a także grupa zwolenników, do której należeli najbardziej nieprzejednani wrogowie Cezara. Tłum rozstąpił się, aby ustąpić miejsca urzędującemu konsulowi, którym był Bibulus, co wynikało zarówno z szacunku, jak i z

przekonania, że konsul jednak przychylił się do przeforsowania ustawy. Bibulus jednak, wszedłszy na mównicę i stanąwszy obok Cezara, od razu jasno dał do zrozumienia, że nadal jest przeciwny projektowi swego kolegi.

- Nie zmieniałem swego zdania, Cezarze - oznajmił zjadliwym tonem. - Nie pozwolę ci głosować nad ustawą, która jest szkodliwa dla narodu rzymskiego!

Na dole wśród tłumu Katon z aprobatą kiwał głową.

- Szkodliwa, powiadasz - odparł Cezar spokojnie. - Dla kogo? Dla członków ludu rzymskiego, którzy nie mają własnej ziemi, o własnym domu nie wspominając, czy dla senatorów, których zachłanność nie zna granic? Ziemia leży odłogiem, a oni nie mają środków, by ją zagospodarować, ale jak pies ogrodnika nie chcą oddać jej w użytkowanie potrzebującym! Ładna mi szkodliwość, Bibulusie!

Tłum zawył. Katon pokręcił głową. Był tak samo głupi i tępy jak jego zięć i na rozsądne argumenty Cezara nie umiał znaleźć odpowiedzi.

- Co ci się nie podoba w mojej ustawie? - zapytał rzeczowo Cezar. - Wymień choć jeden punkt, z którym się nie zgadasz.

- Zasadniczo znaki na niebie mówią, że nie powinno być dzisiaj głosowania!

- Brednie! - krzyknął ktoś z tłumu. - Bzdura! Kłamstwo, konsul boi się, że zostanie pokonany!

- Bibulusie, lud otrzyma swoją ustawę pod warunkiem, że się zgodzisz! - zawołał Cezar. - Zgódź się zatem!

Tłum natychmiast podniósł okrzyki, namawiając Bibulusa do wyrażenia zgody. Przebywający wśród tłumu Katon zaczął się cofać. Bibulus miał niezdecydowany wyraz twarzy.

- Znaki na niebie są pomyślne - oświadczył Cezar zdecydowanie. - Nie podważysz chyba zdania najwyższego kapłana!

Bibulus był purpurowy na twarzy. Wprost kipiał wściekłością.

- Nie będziecie mieli w tym roku ustawy! - wrzasnął do tłumu. - Żebyście nie wiem jak tego chcieli!

Tego tłumowi było już za wiele. Jeden z podstawionych

ludzi Cezara przepchnął się przez żywą fasadę ludzi i chwycił Bibulusa za tokę. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Niezliczone ręce wyciągnęły się po konsula i ściągnęły go ze schodów. Cezar z niepokojem patrzył, co tłum wyczynia, nie rozkazał jednak zakończyć tego żenującego przedstawienia. Bał się, że dojdzie do rozlewu krwi, ale jak na razie jego ludzie sprawowali się wzorowo. Liktorzy towarzyszący Bibulusowi zostali obezwładnieni, a ich różgi zostały połamane. Wreszcie konsulowi wsadzono na głowę kosz z nieczystościami, a łajno i inne paskudztwa oblepiły go i polały się po jego ramionach na tokę. Tłum ryknął śmiechem. Posypały się kamienie, na tyle jednak małe, by nikogo poważnie nie zranić. Jeden z trybunów został trafiony w głowę, oberwało też kilku niewolników. Ludzie Cezara wyprowadzili wytrąconego z równowagi Katona, który parokrotnie kierował się do domu i w połowie drogi zawracał na miejsce wydarzeń, jak ci sami, którzy zapoczątkowali zamieszki, wreszcie je powstrzymali. Cezar ze swego miejsca krzyczał, żeby skończyć już tę farsę, na co wreszcie tłum zareagował. Kiedy Bibulus jak niepyszny uciekł z Forum, przystąpiono do głosowania.

Ustawę przegłosowano, co było jasne do przewidzenia po tym, co wydarzyło się tego dnia na Forum. Była to pierwsza sromotna klęska Katona, a miało ich nadejść jeszcze całkiem sporo. Wydarzenie to otworzyło oczy niektórym senatorom, w tym Cynceronowi, na niezdrową zatwardziałość i głupotę, a także polityczne skostnienie obozu Katona, który zapewne więcej by zyskał, gdyby poparł ustawę Cezara. W każdym razie kiedy ustawa przeszła, Cezar na specjalnym posiedzeniu Senatu pod przysięgą zobowiązał senatorów do przestrzegania nowego prawa i dopełnienia wszelkich powinności, aby zostało ono wprowadzone w życie. Rzecz jasna pierwszą reakcją Katona była chęć udania się na wygnanie i byłby to niechybnie uczynił, gdyby nie Cynceron, który powstrzymał go, mówiąc, że Katon bardziej potrzebny jest Republice na miejscu, w Rzymie, niż na wygnaniu. Katon był zbyt pyszny i zadufany w sobie, by wobec tego oświadczenia przejść obojętnie, toteż został w mieście i trzeba przyznać, że nie uczynił nic, aby

przeszkodzić w egzekwowaniu prawa, ale też wiązała go uroczysta przysięga, a Rzymianie nazbyt byli przesądni, aby złamać raz dane słowo, a już w ogóle łamać przysięgę złożoną w obliczu bogów.

Zhańbiony Bibulus schronił się w swoim domu, skąd nie wyściubiał nosa aż do pierwszego lutego, kiedy to nadszedł czas jego przewodnictwa w konsulacie. Pierwszymi jego słowami było podważenie mocy prawnej Cezarowej ustawy, senatorowie jednak nie pozwolili mu pójść w obranym przez siebie kierunku, wygwizdano jego przemówienie, a stało się tak dlatego, że Senat nie miał najmniejszej ochoty na powtórki sprzed paru tygodni, kiedy to omal nie doszło do zamachu stanu. Lud i Senat rzymski nazbyt wyczerpały wieloletnie wojny domowe i żadna ze stron nie chciała dopuścić do kolejnego rozlewu krwi. W dodatku plebejusze zadowoleni byli z ustawy, jako że dawała ona nowe perspektywy w kwestii posiadania ziemi, która do tej pory była dla nich niedostępna z powodu krótkowzroczności patrycjatu. Cezar w oczach plebejuszy zyskał rangę obrońcy ludu, a to miało swoje znaczenie.

Koniec końców Bibulus postanowił nie wychodzić z domu i spędził w nim cały marzec i kwiecień, kiedy to powinien sprawować urząd. Zamknięty w tym dobrowolnym więzieniu komponował paszkwile pod adresem Cezara i Pompejusza, z których ten pierwszy niewiele sobie robił. Drugi jednak nie mógł znieść nasilającej się pod jego adresem krytyki, tym bardziej że zawsze chciał w oczach ludu uchodzić za bohatera. Efekt tego był taki, że im bardziej zjadliwe teksty na temat triumwirów płodził Bibulus, tym większe tłumy schodziły się pod jego dom i tym większą wściekłość wywoływało to u Pompejusza.

- Głupi jesteś, Gnejuszu - zauważył pewnego dnia Cezar. - Reagujesz jak dziecko na te jego pamflety. Niech sobie pisze. I niech obserwuje gwiazdy na niebie i ptaki w locie, skoro tylko to mu zostało.

Cezar przygotowywał kolejną ustawę agrarną, której celem było skolonizowanie ziemi leżącej odłogiem w Kampanii. Zajęty był tworzeniem nowego prawa, nie miał więc czasu

na złość siebie z powodu wierszyków swego kolegi konsula, jednakowoż owe paszkwile niesłychanie go bawiły. Ponadto Cezar zajęty był przekupywaniem niejakiego Gajusza Watyniusza, aby przeforsował on w Senacie projekt ustawy nadającej Cezarowi jako prowincje na pięcioletnią kadencję Galię Zaalpejską i Ilirję. Cieszył go również fakt, że jego kolejna ustawa regulująca działalność zarządców prowincji okazała się strzałem w dziesiątkę i zyskała uznanie w oczach Cyncerona, który nazwał ją prawem idealnym. Niemalym sukcesem okazało się również obsadzenie na tronie egipskim Ptolemeusza Auletesa, który był nieślubnym synem poprzedniego króla egipskiego Ptolemeusza XI. Jakkolwiek sami Egipcjanie nienawidzili go ponad wszelkie granice, bo w ich oczach był niczym więcej jak opasłym wieprzem na aleksandryjskim tronie, to jednak potężna łapówka zapłacona Pompejuszowi i Krassusowi, wynosząca trzydzieści sześć milionów denarów, zrobiła swoje. Pieniądze wpłynęły do kasy państwowej, choć jeden i drugi triumwir uszczknął co nieco dla siebie, zatem Senat nie sprzeciwił się ani słowem kolejnej ustawie Cezara.

- Ach tak?! - mamrotał Pompejusz, przechadzając się tam i z powrotem po marmurowym atrium Cezara w Domus Publica.
- A nie denerwuje cię, że lud woła, iż żyje za konsulatu Juliusza i Cezara?

Faktycznie tego rodzaju wierszyki krążyły po Rzymie. „Nie za Bibula ostatnio coś się stało, lecz za Cezara. Za konsulatu Bibula nie pomnę, by co bądź się stało”. U Cezara nie widać było nawet cienia irytacji z tego powodu, choć bogowie jedni wiedzą, co myślał o tym wszystkim. Teraz też odchylił się do tyłu na krześle i parsknął śmiechem, przypominając nagle Pompejuszowi, jak przystojnym i drapieżnym wciąż jest mężczyzną.

- Gnejuszu, bądźże poważny! - zawołał. - Od kiedy przejmujesz się tym, co lud wykrzykuje na ulicach? Zapewniam cię, że wszystko idzie we właściwym kierunku. W maju zatwierdzą porządek na Wschodzie. W lipcu odbędą się wybory na urzędy na rok następny, a konsulem zostanie między innymi mój teść, który dopilnuje, by tu podczas mojej nieobecności

wszystko przebiegało po naszej myśli.

Pompejusz miotał się przez jakiś czas jak lew po klatce, po czym usiadł wreszcie. W przeciwieństwie do Cezara bardzo dbał o swoją reputację, podczas gdy jego zięć swoje dobre imię volens nolens zszargał na Wschodzie ponad dwadzieścia lat wcześniej. Cezarowi było wszystko jedno, co o nim mówili, byle tylko osiągnął swoje, a do tego od czasu śmierci swej pierwszej żony dążył z dziwną determinacją i za wszelką cenę. Nigdy nie był ulubieńcem Senatu, a wprost przeciwnie, odkąd Pompejusz pamiętał, Cezar zawsze stawał okoniem do reszty, chociaż nie miał ku temu, jego zdaniem, żadnych konkretnych przesłanek. Tak naprawdę Pompejusz nie do końca rozumiał Cezara, podziwiał go, owszem, widział w nim wielkiego wodza i przebiegłego polityka, uważał jednak, że Cezar pragnie władzy dla własnej ambicji i własnych celów, nie dostrzegał tego, co widział teraz jako jego aktualny polityczny sojusznik – że ważniejsze od własnej ambicji było dlań dobro Republiki. A że przy okazji można upiec dwie pieczenie na jednym ogniu...

- Czy Julia zdradza jakieś oznaki, że jest brzemienna? - zmienił temat Cezar.

Julii i Pompejuszowi znakomicie układało się w małżeństwie - wielki wódz był nieprzytomnie i nieprzyzwoicie zakochany w młodej żonie. Od czasu jednak ostatniego poronienia Julia jakoś nie zachodziła w ciążę i Cezar zastanawiał się, czy nie złożyć ponownej wizyty swej siostrzenicy, co pierwotnie planował uczynić dopiero późną jesienią.

- Nie. Chcemy trochę odczekać, boję się, że ten koszmar znowu się powtórzy - odparł Pompejusz.

Cezar w zamyśleniu potarł brodę końcem stilusa. Gnębiło go okropne przeczucie, że nie doczeka męskiego potomka ani z Kalpurni, ani z Julii i że w końcu będzie zmuszony adoptować syna Atii. Bał się tego, chociaż dziecko wydawało mu się nad wiek rozwinięte. Było jednak w chłopcu i jego matce coś, co sprawiało, że Cezarowi ciarki przebiegały po plecach. Z drugiej strony to byli Juliusze, krew z jego krwi, kość z kości, potomkowie jego siostry, jego matki i ojca.

- Gnejuszu, zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby Julia

urodziła dziecko – powiedział zgnębiony. – Proszę cię jako twój zięć i przyjaciel.

Pompejusz roześmiał się rubasznie.

– O to możesz być spokojny – odparł.

Ty nie wiesz – pomyślał Cezar. Nie rozumiesz. Walczę dla Republiki i walczę dla niej. Żeby tam, w zaświatach, mogła być ze mnie dumna.

– Dobrze – chrząknął konsul. – A zatem spójrz, jeżeli możesz, na projekt nowej ustawy agrarnej. Sądzę, że zasiedlenie Kampanii przez rodziny wielodzietne będzie dobrym pomysłem, zwłaszcza że pokryjemy ewentualne straty twoimi nadwyżkami z Palestyny.

Pompejusz wzięwszy do ręki leżący na stole papirus, zaczął uważnie go czytać.

VI

Choć Cezar miał nadzieję, że po przegłosowaniu ustawy agrarnej dalsza część jego konsulatu przebiegnie bez większych zakłóceń, to jednak nie wszystko odbyło się po jego myśli. Co prawda przeforsował kolejną ustawę agrarną, polegającą na rozparcelowaniu najlepszej kampańskiej ziemi, a specjalne komisje przystąpiły do podziału gruntów, w lipcu zaś do Rzymu przyjechało poselstwo Germanów z Ariowistem na czele, co oznaczało uroczystości, igrzyska, zabawy i niekończące się widowiska cyrkowe, ale przeciwnicy Cezara działali po cichu i robili co w ich mocy, aby rzucać mu kłody pod nogi.

Najbardziej uciążliwy pod tym względem był oczywiście Katon, a także Bibulus, który starał się za wszelką cenę zawetować ustawy Cezara albo z progu swego domu ogłaszał ich nieważność. Sam nie pojawiał się w Senacie wcale, ale co raz wysyłał swego niewolnika, który oznajmiał, że znaki na niebie były niepomyślne. Dzięki temu zdołał doprowadzić do przesunięcia wyborów konsularnych na przyszły rok z lipca na październik, w nadziei, że Cezar nie zdoła przeforsować swoich kandydatów. Tak się jednak nie stało i wybory wygrał teść Cezara, Lucjusz Kalpurniusz Pizon, oraz Gabiniusz. Pod koniec roku podpuszczeni przez Bibulusa trybuni ludowi chcieli postawić Cezara w stan oskarżenia za nadużycia władzy, ale czwarty trybun, Klodiusz – notabene ten sam, który ongiś zakradł się do domu Cezara na potajemną schadzke z jego ówczesną żoną Pompeją – udaremnił ten zamiar.

Kiedy nadszedł grudzień, Cezar mógł z zadowoleniem stwierdzić, że jego konsulát należał do udanych, a on sam

spełnił się w roli najwyższego urzędnika w państwie. Udało mu się przeforsować dwie ustawy agrarne, które były już wprowadzane w życie. Senat zatwierdził zdobycze Pompejusza na Wschodzie, co oznaczało, że zgodnie z literą prawa Rzym nabywał nową prowincję - Judeę. Krassus również otrzymał to, co chciał, czyli częściowe zwolnienie z podatków oraz ulgi dla poborców podatkowych. Najbardziej zadowolony był jednak z przyznania mu na pięć lat prowincji Galii Przedalpejskiej i Ilirii.

- Niech sobie Bibulus sprawuje prokonsulat w lasach i na pastwiskach Italii. - Cezar śmiał się zadowolony do swego teścia w ostatnim dniu swego urzędowania, kiedy szli razem do Senatu. - Watyniusz nie tylko przyznał mi Galie Przedalpejską, ale również Zaalpejską, a to oznacza, że zrealizuję moje plany na przyszłość.

W Galii Przedalpejskiej stacjonowały trzy legiony, a także oddziały pomocnicze. Cezar mógł się czuć w pełni usatysfakcjonowany. Mimo to z pewną nostalgią szedł po raz ostatni w roli konsula na posiedzenie Senatu. Gdyby mógł, starałby się o to stanowisko ponownie, wiedział jednak, że musi upłynąć co najmniej dziesięć lat, przez który to czas nie wolno mu stawać do wyborów konsularnych. Wyżej już mierzyć nie mógł, z dniem pierwszego stycznia otrzymać miał władzę prokonsula, namiestnika prowincji, odpowiadającą władzy konsula w Rzymie. Gdyby został w Rzymie, za rok mógłby starać się o urząd cenzora, ale Cezar nie miał ochoty zajmować się cenzusem, wolał karierę wojskową, o ile wyprawę za Alpy można było określić tym mianem. Lecz Cezar doskonale wiedział, co robi, już od jakiegoś bowiem czasu posiadał w Galii liczną siatkę szpiegów, w tym samego Dywicjaka z plemienia Eduów, którzy szczycili się przywilejem Przyjaciół Narodu Rzymskiego. Dzięki temu Cezar doskonale orientował się w sytuacji wśród galijskich plemion.

Po odprawieniu modlitw przyszedł czas na zdanie relacji ze swej działalności jako konsula. Bibulus przemawiał krótko, to, że w ogóle raczył przyjść na posiedzenie Senatu, zdumiało wielu zgromadzonych senatorów, jako że przez ostatnie pół

roku Bibulus - urażony w swej dumie albo po prostu ze strachu - krył się pod dachem swego domu. Nie wyściubił zeń nosa po wydarzeniach z początku roku, pomijając te przypadki, kiedy pofatygował się na Forum, aby przeszkodzić swemu „koledze” w przeforsowaniu jakiegoś nowego prawa. Teraz, kiedy Cezar zdawał relację ze swych poczynań, siedział ze skwaszoną miną i oglądał swoje wypielęgnowane paznokcie.

Cezar, ku zdumieniu senatorów, także przemawiał krótko i zwięźle. Przypomniawszy swoje sukcesy w dwóch zdaniach, wymienił najważniejsze ustawy i stwierdził, że mimo oporu i utyskiwań jego przeciwników zdołał uzyskać to, czego pragnął, a teraz z kolei wszystkim wsiądzie na karki.

W Kurii zapadła krępująca cisza, po czym rozległ się szept:
- Niełatwo to przyjdzie niewieście.

Teraz cisza była już tak gęsta, że można ją było kroić nożem. Wszyscy wiedzieli, że ta złośliwość odnosi się do słynnej już afery z Nikomedesem i posądzenia Cezara o bycie kochankiem króla Bitynii.

Cezar zwinął papirus, z którego odczytywał swoje zasługi, i z uśmiechem rozejrzał się po twarzach zgromadzonych mężczyzn.

- W Syrii też rządziła ongiś królowa Semiramis, a większą częścią Azji władowały Amazonki - powiedział. - Zdaje się, że u Brytów też władzę sprawują królowe. Jest zatem przede mną nadzieja.

Senatorowie roześmiali się, po części z ulgą, po części z musu, niemniej do końca tego ostatniego zgromadzenia nikt więcej nie podjął tematu Nikomedesa.

Jeżeli Atia czegokolwiek się bała, to odwiedzin swego wuja, zwłaszcza po tym, co miało miejsce w zeszłym roku, kiedy to podała swojej kuzynce Julii wywar mający zabić dziecko w jej łonie. Do dzisiaj Atia nie miała pojęcia, jakim cudem Cezar się o tym dowiedział, dość, że oznajmił jej wówczas, iż jeśli to się powtórzy, osobiście ją zabije. I mówił to ten sam Cezar, który był kiedyś jej kochanym wujkiem, sadzał ją sobie na kolanach i zabawiał zabawkami z drewna. Ten sam, który półtora roku temu przyszedł do niej z wizytą i zaproponował jej adopcję

Gajusza Oktawiusza.

Atia nie była głupia, a wprost przeciwnie. Wiedziała, że Cezar nie należy do ludzi rzucających słowa na wiatr. W tym przystojnym, wypielegnowanym człowieku było coś takiego, co mroziło ludziom krew w żyłach, jakkolwiek na co dzień nie sposób było to dostrzec. Cezar miał zawsze dla każdego szeroki uśmiech i dobre słowo, z reguły nie unosił się gniewem, nie uciekał się do gróźb, o ile nie było to absolutnie konieczne. Ale wówczas wpadł we wściekłość, co było całkiem zrozumiałe, zwłaszcza że tak bardzo liczył na męskiego potomka, nawet jeśli byłby to syn jego córki.

Kiedy Cezar był konsulem, nie zwracał sobie głowy takimi problemami. Jeżeli odwiedzał Atię, czynił to zawsze w towarzystwie swojej żony. Raz tylko przyprowadził córkę, a wówczas Atia musiała siedzieć przy jednym stole z kuzynką, której po cichu wyrządziła tak ogromną krzywdę. Więcej nie próbowała. Wiedziała, że Cezar dotrzyma obietnicy, a nie bardzo miała ochotę zegnać się z tym światem już w młodości. Ze względu na siebie i swoje dzieci wolała trzymać się planu ustalonego przez wuja. Nie wyszła też za męża, a to, komu się oddawała w zaciszu swego domu, nie interesowało Cezara ani odrobinę. Jeżeli o to chodzi, dawał jej całkowicie wolną rękę. Ostatecznie Cezar nie był ani tyranem, jak sądzili niektórzy, ani ascetą, jak ta czarna wrona Katon Młodszy, którego Atia instynktownie nienawidziła.

Pewnego zimnego, ze wszech miar nieprzyjemnego zimowego dnia do jej domu zawitał nie kto inny jak prokonsul we własnej osobie – bez świty i liktorów, bez sztabu niewolników. Było to o tyle dziwne, że piastując urząd prokonsula, nadal nie był osobą prywatną, z czego zresztą znowu bardzo się cieszył, jako że urzędnikowi nie wolno było wytoczyć procesu. Atia sądziła, że jej wuj, nie chcąc marnować czasu, jeszcze zimą wyjedzie na prowincję, ale Cezar miał w Rzymie całkiem sporo spraw do załatwienia. Między innymi musiał zająć się formowaniem własnego legionu, jakkolwiek trzy znajdowały się już na miejscu, w Prowincji.

Kiedy wszedł, ona akurat leżała na sofie ze zwojem

papirusu w rękę i czytała z upodobaniem tragedie Sofoklesa. Atia bądź co bądź należała do wykształconych kobiet: znała matematykę, geografię i filozofię, interesowała się historią, pisywała też wiersze, ale nie uważała siebie za tak zdolną poetkę, by odważyć się wydać swe dzieła. Gdy zobaczyła wuja, Sofokles wypadł z jej rąk.

- Też się cieszę, że cię widzę, siostrzenico - powiedział Cezar z szyderym uśmiechem. - Nie przeszkadzaj sobie. Gdybyś tylko mogła poprosić o jakiś ciepły napój dla mnie... Strasznie nieprzyjemna pogoda dzisiaj.

Italskie zimy nie należały do przyjemnych, ponieważ zrywały się wówczas północne wiatry i szalały po wyziębionych domach. Cezar odziany był w ciepły płaszcz, który wiele lat temu utkała dla niego Kornelia i który pomimo upływu czasu był ulubionym płaszczem Cezara. Nosił też, rzecz jasna, swoje kapłańskie czerwone buty, które znakomicie chroniły przed kałużami.

Atia poderwała się z miejsca i klasnęła na niewolnika, który i tak wszystko słyszał, ponieważ stał pod ścianą. Po chwili zjawił się z cynowym kubkiem pełnym parującego naparu z ziół. Cezar upił łyk napoju słodzonego lukrecją i przeszedł do sedna.

- Atio, za jakieś dwa miesiące wyjadę stąd do Galii i nie będzie mnie przez pięć lat - powiedział bez ogródek. - Jeżeli przekroczę granicę pomerium, stracę imperium i stanę się człowiekiem prywatnym, a do tego nie mogę na razie dopuścić. Dlatego chcę się upewnić, że nasza umowa nadal obowiązuje.

- Nie inaczej, wuju - zapewniła go Atia żarliwie. Czowała się tak, jakby zimna jaszczurka pełzała jej po kręgosłupie.

- Atio, gdybym ci w stu procentach ufał, nie przyszedłbym tu dzisiaj - stwierdził Cezar. - Dobrze wiem, do czego jesteś zdolna. Nie posądzałem cię o takie okrucieństwo. Ze względu na ciebie, na przyszłość twego syna i na spokój mojej córki przysięgam ci na Jowisza i na moją przodkinię Wenus Genetrix, że nie zaadoptuję żadnego dziecka zrodzonego z Julii. Przysięgam ci to na ogień i wodę, na ziemię i powietrze i niech bogowie przeklną mnie, a Fortuna się ode mnie odwróci, jeżeli skłamię.

Atia siedziała, jakby ją zamurowało, nie wiedząc, co powiedzieć. Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego rodzaju wyznań i deklaracji.

- Przysięgam ci również - kontynuował jej wuj - że jeśli nawet doczekam się męskiego potomstwa z moją żoną Kalpurnią, przysposobię i zaadoptuję Gajusza Oktawiusza jako mojego drugiego syna i podzielę mój majątek między ich dwoje. Jeśli jednak znowu uczynisz to, co ostatnim razem, spełnię moją poprzednią obietnicę.

Atia po raz pierwszy w życiu przez tak długi czas nie wiedziała, co powiedzieć, nadal bowiem jej usta były niczym zasznurowane. Po wuju Gajuszu mogła spodziewać się wszystkiego, począwszy od adoptowania jej, a na skazaniu na śmierć skończywszy. Miał do tego prawo, jako że był jedynym męskim przedstawicielem rodziny, a Atia, wychodząc za mąż, nie wyzwoliła się spod władzy ojca. Teraz mogła tego jedynie żałować, ale było już za późno na takie gesty rozpacz. Przez ostatni rok była świadkiem co najmniej rewolucyjnych przedsięwzięć brata swej matki, który niemal całkowicie jawnie dawał do zrozumienia, że nie liczy się z Senatem i że zawarł potajemne porozumienie z Pompejuszem i Krassusem, co stało się jasne prawie dla wszystkich Rzymian. Chociaż była kobietą i z tego względu nie mogła mieszać się w sprawy polityki, Atia śledziła na bieżąco rozwój wydarzeń, ponieważ jej syn również miał kiedyś przywdziać męską togę i zasiąść w ławach senatorskich. Poza tym, jak każda Rzymianka, Atia drżała w obawie przed wojną domową, nie było zatem nic dziwnego w tym, że chętnie dowiadywała się o działalności swego wuja.

Nie spodziewała się jednak, że Cezar tak otwarcie i szczerze złoży jej tego rodzaju przysięgę. Na ogół Rzymianie unikali przysięg, uważali je bowiem za feralne i źle widziane w oczach bogów. Cezar jednak był tak dalece zadeklarowanym agnostykiem, że lekceważył bogów, którzy w jego przekonaniu nie istnieli. Publicznie nie głosił rzecz jasna takich herezji, bo urząd mu na to nie pozwalał - wszak pełnił funkcję najwyższego kapłana - prywatnie jednak przyznawał się do swej niewiary w bogów, a jedynym przejawem opatrności

nazywał Fortunę, szczęście, które, jak twierdził, towarzyszyło mu w życiu. Czy zatem jego przysięga na Jowisza była wiążąca? Z pewnością tak. Cezar nie pokusiłby się o składanie pustych obietnic choćby z tego powodu, że godziłoby to w jego honor, a na tym punkcie wuj był wielce przewrażliwiony.

- Dlaczego mi to mówisz? - wykrztusiła wreszcie. - Czyżby z obawy o zdrowie swojej córki?

- I jej nienarodzonych dzieci, moja mała zmijo - odparł Cezar. - Ze względu na mój święty spokój i spokój mojej żony. Julia ma obrońcę, i to wcale skutecznego w osobie Pompejusza, ale Kalpurnia, kiedy ja pojedę do Galii Zaalpejskiej, zostanie bezbronna. Dobrze o tym wiesz. A ja wiem, do czego jesteś zdolna. Dlatego bez względu na rozwój wydarzeń zaadoptuję twojego syna, kiedy skończy on lat szesnaście i przywdzieje męską togę. Jako jego jedyny krewny osobiście będę mu w tym dniu asystował.

Atia wiedziała, jak istotnym dniem w życiu Rzymianina był ten, w którym zaliczano go do męskiego grona. W dniu, kiedy chłopak skończył szesnaście lat, ścinano mu po raz pierwszy włosy i golono zarost, po czym umieszczano je w specjalnym woreczku, który młodzieniec wieszał sobie na szyi. Chłopiec taki w asyście ojca lub innego męskiego krewnego ubierany był po raz pierwszy w męską togę i prowadzony na Forum, gdzie trwały dalsze uroczystości. W Grecji chłopcy w tym wieku nazywani byli efebami, czekała ich, podobnie jak w Rzymie, służba wojskowa, która była pierwszym krokiem na drodze politycznej kariery.

Gajusz Oktawiusz miał niecałe pięć lat, zatem przed nim była jeszcze długa droga. Na razie był pod całkowitą opieką matki, jednakże stryjeczny wujek sprawował nad nim władzę równą z ojcowską. Atia mogła się z tego cieszyć, bo wiedziała, że Cezar da sobie prędzej głowę uciąć niż skrzywdzić członka własnej rodziny. Z drugiej jednak strony Cezar rościł sobie prawo do jej dziecka, jakby było ono jego własnym potomkiem. Kiedyś ostrzegł Atię przed ponownym zamążpójściem, w jego bowiem przekonaniu, zapewne słusznym, kolejny mąż usiłowałby pozbyć się nie swojego syna. Ona jednak wolałaby

w tym wypadku, żeby Cezar od razu adoptował Gajusza, jej zaś pozostawił wolny wybór.

Wiedziała, o co mu chodziło. Wyjeżdżał na co najmniej pięć lat i musiał być spokojny o swoją pozostawianą w Rzymie rodzinę. Cezar mógł się nie bać politycznych wrogów, bardziej jednak niż swych przeciwników obawiał się zdrajców wśród własnych krewnych i przyjaciół. Dobro jego córki było zaś najważniejsze i najbardziej istotne.

- Nie zrobię niczego, co mogłoby wzbudzić twój gniew - zapewniła go Atia.

- Wiem o tym, moja droga. - Cezar uśmiechnął się. - W twoim domu będzie bowiem odtąd mieszkał mój człowiek. Zatrudniłem nauczyciela dla twojego syna. Zacznie się uczyć w domu, czas już zaznajomić go z alfabetem i podstawami matematyki.

- Ależ on ma dopiero pięć lat! - zaprotestowała Atia.

- Im szybciej zacznie, tym lepiej - odparł Cezar. - Chcę, żeby znał grekę i język Etrusków. Chcę, żeby znał Homera i greckich filozofów. Zatrudnię dla niego najlepszych nauczycieli retoryki, filozofii i gramatyki.

- Wuju, na Herkulesa, przecież to tylko chłopiec, a nie macedoński albo wschodni władca! - przeraziła się Atia. - Co ty dla niego szykujesz?

- Atio, kiedy on dorośnie, czasy mogą być zupełnie inne - stwierdził Cezar. - Niech chłopiec pobiera nauki u najlepszych nauczycieli. Niech zdobywa wiedzę i mądrość. Jest z rodu Juliuszów, jest potomkiem Wenus, nie może być nieokrzesany jak, nie przymierzając, Katon!

- Katonowi akurat niczego nie brakuje, jeśli chodzi o wiedzę - zauważyła Atia złośliwie.

- Ale co do rozumu, to mu go bogowie poskąpili - odparował Cezar.

- Od kiedy wierzysz w bogów, wuju? - zaśmiała się Atia, zyskawszy już trochę pewności siebie.

- Wierzę w nich wtedy, gdy mi to na rękę - odparł Cezar niewzruszonym tonem. - Postanowiłem i masz wykonać moją wolę. Gajusz Oktawiusz rozpocznie naukę i będzie się kształcił

na pełnowartościowego obywatela, moja droga. Gdybym miał syna, uczyniłbym to samo.

- Wciąż jeszcze możesz go mieć - mruknęła Atia.

- Mogę mieć wielu synów - przyznał Cezar. - Ale póki co będę miał wojnę i w głowie będą mi inne rzeczy niż płodzenie dzieci. Jeżeli się dowiem, że moja córka lub żona ucierpiały z twojego powodu, zabiję cię, Atio - dodał tonem znacznie bardziej złowrogim, aczkolwiek spokojnym. - I uwierz mi, że będziesz umierać w męczarniach. Dla ciebie w tym wypadku uczynię wyjątek.

Atia zadrżała. Słyszała opowieść, jak to w młodości napadli Cezara na morzu piraci i jak z takim samym jak teraz zimnym, pogardliwym uśmiechem na ustach on zwiastował im śmierć na krzyżu. Było w tym człowieku coś takiego, co niekiedy ją paraliżowało. Może to, że nigdy nie wiedziała, kiedy zrealizuje swoje ponure obietnice...

Wiedziała jednak, że jak długo wychowuje Gajusza Oktawiusza i jak długo dziecko nie jest formalnie przez Cezara usynowione, ona sama może spać spokojnie. Na razie jej potrzebował, a skoro przysiągł jej adoptować dziecko, ona sama nie musi uciekać się do czynów równie niecznych jak ten dokonany poprzednio, którego zresztą szczerze żałowała nie ze strachu przed gniewem Cezara, ale ponieważ przelała niewinną krew.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Cezar wyszedł. Jeszcze dwa miesiące i odjedzie, a wówczas oddali się od niej groźba i wizja życia w ciągłym strachu przed nim. Jakkolwiek bowiem Atia była przebiegła, wyrachowana i zimna, jeśli chodzi o życie swoje i swoich dzieci, najzwyczajniej w świecie się bała. Cezar okazał się nie tyle sojusznikiem, ile wielce niebezpiecznym partnerem w interesach i na niego należało wyjątkowo uważać. Toteż kiedy kilka dni później do jej domu przyjechał grecki wyzwolieniec Cezara, nauczyciel gramatyki, Atia nie pisnęła nawet słówka w obawie, uzasadnionej zresztą, że ów człowiek okaże się donosicielem.

Wolała żyć pod stałą obserwacją wuja i mieć nadzieję na to, że jej syn otrzyma od Cezara wszelkie możliwe dobra, niż drzeć

o przyszłość potomka i wieść życie w niepewności i uzależnieniu od obcych mężczyzn, którzy czekali na pierwszą okazję, by pozbyć się Gajusza Oktawiusza i zasiać własne nasienie.

Tym, co zatrzymywało Cezara w Rzymie, były początkowo zapowiedzi postawienia go przed sądem, próby oskarżenia go, które jednakże spełzły na niczym, a następnie chęć wywierania przezeń dalszego wpływu na politykę. Wraz jednak z końcem lutego od jego galijskich szpiegów, a w pierwszej kolejności od druida z plemienia Eduów Dywicjaka, nadeszły wieści o tym, że plemię Helwetów sposobi się do wyruszenia ze swoich dziedzin na poszukiwanie nowych terenów do życia. Cezar zignorowałby to zapewne, gdyby nie informacje, że Helweci szykują się do przejścia na przełaj przez rzymską Prowincję w Galii Zaalpejskiej. Na razie były to jedynie niepotwierdzone pogłoski, Cezar uznał jednak, że nie należy zostawiać Galów samych sobie, bo gotowi są w mgnieniu oka zorganizować rebelię, jak to miało miejsce przed kilkoma laty z Allobrogami.

Stało się to za konsulatu Cyncerona. Otóż Allobrogowie wysłali do niego wiadomość o przygotowywanym przez Katylinę spisku, jako że ten ostatni, mając się wszelkich sposobów, chciał do swojego przedsięwzięcia napaści na Rzym zwerbować sobie galijskich sprzymierzeńców zamieszkujących niedawno podbitą prowincję. Cynceron wykorzystał te wiadomości na równi z potajemną informacją od Cezara, kiedy jednak przyszedł czas zapłaty Allobrogom za ich pomoc, okazało się, że konsul o nich zapomniał. Urażeni niegdysiejsi posłowie i sprzymierzeńcy wzniesli rebelię, którą należało niezwłocznie ukroczyć, co jednak nie leżało w interesie Rzymu.

Teraz Allobrogowie byli ujarzmieni i potulni, ale nie należało spodziewać się z ich strony przejawów sympatii ani tym bardziej chęci do współpracy z narodem rzymskim.

Otrzymawszy najświeższe informacje, Cezar uznał, że nie należy przeciągać swego pobytu w Rzymie, skoro czas już objąć stanowisko prokonsula na przydzielonych mu prowincjach. Co prawda początkowo zamierzał przekroczyć Alpy dopiero wiosną, jako że w Galii Przedalpejskiej spodziewać się mógł

śniegu, wzburzonych rzek i ogólnie rzecz biorąc nieprzyjemnej pogody. Teraz jednak, pod koniec lutego, zdecydował się wyruszyć za dwa tygodnie, kiedy tylko zima ustąpi pierwszym promieniom wiosennego słońca i kiedy on zdoła zorganizować armię. Choć w prowincji stacjonowały wspomniane trzy legiony, Cezar chciał więcej zasobów, w dodatku należało powołać do służby czynnej legatów, a wybór tychże leżał już w prywatnej gestii prokonsula.

Kalpurnia była niepokieszona, kiedy pewnego wieczoru na początku marca Cezar oznajmił jej, że wkrótce ją opuści. Wcale tego nie ukrywała, chociaż wiedziała, że rzymskiej matronie nie przystoi okazywać uczuć, a już w zupełności nie powinna ona smucić się, kiedy jej mąż wyruszał na poszukiwanie chwały albo w celu wypełnienia swego obowiązku wobec ojczyzny, a tym niewątpliwie była służba prokonsula na prowincji.

Cezar był zbyt doświadczony, by nie rozeznąć się w sytuacji. Podczas wieczerzy Kalpurnia była milcząca i wbijała wzrok w swój talerz. Podczas gdy on rozprawiał o konieczności jak najszybszego udania się na prowincję, zajadał się wyśmienitym serem i oliwkami, ona ledwie skubała jedzenie, chociaż zwykle apetyt jej dopisywał. Jako że przy kolacji asystowali im niewolnicy, prokonsul postanowił więc nie poruszać tematu swojej wyprawy, wiedział bowiem, że służba potrafi oddawać się plotkom z nie mniejszym entuzjazmem niż ich państwo. Nie mógł jednak nie zauważyć wyrazu smutku i przygnębienia na twarzy małżonki, a to przywołało skojarzenie z wyrazem twarzy Kornelii, kiedy dwadzieścia lat temu musiał w trybie przyspieszonym opuścić Rzym - jeżeli można sobie pozwolić na takie eufemistyczne określenie - inaczej bowiem Sulla mógł zmienić zdanie i zażyczyć sobie jego głowy na talerzu. Kornelia płakała, ilekroć on opuszczał dom, nie bacząc na to, co przystoi a co nie przystoi rzymskiej niewieście. Kochała go i chociaż wychowano ją w kulcie Republiki i nauczono, że mężczyzna jest przede wszystkim obywatelem, a dopiero potem ojcem i mężem, otwarcie dawała mu do zrozumienia, że woli być z nim, aniżeli pławić się w blasku jego

chwały.

No i tak prawdę mówiąc, zbyt wielu nie miała ku temu okazji. Choć byli dobrze urodzeni i żyli ponad stan, ich długi były pięciokrotnie większe od majątku, Cezar w trakcie małżeństwa z Kornelią nie wykazywał większych chęci na robienie kariery. To wiązało się jednak nie tyle z możliwością wspólnego przebywania ze sobą, bo on odbywał przecież studia retoryki na Rodos, ile jedynie z brakiem okazji do zdobywania bogactwa i sławy.

Cezar nigdy nie potrafił skrzywdzić żadnej kobiety, o ile nie stanowiła ona zagrożenia dla jego najbliższych, aczkolwiek sam nie wierzył w swoje groźby wypowiedane pod adresem Atii. Toteż teraz też nie umiał obojętnie siedzieć wobec smutku na twarzy żony. Kiedy, mając lat osiemnaście i będąc świeżo po ślubie, wyjeżdżał do Bitynii, nie docierała do niego bolesna prawda, że może spędzić poza domem wiele lat. Był mężczyzną, więc brak żony mógł sobie z czystym sumieniem rekompensować w domach publicznych lub po prostu biorąc kochankę spośród obozowych dziwek. Nie zaprzętał sobie wówczas głowy takimi sprawami jak rodzina i dziecko, tym bardziej, że Julia była ledwie oseskiem. Ale w późniejszym czasie, za każdym razem kiedy czekał go jakikolwiek wyjazd, zupełnie inaczej podchodził do tego problemu, ponieważ musiał opuścić dom rodzinny, córkę, żonę i matkę, a także sprawy państwowe. Po śmierci Kornelii wyjazdy na prowincję uważał z kolei za błogosławieństwo losu, bo nie musiał tkwić w Rzymie i żyć wspomnieniami. Teraz również miał wyjechać i w przeciwieństwie do Kalpurni nie uważał tego za tragedię. Być może inaczej sprawy by się miały, gdyby to on musiał zostać w Rzymie, zajmować się domem i czekać na nią, podczas gdy to ona wykonywałaby swoje obowiązki w Galii.

Niezręcznie mu było jeść kolację u boku strapionej małżonki. Być może nie darzył Kalpurni namiętnym uczuciem ani wielką miłością, jak to miało miejsce w przypadku Kornelii. Od kilku lat romansował z Serwilią i czuł do niej nie tylko namiętność i pożądanie, ale także coś głębszego, jakiś trudny do zdefiniowania pociąg fizyczno-emocjonalny, który nakazywał

mu przy niej trwać. Nie było mu jednak trudno opuścić wygodnego łoża Serwili i ani zostawiać jej dla prowadzenia wojny w Galii. Natomiast jeśli chodzi o Kalpurnię, nie potrafił obojętnie patrzeć na jej zmartwienie. Żywił do niej prawdziwą sympatię, o ile mógł to tak określić, poza tym naprawdę ją szanował i jej pragnął. Była oddaną żoną, wierną i dyskretną – jakkolwiek okazywała mu prywatnie zazdrość, publicznie ani razu nie odezwała się słowem na temat jego zdrad, nigdy też nie dała mu do zrozumienia, że czuje do niego z tego powodu urazę, chociaż on nie był głupcem i był świadom, że boli ją ta sytuacja.

Poza tym Kalpurnia go kochała. Darzyła go szczerym uczuciem i on o tym wiedział, a jako mężczyzna wrażliwy na kobiece wdzięki nie potrafił tego lekceważyć. Toteż trudno mu było zachowywać się obojętnie wobec młodej żony, która nie prosiła wcale o to, by nią zostać, ale skoro już wzięła na siebie ciężkie brzemię bycia małżonką Cezara, dźwigała je z godnością i na pewno nie zasługiwała na lekceważenie.

Kiedy zatem udali się już na spoczynek i kiedy Kalpurnia wślizgnęła się do łoża, Cezar położył się obok i podłożył jej ramię pod głowę.

Kalpurnia przytuliła się do niego i położyła rękę na jego piersi. Cezar wolną ręką gładził jej kręcone włosy. Panowała cisza, dwie oliwne lampki rozpraszały ciemność.

- Nie chcesz, żebym jechał, prawda? - odezwał się Cezar cicho.

Kalpurnia milczała. Nie mogła przecież powiedzieć swemu małżonkowi, że nie życzy sobie jego chwały. Nie mogła też powiedzieć, że nie chce, aby jechał on wypełnić swój obowiązek względem ojczyzny. Nie chciała narażać się na jego gniew.

- Możesz mi powiedzieć - szepnęła. - Jestem twoim mężem, a nie potworem, Kalpurnio.

- Tak o tobie mówią ci skorumpowani optymaci - mruknęła Kalpurnia. - Nazywają cię potworem, uzurpatorem i zabójcą Republiki. Nie wiedzą, że za twoimi czynami kryje się coś więcej niż pragnienie zaszczytów.

- Ty to rozumiesz? - zapytał Cezar.

Będę na ciebie patrzeć z góry, Gajuszu...

Kalpurnia gładziła go po skórze, wywołując rozkoszne dreszcze, ale też jeszcze coś, co było uczuciem pośrednim między czułością i wzruszeniem. Kalpurnia w przeciwieństwie do Serwili była niewinna i nieskażona brudem rzymskiej polityki. Obce jej były intrygi, po prostu się nimi nie interesowała. O ile z Serwilią przyjemnie było Cezarowi kłaść się do łóżka, aby zaspokoić pożądanie i porozmawiać o polityce, o tyle u boku Kalpurni znajdował spokój i ukojenie.

- Tak, martwię się twoim wyjazdem i wcale go nie pragnę - szepnęła. - Kiedy o tym myślę, robi mi się ciężko na duszy.

- Wiesz więcej, niż chcesz mi powiedzieć - stwierdził Cezar, który znał już swoją żonę na tyle, by mieć co do tego przekonanie.

- Nie chcę o tym mówić - odparła Kalpurnia z niechęcią.

- Nie musisz.

- Cezarze, wiem, że żadną siłą nie zatrzymam cię w domu - westchnęła Kalpurnia.

- Nikt nie zatrzyma mnie w domu, nawet Julia. Nawet gdyby umierała, wydając na świat dziecko.

Kalpurnia uniosła się na łokciu i wbiła w męża pałający wzrok. Cezar poczuł zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Jego żona, ze wzburzonymi ciemnymi włosami i gorejącymi oczami, wyglądała teraz jak Menada. Nigdy nie była piękną, ale w tym momencie jej ostre rysy twarzy złagodniały dziwnie w półmroku, ona sama zaś przywodziła Cezarowi na myśl Kasandrę, wieszczkę trojańską obdarzoną darem jasnowidzenia, której nikt nie słuchał.

- Nigdy więcej tego nie mów, Cezarze - odezwała się nie swoim głosem, strasznym, jakby pochodzącym od bogów. - I uważaj, jakie słowa wychodzą z twych ust, abyś ich później nie żałował.

Opadła znowu na jego ramię. Czuł serce tłukące się w jej piersi niczym gołąb w klatce. Ileż dałby za możliwość zabrania jej ze sobą do Galii! Nie mógł jednak narażać jej na niebezpieczeństwo, poza tym ktoś w Rzymie musiał pilnować jego interesów, a Kalpurni ufał najbardziej, bardziej nawet niż

Pompejuszowi, który był niepewnym sprzymierzeńcem.

- Kornelia też nie miała takiej mocy ani daru, który sprawiłby, że zostawałbym w domu - powiedział, wracając do tematu.

- Nie zamierzam cię powstrzymywać - zapewniła go Kalpurnia. - Jednak na myśl o twojej galijskiej kampanii czuję niepokój.

- Myślisz, że tam zginę? - zaśmiał się Cezar.

- Nie, nie tam - padła odpowiedź.

- Kalpurnio, śmierć towarzyszy nam od chwili narodzin - zauważył Cezar filozoficznie. - Nie uciekniesz od niej. Tak czy inaczej w końcu cię dopadnie, więc nie należy się jej obawiać.

- Cezarze, będę po prostu za tobą ogromnie tęsknić - przyznała wreszcie Kalpurnia. - Czy nie ma żadnego sposobu, abyśmy spotkali się w ciągu tych lat?

- Oczywiście, że jest - roześmiał się Cezar. - Zimą, o ile mi wiadomo, nie będę podejmował działań wojennych, więc jest duże prawdopodobieństwo, że poślę po ciebie do zimowej kwatery, o ile będzie się ona znajdować na terenie Galii Przedalpejskiej. Nie ma potrzeby, żebyś podróżowała przez góry zimą. Nie martw się tak bardzo.

Kalpurnia leżała i wdychała jego zapach. Nie chciała się z nim rozstawać. Nawet jeśli jej nie kochał, nawet jeśli ją zdradzał, miewał kochanki przelotne i stałe, nawet jeśli był od niej o tyle lat starszy, ona go pragnęła, kochała i chciała być blisko niego, oddychać tym samym powietrzem, słuchać jego głosu, sycić oczy jego widokiem, spać w jego ramionach i wiedzieć, że jej mężczyzna jest w pobliżu, a ona nie jest sama, zdana na łaskę i niełaskę męskich krewnych bliższych i dalszych.

- Kalpurnio, bez względu na to, co się stanie, wiedz, że wrócę do ciebie - zapewnił ją Cezar. - Jesteś moją żoną i kocham cię.

Kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że mówi prawdę. Choć bowiem wmawiał sobie, że nie pokocha już żadnej kobiety, zrozumiał teraz, że miłością można nazwać również ciche przywiązanie, oddanie i szacunek. A wszystko to żywił

do Kalpurni, chociaż zbytnio pożądał i zbytnio był spragniony kobiet, by trwać w postanowieniu wierności.

Poczuł na swoim ciele coś gorącego i mokrego i wiedział, że to łzy jego żony spływające po jej policzku.

- Nigdy mi tego nie powiedziałaś - szepnęła.

- Bo jestem głupcem, Kalpurnio. Mam u boku skarb, który nie dość szanuję i o który nie dość dbam. Nie zmienię się, bo jestem na to za stary i zbyt leniwy, ale wiedz, że cię kocham i że wrócę do ciebie z Galii. Przywiozę ci chwałę i majątek godny żony senatora i patrycjusza. Uczynię cię pierwszą kobietą w Rzymie.

- Wróć do mnie, Cezarze, a uczynisz mnie najszczęśliwszą kobietą w Rzymie - powiedziała Kalpurnia poważnie.

- Wrócę. Obiecuję ci. Bo do ciebie, żono, warto wracać.

Kiedy Kalpurnia zasnęła, Cezar ostrożnie uwolnił zdrętwiałe ramię i długo jeszcze na nią patrzył. Była nadal dzieckiem, chociaż z drugiej strony nic nie przeczyło jej kobiecej dojrzałości, psychicznej i fizycznej. Ciężko mu było ją opuszczać, ale kiedy wymykał się z jej objęć, by jeszcze raz przestudiować mapy i trakty Galii, odczuwał satysfakcję, że przed wyjazdem podarował jej poczucie pewności i bezpieczeństwa. Istotnie zamierzał do niej wrócić. Później, kiedy już dokona w Galii rzeczy, jakich przed nim nie dokonał nikt.

Dwa dni później Cezar udał się do Galii. Jakkolwiek w ich sypialni Kalpurnia płakała, podczas oficjalnego pożegnania trzymała się nad wyraz dzielnie. Cezar opuścił dom odziany w strój wojskowy, a zatem pożegnał się z czerwonymi kapłańskimi butami. Nosił zwykłą żołnierską tunikę, wojskowe sznurowane buty zwane caligae, zbroję i czerwony imperatorski płaszcz, do noszenia którego wywalczył sobie prawo w Hiszpanii. Jego eskortę stanowili niewolnicy i klienci, a także legaci, wśród nich jeden, który wyróżniał się wyjątkowo złą sławą. Tytus Labienus.

Człowiek ten mniej więcej dekadę wcześniej służył w Azji pod rozkazami Publiusza Serwiusza Watii Izaurykusa i tam

właśnie wsławił się niezwykłym okrucieństwem. Dla rzymskiego żołnierza zadawanie śmierci nie było niczym niezwykłym, ostatecznie po reformie Mariusza, kiedy armia stała się zawodowa, z tego właśnie żyli. Uśmiercanie wrogów dawało powód do chwały, było obowiązkiem wobec ojczyzny i w takiej właśnie kategorii było rozpatrywane, Labienus jednak w swej żądzy mordowania posuwał się znacznie dalej. Bez mrugnięcia okiem dokonywał egzekucji na jeńcach przeznaczonych na rzeź, zabijał bez różnicy wszystkich: kobiety, dzieci i starców, przy czym zabijanie kobiet dostarczało mu wyjątkowej przyjemności. O ile z mężczyznami rozprawiał się krótko, o tyle kobiety potrafił przed śmiercią dręczyć, ukazując ich oczom egzekucje ich własnych maleńkich dzieci, którym rozbijał główki o ścianę lub drzewo. Potrafił gołymi rękami rozerwać niemowlę na dwoje i rzucić drgające jeszcze szczątki na podolek oniemiałej z rozpaczy matce. Po tego typu rzeziach udawał się najczęściej do burdelu, by tam ulżyć nadmiarowi testosteronu i rozładować podniecenie, jakie wywoływało u niego zadawanie śmierci. Był bezwzględny i to właśnie on wykonywał wszelkie kary na niezdyscyplinowanych żołnierzach, począwszy od chłosty, a na decymacji skończywszy. Legioniści widząc, komu przyjdzie ich uśmiercać, sami ostrzyli sobie miecze, byle szybciej i w miarę bezboleśnie odejść z tego świata.

Labienus wsławił się w wyszukanych metodach zabijania buntowników, a do jego ulubionych strategii należało ukrzyżowanie. Z wyrazem twarzy zawodowego sadysty osobiście przybijał nieszczęśników do krzyża, a wcześniej, z wyraźną żądzą w oczach, nadzorował chłostę. Żołnierze bali się go i nienawidzili, ale legatem był znakomitym i sprawdzał się na polu walki, bo bez strachu szedł na spotkanie przeznaczenia, które jednak nie miało go ochoty dopadać.

Labienus służył również pod rozkazami Pompejusza i jako jeden z jego żołnierzy został przedstawiony Cezarowi z wyjątkowo skrupulatnym opisem dokonywanych rzezi. Cezar zlustrował go jednym przeciągłym spojrzeniem i uznał, że taki człowiek znakomicie nada się do jego armii, bo będzie na kogo zwalić całą brudną robotę. To Labienus miał pełnić rolę

czarnego charakteru i postrachu wrogów, a na jego tle Cezar mógł malować swój obraz łagodnego, wyrozumiałego i wybaczonego wodza.

Rok przed objęciem konsulatu przez Cezara Labienus był pretorem i to również zaważyło na decyzji Cezara o przyjęciu go do swojej armii. Im więcej będzie miał doświadczonych i niestrachliwych ludzi, tym lepiej.

Wśród sztabu przybocznego Cezara znajdował się też jego hiszpański agent Balbus. Pełnił on funkcję prefekta, wódz jednak nie był pewien, czy nie lepiej będzie w najbliższej przyszłości odesłać tego człowieka do Rzymu, jako że posiadał on również znacznie bardziej deficytowe talenty aniżeli wojskowy. Na razie Balbus jechał z Cezarem - w towarzystwie Marmurry, innego legata, który przybył z Formiae i posiadał tę zaletę, że dysponował ogromną fortuną, zdobytą w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach podczas swego pobytu w Galii. Tak naprawdę Cezara nie obchodził sposób, w jaki jego żołnierze zbijali majątki, zależało mu za to na tym, aby go owymi majątkami wspierali.

Inni legaci, tacy jak Aulus Hircjusz, Serwiusz Sulpicjusz Galba, Kwintus Pediusz, Lucjusz Aurunkulencjusz Kotta i Decymus Juniusz Brutus, mieli dołączyć do Cezara niebawem. Najbardziej zadziwiającym, ale też ogromnie cieszącym Cezara faktem było przystąpienie do jego sztabu Kwintusa Cyclerona, brata słynnego oratora, a także Publiusza Krassusa, syna triumwira. O ile młody Krassus swym przybyciem na jego wezwanie nie zrobił Cezarowi tak wielkiej niespodzianki, o tyle Kwintus Cycleron został towarzyszem broni niespodziewanie. Cezar domyślał się, że przyłączenie się do kampanii doradził mu jego starszy brat, który sam nie mógł i nie chciał dołączyć do Cezara ze względu na swoje głębokie powiązania z optymatami. Cycleron był zbyt wielkim tchórzem, aby wystawić na szwank w oczach optymatów swoje dobre imię, bał się też i nienawidził wojny, unikał jej jak ognia, pomijając krótką służbę wojskową w młodości. Z drugiej strony, chcąc zaznaczyć swoją lojalność wobec Cezara, podesłał mu swego młodszego brata, który - podobnie jak sam Cycleron - był

nowym człowiekiem i kariera wojskowa mogła mu bardzo posłużyć. Jeśli chodzi zaś o Publiusza Krassusa, to dwudziestodwuletni syn triumwira nie musiał zdobywać majątku ani zaszczytów, gdyż czekała na niego w spadku olbrzymia fortuna ojca. Jego pojawienie się w armii Cezara potraktował jako dowód lojalności Marka Krassusa i jako osobistą przysługę z jego strony, którą miał zamiar w przyszłości mu odwzajemnić.

Cezar, wybierając swoich legatów, miał na względzie przede wszystkim ich pochodzenie. Wiedział, że wszyscy oni, może z wyjątkiem Krassusa i Brutusa, byli nowymi ludźmi na arenie politycznej. Nie wywodzili się z rodów senatorskich, kampania w Galii mogła zatem przyczynić się do umocnienia ich pozycji, zbitcia przez nich majątku, rozwinięcia kariery politycznej i dostania się do Senatu. Labienus senatorem był jako pierwszy w swoim pokoleniu, Balbus pochodził z Hiszpanii, więc o zasiadaniu w Senacie na razie mógł tylko pomarzyć. Wszyscy oficerowie Cezara wiązali się z nim przede wszystkim dla własnej korzyści i on sam nie miał co do tego, że tak nie jest, najmniejszych złudzeń. Wiedział jednak, że ani w tym roku, ani w następnym, do momentu, kiedy osiągnie on jakiś sukces militarny, nikt możny nie zechce się z nim związać. Wyjątek stanowił swego czasu Pompejusz, Cezar jednak wiedział, jak kruchy w rzeczywistości może okazać się ten sojusz, Wielki Pompejusz był bowiem de facto człowiekiem optymatów i gdyby Senat nie pokazał mu swego czasu pleców, on sam również nie postawiłby asa na Cezara.

Cezar wszakże posiadał osobliwy dar zjednywania sobie ludzi, nie wahał się przed wyświadczeniem przysług, o ile mógł w ten sposób przywiązywać do siebie klientów, i znany był ze swej łagodności w stosunku do wrogów. Nie było rzeczą najgorszą zyskać z Cezarem i ci, którzy przyłączyli się do niego, słyszeli najczęściej opowieści weteranów Cezara z Hiszpanii, którzy z kolei opowiadali o jego hojności i szczodrości.

Cezar pragnął znaleźć się jak najszybciej w Genawie, ponieważ tamtędy właśnie, o ile dobrze się orientował, mieli przybyć posłowie Helwetów, plemienia szykującego się do drogi

do zachodniej części Galii. Było to oppidum na terenie kraju Allobrogów, którzy – pomijając drobne bunty i sprzeczki z Rzymianami – należeli do ich gorących sprzymierzeńców. Gorących, ponieważ było im to aktualnie na rękę, ale Cezar nie miał najmniejszych wątpliwości co do czystości intencji galijskich plemion. Walczyły między sobą i nie wahały się sięgać po wszelkie możliwe środki, byle tylko postawić na swoim. Teraz Allobrogom zagrażał marsz Helwetów, o którym Cezar dowiedział się od swego szpiega. Aby znaleźć się po drugiej stronie Rodanu, Helweci musieli przejść przez rzymską Prowincję, a to się Cezarowi w najmniejszym stopniu nie podobało, z drugiej zaś strony stanowiło znakomitą okazję do wszczęcia działań wojennych. Aby tego dokonać, musiał stawić się jak najszybciej w Galii Zaalpejskiej, gdzie stacjonowały rzymskie legiony VII, VIII, IX i X.

Legiony rzymskie teoretycznie składały się z sześciu tysięcy żołnierzy, w istocie jednak rzadko kiedy udawało się sformować legion w składzie pięciu tysięcy legionistów. Legion nie posiadał stałego dowódcy, a funkcję najwyższych wodzów sprawowało sześciu trybunów, którzy wywodzili się najczęściej ze stanu ekwitów. Jeżeli chodzi o oficerów, byli nimi ludzie młodzi, którzy nie weszli jeszcze w skład Senatu, część kadry oficerskiej stanowili jednak doświadczeni weterani, którym zależało na ważnych stanowiskach w innych legionach. Cezar nie chciał jednak, aby jego legionami rządili trybuni, jak to powinno się odbywać normalnie w wojsku, dlatego władzę nad legionem oddał w ręce legatów, których sam wybrał i mianował, a także kwestorów.

Niższą rangę od trybuna – a w przypadku wojska Cezara od legata – posiadał centurion. W każdym legionie było, przynajmniej teoretycznie, sześćdziesięciu centurionów, rzecz jasna w przypadku mniej licznego legionu liczba centurionów ulegała redukcji. Centurion dowodził centurią złożoną z osiemdziesięciu do stu ludzi, z kolei sześć centurii stanowiło kohortę, która była podstawową taktyczną jednostką rzymskiej armii. Najstarszy centurion dowodził kohortą w bitwie. Legion składał się zatem z ośmiu kohort, z których pierwsza cieszyła

się największym prestiżem, ponieważ ona sprawowała pieczę nad srebrnym lub złotym orłem, stanowiącym emblemat całego legionu. Centurioni pierwszej kohorty również cieszyli się ogromnym prestiżem i to właśnie oni tworzyli grupę centurionów pierwszego stopnia.

Cezar jechał na czele jednego legionu, wiedział jednak, że będzie mu potrzebne wsparcie w postaci posiłków złożonych z miejscowych oddziałów. Po pierwsze dlatego, że tubylcze wojska znacznie lepiej znały teren i potencjalnych wrogów, po drugie z tego względu, że nie miał ochoty posługiwać się jako mięsem własnymi legionistami. Z tego, co zdołał dowiedzieć się o Galach z rozmaitych relacji historyków, Cezar zdawał sobie sprawę, że Galów w istocie łatwo złamać i pokonać, jeśli pozwolić im wyszaleć się i wykrwawić w pierwszym etapie walk. Ci awanturnicy szybko tracili siły i zasoby ludzkie, ponieważ do walki rzucali się jak stado wilków. Cezar natomiast wiedział, że bitwa to nie zapasy, ale przede wszystkim strategia. Niech zatem auxilia idą na rzeź, a legiony wkraczają do bitwy wówczas, gdy Galowie będą już odpowiednio znużeni i bliscy załamania.

Cezar mógł w Rzymie udawać przed optymatami, ponieważ nie zależało mu na odsłonięciu swego prawdziwego oblicza, jednak szesnaście lat temu pewien kapitan piratów miał okazję przekonać się na własnej skórze, jak bezwzględny człowiekiem jest obecny prokonsul. Wtedy również udawał on fircyka i wymuskanego arystokratę, a kiedy okazało się, że był wilkiem w owczej skórze, dla niektórych było już za późno. Planując kampanię w Galii, Cezar liczył się z faktem, że ma ledwie pięć lat (kolejne lata stały pod dużym znakiem zapytania), aby zdobyć pieniądze potrzebne mu na spłatę długów i pozycję umożliwiającą mu pozostanie nietykalnym w Rzymie.

Kiedy pędził na północ przez Via Aurelia do Pisae, zastanawiał się nad swoimi następnymi krokami. Według kalendarza rzymskiego za cztery dni Helweci mieli przybyć do Genawy. Do tego czasu on musiał znaleźć się na miejscu i mieć przygotowane co najmniej dwa legiony, ponieważ

wiedział doskonale, że z sześcioma tysiącami ludzi nigdy w życiu nie zdoła pokonać dzikich, zdeterminowanych Galów ani tym bardziej ujarzmić ich, nakazując powrót na swoje ziemie. Jego namiestnictwo w Galii Zaalpejskiej rozpoczęło się pod znakiem wojny. I w zasadzie był z tego zadowolony.

Kalpurnia z kamienną twarzą pożegnała swego męża na schodach domu. Spoglądała długo, jak odjeżdżał w stronę Forum, by tam złożyć ofiarę na ołtarzu Marsa Ultora i Wenus Genetrix, jak każdy wódz udający się na wojnę. Składając ofiarę Wenus, Cezar dawał do zrozumienia, że wywodzi się z jej legendarnego rodu założonego przez samego Eneasza. Nie żeby w to wierzył, ale mityczne pochodzenie było wszystkim, czym w obecnych czasach ród Juliuszów mógł się poszczycić. Na czarnym koniu w zbroi i imperatorskim płaszczu wydawał się jej obcy i władczy. A przecież był tym samym Cezarem, który budził się rano u jej boku. Tym samym, któremu parzyła zioła na bóle głowy i któremu czasami osobiście masowała sztywny od pracy kark.

Została w Rzymie sama. I to sama w dosłownym znaczeniu. Jej ojciec był konsulem, więc miała ochronę w jego osobie, poza tym jednak pozostawiona była na łaskę i niełaskę wrogów swego męża, jakkolwiek Cezar mógł sobie i jej mówić, że jest chroniona przez zastępy jego klientów. Tak, z pewnością jutro z rana zwali się cały ich tłum, prosząc ją jako panią domu o strawę i ochronę. Kalpurnia nie miała jednak dziecka, a ściśle rzecz biorąc syna, i wiedziała, że w najbliższym czasie raczej nie uda jej się powić potomka Cezara. Żaden ewentualny bękart spłodzony w dalekiej Galii nigdy nie zyska prawa do rzymskiego majątku swego ojca, do jego nazwiska i pozycji. Tylko syn zrodzony z obywatelki mógł mienić się synem swego ojca.

Trudno powiedzieć, by Kalpurnia była zachwycona rozwojem wydarzeń, ale jako żona Cezara musiała pozostać mu posłuszna. Gdyby chociaż żyła jego matka albo gdyby ona mogła na czas galijskiej kampanii swego męża udać się do swoich rodziców! To jednak było niedopuszczalne, ostatecznie Cezar ożenił się po to, by pod jego nieobecność jego

żona zarządzała majątkiem, a nie biegła do domu ojca na podobieństwo małej dziewczynki. Wiedziała, że jej ojciec wyśmiałby ją bez litości. Musiała pozostać w domu.

Niedługo zresztą czekała sama na rozwój wydarzeń. Dziesięć dni później przybył do niej posłaniec z listem od Cezara, w którym zawiadamiał on swą żonę, że dotarł szczęśliwie do Genawy i oczekuje przybycia posłów galijskiego plemienia Helwetów. Notatka była krótka i sucha, żadnych osobistych uwag, żadnych dopisków, jakby Cezar spodziewał się, że ktoś nieoczekiwanie przejmie list i wykorzysta do swoich celów. Kalpurnia jednak była niepokieszona i pomyślała, że może do swej córki Cezar wyśle bardziej osobisty list, wobec czego udała się z wizytą do pasierbicy.

Ona i Julia nie darzyły się nawzajem płomiennym siostrzanym uczuciem, nie istniała również między nimi więź, jaka zwykle wytworzyć się może między macochą i pasierbicą, z tego prostego względu, że Julia była o dwa lata starsza od Kalpurni. Ale od czasu, kiedy Kalpurnia straciła swe dziecko, a Julia swoje, powstała między nimi swoista nić porozumienia. W każdym razie żyły ze sobą w zgodzie i odwiedzały się tak często, jak nakazywała przyzwoitość. Obecnie Julia była jedyną osobą w Rzymie, z którą łączyła Kalpurnię troska o Cezara, a także która pozostawała pod jego opieką na odległość.

- Witaj, Kalpurnio - powitała ją Julia z atrium. - Kogo jak kogo, ale ciebie nie spodziewałam się dziś zobaczyć.

- Dostałam wieści od Cezara i przyszedłam do ciebie podzielić się nimi - odparła Kalpurnia zgodnie z prawdą.

Julia poprosiła macochę do triclinium, nie chcąc przyjmować tak bliskiej krewnej w pomieszczeniu przeznaczonym dla oficjalnych gości. Kazała podać przekąski i napój, po czym usadowiła Kalpurnię na wysadzanej poduszkami sofie.

- Gnejusz jest w Senacie - powiedziała. - A ja właśnie miałam zająć się rachunkami, ale to może poczekać. Mówisz, że mój ojciec przysłał ci list? Ciekawe, ja nic od niego nie otrzymałam.

Kalpurnia podała jej zwinięty rulonik. Ciemne oczy Julii

szybko omiotły tekst. Córka Cezara opuściła ręce ze zwojem.

- No tak, to do niego podobne - westchnęła. - Kiedy był propretorem w Hiszpanii, też przysyłał nam takie krótkie informacje. Chłodne i oficjalne. Nie ma chyba talentu do opisywania swoich emocji i uczuć.

Kalpurnia uśmiechnęła się lekko.

- Aby to robić, musiałby być Grekiem - stwierdziła. - Oni w istocie posiadli talent do opisywania emocji, moim zdaniem aż nazbyt rozwinięty.

Julia przyjrzała się żonie Cezara i dostrzegła, że Kalpurnia z trudem maskuje rozczarowanie. Pomyślała, jak samotna musi się czuć tak młoda dziewczyna jak Kalpurnia, która poślubiona została ponad rok temu obcemu mężczyźnie, a teraz została pozostawiona samej sobie w tak niebezpiecznym mieście jak Rzym, praktycznie bez opieki. Kiedy Cezar w młodości udawał się na prowincje, na wojny lub na studia, zostawiał matkę i babcię pod opieką męskich krewnych, ale teraz mąż jego siostry już nie żył, a krewnymi ze strony babki byli Aureliusze Kotta, którzy w stosunku do Julii byli spokrewnieni w trzecim lub czwartym pokoleniu. Ona, Julia, miała przynajmniej męża, który o nią dbał i przy którym mogła czuć się bezpieczna. Kalpurnia wracała do pustego domu, w którym choć roiło się od niewolników, to jednak brakowało drugiej, bliskiej osoby.

- Możesz mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcesz - orzekła wspaniałomyślnie, rozumiejąc, że Kalpurnia sama nigdy nie zapyta o taką możliwość.

- Dziękuję za uprzejmość - odparła Kalpurnia i spojrzała na Julię z uśmiechem.

Naraz uśmiech zamarł na jej ustach. Widziała Julię splamioną krwią. Krew była na jej sukni i na rękach, krew sączyła

się spomiędzy jej nóg, płynęła po terakotowej posadzce. *Cezar nie dostanie męskiego potomka od swojego rodu* - przebiegło jej przez myśl. Błada twarz Julii, jej wielkie czarne oczy, jej splamione krwią ręce, upiorne plamy na ubraniu świadczyły tylko o jednym.

- Złe się poczułaś? - zatroskała się Julia, widząc

przerażenie na twarzy Kalpurni.

- Nie, wszystko dobrze - skłamała Kalpurnia. - To tylko kobieca słabość.

Do kobiecej słabości było jej jeszcze daleko. To wizje, które chciane czy nie pchały się do jej umysłu, osłabiały ją w taki sposób. Najgorsze było to, że nie mogła powiedzieć Julii o swoim widzeniu, bo ta z pewnością nie życzyłaby sobie posiadania takiej wiedzy. Niekiedy Kalpurnia czuła się jak Kasandra, mityczna wieszczka, której przepowiedni nikt nie słuchał. Ona też nie mogła opowiadać o swoich wizjach i snach, chociaż czasem były naprawdę przerażające. Tak jak ta, w której widziała Cezara umierającego od wielu ran. Obudziła się wówczas zrana potem, ale przecież Cezar nie umarł ani tamtego dnia, ani następnego. Zrozumiała, że nie zawsze jej sny się sprawdzają. Widziała jednak we śnie również rzeczy, które miały zdarzyć się w dalekiej przyszłości, i obawiała się, że to właśnie jej się przyśniło. Potem zapomniała o swoim śnie, przychodziły bowiem inne, dotyczące codziennych, banalnych spraw.

- Martwię się o Cezara - wyszeptała pobladłymi ustami. - Boję się o jego życie, chociaż wiem, że w Galii żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi.

Julia patrzyła na nią uważnie.

- Myślisz więc, że w ogóle zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo? - zapytała cicho.

- Zagraża każdemu - odparła Kalpurnia, nieobecna duchem. - Cezar nie myśli w kategoriach naszych polityków. On należy do innego świata. Julio, motłoch nie lubi jednostek i stara się je zniszczyć. I nie tylko w Rzymie. Dlaczego generałowie Aleksandra w końcu go otruli?

- Sądzisz, że go otruli? Ja myślę, że po prostu zmarł na malarię.

- Był jak piękny kolorowy ptak w stadzie czarnych wron - mówiła Kalpurnia z nieobecnym wzrokiem. - Cezar jest jak orzeł wśród pawów. Julio, przysięgam na Jowisza, że chociaż twój ojciec nie odwzajemnia mojego uczucia w ten sam sposób, to kocham go. I drżę ze strachu o jego życie, bo czuję wiszące

nad nim fatum.

- Po prostu za nim tęsknisz - powiedziała ostrożnie Julia, która dość nieufnie, jak na Rzymiankę przystało, podchodziła do profetycznego daru swej macochy.

Kalpurnia zamrugła oczami.

- Tak. Tęsknię. I chyba martwię się jak każda żona, której mąż znalazł się daleko od niej. Tak. Masz rację.

Bo ciebie jego los nie dotyczy - dokończyła w myślach. Ty nie ujrysz tego i jego krew nie spłynie na twoje ręce.

- Nie wątpię, że w Galii mój ojciec zyska ogromną chwałę i zaszczyt - dodała Julia pewnym głosem.

- Tak - odparła Kalpurnia, sugerując, że posiada na ten temat jakąś tajemną wiedzę. - W Galii zyska i stanie się potężnym człowiekiem.

Ale ty tego nie zobaczysz, Julio.

- Zatem nie masz chyba powodów do zmartwień. Chyba że uważasz, iż będzie inaczej. Kalpurnio, to Cezar. On zawsze dostaje to, czego chce.

Kalpurnia zamyślona kiwała głową. Tak, dostawał to, czego chciał. I tym razem też dostanie. Bez względu na cenę i na zapłatę.

VII

Gdyby Lorelei miała inną naturę, z pewnością pobyt u Arwernów byłby dla niej przykry. Nie tyle z tego powodu, że była żoną celtyckiego wodza, ile z powodu jego pierwszej małżonki, która nieustannie dawała germańskiej księżniczce odczuć, gdzie jej miejsce. Lorelei nie musiała wykonywać żadnych czynności ponad te, które należały do obowiązków wysoko urodzonej kobiety, zarówno germańskiego, jak i celtyckiego pochodzenia. Przędła więc wełnę, tkala, szyła i w wolnym czasie zajmowała się dziećmi Gwynn i Galvana, nic jednak na siłę – nikt nie zmuszał jej do pracy. Mimo to Gwynn już pierwszego dnia po nocy poślubnej pokazała jej, że to nadal ona jest panią domu i nie zamierza dzielić się z nikim tą rolą, a już na pewno nie z córką jakiegoś barbarzyńskiego wodza zza Renu, nawet gdyby Galvan poślubił ją z dziesięć razy.

Pierwsza żona przełknęła więc upokorzenie i zносиła obecność nie tylko Lorelei, ale także jej siostry Adair, której w najmniejszym stopniu nie ufała. Zdaniem Gwynn, a także Geillis, Adair była przebiegłą germańską suką, oczami i uszami swego ojca. To dlatego Ariowist oddał Galvanowi za żonę piękną Lorelei, żeby mieć pretekst do wysłania do kraju Arwernów również tej brzyduli, a zdawał sobie sprawę, że Adair nigdy w życiu nie zostałaby żoną Wercyngetoryksa.

Adair była sprytna i inteligentna, podczas gdy jej siostra zdawała się żyć w swoim własnym świecie melancholiczki. Lorelei była tak przepojona smutkiem, że Gwynn było jej niemal żal. Ale tylko niemal. Doskonale wiedziała, że obie siostry pełnią misję dla swego ojca, i tym bardziej drażniła ją atencja, z jaką Galvan odnosił się do swej politycznej małżonki. Relacje

między nimi były poprawne, sypiali nawet ze sobą od czasu do czasu, chociaż Gwynn wiedziała, że Lorelei nie pała do Galvana ani żądzą, ani chęcią współżycia. Traktowała go uprzejmie i z rezerwą, przy ludziach zwracała się do niego zawsze przez tłumacza, czyli swoją siostrę, nigdy jednak z własnej woli nie zaczynała rozmowy ani też nie spoufalala się ze swym mężem.

Z tego akurat Gwynn była zadowolona. Nie życzyła sobie, żeby jeszcze jedna smarkula uganiała się za jej mężem. Jeszcze jedna, bo nie dało się nie zauważyć fascynacji Galvanem u Adair. Młodsza siostra Lorelei była w widoczny sposób zadurzona w Galvanie, czego on zdawał się nie dostrzegać, wiedział bowiem, że zadawanie się ze swoją szwagierką, a co gorsza, z „posłem” Ariowista na ziemiach Arwernów, uważane byłoby za brak szacunku i uznane za obrazę. Galvan, jakkolwiek zauroczony urodą Lorelei, nie był do tego stopnia pozbawionym rozumu głupcem, by nie zdawać sobie sprawy, o co tak naprawdę chodziło Ariowistowi. Dopóki jednak sojusz z wodzem Swebów dawał jemu samemu korzyści, przymykał oczy na polityczne metody Ariowista.

Lorelei była zatem obiektem nienawiści nie tylko ze strony Gwynn, co było zupełnie zrozumiałe, ale również ze strony swej własnej siostry, która zakochała się w Galvanie na podobieństwo nierozumnej kozy. Adair nigdy w życiu nie widziała piękniejszego mężczyzny niż ten dwudziestoczterolatek. Frustracją napawała ją myśl, że nie ma prawa nawet go dotknąć, że jest jedynie daleką krewną, siostrą jego żony, która na domiar złego nic do niego nie czuje.

Galvan zaś zdawał się nie dostrzegać tego czworokąta, w którym nagle się znalazł. Do Adair odnosił się również uprzejmie, ale i z respektem, imponowała mu bowiem swoją wiedzą i swoimi zdolnościami. Miał do czynienia z inteligentnymi kobietami całe życie – jego mistrzynią była Scatah, której rozumowi nie miał prawa niczego zarzucić – ale Adair w kobiecym ciele ukrywała męski umysł swego ojca, i to było nad wyraz fascynujące. I na dobrą sprawę tylko to, ponieważ w oczach Galvana Adair była po prostu straszliwie

brzydka.

Lorelei czuła się obco wśród Celtów. Jediną życzliwą jej osobą była Geillis, bo też ona doskonale rozumiała, jak czuje się młoda dziewczyna, będąc żoną człowieka, którego nie kocha i tak naprawdę wcale nie zna. Ona sama przez wiele lat żyła z Celyllusem, za którego wyszła ze względu na swoją rodzinę, a potem była żoną Cynnusa, jego brata, który traktował ją z pogardą i bez jakiegokolwiek szacunku. Lorelei w jej oczach była nieszczęśliwą kobietą, którą własny ojciec bezwzględnie wykorzystywał, i o ile Geillis nie lubiła i obawiała się Adair, o tyle wobec Lorelei czuła przede wszystkim współczucie i było jej żal dziewczyny. Geillis była w zasadzie jedyną osobą, która do córki germańskiego wodza odnosiła się ze spontaniczną uprzejmością, jako że w wykonaniu Gwynn owa uprzejmość wyglądała wyjątkowo nieprawdziwie.

Całe lato Lorelei pogrążona była w swoim świecie. Mało się odzywała i raczej nie nawiązywała pierwsza kontaktu z otoczeniem. Niechętnie rozmawiała nawet ze swoją siostrą, której nie darzyła prawdziwie mocnym uczuciem. Jej osamotnienie wśród Arwernów stawało się coraz bardziej namacalne, widoczne też było w jej oczach oczekiwanie i raczej nietrudno było domyślić się, na kogo ona czeka. W pierwszej kolejności na posłańca z wiadomością, że małżeństwo się zakończyło i że może wracać do ojca. Nie stroniła od zajęć domowych, chętnie uczestniczyła we wspólnym tkaniu, gręplowaniu wełny, farbowaniu i czesaniu, szyła i zdobiła pięknie wykonane przez siebie szaty, udawała się na konne przejażdżki, gotowała nawet germańskie potrawy i na pozór stała się jednym z domowników Galvana, wyraźnie jednak odcinała się od reszty rodziny i nie robiła nic, aby się zasymilować.

W miarę jak gorące lato przechodziło w chłodną jesień, stygł zapał Galvana względem Lorelei. To, czego nie chciała mu dać jako polityczna żona, znajdował w ramionach Gwynn, i to do niej znowu się skłaniał i wracał po całym dniu spędzonym na rozmaitych męskich zajęciach. Lorelei była coraz bardziej na uboczu, niemal jak niechciany pies, choć Galvan nie

dawał jej odczuć, że coś w jego nastawieniu się zmieniło. Sama Lorelei była zadowolona, że nie musi więcej dzielić łoża z niechcianym mężczyzną. Dochodziło do tego raczej okazjonalnie, kiedy Galvan akurat jej nieoczekiwanie zapragnął. Wydawało się, że do jego domu wróciła równowaga, a Gwynn, utwierdzona w swej niezmiętej i niezachwianej pozycji, uspokoiła się i przestała dominować nad Lorelei.

Zima nadeszła bardzo sroga i już kilka tygodni po Samain mróz roziskrzył ciemne niebo. Najpierw zrobiło się bardzo zimno, tak że woda w rzekach zamarzała, ale na śnieg trzeba było poczekać aż do przesilenia zimowego. Wówczas zaczęły sypać potężne płaty i wkrótce zasypały wszystko - wioski i miasta, drogi i pola, szczyty górskie pokryte były białym puchem i tylko w lesie było cokolwiek mniej śniegu, za to świerki były białe i wciąż sypał się z nich śnieg. Mrozy były tak silne, że na podwórzach rozpalano ogromne ogniska, przy których ludzie zbierali się, pili grzane piwo i przytupywali dla rozgrzania, opatuleni w grube wilcze i niedźwiedzie futra. Mężczyźni spożywali niespotykane ilości piwa i wina, urządzano uczyty, na których podawano prosiaki z rusztu, kobiety gotowały wszystkim dzieciom gorącej zupy na rozgrzanie, a starzy ludzie powiadali, że nie pamiętają tak surowej zimy i że takie siarczyste mrozy zwiastują nieszczęście i niepowodzenie.

Galvan martwił się czym innym. Ponieważ śnieg zasypał główne trakty handlowe i skuł lodem rzeki, jasne było, że do roztopów wiosennych handel będzie utrudniony. Któregoś mroźnego dnia Galvan zaprosił do siebie Gobannicjona, ale brat jego matki nie miał najmniejszej ochoty wybierać się nigdzie w taki mróz. Kiedy przyszedł do swego siostrzeńca, minę miał cokolwiek nietęgą.

- Słyszałem najnowsze wieści - odezwał się dość ponuro. - Nie wiem, czy będziesz nimi zachwycony, czy też w ogóle cię nie obejdą.

Kobiety Galvana siedziały w sieni, zbyt bowiem zimno było, żeby im kazać wyjść, zresztą nie było niczym niezwykłym, że małżonki wioda uczestniczyły w tego typu rozmowach. Przy

wielkim palenisku siedziały Geillis, Gwynn, Lorelei i Adair, w kątach kuliły się niewolnice i wolne kobiety i tylko dzieci hasały niezrażone i co raz prosiły, żeby im pozwolić pobawić się w śniegu. Galvan, zwyczajem Celtów, wziął na wychowanie dwóch synów z innych rodzin, a sam któregoś dnia miał oddać swoich synów na wychowanie komu innemu. Niezbyt mu się to uśmiechało, ale takie były obyczaje, których on sam nie chciał zmieniać.

- Mów - odparł. - Wszystko mi jedno.

- Orgetoryks nie żyje - powiedział Gobannicjon.

- Wódz Helwetów? A toż mi to nowina. I co z tego?

Lorelei nadstawiła uszu. Wyłapała imię Orgetoryksa i stała się czujna. Wiedziała, że ten wódz nie miał sobie równych wśród Helwetów i że przygotowywał swoich ziomków na wędrowkę do innego miejsca pobytu. Wiedziała o tym od szpiegów Ariowista, który chciał wiedzieć, co się dzieje na terenie Orgetoryksa, a ponieważ sam okupował ziemie Eduów i Sekwanów, doskonale orientował się w sojuszach, jakie ci zawierali.

- A to, że był najmożniejszy z Helwetów - wtrąciła się Geillis. - I że namawiał swoich do opuszczenia Helwetii.

- Słyszałem o tym - przyznał Galvan. - Od dwóch lat się do tego przygotowywali.

- Tak - mruknął Gobannicjon. - I wiesz chyba, że jego przeciwnicy chcieli wytoczyć mu proces o dążenie do jednowładztwa. Wiesz, jak Helweci karzą swoich niedoszłych tyranów?

- Zakopują ich żywcem w ziemi. - Galvan wzdrygnął się.

- Otóż to. - Gobannicjon pociągnął spory łyk piwa. - Ale Orgetoryks nie miał procesu. W dzień wyznaczonej rozprawy przyprowadził tylu klientów, zbrojnych, niewolników i w ogóle wszelkich powinowatych, że jego wrogowie skapitulowali. Tym dziwniejsze jest, że nagle umarł.

- Jak to umarł? - zaśmiał się Galvan. - Tak po prostu?

- Tak po prostu. Poszedł spać i już się nie obudził.

- Nonsens. Ktoś musiał go zabić. Ludzie nie umierają tak sami z siebie.

Geillis pokiwała w zamyśleniu głową. Wiedziała, jak łatwo kogoś otruć. Celyllus na jej oczach wypił puchar z zatrutym winem.

- To oznacza, że wśród Helwetów zapanuje spokój - szepnęła. - Ale na krótko.

- To oznacza, że należy wzmocnić czujność - odezwała się Adair ze swego miejsca.

Wszyscy zwrócili się w jej stronę. Młodsza córka Ariowista rzadko się odzywała. W oczach Celtów nie należała do piękności, była mocno zbudowana, odznaczała się grubymi rysami twarzy i w ogóle była dość toporna, ale jej oczy lśniły inteligencją i sprytem niczym oczy lisa.

- To, że Helweci obcięli głowę hydrze, nie oznacza, że ona zginęła. Oni dalej sposobią się do wyruszenia w drogę, gdy tylko się ociepli. Zima trzyma ich w okowach. Chcą dotrzeć do Eduów i do Dumnoryksa. A powiedz mi, zacny szwagrze, jak im będzie najłatwiej tam dojść?

- Z trzech stron mają góry, Jurę i Alpy - powiedział Galvan.
- Najszybciej byłoby im iść przez rzymską prowincję i przez Rodan.

- A ty uważasz, że Rzymianie pozwolą, żeby tak liczne plemię Celtów przeszło im pod nosem? - zapytała znowu Adair.
- Nie tak dawno zbuntowali się przeciwko nim Allobrogowie za to, że Rzymianie znieważyli ich i nie odwziedczyli się za pomoc, jaką to plemię okazało im przy innej okazji. Nie sądzę, by rzymskiemu prokonsulowi podobały się pomysły helweckiego wodza. Kimkolwiek by on był.

Galvan patrzył z podziwem na Adair. Nie spodziewałby się nigdy takiej wiedzy po tak brzydkiej dziewczynie i kiedy sformułował tę myśl, zawstydził się jak szczeniak, który narobił na klepisko w domu. Może i Adair była brzydka, ale obdarzona niesamowitą inteligencją, którą najwyraźniej umiała wykorzystać. Co więcej, przy jej znajomości łaciny była znakomitym szpiegiem, który nawet w środku Rzymu doskonale by sobie poradził.

- Kto został prokonsulem w prowincji rzymskiej? - zapytał nagle Gobannicjon z wyrazem napięcia na twarzy.

- Gajusz Juliusz Cezar - odparła bez namysłu Adair.

Ten sam, który latem uczynił mego ojca Przyjacielem Narodu Rzymskiego - pomyślała. Będąc w Rzymie, przyjrzała się dobrze temu człowiekowi, by lepiej go zapamiętać. Ta ciamajda Lorelei zajęta była udawaniem wielkiej damy, ale jej matka również lustrowała Cezara wzrokiem i wnet połapała się, kto to taki. Niebezpieczny człowiek - pod maską życzliwości krył się szkielet z żelaza. Adair wiedziała, że ten Rzymianin niedługo będzie okazywał łaskę pokonanym. Przyjdzie dzień, w którym zaczną przelewać krew, bo tacy jak on w gruncie rzeczy są bezwzględni i nie znają litości.

Adair poczuła na sobie wzrok Galvana, ale także spojrzenie Gwynn. Kiedy przyjechała ze swoją siostrą do Gergowii, uważała żonę Wercyngetoryksa za zwykłą zazdrosną gęś, ale w miarę upływu czasu stwierdziła, że Gwynn wcale nie jest głupią pięknoscią, za jaką usiłuje uchodzić, pewnie dlatego, że Galvan takie lubi. Nie, ta dziewczyna wcale nie była w ciemną bitą, o czym mógł świadczyć chociażby sposób, w jaki odzyskała swego męża czy raczej wywlokła go z łóżnicy Lorelei. Adair doskonale wiedziała, że jej starsza siostra jest całkowicie oziębła, nie sprawia jej zbytnej radości oddawanie się mężczyźnie, o ile nie jest on Jorgiem, Galvan natomiast widocznie potrzebował gorącej kobiety, skoro jedna mu nie starczała. Gwynn była dla niego gotowa o każdej porze dnia i nocy. Nie tylko gotowa, by iść z nim do łóżka, ale też by go wysłuchać, przygotować dla niego posiłek, podstawić mu do zabawy czyste i nakarmione dzieci, jednym słowem znała dobrze męską naturę. Adair sądziła, że ta dziewczyna zna również dobrze ludzką naturę w ogóle, ale zajęta domem i dziećmi nie ma możliwości wykorzystywać należycie swej wiedzy.

Teraz jej błękitne oczy lśniły w blasku ognia i Adair widziała, że Gwynn doskonale zdaje sobie sprawę, co oznaczają jej słowa.

- Widziałam konsula w Rzymie - powiedziała powoli. - To był on, jestem pewna. Miał czarne włosy i oczy, które zdawały się przepalać moją duszę. Wydawał za męża córkę.

- Nosił wysokie czerwone buty? - zapytała Adair.
- Tak - przyznała Gwynn.
- Tak, to był on. Cezar.

Więcej na ten temat nie powiedziała. Ona i Gwynn patrzyły na siebie przez chwilę, po czym żona Galvana skinęła na służki, które nalały wszystkim grzanego piwa przyprawionego korzeniami.

- Krótko mówiąc, zanosi się na kłopoty - podsumował Gobannicjon. - A przynajmniej kłopoty będą mieć Helweci, jeśli odważą się kontynuować politykę Orgetoryksa.

Galvan popatrzył na swego wuja. Wiedział, czego Gobannicjon mu nie powiedział. Gdyby Helweci zdecydowali się na takie ryzyko i udałoby im się dojść do Eduów, wówczas mogliby zagrozić Ariowistowi. To dlatego ten ostatni, znając zamysły Orgetoryksa, zbliżył się zarówno do Cezara, czyli narodu rzymskiego, jak i do Galvana, czyli naczelnika najbogatszego plemienia Celtów, kontrolującego najwięcej szlaków handlowych. Jedno spojrzenie bystrych oczu Adair utwierdziło go w tej świadomości. Ariowist nie był idiotą, wiedział, co się święci, i wyglądało na to, że tylko on, Galvan - na swoje własne życzenie - pozostawał w błogiej nieświadomości, bo wolał interesować się sąsiadami zza miedzy, czyli Sekwanami i Eduami, z którymi Arwernowie od lat pozostawali w mniej lub bardziej otwartym konflikcie.

Bynajmniej mu się to nie podobało. Popatrzył na Lorelei. Nie, ona nie miała z tym nic wspólnego, nie prosiła zapewne o to małżeństwo, nie skusiły jej ani pozycja przyszłego męża, ani jego uroda czy bogactwa. Zrobiła to, bo Ariowist wymógł coś na niej. A Adair pilnowała jej, by Lorelei nie popełniła żadnego głupstwa. Tak się cała sprawa przedstawiała.

Zerwać sojusz z Ariowistem?

Jeszcze nie.

Zapytać o radę Uatah?

Tak, to by było dobre, z drugiej jednak strony wyszedłby na głupca, gdyby w każdej sprawie radził się swojej byłej żony. No, powiedzmy, doradcy wojennego, jak mógł ją nazywać... zresztą mniejsza o to - kobiety! Był przecież naczelnikiem,

do wszystkich diabłów! Sprawował najwyższą władzę w Gergowii i w ogóle był wodzem Arwernów, zobligowany był wobec tego do samodzielnego podejmowania decyzji. Wygodnie było pytać o radę Uatah albo Celtillognatosa, który nie od parady był druidem, i to dość wysoko zaawansowanym w misteriach. Ale Galvan musiał zdecydować sam.

Poczeka do wiosny. Teraz, zimą, żadne plemię nie przedostanie się przez zasypane śniegiem góry i zamarzniete rzeki, nawet jeśli nie wiadomo jak dobrą armię będzie miało. Plemię bowiem nie składa się jedynie z wojowników, ale przede wszystkim z kobiet i dzieci, a także starców, oni zaś będą opóźniać i utrudniać marsz, na pewno zaś nie uczynią go szybszym.

Zresztą teraz Uatah i tak nie przyjedzie. Zbyt surowa panowała w kraju zima. Galvan zmuszony był czekać na rozwój wypadków, chociaż nie sądził, by to, co ma nastąpić wiosną, cokolwiek by to było, wpłynęło niekorzystnie na sytuację Arwernów.

- Wuju, zapraszam cię na ucztę dziś wieczorem - oznajmił nieoczekiwanie, patrząc na Lorelei. - Będę zaszczycony, jeśli pošlesz po swoją małżonkę. Jest zimno i nieprzyjemnie, rozweselimy się trochę.

Gobannicjon odparł uradowany, że chętnie przyjdzie, i nie dociekał, skąd nagle decyzja Galvana. Gwynn natomiast przechwyciła spojrzenie, jakim jej mąż omiótł Lorelei. Kiedy Galvan wstał, aby wyjść na zewnątrz, ona również podniosła się i podeszła do niego. Razem wyszli na trzaskający mróz.

- Ja też tego chcę - szepnęła w jego jasne włosy.

Zaskoczony odwrócił się ku niej.

- O czym ty mówisz, Gwynn? - zapytał zdumiony.

- Wiesz, o czym.

Przez chwilę patrzył jej głęboko w oczy.

- Jesteś pewna, że wiesz, o co prosisz? - upewnił się.

Gwynn skinęła głową. Raz kozie śmierć.

- Dobrze. Będzie, jak sobie życzysz.

Wbrew samemu sobie poczuł rozpieszające go gorąco i mało brakowało, a nie czekałby do wieczora i do uczt. Przyciągnął ją

ku sobie i głęboko pocałował.

- Zaskakujesz mnie, Gwynn - szepnął z ustami przy jej ustach.

- Sama siebie też zaskakuję - odparła cicho.

Kiedy zastanowiła się nad sobą, doszła do wniosku, że nie powodowała nią jedynie zazdrość, ale też zwykłe pożądanie. Dlaczego miałyby odmawiać sobie czegokolwiek tylko dlatego, że Galvan miał ochotę zlec z Lorelei? Wracając do domu, uśmiechnęła się do siebie pod nosem. Widocznie mroźna zima zbliżała do siebie ludzi bardziej, niż by sobie życzyli.

Galvan sam nie wiedział, co opętało go w tę mroźną zimową noc. Czy to za namową Gwynn postanowił zlec z nimi dwiema, czy też sam od początku miał na to ochotę. Pewne było, że wizja dwóch kobiet w jednym łóżku rozpałała go ponad wszelkie granice. Miał w życiu niejedną kobietę, wolną i niewolną, takie było jego prawo, ale nigdy jeszcze nie miał okazji spać z dwiema żonami naraz i myśląc o tym przez niemal całą biesiadę, czuł pulsowanie krwi w skroniach. I nie tylko tam.

Przez całą ucztę spoglądał na swoje żony i odnosił dziwne wrażenie, że uknuły spisek, że chcą go złapać w sidła, przejąć nad nim kontrolę, uczynić go swoim niewolnikiem. Lorelei siedziała jak zwykle skupiona i cicha, z rzadka tylko posyłała mu nieobecne, zamglone spojrzenie. Gwynn otwarcie patrzyła mu w oczy, wychylając swój kielich, aż Galvan całkowicie tracił nad sobą kontrolę i nie mógł się skupić na słowach biesiadników. Wlewał w siebie puchar za pucharem, a jednak tym razem wino nie było w stanie uczynić mu nic złego - zachowywał dziwną trzeźwość, zupełnie jakby kto inny kierował jego umysłem. W jego głowie powstawały lubieżne wizje, kręcił się niespokojnie, aż w którymś momencie jego wuj zapytał, czy się dobrze czuje i czy aby nie dostał gorączki.

Galvan mamrotał coś niezrozumiale pod nosem.

Pod koniec uczyt skinęła na Lorelei, która nie odezwała się, ale w milczeniu wstała i podeszła do swego małżonka z dzbanem wina. Kiedy mu go nalewała, Galvan delikatnie powiódł palcem po jej nadgarstku. Lorelei zadrżała, wiedziała

już bowiem, o co jej małżonkowi chodzi, a nie miała powodu, by mu odmawiać. Zostawiał ją na ogół w spokoju, kiedy nie godziła się na spędzanie z nim nocy, ale od dawna już jej o to nie nagabywał, aż Adair zwróciła na to uwagę, a ponieważ Lorelei wiedziała, że młodsza siostra pisze zaszyfrowane sprawozdania do ojca, uznała, że wypadałoby tej nocy położyć się z Galvanem.

Nie wiedziała jednak, co nastąpi potem.

Kiedy bowiem znalazła się już w dobrze znanym sobie łóżu, a Galvan zleżł obok i zaczął delikatnie pieścić jej skórę, na co ona z reguły nie reagowała, do sypialni nieoczekiwanie weszła Gwynn. Stała nad łóżem i przez chwilę patrzyła na nich leżących na skórach, a po chwili zdjęła przez głowę pięknie wyszywaną koszulę i zupełnie naga położyła się obok.

W pierwszej chwili Lorelei chciała się zerwać, ale ramiona Galvana były silniejsze. Kiedy poczuła na swoim brzuchu usta Gwynn, mimowolnie zadrżała. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej kłaść z kobietą i to doznanie było zupełnie niezwykle. Chociaż umysł się opierał, ciało reagowało i po raz pierwszy Lorelei poczuła w sobie żar i pragnienie. Powoli rozpalala się w niej żądza, niczym długo tłumiona, gorąca lawa, która teraz ją zalewała. Z jękiem dźwignęła się na łokcie i przyciągnęła Gwynn do siebie. Łapczywie szukała jej ust, pogrążona w całkowitym amoku, zupełnie jakby rozszalałe nagle zmysły wzięły górę nad chłodnym umysłem. Zanurzyła ręce we włosach Gwynn, ustami odnalazła jej usta i złączyła się z nią w głębokim pocałunku, aż wstrząsnął nią dreszcz i poczuła się całkowicie uległa.

Galvan patrzył na to i czuł, jak jego podniecenie sięga zenitu. Dwie kobiety leżące w swoich objęciach to było za dużo, by mógł to znieść. Wyciągnął rękę i dotknął gładkiej skóry na biodrze Lorelei, a ona po raz pierwszy zareagowała na jego bliskość. Drugą ręką pieścił uda Gwynn, która jęczała cicho. Obie zwróciły do niego twarze, a on całował głęboko i zmysłowo raz jedną, raz drugą, pozwalając, by potem razem łączyły się w pocałunkach.

Odwrócił Gwynn do siebie tyłem, a ona chętnie na to

przystała. Przed nią klęczała Lorelei i podczas gdy Galvan, w którym wprost gotowało się od żądz, brał pierwszą żonę mocno od tyłu, Lorelei całowała jej spragnione usta. Galvan chwycił mocno biodra swojej kobiety i napierał z poczuciem rosnącej rozkoszy. Wsłuchiwał się w coraz głośniejszy oddech Gwynn i przymknął oczy, oddając się całkowicie wypełniającej go przyjemności.

Gdy otworzył oczy, ujrzał w półmroku Uatah, a gdy spojrzał w dół, z przerażeniem i fascynacją odkrył, że ma pod sobą jej matkę. Zielone oczy Scatah patrzyły na niego wyzywająco. Jej muskularne ciało prężyło się pod jego dłońmi. Ognistorude włosy opadały jej przez jedno ramię na posłanie.

Czas nadchodzi, Galvanie. Wiesz o tym. To już niedługo. Poznałeś jego imię i wiesz, z kim przyjdzie ci stoczyć walkę. Twój czas nadchodzi. Bądź gotów.

To niemożliwe – pomyślał Galvan.

Gdy spojrzał znowu, ujrzał wijącą się z rozkoszy Gwynn, którą targaly silne spazmy. Wycofał się z niej i przyciągnął do siebie Lorelei, która skamląc jak szczenię, ułożyła się na posłaniu i szeroko rozchyliła uda. Gwynn sięgnęła ustami do jej piersi. Jej włosy na moment przesłoniły wszystko, ale kiedy Gwynn je odsunęła, Galvan ujrzał, że to Scatah ssie sutki swej córki, której twarz wykrzywia się w niepohamowanej rozkoszy. Był w Uatah, czuł ją, czuł jej oplatające go w pasie uda i napierał mocniej, chcąc wypełnić ją do końca.

Twoi krewni będą chcieli cię powstrzymać. Nie pozwól im. Kieruj się własnym osądem. Nie słuchaj swego wuja, który będzie chciał im sprzyjać. On szuka korzyści dla siebie. Im szybciej zjednoczysz wszystkich Celtów, tym wcześniej odeprzesz niebezpieczeństwo. Oni nadchodzą, Galvanie, wiesz o tym, czujesz to, zawsze to wiedziałeś.

Lorelei krzyknęła, kiedy targnął nią pierwszy dreszcz. Jej ciało wygięło się w łuk, a Galvan podążył za nią. Nie mógł pohamować tej ogromnej fali, która go niosła i załamała się, powodując, że zatracił się całkowicie i zanim zdołał sobie to uzmysłwić, trysnął w jej wnętrze z nieokiełznaną mocą. Na chwilę znaleźli się poza zwykłym wymiarem, ale kiedy

uniesienie opadło, Galvan uświadomił sobie, że Lorelei po raz pierwszy oddała mu się z własnej inicjatywy. Całkowicie.

Przez długą chwilę leżał w półmroku, mając po każdej stronie jedną kobietę. Ich usta błędziły po jego skórze, po twarzy, ramionach, po piersi i brzuchu, szukały, badały, aż poczuł, że znowu ogarnia go pragnienie. Wodziły językami wzdłuż niego, a Galvan był w stanie jedynie leżeć i wplatać drżące dłonie w ich włosy.

- Tęskniłeś za mną, Galvanie? - usłyszał szept Uatah.

Siedziała na nim okrakiem, jej piękne włosy wiły się w ognistych lokach, a zielone oczy lśniły niesamowitym blaskiem. Chciał wyciągnąć rękę, by dotknąć jej piersi, ale ramiona miał jak z ołowiu.

- To się stanie wiosną - szeptała Uatah, unosząc się i opadając na nim. - Kiedy stopią się śniegi, on wkroczy do Celtyki. To będzie początek końca.

- Jakiego końca? - zdołał wydusić z siebie Galvan.

- Końca naszego świata. Tylko ty jesteś w stanie to powstrzymać. Nikt inny nie otrzymał takiej mocy.

Dwie kobiety na przemian pieściły go ustami, po czym wymieniały pocałunki. Galvan miał wrażenie, że znalazł się w raju. Lorelei usiadła mu nad twarzą tyłem do niego, tak że pomimo półmroku widział ją doskonale. Gwynn wsunęła go w siebie. Pieściły się teraz nawzajem, ich jęki przechodziły w krzyk, Galvan zachłannie spijał soki, które ciekły po udach Lorelei, wsunął w nią język i dawał jej to, czego nigdy przedtem nie chciała brać. Obejmował dłońmi jej biodra i nie pozwalał jej się odsunąć, nawet wtedy, gdy jej jęk przeszedł w zawodzenie i kiedy wstrząsnęły nią dreszcze najwyższej rozkoszy.

Poczuł, że kończy w Gwynn i że ona też finiszuje. Świat zawirował mu przed oczami. Ujrzał niekończące się wojsko maszerujące między górskimi grzbietami i rozumiał, że to musi być po drugiej stronie Alp, ponieważ widział je wznoszące się na północy, milczące i wysokie, dumnie strzegące granic obu światów, rzymskiego i celtyckiego. Miał wrażenie, że siedzi na koniu i że z jego grzbietu ogląda to wszystko. Wiedział, że to jego armia maszeruje za nim, a on musi zdążyć, by jak

najszybciej znaleźć się w rzymskiej Prowincji i rozpocząć wojnę, która odmieni losy świata.

Gwynn opadła na niego. Lorelei zsunęła się zaspokojona i legła obok. Ich oddechy bardzo powoli wyrównywały się i wracały do poprzedniego tempa.

Widziałeś to, Galvanie.

Ty nie żyjesz, Scatah.

Nie. Mylisz się. Czekałm jedynie na kolejne życie. To jest jak niekończący się łańcuch istnień. Ja żyję i znowu się odrodzę. A potem znowu i znowu będę prowadziła do walki takich jak ty.

Czego ode mnie chcesz?

Doprowadziłam cię aż dotąd. Do tego miejsca, w którym teraz stoisz i z którego będziesz przyglądał się przyszłości. Nie możesz pozwolić, by tobą manipulowano.

Ty to robisz z za grobu, Scatah. Manipulujesz mną.

O nie. Nigdy tego nie robiłam. Wskazywałam ci jedynie drogą i dawałam przesłanie. Ale teraz jesteś gotowy, aby wykorzystać to, czego się u mnie nauczyłeś.

A jeśli nie stanę do walki z Rzymianami?

Galvanie, zrobisz to. Pytanie brzmi: kiedy. Czy teraz, gdy wdrą się oni na ziemię Celtów i pogwałcą nasze święte prawa, czy dopiero wówczas, kiedy sam zrozumiesz, że nie ma już odwrotu, a nasz odwieczny świat legnąć ma w gruzach.

A zatem nie mam wyboru?

Zawsze go masz. Z drugiej jednak strony zapisane jest w gwiazdach, że ty tego dokonasz. Ty zjednoczysz wszystkich Celtów. Ty uczynisz z nich jeden naród. Ty będziesz mieczem obosiecznym.

A Ariowist?

On jest jedynie jednym z wielu.

Więc co mam robić, Scatah? Patrzyć? Walczyć? Uciekać?

Słuchać swego serca, Wercyngetoryksie. Serca, nie doradców.

Zielone oczy Scatah zniknęły. Galvan leżał z poczuciem niepokoju i własnej bezsilności w obliczu niepojętego, które nadchodziło z południa i ze wschodu. Wiedział, że te zimowe miesiące są ostatnimi miesiącami pokoju na ziemiach Celtów,

ale nie miał nikogo, z kim mógłby podzielić się tą wiedzą.

Dwie kobiety zasnęły po jego bokach. Galvan długo leżał wsłuchany w ich spokojne, miarowe oddechy. Nigdy nie dowiedział się, co spowodowało, że obie naraz weszły do jego łóżka i oddały się jemu i sobie nawzajem z taką ochotą. Były sprawy, których nie pojmował. Leżąc jednak w ciemnościach i bijąc się z myślami, dochodził do wniosku, że wiosną będzie musiał zdecydować, co dalej. Nie będzie mógł spokojnie siedzieć i przypatrywać się, jak Rzymianie używają sobie na ziemiach Celtów. Pytanie tylko, czy oni naprawdę się tu zjawiają, jak powiedziała dzisiaj Adair, czy też to wszystko było jedynie wytworem jego wyobraźni.

Na początek musi zwiększyć uzbrojenie. Do tego potrzebna byłaby wyprawa, ale po pierwsze zimą nikt nie wojuje, a po drugie jeśli Rzymianie faktycznie mają nadejść, to nie będzie to najlepsza pora na wszczynanie bratobójczych wypraw. Cena przywództwa była ogromna, podobnie jak nieskończona samotność, jakiej doświadczał. Na moment przed tym, jak zasnął, pomyślał, że chciałby być znowu tym beztróskim szesnastoletnim chłopakiem u progu dorosłości, który w błogiej nieświadomości schodził do doliny Scatah. Gdyby mógł cofnąć czas, żeby przeżyć tamte lata raz jeszcze, uczyniłby to za każdą cenę. Brzemie odpowiedzialności zaczynało mu ciążyć, a słodki smak zemsty na zabójcach ojca i na Cynnusie powoli ulatniał się pod wpływem okoliczności, których jako świeżo mianowany namiestnik nie był w stanie przewidzieć. Mógł jedynie czekać na to, co przyniesie wiosna i czy jego sny na granicy marzeń i rzeczywistości spełnią się jak poprzednie.

Uatah czuła, jak jej ciało pokrywa się kropelkami potu. Kontrolowanie ludzi na taką odległość było niezwykle męczące, ale wiedziała, że jeśli teraz nie weźmie spraw w swoje ręce, przegapi szansę, a Galvan nie zorientuje się w porę, co dzieje się w Galii. Pod wpływem Gobannicjona, który sympatyzował z Rzymianami, czy raczej kupczył z nimi, przywódca gotów był zapomnieć, kim jest i gdzie jego miejsce. Uatah nigdy by sobie nie darowała, gdyby wieloletnia ciężka praca jej matki miała

pójść na marne, a jej śmierć okazała się daremna. Od kilku lat Uatah żałowała, że jej matka tak wcześniej odeszła, czy raczej postanowiła sama zakończyć swoje życie, wieńcząc je najstraszliwszą z możliwych ofiar, składając żywego człowieka bogom piekieł.

Wiedziała, że nigdy tego nie zapomni. Tego ryku z zaświatów, odpowiedzi boga, któremu Scatah oddała dymiące wnętrzności żyjącego jeszcze Cynnusa. Tak, Dis odezwał się wówczas i wskazał raz jeszcze na Galvana jako na wybrańca bogów. A tymczasem co ów wybraniec robił? W zasadzie nic, poza wejściem w sojusz, obecnie całkiem udany, z wybitnym germańskim wodzem. To zapewniało mu równowagę. Arwernowie byli w stałym konflikcie z Eduami, którzy szczylicili się mianem Przyjaciół Narodu Rzymskiego, dlatego dobrze było związać się z innym plemieniem, które również tytuł ten posiadało. Swebowie siedzieli na ziemiach Eduów co najmniej od dekady, nic nie wskazywało na to, by mieli wkrótce się wynieść, równowaga zatem była mniej więcej zachowana. Uatah mogła być spokojna, jeśli o to chodzi. Ostatnie, czego by sobie życzyła, to bandy wojowników Dumnoryksa na ziemiach Arwernów.

Niepokoilo ją co innego. Orgetoryks i jego śmiałe plany. Śmiałe to mało powiedziane. Nie na darmo oddał za żonę Dumnoryksowi swoją żonę, a Kastykusowi, wodzowi Sekwanów, siostrę. Mniemał, że oni trzej podzielą się władzą nad Celtami. Było to trudne, Sekwanowie i Eduowie nienawidzili się bowiem wzajemnie, istniała jednak nadzieja, że połączą się w jedną frakcję przeciwko uciskającym ich Germanom, z którymi Helwetowie również nieustannie musieli się spierać, jako że ci ostatni mieli chrapkę na żyzne ziemie między Jurą, Rodanem i Jeziorem Lemańskim. Chcieli udać się na ziemię Akwitanów, co wiązało się z przejściem przez rzymską Prowincję. Uatah nie potrzebowała daru jasnowidzenia, by rozumieć, co to oznaczało. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu.

Całkiem nieoczekiwanie (a może właśnie nie było w tym nic dziwnego) Orgetoryks umarł. Położył się spać, aby więcej się nie obudzić, i sam ten fakt był wielce niepokojący. Po jego

śmierci na moment zapanowały chaos i wzburzenie, ale szpiedzy donosili już Uatah, że rządy przejął po nim starzec Dywiko, a zatem Helweci nie porzucili swoich dalekosiężnych planów opuszczenia własnej parceli.

Uatah długo biła się z myślami, to bowiem, co chciała uczynić, nie było niczym przyjemnym. W końcu jednak zdecydowała się, a kiedy zażyła odpowiednie środki, nie było już odwrotu. Scatah nauczyła ją, jak wpływać na ludzkie myśli i kierować czymś umysłem. Uatah nie musiała nawet dotykać Galvana ani jego małżonek, by uczynili to, czego ona chce. Galvan nigdy się nie dowie, że erotyczne pragnienie, jakie rozbudziło się nagle w Lorelei i Gwynn, zostało na nie zesłane przez nią. To, że zaklęcie musiało działać również na nią samą, stanowiło niejako skutek uboczny. Ale Uatah była kapłanką i nie robiła niczego dla własnej przyjemności. Jej zadaniem było kontrolowanie umysłu Galvana, kiedy zachodziła taka konieczność, i chociaż nadal darzyła go szczerym uczuciem, postępowała tak, jak nauczyła ją tego Scatah. W polityce i w woli bogów nie ma miejsca na uczucia i na uzalanie się nad sobą. Dlatego Uatah posłusznie zażyła sproszkowane grzyby i zioła, a potem ułożyła się na posłaniu, aby oddawać się najbardziej wyuzdanym i sprośnym wizjom.

Widziała ich. Widziała trzy splecione ze sobą ciała, czuła ich drżące oddechy i targane rozkoszą zmysły. Wiedziała, że jeśli tego nie zapragnie, nigdy więcej się to między nimi nie powtórzy. Lorelei darzyła uczuciem innego, jej rola w całej historii z Galvanem była jedynie chwilowa, w zasadzie Uatah czuła na myśl o niej współczucie. Gdy to obserwowała i zsyłała na Galvana mroczne wizje, sama oddawała się własnemu pożądaniu. Kiedy jednak wszystko się skończyło, leżała na posłaniu wyczerpana i czuła dojmujący smutek, że dla niej to tylko wizje i migawki z przeszłości. Ona i Galvan byli teraz zupełnie innymi ludźmi. Ona była kapłanką, on wojownikiem i naczelnikiem Arwernów. Nic nie mogło sprawić, żeby stali się tylko mężczyzną i kobietą, tak jak kiedyś w dolinie Scatah.

Uatah sama przed sobą musiała przyznać, że staje się twarda i zabija w sobie uczucia. Jako szesnastolatka pytała swą

matkę, czy ta kiedykolwiek kogoś kochała. Zdumiewał ją chłód uczuciowy i zimna natura Scatah. Teraz rozumiała, że ceną za jedno silne uczucie było całkowite wyrzeczenie się innych uczuć, bo w przeciwnym razie oszalałaby z żalu z powodu niespełnionej miłości. Sama zadała sobie nigdy niemającą się zagoić ranę. Ale jak długo pozostawała zimna i niewzruszona, tak długo była w stanie panować nad tym bólem, który codziennie dręczył jej serce.

Gdy tego zimowego dnia wstała z posłania i spojrzała na swą córkę Aife, bawiącą się na wilczych skórach, którymi zasłana była podłoga, stwierdziła, że czas już najwyższy postarać się o kolejne dziecko. Gdyby udało jej się zająć w ciążę w wiosenne przesilenie, jej pierwszy syn urodziłby się wraz z nadejściem zimy. To byłoby dobre, bo miałyby doskonały pretekst, by na przyszłą zimę zaszyć się na Sein i oddać wychowaniu berbecia. Poza tym jednak latem musiałyby udać się do doliny, aby tam szkolić nowych wojowników. To też było dobre, bo nie musiałyby koncentrować się tylko i wyłącznie na problemach swoich i Galvana.

Odziała się i wyszła na zewnątrz. Zdecydowanie postara się o dziecko. Na Sein nie mieszkali druidzi, ale Uatah postanowiła jeszcze w tym tygodniu udać się na kontynent i porozmawiać z Maerinem na temat misteriów. Ten pewnie odda jej do dyspozycji na kilka tygodni młodego, prężnego mężczyznę, który chętnie wypełni powierzone mu obowiązki bez zbędnych dyskusji i rozmyślań. To też będzie dobre. Bez uczuć i sentymentów, zwykła przyjemność.

Uatah uśmiechnęła się do siebie. Może nadszedł czas, bym stała się dla Galvana jedynie kapłanką, a on dla mnie jedynie mieczem wycelowanym w Rzymian.

Była gotowa, by dać nowe życie. Była gotowa, by otrząsnąć się wreszcie ze smutku. Czas nadchodził. Zbliżała się godzina, w której ona sama będzie musiała zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem. Tak jak zadaniem Scatah było przygotowanie Galvana do drogi, tak jej zadaniem było dopilnowanie, by z tej drogi nie zboczył.

Kilka tygodni później, kiedy zima osiągnęła swoje apogeum, w mroźny biało-błękitny dzień, Uatah znalazła się u wejścia do doliny. Ponieważ sprowadzenie konia po stromych kamiennych schodach było niemożliwością, w drodze towarzyszyła jej eskorta złożona z dwóch kapłanek i jednego druida. Jakkolwiek bowiem święte kapłanki Sein raczej nie musiały obawiać się napaści ze strony jakichś rabusiów albo innego podejrzanego elementu, to jednak widok trzech samotnych kobiet był znacznie bardziej kuszący niż widok kobiet w towarzystwie mężczyzny. Gdy Uatah znalazła się na przełęczy, jej świta zabrała konie i odjechała z powrotem do swoich domów. Kapłanki udały się na wyspę, a druid do nemetonu, by tam dalej studiować gwiazdy i tajemne nauki.

Uatah odetchnęła głęboko. Ponieważ zamierzała tej wiosny wziąć sobie kochanka, nie zabrała z Sein Aife. Uznała, że tam będzie dziewczynce znacznie lepiej niż w dolinie. Także dlatego, że wiosną mieli tutaj przybyć nowi uczniowie, bo ci, których pod jej nieobecność szkoliły wojowniczkki, jesienią opuścili już dolinę. Uatah ze zdumieniem skonstatowała, że po raz ostatni była tutaj za życia swej matki, a wcześniej przeżyła tu wiele wspaniałych lat, obserwując drogę Galvana do przeobrażenia się w wojownika.

Gdy weszła do domu, w którym przed rokiem Scatah w dość drastycznych okolicznościach wyzionęła ducha, poczuła się cokolwiek niepewnie. Szybko jednak na jej spotkanie wyszły kobiety, które na stałe tu mieszkały i których zadaniem było wtajemniczać młodych ludzi w arkany walki, magii i miłości.

- Oczekiwałyśmy cię, pani - oświadczyła jedna z nich.

Uatah odpięła płaszcz z wilczej skóry i przysunęła się do paleniska. Pamiętała noce spędzane tutaj z Galvanem. Szybko odsunęła od siebie wizje ich obojga skąpanych w czerwonym blasku ognia.

- A zatem otrzymaliście gołębia. - Uśmiechnęła się. - Doprawdy znakomita sprawa z tymi ptakami. Nawet zimą okazują się przydatne.

Kobieta odwzajemniła uśmiech. Zapytała, czy Uatah życzy sobie zjeść kolację sama, czy razem z nimi.

- Nie będę jeść - odparła Uatah. - Jestem zmęczona po podróży. Myślę, że wezmę kąpiel i położę się spać, a jutro zobaczymy.

Mówiąc to, poczuła, jak naprawdę jest wyczerpana kilkudniową podróżą przez pokryte śniegiem trakty. Im głębiej w ląd się zanurzała, tym surowsza stawała się zima. Na Sein, leżącej u brzegów Galii, zima nigdy tak na poważnie nie przychodziła. Tutaj jednak, na płaskowyżu i w górach, śnieg zasypywał trakty i pola, grubą kołdrą spowijał świat, a Uatah, jadąc, cieszyła się jak dziecko, które może pobaraszkować w śniegu i nie zna jeszcze jego morderczych zdolności.

Kapłanki przygotowały jej balie z gorącą wodą z dodatkiem różanego olejku i Uatah z prawdziwą rozkoszą zanurzyła się w niej. Było jej tak cudownie, że zamknęła oczy i odpędziła od siebie wszelkie myśli. Nie chciała pamiętać, co wydarzyło się w tej właśnie sali. Po miesiącach spędzonych na Sein w towarzystwie innych kobiet czuła się tutaj samotnie, ale to była pożądana samotność. Wreszcie była tylko panią samej siebie, dowolnie dysponowała swoim ciałem i swoimi myślami. Była jedynie kobietą, która akurat teraz oddawała się najzwyczajszej w świecie przyjemności. Na kilka chwil pragnęła nie być nikim innym.

Gdy owinięta w lniane prześcieradła wsunęła się do łoża swej matki, poczuła wreszcie błogosławiony spokój. Tak jakby znalazła się w domu, do którego pragnęła dotrzeć. Wszystkie smutki i troski pozostawiła na Sein. Tutaj była u siebie, ale już nie musiała być tamtą zakochaną dziewczyną. Była silną kobietą, znającą swą wartość, niezależną i władczą. To ona była teraz panią doliny, a nie tylko córką pierwszej kapłanki. Uśmiechnęła się do siebie. To było dobre uczucie. Dawało jej niezależność.

Zasnęła, ale nie potrafiła powiedzieć, w którym momencie. Rzeczywistość przeszła w sen tak płynnie, że Uatah nie zdążyła tego zarejestrować. Ujrzała siebie na dobrze sobie znanym podwórzu w domostwie Galvana. Widziała udeptany śnieg i swoje własne ślady. Musiała być więc zima, może nawet bieżąca zima, na co wskazywałyby poziom śniegu. Kobiety

kręciły się niespokojnie po podwórzu, zarówno wolne, jak i niewolne. Geillis przeszła z zaciętym wyrazem twarzy. Gwynn wyszła z domu z niespokojnym wzrokiem. Galvana nie było. Adair kręciła się między nimi, a jej spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego. Lorelei musiała być w środku.

Uatah weszła z oślepiającego blasku słońca w ciemność przedsionka i od razu uderzył ją zapach krwi, którego nie sposób było nigdy z niczym pomylić. Lorelei leżała na pościeli, blada i strwożona, a prześcieradła, na których leżała, były splamione krwią.

Ach, więc to takie skutki będzie miała tamta noc.

Lorelei nie da Galvanowi dziecka. Ale jak to możliwe? Czyżby sama dokonała wyboru, czy też decydowało za nią przeznaczenie?

Uatah wiedziała, że ma dar, taki sam silny dar, jaki posiadała jej matka. Sny i wizje przychodziły do niej gwałtownie lub w sposób kontrolowany. Stanowiła ogniwo pośrednie między bogami i ludźmi. Była jak naczynie, w którym przelewała się boska potęga. Kiedy chcieli, przekazywali oni swoją wiedzę takim jak ona: takim, które widziały i nie bały się widzieć. Takim, które gotowe były oddać bogom swe życie.

Wizja zmieniła się. Uatah widziała swój napęczniały życiem brzuch. A zatem to się dokona. Urodzi dziecko, wyda na świat syna, tak jak chciała. Urodzi go tutaj, nie na Sein. I odda na nauki druidom. Ale nie w Galii. Jej syn odpłynie do Brytanii. Tam będzie dalej przekazywał starożytną mądrość. Wizja tego, co nadejdzie, przepełniała umysł Uatah całkowicie. Tutaj nastąpi zmierzch wiedzy druidów. Stanie się to już niedługo. I Galvan nie zdoła od tego uchronić świata Celtów, choćby zjednoczył ich wszystkich.

Scatah zawsze powtarzała, że on zjednoczy Galię. Nigdy jednak nie wspomniała o tym, że pokona Rzymian i odeprze ich potop.

Bolesna wiedza jak ostrze miecza przeszła umysł Uatah. Czyżby plany matki miały spełznąć na niczym?

Nie. Galvan będzie biczem na Rzymian. Karzącą ręką bogów, która zada legionom zza Alp wiele strat. Może ich

pokona. Może uchroni przed najgorszym. Ale Uatah wiedziała, że tak czy inaczej wiedza druidów pewnego dnia zniknie z Celtyki.

Wizja zmieniła się i Uatah widziała teraz morze Helwetów wylewające się z wąskich, otoczonych z trzech stron dziedzin tego plemienia. Maszerowali w zwartym szyku, mieli ze sobą cały swój dobytek. Zatrzymali się nad Rodanem i nie przeszli dalej. Uatah ujrzała go, rzymskiego prokonsula, który zasiadał do pertraktacji, ale dawał swoim ludziom znaki, by gotowali szyk bojowy.

Galvan będzie ostatnią forpoczta. On będzie mostem między przeszłością i przyszłością. Uatah wiedziała to, bo wiedza ta została wlana w jej umysł. To samo wiedziała Scatah, ale nawet ona nie była w stanie przedrzeć się przez zasłony, które bogowie zawiesili nad dalszymi losami Galii. Rzymianie wejdą do Galii, a Galvan się im przeciwstawi.

Ujrzała Lorelei jadącą na koniu. Gnała na północ. Daleko od niej jechała Adair, ale w drugą stronę. Na południe. Los rozdzieli siostry. Rozejdą się na zawsze, jedna ku życiu, druga ku śmierci. Zatem Ariowist znajdzie się z niebezpieczeństwem. Lorelei nie może dać mu wnuka.

Uatah obudziła się. Jej ciało pokrywał pot. Wiedziała, czego dotyczy wizja. Zrozumiała, że powinna jak najszybciej pojechać do Gergowii. Jeśli się nie pospieszy, może dojść do tragedii o parę miesięcy za wcześnie. Tamta noc będzie mieć następstwa, o których Lorelei musi już wiedzieć. Minęło pięć tygodni, o ile Uatah dobrze liczyła. Żadna kobieta po pięciu tygodniach nie może mieć dużych wątpliwości, a po siedmiu może zyskać całkowitą pewność. Kiedy uświadomiła sobie, że czeka ją kolejna podróż, w dodatku do Galvana, ogarnęła ją irytacja, ale wiedziała, że nie ma wyjścia. Scatah również robiła to, co do niej należało, nawet wtedy, gdy wzięła nowo narodzone bliźnięta Galvana jako zakładników, choć może nie powinna była tego robić. Uatah po jej śmierci oddała dzieci Galvanowi. A potem sama doradziła mu sojusz, któremu przeciwna była Scatah.

Będzie musiała wybrać się w tę drogę, chociaż wcale nie

ma na to ochoty. A potem, kiedy spełni już to zadanie, wypełni kolejne, które przyniesie jej o wiele więcej przyjemności.

Uatah położyła się z powrotem na pościeli. Ogarnęły ją spokój i poczucie właściwie podjętej decyzji. Niezależnie od tego, jak dalej potoczą się sprawy, ona nie zboczy z raz wytyczonej jej przez matkę drogi. Dopiero teraz zaczynała rozumieć, że jej życiem kierują siły znacznie potężniejsze niż tylko siła jej woli. I Uatah musiała się poddać swemu przeznaczeniu.

Lorelei nie potrafiła powiedzieć, co ją opętało, że tamtej nocy wygłupiała się tak bardzo. Kiedy obudziła się rano, ujrzała Galvana i Gwynn leżących w ciasnych objęciach. Spali, a ich ciała były mocno ze sobą splecione. Ona sama leżała obok Galvana, ale w oddaleniu, jakby jej własne ciało chciało jej dać do zrozumienia, że znajduje się poza ich związkiem i że tak naprawdę oni pragną jedynie siebie nawzajem. Ich oddechy były równomierne, dłoń Galvana przez sen pogładziła nagie udo Gwynn, ta zaś spała wtulona w niego, okrywając jego ramię włosami. Lorelei poczuła się zbędna.

Potem powróciły wspomnienia ich wspólnej nocy i Lorelei poczuła palący wstyd. Co ona zrobiła! Oddać się poślubionemu sobie małżonkowi to nic strasznego, ale zrobić to z jego żoną, tą pierwszą, bawić się w takie rzeczy we trójkę, to było nie do pomyślenia! Najgorszy był fakt, że zrobiła to z własnej nieprzymuszonej woli, nikt jej nie namawiał, nikt nie zmuszał, a rozkosz, jaką czuła tej nocy, była czymś obezwładniającym, w czym nurzała się niczym świnia w błocie. Tylko takie określenie wydało jej się stosowne do zdefiniowania czynu, jakiego się dopuściła.

Szybko owinęła się własną suknią i wyszła z ich sypialni. Jakież było jej zdumienie, kiedy w przedsionku ujrzała Adair. Młodsza siostra siedziała oparta plecami o ścianę, a jej oczy płonęły gniewnie.

- Co ty tu robisz? - zapytała Lorelei, czując wypełniający ją nagle gniew.

- Pilnuję cię, dobrze o tym wiesz - odparła Adair.

- Nie masz prawa czaić się pod drzwiami mojej małżeńskiej sypialni! - ofuknęła ją Lorelei.

- Ojciec kazał mi cię pilnować! - przypomniała jej Adair ze złością.

- Ale nie kazał ci wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Odwróciła się i chciała odejść, ale słowa młodszej siostry zatrzymały ją.

- Dobrze ci było dziś w nocy, siostrze? - zapytała Adair głosem słodkiutkim jak miód. - Jak to jest zabawiać się z mężem i jego żoną? Jak to jest być jego nałożnicą i dziwką Gwynn?

Coś w głosie Adair sprawiło, że Lorelei ciarki przeszły po plecach. Odwróciła się powoli, czując zimno biegnące wzdłuż kręgosłupa.

- Weszłaś tam w nocy? - zapytała.

Nie musiała czekać na odpowiedź. Wyraz twarzy siostry mówił sam za siebie. Po raz pierwszy w życiu Lorelei widziała w oczach Adair tak jadowitą nienawiść. I wtedy właśnie zrozumiała, że młodsza siostra całe życie czuła się od niej gorsza, brzydsza, mniej kochana i mniej doceniana. To Lorelei miała wszystko: urodę, pierwszeństwo urodzenia, miłość ojca. Nawet jeśli Ariowist wykorzystał ją bezwzględnie do swoich niejasnych celów, była córką kobiety, którą naprawdę kochał, jakkolwiek Mergh była zimną, wyrachowaną suką i nikim więcej. Lorelei dostała takiego wspaniałego mężczyznę, który może i jej nie kochał, ale był jej mężem i ona miała prawo z nim sypiać i sycić się jego pięknym ciałem, jego męskością, jego żądzą, a wcale tego nie chciała, natomiast Adair oddałaby życie za jedną noc z nim spędzoną. Nagle Lorelei zrozumiała, że Adair szukała i nie mogła znaleźć stosownej okazji, żeby dokuczyć starszej siostrze, której służącą została w tak nietypowych okolicznościach. I teraz dopełnił się czas, oto nadeszła chwila, kiedy Adair znalazła jej największą słabość, widziała, jak Lorelei, krzycząc z rozkoszy, oddaje się jemu i jej. I z pewnością ta informacja dotrze do Ariowista, a co gorsza, również do Jorga.

Lorelei wiedziała. Widziała wyraz triumfu w przepelnionych nienawiścią oczach Adair. Widziała na jej ustach kpiący

uśmiech, widziała złość na szerokiej, cokolwiek nieładnej twarzy, naznaczonej jednak inteligencją i sprytem.

- Adair, jeżeli zrobisz to jeszcze raz, przysięgam, że cię zabiję - odezwała się lodowatym głosem. - Na Nerthus i na Tyra. Przysięgam na moją duszę. Zabiję cię, siostrze.

Wiedziała, że nie może wdać się z Adair w słowne szranki, bo w tym momencie smarkula zyska przewagę.

- Nie zrobisz tego, kochana - zaćwierkała Adair. - Za to czeka cię śmierć.

- Każdego z nas ona czeka prędzej czy później - odparła Lorelei, poprawiając suknię na ramionach. - Ale tobie, w przeciwieństwie do mnie, zależy na życiu.

Z tymi słowami wyszła i udała się do swojej własnej sypialni, gdzie padła na łóżko i pozwoliła łzom przejąć nad sobą kontrolę.

Sądziła, że po tej orgii, jakiej się dopuściła, wszyscy będą wytykać ją palcami, ale ku swemu zdumieniu, a potem uldze, zrozumiała, że nikogo to nie obchodzi. Geillis co prawda przypatrywała się swemu synowi, bo jej czujnemu spojrzeniu nic nie mogło umknąć, ale milczała i nie wtrącała się w nie swoje sprawy. Za młodu nie była wcale lepsza i nie mogła powiedzieć, by tego rodzaju zabawy były jej obce. Kiedy więc po kilku dniach Lorelei nie usłyszała na swój temat złego słowa, uspokoiła się i wróciła do swej wewnętrznej samotności. Cieszyła się, że Gwynn przestała się do niej wrogo odnosić. Jakkolwiek dotąd pierwsza żona Galvana zawsze była dla niej pozornie uprzejma i miła. Gwynn знаła swoją pozycję, toteż przed wspólną nocą zawsze na rozmaite sposoby uświadamiała Lorelei, gdzie jej miejsce.

I tylko czujne oczy Adair i jej milcząca zaciętość dawały Lorelei do zrozumienia, że tamta noc nie poszła i nie pójdzie w zapomnienie.

Minęły najgorsze zimowe miesiące, dni zaczęły robić się dłuższe, w powietrzu można było już wyczuć ten charakterystyczny zapach zbliżającego się przesilenia, a Lorelei rozumiała coś jeszcze. Tamta noc pozostawiła po sobie ślad. Początkowo nie myślała o tym, że jej krwawienia się spóźniają.

Gdy jeszcze była dziewicą, tak się czasem zdarzało, a potem przychodziły z podwójną mocą. Choć matka twierdziła, że to tylko działanie księżycy na ciało. Kiedy jednak minęło kilka tygodni, a ona sama zaczęła czuć się nieustannie zmęczona, osłabiona i zniechęcona, a potem jej piersi stały się nagle ciężkie i bolesne, pojęła, że nosi w sobie dziecko Galvana.

To niemożliwe. Przecież Hulda powiedziała jej, że nie wyda na świat potomka.

Wzrok Adair nabrał ostrości. Młodsza siostra nie była głupia i doskonale wiedziała, co się święci. Widziała bladą twarz Lorelei, widziała w jej oczach lęk, widziała również, że siostra słabuje i chociaż nie zaczęły się jeszcze mdłości, to jednak zrozumiała, że Galvan począł w niej dziecko.

Lorelei myślała intensywnie. Jeśli urodzi dziecko Galvana, to będzie musiała tu z nim zostać. Dziecko zostanie wychowane na sposób celtycki, nieważne, że jego matka jest Germanką. Jeżeli odejdzie, Galvan i tak będzie miał prawo do swego syna lub córki, a Celtowie nie wywyższali jednej płci nad drugą i cieszyli się tak samo, jeśli urodziła się im dziewczynka. Jeżeli będzie snuła się tutaj z wielkim brzuchem, a Helweci przekroczą Rodan i ruszą na ziemię Akwitanów, a potem Sekwanów i Eduów, ona nie będzie mogła dostać się do swego ojca, co więcej, stanie się łatwym ewentualnym zakładnikiem. A Ariowist ulegnie każdemu, widząc swoją brzemienną córkę.

To dziecko nie mogło się urodzić.

Lorelei przyłożyła rękę do brzucha. Było na tyle wcześnie, że nic jeszcze nie mogła wyczuć. Dziecko miało urodzić się co najmniej za siedem miesięcy. Późną jesienią albo nawet na początku zimy. Im dłużej ona będzie się wahać, tym trudniej będzie potem się tego pozbyć. Było jeszcze na tyle wcześnie, że krwawienie będzie niewielkie, ona poczuje się na jakiś czas źle, ale ciało szybko dojdzie do siebie. O ile łatwiej jest pozbyć się takiej małej istoty, która nie ma nawet własnej świadomości, niż potem zabić gotowe, żywe dziecko, które płacze, patrzy na matkę szeroko otwartymi oczami i domaga się ciepła i miłości.

Lorelei wiedziała, że nigdy w życiu nie będzie w stanie

uśmiercić własnego dziecka. Dlatego postanowiła zwrócić się z tym do Geillis.

Matka Galvana знаła się na ziołach. Byłoby zresztą czymś trudnym do uwierzenia, że czterdziestoletnia kobieta nie jest obeznana w takich sprawach. Nie musiała być znachorką, aby rozumieć, jakie rośliny pomagają spędzić płód, a jakie są dobre na ból głowy. Rzecz jasna Lorelei nie była w ciemną bita i wiedziała, że matka Galvana nigdy w życiu nie zgodzi się na zabicie swego wnuka. Lorelei, która potrafiła powiedzieć już wiele słów w języku Celtów, podeszła któregoś zimnego dnia do Geillis, zajętej tkaniem na wielkich krosnach.

Powiedziała, że głowa boli ją tak mocno, że nie może już tego znieść, i spytała, czy Geillis ma może jakieś zioła, z których można uwarzyć napar.

Geillis nie orientowała się jeszcze w sytuacji. Ze współczuciem popatrzyła na synową, po czym wstała ze swego miejsca.

- Chodź - odezwała się przyjaźnie. - Coś znajdziemy.

Udała się z Lorelei do spiżarni, gdzie ku zdumieniu młodej kobiety znajdowały się różnego rodzaju plecionki, w których Geillis trzymała rozmaite zioła. Szczerze zaintrygowana zaczęła o nie wypytywać. Jeden koszyk po drugim odsłaniał swoje tajemnice. W końcu Geillis pokazała jej to, czego Lorelei chciała.

- Trzymam te zioła w razie potrzeby - powiedziała Geillis w zamyśleniu. - Są niebezpieczne, jeśli się nie wie, jak z nich korzystać. Wywołują krwawienie u kobiet, ale jeśli zażyjesz je w ciąży, stracisz dziecko.

Lorelei zanotowała w pamięci, w którym koszyku Geillis je chowa. Potem wzięła od niej garść suszonych ziół na ból głowy i zażyła je pod czujnym okiem teściowej.

Do spiżarni zakradła się w nocy. Adair chrapała na swoim posłaniu, jakby wyjątkowo zapomniała o swej zwykłej czujności. Nie miała pojęcia, że Lorelei dosypała jej czegoś do kubka z miodem. Zioła Geillis były rzeczywiście silne. Szczypta wystarczyła, by Lorelei zapadła w popołudniowy sen i obudziła się dopiero o zmierzchu.

Znacznie trudniejsze było uwarzenie tego wywaru, ale z tym również sobie poradziła. W nocnej ciszy uśmiercała swoje dziecko łyk za łykiem. Słyszała oddechy domowników. Chrapanie siostry, posapywanie Geillis, równy, zdrowy oddech Galvana i cichy, jakby szepczący oddech Gwynn. Dzieci spały jak zabite na swoich pościeliach. Lorelei siedziała przy palenisku owinięta w płaszcz i sączyła gorzki napar, czując, jak łzy spływają jej po twarzy.

Gdyby to było dziecko Jorga! Przez myśl by jej nie przyszło picie ziółek!

Ale niedane jej było z nim zlec. Przyjęłaby go z radością, z miłością i oddaniem, pragnęła go, chciała czuć, jak w nią tryska, jak napełnia ją życiodajnym sokiem, jak z tego tworzy się życie, ich wspólne dziecko – chciała je nosić pod sercem i wydać na świat. Ale jej ojciec zdecydował, że będzie inaczej, i dlatego Lorelei siedziała teraz w samotności i zabijała w sobie niewinne, nieświadome niczego dziecko. Wyobrażała sobie, jak się w niej rusza i jak jego serduszko przestaje bić. To była jej pokuta.

Bóle przychodziły powoli. Najpierw poczuła słaby skurcz gdzieś głęboko w sobie. Jakby echo bólu, jego daleki, słaby szum. Potem poczuła jednostajny, tępy ból podbrzusza, który powoli, powoli narastał i stawał się coraz silniejszy i silniejszy. Jednocześnie poczuła inny, taki, który przywodził jej na myśl zupełnie inny ból, uczucie towarzyszące innej ludzkiej potrzebie, i Lorelei pomyślała, że musi iść na stronę. W miarę jak wstawał świt, bóle stawały się coraz mocniejsze i gorsze. Pojawiły się skurcze, najpierw słabe, potem coraz mocniejsze. Teraz bolało ją już całe podbrzusze, łamało ją w krzyżu, coś w niej narastało, wypełniało ją od środka, coś pchało się w dół z nieubłaganą siłą, coś rozsadzało jej wnętrzności, a ona pojękując, nie mogła już rozróżnić, czy to udręczona macica szykuje się do wydalenia dziecka, czy też jej jelita odmawiają posłuszeństwa.

Kiedy nagle poczuła potrzebę parcia, do sieni weszła Geillis. Ujrzała Lorelei wijącą się niemo w bólach poronnych. Zbyt oczywiste było, co się dzieje. Lorelei podniosła się

na klęczki i zaczęła przec, a spomiędzy jej nóg poleciały krew i coś jeszcze, gęsta czerwona masa, która była łożyskiem. Wewnątrz znajdowały się kawałki białej tkanki. Dziecko. Postrzępione fragmenty tego, co jeszcze wczoraj było żywą istotą, zmieszane z krwią i fragmentami łożyska. I krew, krew, płynąca między jej nogami, kapiąca na wymoszczone trocinami klepisko.

- Na Teutatesa! - krzyknęła Geillis. - Lorelei, ty poroniłaś!

W jednej chwili Geillis postawiła na nogi całe obejście. Krzyknęła na służące, które natychmiast zaczęły się krzątać. Jedna gotowała wodę, druga pomogła Geillis przenieść Lorelei na posłanie, trzecia sprzątała krwawą jatkę z klepiska, ale zanim zdołała to wszystko umieścić w drewnianym kubku i wyrzucić w ogień, w drzwiach stanęła wysoka rudowłosa kobieta.

- Uatah - wyszeptał zdumiony i przerażony Galvan.

Galvana i Gwynn obudziły pełne przerażenia okrzyki Geillis. Spali jeszcze w najlepsze, kiedy Gwynn na moment odzyskała świadomość i wtuliła się mocniej w ciepłe, silne ciało Galvana, czując, jak jego ręka przesuwają się po jej biodrze i jak on sam twardnieje pod wpływem tego dotyku. Lubiła, kiedy kochał się z nią rano, kiedy o świcie, w tajemnicy przed całym światem, łączyli się zanurzeni jeszcze w sen, na granicy marzenia i rzeczywistości. Potem leżał w jej ramionach i szeptał słowa o miłości, a ona gładziła go po włosach, po twarzy i po rękach i czuła, jak całkowicie wypełnia ją miłość do niego. To był magiczny moment, kiedy należeli wyłącznie do siebie. Później rozdzielały ich obowiązki, a wieczorami Galvan lubił od czasu do czasu wziąć sobie do łóżka inną kobietę. Gwynn patrzyła na to przez palce, bo wiedziała, że i tak do niej przyjdzie. Wygrała go. Wiedziała o tym od momentu, kiedy przespali się razem z Lorelei. Galvan więcej nie wziął jej do łóżka, zapragnął natomiast tym silniej Gwynn. Ona zaś bardziej niż chętnie na to przystawała, wiedząc, że w ten sposób najmocniej go ze sobą zwiąże.

Jak każdego mężczyznę, który prędzej czy później wróci do tego, co dobre w łóżku.

Krzyk Geillis wyrwał ich ze snu, a drugi krzyk postawił na nogi w jednej chwili, każąc im przeskoczyć od głębokiego snu do pełnej świadomości.

- Coś się dzieje - wymamrotał Galvan, siadając na posłaniu.

Gwynn usłyszała rozkazy wydawane przez Geillis niewolnicom. Miały zagrzać wodę i wytrzeć krew, a inne położyć Lorelei na łożu. Wiedziała już, co się dzieje.

- Ona straciła dziecko - szepnęła zdumiona. - Wiedziałeś o tym, że była brzemienna?

Galvan spojrzał na swoją żonę z wyrazem najczystszej zdumienia w błękitnych oczach. Ani przez moment nie przyszło mu to do głowy.

- Chyba oszalałaś, Gwynn!

Już zrywał się z posłania i wkładał spodnie i buty. Gwynn miała mieszane uczucia, kiedy wkładała suknię. Robiła to automatycznie, nie zastanawiając się nad własnymi potrzebami i zwykłym porannym rytuałem. Powłokła się za Galvanem do sieni i ujrzała Lorelei pólżącą na ziemi i trzymającą się za podbrzusze, a wokół niej mnóstwo krwi i wydalonych tkanek. Aż za dobrze wiedziała, co to takiego.

Poczuła jednocześnie strach, obrzydzenie, litość i zimny, wyrachowany triumf. Przez myśl przemknęło jej, że ona nie urodzi bękart Galvana, chociaż obojętne jej było, ile dzieci z nieprawego łoża spłodził jej mąż z niewolnicami. Dziecko niewolnicy zawsze pozostanie niewolnikiem, chyba że ojciec osobiście je wykupi. Ale dziecko drugiej żony jest legalne. Co by było, gdyby Lorelei wydała na świat potomka Wercyngetoryksa i Ariowista? Czyj byłby to syn? Dziedzic Swebów czy Arwernów? Niebezpieczna kombinacja.

I nagle Gwynn zrozumiała. Wystarczyło jedno spojrzenie w udręczone oczy Lorelei, by pojęła wszystko. To ona, córka Ariowista, świadoma sytuacji, w jakiej się znalazła, sama zabiła swoje dziecko. Gwynn poczuła wokół serca lodowaty chłód, ale zaraz napłynęło głębokie, niczym niehamowane współczucie. Co ona musiała odczuwać! Jak sprzeczne uczucia musiały nią targać. I jak okrutnego wyboru sama dokonała.

W drzwiach mignęła jej zdumiona, przerażona twarz Adair.

Zaraz jednak w oczach młodszej siostry zapaliło się dziwne światelko. Gwynn zadrżała na ten widok i pomyślała, że za nic nie chciałyby mieć tej małej żmii za wroga. Więcej nie zdążyła pomyśleć, bo w drzwiach wejściowych ukazała się dobrze jej znana postać. Ogniste włosy Uatah spływały na wilczą szubę, a futrzane buty do kolan, obwiązane rzemieniami, były mokre od śniegu. Idąc w stronę połoźnicy, Uatah zdjęła płaszcz i odruchowo podała go Galvanowi, który, nie kryjąc zdumienia, automatycznie go przyjął.

- Nie, nie wyrzucaj tego - twardym głosem odezwała się Uatah do niewolnicy, która już chciała wyrzucić zawartość kubła w ogień. - Chcę to zobaczyć.

Lorelei skuliła się na łóżku. W pierwszej chwili nie poznała obcej kobiety, która teraz weszła. Ta nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale jej twarz naznaczona była wiedzą, o jakiej Lorelei nawet się nie śniło. Ta wiedza, inteligencja i coś jeszcze przewyższały wszystko, z czym córka Ariowista zetknęła się u Huldy i Adair razem wziętych. I ten błysk w zielonych oczach, który przyprawiał o dreszcze.

Uatah zajrzała do kubła. To, co w nim ujrzała, nie zachęcało do głębszych obserwacji, kapłanka jednak uważnie przyjrzała się szczątkom i strzępom tkanek.

- No tak - westchnęła. - Nie więcej niż osiem tygodni, może dziewięć. Zapewne było już całkowicie uformowane. Kiedy to się stało, Geillis?

Geillis bynajmniej nie była zdziwiona faktem, że Uatah zwraca się akurat do niej. To ona zarządzała akcją ratunkową i to ona stała w centrum izby.

- Weszłam tu jakiś czas temu i ujrzałam ją na ziemi - wyjaśniła.

Uatah omiotła spojrzeniem wielką sień. Trociny leżące na klepisku były czerwone od krwi. Na stole stał gliniany kubek, z którego ktoś wypił coś całkiem niedawno. Uatah wzięła naczynie do ręki, zbliżyła do twarzy i powąchała. Potem pokręciła ponuro głową.

- Po tych ziólkach żaden płód nie miałby najmniejszych szans - stwierdziła. - Nie powinnaś trzymać tego w domu,

Geillis.

Zaskoczona Geillis patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na kubek. Wczoraj Lorelei skarżyła się na ból głowy. Ósmy tydzień ciąży. A zatem wiedziała, co się święci, i celowo pozbyła się dziecka. Gdyby Geillis nie przyszła w porę, kto wie, czym to by się skończyło.

- Niech kobiety zagrzeją wodę - poleciła Uatah. - Muszę to dokończyć. Skoro raz już zaczęła krwawić, to należy pozwolić macicy się oczyścić. Podam jej zioła, które przerwą skurcze i sprawią, że jej ciało zacznie się goić.

Podeszła do leżącej na łożu dziewczyny. Skonstatowała, że Lorelei jest bardzo młoda, młodsza od niej, kiedy wydawała na świat Aife, młodsza od Gwynn, kiedy ta rodziła Drusta. Była przerażona, umęczona i przede wszystkim samotna. Uatah usiadła na posłaniu i pogładziła szorstką od miecza dłońią gładki policzek Lorelei.

- Nie bój się - ku zdumieniu wszystkich w pomieszczeniu powiedziała cicho w języku Swebów. - Czy jest ktoś, kogo tu sobie nie życzysz?

- Adair - szepnęła Lorelei. - Nie chcę jej.

Uatah wstała.

- Geillis, wyproś wszystkich ciekawskich - poprosiła. - A zwłaszcza jej siostrę.

Geillis nakazała wszystkim wyjść. Galvan i Gwynn również opuścili sien i pozwolili Uatah zająć się udręczoną dziewczyną. Gwynn skierowała się do izby, w której spały dzieci, żeby przekonać się, czy już nie śpią, ale ku jej zaskoczeniu spała cała trójka, a także piastunka. Gwynn poszła do kuchni i naląła do glinianych naczyń zagrzanego piwa, po czym wróciła do ich wspólnej sypialni i podała jeden kubek Galvanowi, który usiadł z powrotem na łożu, nie po to wszakże, żeby na nim spać.

- Wypij - poleciła mu. - To cię rozgrzeje.

Galvan odruchowo wziął od niej piwo i przystawił do ust. Patrzył na swoją żonę i zastanawiał się, czy to wszystko mu się po prostu nie przyśniło. Gwynn usiadła na zydlu obok łóżka.

- Galvanie, rozumiesz chyba, że ona zrobiła to celowo - zaczęła Gwynn cicho.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Słyszałeś, co powiedziała Uatah! - Imię pierwszej żony Galvana ledwo przeszło Gwynn przez gardło. - Zioła, które wypić, zabiłyby każdy płód.

- Ale dlaczego miałyby pozbywać się dziecka? - zapytał Galvan. - Przecież każda kobieta pragnie mieć dziecko, czyż nie?

- Tak, ale dla niej dziecko z tobą stanowiło problem - stwierdziła Gwynn przytomnie. - Ona jest córką Ariowista, ty jesteś naczelnikiem Arwernów i to, co dobre dla ciebie i dla jej ojca, niekoniecznie jest dobre dla niej i dla jej potomstwa. Co by się stało z takim mieszańcem, gdybyś ty poległ w bitwie? Twoi wrogowie natychmiast zabiliby takiego syna, potomka Ariowista, półkrwi Sweba.

Galvan podniósł na Gwynn zmęczony wzrok.

- Tak, masz rację - przyznał. - Nie pomyślałem o tym, kiedy brałem ją za żonę.

- Ależ pomyślałeś! - zapewniła go Gwynn.

- Być może, kochana. Ale nie w takim kontekście. Dla mnie syn z Lorelei byłby znakomitą rękojmią sojuszu z jej ojcem.

- To jasne. Ale pomyśl, że ona byłaby w niezręcznej sytuacji. To jest małżeństwo z rozsądku, czyż nie? Ona jest częścią układu między wami.

- Tak, a jeżeli układ z różnych przyczyn zostanie zerwany, ja zwracam mu córkę.

- Albo ją zabijasz i wzniecasz wojnę.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Galvan po raz kolejny ze zdumieniem stwierdził, że z Gwynn łączą go silne więzy, czy tego chce, czy nie. Było między nimi swoiste porozumienie i naprawdę ją kochał. Od tamtego dnia, kiedy sobie to uświadomił, ani przez chwilę nie przestał. Gwynn rzadko kiedy pokazywała, że jest kimś więcej niż tylko jego żoną i matką jego dzieci. Że jest też inteligentną młodą kobietą. Kiedy jednak wypowiedziała swoje zdanie, zazwyczaj musiał przyznać jej rację.

- Co zrobisz, Galvanie? - powtórzyła pytanie Gwynn. - Zabijesz ją? Oskarżysz o zabicie dziecka? Odeślesz

do Ariowista?

- Zabić? Oszalałaś?! - oburzył się Galvan. - Gwynn, ta dziewczyna jest tu nieszczęśliwa i samotna, a ty też nieczęsto dawałaś jej powody do radości.

- Być może - przyznała Gwynn niechętnie.

- A co ty byś pragnęła, żebym zrobił? - zapytał, patrząc na żonę badawczo.

Gwynn w pierwszym odruchu chciała powiedzieć, żeby ją odesłał, ale wróciła pamięcią do przerażonego spojrzenia Lorelei i do krwi na klepisku, do tego, co kilka chwil wcześniej było żyjącym w jej łonie dzieckiem, i znowu poczuła współczucie i żal.

- Zaopiekuj się nią, Galvanie - powiedziała cicho. - Nie sprawi mi to bynajmniej radości, ale też jestem kobietą i wiem, jak bym się czuła, gdyby któreś z moich dzieci umarło albo, co gorsza, gdybym ja sama je uśmierciła. Nie zabijaj jej ani nie oskarżaj, ani nie odsyłaj do Ariowista.

Galvan wyciągnął rękę i podał ją Gwynn, a po chwili przygarnął żonę do siebie i przytulił ją. Gwynn objęła go w pasie ramionami.

- Jesteś dobrym człowiekiem, moja Gwynn - szepnął w jej włosy. - Jesteś zazdrosna do granic niemożliwości, bywasz zaborcza i chcesz mnie tylko dla siebie, ale to wynika z miłości. I ja to rozumiem. Jeśli ci obiecuję, że nie będę z nią więcej sypiał i zajmę się nią jak krewną, czy pozwolisz jej tu zostać? Wiosną i tak trzeba będzie przemyśleć wiele spraw, bo obawiam się, że Helweci wyruszą jednak w tę swoją szaleńczą podróż, a wtedy bogowie jedni wiedzą, co się będzie działo.

Gwynn wdychała jego zapach i czuła narastające w niej pragnienie, by ją wypełnił i by mogła smakować go wszystkimi zmysłami.

- Galvanie, nie przeszkadza mi, że z nią sypiasz - odparła. - Już nie.

Galvan odszukał ustami jej ust, ale zanim zdążył cokolwiek uczynić, do drzwi ktoś zapukał i w progu stanęła Uatah. Gwynn niechętnie odsunęła się od męża, ale nie wstała i nie odeszła, chcąc zaznaczyć, że teraz jej miejsce jest przy Galvanie. Uatah

jednak nie zwracała na to uwagi. Jej wzrok był dziwnie bezosobowy i obojętny, ale spojrzenie miała twarde i obce.

- Ona teraz śpi - odezwała się spokojnym głosem. - Straciła trochę krwi, jest osłabiona i zmęczona, ale nic jej nie będzie. Następnym razem pilnujcie ją, zanim zrobi podobne głupstwo.

Galvan patrzył uważnie w oczy kobiecie, którą kiedyś kochał nad życie. Znał ją, widział, jak z dziecka przeobraża się w piękną dziewczynę, posiadał ją jako pierwszy, dzielił z nią najskrytsze sekrety i wiedział, że jej opanowanie jest wyćwiczone.

- Powiedziała ci, dlaczego to zrobiła? - zapytał.

- Tak. Bo chciała uchronić siebie i ciebie przed niebezpieczeństwem z powodu swojej ciąży i dziecka. I miała rację. Jeżeli Ariowist znalazłby się w niebezpieczeństwie, ona stanowiłaby znakomity łup.

- Szantażowałiby go jego brzemienną córką albo wnukiem - odgadł Galvan. - Ale to miecz obosieczny.

- To prawda, ale teraz czas pokoju się kończy i nadciąga wojna - rzekła Uatah. - Nie pytaj mnie, i tak ci nie powiem, co wiem i skąd wiem. Tylko tyle, że Lorelei słusznie obawia się marszu Helwetów. Oni ściągną nam nad głowę orła.

Galvan przypomniał sobie swój sen-niesen z tamtej nocy, kiedy spał ze swymi dwiema żonami. Spojrzał Uatah głęboko w oczy i wyczytał to, co chciał wyczytać. Ona wiedziała. Scatah też wiedziała różne rzeczy, znała przyszłość i zsyłała na niego sny, w których pozwalała mu ujrzeć to, co sama chciała mu pokazać. Teraz Uatah także nękała go wizjami. Chciała, by był gotowy na to, co przyniesie przyszłość.

- Mówiłaś, że to był słuszny sojusz - przypomniał.

- Bo był - odparła Uatah. - I póki co nadal takim jest. Równowaga sił jest zachowana. Eduowie nie mogą bezkarnie tu wejść, bo inaczej Ariowist się z nimi rozprawi. A jeśli Eduom przyjdzie do głowy wezwać Rzymian, to Swebowie mogą zrobić to samo. Wszystko zależy od kierunku wiatru.

- A jeśli wiatr zawieje w złą stronę? - zapytała Gwynn. - Co wtedy?

- Wtedy sojusz nie będzie korzystny i zostanie zerwany -

skwitowała Uatah krótko. - Galvanie, zajmij się na razie sprawami bieżącymi. Potem będziesz się martwić o przyszłość.

Galvan nic na to nie odpowiedział. Rozumiał, że sytuacja niebawem się zmieni, o ile Helweci nie zdecydują się jednak zostać u siebie.

Gwynn wstała.

- Uatah, przyjmij naszą gościnę i strawę - odezwała się. - Musiałaś przebyć długą drogę ze swojej doliny.

Uatah uśmiechnęła się.

- W istocie - przyznała. - I nie pogardzę ciepłym posiłkiem. Tyle jeszcze jest we mnie ze zwykłej kobiety.

Kiedy wyszły, Galvan w zamyśleniu sięgnął po resztę ubrań. Lorelei swoim postępkim dała do zrozumienia, że obawia się najbliższej przyszłości. Uatah wspominała, że jeżeli Helweci ruszą w drogę, do Galii, by bronić swojej prowincji, przybędą Rzymianie. Oznaczało to, że wkrótce już on sam będzie musiał zdecydować się, po której stronie stanąć. A wybór taki zawsze wiąże się z ryzykiem utraty władzy, a nawet życia. Tego zaś Galvan szczególnie nie chciał tracić.

VIII

Wśród Helwetów bez wątpienia największe znaczenie posiadał Orgetoryks. Nie był wodzem, jakkolwiek ambicje miał godne króla, ale dzięki swym bogactwom, wpływom i niezaprzeczalnemu talentowi politycznemu udało mu się odegrać niepoślednią rolę w historii swego plemienia.

Helweci zajmowali terytorium zamknięte z trzech stron w naturalny sposób ze względu na ukształtowanie terenu. Od północy ich ziemię oddzielał od Germanii Ren, który akurat w tym miejscu miał wyjątkowo bystry nurt, był szeroki, a jego brzegi były wysokie i poszarpane. Od zachodu otoczeni byli nieprzebytą Jurą, które to pasmo górskie oddzielało Helwetów od ziem Sekwanów. Od południa graniczyli z rzymską Prowincją, granica ta przebiegała przez Rodan na południowym zachodzie i Jezioro Lemańskie. Od wschodu i od południowego wschodu otoczeni byli przez Alpy, które wszakże znajdowały się w nieco większym oddaleniu. Szlaki kupieckie wiodły od nich na wschód do Daków, a na południowy wschód do Ilirów, ale droga na zachód i północ była dla nich zamknięta, a jeżeli nie stricte niedostępna, to w każdym razie mocno utrudniona.

Helweci byli od dawien dawna plemieniem bitnym, żądnym nowych terytoriów i łupów. Dopóki Rzymianie nie pojawili się na południowym zachodzie i na południu i nie podporządkowali sobie ziem Galii Narbońskiej, którą przeobrazili w swoją prowincję, i dopóki południowe szlaki były otwarte, plemię to mogło szukać ujścia dla swoich żądz podbojów w tamtym kierunku. Raz nawet spróbowało się z Rzymianami i udało im się pobić konsula Kasjusza, a jego wojsko zmusić do przejścia pod rządem włóczni, jednakże Rzymianie, pomimo

tak wielkiego upokorzenia, ani myśleli wynieść się z raz zdobytej przez siebie ziemi. Wskutek tego Helweci nadal zamknięci byli w swoim zaścianku, co najwybitniejszych ich obywateli doprowadzało do wściekłości.

Jednym z takich obywateli był Orgetoryks. O tym, że pochodził z możnej rodziny i był naczelnikiem jednego z okręgów, świadczyć mogło choćby jego imię. Za konsulatu Marka Messali i Marka Pizona zaczęto w Helwecji bić monetę z jego wizerunkiem. Był to człowiek dumny i żądny władzy. Uważał, że jego lud jest zbyt liczny jak na ciasne granice, w których żyje, a także że nie może się należycie wykazać w walce. Ponadto Orgetoryks pragnął znacznie większej i szerszej władzy, aniżeli tej danej mu przez urząd naczelnikowski. Pragnął władzy jeśli nie nad całą Galią, to przynajmniej nad jej częścią.

Dlatego właśnie przed czterema laty postanowił wprowadzić w życie swoje butne plany zdobycia większej władzy i w tajemnicy przed innymi możnymi władcami udał się do plemienia Sekwanów, którym przewodniczył Kastykus, syn Katamantalodeisa. Ojciec Kastykusa przez wiele lat sprawował władzę królewską wśród swojego ludu, ale nigdy nie został obwołany królem. Cieszył się on również statusem Przyjaciela Narodu Rzymskiego. Orgetoryks nakłaniał go, aby odważył się on sięgnąć po faktyczną królewską władzę nad swoim ludem, taką, jaką sprawował jego ojciec. Dotąd – jak powiedziano – Kastykus nie został obwołany królem, a co więcej, za jego czasów doszło do licznych najazdów ze strony Eduów pod przywództwem vergobreta Dywicjaka, który był druidem i posiadał rozległą wiedzę w wielu dziedzinach. Kastykus był łatwy do prowadzenia, a jeszcze prostsze było manipulowanie nim poprzez roztoczenie przed nim wizji władzy i bogactwa.

Kiedy już uporał się z nim, zawierając przymierze, Orgetoryks udał się do brata Dywicjaka – Dumnoryksa, który w swoim mniemaniu został skrzywdzony przez prawo. U Eduów bowiem władzę sprawował najwyższy władca vergobret, ale nikt z jego rodziny nie mógł nigdy dzierżyć podobnego stanowiska, aby jeden ród nie wywyższył się ponad inne.

Orgetoryks był na tyle obeznany z polityką, by wiedzieć, co najbardziej wiąże ze sobą dwóch mężów, i oddał Dumnoryksowi swoją jedyną córkę za żonę. Każdą politykę najlepiej prowadzić przez łożnicę, wszyscy od dawna o tym wiedzieli.

Trudno powiedzieć, by jego córka była uszczęśliwiona decyzją ojca, ale Orgetoryks zupełnie nie baczył na jej smutek i przerażenie. Oddawał młodą, szesnastoletnią dziewczynę mężczyźnie ponad dwukrotnie od niej starszemu. Dumnoryks miał dobrze pod czterdziestkę. Odbyło się wesele, dziewczyna prędko zaszła w ciążę i Orgetoryks miał znakomite spoiwo sojuszu oraz gwarancję, że Dumnoryks nie wycofa się ze swej cichej obietnicy. Tak oto trzej celtyccy wodzowie uczynili to samo, co trzej rzymscy politycy, co więcej, uczynili to tego samego roku, w którym Cezar, Pompejusz i Krassus powołali do życia swoją trzygłową hydrę.

Ponieważ jednak żaden z nich nie pełnił funkcji naczelnego wodza swego plemienia, ale każdy był tylko wodzem swojego okręgu, ich potajemna decyzja wkrótce stała się dobrze znana w szerszych kręgach, a to z kolei wzbudziło niezadowolenie rządzących. Wodzowie nie życzyli sobie konkurencji ze strony uzurpatorów, a za takowych mogła uchodzić ta trójka. Co prawda Kastykus nie był bezpośrednio zagrożony, bo i tak sprawował władzę równą królewskiej, chociaż takiej nominacji ze strony swoich ziomków raczej spodziewać się nie mógł, a Dumnoryks nie musiał bać się kary za swe postęпки tak długo, jak długo u jego boku trwał jego brat Dywicjak, który notabene był szpiegiem Cezara w Galii i obecnie popierał Rzym i jego armię.

Orgetoryks jednak musiał liczyć się z niezadowoleniem ze strony innych naczelników helweckich. Nie posiadał poparcia Rzymu, bo Helwecja leżała zbyt blisko rzymskich posiadłości po tej stronie Alp. Nie mógł liczyć na poparcie Germanów, w tym zwłaszcza Swebów, którzy od dekady okupowali ziemie Sekwanów i Eduów, chociaż to Sekwanowie sami ich do siebie zaprosili. Nie mógł też liczyć na pomoc ze strony Daków i Ilirów, jakkolwiek próbował sprzymierzyć się

z królem Ilirii Burebistą. Ten ostatni nie należał do grona wielbicieli Rzymian i tylko czekał, aż Cezar wkroczy do Ilirii, by wypowiedzieć mu wojnę i dać nauczkę rzymskim legionom.

Mimo to Orgetoryks za pomocą wielu żarliwych mów zdołał przekonać swoich, aby przystali na jego absurdalny pomysł migracji i przygotowali się do drogi na nowe tereny, między innymi na ziemię Akwitanów, choć pierwszym przystankiem miała być ziemia Sekwanów. Orgetoryks do swego pomysłu namówił innych naczelników jeszcze przed zawiązaniem spisku z Kastykusem i Dumnoryksem. Rada Helwetów przystała na propozycję planu Orgetoryksa i nawet sama wysłała go w celu posłowania u Sekwanów i Eduów, naczelnikom jednak nawet nie śniło się, że ten wykorzysta sytuację do wcielenia w życie swoich własnych planów i upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu.

Zaczęto podejmować przygotowania do wielkiej wyprawy. Helweci uznali, że trzy lata wystarczą, aby zgromadzili potrzebny inwentarz, dokonali zasiewów, zebrali wystarczającą ilość plonów i tak dalej. Tak więc trzy lata przed planowanym terminem wyprawy zaczęli gromadzić zapasy, zawierać korzystne sojusze, mówiąc krótko: sposobić się do wymarszu.

Ostatniej jesieni przed wymarszem ujawniony został plan Orgetoryksa. Nie do końca wiadomo, jak do tego doszło, lecz każda tajemnica dotycząca polityki w końcu ujrzy światło dzienne. Orgetoryks stanął przed sądem. Za uzurpatorstwo groziła mu kara zakopania w ziemi żywcem, co niezbyt mu się podobało. Ponieważ jednak należał do najmożniejszych arystokratów, posiadał rozległe dziedziny i ziemie, niewolników, klientów, a także ogromne ilości złota i srebra, postanowił to wykorzystać. W wyznaczonym dniu zjawił się przed Radą w towarzystwie dziesięciu tysięcy ludzi, wśród których byli nie tylko jego niewolnicy, ale przede wszystkim klienci i dłużnicy. Zgromadził swoją prywatną armię, wszystko to w celu zastraszenia Rady, co de facto mu się udało. Nikt nie miał ochoty wystąpić przeciw niemu zbrojnie, kiedy puszył się na czele swojej gromady i dosłownie śmiał się swoim sędziom w twarz.

Jednak wkrótce potem dosięgło go przeznaczenie i któregoś wieczoru Orgetoryks położył się spać, by już nie wstać z łóżka. Wszczęto śledztwo, ale niczego ono nie wykazało. Przesłuchano jego żonę, którą jako pierwszą podejrzewano o dokonanie zabójstwa, ale okazała się ona niewinna, gdyż w nocy śmierci swego męża spała w innym domu, u swojej chorej matki. Tak czy inaczej Orgetoryks pożegnał się z tym światem, wyprawiono mu wspaniały pogrzeb, a o sprawie galijskiego triumwiratu na chwilę zapomniano, gdyż nieustannie trwały przygotowania do wymarszu.

Sprawa zdobycia nowych terenów nie upadła bowiem wraz z jego śmiercią. Na to zbyt wiele Helweci poświęcili czasu, pieniędzy i zbyt dużo włożyli wysiłku w to, aby wiosną wyruszyć wreszcie ku nowym ziemiom. Późną zimą doszli do wniosku, że są już gotowi wyruszyć, a im wcześniej, tym lepiej, toteż dokonali ostatnich przygotowań i spalili wszystkie swoje miasta w liczbie dwunastu, a także około czterystu wsi i wolnostojące domy. Każda rodzina wyruszająca w drogę miała przygotować sobie zapasy mąki na trzy miesiące. Oprócz Helwetów w drogę ruszyli również przedstawiciele ościennych plemion: Rauraków, Tullingów i Latobrygów. Wszyscy oni w początkach marca udali się na wielką wędrówkę, tak jak ich przodkowie, którzy pięćset lat wcześniej osiedlili się na ziemiach Helwetów.

Nowymi wodzami zostali mianowani dwaj helweccy naczelnicy: Namnejusz i Weruklocejusz. Oni to wytyczyli drogę przemarszu. Wiedzieli doskonale, że istnieją tylko dwa trakty, które mogą wyprowadzić ponad trzysta sześćdziesiąt osiem tysięcy ludzi z zamkniętego terytorium, jakim była Helwecja. Jeden z nich prowadził na terytorium Sekwanów. Była to droga pomiędzy Jurą a Rodanem, wąska i uciążliwa, którą z ledwością mogły przemieszczać się pojedyncze wozy, a z góry groziło nieustanne zejście lawiny. Drugi szlak prowadził przez rzymską prowincję, ponieważ między ziemiami Allobrogów, plemienia niedawno podbitego i upokorzonego przez Rzymian, a prowincją przepływał Rodan, który na tym odcinku charakteryzował się licznymi płyciznami. Najdalej wysuniętym miastem Allobrogów była Genawa i z tego właśnie miasta

do kraju Helwetów prowadził most, który stanowił na trasie znakomite udogodnienie. Dwaj wodzowie Helwetów doszli do wniosku, że Allobrogowie, którzy niedawno stanęli w szranki z Rzymem, okażą się dogodnym sojusznikiem, natomiast w przypadku odmowy przejścia przez ich kraj będzie można skutecznie nakłonić ich do wydania pozwolenia ogniem i mieczem. Kiedy więc zakończyli ostateczne przygotowania, wyruszyli w drogę grupami i wyznaczyli dzień, w którym wszystkie grupy podróżnych miały spotkać się nad Rodanem, w pobliżu mostu.

Było to na pięć dni przed kalendami kwietniowymi za konsulatu Lucjusza Pizona i Aulusa Gabiniusza, w pierwszym roku prokonsulatu Gajusza Juliusza Cezara.

W Rzymie pogłoski o szykowanej migracji Helwetów nie były niczym nowym. Już rok przed konsulem Cezara Cynceron otrzymywał na bieżąco sprawozdania od swoich informatorów i kiedy nieoczekiwanie na pół roku przed wyruszeniem w drogę Orgetoryks zmarł, Cynceron stwierdził, że wojna w Galii została zażegnana, nim się rozpoczęła. Cezar wszakże pozostawał czujny, ponieważ od Dywicjaka, który był jego szpiegiem, otrzymywał informacje na bieżąco. Wiedział również o tym, że brat Dywicjaka Dumnoryks zawarł potajemne przymierze, i to wcale mu się nie podobało, tym bardziej że on sam uczynił dokładnie to samo i wiedział, co taki czyn oznacza.

Dzięki swemu informatorowi był jednak przygotowany na każdą okoliczność i kiedy na początku marca dowiedział się, że Helweci gotowi są wyruszyć, natychmiast podjął decyzję o wymarszu z Rzymu. W zasadzie powinien był opuścić stolicę już w styczniu, ale zwlekał, wymawiając się masą spraw do załatwienia, podczas gdy tak naprawdę chciał jeszcze przez chwilę śledzić losy zawilej rzymskiej polityki. Kiedy jednak dotarła do niego wiadomość, uznał, że czas najwyższy jechać, i to szybkim tempem, bo dopiero to będzie pięknie wyglądać, kiedy banda barbarzyńców wedrze się na teren tak niedawno osłabionej i napadniętej prowincji. Mało tego, wystarczy tak naprawdę, aby cień helweckiego wojska zamajaczył w odległości tysiąca kroków od granicy z Prowincją, a już

te optymackie harpie dobiorą się Cezarowi do pewnej części ciała, a on sam ośmieszy się i zbląźni całkowicie. Jedno było dobre: fakt pozbycia się Katona, któremu powierzono niezwykle ważną misję zaprowadzenia porządku na Cyprze. Porządku, doprawdy!

W Rzymie zostawał Cynceron, Cezar jednak wyruszał na północ pełen niedobrych przeczuc co do jego osoby. W mieście bowiem szalał nie kto inny jak Klodiusz, ten sam, którego Cezar przyłapał w swoim domu w pamiętne święto Bona Dea, kiedy to ten głupiec zakradł się tam w przebraniu kobiecym. Klodiusz, który żywił w stosunku do Cyncerona nieprzejednaną nienawiść dlatego, że w owym pamiętnym dniu, kiedy go oskarżano o naruszenie spokoju domu, w którym odbywało się święto kobiet, Cynceron nie dał mu upragnionego alibi, chociaż mógł to uczynić. Za swego konsulatu na prośbę Klodiusza Cezar przesunął go do stanu plebejskiego poprzez sfingowaną adopcję, ponieważ młody człowiek pragnął zostać trybunem ludowym, które to stanowisko dawało mu ogromną władzę w postaci nietykalności osobistej i prawa zgłaszania weta. Cezar wiedział, że Klodiusz wykorzysta jego nieobecność i pierwszym, co uczyni, będzie zemścić się na sławnym mówcy i adwokacie. I smutek ogarniał Cezara na myśl o tym, Cynceron bowiem, jakkolwiek stał po przeciwnej stronie politycznej barykady, był jednak człowiekiem honoru i poniekąd ostoją dla Cezara w pełnym obłudy świecie senatorów.

Ponure te myśli towarzyszyły Cezarowi w drodze do Genawy. Wiedział, że musi działać szybko, problemem zaś była nieznamość podległego mu terenu. Co innego mapy, a co innego faktyczna znajomość prowincji. Dobrze, że na miejscu stacjonował jeden legion, cztery znajdowały się ponadto w Galii Przedalpejskiej, przy granicy z Ilirią. Nie tak prostą sprawą było przetrzucenie czterech legionów przez Alpy, ale najpilniejszą kwestią było niedopuszczenie Helwetów do przekroczenia granicy Prowincji, bo po pierwsze oznaczałoby to kompromitację Cezara, a po drugie bardzo niewygodna byłaby bliskość takiej liczby celtyckich wojowników w bezpośrednim sąsiedztwie rzymskich dziedzin.

Wystarczy, że dwa lata temu zbuntowali się Allobrogowie, choć akurat oni zdaniem Cezara mieli do tego jak najbardziej prawo po tym, jak potraktował ich Senat. Cezar wiedział, że nie dysponuje taką ilością wojska, by zapobiec ewentualnym późniejszym najazdom, Prowincja bowiem ze wszystkich stron otoczona była przez barbarzyńców. A dopóki masy ludności są w marszu, będą musiały bronić najsłabszych osobników, zdobywać pożywienie i szukać dogodnej pozycji. Taka sytuacja jak najbardziej mu odpowiadała, dlatego też ponaglił swoich legatów, którzy w jego opinii strasznie się ociągali i marudzili. Pokonując dziennie sto pięćdziesiąt kilometrów, ósmego dnia zjawiał się niespodziewanie nad brzegiem Rodanu, w miejscu, gdzie po drugiej stronie rzeki gromadziły się niezliczone zastępy Helwetów.

Przybycie wodza zaskoczyło stacjonujących w Prowincji centurionów. Dowódca pierwszej kohorty najpierw zbladł, a potem zrobił się zielony na twarzy, ale pospieszył na spotkanie z Cezarem, chociaż nogi trzęsły mu się ze strachu. Rzecz jasna Cezar nie przybył sam, towarzyszyli mu legaci, w tym: Balbus, Labienus, Hircjusz, Marmurra, Kwintus Cynceron, Kwintus Pediusz i Sulpicjusz Galba. Wiadomość o wyruszeniu Cezara z Rzymu dotarła naturalnie do obozu, ale nikt nie spodziewał się go wcześniej niż za dziesięć dni od momentu wyjazdu, on zaś zjawiał się dwa dni wcześniej.

Obóz rzymski wznoszono zawsze tak samo, od niepamiętnych czasów budowano go wedle porządku etruskiego. W taki sposób kiedyś zakładane były tradycyjnie miasta, ale po ośmiu wiekach legioniści Cezara nie mieli już o tym pojęcia. Byli to głównie synowie plebsu, jedynie w konnicy służyli patrycjusze. Od czasu reformy Mariusza armia była wojskiem zawodowym, w którym legioniści służyli szesnaście lat, a kto chciał, ten zostawał dłużej. O ile, rzecz jasna, dożył. W obozie wytyczano dwie arterie, *cardo* i *decumanus*, z których pierwsza biegła na osi północ-południe, druga na wschód i zachód. Obóz posiadał cztery bramy pilnie strzeżone przez wartowników. Wokół murów zbudowano wał,

a wokół wału palisadę i fosę. Na wzniesienie obozu potrzebne były cztery godziny, z kolei leże zimowe stanowiły przykład obozu stałego, którego nie palono doszczętnie po opuszczeniu.

Obóz w Genawie nie różnił się niczym od standardowego obozu rzymskiego, a pod nieobecność wodza dowodził nim centurion pierwszej kohorty. On też odpowiadał przed Cezarem głową za najmniejsze uchybienie. Gdyby Cezar miał czas i ochotę, zarządziłby rutynową kontrolę i zapewne znalazłby nadprogramową liczbę ludzi, w tym głównie kobiet, z którymi żołnierze uprzyjemniali sobie życie. Cezar jednak nie miał w tym momencie czasu na podobne bzdury, kazał od razu zaprowadzić się do namiotu, gdzie wziął po podróży szybką kąpiel, zjadł skromny posiłek i rozkazał centurionowi za godzinę stawić się przed sobą. Przez ten czas przestudiował mapy terenu sporządzone przez żołnierzy. Gdy centurion na nieco mniej już drżących nogach wszedł do namiotu wodza, ten był już w pełni przygotowany do przeprowadzenia wywiadu.

- Ilu jest Helwetów? - zapytał Cezar rzeczowo.

- Nie wiem dokładnie, imperatorze - wydusił z siebie centurion. - Ale wedle obliczeń moich i moich ludzi będzie ich około trzystu tysięcy, może nieco więcej, ponieważ nadciągają grupami.

Cezar potarł dłonią podbródek i z niezadowoleniem skonstatował, że będzie musiał się ogolić. W podróży nie miał na to czasu, podobnie jak na układanie fryzury, zresztą to nie miało teraz znaczenia. Musiał myśleć, i to intensywnie. Musiał wyjść z twarzą z tej sytuacji. Żadne okoliczności nie mogły przerosnąć Cezara!

- Ilu wśród nich jest mężczyzn zdolnych do walki, Spuriuszu Spatusie? - zapytał.

Centurion ani przez moment nie okazał zdumienia, że imperator zna jego imię. O Cezarze krążyły w legionie jeśli nie legendy, to w każdym razie plotki, i to wcale niewybredne. Słynna była historia jego bityńskiego romansu, ale żaden legionista przy zdrowych zmysłach nie wpadłby na tak głupi pomysł, by tego rodzaju kalumnie głośno powtarzać, zwyczaj decymacji i chłosty wciąż był bowiem w armii znany. O ile

jednak zwykła chłosta była czymś do zniesienia, o tyle chłosta stosowana jako kara śmierci była nie do zniesienia. Nieszczęśnika chłostano wówczas nie zwykłym flagellum, ale specjalnymi biczami zakończonymi metalowymi haczykami, które wczepiały się w ciało i wyrwały żywe mięso. Żołnierz taki zwyczajnie się wykrwawiał, o ile wcześniej nie skonał z powodu bólu i szoku. Decymacja polegała na ścięciu mieczem co dziesiątego żołnierza. Do tej metody wodzowie uciekali się bardzo rzadko, bo oznaczało to znaczne przetrzebienie oddziału, w przypadku jednak masowego buntu nic nie działało na legionistów tak skutecznie jak właśnie decymacja. W skrajnych przypadkach legioniści sami ostrzyli sobie miecze, by egzekucja poszła sprawniej.

- Myślę, że co najmniej jedna czwarta tych zastępów to kobiety i dzieci, imperatorze - odparł centurion. - Ale wśród nich są również inne plemiona: Rauraków, Tullingów i Latobrygów. To bitne ludy, Cezarze.

- Bardzo dobrze - mruknął Cezar. - Ile mostów jest na tym odcinku rzeki? Tylko jeden?

- Jest jeden most, imperatorze, ale rzeka w tym miejscu, w okolicach jeziora, charakteryzuje się licznymi brodami i płyciznami. Oni będą prawdopodobnie chcieli mimo wszystko przepłynąć na drugą stronę Rodanu.

- Każ szykować konie - wydał rozkaz Cezar. - Za godzinę jadę na zwiad. Mają mi towarzyszyć dwaj legaci, najbardziej doświadczony budowniczy, architekt i ty.

- Rozkaz, imperatorze! - Centurion stuknął się pięścią w pierś.

- Do jutra wszystkie ciury obozowe i kurwy mają się stąd wynieść - dodał Cezar mimochodem. - Niech sobie zakładają obóz gdzie indziej. Jeżeli jeszcze raz się to powtórzy, nie będę już tak pobłażliwy. Na leżach zimowych niech się gżą, ile chcą, ale w trakcie kampanii takie elementy mają iść za armią, a nie z armią. Zrozumiałeś?

- Tak jest, imperatorze.

Na surowej twarzy Cezara pojawił się cień uśmiechu.

- I przyprowadź mi skarbnika. W tej chwili - dodał.

Kiedy Spuriusz Spatus zniknął za zakrętem, Cezar usiadł na przygotowanym wcześniej krześle. Balbus, jego praefectus fabrum, który do tej pory stał w milczeniu za plecami wodza, teraz poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. Był to człowiek opanowany, potężnie zbudowany, o ciemnej karnacji i kręconych włosach osobnika pochodzącego z Hiszpanii. Wysoki i postawny, mógł wzbudzać lęk, ale w twarzy miał jakąś osobliwą łagodność, która nie bardzo pasowała do jego wizerunku żołnierza.

- Cezarze, chcesz zacząć kampanię od wypłacenia żołdu? - zapytał.

- To też, Balbusie - odparł Cezar, masując sobie skronie. - Jeżeli chcę im powyrzucać dziwki z obozu, to muszę dać im rekompensatę.

- A dlaczego kazałeś uprzątnąć obóz?

- Bo za chwilę będziemy w stanie wojny z Helwetami, Balbusie. A wówczas żołnierze mają się bić, nie zaś martwić o swoje kobiety i bękarty i bogowie jedni wiedzą, o co jeszcze. Nie będę im bronił posiadania kobiet, niech sobie mają, ile zechcą, ale nie w czasie wojny i nie w obozach. Aha, kiedy już zakończymy dzisiejszy rekonesans, przyślesz mi tutaj golibrodę. Wszyscy żołnierze mają się ogolić, całkowicie i dokładnie, na głowie, na twarzy i między nogami. Ja też to uczynię dla przykładu. Armia Cezara nie będzie siedliskiem wszy i pcheł.

Balbus spojrział na niego ze zdumieniem. Zwyczaj golenia owłosienia u żołnierzy wprowadził już Mariusz, ale de facto rzadko kiedy wodzowie stosowali tak rygorystyczne zasady. Normą było posiadanie kobiet na terenie obozów, jeśli zaś wojsko wtargnęło do miasta, gwałciło ile wlezie kobiety, dziewczynki i pięknych chłopców. Widać jednak Cezar nie hołdował takim obyczajom i miał zamiar wprowadzić w swojej armii surowsze zasady. Może to jednak było i dobre, bo podnosiło morale żołnierzy, którzy ostatecznie nie walczyli za dziwki obozowe, ale za regularnie wypłacany żołd, a dla ulżenia sobie zawsze można było iść do kantyny.

- Helwetowie sami do mnie przyjdą. - Cezar uśmiechnął się. - Na rzece jest tylko jeden most, a oni chcą iść na zachód.

Doskonale wiedzą, że cała ta horda nie da razy przejść za jednym zamachem na zachodni brzeg. Nawet jeśli część zdecyduje się przeprowić północnym przejściem, reszta będzie próbowała za wszelką cenę przedostać się drogą wodną. Dam ja im przeprawę!

Do namiotu imperatora wszedł skarbnik.

- Nie, Balbusie, zostań. - Cezar skinął na niego ręką. - Zostań i ucz się. To ci się przyda, kiedy wrócisz do Rzymu.

Spojrzał na skarbnika, który stał spokojnie na swoim miejscu, dzierżąc w rękach papiirusy i rylce.

- Rozgość się, Publiusz Liwiuszu - zwrócił się do niego. - Napijesz się wina?... Jak wygląda sprawozdanie z ostatniego miesiąca?

Skarbnik usiadł na wskazanym sobie miejscu z poczuciem, że pod komendą Cezara częstym zwyczajem będzie rozdział pieniędzy nie tylko na wojsko, ale również na zaciąganie nowych legionów. Patrząc jednak na naczelnego wodza, prokonsula, o którym tyle słyszał, nie odczuwał strachu, poznał bowiem w Cezarze imperatora, któremu ze spokojnym sumieniem można powierzyć swój los.

Kolejne dni upływały Cezarowi na niezliczonych obowiązkach. Pierwszego dnia dokonał oceny skarbu wojska i stwierdził, że stać go jeszcze na pobór w Prowincji, który też natychmiast zarządził. Zdawał sobie doskonale sprawę, że nigdy w życiu nie uda mu się pokonać trzystu tysięcy ludzi, a niechby zdolnych do walki było znacznie mniej, przy pomocy jednego legionu liczącego raptem niecałe pięć tysięcy żołnierzy. Cezar nie był głupcem. Tego samego dnia, kiedy zjawił się w obozie, dokonał również zwiadu i przekonał się na własne oczy, jak wielkie są siły Helwetów, nawet jeśli trzy czwarte tego zgromadzenia stanowili starcy, kobiety i dzieci. Na własne oczy przekonał się, co to znaczy migracja ludu gotowego na wszystko. Na północny wschód jak okiem sięgnąć całą równinę zajmowały helweckie tabory, wozy, zwierzęta juczne, niekończące się kolumny jeźdźców i pieszych, którzy napływali grupami niczym wzburzone fale wielkiej rzeki.

Cezar rozkazał ufortyfikować linię brzegową na odcinku niemal trzydziestu kilometrów, ponadto obsadzić załogą okoliczne wzgórza i zarządził natychmiastowy pobór do wojska wszystkich zromanizowanych mieszkańców Prowincji, a także wszystkich Rzymian, mężczyzn w wieku powyżej szesnastego i poniżej sześćdziesiątego roku życia. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nawet taka mobilizacja to za mało, by pokonać Celtów.

Drugiego dnia swego pobytu w Galii otrzymał dokładne sprawozdanie od galijskich szpiegów, którzy donieśli mu, że na prawym brzegu Rodanu znajduje się niemal trzysta siedemdziesiąt tysięcy ludzi, z czego dwieście sześćdziesiąt to sami Helweci, pozostali zaś pochodzą ze sprzymierzonych plemion. Samych mężczyzn zdolnych do walki było dziewięćdziesiąt tysięcy. Cezar musiał być zatem ostrożny, przebiegły i sprytny, a także działać szybko.

Trzeciego dnia przybyli do niego posłowie helweccy. Stało się dokładnie tak, jak sam przewidział. Kiedy przygotowywał się w swym namiocie na powitanie posłów, do jego kwatery wszedł Labienus. Był to weteran z Hiszpanii, człowiek lubujący się w rozlewie krwi i nieznający litości. Zabijał z zimną krwią mężczyzn i kobiety, starców i dzieci, wedle rozkazu i wedle upodobania wodza, któremu akurat służył. Był mocno zbudowany, silny, ciemnowłosy, o ponurym obliczu i czarnych, niezgłębionych oczach, ale rysy twarzy miał o dziwo harmonijne i bardzo klasyczne, przywodzące na myśl greckie posągi. Cezar przyznał, że sam czuł się przy nim nieswojo, ale z drugiej strony Labienus był takim żołnierzem, któremu Cezar mógł bezgranicznie ufać i powierzyć mu dowództwo w przypadku własnej nieobecności wśród wojska.

Labienus przypatrywał się, jak niewolnik pomaga Cezarowi przywdziać ciężki pancerz, a drugi wiąże mu nagolenniki. Cezar nosił taką samą zbroję jak każdy inny legionista, a spośród swoich ludzi wyróżniał się jedynie czerwonym imperatorskim płaszczem. Kiedy był w obozie, nosił wojskowe obuwie, caligae, w miejsce swoich ulubionych butów kapłańskich. Zresztą tutaj nie dbał bynajmniej o swój

wizerunek gładkiego polityka. Już pierwszego dnia zarządził całkowite golenie i strzyżenie całej armii i sam dał przykład posłuszeństwa dyscyplinie, również zgolił bowiem włosy, niezbyt bujne zresztą, usunął je też z całego ciała, by nie zarazić się wszawicą albo gorszymi jeszcze insektami. W Rzymie zaczesywał swoje rzednące włosy na czoło, żeby ukryć powiększającą się łysinę, ale w czasie działań wojennych nie miało to jakiegokolwiek znaczenia, bo po przymusowym goleniu wszyscy legionieści świecili łysinami.

W wieku czterdziestu dwóch lat Cezar był u szczytu formy. Labienus musiał to przyznać, chociaż niechętnie, bo sam był mężczyzną i nie gustował w męskiej urodzie. Cezar przypominał mu dzikiego kota, który doskonale zdaje sobie sprawę ze swej siły i potęgi. I z tego, że za chwilę jego akme przeminie, a on sam zacznie chylić się ku starości. Ale jeszcze nie teraz, kiedy wszedł w najlepsze lata dojrzałości fizycznej i umysłowej. Zanim zacznie się droga w dół, dane mu będzie dokonać jeszcze wielu czynów mniej lub bardziej godnych zapamiętania.

- Wiedziałeś, że przyjdą, Cezarze - odezwał się Labienus i było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Nie ma w tym nic niezwykłego, Labienusie - odparł Cezar takim tonem, jakby chodziło o zwykłe sprawy na Forum. - Skoro chcą przejść prostą drogą, to muszą mnie prosić o pozwolenie na przejścia przez Rodan i naszą Prowincję. Innej drogi nie ma.

- W tym problem, że jest, i to niejedna - zauważył Labienus.

- Owszem, ale jeśli uprą się, żeby iść przez Jurę, znajdą się w niebezpieczeństwie, jeżeli zaś wyruszą na ziemie Sekwanów, będę miał znakomity pretekst, żeby im przeszkodzić.

- Jaki pretekst, jeśli można zapytać?

- Naruszenie pokoju wśród plemion. - Głos Cezara był niewzruszony i gdyby pewien kapitan piratów mógł go usłyszeć, skamieniałby ze strachu, ta bowiem barwa głosu Cezara tylko z pozoru nie wróżyła nic złego. Tamten jednak nie mógł więcej słyszeć głosu Cezara, ponieważ został przez niego ukrzyżowany, a wcześniej, w akcie łaski, uduszony. - Prokonsul rzymski nie

zezwoili na to, by barbarzyńcy naruszali spokój Przyjaciół Narodu Rzymskiego ani tym bardziej, żeby osiedlali się w dogodnym dla siebie miejscu i rośli w siłę. Czyż nie tak, Labienusie?

Labienus spoglądał na swego dowódcę w milczeniu. Cezar znany był w Rzymie ze swego ekstrawaganckiego stroju, licznych afer, długów i sympatii do popularów, dopiero jednak w czasie swego konsulatu dał się poznać jako wyrachowany i cyniczny polityk, który do swoich celów zmierza po trupach. Cezar w zbroi, w wojskowym rynsztunku, z mieczem u pasa, w czerwonym płaszczu, z ogoloną głową w niczym nie przypominał tamtego szeroko uśmiechniętego kandydata w śnieżnobiałej todze ani konsula, który z marszem na czole przedstawiał projekty ustaw agrarnych. Co prawda Labienus znał Cezara z pola walki, bo miał okazję walczyć z nim w Hiszpanii, ale było to krótko przed przekazaniem przez Cezara urzędu. Teraz zaś dziwił się, gdyż Cezar jako wódz okazywał się człowiekiem bezwzględny i niemającym żadnych skrupułów.

Trafił swój na swego – pomyślał Labienus.

- Zamierzasz pozwolić im przejść? – zapytał, chociaż z góry znał odpowiedź.

- Ani myślę – odparł Cezar. - Ale oni niech sądzą, że się nad tym zastanawiam. Nie mamy wojska, muszę tu sprowadzić cztery legiony z Galii Przedalpejskiej. Nie ma rady, trzeba tu zrobić porządek. Jeśli Helweci przejdą, będzie to moja osobista porażka.

Labienus nie wiedział, dlaczego Cezarowi tak bardzo zależało na tym, aby nie pozwolić Helwetom przejść przez ziemie Sekwanów, bo dlaczego nie powinni się przetaczać przez Prowincję, rozumiał: zbyt wielu ich było. Nie miał jednak ochoty wnikać w myśli imperatora i ostatecznie nie po to służył w wojsku, ale po to, by zabijać i walczyć – z naciskiem na to pierwsze.

Cezar kazał przyprowadzić konia i wysłał do posłów emisariuszy, którzy mieli za zadanie oznajmić im, że wódz przybędzie na spotkanie na moście. Mają spotkać się w połowie

drogi, aby noga żadnego z nich nawet nie dotknęła rzymskiego brzegu rzeki. Potem spokojnie wypił kielich grzanego wina, jakby wybierał się na posiedzenie Senatu. W końcu jednak dosiadł konia i w asyście legatów udał się w wyznaczone miejsce na spotkanie z posłami, którymi byli sami wodzowie Helwetów, Namnejusz i Weruklocejusz.

Zsiadł z konia przed mostem, który obstawiony był już legionistami. Szedł przed siebie stanowczym krokiem, choć tysiące myśli kłębiło mu się w głowie, przede wszystkim rozważał, w jaki sposób zdoła ujarzmić tak wielką masę ludności. Jawny sprzeciw i zakaz przemarszu nie pozwoli mu osiągnąć zamierzonego efektu, musiał grać na zwłokę, musiał dać im obietnicę czegoś odległego w czasie, zamiast kategorycznie odmawiać przeprawy w momencie, kiedy sam nie był w najmniejszym stopniu gotowy na zbrojne starcie. Nie dość bowiem, że dysponował tylko jednym legionem, a w Prowincji dopiero co zaczął się pobór (szkolenie rekrutów musiało potrwać zapewne około tygodnia, jak nie lepiej), to jeszcze na dodatek żołnierze przez długi czas nieobecności wodza całkowicie stracili morale, zgnuśniali i zamienili obóz wojskowy w burdel, co się Cezarowi w najmniejszym stopniu nie podobało. Jak tylko zwołał apel następnego ranka po swoim przybyciu, złożył ofiarę Marsowi i oznajmił wszem wobec, co sądzi o takim nieporządku wśród legionistów. Tym, którym się nie podobają jego porządki, dziękuje i zwalnia ich z obowiązku służenia Republice. Niech robią, co chcą, przyszłość ich osądzi, a ich hańba nie zostanie zmyta jeszcze długo, ale on, Cezar, osobiście umywa ręce od karania i daje im wolny wybór. Ci, którzy zostają, mają podporządkować się jego rozkazom, to jest ostatecznie obóz wojskowy, a oni są legionistami Republiki, Rzymu, są w armii, a nie w lupanarze, ich podstawowym obowiązkiem jest służenie ojczyźnie, a nie używanie sobie z ladacznicami, chłanie po namiotach wina zaprawionego mirrą, obżeranie się w kantynie i gra w kości. Taka organizacja wojska dobra jest dla Galów, tych barbarzyńców w spodniach, ale nie dla żołnierza rzymskiego, który powinien nieść chwałę swojej ojczyźnie.

Ani jeden legionista nie odszedł z obozu. Natomiast cały harem w postaci markietanek, prostytutek, handlarzy, pasożytów i wszelkiego rodzaju podejrzanego elementu, w tym galijskich szpiegów w przebraniu miejscowych kupców, został wydalony za bramy obozu i zakwaterowany w odległości dziesięciu kilometrów. Następnego dnia żołnierze czyścili broń, umacniali brzegi rzeki, kopali fosę i ostrzyli pale do palisady. Skończyło się nicnierobienie pod nieobecność wodza. Ale wyglądało na to, że znudzeni bezruchem i zaniepokojeni sytuacją nad Rodanem legioniści zadowoleni byli z takiego obrotu sprawy.

Cesarowi wszystko to przeleciało przez głowę pędem błyskawicy, kiedy szedł na spotkanie galijskich wodzów. Miał ze sobą tłumacza, przy pomocy którego zamierzał porozumieć się z Helwetami. Jakkolwiek bowiem Cezar znał grekę jak swój ojczysty język, tak nie władał narzeczem galijskim. W każdym razie jeszcze nie.

Wodzowie helweccy okazali się ludźmi, którzy swoje najlepsze lata mają już za sobą, ale nie znać tego było po ich zachowaniu i kondycji. Obaj stanęli przed Cezarem w dumnej i niewzruszonej pozie, jakby uważali się za równych prokonsulowi rzymskiemu. Cezar nigdy nie był ogarnięty manią wielkości, ale kpił z ludzi, którzy sami siebie postrzegali jako nie wiadomo kogo i mieli nazbyt rozbudowane ego, toteż z zimnym cynizmem przyglądał się obwieszonym złotymi torkwesami Galom. Odziani byli w strojne tuniki zdobione w wyszukany sposób, skórzane spodnie, nabite srebrnymi ćwiekami pasy i złote torkwesy na szyi. Jeden z nich swoje siwe włosy upięte miał na czubku głowy, drugi nosił dwa grube siwiejące warkocze po obu stronach twarzy.

- Bądź pozdrowiony, imperatorze! - odezwał się starszy, Weruklocejusz. - Przybyliśmy prosić cię, abyś zechciał pozwolić naszym ludziom przejść na drugą stronę rzeki przez waszą prowincję. Udajemy się na zachód i nie będziemy zatrzymywać się w waszych granicach.

Tłumacz przełożył jego słowa na łacinę, chociaż Cezar domyślił się, o co chodzi Helwetom. Był wysoki, jednak ci dwaj

przewyższali go o dobre pół głowy. *Jeśli oni wszyscy są tacy wielcy, to jakże się z nimi mierzyć?* – zastanawiał się w duchu.

– Dlaczego chcecie przejść? – zapytał. – Macie swoją ziemię i nie potrzebujecie przemieszczać się w poszukiwaniu innej. Zakłóćcie spokój innych plemion.

Kiedy mówił, patrzył im w oczy, raz jednemu, raz drugiemu, i dosłownie przykuwał swoim wzrokiem ich spojrzenia. Opanował tę sztukę do perfekcji jeszcze w Rzymie.

– Nasza ziemia nam nie wystarcza – odparł Namnejusz. – Ograniczeni jesteśmy siłami natury i nie możemy się rozwijać jak pozostałe plemiona.

– Dokąd chcecie iść?

– Chcemy udać się nad ocean, na ziemię Santonów, którzy użyczą nam schronienia – odparł Weruklocejusz.

– Ach tak – mruknął Cezar. – Doszły mnie jednak słuchy, że chcecie iść na ziemię Akwitanów. Gdzie więc się wybieracie i dlaczego sądzicie, że w razie mojej odmowy przejścia udzielą wam Sekwanowie?

Zdumienie na twarzach wodzów było wyraźne. Nie spodziewali się, że Cezar będzie do tego stopnia zorientowany w ich poczynaniach. Faktycznie bowiem Orgetoryks pierwotnie miał zamiar wyprowadzić Helwetów na dziedziny Akwitanów, które również znajdowały się w pobliżu Atlantyku. Po jego śmierci zmodyfikowano jednak nieco plany i postanowiono udać się do kraju Santonów. O tym, że Helweci zamierzali zająć go ogniem i mieczem, żaden z wodzów naturalnie nie wspomniał.

Cezar jednak był zbyt wytrawnym politykiem i niejedno w Rzymie widział, by dać się zwieść pięknym słówkom. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak będzie wyglądać owo udzielanie gościnności. W zasadzie Helweci gdzieś na zachodzie nie stanowiliby problemu, ale sam fakt, że ich w porę nie ujarzmił, nie przysporzyłby mu w Rzymie sławy. Poza tym ich przemarsz był znakomitym pretekstem do wmieszania się rzymskiego prokonsula w sprawy galijskie. Jeżeli Cezar potrzebował takiego znaku od losu, to właśnie go otrzymał, i gdyby wierzył w bogów, uznałby, że to sama

Wenus zsyła mu tego rodzaju okazję. Cezar wszak w bogów nie wierzył i uwierzyć nie zamierzał, ale szansę należało tak czy owak wykorzystać.

- Jeżeli nie pozwolę wam przejść, udacie się do Sekwanów i tamtędy przedostaniecie się na ziemie Santonów - skonstatował Cezar. - Jeżeli zaś pozwolę wam przemaszerować przez naszą Prowincję, czy obiecacie, że dotrzymacie warunków ewentualnego pokoju i nie naruszyacie granic naszych sprzymierzeńców?

Cezar spodziewał się, że Helweci i Sekwanowie zawarli jakiś sojusz, ale nie był jeszcze zorientowany, w czym rzecz. Nie otrzymał jeszcze w tej sprawie informacji od żadnego ze swoich szpiegów, w tym także od najbardziej oddanego sprawie rzymskiej Dywicjaka z plemienia Eduów. Z drugiej jednak strony nie przypuszczał, by tego rodzaju przemarsz przebiegał całkowicie bezkonfliktowo. Znalazł się w dość skomplikowanej sytuacji, w której każda decyzja równała się wybuchowi konfliktu, jeśli nie od razu, to po jakimś czasie. Nie miał żadnej gwarancji, że raz wpuszczone na terytorium Rzymian wojsko nie zrównoważonych Galów - bo tak o Helwetach myślał - nie urządzi sobie przy okazji napadu na osłabiony rzymski legion. Należało wtedy liczyć się z tym, że zamieszkujący Prowincję Galowie nie staną bynajmniej po stronie swoich okupantów, ale przyłączą się do ogólnej rzezi. Nie miał ochoty przejść do historii jako prokonsul, który okrył siebie i całą rzymską armię hańbą z powodu jednej nieprzemyślanej decyzji.

Z drugiej strony jeśli Helweci zawrócili i przeszli przez terytorium Sekwanów, to znowu nie miał gwarancji, że przemaszerują w spokoju i że nie będą ich kusić dobra innych plemion. W takiej sytuacji rychło doszłoby do zamieszek. Gdyby zaś Helweci i Sekwanowie doszli jakimś cudem do wniosku, że warto połączyć siły i ruszyć na Prowincję, odbijając ją z rąk Rzymian, to by dopiero była klęska niemająca sobie równych.

Cezar jednak pozbawiony był wojska. Tym samym, podejmując otwarcie jednoznaczną decyzję, skazywał się de facto na śmierć. A na to też nie miał ochoty.

- Nie udzielę wam dzisiaj odpowiedzi - odezwał się

wreszcie, udając, że głęboko się namyśla. – Nie mogę na własną rękę decydować o takich sprawach i muszę porozumieć się z Senatem. Przybądźcie za dziesięć dni w nony kwietniowe, wówczas zdecyduję, czy pozwolę wam przeprować się przez Prowincję. Jeśli to jednak uczynię, chcę mieć od was gwarancję, że nie naruszyacie pokoju panującego między Rzymianami a Helwetami.

Dwaj helweccy wodzowie energicznie kiwali głowami i wykrzykiwali słowa podziękowania, licząc na to, że za dziesięć dni Cezar przychyli się do ich prośby. Nie chcieli grabić i plądrować, tylko jak najszybciej przejść na upragnione terytoria, ale ani Namnejusz, ani Weruklocejusz nie mogli gwarantować własną głową, że żaden z pomniejszych naczelników nie wyda takiego rozkazu swoim oddziałom. Dla pozoru więc już teraz dali zapewnienia, zawzięcie zarzekali się jeden przez drugiego, ale prokonsul udawał jedynie, że bierze to za dobrą monetę, po wyrazie ich twarzy poznał bowiem, że liczy się dla nich jedynie możliwość przejścia dalej.

Kiedy posłowie odeszli, a on sam znalazł się już na końskim grzbiecie, zdecydował, że należy na poważnie zabrać się do umacniania fortyfikacji i zakończyć czym prędzej pobór do armii. Skoro nie zamierzał pozwolić Helwetom na przejście przez Prowincję, musiał ponieść tego konsekwencje, ale tak naprawdę Cezar wyglądał owych konsekwencji z niecierpliwością żołnierza szykującego się do bitwy.

Gdy wszedł do swego namiotu, na stole czekał na niego list z Rzymu. Cezar machinalnie wziął zwój do ręki i kiedy stwierdził, że to wiadomość od Kalpurni, na jego ustach pojawił się uśmiech. Znał już jej sposób zwijania listu i pieczętowania go. Zwój przewiązany był kawałkiem ozdobnego sznurka, a w środku zatknięta była gałązka lawendy. Kalpurnia miała zwyczaj wkładania ususzonych płatków lawendy do skrzyń, w których przechowywała ubranie, bo wówczas ładnie ono pachniało. Sama też pachniała lawendą i olejkiem piżmowym. Cezar nie oszczędzał na swojej żonie i sprowadzał dla niej najlepsze balsamy i olejki z dalekich Indii, ale Kalpurnia używała ich tylko

wówczas, gdy on wykazywał chęć udania się z nią do łoża. Zapach lawendy zaś, zioła sprowadzanego z Etrurii i uprawianego również w Galii, a stamtąd przywożonego na galijskich wozach, kojarzył się Cezarowi nieomylnie z Kalpurnią.

Nie widział swojej żony od dwóch tygodni, ale nie miał czasu o niej myśleć, gdyż jego umysł zaprzętały poważniejsze sprawy. Ze zdumieniem skonstatował, że za nią tęskni i że brakuje mu jej głosu, śmiechu i obecności. Po śmierci Kornelii myślał, że nigdy już nie pokocha kobiety, i rzeczywiście jego uczucie do Kalpurni nie umywało się do tego, jakie ongiś żywił do pierwszej żony. Jego erotyczna fascynacja Serwilią również nie miała nic wspólnego z miłością do Kornelii. A jednak na swój dziwny sposób kochał Kalpurnię, jakkolwiek było to bardziej uczucie głębokiego przywiązania i przyjaźni, aniżeli gwałtownej miłości, jaką przeżywa się w młodych latach.

Może jednak to było lepsze. Sam nie umiał tego ocenić.

Stwardniałymi od miecza rękami dotykał zwoju, który Kalpurnia starannie zapisała równym, drobnym pismem. Nie używała do pisania listów tabliczek woskowych, chociaż były one wygodniejsze w użyciu. Widocznie chciała przekazać coś więcej niż tylko pozdrowienia. Było to zdaniem Cezara wzruszające, bo z reguły Rzymianki ograniczały się do zdawkowych tradycyjnych życzeń zdrowia i pozdrowień.

Drogi mężu, jeśli jesteś zdrowy, to dobrze, ja jestem zdrowa – pisała Kalpurnia. Cezar uśmiechnął się. Cóż, wstęp był konwencjonalny. – *Po twoim wyjeździe sprawy w Rzymie wielce się skomplikowały. Nie jestem pewna, czy wolno mi o tym pisać, bo obawiam się szpiegów oraz tego, że mój list mógłby wpaść w niepowołane ręce. Dopóki jednak nie mam od ciebie informacji, że jesteś w niebezpieczeństwie, ufam, że mogę korespondować z tobą bez przeszkód.*

W Rzymie władzę po cichu sprawuje Pompejusz wraz z Krassusem i wyobraź sobie, że postanowili oni, jak przypuszczam, usunąć w cień Cyncerona, a posłużyli się do tego nie kim innym jak Klodiuszem, który jest jego najzacieklejszym wrogiem. Otóż Klodiusz jako trybun ludowy wytoczył

Cyceronowi proces o nadużycie władzy konsula podczas procesu Katyliny i zarzucił mu, że bezprawnie skazał na śmierć obywateli rzymskich. Zgromadzeniu ludowemu przedstawił jednocześnie ustawę grożącą wygnaniem wszystkim, którzy w ten sposób zgwałcili podstawowe przywileje obywateli rzymskich. Ustawa przeszła już podczas twojej nieobecności w mieście, chociaż Cyceron, jak to ma w zwyczaju, kompletnie się załamał i ze łzami w oczach błagał i prosił, by go oszczędzono. Używał wielu wzniosłych słów, ale jego mowa tym razem na nikim nie wywarła wrażenia, a Senat, który tak go wynosił w dniach jego chwały, teraz, kiedy ustawa została uchwalona, milczał jak grób.

Sądzę, że Terencja nie jest z tego powodu szczęśliwa. Po pierwsze dlatego, że zostaje w takim układzie sama: i bez męża, i nawet bez obrony szwagra, który jest przecież u twojego boku. A po drugie dlatego, że majątek jej męża został skonfiskowany przez Senat. Cyceron, chcąc nie chcąc, udał się na wygnanie do Macedonii. wiesz sam, że od wielu lat w Grecji mieszka jego przyjaciel Attyk, zatem nasz wielki mówca nie ucierpi zbytnio. Ale Klodiusz posunął się znacznie dalej, moim zdaniem dokonał czynu niegodnego rzymskiego obywatela, to jest zrównał z ziemią dom Cycerona na Palatynie. Terencja musiała wynieść się szybciej, niżby chciała, i Cyceron mógł się tylko pocieszać, że jego córka zdążyła wyjść za mąż, a syn pozostał z matką. Oczywiście Pompejusz i Krassus okazywali wygnańcowi współczucie, ale żaden z nich nie wstawił się za Cyceronem, żaden też nie przywołał Klodiusza do porządku. Ten człowiek na coraz więcej sobie pozwala i coraz śmielej sobie poczyna. Myślę, że któregoś dnia marnie skończy.

Mnie osobiście żal jest Cycerona, który jakkolwiek jest głupcem i człowiekiem zadufanym w sobie, to jednak działał zgodnie ze swoim sumieniem i we własnym mniemaniu na korzyść Republiki. Klodiusz zaś to zwykły bandyta, skoro w taki sposób traktuje senatora, byłego konsula i obywatela rzymskiego.

Wiem, że jako kobieta nie mam prawa doradzać ci ani wtrącać się w twoje sprawy, tym razem jednak pozwolę sobie

na drobną uwagę. Cezarze, bądź czujny, jeśli chodzi o Pompejusza. Ten człowiek dostał od ciebie to, czego pragnął, i w tej chwili wasze drogi rozeszły się, a pozostały tylko więzy krwi. On pragnie sławy i poklasku, każdy twój triumf będzie mu tak naprawdę cierniem w oku. Nigdy nie był twoim prawdziwym przyjacielem, a jedynie chwilowym sprzymierzeńcem. Piszę ci to, ponieważ cię szczerze kocham i pragnę cieszyć się twoją obecnością przy mnie jeszcze przez długie lata. Oczekuję twojego listu, jeżeli tylko czas pozwoli ci go napisać.

Bądź zdrów. Żegnaj.

Cezar w zamyśleniu gładził chropowaty papirus. Kalpurnia otwarcie pisała o tym, o czym jego poplecznicy i klienci napisać mu nie chcieli. Nie otrzymał listu od Pompejusza ani od Krassusa, a przecież widział w Rzymie początek popisów Klodiusza i podejrzewał, że tak to się właśnie skończy. Co prawda Cynceron wszem wobec krzyczał, że będzie dążył do unieważnienia ustaw Cezara, ale ten ostatni wcale w to nie wierzył, gdyż Cynceron był krzykaczem i mówcą, ale nie działał wtedy, kiedy trzeba było, bojąc się o własne dobro. Stał się po prostu niewygodny dla Pompejusza, a także dla Cezara, po którego stronie na razie jeszcze Pompejusz trwał. Cezar musiał skoncentrować się teraz na swoich sprawach, ale stwierdził, że na przyszłość trzeba będzie opracować plan awaryjny, polegający na zacieśnieniu więzi między ich trójką. To wyjdzie im tylko na dobre. Skoro jednak Katon znajdował się na Cyprze i odbierał tam trybut od Ptolemeusza Auletesa, a Cynceron jak niepyszny udał się do Macedonii, sytuacja w Rzymie była względnie stabilna. Tak przynajmniej sądził Cezar. Mimo to nie podobały mu się rozpasanie i ewidentna samowola Klodiusza, który nie miał prawa - czy właśnie niestety miał - wysłać na wygnanie byłego konsula. Cezar myślał z przekąsem, że jeszcze trochę, a w Rzymie wprowadzą demokrację ateńską i będą sądem skorupkowym wysłać na wygnanie niewygodnych obywateli.

Postanowił odpisać Kalpurni jeszcze tego samego dnia. Kazał przynieść sobie tabliczkę, nie chciał bowiem zbyt się

rozpisywać.

Droga żono, jeśli jesteś zdrowa, to dobrze, ja jestem zdrowy. Znalazłem się w dość trudnej sytuacji i muszę działać szybko i precyzyjnie. Helweci chcą przejść przez naszą Prowincję, na co jako prokonsul w żadnym przypadku nie mogę wyrazić zgody. Dziękuję ci za list i za cenne informacje. Nie musisz przeproszać mnie za nic, jesteś moją żoną, moim przyjacielem i masz prawo doradzać mi i udzielać wskazówek. Ufam, że w domu wszyscy mają się dobrze. Miej baczenie na Atię i na Julię, ponieważ teraz to ty jesteś głową rodziny i do ciebie należą decyzje. Daję ci niniejszym moje pisemne upoważnienie do działania w naszych sprawach całkowicie wedle twego upodobania i osądu, o ile nie doprowadzi to do poważnych szkód i strat. Ufam ci, moja Kalpurnio. Pamiętaj, że twój ojciec pełni godność konsula, nie pozostajesz więc bez opieki. Kiedy zakończę kampanię w Galii i udam się na leże zimowe, dam ci znać i pošlę po ciebie, jeśli okoliczności pozwolą, abyśmy mogli się spotkać. Co do Pompejusza, masz rację, wiem, jakim jest człowiekiem, i liczę się z tym, że jego podejście może się szybko i łatwo zmienić. Co do Cyclerona, nie wiem, co o tym myśleć, gdyż żał mi go, ale jednocześnie z ulgą dowiaduję się o jego nieobecności w Rzymie w czasie, kiedy ja sam pozostaję z dala od Italii. Bacz na wszystko, co się dzieje w mieście, ponieważ moim ludziom nie mogę całkowicie ufać, twoim słowom zaś wierzę. Bądź zdrowa i pisz. Jeżeli tylko będę mógł, odpiszę ci natychmiast. Żegnaj.

PS Ja ciebie też szczerze kocham, Kalpurnio.

Sam nie wiedział, dlaczego dopisał to ostatnie zdanie, ale kiedy to uczynił i zapieczętował list, poczuł wewnętrzny spokój. Miał wrażenie, że pisząc do Kalpurni proste słowa, znalazł się na chwilę z dala od zamętu wojny i że ona zaraz wyjdzie ze swojego cubiculum odziana w lekką suknię, pod którą będą rysować się jej kształty. Że będzie na wyciągnięcie ręki, ciepła i miękka, pachnąca i czysta. Pomyślał o obozowych markietankach i o ladacznicach, które kazał odprawić z obozu, i doszedł do wniosku, że zada się z nimi dopiero, kiedy naprawdę będzie mu już doskwierał brak kobiety.

W porównaniu z Kalpurnią czy Serwilią wydały mu się one brudne i ohydne. Cezar nie miał w zwyczaju sypiać z niewolnicami, nawet jeśli był wybitnie wyposzczony. Z pogardą pomyślał o Katonie, który tak przeklinał wszystko, co związane z cielesnością i miłością, a sam nie stronił od ulicznic i niewolnic. On wołał arystokratki.

Wrócił myślami do Helwetów. Tak, dał im zadowolającą odpowiedź. Musi mieć czas do namysłu, dobre sobie. Ten czas, do ostatniej chwili, zamierzał wykorzystać na wznoszenie umocnień, naprawę istniejących fortyfikacji, a przede wszystkim na zniszczenie pod osłoną nocy mostu na Rodanie, by żaden celtycki wojownik nie przeszedł suchą stopą na drugi brzeg rzeki. W ten sposób utrudni im ewentualny przemarsz, wiedział jednak już teraz, że Helweci są zbyt zdeterminowani, by po prostu zawrócić na swoje zgliszcza. Gdyby nie posunęli się tak daleko w swoich planach i nie spalili wsi i miast, może łatwiej przyjęliby do wiadomości porażkę, ale ponieważ istotnie nie mieli do czego wracać, ich determinacja była naprawdę ogromna, a chęć ruszenia na zachód, na ziemie Santonów, niezmienna. To, że Cezar ich rozumiał, nie oznaczało bynajmniej, że ma zamiar im pobłażać i przepuścić ich dalej.

Gdy skończył pisać list, oddał go gońcowi z poleceniem niezwłocznego dostarczenia do adresatki, po czym kazał zawołać Labienusa, z którym chciał omówić plan działania na następne dni. W międzyczasie wyszedł na chłodne kwietniowe powietrze i odetchnął głęboko. Tęsknił za Kalpurnią, ale to nie ona obserwowała go z zaświatów. Wiedział, że właśnie nadszedł czas, kiedy może dokonać czynów godnych obserwacji i oceny. Gdy dostrzegł zmierzającego ku niemu Labienusa, cofnął się i wszedł do namiotu, by nikt niepożądany nie mógł usłyszeć ich rozmowy.

Należało działać szybko i zdecydowanie, a to akurat Cezar potrafił doskonale.

Tak jak przypuszczał, Helweci przyszli dokładnie w nony kwietniowe, aby otrzymać od Cezara odpowiedź odnośnie

do pozwolenia na przejście przez Prowincję. Przez cały czas oczekiwania Cezar codziennie doglądał, jak przebiegają naprawy umocnień, stawianie nowych, kopanie rowów i fos, a nawet pogłębianie koryta rzeki. Wszystkie te czynności wykonywali legioniści w pełnym uzbrojeniu, wolno im było jedynie odrzucić tarcze, aby w razie niespodziewanego ataku mogli czym prędzej zacząć się bronić. Jednocześnie Cezar czuwał nad przebiegiem zaciągu i z własnych zasobów pieniężnych, bez zgody Senatu i jak na razie w tajemnicy przed nim, utworzył nowy legion z mężczyzn zamieszkujących nie tylko Prowincję, ale również kraj Allobrogów. Byli to zromanizowani Celtowie, którzy pod wpływem zachęt lub gróźb zgodzili się przyjąć rzymski sposób życia, obciąć długie galijskie włosy, zgolić zarost i przywdziać togi. Ci Galowie cieszyli się niczym nieograniczonym dostępem do handlu z Rzymem, przy czym prokonsul zarządzający Prowincją nie zdierał ani jednego asa więcej, niż przewidywało prawo. Cezar mógł być więc zadowolony z przebiegu swojego prokonsulatu, przynajmniej jeżeli chodzi o przygotowanie do starcia, które w jego opinii było nieuniknione, a jego rozpoczęcie było jedynie kwestią czasu.

Umacnianie fortyfikacji oraz wznoszenie wałów obronnych na trzydziestokilometrowym odcinku wzdłuż brzegów Rodanu odbywało się za dnia, tak że przybywający na drugi brzeg Helweci mogli to widzieć. Cezar wiedział jednak z doświadczenia, że o wiele bardziej niepokojące byłyby nocne manewry, natomiast widok wojska, które umacnia brzegi w pobliżu swego obozu i robi to za dnia, nie wydawał się nikomu niczym nadzwyczajnym. Kiedy ci sami posłowie, którzy przybyli przed dziesięcioma dniami, przyszedli do Cezara, ten nie był już bezbronnym, postawionym wobec zagrożenia ze strony nieokiełznanymi Helwetów urzędnikiem, ale przygotowanym wodzem, który dysponował dwukrotnie większą liczbą wojsk niż w momencie swego przybycia do Prowincji.

Cezar doskonale wiedział, że jego odmowna odpowiedź rozpęta piekło, ale tego właśnie teraz pragnął. Dlatego kiedy Namnejusz i Weruklocejusz stawili się przed jego obliczem

w wyznaczonym dniu, oświadczył im, że nie udziela pozwolenia na przejście przez rzymską Prowincję.

- Zgodnie ze zwyczajem i tradycją ludu rzymskiego nikomu nie mogę dać pozwolenia na przejście przez Prowincję - oznajmił wyprutym z wszelkich uczuć tonem zimnego na wskroś rzymskiego urzędnika. - A gdybyście spróbowali mimo to przedostać się na drugi brzeg, wojsko rzymskie wam w tym przeszkodzi.

Bez mrugnięcia okiem, twardo spoglądał w przerażone i zdumione twarze posłów, którzy usiłowali jeszcze negocjować. Ich żal, złość i konsternacja nie zrobiły jednak na nim najmniejszego wrażenia. Kiedy odeszli, zdał sobie sprawę, że właśnie rozpętał wojnę, ale dbał o to nie więcej niż o popołudniową debatę w Senacie. Nie był głupcem i wiedział, że taka masa ludzi jest zbyt zdeterminowana, by w tym momencie odpuścić i zawrócić do spalonych wsi i miast. Wiedział, że będą za wszelką cenę usiłowali iść dalej, będą przec na zachód i że najpóźniej nazajutrz będą próbowali przekroczyć Rodan. Był na to przygotowany, legionieści obsadzili lewy brzeg rzeki, umocnienia ciągnęły się na odległość dziewiętnastu tysięcy kroków, więc Helweci nie mieli najmniejszych szans powodzenia.

Pomyślał o zastępach kobiet, dzieci i starców, którzy w obecnej sytuacji zmuszeni będą do niesłychanych cierpień i wyrzeczeń, jak to zwykle ma miejsce w czasie wojny. Ze zdumieniem skonstatował jednak, że niewiele go to obchodzi i że teraz najważniejsze jest zawrócenie całej tej bandy Galów na wschód i niedopuszczenie, aby jego prestiż wodza narażony był na najmniejszy uszczerbek.

Czyżbym tak zobojętniał i zdziczał? - pomyślał, udając się do swojego namiotu.

Nawet to jednak nie było w stanie go przerazić.

Gdy przed jego obliczem zjawił się Tytus Labienus, Cezar miał dla niego gotową instrukcję.

- Przygotować żołnierzy na podejmowanie przez Helwetów prób przeprawy na drugi brzeg - powiedział beznamiętnym, rzeczowym tonem. - Zawracać wszystkich, mężczyzn zabijać,

kobiety i dzieci zmuszać do powrotu. Nie brać na razie jeńców.

Labienus uśmiechnął się swoim wyrażającym okrucieństwo uśmiechem. On był gotów do działania i chętny do podejmowania trudów wojennych. Z niecierpliwością czekał, żeby oddziały zdesperowanych Helwetów zaczęły przekraczać Rodan. Nie musiał czekać długo.

IX

Niezliczone grupki Helwetów usiłowały przedostać się na drugi brzeg jeszcze tej nocy, która nastąpiła bezpośrednio po dniu, kiedy zrozpaczeni posłowie przynieśli swoim odpowiedź Cezara. Labienus tylko na to czekał i gdy pierwsza grupka ruszyła pod osłoną nocy, natychmiast rozkazał drugiej kohorcie ostrzelać ją pociskami. Cezar nie spał, siedział na końskim grzbiecie, bo z takiej pozycji miał lepszy widok na to, co działo się nocą. Co raz padały komendy „Pilae!”, słychać było okrzyki Helwetów, najpewniej przekleństwa padające z ich ust, po czym niewielka grupka wycofywała się na prawy brzeg rzeki.

Taka sytuacja utrzymywała się przez następnych kilka dni. Cezar miał wśród Galów swoich szpiegów, którzy donosili mu o poczynaniach helweckich wodzów. Allobrogowie służący w jego wojsku jako świeżo zwerbowani legionści bez trudu przenikali nocą do obozu Helwetów i dowiadywali się, jakie tamci mają plany. A mieli je bardzo ambitne, skoro bowiem zabroniono im przejścia przez dogodny południowy szlak, postanowili porozumieć się z Sekwanami i przejść przez ich ziemie.

Tak oto Cezar dowiedział się, że wódz Sekwanów Kastykus związany był z nieżyjącym Orgetoryksem i że zamierza on wywiązać się z raz danego słowa i udzielić wsparcia koczującemu pod gołym niebem Helwetom.

- Nic z tego - mruzczał Cezar pod nosem, przygotowując jednocześnie swój plan awaryjny, nad którym tak naprawdę myślał intensywnie już od jakiegoś czasu, nie podobała mu się bowiem cisza wśród helweckich taborów.

Helweci na łodziach i tratwach usiłowali przekroczyć teraz Rodan za dnia i nocą, jako że kwiecień mijał, zbliżał się maj,

a do zniw pozostawało jeszcze dużo czasu, im zaś powoli kończyły się zapasy, obliczone na początku marca na trzy miesiące wędrówki. Oto mijał drugi miesiąc, spędzany beczynnym na brzegu rzeki, podczas gdy należało wykarmić kobiety, dzieci i starców, a z powodu zagrożenia, jakie stanowiło wojsko rzymskie, choćby nawet i dwa marne legiony (w dodatku o niepełnym składzie), mężczyźni woleli nie ryzykować ewentualnego polowania na grubego zwierza w okolicznych lasach. Zapuszczenie się w gęstwinę równało się wystawieniu na pewny atak ze strony Rzymian. To się zaś Helwetom nie uśmiechało.

Jednak któregoś dnia pod koniec kwietnia Cezar z ponurą satysfakcją ujrzał tabory helweckie szykujące się do odejścia. Wezwał swego szpiega z plemienia Allobrogów, aby objaśnił mu zaistniałą sytuację, chociaż sam doskonale rozumiał, co się dzieje.

- Otrzymali od Kastykusa odpowiedź, że wolno im będzie przejść przez ziemie Sekwanów i osiąść na ziemiach Santonów - wyjaśnił szpieg. - Dlatego będą szli przez wąwóz, co zajmie im dwa razy tyle czasu, ale kiedy już przejdą, znajdą się na równinach, na gościnnym terenie.

Cezar pokiwał głową i spojrział na naprędce przygotowaną mapę.

- Którędy chcą się przedostać na ziemie Sekwanów? - zapytał, choć znał odpowiedź, jako że istniała tylko jedna droga.

- Tędy - wskazał szpieg.

- Tak myślałem - mruknął Cezar.

Szlak był niezwykle wąski i ryzykowny, jako że droga prowadziła głębokim wąwozem, gdzie mogły przejść tylko pojedyncze wozy, a i to z trudem. Tą drogą pierwotnie zamierzali przejść Helweci w przypadku, gdyby Rzymianie nie wyrazili zgody na przejście przez północny kraniec ich Prowincji. Niebezpieczny trakt wymagał od Helwetów nieludzkiej siły i cierpliwości, tym bardziej że strome, gładkie ściany nie dawały żadnej obrony przed ewentualnym atakiem wroga, jeśliby ten ustawił wojsko nad wąwozem. W dole wiała się wstęga rzeki, którą musieliby przekroczyć. Tak czy inaczej

droga ta zajęłaby im wiele dni, o ile nie tygodni, przy takiej liczbie wozów, zwierząt, dzieci, kobiet i starców samo bowiem dojsie od Jeziora Lemańskiego do wąwozu było szalenie męczącym przedsięwzięciem.

Cezar jednak był zadowolony, bo tym samym on zyskiwał na czasie. Szybko obliczył, ile by go potrzebował na błyskawiczny manewr, jakim byłoby ściągnięcie pozostałych legionów do Prowincji. Istniało niebezpieczeństwo, że dopiero co ujarzmeni Allobrogowie, którzy doprawdy nie mieli powodów, by kochać swych okupantów, przejdą nieoczekiwanie na stronę Helwetów. Tak więc Cezar w związku ze swoimi obawami postanowił przekupić żołnierzy obietnicą podwojenia żołdu i bogatych łupów wojennych.

Pozostawało mu przemówić do żołnierzy i wyjaśnić im, dlaczego przekroczenie przez Helwetów granicy z ziemiami Sekwanów uważa za naruszenie pokoju z narodem rzymskim. Dlatego jeszcze tego samego popołudnia zorganizował apel i wygłosił mowę do swego wojska, które po wielomiesięcznym tkwieniu w jednym miejscu bądź co bądź z pewną dozą niecierpliwości wyglądało wszczęcia walk. Wyjaśnił im, jak niebezpieczne z punktu widzenia Republiki będzie osiedlenie się Helwetów w żyznym kraju Santonów.

- Te ziemie sąsiadują z ziemiami Tolosatów, a ci graniczą bezpośrednio z naszą Prowincją - mówił. - Prowincja zaś, jak sami dobrze wiecie, jest krajem bogatym w zboże i naturalne bogactwa, z których utrzymuje się nasza Republika. Nie możemy pozwolić, aby banda dzikich Galów, wrogo nastawionych do Narodu Rzymskiego i do naszych legionów, stacjonowała sobie w tak bliskiej odległości od naszej ziemi! Jeżeli trzysta tysięcy żądnych mordy Helwetów zdominuje słabych Santonów, zasymiluje ich, a potem przekona Tolosatów do swojej sprawy, to za dwa lata możecie się spodziewać ataku na nasze ziemie. Wtedy do powstania przyłączą się Allobrogowie i wypędzą nas gdzie pieprz rośnie. Z północy uderzą na nas Sekwanowie, a kto wie, czy inne bandyckie plemiona nie pójda w ich ślady. Zapewniam was, że Senat palcem nie kiwnie w naszej obronie do momentu, w którym nie

będzie za późno! Dlatego już teraz należy zmobilizować siły i odepchnąć tych warcholów tam, gdzie ich miejsce, tam, skąd przyszli, w swej dumie i bucie ufając, że mogą się bezkarnie sprzeciwiać postanowieniu rzymskiego prokonsula. Oni w dupie mają rzymską armię, uważając ją za oddziały słabeuszy i nieudaczników!

Wśród legionistów podniósł się szmer. Po twarzy Cezara przemknął niemal niedostrzegalny uśmiezek. Doskonale wiedział, jakich słów użyć, by zaboląło. Legioniści rzymscy byli niezwykle wyczuleni na punkcie swojego honoru i swojej waleczności i nikt nie miał prawa sądzić, że jest inaczej, a już zwłaszcza jacyś obdarci barbarzyńcy z północy, którzy noszą spodnie i długie włosy niczym kobiety.

- Dlatego uznałem, że dla dobra naszego, dla dobra Republiki i dla dobra Prowincji, której granic z narażeniem życia bronimy, trzeba nam uczynić wszystko, aby nie dopuścić do owego przemarszu i aby nasze dobre imię i honor nie zostały zbrukane. Udam się zatem do Italii, aby zwerbować siły pomocnicze, i powrócę za dwa tygodnie z nowymi legionami, po czym stawimy czoła Helwetom, zawrócimy ich z powrotem na ich ziemie i zaprowadzimy tu porządek, by na zawsze nauczyli się oni, że nie należy lekceważyć ani rzymskiego prokonsula, ani dzielnych rzymskich legionów!

Legioniści odpowiedzieli okrzykiem.

- Zostawiam was pod dowództwem legata Labienusa - ciągnął Cezar. - I czynię to bez obaw, bo wiem, że gdy wrócę z posiłkami, wy będziecie na stanowiskach i nie dacie nam powodu do hańby. Czy mogę na was liczyć, żołnierze?

Nad obozem rozległo się chóralne, gromkie „TAK”. Żołnierze zatrzęśli mieczami, tłukąc nimi o drewniane tarcze z takim impetem, że odgłos ten poniósł się echem aż do obozu Helwetów. Cezar był zadowolony. Na tym etapie wszystko szło zgodnie z jego zamierzeniami. Zakończył apel i udał się do swego namiotu, by jeszcze raz przestudiować mapy i zdecydować, którą drogą najszybciej dostanie się do Galii Przedalpejskiej, która znajdowała się w zasięgu jego jurysdykcji. Wiedział, że tym razem czasu ma dość sporo, ale

mimo to uważał, że należy się spieszyć, aby zaskoczyć przeciwnika w najmniej oczekiwanym przez niego momencie.

Od tego zależy moja dalsza kariera wojskowa – myślał Cezar, kiedy w początkach maja zmierzał ku Galii Przedalpejskiej, gdzie stacjonowały cztery jego legiony. Jeżeli teraz nie podołam obowiązkowi i pozwolę Helwetom przejąć kontrolę, będę skończony. Te mądrale z Senatu dopiero będą miały używanie. Sępy, które tylko patrzą, komu oprócz nich samych powinie się noga. Tak naprawdę sprawa Helwetów i ich przejścia do Sekwanów czy nawet do samej Brytanii, o ile tego zapragną, jest mi obojętna, ale niech mnie Furie rozszarpią, jeśli pozwolę, by dobre imię Cezara zostało zszargane przez takie drobne niepowodzenie, jakim byłoby to.

Zmierzał do Akwilei, gdzie znajdowały się cztery legiony, które tam pozostawił celem przygotowania do ewentualnej wojny z Burebistą, królem Ilirii. Wprawdzie obierając Galie Zaalpejską jako swą prowincję, Cezar liczył się z tym, że może się tam kotłować i że właśnie za Alpami przyjdzie mu toczyć boje, jednakowoż był przygotowany na plan awaryjny, polegający na wywołaniu wojny z Burebistą i zdobyciu najpierw Ilirii. Teraz wszakże, w obliczu sprawy z Helwetami, musiał odroczyć swe dalekosiężne plany i zająć się bezpieczeństwem Prowincji, a potem dać popalić krnąbrnym Helwetom.

Nikomnie wolno sprzeciwiać się Rzymowi. Znakomicie zagrał tym stwierdzeniem na uczuciach swych legionistów. Dopiero się wzięli do przygotowywania do ataku zbrojnego. Kiedy wyjeżdżał przed trzema dniami i zostawiał dwa legiony pod dowództwem Labienusa, legionieści zajęci byli czyszczeniem broni i ostrzeniem mieczy. Bardzo dobrze. Niech się przygotowują, bo on, Cezar, miał zamiar uwinąć się w Galii Przedalpejskiej i czym prędzej wracać do Prowincji.

Na miejscu zwerbował z leż zimowych trzy legiony, czwarty był w pogotowiu, piąty natomiast znajdował się po drugiej stronie Alp. Cezarowi spieszyło się. Wiedział, że skoro Helweci raz postanowili ruszyć, on nie ma na co czekać, tylko jak najszybciej musi wracać na ziemie Allobrogów. Poświęcił jednak

cały dzień na obejrzenie leż zimowych, przygotowanie prowiantu na drogę, wydanie rozkazów i napisanie listów do domu. Powiadomił Pompejusza, że Prowincja jest w niebezpieczeństwie, dlatego też on bez zgody Senatu, na którą nie ma czasu czekać, na własną rękę organizuje dwa legiony, trzy zaś zabiera ze sobą na wojnę. Liczył na to, że zanim list dotrze do Rzymu, on sam będzie już dawno znajdował się w kraju Allobrogów.

Osobiste przybycie wodza po legiony miało przede wszystkim charakter psychologiczny. Gdyby Cezar wysłał do Akwilei Labienusa, istniałoby ryzyko, że legiony się zbuntują. Ostatecznie nie było im źle na zimowych leżach i żołnierze niekoniecznie musieli tęsknić za brzękiem stali. O Celtach krążyły wśród rzymskich legionistów niestworzone historie, większość nieprawdziwa i wyssana z palca, wszelako powtarzane z ust do ust krążyły w armii, a z każdym dopowiedzianym wątkiem stawały się coraz bardziej niewiarygodne. Opowiadano, że Galowie walczą nago, co akurat było prawdą, że są odporni na pociski, że stal się ich nie ima, że piją krew z czaszek swych pokonanych wrogów, zjadają ciała dzieci, że całymi miesiącami potrafią obywać się bez snu i jedzenia, że są olbrzymami, których nie sposób pokonać. Cezar, widząc na własne oczy wysłanników Helwetów, mógł się przekonać, że Galowie, owszem, są niewiarygodnie wysocy i potężnie zbudowani, ale poza tym wyglądają jak normalni mężczyźni. Ich kobiety poza tym, że były piękne, nie odznaczały się bynajmniej żadną nadludzką siłą. Cezar nie wierzył ani w bogów, ani w herosów, dlatego opowieści o Galach traktował mocno z przymrużeniem oka.

- Żołnierze, Prowincja rzymska jest w niebezpieczeństwie - powiedział do legionistów podczas porannego apelu, kiedy już odprawił modlitwy i ofiary. - Nad Rodanem stacjonuje zaledwie jeden nasz legion, a dzikich Helwetów jest ponad trzysta tysięcy. Od was, żołnierze, od waszej odwagi i waszego sprytu zależy, czy ich pokonamy. Ich jest więcej, ale nasze męstwo jest silniejsze. Nie możemy pozwolić, by barbarzyńcy wdarli się na nasze ziemie ani by zakłócili odwieczny ład panujący w Galii

między naszymi sojusznikami. Liczę na was. Jutro rano wyruszamy do Prowincji.

Legioniści odpowiedzieli uderzeniem mieczy o tarcze, do entuzjastycznych okrzyków było im jednak daleko. Cezar wcale się nie dziwił. Ostatecznie kiedy sam był młody, on też od uczestniczenia w walkach wolał towarzystwo kobiet, skoro jednak już miał wypełniać swoje obowiązki, to traktował je z należytą powagą.

Nazajutrz cztery legiony ruszyły w drogę. O ile wcześniej, jadąc na południowy wschód w asyście samych legatów, Cezar poruszał się stosunkowo szybko, o tyle podróżowanie na czele trzydziestu tysięcy żołnierzy, z których połowę stanowiła konnica, było już znacznie bardziej utrudnione. Z legionami szły tabory, wozy z zaopatrzeniem, ciury obozowe, a nawet kobiety, ale po przekroczeniu granicy obozu Cezar wydał rozkaz, aby cały pozawojskowy element pozostał na leżach zimowych. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że legioniści często mieli dzieci z obozowymi dziwkami, i nie miał najmniejszego zamiaru taszczyć ze sobą konkubin, bękartów, pasożytów, klientów i całej tej masy ludzkiej, która spowalniałaby jego marsz przez Alpy.

Aby jak najszybciej zjawić się na miejscu, Cezar wybrał najkrótszą, ale też najbardziej niebezpieczną drogę przez Alpy. Maszerował ze swymi legionami przez dolinę rzeki Dora Riparia, która stanowiła lewy dopływ Padu, a następnie wkroczył na przełęcz Mons Matriona, którą dwieście lat wcześniej na terytorium Italii przedostał się Hannibal. Szli przez Via Cottia, która stanowiła część Via Domitia. Po prawej stronie na wysokość ponad tysiąca ośmiuset metrów wznosił się masyw alpejski, który osłaniał przełęcz. Po drugiej jej stronie znajdowało się już terytorium Allobrogów.

Jeżeli jednak sądził, że marsz do Galii będzie spokojny, to musiał się srogo rozczarować, poruszające się bowiem przełęczą wojsko, mając po obu stronach masywy górskie, narażone było na ataki górskich plemion, które z dawien dawna nastawione były wrogo do Rzymian. Kolejno Ceutronowie, Grajocelowie i Katurygowie, obsadzając wysoko położone

szczyty i przełęcz, usiłowali zagrozić Rzymianom drogę. Cezar jednak wykazał się większym sprytem, posyłając przodem jedną tylko kohortę i tym samym łapiąc rozbójników w pułapkę. Kiedy bowiem Galowie skupili się na owej kohorcie, zza masywu wypadły na nich pozostałe legiony i wybiły do nogi atakujących wojsko Galów. Ci, którzy czekali na szczytach na rozwój wypadków, przezornie uciekli i nie pokazali się więcej. Cezar nie miał ochoty zużywać cennego czasu na to, by ich gonić, i pozostawił ich własnemu losowi.

Kiedy zapierające dech w piersiach alpejskie masywy ustąpiły miejsca płaskowyżom, wojsko Cezara zeszło do Druantium, zwanego inaczej Sommae Alpes. Z Druantium czekał ich jeszcze dwudniowy marsz do obozu nad Rodanem, gdzie dowództwo wciąż sprawował Labienus. Cała wyprawa zajęła legionom siedem dni, było to niezwykle tempo, ale Cezar nie miał zamiaru marnować niepotrzebnie czasu. Po czternastu dniach od opuszczenia obozu stanął z czterema legionami u jego bram. Mógł być z siebie zadowolony, ale pozdrawiając legatów i trybunów, skrzętnie to ukrywał.

- Jak wygląda sytuacja, Labienusie? - To było pierwsze pytanie Cezara, kiedy tylko zszedł z końskiego grzbietu.

Ponury mężczyzna, potężniejszy i znacznie bardziej masywny od Cezara, republikanin do szpiku kości, oddany Republice jak żaden inny żołnierz, nie od razu odpowiedział, tylko zlustrował swego wodza głębokim spojrzeniem od stóp do głów, bo też Cezar nie przedstawiał sobą pięknego widoku. Był nieogolony, na kształtnej głowie odrastała mu nierównomiernie czarna szczecina, twarz pokrywał kilkudniowy zarost, brud wbił się głęboko w zmarszczki wokół jego ust i tylko zęby lśniły bielą w kontraście do opalonej, ogorzałej górskim słońcem i wiatrem twarzy.

- Helweci przeprowadzili już tabory przez wąwóz i przeszli przez ziemie Sekwanów - poinformował wodza Labienus swym ponurym głosem. - Wkraczają na ziemie Eduów.

- Hmm - mruknął Cezar, najwyraźniej zaintrygowany. - I jak, żadnych skarg?

Liczył się z tym, że tak wielki oddział jak banda Helwetów prędzej czy później musi się połakomić na leżące na trasie wsie i wolno stojące domy. Nie mogło być inaczej, zwłaszcza gdy wędrowcami byli ludzie, którym kończyły się zapasy.

- Ze strony Sekwanów nie - odparł Labienus.

- Eduowie? - odgadł Cezar. - Co u nich?

- Były skargi, że pojedyncze oddziały Helwetów pustoszą ich ziemie.

- Co na to Ariowist?

- O nim nic nie wiadomo.

Cezar podrapał się po głowie i z irytacją stwierdził, że jest brudny i z pewnością wygląda jak nieboskie stworzenie.

- U Eduów do władzy doszedł Liskus - stwierdził. - To bardzo nam ułatwia sprawę. To znaczy, że do pewnego stopnia do łask powrócił Dywicjak.

- Cezarze, muszę ci przypomnieć, że jego brat Dumnoryks nie jest człowiekiem, któremu można zaufać.

- Doskonale o tym wiem. Za to ufam samemu Dywicjakowi. Z dużą dozą ostrożności, tego nigdy za mało, Labienusie. No cóż, czy posłowie od Eduów już przybyli?

- Oficjalnie nie.

- Załatw to. Niech przybędą. Najlepiej od samego Liskusa. Tak, żebym z nim zawarł porozumienie i żeby byli przy tym świadkowie. Tacy, którzy doniosą na mnie Senatowi.

- Rozkaz, Cezarze! - Labienus wyprężył się słuźbiście.

- Labienusie, daję ci na to dwa dni. Potem mam zamiar przekroczyć Rodan. Niech legiony odpoczną po forsownym marszu i niech doprowadzą się do porządku. Im dłużej będziemy zwlekać, tym gorzej dla nas. Zasięgnij języka, w którą stronę Helweci idą na ziemiach Eduów. To, że Ariowist milczy, dziwi mnie niepomrotnie. Czyżby chciał się dzielić władzą na „swoich” ziemiach, czy też po prostu na razie siedzi cicho i przygląda się sytuacji?

Labienus nie znał odpowiedzi, toteż wzruszył ramionami, ale Cezar znał Ariowistę osobiście i wiedział, co to za człowiek. On i te jego wyniosłe germańskie małżonki! Co prawda jedną z nich Cezar sam chętnie widziałby na swoim posłaniu - była

tak niedostępna, a jednocześnie ponętna, że na samą myśl o niej krew zaczynała szybciej krążyć mu w żyłach. Ariowist starał się o tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego, ale doskonale wiedział, że Eduowie też ów tytuł posiadają. I teraz, kiedy u Eduów działo się źle, Ariowist siedział nagle cicho jak mysz pod miotłą, chociaż niedawno jeszcze grabił i palił ich ziemie, podobnie zresztą jak ziemie Sekwanów... Czyżby bał się oddziałów Helwetów? Przecież za Renem miał do dyspozycji niezliczone zastępy Swebów. O co mu chodzi?

- Cezarze, wedle moich źródeł Ariowist oddał córkę za żonę jednemu z Arwernów, Wercyngetoryksowi - odezwał się nieproszony Balbus, który nagle wyrósł u boku wodza. - Arwernowie zaś pozostają od lat w sojuszu z Sekwanami, są natomiast zajadłymi wrogami Eduów. Kilkanaście lat temu Celyllus, ojciec Wercyngetoryksa, prowadził z Eduami wojnę. Potem został zamordowany.

- To ciekawe - stwierdził Cezar. Skinął ręką na swego adiutanta i wydał mu polecenie przygotowania kąpieli. - I co, w razie niebezpieczeństwa liczy na poparcie swego zięcia? To się dopiero ustawił! Jestem przekonany, że od dawna wiedział, co się szykuje. Inaczej nie oddałby tej ślicznotki Galowi za żonę.

Przypomniał sobie smutne spojrzenie Lorelei, gdy siedziała przy jego stole. Piękna była ta dziewczyna, piękna jak marzenie i niewypowiedzianie smutna. Czy już wtedy wiedziała, jaki jej los pisany? Prawdopodobnie tak.

- Skoro zatem ten Wercyngetoryks ma sojusz z Kastykusem, Kastykus miał sojusz z Orgetoryksem, Ariowist jest zięciem Wercyngetoryksa, a Dumnoryks był w zмовie z Orgetoryksem i Kastykusem, mamy tu jednym słowem niezły pasztet. - Cezar uśmiechnął się. - Jak Aleksander, który przybył do miasta Gordion i musiał rozsupłać węzeł. Tak czy inaczej Wercyngetoryks powinien być bardziej wierny sojuszom swego ojca, bo żonę można zawsze odesłać pod byle pretekstem.

- Jego żona zimą straciła dziecko - dodał Balbus. - Podobno sama sobie to zrobiła.

- To jeszcze ciekawsze - stwierdził Cezar. - Zabawni są

ci barbarzyńcy. Wikłają się w sojusze, które trwałością dorównują śladom na piasku na plaży. Tak czy inaczej Ariowist na razie raczej nie wychyli głowy i nie odezwie się ani słowem, aż Cezar nie przybędzie na ziemie Eduów i nie wybawi go z kłopotu w postaci helweckich oddziałów.

Cezar zaśmiał się zadowolony, bo oto znalazł się znakomity pretekst do ukarania Ariowista. Jeżeli nie wspomozę Rzymian, okaże się niegodny miana Przyjaciela Narodu Rzymskiego, podobnie jak wtedy, gdy nie udzieli pomocy innemu przyjacielowi, jakim jest plemię Eduów. Sprawy układały się coraz bardziej po myśli Cezara.

- Balbusie, wybaczyć, że cię o to proszę - zwrócił się do swego legata. - Niech moi legionieści z Akwilei doprowadzą się do porządku i pojutrze niech wszyscy będą gotowi do wymarszu. Mniejsza o to, gdzie nas znajdą posłowie od Liskusa, ważne, by znaleźli. Za dwa dni wyruszamy i przekraczamy Rodan.

Z błogosławieństwem Senatu czy bez - dokończył w myślach, wiedząc, że na owo błogosławieństwo raczej nie ma co liczyć.

Na posłów od Liskusa nie musiał Cezar zbyt długo czekać. Od powrotu Cezara z legionami do obozu nie minęły dwa dni, a czterech konnych od prorzymskiego rządu Eduów przybyło do prokonsula w wielkim pośpiechu. Rzecz jasna sam Liskus nie przyjechał, posłowanie u Rzymianina byłoby czymś poniżej jego godności. Jak dotąd Cezar nie dokonał w Galii niczego nadzwyczajnego, może tylko to, że wyruszył po legiony pomocnicze i przebył w ciągu tygodnia Alpy. Nie stoczył jednak żadnej bitwy, a jedynym, co uczynił, było niezezwolenie na przejście przez rzymskie ziemie wielkiej rzeszy Helwetów.

Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że do władzy powrócił Dywicjak, zwolennik rzymskiego panowania w Prowincji. Dywicjak był kimś w rodzaju galijskiego szpiega Cezara, a w każdym razie, opłacany przez niego rzymskim złotem, pełnił jak dotąd funkcję agenta. Informował - donosił byłoby nazbyt negatywnym określeniem - Cezara o wszystkich istotnych

wydarzeniach w Galii i to on właśnie przesłał przez swoich ludzi informację o marszu Helwetów. Ponieważ jego rodzony brat Dumnoryks związany był przysięgą i innymi więzami z nieżyjącym już wodzem Helwetów Orgetoryksem, Dywicjak doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie wiąże się z przemarszem Helwetów przez ziemie Eduów. Tym bardziej że część ich dziedzin okupowana była przez znenawidzonego przez nich Ariowista, który panoszył się na ziemiach Eduów jak na swoich własnych, a w dodatku istniało niebezpieczeństwo, że sprowadzi zza Renu jeszcze więcej nieokrzyszanych Germanów. Z dwojga złego Dywicjak wolał już sprzymierzyć się z Rzymem, który posiadał dostatecznie silną armię, by gdy nadejdzie odpowiednia pora, móc odeprzeć Ariowistę.

Teraz jednak Dywicjak siał ziarno niepokoju w umyśle Liskusa i zdołał mu zaszcześcić myśl, że Helweci będą stanowić problem.

- Jest ich zbyt dużo - przekonywał nowego vergobreta przebiegły druid. - Jeśli pozwolimy im przejść, część z nich zechce się u nas osiedlić. Potem sprowadzą swoich pobratymców, a kiedy będzie ich wielu, wezmą sobie siłą to, o co teraz pokornie proszą. Czy nie dosyć nam jednego problemu, jakim jest Ariowista i jego banda barbarzyńców? W dodatku skoligacony jest on teraz z naszymi odwiecznymi wrogami, Arwernami. Zastanów się, Liskusie, czy nie warto wezwać na pomoc wojska rzymskiego.

Liskus był człowiekiem opanowanym i niechętnie widział u siebie obcych, bez względu na to, czy nosili nazwę Germanów, Helwetów czy Rzymian. Zastanawiał się dość długo, podczas gdy Cezar przemierzał Alpy po swoje dwa legiony.

- Znasz osobiście tego rzymskiego prokonsula? - zapytał wreszcie druida.

- Nie mogę powiedzieć, bym go znał - odparł Dywicjak zgodnie z prawdą. - Byłem w Rzymie raz, widziałem go, jak przemawiał. Wywarł na mnie dobre wrażenie. Poza tym dzięki jego pieniądzązom jesteśmy w stanie kupować konie i broń do walki ze Swebami.

- Jaki on ma interes w tym, żeby poskromić Helwetów? - zapytał trzeźwo Liskus. - Jeżeli pozwolimy mu raz wejść do Galii, obawiam się, że nieprędko sobie stąd pójdzie. Boję się, że Cezar okaże się obosiecznym mieczem, który w nas samych również ugodzi.

- Być może - zgodził się Dywicjak. - Ale na razie jest nam potrzebny. Powstrzyma Helwetów, a potem damy mu pretekst, żeby wykurzył stąd na zawsze Ariowista. To mu chyba wystarczy dla zaspokojenia własnych ambicji.

- Zawsze sprzyjaliśmy Rzymianom - rzekł Liskus w zadumie. - Choć mój ojciec twierdził, że Rzym to niebezpieczny sojusznik.

- Ja również tak twierdzę, aczkolwiek nie mogę powiedzieć, by sojusz z którymkolwiek narodem celtyckim mógł być równie trwały i pewny jak sojusz z Rzymianami - odparł Dywicjak z przekonaniem. - W tych czasach nic nie jest pewne i rzetelne.

Nie powiedział o tym, co słyszał na dorocznym zjeździe kapłanów w nemetonie, w kraju Karnutów, mianowicie o przepowiedni o wielkiej wojnie ze stadem wilków, którą kilka lat temu wypowiedziała nieżyjąca już kapłanka Scatah. Naczelny druid Maerin powtórzył tę wyrocznię dwa lata temu i był wyraźnie wstrząśnięty. On i Scatah stanowili ongiś rytualną parę, brali udział w Wielkim Związku, i to nie raz. Teraz funkcję głównej kapłanki pełniła jej córka Uatah, która zapowiadała się na wielką, ale zdaniem Dywicjaka daleko jej jeszcze było do matki.

Maerin mówił wówczas o pożarze w Celtyce i o zjednoczeniu wszystkich Celtów. Dywicjak zastanawiał się, czy to istotnie możliwe, skoro plemiona nieustannie toczyły ze sobą mniejsze lub większe walki celem zagarnięcia ziem przeciwnika. Ziemia była tym, na czym Celtom zależało najbardziej, zaraz po sławie wojennej i bogactwach. Dywicjak bał się wojny, obawiał się waśni z Rzymem, był to bowiem przeciwnik, z którym pod każdym względem należało się liczyć. A już Cezar w ogóle wyglądał mu na człowieka bezwzględного i dążącego po trupach do celu. Z nim nie było żartów. I Liskus miał rację, mówiąc, że Cezar raz wezwany do Galii potraktuje ją

jako swoją własność. Pytanie było inne: czy warto wybrać mniejsze zło i przy pomocy rzymskiego prokonsula pozbyć się za jednym zamachem dwóch palących problemów? A w zasadzie trzech, bo w przypadku porażki Ariowista przestałoby obowiązywać jego porozumienie z Wercyngetoryksem.

Co w takim razie było mniejszym złem?

Dywicjak gryzł się sam ze sobą, stwierdził jednak, że z dwojga złego woli jednego wroga na karku aniżeli trzech lub więcej. I tak przekonał Liskusa, że należy słać do Cezara posłów z prośbą o pomoc.

Zanim jednak ten ostatni zdołał cokolwiek przedsięwziąć, los sam dał mu okazję do skontaktowania się z Rzymianami. Okazało się bowiem, że wędrujące plemiona Helwetów, zdesperowane długim, niepotrzebnym, jak się okazało, pobytom nad Rodanem, przerażone wizją głodu i nędzy, a przede wszystkim rozczarowane odmową Rzymian, dokonują spustoszeń na ziemiach Eduów, Ambarrów i Allobrogów. Naczelnicy miast przybyli do Liskusa z błaganiami o pomoc, ponieważ rozbestwieni wojownicy plądrują pola i domy, gwałcą kobiety i kradną żywność, zabierają bydło i dołączają do swoich taborów, mówiąc krótko, sieją bezprawie. W tej sytuacji Dywicjak stwierdził, że okazja sama wpadła mu w ręce.

Czterej kuzyni Liskusa udali się z misją przekonania Cezara, że należy jak najszybciej przekroczyć Rodan i udać się w ślad za oddalającymi się szybko Helwetami. Nic prostszego, jako że Cezar tylko na to czekał. Przyjął posłów w taki sposób, jakby byli oni co najmniej perskimi książętami, zaproponował im jedzenie i wino, kąpiel i odpoczynek we własnym namiocie. Zwykle nie posuwał się aż tak daleko, ale tutaj chodziło o prestiż, a poza tym chciał, aby Liskus dowiedział się, jak Cezar traktuje posłów swoich sojuszników. Kuzyni vergobreta byli zbyt młodzi i niedoświadczeni, by znać się na rzymskiej polityce, toteż byli mile zaskoczeni, a ich duma została odpowiednio połączona. Oczarowani zachowaniem prokonsula mieli jednak na tyle rozumu, by w odpowiednim momencie paść przed nim na kolana i wyciągnąć ręce w geście błagalników, którzy widzą w nim ostatnią deskę ratunku.

- Nasz vergobret Liskus wzywa cię, imperatorze, abys wypełnił przymierze naszego narodu z Rzymem i wysłał nam swoją pomoc, bo inaczej ta banda morderców i rabusiów rozkradnie i spali nasze ziemie, zgwałci kobiety i wyrżnie dzieci, a potem osiadzie tam i będzie nas miała za niewolników! - błagali. - Eduowie zawsze dobrze wam służyli i nie jest sprawiedliwe, że nasze ziemie są niszczone, nasze dzieci porywane w niewolę, a nasze miasta plądrowane na oczach rzymskiej armii.

Cezar stwierdził, że potrzebny mu dobry tłumacz. Rzecz jasna zrozumiał większość słów posłów, ale w jego armii znajdowali się zromanizowani Celtowie z plemienia Allobrogów, toteż wkrótce całość przekazu była dla prokonsula doskonale rozumiała. Z zadowoleniem stwierdził, że jego przypuszczenia okazały się słuszne. Wiedział z doświadczenia, że tak wielkiej masy ludności nie sposób upilnować i nawet mimo dobrych chęci wodzów zawsze znajdą się wichrzyciele, którzy będą próbowali działać na własną rękę. Spodziewał się takiego właśnie obrotu spraw.

Kiedy posłowie odjechali, Cezar wezwał do siebie Balbusa.

- Jutro rano zwijamy obóz i przekraczamy Rodan - zakomunikował. - Wydadz rozkaz, aby wojsko było gotowe.

Balbus zrozumiał, że zaczyna się wojna i że skoro Cezar nie chce zostawić na miejscu ani jednej kohorty, sytuacja jest bardzo poważna. Widocznie nie spodziewał się w krótkim czasie wrócić w to miejsce, a obóz można było równie dobrze rozbić w innym, bardziej dogodnym. Balbus wiedział, że potrzebne będzie zaopatrzenie i jego zadanie miało od tej pory polegać na zapewnieniu armii codziennej porcji wyżywienia. W tym celu musiał porozumieć się z galijskimi dostawcami zboża. Problem polegał na tym, że był kwiecień, a więc była stosunkowo wczesna wiosna. Podczas gdy w Rzymie i w Grecji o tej porze roku można było spodziewać się pierwszych plonów, tutaj pora na nie przypadła nie wcześniej niż za dwa miesiące. Do tego czasu armia będzie musiała żywić się zbożem z importu. Dzienna racja żywnościowa zboża dla jednego legionisty wynosiła półtora kilograma. Miesięczna racja

żywnościowa legionisty sięgała więc około pięćdziesięciu litrów ziarna. To wszystko Balbus musiał teraz załatwiać. Obawiał się, że z dostawami mogą być poważne kłopoty.

Nazajutrz rano jednak wszystkie legiony były gotowe do wymarszu. O świcie Cezar wydał rozkaz spalenia obozu, aby wróg nie mógł go zdobyć, i w ten sposób dał armii do zrozumienia, że jego rozkaz jest nieodwołalny. Sam dosiadł konia i jako pierwszy przekroczył Rodan, a za nim podążyła jego armia, która tym samym rozpoczynała wojnę z Helwetami. Żaden z legionistów nie wiedział, jak długo przyjdzie mu wojować w obcym kraju, i każdy z nich, chcąc nie chcąc, musiał powierzyć swe życie Cezarowi.

Cezar rozkazał rozbić obóz w pobliżu rzeki Arar, drugiej wielkiej rzeki tego regionu, która stanowiła prawy dopływ Rodanu. Legioniści maszerowali dwa dni, goniąc za resztkami plemienia Helwetów, które wreszcie, mniej lub bardziej efektywnie, przepравиło się przez Rodan i podążyło teraz wytyczonym wcześniej szlakiem. Wieczorem drugiego dnia zwiadowcy przybyli do Cezara z informacją, że osiemnaście kilometrów w górę rzeki przeprawiają się ostatnie oddziały Helwetów.

- Znakomicie - stwierdził Cezar. - Niech budowniczy stawiają most.

Budowa mostu równała się z atakiem na wroga i wszyscy o tym wiedzieli, rozkaz był rozkazem i oddział konstruktorów pod wodzą architekta ruszył czym prędzej w wyznaczone przez wodza miejsce.

Cezarowi jednak było mało.

- Trzy legiony niech się sposobią do walki - rzucił Labienusowi. - Zaskoczmy ich przy trzeciej wigilii.

Krótko po północy na czele trzech legionów wyruszył do miejsca, w którym Helweci przeprawiali się na drugi brzeg rzeki. Była to dość spora grupa ludzi, nie na tyle jednak duża, by trzy legiony mogły mieć z nią problemy. Helweci do tego stopnia zajęci byli przeprawą przez rzekę, że atak Rzymian całkowicie ich zaskoczył. Dodatkowo Cezar, wiedząc, że stukot

końskich kopyt będzie słyszalny z dużej odległości, rozkazał, aby ostatni odcinek żołnierze pokonali pieszo, także ci, którzy tworzyli oddział konnicy. Jako pierwsi na zaskoczonych i niezdolnych do walki Helwetów wyskoczyli harcownicy zwani velites. Oni to mieli za zadanie obsypać wroga gradem pocisków, aby ich jeszcze bardziej zdezorientować i uniemożliwić uformowanie szyku. Po nich wkraczali hastati, czyli oszczepnicy. Po wyrzuceniu oszczepów szybko przeszli do walki wręcz, ale okazało się, że zaskoczeni Helweci nie zdążyli nawet sięgnąć po broń.

Cezar ze swego miejsca widział przebieg bitwy, czy raczej rzezi, bo regularną bitwą raczej trudno było to nazwać i się na nią nie zanosilo. Wozy i zwierzęta juczne rozrzucone były na całej szerokości brodu. Część ekwipunku znajdowała się na lewym, część na prawym brzegu rzeki. Przerażone kobiety wrzeszczały i rzucały w rzymskich legionistów, czym popadnie, ale było ich zdecydowanie mniej niż broniących ich mężczyzn. Zamiast rozsądnie zebrać się w jedną grupę, zaskoczone i przestraszone rozbiegały się każda w inną stronę, zapominając o płaczących bezradnie dzieciach.

- Rozkazy, wodzu - odezwał się Labienus ze swego miejsca na końskim grzbiecie tuż obok Cezara.

Cezar wiedział, że kiedy włócznicy się wycofają, wejdą regularne manipuły legionistów zwanych principes, którzy tworzyli trzon armii. Najpierw rzucali oni włócznie, a potem, kryjąc się za tarczami, atakowali przy użyciu miecza. Ale w przypadku takiego niespodziewanego ataku w miejscu przeprawy konwoju nie mogło być mowy o stworzeniu regularnego szyku, a zamiast tego należało atakować poszczególne grupy Helwetów, zanim ci ockną się z zaskoczenia i ruszą do walki. Dopóki trwali w rozproszeniu, Cezar miał ogromną szansę rozgromienia ich na miejscu.

- Bez litości - odparł z zimną kalkulacją.

- Jeńcy?

- Wszystkich mężczyzn zabić. Kobiety i dzieci sprzedać do niewoli. Zwierzęta zostawić, pójść na łupy.

Na okrutnej twarzy Labienusa pojawiło się coś na kształt

uśmiechu, po czym odjechał on, aby wydać odpowiednie rozkazy setnikom. Cezar nie uważał za stosowne, aby on sam mieszał się do tego rodzaju potyczki, bo nie uważał rzezi w rzece za regularną bitwę, co najwyżej za wycieczkę wojskową połączoną z walką. Siedział więc bezpiecznie na końskim grzbiecie i patrzył, jak jego żołnierze robią porządek z niepokornymi Helwetami.

Kobiety i dzieci zostały zapędzone na prawy brzeg i tam otoczone przez żołnierzy, którzy krępowali im ręce. Mężczyźni bili się zaciekle, ale legionistów było zbyt dużo, a Galów za mało, by mogła wywiązać się równa walka. O to właśnie chodziło Cezarowi: by odciąć ostatnią grupę od pozostałych, którzy już przedostali się na zachodni brzeg rzeki. W ten sposób pozbywał się niepotrzebnych tyłów i zabezpieczał sobie drogę ewentualnego odwrotu.

Gdyby była to regularna bitwa, w której żołnierze wystawiają szyki bojowe, i gdyby sytuacja naprawdę tego wymagała, Cezar bez wahania kazałby odprowadzić swego konia i sam stanąłby do walki. Nie raz do tego dochodziło w Hiszpanii, a wcześniej również na Wschodzie, kiedy następowała sytuacja krytyczna. Cezar obeznany był z walką z nieprzyjacielem. Nigdy nie okazywał strachu, uważając, że jego los i tak jest z góry przewidziany, przynajmniej jeśli chodzi o śmierć, i jeśli jest mu ona pisana na polu bitwy, to tak czy inaczej przyjdzie mu zginąć z mieczem w ręku. Teraz jednak nie musiał włączać się do bitwy i obserwował wszystko w otoczeniu trzech legatów, którzy również nie mieszały się w sprawy wojska.

Labienus zaś był najwyraźniej w swoim żywiole. Nie bez przyczyny określano tego człowieka mianem rzeźnika. Znać było, że walka sprawia mu autentyczną przyjemność. Z makabrycznym uśmiechem na twarzy, z wyrazem okrucieństwa w oczach od tyłu atakował uciekających i wbijał im miecz pod żebra, żeby dłużej konali. Pomimo że Cezar wydał wyraźny rozkaz oszczędzenia kobiet i dzieci, Labienus podrzynał im w wodzie gardła. Arar był rzeką na tyle spokojną, że wydawało się, iż niemal stoi w miejscu. Na tym odcinku był

również stosunkowo płytki, ale przerażenie robiło swoje i kobiety plątały się we własne suknie. Cezar widział, jak Labienus chwyta jedną z nich za włosy i odcina jej głowę. Ociekał ludzką posoką i najwyraźniej świetnie się przy tym bawił. Cezar stwierdził, że Labienus jest znakomitym żołnierzem, ale jednocześnie okrutnikiem bez serca i skrupułów, więc nie należy na dłuższą metę popuszczać mu cugli. Tak jak bowiem zwykły żołnierz nasyci się dwiema lub trzema bitwami, temu wiecznie będzie mało i mało.

Ci spośród zaskoczonych mężczyzn, którym udało się jakimś cudem dobyć miecza, walczyli zaciekle i wytrwale, ale nie mieli szans. Po pierwsze było ich zbyt mało, po drugie Rzymianie wykorzystali znakomicie element zaskoczenia. Ci, którzy nie zginęli w bitwie, uciekali na łeb na szyję w ciemniejące po obu stronach rzeki krzaki, a potem na równinę i w las. Te kobiety, które nie krzyczały w trwodze, usiłowały walczyć z legionistami, ale już pierwsza salwa procarzy i oszczepników powaliła na ziemię połowę helweckiej grupy. Niektóre kobiety jednak, mając na względzie dobro swych dzieci, stały na drugim brzegu, z przerażeniem patrząc na śmierć swoich mężczyzn.

Cezar przyglądał się temu obojętnie. Nie obchodziło go, co czują te kobiety. Takie były prawa wojny, jeżeli niewinni musieli ucierpieć, to trudno – taki zazwyczaj ich los.

Krótko przed świtem w rzece walało się pełno galijskich trupów. Legioniści wyciągali z wody wozy i muły, inni wyławiali ciała, aby je wszystkie spalić na jednym stosie. Cezar nie chciał zostawiać trupów na pastwę zwierząt i ptaków. Wozy pełne żywności kazał odesłać do obozu, tak samo jak kobiety i dzieci, które potem miały być zawiezione na najbliższy targ niewolników. Nie chciał obarczać armii problemem wyżywienia jeńców w momencie, kiedy sam był niepewny co do regularności dostaw. Na razie bowiem pokonał niewielki rozproszony oddział Galów, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

Należało jednak powiedzieć coś oczekującym jego pochwały legionistom. Dlatego Cezar zsiadł z konia i wszedł na najbliższy

głaz, aby w ten sposób stać się widocznym i słyszonym.

- Żołnierze! Dzisiejszej nocy daliście przykład odwagi i sprawności! Pokonaliście niepokorny oddział Tyguryków, tych samych, którzy pięćdziesiąt lat temu zadali klęskę narodowi rzymskiemu i uśmiercili konsula Lucjusza Kasjusza! Chwała wam za to! Łupy zdobyte dzisiaj na Helwetach stanowią będą własność trzech legionów, które brały udział w walce. Cześć wam, żołnierze!

Nad rzeką rozległ się gromki okrzyk legionistów.

Legaci Cezara wydawali rozkazy, a wojsko szybko uwijało się z taborami i kobietami. Woły i muły przydadzą się wojsku, Galijki natomiast miały iść w niewolę. Cezar dał do zrozumienia, że łupy stają się własnością wojska, nie życzył sobie jednak masowych gwałtów na kobietach i nie chciał, by dzieci na to patrzyły, bo był na tyle rozsądny, by wiedzieć, że z takich dzieci wyrosną buntownicy i że nie będą się one wówczas nadawały na niewolników. Dlatego kazał odesłać kobiety do najbliższego rzymskiego miasta, żeby ich obecność nie kusiła legionistów. Po przemówieniu i po zebraniu taboru wojsko szybko oddaliło się do obozu.

- Jeżeli teraz odpuścimy, stracimy nieprzeciętną okazję pokonania wroga! - warknął Cezar na swojego legata Balbusa. - Należy jeszcze dzisiaj przedostać się na drugą stronę Araru! Dlaczego most nie jest jeszcze wzniesiony?!

Cezar rzadko podnosił głos, jego instynkt wodza podpowiadał mu teraz jednak, że jak najszybciej należy ruszać dalej. Tymczasem główny szef zaopatrzenia, jakim był Balbus, straszył go, że nastąpi przerwa w dostarczaniu żywności.

- Mam to w dupie - oznajmił Cezar, hamując się z trudem od nawrzeszczenia na rozsądnego Balbusa, którego dotąd słuchał. - Wydałem odpowiednie rozkazy i oczekuję, że most zostanie ukończony jeszcze dzisiaj. Do czasu wydania legionistom żywności dawno już pokonamy Helwetów. Nie ma o co się obawiać.

W głębi ducha jednak Cezar podejrzewał, że Balbus ma niestety rację. Znajdowali się już poza granicami Prowincji, a kiedy przebywali w pobliżu Rodanu, mogli liczyć na regularne

zaopatrzenie armii w żywność przywożoną barkami z Rzymu. Galia znajdowała się, jakkolwiek by patrzeć, na północy i zboża dojrzewały tu w innym czasie. Podczas gdy wiosną na południu Europy ścinano już pierwsze plony, tutaj, na tych galijskich nizinach, wciąż jeszcze orano pola.

- Cezarze, nie chcę kłócić się z tobą o rzeczy oczywiste - odezwał się Balbus. - O ile jednak chcesz znać moje zdanie, uważam, że ogromnie ryzykujesz. Jeżeli żywność nie zostanie dostarczona na czas, będziesz musiał szukać jakiegoś miasta, aby się w nim okopać, czym narazisz się na wielomiesięczne obleganie, a będziesz musiał liczyć się też z buntem w armii.

Cezar wiedział o tym doskonale, ale i tak wolał ruszyć w pościg za Helwetami. Jak by wyglądał w oczach swoich politycznych przeciwników, gdyby z obawy przed przerwą w zaopatrzeniu pozwolił odmaszerować ledwo skubniętemu wrogowi? Pompejusz będzie się mu śmiał w żywe oczy. Poza tym Helweci są bezradni teraz, kiedy maszerują z całym dobytkiem, kobietami i dziećmi, czego znakomity przykład miał ubiegłej nocy nad Ararem. Gdy tylko osiadą na jakiejś ziemi, zmieniają się z koczowników w wojowników, a wtedy ciężko będzie Cezarowi pokonać tak ogromną rzeszę ludzi, w dodatku sprzymierzoną z innymi nacjami.

Nie i jeszcze raz nie! Należy od razu ruszać w pogoń! Mniejsza o ryzyko.

- A jeśli ty chcesz znać moje zdanie, Balbusie - odezwał się Labienus, który, mając rangę legata, mógł przebywać w namiocie wodza podczas narady - to ja uważam, że należy jeszcze dzisiaj wyruszać i nie oglądać się na nic. W razie potrzeby wojsko splądruje jakąś wioskę i to wszystko.

W jego ciemnych oczach błyszczało okrucieństwo. Cezar wznosił oczy do nieba.

- Nie będzie plądrowania żadnych wiosek - powiedział ostro. - Nie stać tu i nie gadać, tylko szykować się do wymarszu. Labienusie, do południa most ma być gotowy i chcę, żeby w ciągu dwóch godzin całe wojsko było w pełnym rynsztunku.

Obaj legaci odmaszerowali, każdy pogrążony we własnych

myślach. Balbus martwił się o zapasy żywności, które należało wydać legionistom za dwa tygodnie, Labienus cieszył się na myśl o masakrze, jaka bez wątpienia czekać będzie Helwetów. Cezar zaś, nie zwlekając, posłał po swego pisarza Aulusa Hirtiusa, ponieważ chciał podyktować mu list i wysłać go czym prędzej do Rzymu. List miał na celu poinformowanie Senatu, że Cezar jako prokonsul znalazł się w sytuacji bez wyjścia, musi udzielić natychmiastowej pomocy sojusznikom i nie dopuścić do osiedlenia się w pobliżu rzymskiej Prowincji wrogiego ludu. W zasadzie mógłby sam pisać list, ale Hirtius miał sprawne palce i szybko myślał, posiadał też nadzwyczajny dar układania chaotycznych notatek Cezara w zgrabny ciąg zdań.

Kiedy Hirtius wyszedł, a goniec zabrał ze sobą pismo imperatora, Cezar skorzystał z okazji i usiadł na chwilę przy stole, który zaraz miał zostać rozmontowany i złożony w bagaż, a ten umieszczony na jednym z licznych wozów, którymi zajmowali się odpowiedzialni za to żołnierze. Tabory stanowiły nieodłączny element rzymskiej armii, ale posuwały się w odpowiedniej odległości za legionami, aby w razie zaskoczenia ze strony wroga mogły odpowiednio wcześniej uciec. Cezar siedział, oparłszy głowę na rękach. Miał istotnie dylemat, ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, że przekraczając Arar, zapuści się całkowicie na obce terytorium, na którym nie miał żadnej potestas ani nawet imperium. Dokonywał czynu bezprawnego z punktu widzenia Senatu, ponieważ jako prokonsul rzymskiej Prowincji nie powinien w żaden sposób mieszać się w wewnętrzne sprawy Galów. Ale on posunął się za daleko w chwili, kiedy nie dał Helwetom zezwolenia na przekroczenie granic Prowincji, i teraz musiał konsekwentnie trzymać się raz obranej drogi. Nie było odwrotu.

Balbus był ostrożny i takich ludzi Cezar potrzebował w Rzymie, ale teraz nie byli w Italii, tylko w obcym kraju i trzeba było myśleć błyskawicznie. Zastępy helweckie szybko posuwały się naprzód. Cezar zastanawiał się, kto zezwolił im na przejście przez kraj Sekwanów... no - rzecz jasna - Kastykus,

ale kto go namówił do tej głupiej decyzji...

W jego umyśle kiełkowało podejrzenie. Doskonale wiedział, że Galowie rywalizują ze sobą o władzę i wpływy, a u Eduów do władzy powrócił Dywicjak, co było Cezarowi na rękę. Miał on jednak brata Dumnoryksa, który ze względu na to, że Dywicjak pełnił kiedyś funkcję naczelnika, nigdy nie będzie mógł piastować najwyższego stanowiska. A przecież ten człowiek żądny był władzy i dążył do niej za wszelką cenę. Nakładał wysokie cła na swoich pobratymców, ściągał podatki z importu wina, kontrolował handel na szlakach należących do Eduów, a dzięki koligacjom rodzinnym posiadał liczne kontakty z naczelnikami całej Galii. Jeżeli nie on dokonywał sabotażu, to Cezar po powrocie do Rzymu gotów był zjeść własną togę. Był przekonany, że to właśnie Dumnoryks otworzył przed zdesperowanymi Helwetami drogę przez ziemie Sekwanów. Zdradził tym samym swoje własne plemię. A skoro mógł to zrobić, to z pewnością będzie próbował wywieść w pole również i Cezara. Balbus ma więc rację, sądząc, że może być spory problem z dostarczeniem żywności, jeżeli przeciwnicy Rzymian mają tak długie ręce. *Na Dumnoryksa trzeba będzie uważać* - myślał Cezar. I wcale mu się to nie podobało.

- Most gotowy, imperatorze! - przerwał mu rozmyślenia komunikat adiutanta.

Cezar podniósł głowę. Poczuł się przez moment rozpaczliwie samotny i stwierdził, że brakuje mu Kalpurni, która jak dotąd miała cudowną umiejętność łagodzenia u niego stanu napięcia.

Brakuje mi kobiety - pomyślał z roztargnieniem.

- Znakomicie - rzucił do adiutanta zadowolonym tonem. - W takim razie wołaj mi tu Labienusa.

Dwie godziny później armia rzymska ruszyła przez most, który powstał w zaledwie jeden dzień. Tym razem na czele wojsk jechał Labienus, Cezar zaś przekraczał rzekę jako ostatni, pilnując, żeby wszystkie kohorty znalazły się po drugiej stronie. Kiedy całe wojsko było już na drugim brzegu, na którym znajdowały się oddziały Helwetów, most został odcięty i zatopiony.

Helweci od dwudziestu dni przeprawiali się przez rzeki: najpierw przez Rodan, potem przez Arar. Aby tu dotrzeć, musieli przedzierać się przez wąski i wysoki wąwóz. Podczas gdy oni mozolili się i trudzili, armia Cezara bez większych przeszkód i w błyskawicznym tempie znalazła się w odległości godziny jazdy konnej od ostatniego oddziału Helwetów. Przeprawiali się oni małymi grupkami, jedna za drugą powoli przesuwała się na zachód, legiony natomiast maszerowały szybkim krokiem i wiły się na równinach niczym srebrno-czerwony wąż. W wiosennym słońcu połyskiwały ostrza rzymskich włócznie i lśniły hełmy, które mieli na głowach. Wojsko to było tak liczne, że zwiadowcy Helwetów dostrzegli je na równinie i przerazili się.

- Trzeba do niego jechać i negocjować! - wołali przerażeni mężczyźni jeden przez drugiego. - Jest zbyt szybki i skuteczny! Rozgromi nas!

W istocie Helwetów przeraziła szybkość, z jaką armia rzymska przeprawiła się przez Arar. Zbudowanie mostu zajmuje kilka dni, Rzymianie natomiast wzniesli go w kilkanaście godzin i przeprawili się na drugi brzeg, mało tego, zbliżyli się do Helwetów na niebezpieczną odległość i założyli obóz. Sprawność legionistów była nadzwyczajna.

Wodzem tej grupy Helwetów, która jako ostatnia z powodzeniem przedostała się przez rzekę, był Dywiko, starzec, jeden z najmożniejszych helweckich naczelników. Zdecydował, że on sam pójdzie układać się z Cezarem.

- Jeżeli będzie chciał walki, otrzyma ją - orzekł, po czym wsiadł na konia i ruszył do rzymskiego obozu.

Pomimo strat zadanych im przez Rzymian zaledwie dzień wcześniej i pomimo strachu, jaki ich ogarnął na widok genialnej organizacji rzymskich legionów, akurat Dywiko miał w sobie na tyle dumy i godności, by nie obawiać się spotkania z rzymskim prokonsulem.

Cezar, jak przystało na wytrawnego polityka, wyruszył na spotkanie z posłem osobiście. Ugościł go winem i chlebem, po czym zapytał, z czym przybywa.

Starzec spojrzał spod oka na rzymskiego wodza.

Spodziewał się przepychu i bogactwa, ale namiot imperatora był wyrazem skromności i żołnierskiego hartu ducha. Wszystko w nim było maksymalnie uproszczone, by można było namiot szybko zwinąć. W środku znajdowały się stół, za którym Cezar zasiadał i przy którym jadł, łóżko i żelazny piecyk, w którym tliły się rozżarzone węgle. Żadnych udogodnień, żadnych ekstrawagancji, a jedyną oznaką luksusu był rozścielony na ziemi dywan.

- Przybyłem prosić cię o pokój, Cezarze - oznajmił Dywiko głosem zachrypniętym ze starości. - Jeżeliby lud rzymski zawarł pokój z Helwetami, to pójdziemy tam, gdzie ty nam wskażesz. Pozostaniemy tam, gdzie ty każesz się nam osiedlić.

- Chcę, żebyście zawrócili i osiedlili się na swoich dawnych ziemiach - odparł Cezar twardym tonem. - Nie życzę sobie, żebyście szwendali się po Galii, grabili i mordowali sprzymierzeńców ludu rzymskiego ani byście osiedlali się gdzie indziej, niż wam to bogowie nieśmiertelni nakazali.

Cezar tyleż dbał o bogów nieśmiertelnych, ile o zeszłoroczny śnieg, ale w ciągu długiej kariery politycznej nauczył się, że wzmianka o bogach lub przeznaczeniu sprawia, iż ludzie natychmiast pokornieją w obliczu siły wyższej. Po twarzy starca istotnie przebiegł grymas świadczący nie tyle o strachu, ile bardziej o niepokoju.

- A co, jeśli nie przystaniemy na takie żądania i pójdziemy dalej swoją drogą? - zapytał zaczepnym tonem. - Sekwanowie nie wnoszą roszczeń odnośnie do przeprawy przez ich ziemie.

- Sekwanowie nie są przyjaciółmi i sojusznikami Rzymian - uciął Cezar. - A ten, kto namówił Kastykusa do udzielenia wam permisji na przejście przez ich dziedziny, to zwykły zdrajca i sprzedawczyk. Kiedy dowiem się, kto to taki, nie będę miał dla niego litości. Wracajcie do siebie, Dywiko, i przestańcie nękać ogniem i mieczem niewinnych ludzi.

Starzec parsknął śmiechem.

- A odkąd to rzymski prokonsul obawia się lub przejmuje życiem zwykłych, niewinnych ludzi? - zakpił. - Czyżby cię sumienie ruszyło po tym, coś ostatnio uczynił?

- Helweci, którzy sprzeciwili się mojemu słowu, traktowani

są jako wrogowie i jako tacy uśmierceni - odparł Cezar ze stoickim spokojem. - Ale dla was ludzie, którzy pozwalają wam przejść przez swoje wsie i miasta, powinni być sojusznikami, a nie ofiarami napaści i niczym nieuzasadnionej agresji.

Dywiko spuścił wzrok, wiedząc, że tu akurat Cezar ma całkowitą rację. Nie zamierzał jednak odpowiadać przed rzymskim wodzem za sprawki swoich pobratymców i innych naczelników. To, co oni wyprawiali w czasie tego przemarszu, w zasadzie Dywika nie interesowało. Dla niego ważne było przeprawienie swoich ludzi i uniknięcie zbędnych walk.

Siedząc teraz w namiocie imperatora, uświadomił sobie, że tak naprawdę jedna i druga strona powiedziała już swoje. Rzymianie nie pozwolą Helwetom iść dalej, Helweci za nic w świecie nie zawrócą. Wojna wisiała w powietrzu.

- A jeśli cię nie posłucham? - zapytał raz jeszcze, wyraźnie prowokując Cezara.

Spoglądał na tego mężczyznę, Rzymianina, z mieszaniną lęku i pogardy. Cezar był młody, w stosunku do sędziwego starca był wręcz młodzikiem, jako że dzieliło ich ponad trzydzieści lat. Ogolony do skóry nie przypominał w niczym bogatego rzymskiego arystokraty. Twarz miał surową, naznaczoną zmarszczkami i osmaganą wiatrem, a wzrok przenikliwy, uważny i bezlitosny. Dywiko znał takich ludzi i wiedział, że z nimi nie należy zadzierać, mimo to miał ochotę sprowokować Cezara i dowiedzieć się, gdzie przebiega granica jego cierpliwości.

- Jeżeli pójdziesz dalej na zachód, będę cię ścigał z moimi legionami - odparł Cezar z prostotą.

- Ha! - wykrzyknął starzec. - Pomnij zatem na dawną klęskę narodu rzymskiego i na dzielność Helwetów. Nie dawniej jak pięćdziesiąt lat temu nasze oddziały pokonały rzymskie legiony. Sądzisz, że odniosłeś tak wielki sukces, wycinając w pień tych, którzy uwięzieni zostali przez rzekę? Dobrze wiesz, że nasi nie mogli przyjść im z pomocą, ponieważ po przekroczeniu Araru musieli iść dalej, żeby zrobić tamtym miejsce. My, Helweci, nauczyliśmy się od naszych ojców, że

raczej odwagą i walecznością się mierzymy, niż mielibyśmy korzystać z haniebnych zasadzek i forteli. Uważaj więc, Cezarze, aby miejsce, na którym stoisz, nie zyskało nowej nazwy od klęski ludu rzymskiego i pogromu jego wojska, które ci tu zgotujemy, i aby pamięć o tym nie była przekazywana potomnym!

Cezar zazgrzytał zębami na wzmiankę o klęsce Rzymian sprzed pięćdziesięciu lat, ponieważ w tamtej bitwie poległ dziadek jego obecnego teścia. Doskonale rozumiał, że starzec zaciętrzewił się w swojej własnej wypowiedzi i że z jego strony prowokacja posunęła się za daleko, poza kontrolowany wybuch. Cezar zdawał sobie sprawę, że w nocy uciekł się do zasadzki, i był z tego niesłychanie zadowolony, nie sądził bowiem, że w walnej bitwie jego legiony miałyby szanse równać się z całymi zastępami Helwetów w tak niekorzystnych warunkach i położeniu jak podczas przekraczania Araru.

- Moje wahanie jest teraz o tyle mniejsze, że sprawy, o których przypomniałeś, zachowałem w pamięci, a im mniej z winy ludu rzymskiego się wydarzyły, tym przykrzej je odczuwam¹ - odezwał się Cezar powoli. - Nie poczuwam się do żadnego przewinienia, by się czegoś obawiać, a nie sądzę, by się trzeba było strzec bez powodu. Gdybym chciał puścić w niepamięć dawne zniewagi, jakich się dopuściliście, musiałbym zapomnieć również o świeżych krzywdach, kiedy wbrew mojej woli szukaliście przejścia przez Prowincję, kiedy dopuściliście się gwałtów na Eduach, Allobrogach i Ambarrach. Do tego jeszcze bezkarnie chępcie się swoim zwycięstwem i sami dziwicie się, że tak długo bezkarnie popełniacie przestępstwa. Bogowie nieśmiertelni, którzy chcą pokarać śmiertelnika za jego zbrodnie, zwykle pozwalają mu na przejściowe sukcesy, aby tym bardziej odczuł on zmianę swego losu. Tak się mają te sprawy. Mimo to gotów jestem zawrzeć z wami pokój, jeśli dacie mi zakładników i jeśli przekonacie mnie, że spełnicie to, co przyrzekacie, i zadośćuczynicie Eduom za krzywdy wyrządzone im samym, a także Allobrogom i ich sprzymierzeńcom.

Na twarzy Dywika malowało się święte oburzenie. Starzec

zatrząsał się, po czym wstał chwiejnie na nogi i obrzucił Cezara nienawistnym spojrzeniem. Cezar patrzył na niego beznamyślnie, oczami człowieka, który doskonale wie, jakiej prowokacji się teraz dopuścił. Za nic w świecie nie chciał doprowadzić do pokoju między Rzymem a Helwetami, a wiedział, że tamci nie dadzą zakładników, gdyż to byłoby poniżej ich godności.

- Od swoich przodków Helweci nauczyli się, że w ich zwyczaju jest zakładników brać, a nie dawać! - parsknął starzec. - Lud rzymski sam tego doświadczył!

Po tych słowach wyszedł przez nikogo niepowstrzymany, gniewnym ruchem drżącej ręki rozchylając poły namiotu. Legaci Cezara, którzy byli obecni przy rozmowie oraz tłumacz nie kryli swego oburzenia, ale prokonsul uśmiechał się tylko tym swoim cierpkim, kpiącym uśmiechem.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Na rękę mi zachowanie tego głupca.

- Oni ruszą na zachód, wodzu - odezwał się Galba, który do tej pory niewiele odzywał się przy Cezarze.

- Tak - odparł Cezar. - A mu ruszymy za nimi.

Nic tak bardzo jak przypomnienie dawnej klęski legionów nie działało na Rzymian jak płachta na byka. Żołnierze wpadali w furję, ilekroć wróg dawał im do zrozumienia, że wie, iż kiedyś jakiś legion lub jakaś kohorta zostały wyrżnięte przez barbarzyńców. Teraz zaś Cezar miał zamiar wykorzystać wypowiedź starego naczelnika, aby podburzyć legionistów do walki. Dlatego tego samego dnia na wieczornym apelu wszedł na specjalnie w tym celu ustawiony pień. Zdjął pancerz i występował przed armią w samej tylko prostej żołnierskiej tunice z mieczem u boku. W rękę trzymał kawałek marchwi i raz po raz pogryzał ją, stojąc w niedbałej pozie.

- Żołnierze! Legioniści! - zwrócił się do swoich oddziałów. - Dzisiaj odwiedził mnie niejaki Dywiko, naczelnik Helwetów. Wiecie, co mi powiedział? Że chce pokoju. Cezar ugryzł marchew i przez chwilę beztrosko ją chrupał. - Pokój. Mówią o pokoju, robiąc jednocześnie to, co robią. Nie mówię o rabowaniu mienia naszych sojuszników, o gwałtach

na kobietach i mordowaniu niewinnych, bo jesteście zbyt dużymi chłopcami, by poruszały was takie historyjki. Mówię o czym innym: o podważaniu woli rzymskiego ludu, którego ja jako wasz wódz jestem przedstawicielem. Cezar powiedział im: Nie wolno wam przekraczać Rodanu i iść na zachód. Cezar to wola narodu rzymskiego. A oni co robią? Wykorzystują fakt, że Cezar odjechał do Galii Przedalpejskiej, i od razu paktują za naszymi plecami, po czym bezczelnie sobie odjeżdżają, w dupie głęboko mając wolę Cezara i kpiąc sobie z jego armii. A co my na to? Ano nic, siedzimy sobie i czekamy, aż inni łaskawie wyślą do nas posłów, aby nas poprosić o pomoc. Cezar odgryzł kolejny kawałek marchwi, dając legionistom czas na przywyknięcie do stylu jego niezwykłego przemówienia. - Ale to jeszcze nic. Ten Dywiko, wielki naczelnik Helwetów, przyjeżdża sobie dzisiaj do namiotu wodza, żłopie wino jak uliczny motłoch, mało nie dławi się chlebem i serem, po czym mówi, że chce pokoju, ale na swoich warunkach. Że zrobi to, czego Cezar zechce, ale po swojemu. Cezar mówi mu, żeby zabrał swoje tabory i wracał, skąd przyszedł, gdzie bogowie kazali mu pierwotnie mieszkać, a ten na to, że ani myśli wracać na stare śmieci i że za nic ma słowo Cezara. Cezar zatem odpowiada, że w przeciwnym razie będzie zmuszony wypowiedzieć mu wojnę, a Dywiko na to, że my, Rzymianie, mamy się strzec dzielnych Helwetów, którzy nas przed pół wiekiem rozgromili! Że mamy uważać na męstwo tych, którzy zabili konsula Kasjusza, a naszym ojcom kazali przejść pod jarzmem jak stada bydła!

Wśród legionistów rozległ się pomruk.

- Jak śmie taki Dywiko pouczać imperatora Narodu Rzymskiego! - wrzasnął Cezar. - Jak śmie mówić, że wy, legionieści, jesteście babami i tchórzami, którzy atakują z haniebnych zasadzek, że wasi ojcowie i dziadowie, którzy wówczas walczyli, to banda nieudaczników, którzy pełzali pod helwecką potęgą!

W tłumie zagotowało się. Pomruk przeszedł w pełen wściekłości syk. W setkach gardeł bulgotała narastająca złość. Cezar spokojnie pogryzał marchew.

- Cezar zaproponował mu oddanie zakładników, a wiecie, co ten mądrała odparł? Że to nie oni dają zakładników, ale my mamy im ich dostarczyć. Od kiedy to armia rzymska dostarcza zakładników? I to komu? Armia rzymska ich bierze i rozporządza nimi wedle swego uznania! Kiedy Cezar mu to powiedział, ten po prostu wstał i wyszedł. I mówi: strzeż się, Cezarze, aby to miejsce nie stało się miejscem klęski twoich żołnierzy, tak jak stało się miejscem klęski waszych ojców! Oni, Helweci, wyrzną nas jak zające na kolację i podadzą z marchewką swoim dziwkom, zanim sobie z nimi ulżą.

Bulgot przeszedł w okrzyki gniewu. Cezar wiedział, gdzie uderzyć, żeby zabolalo. Ostentacyjnie gestykułował nadgryzioną marchwią, obserwując reakcję swoich żołnierzy. Prości ludzie, jakimi byli legionieści, nie potrzebowali zbytnej zachęty do walki.

- I co, może pozwolimy im odebrać nasze orły i zbudować kolejne jarzmo, żebyśmy pod nim przeszli na podobieństwo psów poganianych batem?

Chóralne „Nie!” wydobyło się z tysięcy gardeł.

- To co w takim razie zrobimy? Mamy dwa wyjścia: albo dać sobie spokój, wracać grzecznie do Prowincji i czekać tam, aż Helweci się osiedlą, zapuszczą korzenie i sami nas zaatakują, albo iść za nimi, wydać im bitwę i pokazać, że to oni, nie my, winni iść pod jarzmem. Czy chcecie pomścić raz jeszcze konsula Kasjusza i przelaną pięćdziesiąt lat temu rzymską krew? Pozwolicie, żeby Helweci mieli nas za baby? Żeby chępnili się jednym łutem szczęścia, jaki im się kiedyś trafił? Bo ja uważam, że należy iść za nimi, dorwać ich i tak porządnie skopać im dupy, żeby raz na zawsze zapamiętali, kto ustala ład w Galii i w Prowincji. To wy, żołnierze, jesteście tu od ustalania zasad, a nie Helweci, którzy sprzeciwiają się zbrojnemu ramieniu ojczyzny! Powinniśmy ich raz na zawsze tego nauczyć, żeby z kolei oni opowiadali swoim dzieciom i wnukom o wielkiej klęsce, jaka na nich spadła z rąk rzymskiej armii! Cezar wyrzucił nadjedzoną marchew na ziemię. - Żołnierze! - krzyknął. - Co powiecie?

- Cezar!!! - rozległ się chóralny wrzask legionistów.

- Jutro o świcie oni ruszą dalej - powiedział Cezar spokojnie. - Jeżeli taka będzie wasza wola, ruszymy za nimi i damy im porządnie popalić. Chcecie tego, żołnierze?

- Jeśli Dywiko chce pokoju, niech się szykuje do wojny! - wrzasnął jeden z centurionów.

Inni poszli w jego ślady.

Wrzask i uderzanie włóczniami o tarcze wystarczyły za odpowiedź. Skandowanie i krzyki trwały jeszcze jakiś czas po tym, jak Cezar zszedł z „mównicy” i zniknął w namiocie. Zmęczony wydarzeniami minionego dnia usiadł za stołem i skinął na adiutanta, by ten nalał mu kielich wina. Zamknął oczy i oparł głowę na ramionach, ale wiedział, że nieprędko zazna snu, gdyż najpierw musi przedyskutować strategię ze swoimi legatami. Przyniósł wojnę do Galii. Odwrotu nie było.

¹ Mowa Cezara za: Cezar, *Wojna galijska*, I 14, 2-7.

X

Kiedy Cezar dowiedział się o klęsce niewielkiego oddziału jazdy wysłanego w ślad za jedną z grup Helwetów, omal nie dostał szału.

Trudno zresztą nazwać liczbę czterech tysięcy jeźdźców niewielkim oddziałem, choć dodać należy, że Cezar przeznaczył do rozprawy z helwecką konnicą jazdę złożoną przede wszystkim z oddziałów sprzymierzonych pod wodzą Dumnoryksa, a nie z samych Rzymian. Tego samego Dumnoryksa, który był bratem Dywicjaka i dzięki temu cieszył się zaufaniem Cezara. Umiarkowanym zaufaniem, należałoby dodać. On to wykazał się niepotrzebną brawurą i krótkowzrocznością i dał się wciągnąć w zasadzkę ze strony konnicy wroga. Haniebny był sam fakt, że doświadczona rzymska kawaleria dała się zaskoczyć i niemal doszczętnie wyrznąć. Owe cztery tysiące stanowiły przednią straż Rzymian i posuwały się w awangardzie, dopiero za nimi maszerował trzon armii, a za armią postępowały tabory i auxilia, czyli oddziały pomocnicze. Cezar liczył na to, że dzięki wysłaniu przodem konnicy znowu uda mu się poszarpać oddziały wroga, stało się tymczasem na odwrót.

Z pewnością jednym z powodów niepowodzenia było ukształtowanie terenu, a do tego znajomość go przez Helwetów i brak orientacji ze strony rzymskich legionistów. Jednak w umyśle Cezara nie po raz pierwszy zakiełkowało wówczas podejrzenie względem Dumnoryksa, zwłaszcza gdy od swoich informatorów dowiedział się, że ów „wybitny” wódz dał tyły jako jeden z pierwszych, pozostawiając oddział na pastwę losu czy raczej dobrze zorganizowanych Helwetów.

- Nie doceniłem ich konnicy - mruzczał do siebie Cezar wieczorem tego samego dnia, kiedy połowa jazdy wróciła do obozu w oplakany stan. - Niech to Furie porwą, z tych Galów doprawdy są wspaniali jeźdźcy!

Jeźdźcy, którzy zdołali powrócić, opowiadali wodzowi o wyczynach hippicznych galijskich kawalerzystów. Potrafili oni stanąć na grzbiecie konia podczas pełnego galopu i jednocześnie strzelać z łuku lub rzucać oszczepem, a potem dosiąść z powrotem konia i walczyć za pomocą miecza. W ten sposób pięciuset konnych Helwetów obróciło w perzynę jazdę rzymską, czy może ściślej rzecz biorąc, jazdę Eduów pod wodzą Dumnoryksa.

Po tym wydarzeniu Helweci wyraźnie się rozochocili i zwolnili tempo marszu tylnych oddziałów, mając nadzieję na to, że Rzymianie zechcą raz jeszcze zaatakować. Ale Cezarowi ani w głowie była kolejna porażka, nawet tak drobna, bo nie miał zamiaru tłumaczyć się potem przed Senatem, że tak łatwo dał wybić połowę legionu. Zamiast tego zabronił plądrowania okolicy i różnego rodzaju wycieczek. Obserwował każdy ruch wroga i tak dzień po dniu przez połowę miesiąca armia rzymska posuwała się powoli za niknącym na zachodzie oddziałem Helwetów, bez możliwości wypowiedzenia im bitwy. Cezar roztropnie zachowywał odległość, ale nie zwiększał jej ponad sześć tysięcy kroków, by nie stracić wroga z oczu.

Tymczasem Cezara nękał znacznie poważniejszy problem niż niemożność wydania wrogowi bitwy. Armii zaczynało brakować zboża. Kiedy znajdowali się we własnej prowincji, mogli liczyć na regularne dostawy, a kiedy szli wzdłuż Araru, mogli oczekiwać na barki pływające po rzece. Ale Helweci przeszli już przez Arar i kierowali się na niziny, na ziemię Sekwanów, tak więc Rzymianie stali się całkowicie zależni od dostaw zboża od Eduów. Problem polegał na tym, że zboże to, pomimo codziennych apeli Cezara do sojuszników, nie docierało.

- Miałeś rację, Balbusie - westchnął Cezar któregoś dnia, kiedy jasne się stało, że ktoś wśród Eduów sabotuje dostawy zboża. - Jak tak dalej pójdzie, to nasi zorganizują bunt, a to jest

ostatnia rzecz, której bym sobie życzył.

Siedział w swoim namiocie w towarzystwie Labienusa, Balbusa i Galby. Chociaż starał się zachować spokój, to jednak w jego wzroku kryła się irytacja.

- Zawsze możesz posłużyć się chłostą lub decymacją - stwierdził Labienus.

Cezar pomyślał, że ten to ma w głowie tylko przemoc i rozlew krwi.

- Nie mam najmniejszego zamiaru posuwać się za daleko - odparł sucho. - Dlaczego mam karać moich ludzi za oczywiste błędy i niedociągnięcia innych?

Labienus zamilkł.

- Moi informatorzy otrzymali wiadomość, że zboże już nadchodzi - odezwał się Galba ponuro.

- Tak, dwa dni temu też to słyszałem - zaśmiał się Cezar. - Już zbieramy zboże. Już je zwozimy. Już nadchodzi. A tymczasem zboża jak nie było, tak nie ma, a ja za dwa dni muszę rozdzielić ludziom zapasy albo istotnie zorganizuję bunt.

Cezar wiedział, że jest w kropce. Był jeszcze zbyt krótko związany ze swoją armią, by pozwolić sobie na racjonowanie żywności, a jedna trzecia jego armii składała się z nowicjuszy, którzy nie nawykli do takich praktyk. Starzy weterani, którzy niejedno przeszli, wiedzieli, że w krytycznych momentach może dojść do wydzielania pożywienia, ale nie ci młodzieńcy, dwudziestoparoletni synowie senatorskich rodów. Na jak długo uda mu się uspokoić legionistów i zapewnić ich, że żywność jest już w drodze? Jeśli żołnierze zorientują się w rzeczywistej sytuacji, dojdzie do buntu, który natychmiast wykorzystają Galowie, i cała kampania pójdzie w rozsypkę. Tyle lat przygotowywania, tyle poświęceń, a w ostatnim czasie tyle wykonanych drastycznych kroków, i to wszystko miałyby pójść wniwecz?

Cezar przypomniał sobie, jak kiedyś przed laty uwięzili go na statku piraci. Wiedział, że w każdej chwili mogą pozbawić go życia, nawet jeśli był dla nich cenny, a mimo to zachowywał się tak, jakby to on był panem sytuacji. Teraz, siedząc w namiocie, myślał, że wódz jest tak naprawdę więźniem swojej

armii. Niby sprawuje kontrolę i dowodzi, ale w każdej chwili wojsko może się zbuntować i przejąć dowodzenie. Problem polegał na tym, że legionistów było kilkadziesiąt tysięcy, podczas gdy on był jeden.

Stwierdził, że musi postawić wszystko na jedną kartę i wezwać przed swoje oblicze naczelników plemiennych. Niech sojusznicy, jakimi mienili się Eduowie, tłumaczą się teraz ze swej opieszałości. Bo jeżeli Cezar ma liczyć na takiego rodzaju wsparcie, to już raczej nie chce żadnego – wówczas wszedłby w sojusz z Helwetami i zemściłby się na Eduach. Nie chciał stracić tak dobrego sprzymierzeńca jak Liskus, ale z drugiej strony nie mógł pozwolić, by jakieś galijskie plemię dyktowało warunki rzymskiemu prokonsulowi. Czy to ma być powtórka z rzymskiego Senatu? Czy ma być tak jak za jego konsulatu, kiedy byle trybun miał prawo podważyć jego decyzje przez złożenie weta?

- Niech vergobret i jego najbliższy doradca stawią się u mnie najpóźniej za dwa dni – powiedział w powietrze, ale legaci i tak doskonale wiedzieli, że to rozkaz, a nie czcze gadanie. - Chcę tu widzieć Liskusa i Dywicjaka. Niech się wytłumaczą.

Nie miał ochoty przywoływać do porządku swych sojuszników, ale w tej sytuacji nie było innej rady i Cezar doskonale o tym wiedział. Gdyby teraz pokazał, że jest słaby, i zwrócił się o pomoc na przykład do Ariowista, jego autorytet zostałby silnie podważony.

Chociaż w duchu czuł zdenerwowanie i niepokój, a także niecierpliwość, jako że armia helwecka wciąż posuwała się na zachód, a Rzymianie niestrudzenie, ale z coraz mniejszymi zapasami zboża, ją ścigali, podczas gdy on był niepewny jutra – na zewnątrz obnosił spokojną twarz. Codziennie rano Rzymianie rozkładali jednonocny obóz i ruszali dalej za Helwetami. Każdy legionista, o ile nie był jeźdźcem, niósł ekwipunek ważący ponad dwadzieścia kilogramów. Konnica rządziła się swoimi prawami, ale też tylko najbogatszych obywateli stać było na konia z rzędem, toteż do konnicy należała elita arystokracji rzymskiej. Co wieczór, kiedy

zwiadowcy dawali znak, że Helweci zatrzymali się na noc, Rzymianie wznosili nowy obóz. W tym celu należało zaznajomić się z terytorium, zbadać najbliższe otoczenie, wystawić czujki, wysłać zwiadowców przodem i wzmocnić tylną straż. Osobna kohorta osłaniała tabor, a legionieści wznosili drewniany obóz. Jeden manipuł kopał fosę, drugi stawiał umocnienia, trzeci wreszcie wznosił palisady, a główny architekt wyznaczał z góry przewidziane miejsca na namioty. Najpierw wznoszono namiot wodza, potem legatów, potem dopiero namioty szeregowców. Każdemu żołnierzowi wolno było odrzucić tarczę, ale poza tym nie wolno mu było zdjąć ekwipunku, aby w razie ataku wroga był całkowicie gotów do jego odparcia. Co wieczór Cezar wchodził na podwyższenie i wygłaszał pokrzepiającą mowę. Często z imienia wymieniał tego legionistę, który jego zdaniem wybitnie zasłużył się w danym dniu. Jeżeli była ku temu okazja, rozdawał odznaczenia i nagrody. Zdobywał sobie zaufanie i oddanie swoich żołnierzy. Ganił ich niezwykle rzadko... De facto ani razu jeszcze mu się to nie zdarzyło, chociaż po przegranej przed paroma dniami potyczce miał na to wielką ochotę.

Żołnierze jak na razie ufali mu, kiedy zapewniał ich, że żywność jest już w drodze. I tylko on sam wiedział, jaka naprawdę jest sytuacja, i rozmyślał o tym podczas bezsennych nocy. W tej chwili oddałby wszystko za kojący dotyk dłoni Kalpurni, za jej gorące usta, za jej czułe ramiona. Ze zdumieniem uświadamiał sobie, że o dziwo nie myśli wcale o Kornelii, która wszak była miłością jego życia i do której nieustannie tęsknił, ani o pięknej, inteligentnej i czarującej Serwili, tylko właśnie o swej obecnej małżonce.

Drugiego dnia od jego wezwania do obozu zjechali naczelnicy plemienni. Było ich ponad trzydziestu, w tym Liskus, pełniący w tym roku funkcję vergobreta, oraz Dywicjak. Ten ostatni występował w oficjalnych białych szatach druida, z wieńcem z dębowych liści na włosach i z dębową laską. Cezarowi wydawało się co najmniej dziwne oglądać mężczyznę w kwiecie wieku w szatach, które jego zdaniem przystoją raczej starcowi. Nic jednak nie powiedział. Ugościł swych sojuszników

resztkami zapasów i italskim falernum. Wiedział, że u Galów panuje zwyczaj, zgodnie z którym najpierw podejmuje się swoich gości, a dopiero po kolacji wypytuje, z czym przybyli. Cezar wiedział, w jakim celu przyjechali naczelnicy, ostatecznie sam ich o to poprosił, a prośbie Cezara nie należało się sprzeciwiać, tyle to już Eduowie wiedzieli. On sam jadł niewiele i bardzo skromnie, trochę chleba, koziego sera, oliwek i nieco winogron. Nigdy nie objadał się zbyt, nie lubił wystawnych uczt, ale dla swoich gości kazał tego dnia zarznąć barana i teraz podejmował ich gorącą pieczenią prosto z rusztu.

Wreszcie stoły uprzątnięto, podano jeszcze raz falernum zmieszane z wodą na sposób grecki, tak że w kraterze na jedną część wina przypadały dwie części wody. Galowie byli cokolwiek zdziwieni, wszak oni przywykli do zupełnie innego rodzaju trunków i nie szczydzili sobie wina ani piwa. Cezar był jednak nieugięty.

- Poprosiłem was o przybycie tutaj z bardzo ważnego powodu, jakim jest opieszałość w dostawach zboża - zaczął Cezar bez zbędnych wstępów. - Chciałbym, abyście mi to wytłumaczyli. Od dziesięciu dni proszę was o dostarczenie żywności i słyszę jedynie, że zboże jest zbierane, ładowane na wozy i wiezione do mnie, ale jak dotąd nie ujrzałem ani jednego ziarenka. Jak to wytłumaczycie?

Wśród zebranych rozległy się pomruki. Wreszcie Liskus zdecydował się przemówić.

- Cezarze, my sami mamy problem z otrzymaniem zbiorów na czas - powiedział bez przekonania, czym utwierdził Cezara w przeświadczeniu, że kłamie. - Oczekiwaliśmy dostawy pięć nocy temu.

Cezar posłał mu miążdzące spojrzenie.

- Liskusie, nie bądź niemądry! - warknął. - Czy tobie się wydaje, że Cezar jest dzieckiem? Że się urodził wczoraj? Czy wam, Eduom, wydaje się, że armia rzymska nie potrzebuje żywności? Skąd niby mamy ją wziąć, skoro prowadzimy wojnę z waszym wrogiem, na którego osobiście donieśliście mi, skoro ja sam nie mam możliwości zakupienia zboża ani tym bardziej zebrania go z pola, ponieważ znajduję się w bezpośredniej

bliskości nieprzyjaciela? Czy chcecie grać na dwa fronty? Sympatyzujecie po cichu z Helwetami? Nawiązujecie z nimi kontakty za moimi plecami? Czy zapomnieliście, że wasi posłowie przybyli do mnie, błagając, bym ukrócił rozpasanie Helwetów po tym, jak grabili wasze wsie, miasta, pola, gwałcili kobiety, zabijali dzieci, nie licząc się z prawem ludzkim i boskim? Zapomnieliście?! Liskusie, po co wzywałeś Rzym do obrony swojej niepodległości, skoro teraz odwracasz się od Rzymu plecami? Czy tak ma wyglądać sojusz? Czy chciałbyś, abyśmy my kiedyś postąpili tak samo i w waszej ciężkiej godzinie odmówili wam koniecznego wsparcia? Czy chcesz, aby moi żołnierze szli do bitwy z pustymi brzuchami, głodni i wynędzniali? Po co mi taki sojusz? Jeszcze dzisiaj mogę kazać wojsku wycofać się z Galii i będę spokojnie patrzył, jak z jednej strony nękają cię Helweci, z drugiej Ariowist, a z trzeciej jego zięć Wercyngetoryks, bo do tego zapewne też dojdzie!

Liskus uświadomił sobie, że Cezar może mieć rację. Jeśli Helweci osiada na sąsiednich ziemiach, to on nie chciałby dożyć dnia, w którym oni, Ariowist i Arwernowie zjednoczą się przeciwko Eduom.

- Cezarze - odezwał się łamiącym się głosem. - Zrozum, że sam niewiele mogę zdziałać. Są tacy, którzy cieszą się bardzo wielkim uznaniem wśród ludu i którzy jako osoby prywatne więcej mogą zdziałać niż sami urzędnicy. Oni to podburzającymi i niegodziwymi wystąpieniami zastraszają ludność, by nie dostarczała zboża, do którego przekazywania się zobowiązała. Mówią, że jeżeli sami nie możemy zdobyć pierwszeństwa w Galii, to niech już raczej nasi ludzie znoszą władzę Galów niż Rzymian, nie ma bowiem wątpliwości, że jeśli Rzymianie pokonają Helwetów, to także wraz z resztą Galii pozbawią Eduów wolności. To oni ujawniają wrogom wszystkie nasze zamierzenia, a także to, co dzieje się w obozie. Ja ze swej strony nie mam możliwości ich poskromić. Co więcej, pojmuję, na jakie niebezpieczeństwo sam się narażam, ujawniając przed tobą z konieczności tę palącą sprawę. Z tego właśnie względu milczałem, jak długo mogłem.

Liskus umilkł i zwiesił głowę. Cezar powiódł wzrokiem

po zebranych i ujrzał, że druid Dywicjak, jak dotąd najgorętszy orędownik i sojusznik Cezara, jest całkowicie biały na twarzy. Bał się. Słowa Liskusa ujawniły to, o czym on sam wiedział i co zmilczał przed Cezarem, chociaż w ramach sojuszu powinien był wyjawiać prawdę. Cezar nie był głupi, rozumiał doskonale, kiedy urzędnik chce lub musi kryć kogoś ze swych krewnych. A jedynym krewnym, który się w tej chwili liczył i który występował jako osoba prywatna, był w przypadku Dywicjaka jego brat Dumnoryks.

Dywicjak uniósł głowę i spojrzał Cezarowi w oczy. Nic więcej nie musiał dodawać.

Zebranie trwało dalej, ale Cezar siedział, nie słuchając reszty przemawiających naczelników. Zastanawiał się nad lojalnością Galów. Już wcześniej wiedział, że istnieją u nich frakcje, często wrogie względem siebie, a zatem nie inaczej niż to miało miejsce w Rzymie. Ale słowa Dumnoryksa przytoczone przez Liskusa, który zdaniem Cezara był nędznym tchórzem, świadczyły o tym, że brat Dywicjaka może stanowić w przyszłości poważny problem. Na nieszczęście dla Cezara okazywał się on człowiekiem o szerokich horyzontach i dalekowzrocznym, poza tym umiał wyciągać właściwie wnioski. Cezar nie miał zamiaru poprzestać na poskromieniu jednego nędznego plemienia, tylko przeciw naprzód, aż cała Galia zostanie podporządkowana zwierzchnictwu Rzymu. Dumnoryks zdawał się doskonale pojmować jego intencje.

Bardzo niedobrze.

Gdyby Dumnoryks sprzyjał Cezarowi, ten miałby z takiego sojuszu ogromne korzyści. Niestety wszystko wskazywało na to, że ów niepokorny brat Dywicjaka ogarnięty był niezdrową ambicją, a poza tym nienawidził Rzymian i rozmyślnie sabotował ich poczynania. To należało ukrócić.

I to natychmiast.

Dał znak, że zebranie dobiegło końca. Kiedy naczelnicy zaczęli przepychać się do wyjścia, Cezar kiwnął głową na Liskusa, dając mu do zrozumienia, że chce porozmawiać z nim na osobności. W namiocie wodza zostali tylko on sam, Liskus oraz tłumacz Gajusz Waleriusz Trocyllus, który pochodził

z Prowincji i uważał się za Rzymianina.

- Nie powiedziałaś mi wielu rzeczy, Liskusie - odezwał się Cezar oskarżycielskim tonem. - Zrozum, że Rzym nie może ci pomóc, jeśli będziesz mnie okłamywał.

Liskus wyglądał na udręczonego i Cezar doskonale zdawał sobie sprawę z jego dylematu. Z jednej strony zależało mu na spójnym związku z Rzymem i na współpracy mającej na celu zlikwidowanie zagrożenia, jakie stanowili Helweci. Z drugiej strony nie bardzo pałał ochotą wydania swojego rodaka, brata poprzedniego vergobreta, człowieka wpływowego i potężnego.

- Cezarze, zrozum, że nie mogłem ci powiedzieć wszystkiego w obecności pewnych osób - jękał się. - To mogło być niebezpieczne.

- Mówiąc o pewnych osobach, masz na myśli Dywicjaka?

Liskus postanowił wyznać Cezarowi prawdę bez względu na konsekwencje.

- Cezarze, Dumnoryks jest potężnym człowiekiem. Przez całe lata korzystał z potęgi swego rodu, a kiedy Dywicjak został vergobretem, jego zuchwałość dosłownie sięgnęła zenitu.

- Ciekawe - mruknął Cezar.

Tłumacz, taktownie, nie przetłumaczył tych słów.

Liskus, kiedy już zapalił się do zeznań, chętnie oczerniał Dumnoryksa. Najwidoczniej arystokrata ów od dawna był cierniem w oku Liskusa, ale ze względu na koneksje rodzinne był nietykalny. Teraz najwidoczniej Liskus zaczął liczyć na poparcie i ochronę ze strony Rzymu.

- Dumnoryks zyskał na znaczeniu, ponieważ z jednej strony jest hojny dla ludu i dla swoich popleczników - mówił - z drugiej zaś strony trzyma w dzierzawie za niską odpłatnością cła i wszystkie pozostałe podatki, ponieważ nikt nie śmie podnieść stawki, kiedy on bierze udział w licytacji. Wszyscy się go boją.

Cezar znał system podatkowy Galów. Podatków mieli, ogólnie mówiąc, dwa rodzaje. Pierwszy, zwany przez Rzymian portoria, ściągany był za korzystanie ze spławnych rzek, jezior, portów morskich i rzecznych, a także mostów, dróg oraz przejść górskich. Drugi rodzaj podatku nosił nazwę vectigalia

i ściągano go za korzystanie z kopalń, majątków publicznych, lasów, rybnych rzek i jezior i tak dalej. Ponieważ rodzina Dumnoryksa posiadała ogromne majątki, do których należały właśnie pola, lasy, rzeki i drogi, Dumnoryks jako przedstawiciel rodu miał prawo ustanawiać własne podatki od ludzi, którzy chcieli korzystać z jego dóbr – notabene za odpowiednią opłatą mieli do tego prawo wszyscy Eduowie.

- Dzięki temu zdołał zgromadzić własne wojsko – ciągnął Liskus. Widać było, że spowiedź przed prokonsulem przynosi mu ulgę. - Na własny koszt stale utrzymuje przy sobie znaczną liczbę konnych, a poza tym ma wielkie możliwości nie tylko w naszym kraju, ale również w krajach sąsiednich. Dla własnej korzyści wydał swoją matkę za mąż za jednego z naczelników z plemienia Biturygów, a był to człowiek najzamożniejszy i najpotężniejszy. Sam ożenił się z przyrodnią siostrą Orgetoryksa, a z kolei swoją przyrodnią siostrę ze strony matki i inne krewne powydawał za mąż za naczelników innych plemion, tak że jest praktycznie nie do ruszenia.

- Och, uwierz mi, Liskusie, każdy człowiek jest do ruszenia.
- Cezar uśmiechnął się.

Pamiętał bardzo dobrze czystki, jakie w Rzymie przeprowadzał swego czasu Sulla. Cezar również trafił na listę proskrypcyjną i tylko zmienny charakter Sulli sprawił, że w tym momencie stał na galijskiej ziemi, a nie gryzł piachu albo nie uleciał z dymem na stosie pogrzebowym.

- Ze względu na swoje rozliczne koneksje sprzyja i pomaga Helwetom – podjął Liskus. - Z osobistych pobudek zaś nienawidzi cię, Cezarze, zwłaszcza że do łask u Eduów powrócił jego brat Dywicjak, który jest z tobą związany sojuszem. Dumnoryks sądzi, że jeśli Rzymianom coś się stanie, jeśli poniosą klęskę, to on będzie mógł zdobyć dla siebie władzę królewską w naszym kraju. Z pomocą Helwetów, rzecz jasna. On, Kastykus i Orgetoryks zawiązali potajemny spisek, który jednak wyszedł na jaw w związku z procesem Orgetoryksa, na którym zjawił się on z taką liczbą klientów, że sędziowie zarzucili pomysł oskarżania go. Wkrótce Orgetoryks zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, sądzę jednak, że żona

Dumnoryksa, a siostra Orgetoryksa, która jest ponętą kobietą, nakłania go po cichu do dalszego sprzyjania Helwetom przeciwko waszemu wojsku.

- Ach tak - mruknął Cezar, gładząc się po starannie ogolonej brodzie. - I to wszystko Eduowie przede mną zmilczeli, prosząc jednocześnie o pomoc ze strony mojej armii?

W głębi ducha Cezar rozumiał już, że Galom pod żadnym pozorem nie będzie wolno ufać, a swoje galijskie auxilia, jeśli nie chce wpaść w zasadzkę ze strony własnego wojska, będzie musiał objąć specjalnym nadzorem.

- Pod rządami rzymskimi Dumnoryks stracił na popularności, a co więcej, stracił również nadzieję na zdobycie władzy królewskiej - dodał Liskus. - Lud jest bowiem nękanym przez Helwetów i nie chce cierpień w imię ambicji jednostki.

- To rozumiałe - przytaknął Cezar.

Rzym również nie chciał cierpień w imię ambicji Sulli, o czym Cezar dobrze pamiętał, i rozumiał, że przez Dumnoryksa Eduowie za chwilę mogą znaleźć się na skraju wojny domowej, a tego zapewne sami by nie chcieli. Trzeba szybko interweniować, pozbyć się Helwetów, a potem rozważyć dalsze kroki.

- Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz, Cezarze - odezwał się Liskus. - Kilka dni temu ponieśliście klęskę z oddziałem Helwetów.

- To prawda - przyznał Cezar niechętnie.

- To była konnica pod wodzą Dumnoryksa, prawda?

- Owszem. I co z tego?

- A to, Cezarze, że Dumnoryks nie został pokonany, ale jako pierwszy dał swoim ludziom sygnał do odwrotu. Twoi ekwicy dzielnie walczyli i polegli, on natomiast uciekł ze swoją jazdą do obozu rzymskiego. Ot, i masz całą prawdę.

Cezar poczuł, że krew się w nim gotuje, ale zachował obojętny wyraz twarzy. Więc to tak?! Poskładał sobie kilka elementów i ukazał mu się prosty wzór. To Dumnoryks przeprowadził Helwetów przez ziemie Sekwanów, to on osobiście zadbał o wymianę zakładników między Helwetami

i Sekwanami i uczynił to bez wiedzy i zgody Cezara oraz Eduów, przez których ziemie Helweci także mieli przejść. Dodatkowo sabotował dostawy żywności dla rzymskiej armii, chcąc ją najwyraźniej umorzyć głodem. Jeden nędzny człowiek, a narobił tyle szkód i postawił Cezara w niebywale trudnej sytuacji.

- Dziękuję ci, Liskusie - powiedział. - Twoja pomoc dla ludu rzymskiego jest nieoceniona, a ja osobiście nigdy ci tego nie zapomnę. Od tej pory możesz czuć się osobistym przyjacielem Cezara, a co za tym idzie, znajdujesz się pod jego ochroną. Dumnoryks ci nie zagrozi, bądź tego pewien.

Cezar znany był z tego, że nie rzuca słów na wiatr, toteż Liskus, który czuł się dość podle, wydając Dumnoryksa, odczuł niejaką ulgę. Nie chciał, żeby możny arystokrata zemścił się na nim za to, co sam właśnie uczynił. Zaczął dziękować, ale Cezar odprawił go jednym ruchem ręki. Zamyślony zastanawiał się już nad kolejnym problemem. Skoro miał winnego, to należało go przykładowo ukarać, aby się Eduom nie wydawało, że każdy z nich może poczynać sobie tak bezkarnie jak Dumnoryks. Miał poważny dylemat, wiedział bowiem, że zgodnie z zasadami rzymskimi powinien ukarać całe plemię, na przykład odmawiając im dalszej pomocy. To jednak byłoby błędem o tyle, że Cezar zbyt mocno zaangażował się już w konflikt między Eduami i Helwetami. Nie tylko zraziłby do siebie Eduów, ale ściągnąłby sobie na kark Helwetów, a nie było wykluczone, że oba plemiona szybko zawarłyby sojusz przeciwko Rzymianom. Nie, to nie wchodziło w grę. Jeśliby chciał znowu skrócić o głowę samego Dumnoryksa, a miał na to ogromną ochotę, zważywszy na straty, na jakie ów naraził armię, a zwłaszcza ze względu na zdradę, którą Cezar odczuł jako policzek, to na przeszkodzie stał jego brat Dywicjak, którego Cezar potrzebował do prowadzenia dalszej kampanii. Coś jednak należało przedsięwziąć, dlatego Cezar postanowił wezwać na osobności samego Dywicjaka, by wytłumaczył się z grzechów brata.

Dywicjak wszedł do namiotu z nietęgą miną, co dość dziwnie wyglądało u mężczyzny jego postury. Druid był

słusznego wzrostu, dobrze o głowę wyższy od Cezara, miał typową dla Galów budowę: długie nogi i szerokie ramiona – i w niczym nie przypominał mu ludzi znad Morza Śródziemnego. Jak na druida przystało, nosił białą szatę przewiązaną w pasie sznurem, z którego zwisał rytualny nóż druidów. Na jasne włosy splecione w warkocze miał nałożoną dębową koronę. Cezar pomyślał, że to ostatnie mógł sobie już Dywicjak darować, ale nie odezwał się na ten temat ani słowem.

– Wiem, o co chcesz mnie zapytać, Cezarze – odezwał się niepytany, kiedy tylko Cezar wskazał mu miejsce przy stole. – I zanim wydasz jakikolwiek werdykt, błagam, wysłuchaj mnie!

Cezara zdumiało to zachowanie. Spodziewał się odpierania zarzutów, a nawet ataku, ale najwyraźniej Dywicjak był świadomy błędów Dumnoryksa i winę chciał wziąć na siebie. *No cóż* – pomyślał Cezar. *Niech bierze. Chętnie posłucham, co ma mi do powiedzenia.*

– Dywicjaku, wezwałem cię tu nie po to, by wydawać werdykt, ale by posłuchać twojej rady – odparł niemal ojcowskim tonem. – Sam bowiem słyszałeś, co w twojej obecności zostało powiedziane o twoim bracie, a ty nie zaprzeczyłeś ani jednemu słowu. Proszę, abyś nie czuł się w najmniejszym stopniu urażony, ale żebyś albo sam zawyrokował o swoim bracie, albo nakazał to uczynić plemieniu.

– Chcesz, żebym skazał mego brata na śmierć? – zapytał przerażony Dywicjak.

Cezar posłał mu uważne spojrzenie i zrozumiał, że los kampanii zależy od tego, co teraz on sam uczyni. Jeśli skaze Dumnoryksa na śmierć, zyska w Dywicjaku nieprzejednanego wroga, ale jeżeli daruje mu życie i tylko go upomni, Dywicjak będzie jego człowiekiem na dobre i na złe, bez względu na to, jak dalej potoczą się losy wojny w Galii.

– Chcę usłyszeć twoją opinię na temat słów Liskusa – odparł.

W namiocie oprócz ich dwóch znajdował się jeszcze tłumacz, ten sam co podczas rozmowy z Liskusem – Trocyllus, który bezbłędnie tłumaczył szybką wymianę zdań. Cezar

zastanawiał się, czy i jemu można ufać, czy stał się już Rzymianinem oddanym rzymskiej sprawie, czy czuje się jeszcze Galem i przekaże swemu bratu informacje, które tu usłyszał.

- Cezarze, znam brzemie przewin mojego brata - zaczął Dywicjak. - I potępiam jego zachowanie, dążenie do władzy. Nikt bardziej ode mnie nie cierpi z tego powodu, zwłaszcza gdy ponownie osiągnąłem władzę i wpływy. Ale Dumnoryks sam zapracował na swoją pozycję, ja zaś osądzam go poprzez przyzmat braterskiej miłości i opinii publicznej. Cezarze, jeśli ukarzesz surowo mego brata, to nikt nie uwierzy, że ja nie dałem na to mego zezwolenia, ponieważ cieszę się twoją wielką przyjaźnią. Ale w takiej sytuacji odwrócą się ode mnie serca wszystkich Galów, a ja sam zostanę wydany na łaskę i niełaskę Rzymu. Galowie odwrócą się również od ciebie, Cezarze, i nie udzielą ci pomocy w wojnie z Helwetami.

Łzy płynęły po twarzy druida, zanosił się łkaniem jak małe dziecko i Cezar, który widział w życiu niejedno oszustwo i był świadkiem niejednej wspaniałej aktorskiej gry w wykonaniu Cycerona, zrozumiał, że ten człowiek naprawdę lęka się o życie swego brata i że w tej chwili dręczony jest podwójnie mocno. Chciał być lojalny wobec obu stron, zachować przyjaźń Cezara, uznanie wśród swoich, a nade wszystko ocalić życie swemu bratu.

No cóż - pomyślał Cezar. Dumnoryks i tak jest już skazany na śmierć. Nawet jeżeli ja dzisiaj wyciągnę do niego rękę, on i tak ją kiedyś ukąsi, i to pewnie szybciej niż bym się spodziewał. Cezar dwa razy nie daruje komuś jego przewinień. Ale on niech zna moją łaskę, dzisiaj jeszcze Dumnoryks nie da gardła.

Wyciągnął rękę, ujął prawicę Dywicjaka i uścisnął ją w przyjacielskim geście.

- Nie płacz i zakończ swoje błagania, przyjacielu - odezwał się łagodnym głosem. - Wiedz, że cenię cię tak bardzo, iż na twoje prośby gotów jestem w niepamięć puścić przewinienia twego brata. Nie będę wspominał o krzywdach Republiki i o moich osobistych urazach. Nie skażę go na śmierć.

Następnie kazał wezwać Dumnoryksa, który również znajdował się wśród przybyłych Galów. Ten wszedł znacznie

mniej pokorny niż jego rozsądny brat. Na jego twarzy widoczna była buta i nienawiść, którą jednak zręcznie maskował udawanym szacunkiem. Kiedy spojrzał Cezarowi w oczy, pojął, że został zdemaskowany, ale jego słowa wyrażały skruchę wobec Cezara i narodu rzymskiego. W obecności brata poczuł się cokolwiek winny, ale nie swego sabotażu względem Rzymian, a tego, że naraził na szwank dobre imię Dywicjaka, bo tego akurat nie chciał uczynić. Pojednanie przebiegło w atmosferze życzliwości i kiedy Dumnoryks pił wino z bratem i Cezarem, wyglądało na to, że się odprężył.

Cezar był przekonany, że obaj bracia przeprowadzą rozmowę i że Dywicjak będzie starał się namówić Dumnoryksa do współpracy. Zapewne uczyni to w mniej łzawy i dramatyczny sposób niż przed Cezarem, ale on sam przywykł już do scen i tragizmu – dosyć się tego naoglądał w Senacie podczas wystąpień Cyncerona, o którym wiedział, że w domu godzinami ćwiczy przed lustrem pozy, miny i wykrzykniki.

Kiedy bracia wyszli, Cezar kazał zawołać Balbusa, który natychmiast przyszedł.

- Chcę, żeby Dumnoryks był otoczony nadzorem – powiedział zmęczonym głosem. – Ten zdrajca nie zasługuje na zaufanie. Ma być pilnowany dzień i noc. Chcę wiedzieć o wszystkim, co robi, co mówi, z kim śpi, nawet kiedy idzie za potrzebą. Wszystko, Balbusie, zrozumiano? I to dyskretnie, żeby nikt, a już zwłaszcza Dywicjak, nie nabrał jakichkolwiek podejrzeń, bo będzie bardzo źle.

- A jednak puścisz go dzisiaj żywego – zauważył Balbus.

- Owszem. Na zachętę. Ale nie sądzę, żeby długo potrwało, zanim on znowu zacznie swoje gierki. Nie jest zbyt subtelny, zostawia za sobą ślady, działa niemal całkowicie otwarcie i nawet Liskus wiedział, co wyprawia pod jego nosem. A jednocześnie ta żmija jest tak przebiegła, że trzyma w szachu tych wszystkich naczelników, którzy boją się mu podskoczyć ze względu na jego armię i monopol słowy. Nikt mu nic nie zrobi, nawet my teraz, dopóki on sam nie popełni rażącego błędu.

- A sądzisz, że popełni?

Cezar niewidzącym wzrokiem błędził gdzieś po ścianie namiotu i dopiero po dłuższej chwili skierował na Balbusa spojrzenie przenikliwych czarnych oczu.

- Czy popełni? - zaśmiał się. - Jestem tego więcej niż pewien. Tylko nie teraz, otrzymał nazbyt widoczne pouczenie, a Dywicjak już go przypilnuje. Przynajmniej do momentu, kiedy pozbędziemy się wszystkich wrogów Eduów.

Balbus chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie wbiegł adiutant Cezara z wiadomością, że zwiadowcy dostrzegli armię nieprzyjaciela zajmującą teren u podnóża góry, w oddaleniu ośmiu tysięcy kroków od jego dojsca.

- Wydać rozkaz mobilizacji - zarządził Cezar. - Wołać mi tu Labienusa! A ci tam niech się już wynoszą. - Kiwnął głową w kierunku naczelników. - Tylko grzecznie, żeby nie poczuli się urażeni.

Uznał, że mimo wszystko dzień skończył się dla niego pomyślnie, a co lepsze, dał mu szansę pokonania oddziału Helwetów. Chociaż odczuwał zmęczenie i nadal jak cierń tkwiło w nim poczucie upokorzenia ze strony Dumnoryksa, w oczekiwaniu na Labienusa wstał z miejsca i zaczął układać strategię ataku na Helwetów.

Aby uzyskać pewność co do rzeczywistej pozycji wroga i ukształtowania terenu, Cezar rozkazał wysłać w ślad za pierwszym drugi patrol. Dowódcą zwiadu mianował doświadczonego weterana Publiusza Konsydusza, o którym wiedział, że może na nim polegać. Drugi patrol potwierdził wcześniejsze informacje, dodając, że podejście pod wzgórze jest łatwe i nie będzie wymagało od oddziału rzymskiego zbytniego trudu. W takiej sytuacji Cezar doszedł do wniosku, że nie należy zwlekać z atakiem, ale przeprowadzić go natychmiast, i to pod osłoną nocy, tak jak to uczynił w przypadku wcześniejszego nocnego ataku na Turyngów, wykorzystując element zaskoczenia.

Nocne wycieczki zawsze wiązały się z większym ryzykiem, jako że nieznający dobrze terenu żołnierze mogli się zgubić albo sami zostać zaatakowani przez ukryte gdzieś posiłki

wroga. Cezar jednak miał w pamięci opowiadanie swego wuja Mariusza o tym, jak dwa lata przed jego narodzinami pod Aquae Sextiae wykorzystał element zaskoczenia, przeprowadzając nocny atak na Teutonów. Wówczas taki manewr zadecydował o sukcesie, dlatego też Cezar stwierdził, że i teraz warto się nim posłużyć.

Labienus zgodnie z rozkazem wodza objął dowodzenie nad dwiema kohortami i wkrótce po trzeciej wigilii ruszył w ciemność. Cezar zdawał sobie sprawę, że jeśli Labienus oddali się o dwie godziny drogi, straci z nim jakikolwiek kontakt, ale to było konieczne ryzyko wpisane w przedsięwzięcie, choć niechętnie się na nie godził. Za legionami Labienusa Cezar wysłał zwiadowców, a sam ruszył na czele pozostałych sił dwie godziny po wymarszu Labienusa. Kolumnę otwierała jazda. Jeden legion pozostał w obozie, ponieważ Cezar zdawał sobie sprawę, że niszczenie pod osłoną nocy palisad, wiążące się z paleniem ich w ogniu, zwróciłoby niepotrzebnie uwagę wroga.

Armia maszerowała szybkim krokiem. Legioniści dzierżyli pochodnie i za ich pomocą oświetlali sobie drogę. Jadąc konno, Cezar zastanawiał się, w jakim stopniu do Eduów dotarł jego przekaz i jak szybko jego armia otrzyma niezbędne zboże. O tej porze roku faktycznie ciężko było z zaopatrzeniem – minął maj i zaczął się czerwiec. Ale Cezar pamiętał, że na północy dokonywano zbiorów znacznie później niż w Italii. Co prawda bezpośrednie niebezpieczeństwo sabotażu zostało zażegnane, już Dywicjak przypilnuje swego brata, a szpiegzy Cezara zrobią to samo po cichu, ale na zaopatrzenie będzie zapewne trzeba chwilę poczekać, a Cezar nie miał najmniejszego zamiaru zмагаć się jeszcze dodatkowo z buntem we własnych legionach. Nie należał do ludzi, którzy miewają sentymenty, ale nie chciał uciekać się do tak drastycznych metod jak decymacja albo chłosta.

Krok legionistów był miarowy. Centurioni co raz wznawiali odliczanie „lewa, lewa”, a Cezar im na to pozwalał, dopóki o świcie nie znaleźli się w odległości trzech kilometrów od obozu wroga. Wówczas nakazał absolutną ciszę i polecił

wygasić pochodnie, jako że na wschodzie niebo zaczynało się już różowić. Zdawał sobie sprawę, że Helweci zwykle ignorują położenie w terenie i dlatego dają się zaskoczyć siłom wroga. Zanim jednak zdołał uformować szyki do ataku, jak burza przypędził konno Konydyusz.

- Wodzu, wzgórze jest obwarowane armią Helwetów! - zawołał z końskiego grzbietu. - Widziałem na własne oczy ich hełmy, broń i insygnia!

- Stać! - krzyknął Cezar do legionistów. - Gadaj! - warknął do Konydyusza.

Czuł narastającą wściekłość, bo taka informacja oznaczała, że dwa legiony Labienusa zgubiły się gdzieś w nocnych ciemnościach, a na wzgórzu roi się od sił nieprzyjaciela. To zupełnie psuło mu szyki.

- Wzgórze jest zajęte przez wroga - wyrzucał z siebie Konydyusz. - Moi zwiadowcy przekazali mi taką informację, ale nie chciałem im wierzyć i sam podjechałem pod wzniesienie. Całe wzgórze jest zajęte.

- Ilu ich jest? - zapytał lakonicznie Cezar.

- Około dwunastu tysięcy. Teren pod wzniesieniem też jest zajęty.

Cezar zmełł w ustach przekleństwo. Dwanaście tysięcy. On miał przy sobie dwa legiony, które nigdy nie brały udziału w walce. Były to legion XI i XII. Spojrzał na wyczerpanych kilkugodzinnym nocnym marszem ludzi i doszedł do wniosku, że atakowanie wroga, który zajmuje dogodniejszą pozycję, bez żadnej wiedzy na temat pozycji Labienusa i jego sił byłoby szaleństwem. Doszedł do wniosku, że Helweci, skoro tylko zorientują się w sytuacji, ruszą do ataku.

- Dajesz głowę za te informacje? - zapytał raz jeszcze Konydyusza.

- Tak, imperatorze - odparł tamten.

Cezar wydał rozkaz wycofania legionów za pobliskie wzgórze i uformowania szyku bojowego. Zamierzał oczekiwać na atak w bezpiecznej pozycji. Czas mijał jednak i nic się nie działo. Ludzie na stanowiskach zaczęli się niecierpliwić. Czerwcowe słońce pięło się po niebie, robił się późnowiosenny

upał. Cezar uśmiechnął się pod nosem, myśląc sobie, że Labienus doskonale wypełnia rozkazy, nie zaczynając ataku, zanim nie rozpoczną go siły Cezara. Kiedy jednak nastąpiło południe, a Helweci wciąż nie ruszyli do ataku, zniecierpliwiony Cezar wysłał na rekonesans czterech zwiadowców.

Zwiadowcy wrócili po dwóch godzinach. Nie mieli dla Cezara optymistycznych informacji.

- Wodzu, Labienus zajął miejsce na wzgórzu - poinformował zwiadowca. - Helweci szykują się do drogi. Labienus nie ruszał się ze zdobytej pozycji, czekając, aż twoje legiony ruszą do ataku. Zastanawiał się, dlaczego jeszcze nie ruszyły.

Twarz Cezara przybrała wyraz chmury gradowej.

- Bogowie! - syknął. - Na trzy Furie!

Ponieważ zwiadowcy byli wyczerpani, Cezar nakazał im pozostanie na miejscu przez godzinę, a potem ruszenie do obozu.

- Tam przekażcie rozkaz, że obóz ma zostać zwinięty, a siły mają być przerzucone do mnie - powiedział. Będziemy się przesuwać za kolumną Helwetów na zachód. Najpóźniej dziś w nocy pozostawione oddziały mają do mnie dołączyć.

Reszcie legionistów kazał jak najszybciej ruszać na spotkanie Labienusa. Był w ponurym nastroju i zastanawiał się, co zrobić z Konsyduszem. Z jednej strony miał ochotę skrócić idiotę o głowę, z drugiej rozumiał, że on sam zawinił, powinien był bowiem wysłać szybciej jeszcze jeden zwiad. Był zły i rozczarowany, że taka niepowtarzalna okazja przeleciała mu koło nosa. Labienus tkwił beczynn timer na szczycie wzgórza, zajmował idealną pozycję i bezsilny patrzył, jak wróg ładuje swoje toboły na wozy, podczas gdy jedna błędna informacja sprawiła, że posiłki czekały za wzgórzami jak banda idiotów.

Cezar, jadąc na czele wojska, zgrzytał ze złości zębami. Następnym razem będzie musiał polegać na kim innym.

Oficerowie nie nadawali się do niczego. Senatorskie syny - myślał z pogardą. Wydaje im się, że wojna to zabawa i zbieranie łupów. Ależ był głupcem! Powinien był kazać Labienusowi przesłać sobie informację o zdobytej pozycji, jak tylko ją

uzyska! Dobrze, że Cezar potrafił uczyć się na błędach i tego błędu więcej nie popełni.

Spotkał się z Labienusem pod szczytem wzgórza, kiedy słońce zaczęło już opuszczać swój najwyższy punkt na niebie i przesuwać się zdecydowanie na zachodnią stronę. Cienie legionistów wydłużyły się i nabrały ostrości.

- Czekałem na ciebie, Cezarze - rzucił Labienus ostro swoim nieprzyjemnym głosem. - Chciałem przesłać ci wiadomość, ale otrzymałem konkretne rozkazy.

- Dobrze uczyniłeś - odparł Cezar. - Gdyby wrogowie dostrzegli przez przypadek posłańca, jeszcze by nam tu urządzili przedstawienie.

- Następnym razem prześlę ci informację, jak tylko zdobędę pozycję - powiedział Labienus, a Cezar uśmiechnął się, bo przecież myślał o tym samym. - Co dalej?

- Jak dawno temu ruszyli Helweci?

- Godzinę.

Cezar przesunął brudną ręką po ogolonej głowie.

- Wieczorem ruszymy za nimi - zdecydował. - Na razie niech żołnierze odpoczną i zjedzą coś. I niech dwa legiony do nas dołączą. Powiedz ludziom, że mają dwie godziny na odpoczynek. Aha, i mam jeszcze coś do załatwienia - dodał niechętnie.

Postanowił już, że ukarze Konsydusza tak, jak ukarałby każdego innego oficera. Poleciał przygotować różgi i przyprowadzić niekompetentnego informatora. Aby jednak ukarać winnego, musiał uczynić to publicznie, w obecności całej armii i legatów, tak więc postanowił uwinąć się z tym szybko, zanim legioniści zaczną jeść.

Konsydusz trząsał się ze strachu, ale Cezar niewiele sobie z tego robił. Chłosta w wojsku była na porządku dziennym.

- Publiusz Konsyduszu, za przekazanie mylnych informacji i za złe wykonanie rozkazów zostajesz decyzją prokonsula skazany na dwadzieścia różg - odezwał się Cezar formalnym tonem. - Oraz na obcięcie żołdu. W przyszłym miesiącu potrączę ci jedną czwartą za szkody spowodowane twoim brakiem oceny i rozeznania. Czy godzisz się na karę?

Gdyby Konsydusz się nie zgodził, przysługiwałby mu sąd wojenny, ale jego konsekwencje mogłyby być dużo bardziej nieprzyjemne niż zwykła chłosta, od której w tym akurat przypadku nie umrze. Dwadzieścia batów to było nic w porównaniu z innymi, wymyślnymi karami stosowanymi w armii, jak na przykład z zasieceniem różgami na śmierć. Nieszczęśnika przywiązywano do słupa i sieczono specjalnymi batami, flagellum, zakończonymi metalowymi haczykami, które wyrwały z ciała całe kawałki mięsa, tak że ofiara umierając, wyła z bólu i błagała o śmierć, która jednak nadchodziła powoli i w oparach krwi. Dużo gorsze było też ukrzyżowanie, o którym żaden legionista nawet słyszeć nie chciał, jakkolwiek często przychodziło żołnierzom wykonywać takie kary. Stosowano je jednak wobec barbarzyńców, a nie obywateli rzymskich, którym przysługiwało ścięcie mieczem.

- Tak, Cezarze - odparł, chociaż w głębi ducha wcale nie godził się na smaganie witkami po plecach.

Zauważył jednak, że Cezar kazał przynieść zwykłą trzcinę, która pozostawi na jego plecach jedynie czerwone pręgi i nie poharata skóry. Najwidoczniej Cezar musiał go ukarać dla przykładu, aby legionieści mieli satysfakcję, że sprawca ich wielogodzinnego postoju w lejącym się z nieba żarze nie wymigał się tak łatwo. Wódz nie chciał go okaleczyć ani skrzywdzić, a jedynie ukarać za ewidentną pomyłkę, której jednak sam w późniejszym czasie nie skorygował.

Dwaj wyznaczeni kaci przywiązali Konsydusza do naprędcy ociosanego słupa, uprzednio zdjąwszy z niego odzienie. Następnie wzięli do ręki trzciny i na znak legata, który liczył razy, zaczęli chłostać skazańca. Konsydusz zaciskał zęby, starając się nie krzyknąć, chociaż razy sprawiały mu dotkliwy ból. Nie było to wszakże cierpienie nie do wytrzymania i po dwudziestym uderzeniu na szczęście się skończyło.

Kiedy Konsydusz został odwiązany i ubrał tunikę, Cezar machnął ręką, każąc żołnierzom rozejść się i posilić.

- Za dwie godziny kontynuujemy marsz - oznajmił. - Będziemy maszerować do późnej nocy, więc nabierzcie sił i wypocznijcie.

Nie zamierzał pozwalać Helwetom zbyt się oddalić. Wiedział, że skoro taka świetna okazja przeszła mu koło nosa, niełatwo będzie teraz znaleźć drugą. I to najbardziej go denerwowało, chociaż wiedział, że nie może dać po sobie poznać złości i rozczarowania. Konsydiusz już dostał za swoje, teraz należało podjąć marsz.

Dwie godziny później długa kolumna legionistów wyruszyła na zachód, ścigając Helwetów, a nocą Rzymianie rozbili obóz w odległości niecałych pięciu kilometrów od taborów Helwetów.

Nazajutrz rano Cezar wyszedł ze swego namiotu z zamiarem dokonania osobistej rewizji obozu. Myśląc o rewizji, miał na myśli dokonanie przeglądu swego wojska i wybadanie nastrojów wśród legionistów, którzy po wczorajszym incydencie też musieli być dalecy od wesołości.

Nastroje panowały rzeczywiście minorowe, zwłaszcza że nie wiadomo było, kiedy nadejdzie dostawa zboża. Cezar wrócił do namiotu i zawołał swoich legatów.

- Tak dalej być nie może - zdecydował. - Musimy zaniechać dalszego śledzenia Helwetów i udać się do najbliższego miasta, inaczej dopadnie nas głód.

Legaci wytrzeszczyli oczy ze zdumienia. Taka decyzja oznaczała przyznanie się do porażki. Balbus jednak, który od początku przeczuwał taki, a nie inny obrót spraw, kiwał w zamyśleniu głową.

- Najbliższe miasto to Bibrakte, Cezarze - odezwał się. - Znajduje się na wzgórzu, jak niemal wszystkie galijskie oppida.

- Nieważne, gdzie się znajduje - odparł Cezar. - Ważne, że jest zaopatrzone w zapasy. Nie będę skazywał moich ludzi na śmierć głodową.

Tego samego poranka legioniści otrzymali rozkaz zburzenia obozu i wymarszu na wschód. Bibrakte oddalone było od obecnego obozu rzymskiego o osiemnaście tysięcy kroków, a zatem nie była to jakaś straszna odległość. Żołnierze zaś na wieść, że otrzymają zaopatrzenie, tym chętniej maszerowali przed siebie.

- Jak tylko uzupełnię zapasy, będę kontynuował pościg

za Helwetami – oświadczył Cezar, jadąc konno w towarzystwie Labienusa. – Wiem, że nasz obecny przystanek spowoduje zwłokę, ale w tej sytuacji nie mam wyboru.

W głębi ducha czuł narastającą wściekłość na wodzów Eduów, na vergobreta Liskusa, na Dywicjaka, a nade wszystko na Dumnoryksa, którego podstępne działania doprowadziły do obecnej sytuacji. Gdyby nie brak zaopatrzenia, Cezar ścigałby teraz dalej Helwetów, tymczasem z każdym krokiem się od nich oddalał. W dodatku musiał tłumaczyć się ze swojej decyzji przed własnymi legatami. Ale do terminu przyznawania żywności wojsku minęły dwa dni i Cezar, który bądź co bądź nie dowodził wcześniej akurat tymi legionami, nie chciał doprowadzić do buntu ani skompromitować się w oczach swoich żołnierzy.

Po kilku godzinach marszu do Cezara podjechał zwiadowca z tylnej straży z pilnym meldunkiem.

– Cezarze – wydyszał. – Informuję, że niewolnicy dekuriona jazdy galijskiej Lucjusza Emiliusza zbiegli dziś rano i prawdopodobnie zmierzają ku Helwetom.

Cezar spojrzał na zwiadowcę przenikliwymi oczami wodza, który otrzymał istotną informację.

– Dziękuję – odparł. – Przekaż tylnej straży, że Cezar rozkazuje wzmocnić szyki i gotować się na atak ze strony nieprzyjaciela.

Był całkowicie spokojny. Doskonale wiedział, co oznacza dezercja galijskiego oddziału, czy może raczej kilku żołnierzy. Utwierdził się w przekonaniu, że Galom za nic nie można ufać, ale też ucieszył się na myśl o tym, że teraz będzie musiało dojść do bitwy, bo o ile znał Galów, a zdążył ich już poznać, mógł się spodziewać, że oddaleni od Rzymian o niecałe pięć kilometrów Helweci zechcą zawrócić i rozprawić się przynajmniej z tylną strażą Cezara, czyli zrobić to samo, co on im uczynił nad Ararem.

Przywołał do siebie Labienusa.

– Każ wysłać zwiadowców, aby sprawdzili teren i wyszukali dogodny dla nas miejsce na stoczenie bitwy – rozkazał.

Był przekonany, że skoro tylko Helweci dowiedzą się o jego

planach, będą mieli na uwadze odcięcie Rzymian od dostaw żywności w Bibrakte. *Nic z tego* – pomyślał. *Ja będę szybszy.*

Dwie godziny przed południem tylna straż Cezara została zaatakowana przez siły wroga. Cezar natychmiast wysłał jej na odsiecz konnicę, aby nie dopuścić do powstania poważniejszych strat. Zdawał sobie sprawę, że Helwetów jest co najmniej dwa razy więcej niż Rzymian, dlatego roztropnie ulokował legiony na pobliskim wzgórzu, które królowało nad okolicą. Ustawił cztery zaprawione w boju legiony: VII, VIII, IX i X w potrójnym szyku w połowie wysokości wzgórza, natomiast dwa nieopierzone legiony zaciągnięte w Galii Przedalpejskiej, XI i XII, zostawił na szczycie wzgórza z rozkazem osłaniania umieszczonych tam taborów. Podczas gdy cztery legiony miały oczekiwać w szyku na bitwę, tamte miały za zadanie kopać fosę i ustawiać palisady – na wszelki wypadek, a także w celu ochrony taborów.

Teraz albo nigdy – pomyślał Cezar, widząc, jak legionieści powoli, ale skutecznie formują szyki. *Acies triplex*, czyli szyk potrójny, stanowił zwyczajowe ustawienie wojsk rzymskich, w którym pierwsza linia składała się z czterech kohort, a druga i trzecia z trzech. Legionieści przed ustawieniem się w szyku odrzucili na bok swój ekwipunek, a także zdjęli z tarcz skórzane pokrowce, i teraz ich tarcze mieniły się emblematami. Pierwsza kohorta miała zaszczyt niesienia do boju orła rzymskiego. Dowódcy przymocowywali do hełmów grzebienie.

Nie było nic gorszego od oczekiwania na bitwę, od tych godzin, minut i sekund poprzedzających decyzję losu. Żołnierze stali spokojnie, ale Cezar niemal słyszał bicie ich serc. Nazbyt wiele słyszeli o galijskich wojownikach, którzy ponoć pili krew nowo narodzonych dzieci, jedli trupy, pili wino z czaszek swych pokonanych wrogów, latali w powietrzu, byli nieśmiertelni (słyszeli jeszcze wiele innych podobnych bzdur), by teraz nie drzeć ze strachu, chociaż żaden z nich nie okazywał bojaźni. Na horyzoncie ukazały się siły wroga. Helweci maszerowali zwartym szykiem, a nie w rozproszeniu, jak poprzednio. Cezar zauważył, że uformowali falangę, każdy wojownik zakrywał tarczą lewe, nieuzbrojone ramię, przy okazji zasłaniając

idącego obok kompana. Aby przełamać falangę, należało uczynić z ich tarcz zbędny balast. Cezar wiedział, że falanga sprawdzała się na równinach, ale okazywała się nieprzydatna na wzniesieniach i na nierównym terenie.

Bardzo dobrze – pomyślał. *Oby tak dalej.*

Kiedy Helweci znaleźli się bliżej, nastąpił wyraźny podział ich sił. Główne wojsko parło naprzód, tabory i rodziny ustawiały się w kręgu na tyłach armii. Wkrótce krąg został w tyle, jakieś dwa kilometry za plecami formującej się armii.

Cezar stwierdził, że nadszedł czas, aby dodać żołnierzom otuchy. Dosiadł swego konia i korzystając z czasu, jaki mu pozostał, a także z faktu, że jego armia nie znajdowała się jeszcze w zasięgu ostrzału wroga, kolejno podjeżdżał do każdej kohorty, powtarzając słowa otuchy.

- Żołnierze! Od waszego męstwa i waszej odwagi zależy los tej wojny! Wierzę w was i wiem, że nie zawiedziecie oczekiwań i nadziei swego wodza. Wiem, że hartem waszego ducha dacie mi powód do dumy i radości. Legioniści! Odwagi! Będę walczył z wami do samego końca. Razem pokonamy Helwetów. Dziś jeszcze zwycięstwo będzie nasze!

Każda kohorta odpowiadała uderzeniem mieczy o tarcze i potrząsaniem włóczniami. Legioniści pomimo wyraźnego strachu wydawali z siebie bojowe okrzyki, ale poza tym, dla zmylenia wroga pozorami spokoju i niewzruszenia, Cezar nakazał w legionach ciszę. Kiedy objeżdżał ostatnią kohortę, słyszał już bojowe okrzyki Helwetów i tupot ich stóp. Idąc, trzaskali mieczami o tarcze i wydawali z siebie dzikie wrzaski, chcąc dezorientować i nastraszyć Rzymian. Mieli o tyle trudniejsze zadanie, że musieli podejść pod wzgórze, na którym Cezar sprytnie ustawił swoje siły. Już samo ułożenie terenu dawało Rzymianom przewagę, ale legioniści widzieli, jak liczne są oddziały nieprzyjaciela.

Cezar kazał odprowadzić swego konia, a także konie centurionów, po czym stanął w szyku razem ze swoim wojskiem. W ten sposób chciał się upewnić, że żaden z jego żołnierzy nie zhańbi się ucieczką konno, a poza tym dawał przykład legionistom. Helweci powoli wkraczali w linię

ostrzału, a Cezar tylko na to czekał. Stojąc na czele pierwszej kohorty, kiedy Helweci znaleźli się w odległości piętnastu metrów, dał sygnał do ataku.

- Pila! - krzyknął.

Centurioni jak jeden mąż powtórzyli okrzyk Cezara i tysiące ciężkich oszczepów przedarło błękitne niebo czerwcowego dnia, po czym z metalicznym dźwiękiem utkwіło w tarczach nieprzyjaciół bądź też w ich ciałach, powodując natychmiastowy wyłom w szyku bojowym Helwetów.

- Hastati! - padł okrzyk.

Powietrze przeciął świst lecących kamieni i lekkich oszczepów. Pierwsza linia ruszyła do ataku. W międzyczasie Helweci obezwładnieni włóczyniami zaczęli odrzucać ciężkie, niewygodne i nieprzydatne teraz tarcze. Pierwszy szyk Rzymian biegł do ataku z wyciągniętymi mieczami i zaczęła się bitwa, która miała przesądzić o dalszych losach tej wojny. Cezar biegł w pierwszej linii, czyli zachowywał się tak, jak nie przystało wodzowi. Wiedział jednak, że przynajmniej na początku musi osobiście uczestniczyć w walce, zamiast stać i przyglądać się jej ze szczytu wzgórza. Labienus dowodził dwoma legionami i robił to tak skutecznie, że po krótkim czasie Helweci zaczęli się cofać.

- Drugi szyk do boju! - wrzasnął Cezar do centuriona, który zajmował pozycję tuż za nim.

Rozległ się gwizdek, a po nim następne. Drugi szyk ruszał do bitwy prosto na cofających się Helwetów. Cezar siekł mieczem z niespożytą energią, a wrogowie padali pod jego uderzeniami jak kłosa pod sierpem. Walcząc, zauważył pewną osobliwość. Otóż długie brązowe miecze Helwetów, idealne do cięcia, nie nadawały się kompletnie do zadawania pchnięć, w odróżnieniu od krótkich żelaznych mieczy legionistów. Zachowując jak zwykle bystrość umysłu, Cezar postanowił zachować tę wiedzę i później ją wykorzystać.

Słońce przesunęło się mozolnie po nieboskłonie. W powietrzu słychać było szczęk broni, okrzyki bojowe i wrzaski rannych. Potężna armia Helwetów cofała się krok za krokiem przed napierającą siłą rzymskich legionów. Dwa

legiony pomocnicze utrzymywały swoje pozycje na wzgórzu i Cezar nie kazał wprowadzać ich do bitwy, ale trzymać jako rezerwę.

Kiedy wszystko zdawało się układać jak najlepiej, nagle zza wzniesienia wypadła jak burza jazda Bojów i Tulingów, którymi dowodził Dywiko. Cezar, widząc to, zdumiał się, że ten starzec ma jeszcze siłę uczestniczyć w bitwie, ale zamiast dziwić się dalej, szybko wydał rozkaz włączenia do bitwy trzeciego sztyku czterech legionów. Kawaleria nieprzyjaciela liczyła piętnaście tysięcy jeźdźców i skutecznie uniemożliwiała Rzymianom dobiegnięcie się do taborów helweckich. Dramatyzmu sytuacji dodał fakt, że cofający się do tej pory Helweci na widok posiłków odzyskali hart ducha i teraz już nie cofali się, ale ruszyli do kontrataku.

- Cezarze, zaprzestań walki! - krzyknął w jego stronę Labienus, który nadchodził z przegrupowującymi się trzecimi liniami. - Nie możemy cię stracić.

- Ustawiaj sztyki! - warknął Cezar. - Nie ma teraz czasu na gadanie! Każ zapalać pochodnie ciurom obozowym. Zaraz zajdzie słońce!

Chociaż czerwcowe wieczory są długie, Cezar nie chciał ryzykować walk po ciemku, bo obawiał się, że w ferworze jego ludzie zaczną atakować samych siebie. Bitwa trwała nadal, mimo że słońce faktycznie zaczęło chylić się ku linii horyzontu. Bardzo, bardzo mozolnie Rzymianie odzyskiwali pole, a trzeci sztyk odpierał atak galijskiej konnicy, która wzbudzała podziw swoimi umiejętnościami. Bojowie i Tulingowie, widząc napierające wojsko, poczęli cofać się w stronę własnych taborów, dokąd metodycznie spychali ich Rzymianie. Ziemia za ich plecami usiana była trupami i rannymi legionistami, ale nie było czasu na usuwanie ich z pola bitwy.

Nadszedł wieczór, ale walki trwały nadal. Cezar czuł, że od nieustannego machania mieczem drętwieje mu ramię. Był spragniony, ale adrenalina skutecznie tłumiała inne dolegliwości. Musiał jednocześnie walczyć i nadzorować bitwę, co bynajmniej nie stanowiło łatwego zadania. Kiedy jednak zaczęły zapadać ciemności, Cezar dostrzegł, że wojsko zacieśniło krąg wokół

helweckich taborów. Rozpoczęła się prawdziwa jatka, teraz bowiem w walkę zaangażowały się również rodziny walczących. Spomiędzy kół i spod wozów kobiety zaczęły ciskać w wojsko rzymskie oszczepami, kamieniami i dosłownie czym popadło. Co raz któryś legionista padał na wznak z rozbitym czołem albo wybitym okiem. Cezar widział to, ale ponieważ sam zajęty był unikaniem pocisków i włóczni galijskich kobiet, nie miał czasu ani zapału na zagrzewanie legionistów do walk.

Jakiś czas po trzeciej wigilii duża część Helwetów zaczęła się w popłochu oddalać. Wśród obrońców taborów więcej było już teraz rannych niż walczących, jako że Rzymianom udało się podpalić niektóre z wozów i Helweci zajęci byli bardziej gaszeniem pożarów niż walką. Wreszcie legiony przełamały helwecką linię oporu i wdarły się do środka kręgu, pustosząc, niszcząc i zabijając wszystko, co się dało. Cezar dał szybko rozkaz, aby oszczędzić kobiety i dzieci, by w razie czego posłużyć się nimi jako zakładnikami. Nad taborami rozlegały się ostatnie krzyki pokonanych. Nad ranem Cezar zrozumiał, że wygrał bitwę pod Bibrakte.

Swoją pierwszą kluczową bitwę w Galii.

Podczas gdy resztki Helwetów maszerowały na północny wschód, Cezar polecił wznieść obóz i pozostać na miejscu przez co najmniej trzy dni, aby opatrzyć rannych i spalić zwłoki. Stwierdził, że nie godzi się, aby rzymscy żołnierze skończyli na polu bitwy jako żer dla ptactwa i dzikich zwierząt. Przy okazji kazał również spalić ciała poległych wrogów, przede wszystkim po to, by zapobiec rozszerzaniu się chorób.

- Cezarze, w ten sposób znowu oddalamy się od Helwetów - mruzczał niezadowolony Labienus, któremu już oczy świeciły się na myśl o kolejnej krwawej bitwie.

- Trudno - odparł Cezar niewzruszenie. - Zdrowie moich ludzi jest ważniejsze niż osobista chwała.

Powiedział te słowa świadomy faktu, że jego adiutant stoi w pobliżu, i już po chwili ta odpowiedź obiegła cały obóz. Cezar osobiście doglądał rannych i niemal z każdym zamienił chociaż słowo. Obóz znajdował się w odległości dwóch kilometrów

od pola bitwy, więc duszący smród ognisk, w których palono zwłoki, nie docierał do rannych i mogli oni w spokoju dochodzić do siebie. Tego samego dnia prokonsul polecił rozdzielić łupy, a nazajutrz osobiście rozdawał nagrody i odznaczenia tym, którzy najbardziej wykazali się w walce. Tym sposobem umacniał więź między sobą a wojskiem i po bitwie pod Bibrakte nie był już obcym wodzem, ale imperatorem, za którym od tej pory żołnierze skoczyliby w ogień.

Zaraz po bitwie napisał pismo do plemienia Lingonów, w stronę których, wedle słów zwiadowców, kierowali się pokonani Helweci. W piśmie tym zabraniał Lingonom udzielania pokonanym jakiegokolwiek pomocy, informując, że jeśli to uczynią, zostaną przez Rzymian potraktowani jak wrogowie.

Po południu do jego namiotu przyprowadzono dwoje młodych ludzi. Dziewczyna mogła mieć około dwudziestu lat, chłopak był jeszcze pacholęciem. Mieli jasne włosy, bogato zdobione ubranie, co prawda teraz poplamione i wystrzępione po bitwie, ale znać było, że pochodzili z możnego rodu.

- To córka i syn Orgetoryksa, Cezarze - poinformował Balbus, który wcześniej dokonał spisu wszystkich zakładników.
- Ukrywali się na jednym z wozów.

Cezar spojrzał na dziewczynę i od razu dostrzegł w jej twarzy niedawną hardość, która teraz ustępowała miejsca strachowi. Chyba bardziej niż śmierci bała się ona innej ewentualności i nie wiedziała, co zwycięski wódz zamierza z nią zrobić.

- Mam nadzieję, że nikt jej nie tknął? - zapytał Cezar. - Bądź co bądź to celtycka księżniczka.

Córka Orgetoryksa patrzyła na Cezara niechętnie. On jednak uśmiechnął się. Nie zamierzał krzywdzić dzieci swoich nieżyjących wrogów.

- Nie została wydana za mąż za jakiegoś możnowładcę, Balbusie?

- Nic mi o tym nie wiadomo, Cezarze.

- Bardzo dobrze. Niech wraca do domu. Wydamy ją za mąż za naszego człowieka, kiedy nadejdzie czas. Na razie niech

włos jej z głowy nie spadnie. A tego młodego człowieka wcielimy do naszych posiłków.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zapytał Balbus, patrząc na szesnastolatka, bo mniej więcej w takim wieku był chłopak.

- Nie sędzę - odparł Cezar. - Jest na tyle młody, że zdążymy go ukształtować. A nie wydaje mi się, by Helweci odważyli się raz jeszcze postąpić wbrew woli Cezara.

Dzieci Orgetoryksa zostały odprowadzone.

- Powinieneś ich zabić, Cezarze - stwierdził Labienus.

- Labienusie, nie wszystkie cele osiąga się za pomocą krwi i przemocy - westchnął Cezar. - Czasami należy odwołać się do litości i łagodności. Ludzie będą mówić o tym, że Cezar nie skrzywdził córki pokonanego wroga. A zapewniam cię, że o gwałcie i śmierci krzyczeliby na całe gardła.

Labienus nie skomentował tej odpowiedzi, tylko potrząsnął głową, bo on akurat uczyniłby coś zupełnie innego. Ale to Cezar był wodzem i jemu należało się podporządkować. Mimo odmiennej opinii w tej sprawie Labienus musiał przyznać, że Cezar sprawiedliwie rozdzielił łupy, nie żałował niczego swoim żołnierzom, chociaż lwia część zdobyczy powinna należeć się jemu, a poza tym wykazał godną pochwały troskę o rannych i z szacunkiem odniósł się do poległych zarówno jednej, jak i drugiej strony. Ostatecznie mógł się trafić gorszy wódz. Mniej wrażliwy na potrzeby swoich żołnierzy i bardziej pazerny na zdobycze, bogactwa i chwałę.

Trzy dni później Rzymianie ruszyli w ślad za Helwetami. Posuwali się wolniej niż przed bitwą, jako że wielu żołnierzy było rannych. Cezar zamierzał kierować się do kraju Lingonów, ale już drugiego dnia ich marszu przybyli do niego posłowie helweccy. Niegdysiejsi butni wrogowie zsiadli z koni i z płaczem przypadli Cezarowi do nóg.

- Cezarze, błagamy o pokój! - wołali jeden przez drugiego niezdarną, wyuczoną naprędce łaciną.

Cezar zsiadł z konia i kazał im powstać.

- Wracajcie do swoich i przekażcie, że mają na mnie czekać - polecił. - Wówczas porozmawiamy o pokoju na rzymskich warunkach.

Pamiętał, gdy jakiś czas temu Dywiko hardo odpowiedział mu, że Helweci sami biorą zakładników, zamiast ich dawać. Teraz najwyraźniej zmiękł albo trzeźwo ocenił sytuację. Faktem pozostawało, że dzięki wygranej pod Bibrakte Cezar całkowicie kontrolował sytuację. Helweci pozbawieni zostali możliwości pomocy ze strony innych plemion, Eduowie odwrócili się od nich i nawet Sekwanowie bali się udzielać im pomocy. W tej sytuacji ich dalszy przemarsz przez Galię nie miał większego sensu i jedyne, co im pozostało, to powrót do domu albo osiedlenie się w wyznaczonym przez Rzymian miejscu.

Dwa dni później Cezar spotkał się w asyście swoich legatów z Dywikiem i innymi naczelnikami. Pośród innych obecni byli również Namnejusz i Weruklocejusz, którzy tak niedawno niemal otwarcie drwili z prokonsula. Teraz płaszczyli się przed nim i błagali o litość.

- Przede wszystkim chcę otrzymać od was zakładników, aby mieć pewność, że nie wystąpicie więcej przeciw Rzymowi - zakomunikował Cezar, siedząc na krześle kurulnym w swoim namiocie, gdzie podejmował posłów.

- Wydamy ci tylu zakładników, ilu będziesz chciał - zapewnił go Dywiko skwapliwie.

Jaka zmiana - pomyślał Cezar z ironią. *Kto by się spodziewał.*

- Wróćcie na swoje ziemie - kontynuował Cezar. - Wyślę pisma do innych plemion, by wsparły was ekonomicznie. Helweci, Tulingowie i Latobrygowie mają wracać za Rodan, Bojowie, o ile Eduowie na to pozwolą, mogą częściowo osiedlić się na ich ziemiach.

Starzec wyglądał na przerażonego perspektywą powrotu do spalonych wsi i zgliszcz miast, ale zacisnął jedynie zęby i nic nie odpowiedział.

- Dalej, oddacie mi broń z wyjątkiem waszej przedniej straży - kontynuował Cezar. - Rozbrojeni wróćcie do siebie. Odbudujecie swoje wsie i miasta. Udzielę wam wszelkiej możliwej pomocy. I w przyszłości nie zdecydujecie się na imigrowanie.

- Będzie, jak zechcesz, imperatorze - odparł głucho

Dywiko.

Cezar kiwnął głową.

Na zakładników rzymskim zwyczajem wziął synów najmożniejszych przedstawicieli plemienia, aby mieć całkowitą pewność, że Helweci podporządkują się jego poleceniom. Młodzieńcy szli niechętnie, z nienawiścią w oczach, ale Cezar na razie nie zamierzał wyrządzać im żadnej krzywdy, o ile ich ojcowie wypełnią skrupulatnie jego polecenia. Ostatecznie bycie zakładnikiem rzymskim niosło ze sobą pewne przywileje, takie jak dostęp do nauki i kultury. Helweci mieli zostać przetransportowani do Prowincji i tam miał rozpocząć się proces ich romanizacji. Tym sposobem Cezar upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu.

Tej samej nocy około sześć tysięcy Helwetów uciekło z obozu rzymskiego. Kierowali się na wschód w stronę Renu i najwidoczniej chcieli przekraść się na ziemie Germanów, ale oddziały rzymskie były szybsze i bardziej liczebne. Tych, którzy nie zostali natychmiast zabici, schwytano, po czym Cezar oficjalnie pozbawił ich przywilejów, które otrzymali pozostali Galowie, i rozkazał sprzedać na najbliższym targu niewolników.

Kiedy kilka dni później Rzymianie wkroczyli wreszcie do Bibrakte, gdzie mogli uzupełnić zapasy żywności, Cezar z zadowoleniem zasiadł do pisania listu, który zamierzał wysłać do Senatu. Informował, że pokonał trzystutysięczną armię wroga, że spośród wszystkich Helwetów na swoje ziemie wracało sto dziesięć tysięcy, a on spacyfikował tereny znajdujące się na pograniczu Prowincji i powstrzymał migrację groźnego dla Rzymu i wroga nastawionego doń ludu.

- Niech Senat wie, że na północną granicę Italii powrócił pokój - zaśmiał się do siebie.

- Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny - odezwał się ponuro Labienus, który wszedł do namiotu i usłyszał te słowa.

Cezar spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie inaczej, Labienusie - stwierdził. - Ta wojna jeszcze się nie zakończyła. To był dopiero jej przedsmak.

Na okrutnym obliczu Labienusa pojawił się nie mniej okrutny uśmiech.

XI

Galvan zwołał naradę plemienną. Rzecz jasna narada taka nie odbyłaby się bez kapłanki, toteż ze swojej doliny przyjechała również Uatah. Galvan od razu zauważył, że jest w odmiennym stanie. Miała szerszą talię i większe piersi, z jej twarzy promieniowało coś nieuchwytnego, co Galvan widział wielokrotnie u ciężarnych kobiet, nie będąc jednak w stanie powiedzieć, co to takiego. U Gwynn też w swoim czasie, kiedy nosiła w łonie jego potomstwo, oczy lśniły. Cokolwiek dziwnie czuł się na myśl, że jego dawna żona była ciężarna z mężczyzną, którego imienia nie znał, ba, którego imienia pewnie i ona sama nie знаła, bo oddała mu się podczas święta Beltain, więc nie widziała nawet jego twarzy. Zimą urodzi dziecko bogom - jeśli będzie chłopiec, pójdzie do druidów, jeśli dziewczynka, zostanie wychowana na Sein.

Nie to jednak zaprzętało mu głowę, ale niedawne zwycięstwo Rzymian pod Bibrakte, które oddalone było od Gergowii ledwie o trzy dni drogi. Musiał zwołać radę plemienną, aby przedyskutować ten problem i ocenić, co należy zrobić, jeśli Rzymianie zaatakują Arwernów. Jak na razie nic nie wskazywało na to, by mogło do tego dojść, ale siedem nocy po zakończeniu bitwy nie kto inny jak Lorelei przyniosła mu wieści, że Cezar zwraca się w stronę Ariowista.

- Galvanie, nigdy o nic cię nie prosiłam - szeptała z twarzą ukrytą na jego kolanach, obejmując jego nogi w błagalnym geście. - Byłam ci posłuszną żoną, chociaż wiedziałeś, że nie wstępuję w ten związek z miłości do ciebie. Teraz jednak proszę, ze względu na sojusz, jaki łączy cię z moim ojcem: udziel mu pomocy.

Galvan pomyślał cokolwiek buntowniczo, że Ariowist w razie potrzeby ma za Renem ogromne zasoby wojowników, podczas gdy on, Galvan, sił ma stosunkowo niewiele, a poza tym musi liczyć się ze zdaniem innych naczelników. W obecnej chwili, kiedy Eduowie oficjalnie zwrócili się do Cezara o pomoc w przegnaniu ze swych ziem Ariowista, sojusz z nim okazywał się bardzo niewygodny.

Aby jednak uczynić zadość prośbom żony, zwołał radę i teraz, w upalny letni dzień, siedział w wielkiej sieni i obradował, pytając kolejno o zdanie poszczególnych naczelników. Większość, ku jego rozczarowaniu, opowiadała się przeciwko wojnie z Rzymem, twierdząc, że przychodzenie na pomoc Ariowistowi nie wyjdzie Arwernom na dobre.

- Odpraw swoją germańską żonę i tę małą pokrakę, jej siostrę - odezwał się Vret, przedstawiciel starszyny. - Nie pozwól się teraz wciągnąć w wojnę, która, jeśli Eduowie urosną w siłę, będzie dla nas niekorzystna.

- Sojusz zobowiązuje mnie do udzielenia pomocy Ariowistowi - odparł Galvan z przekonaniem.

- Ty tego nie pamiętasz, boś za młody - odezwał się inny przedstawiciel starszyny, który przypominał zaszuszonego owoc. - Ale mój ojciec opowiadał mi, jak ongiś rzymski wódz Kwintus Fabiusz Maksymus wraz ze swoją armią pokonał naszego wodza Bituitusa. Bitwa ta miała miejsce nad brzegami Rodanu i była to największa klęska Arwernów. Rzymianie chełpili się tym dokonaniem w swoim Senacie. Nie ściągaj nam Rzymian na głowę, chłopcze, poczekaj, aż oni sami tu wtargną.

- Dlaczego koniecznie chcecie czekać? - zapytał Galvan. - Jeśli teraz wszyscy poderwiemy się do walki, zjednoczymy siły z innymi plemionami, będziemy w stanie pokonać ich i wygnać z Galii raz na zawsze!

Zielone oczy Uatah zalśniły kocio w półmroku.

- Jaki mamy interes w pomaganiu Germanom? - zapytał nagle Gobannicjon, wuj Galvana, który siedział za stołem i przechylał puchar z miodem. - Galvanie, tak naprawdę to ty masz w tym interes, boś się związał z nimi przez małżeństwo.

- Związałem NAS przez małżeństwo, wuju - odparł

gniewnie Galvan. - Całe plemię jest związane sojuszem. I jakoś wam to nie przeszkadzało, kiedy Ariowist otrzymał tytuł Przyjaciela Narodu Rzymskiego, kiedy dostawaliśmy od niego broń, wino zza Renu i inne podarunki. A teraz nagle sojusz jest wam nie na rękę? I to ty, wuju, radzisz mi zostawić Rzymian w spokoju?

- Cezar nie chce z nami wojny - odezwał się Ruten niepewnie.

- Mylisz się - zabrała głos Uatah, jedyna kobieta w tym zgromadzeniu. - Cezar teraz nie chce z nami wojny, ale on nie zadowolony jest pokonaniem jednego plemienia. Będzie parł naprzód, poczeka na dogodną okazję i wtedy podpali całą Celtykę.

- Och, doprawdy! - zakpił Gobannicjon. - Przyśniło ci się to?

- Bacz na słowa, Gobannicjone - warknął ze swego miejsca Celtillognatos, który bądź co bądź był przedstawicielem kasty druidów i jako taki nie mógł pozwolić na obrażanie kapłanki z Sein. - Powiedz lepiej, że nie pociąga cię wojna z Rzymem, bo masz tam całkiem niezłe interesy.

Gobannicjon zamilkł. Ale Galvan skonstatował, że jego wuj po raz pierwszy oficjalnie wystąpił przeciwko niemu, i to wobec całej rady plemiennej. Podważył jego stanowisko i jego godność jako naczelnika Gergowii. Rozłam na łonie rodziny nie wróżył niczego dobrego.

- Uatah - zwrócił się Galvan do byłej żony - co ty uważasz?

- Im szybciej zjednoczysz Celtów do boju, tym szybciej wyprzemy stąd Rzymian i będziemy cieszyć się spokojem. Jeśli tego nie zrobisz, Cezar rozpanoszy się tu na dobre.

- Śniłaś? - zapytał Galvan, patrząc jej w oczy.

- Śniłam. - Kiwnęła głową.

Przecież wiesz, że śniłam. Ty też śniłeś. Widziałeś to wiele razy. Moja matka ostrzegła cię, że ten dzień nadejdzie i oto nadszedł, wilki wkroczyły do Celtyki, zło już się zaczęło, nadeszła wojna, a twoim zadaniem jest zebrać wszystkich Celtów razem i zagrzać do walki.

Jak to zrobić, Uatah? Oni mnie nie słuchają. Mają swoje

problemy. Nie chcą wojny.

Teraz jej nie chcą. Ale zapragną. Kiedy poczują ciężar rzymskiego buta na karku.

Uatah wstała.

- Siłą Rzymian jest zjednoczenie - powiedziała mocnym głosem kapłanki i wojowniczką nawykłej do wydawania poleceń.
- Oni idą ramię w ramię, razem w imię czegoś więcej niż swojego własnego interesu. Mają wspólną ojczyznę, wspólny cel i wspólne dążenia, dlatego są silni: jako jedność. A wy nie potraficie się między sobą dogadać, bo jesteście jak stado rozproszonych owiec bez pasterza. A najgorsze, że nie chcecie tego pasterza słuchać. Gobannicjonie, co ci przyjdzie z prowadzenia handlu z Rzymem, jeśli oni ograbią i spalą twoje miasto i twoje dobra? Jeśli sprzedadzą w niewolę twoje żony, zgwałcą córki i obetną ręce synom?

- Nie zrobili tego pod Bibrakte - obruszył się Gobannicjon.

- Na razie tego nie zrobili - stwierdziła Uatah. - Bo nie mają powodu.

- Otóż to - wtrącił się ów starzec, który przemawiał wcześniej. - Mój ojciec opowiadał, co rzymskie wojsko robi, kiedy wódz pozwoli im na plądrowanie miasta lub obozu. Palą, grabią, gwałcą i zabijają bez litości. Nie podarują żadnej kobiecie. Gdy imperator raz da im przyzwolenie, Rzymianie rozprawiają się z każdą kobietą, młodych mężczyzn sprzedadzą do niewoli, a jak przyjdzie im ukarać jakieś plemię za nieposłuszeństwo, to las krzyży będzie stał przy każdej drodze. Wiecie, co znaczy ukrzyżowanie? Mój dziadek opowiadał mi o tym. Rzymianie chłopców człowieka różgami, a potem jego ręce i stopy przybijają gwoździem do dwóch skrzyżowanych belek, aż ten umiera, wyjąc z bólu, a często przed śmiercią żarłoczne ptactwo wykluje mu oczy i powyrywa mięso z ciała. To jest rzymska wojna i rzymska litość nad pokonanymi. Kiedy trzysta lat temu nasi wojownicy wdarli się do Rzymu, ci srali pod siebie ze strachu. Ale kiedy oni zwyciężają, obca im wówczas litość.

- Dosyć tego gadania! - zdenerwował się Gobannicjon. - Wiele razy byłem w Rzymie i jakoś nigdy nie widziałem takich

przejawów okrucieństwa.

- Odbiegamy od tematu - przerwał dyskusję Galvan. - Naszym zadaniem było zastanowienie się nad udzieleniem pomocy Ariowistowi, a nie rozprawy na temat okrucieństwa Rzymian. Problem polega na tym, że oni faktycznie mogą nas zaatakować. A ja nie chcę biernie przyglądać się, jak rzymska armia wkracza na nasze ziemie i robi, co jej się żywnie podoba. Spójrzcie tylko na Helwetów, to było wolne plemię, które chciało przejść na ziemie swoich sojuszników. A co zrobił Cezar? Podążył za nimi ze swoją armią, jakby to była banda uciekinierów, powybił połowę z nich nad Ararem, a resztę rozgromił pod Bibrakte.

- Nie zapominaj, że Eduowie, ci podli zdrajcy, sami go o to poprosili - przypomniał trzeźwo Ruten.

- Tak, a co, jeśli poproszą go, by rozprawił się z nami? - zakpił Galvan. - Poczekamy sobie na to w spokoju?

- Nie chcemy sobie ściągać Rzymian na głowę, walcząc o sprawę Ariowista - oznajmił wreszcie wprost Gobannicjon.

- Ty nie chcesz, wuju - odparował gniewnie Galvan.

- Prościej dla nas byłoby, gdybyś na jakiś czas oddał Lorelei.

- Lorelei nie jest psem, którego mogę sobie oddać wedle własnego upodobania! - rozżościł się Galvan. - Jest moją żoną, moim domownikiem, a dopóki jest w Gergowii, również naszym gościem! Nie pomyliłeś czasem obozów, wuju? Czy ktoś z Eduów potajemnie cię nie opłaca, żebyś występował tu z takimi pomysłami?

- Gobannicjone, zapomniałeś już, co się stało z Cynnusem? - zapytała spokojnie Uatah.

Gobannicjon zbladł. Nie zapomniał tego, że Cynnus odjechał ze Scatah i nigdy już nie wrócił. Arwernowie snuli domysły, co się z nim stało, ale całą prawdę znali nieliczni, wśród nich Galvan, choć nawet on nie wiedział wszystkiego. Tak czy inaczej wypowiedź Uatah na chwilę skutecznie uciszyła Gobannicjona.

- Nie przystoi, aby przedstawiciele jednego klanu kłócili się o politykę - powiedział Vret. - Wercyngetoryksie, głosujmy. Tak

będzie sprawiedliwie.

Galvan miał świadomość, że w takim przypadku jego pomysł przyłączenia się do wojny upadnie i że Arwernowie, wbrew postanowieniom sojuszu, nie udzielą Ariowistowi pomocy w przypadku, gdyby zaatakował go Cezar.

- Głosujmy - powiedział ponuro. - Kto jest za wojną?

Podniosło się niewiele rąk, w tym jego własna, ręka Uatah, Celtillognatosa, Rutena, Brennusa i starego przedstawiciela starszyny. Nie było sensu drążyć dalej.

- No cóż. Stwierdzam, że wniosek nie przeszedł. Arwernowie nie są w stanie wojny z Rzymem. A teraz zastanówmy się nad taktyką w przypadku, gdyby Rzymianie również i nas zaatakowali. Czy nad tym też nie chcesz debatować, wuju?

Gobannicjon nie odpowiedział. Gdyby to uczynił, skompromitowałby się, bo czym innym była wojna zaczepna, a czym innym obronna, i on doskonale o tym wiedział. Zadowolony, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, nalał sobie jeszcze miodu, a później zabrał głos w debacie.

Galvan był wściekły i rozgoryczony, czego nie omieszkał powiedzieć Gwynn zaraz po naradzie. Uatah miała być ich gościem przynajmniej tej nocy, nie do pomyślenia było bowiem, żeby samotna kobieta podróżowała nocą, a mężczyźni byli zbyt pijani, by jej towarzyszyć. Co prawda Galvan był przekonany, że Uatah, gdyby przyszło co do czego, sama świetnie poradziłaby sobie z całą bandą bandytów, ale wolał jednak tego nie sprawdzać. Gwynn zresztą też nie miała nic przeciwko temu, by kapłanka spała pod ich dachem, gdyż uważała, że w tej trudnej sytuacji, w jakiej znaleźli się Celtowie, obecność wojowniczkii z Sein jest nawet wskazana.

Galvan chodził po podwórzu jak lew po klatce.

- To nie do pomyślenia, żeby mój własny krewny występował przeciwko mnie! - mamrotał gniewnie. - Gwynn, to mi przypomina Cynnusa. To mi za bardzo przypomina Cynnusa. Wcale mi się to nie podoba.

- Nie zapominaj, że Gobannicjon prowadzi handel z Rzymem - przypomniała mu Gwynn trzeźwo. - Nawet teraz

gotów jest z nimi handlować, może nawet bardziej niż zwykle, bo w czasie wojny ceny idą w górę.

Galvan przystanął i przeciągnął ręką po włosach.

- Masz rację - przyznał. - On będzie nade wszystko bronił swoich interesów.

- Tak samo jak ty bronisz swego sojuszu - powiedziała Gwynn.

Galvan łypnął na żonę spod oka, ale spojrzenie Gwynn było czyste i niewinne, dalekie od ironii czy złośliwości. Po prostu stwierdzała oczywisty fakt, a Galvan musiał przyznać, że w tym też jest racja. Gdyby nie był związany sojuszem z Ariowistem, prawdopodobnie mniej paliłby się do wojny z Rzymem. Ale był też inny powód, dla którego Galvan uważał, że powinni wziąć pod uwagę ewentualność włączenia się do wojny. Otóż nie podobało mu się, że Rzymianie zostali wezwani przed Eduów, co zresztą podkreślił na wiecu, i obawiał się, że skoro Eduowie raz coś takiego zrobili, to teraz będą wysyłać Rzym na każde inne plemię, co do którego stwierdzą, że jest im wrogiem lub że im w czymś wadzi.

Czerwcowy wieczór był długi. Dopiero co miało miejsce letnie przesilenie i pomimo że słońce już jakiś czas temu zaszło, niebo wciąż było jasne, a na dworze panował swoisty poblask wczesnoletniej nocy. Nad doliną zapanował dziwny spokój i nastąpiła wieczorna cisza. Upał zelżał i nadchodząca noc przynosiła ze sobą błogosławiony chłód, ale Galvanowi było ciepło, a nawet gorąco, głównie z emocji, które nim miotały.

Na podwórze wyszły Geillis i Uatah. Geillis piastowała w ramionach Morgwynn, która smacznie spała, nie wiedząc o bożym świecie. Galvan na widok córki zmiękł, poczuł dobrze sobie znaną słabość w okolicach kolan i czułość, która wypełniała go po brzegi. Kochał swoje dzieci, nawet Aife, której od długiego czasu nie widział, ale znacznie bardziej przywiązany był do córek, może dlatego, że synów, zgodnie z tradycją, będzie musiał niebawem oddać na wychowanie.

Rysy Geillis łagodniały, kiedy zajmowała się wnukami. Galvan pomyślał, że jego dobiegająca czterdziestki matka wciąż jest piękną kobietą. Zdumiewało go, że nie chce nowego

mężczyzny. Ale był to jej wybór i Galvan nie miał prawa się wtrącać.

- Na dzisiejszym wiecu miałaś rację, Galvanie - odezwała się Uatah, a jej rude warkocze lśniły niczym polerowana miedź.
- Musisz dążyć do zjednoczenia Celtów przeciwko Rzymowi.

- Tego chciała twoja matka, wiem - westchnął Galvan. - Ale jak mogę to uczynić, skoro mój wuj jest przeciwko mnie?

- Gobannicjon obawia się o swoje dobra - odezwała się Geillis w obronie brata.

- Oczywiście, matko, a ty pochodzisz z jego rodu i do tego rodu należysz i też będziesz go bronić, prawda? - syknął Galvan. - I może jeszcze stać po stronie Rzymian?

- Gobannicjon jest moim bratem i rozumiem jego obawy, nie zamierzam jednak podawać ręki wrogowi. Ale na razie Rzymianie nie stanowią dla nas zagrożenia - odparła Geillis.

- Stanowią - powiedziała cicho Uatah. - Są groźniejsi, niż wam się wydaje. Cezar jest rozsądnym człowiekiem, inteligentnym i sprytnym, nie uwikła się w wojnę, która nie będzie dla niego korzystna. Ale prędzej czy później zjawi się i tutaj. Musimy być na to przygotowani.

- Uatah, ja nie mam ochoty patrzeć, jak mój syn staje do walki z Rzymianami - szepnęła Geillis.

- Ale to jego powołanie, to jego zadanie. Czy wolisz, żeby kiedy dojdzie do wojny, siedział w domu z babami? - zaśmiała się Uatah. - Twój brat się myli. Jego rozumowanie jest błędne. A nade wszystko nie powinien występować publicznie przeciwko swemu siostrzeńcowi. Klan musi się wzajemnie popierać.

- Niczego nie osiągnąłem - zauważył Galvan. - W dodatku nie dotrzymam warunków paktu z Ariowistem.

- I lepiej tego nie rób, kiedy nie masz poparcia klanów - ostrzegła go Uatah. - Nie ruszaj samotnie na Cezara. Poczekaj, aż wiatr zmieni kierunek.

Gwynn spoglądała na pogrążonych w rozmowie krewnych i stwierdziła, że od południa nie widziała Lorelei. Czyżby dziewczyna zaszyła się w swojej sypialni? A może poszła gdzieś z siostrą, bo tej również nie było nigdzie widać. Ogarnęło ją

ponure przeczucie, ale na razie postanowiła się nie odzywać. Nie chciała zdenerwować Galvana.

- Matko, nie będę się spierał z twoim bratem - zaczął na nowo Galvan, którego ta kwestia najwyraźniej irytowała. - Ale pomów z nim. Masz na niego wpływ jako siostra. Powiedz mu, żeby więcej przeciwko mnie nie występował. Jest moznym człowiekiem, ludzie go słuchają i jeśli on powie, że wojna z Rzymem jest czymś złym, to oni będą go słuchać.

- Galvanie, w tej chwili jedyną osobą, która faktycznie ma interes do Rzymian, jesteś ty ze względu na swoją germańską żonę - odparowała matka. - Sojusz, nie sojusz, nie będziemy narażać dla jednej kobiety dobra i bezpieczeństwa całego plemienia. Zobacz, co Cezar uczynił z Helwetami. Wyruszyło ich prawie czterysta tysięcy, wróciło niewiele ponad sto.

Galvan spuścił głowę, bo wiedział, że akurat w tej kwestii Geillis ma rację. Gdyby teraz, po ich zwycięstwie pod Bibrakte, wystąpił przeciwko Rzymianom, ryzykowałby zbyt wiele. Z drugiej jednak strony słyszał, że Eduowie poprosili Cezara o pomoc w pokonaniu Ariowista. Nic więcej nie wiedział, wieści bowiem nie nadchodziły w tak szybkim tempie. Zdawał sobie jednak sprawę, że wojna między Swebami a Rzymianami wisi na włosku, a on jest skoligacony z Ariowistem poprzez swoją żonę. De facto znalazł się nagle w bardzo niewygodnym położeniu.

- To był zły sojusz - stwierdził. - Źle mi doradziłaś, Uatah.

- To był doskonały sojusz na czas, w którym był zawarty - odparła Uatah niewzruszenie. - Stawiał nas w równowadze między dwiema potęgami, jakimi z tytułem Przyjaciela Narodu Rzymskiego byli Eduowie i Swebowie. Teraz jednak sytuacja się zmienia. Zobaczmy, czy Ariowist wezwie cię do wypełnienia zobowiązań.

Galvan spojrzał byleż żonie w oczy. Gwarantem paktu była Lorelei. Jeśliby w tej chwili Galvan się z nią rozwiódł i odesłał ją ojcu, przestałaby istnieć między nimi więź. Posunięcie ryzykowne, w przypadku bowiem wygranej nad Rzymem Ariowist zyskałby niewiarygodnie na znaczeniu, a wtedy

dobrałyby się Arwernom do skóry. Na razie jednak wojna nie została jeszcze wypowiedziana i Galvan nie musiał dokonywać tak drastycznego wyboru.

- Zobaczymy, Uatah - zgodził się. - Ale wiedz, że ja paktu dotrzymam.

- Nie wątpię. - Uatah uśmiechnęła się ironicznie. - Pytanie tylko, czy będziesz musiał.

Wówczas Galvan także zorientował się, że od dłuższego czasu nie widział Lorelei. Jego serce ogarnął niewróżący nic dobrego niepokój.

Lorelei pędziła na północ.

Gdy tylko przybył posłaniec od Jorga, wiedziała, że jej dni w Gergowii są policzone. Kilka godzin później Galvan otrzymał oficjalną wiadomość, że Eduowie zwrócili się do rzymskiego prokonsula z prośbą o pomoc w pokonaniu Ariowista. Zdradzieckie węże! Oby ich ziemia pochłonęła! Teraz Cezar niby się zastanawiał, ale Lorelei widziała tego człowieka na audiencji w Rzymie i za grosz mu nie ufała. Mógł sobie tam siedzieć w senatorskiej purpurze, ale Lorelei widziała jego dłonie i od razu zrozumiała, że są to dłonie wojownika, a nie polityka. Pewnie tym ostatnim także był, wszak każdy wódz musi zajmować się polityką, ale Cezar doskonale wiedział, że chce wojny, i teraz miał szansę swój cel osiągnąć.

Lorelei bała się tego człowieka. Był groźny, miał żelazną wolę, a w oczach ten rodzaj błyskotliwej inteligencji, która sprawia, że jego wrogom ciarki przebiegają po grzbiecie. Lorelei uważała, że jej ojciec zbyt go ignorował, dając wiarę jego niedbałemu strojowi, kunsztownie ułożonym włosom, lśniąco białym zębom i nienagannym manierom. Nie widział tego, co Lorelei, ani tego, co widziała jej przenikliwa siostra Adair. Ona dyskutowała później o Cezarze ze swą matką, podobnie jak któregoś wieczoru Mergh z Lorelei. I obie matki ostrzegały swe córki przed Cezarem: Oto człowiek, który nie cofnie się przed niczym. Ojciec zaś był pełen buty i dumy, ufny w swą potęgę, kipiał od samozadowolenia i upajał się zdobytym tytułem, jakby go to miało w przyszłości ustrzec przed

niepowodzeniem. Cezar był jak podwójne ostrze siekiery. Z nim należało się liczyć.

Kiedy jasne stało się dla niej, że Galvan nie przeforsuje swego pomysłu, by wypowiedzieć Rzymowi wojnę, Lorelei postanowiła działać na własną rękę. Czuła, że musi jechać do ojca i – przede wszystkim – do Jorga. Jakiś głos w jej duszy podpowiadał jej, że jeżeli zostanie u Arwernów, już nigdy więcej nie ujrzy żadnego z nich. Umrą z dala od niej, a ona będzie żyć u boku Wercyngetoryksa jako jego trzecia żona i będzie wiednąć, umierać za życia. Nigdy by sobie nie podarowała, gdyby tu została. Czuła, że musi choć raz w życiu spocząć w ramionach Jorga. Chociaż raz jeden przed śmiercią, a potem może ze spokojnym sumieniem odejść do bogów. Nie bała się śmierci, znacznie bardziej bała się życia bez Jorga.

Nie ujechała daleko, kiedy dogonił ją drugi jeździec. Lorelei z irytacją stwierdziła, że to jej siostra.

Wstrzymała konia.

– Czego chcesz?! – naskoczyła na Adair ze złością. – Nawet teraz mnie szpiegujesz?

– Natychmiast wracaj, idiotko! – prychnęła Adair. – Do reszty zgłupiałaś?! Chcesz jechać do ojca?

– Tam jest moje miejsce – odparła z przekonaniem Lorelei.

– Twoje miejsce jest w Gergowii – syknęła Adair. – Jesteś żoną Wercyngetoryksa i gwarancją ojca na sojusz z Arwernami! Kto mu pomoże, jeżeli Rzymianie go zaatakują?

– Słyszałaś chyba, że Arwernowie nie przystąpią do wojny.

– Głupia jesteś. Jeżeli Ariowist przysłałby tu posłów, Galvan za nic nie straciłby twarzy. To jego durny wuj namawia go do zachowania neutralności. Ty byś przybiegła do niego ze łzami, parę razy poświeciła mu tyłkiem przed nosem i Galvan padłby plackiem przed naszym ojcem. Ale ty jesteś tak głupia, że tego nie dostrzegasz! Po co jedziesz do ojca?

– Bo muszę.

Adair zwięzła swoje przenikliwe oczy. Była inteligentna aż do bólu i na nic się zdały zdawkowe odpowiedzi siostry.

– Do ojca! – parsknęła. – Gówno prawda! Jedziesz do tego wielkiego bohatera, do Jorga, czyż nie? Chcesz go koniecznie

poczuć między nogami, bo się boisz, że go Rzymianie rozniosą na mieczach. To mi dopiero!

- Nie twoja sprawa, gówniaro! - warknęła Lorelei. - Zabieraj się stąd, przeklęty szpiegu! Donosicielu! Myślisz, że nie wiem, jak na mnie donosisz Ariowistowi? O moim dziecku, o moich nocach z mężem, o wszystkim!

- A tak, donoszę - przyznała Adair. - I ojciec jest ze mnie bardzo zadowolony. Kazał ci zostać u Galvana tak długo, jak się da, a ty co wyprawiasz? Ojciec był na ciebie wściekły, że usunęłaś ciężę. Napisał mi, że mam dopilnować, żebyś nie ważyła się uczynić tego ponownie. Inaczej mam cię własnoręcznie zabić za przynoszenie mu hańby.

- Kłamiesz! - krzyknęła Lorelei. - A zresztą nie dbam o to. Tak, jadę do Jorga, mam dosyć ciebie, ojcowskich układów i przeklętej polityki, która zaprowadziła nas na skraj przepaści.

- Głupia jesteś - powtórzyła Adair. - Rzymianie są silni i potężni, zmiażdżą naszego ojca, zobaczysz. Jedziesz tam na śmierć.

- Tak wierzysz w potęgę Ariowista? Zdrajczyni! - Lorelei niemal wypluła z siebie to słowo.

Adair zaśmiała się nieprzyjemnie.

- Lorelei, moja matka była u nich niewolnicą. Nie istnieje potęga większa od Rzymu. Zapamiętaj to sobie. A teraz wracaj do Gergowii.

- Nigdy w życiu. I nie waż mi się mnie zatrzymać.

- No cóż - mruknęła Adair, podprowadzając konia bliżej. - Najwidoczniej będę musiała.

Lorelei z żalem pomyślała o tym, co chce zrobić, ale nie było wyjścia. Wyciągnęła zza paska nóż i zanim Adair zdążyła się zorientować, rzuciła nim prosto w końską szyję. Wierzchowiec zarżał przeraźliwie i zaczął wierzgać przednimi kopytami, tym samym strącając Adair z grzbietu. Fontanna krwi wzbiła się w powietrze, widocznie Lorelei trafiła w tętnicę. Żal jej było zwierzęcia, które po kilku wierzgnięciach powoli zaczęło osuwać się na ziemię. Metaliczny zapach posoki uderzył Lorelei w nozdrza. Rzenie konia przechodziło powoli w rżenie, kopyta drgały konwulsyjnie, oczy wierzchowca

zachodziły mgłą, krew wsiąkała w piasek na gościńcu.

Po twarzy Lorelei płynęły łzy żalu nad niewinnym koniem.

- Ty głupia! - wrzasnęła Adair, gramoląc się niezgrabnie z ziemi. - Zabiłaś mojego najlepszego konia, którego podarował mi ojciec!

- Wybacz, Adair, mogłam zabić ciebie - odparowała Lorelei. - Powiem ojcu, jak mnie zdradziłaś. Żegnaj, mam nadzieję więcej cię nie zobaczyć. - Spięła swego konia i odjechała w dzikim pędzie, nie oglądając się za siebie.

Adair stała nad trupem wierzchowca i czuła, jak słone łzy dławia ją w gardle. Kochała tego konia, dbała o niego i pielęgnowała go, był wszystkim, co pozostało jej po ojcu i matce, których opuściła, by szpiegować tę przeklętą oślicę, co to teraz gnała jak burza na północ.

- Zapłacisz mi za to! - wymamrotała przez zaciśnięte zęby. - Wybaczyłam ci Galvana, boś go wcale nie chciała, a on był za głupi, by na mnie spojrzeć, ale tego konia nie podaruję ci nigdy. Jeszcze się spotkamy, Lorelei. Obiecuję ci to. - Po czym zabrała swoje juki i piechotą ruszyła dalej, mając nadzieję za srebro otrzymane od ojca zakupić w najbliższej wsi nowego konia i jakoś dotrzeć do Ariowista. Miała mu dużo do powiedzenia. Lorelei go zdradziła, a karą za zdradę była śmierć, bez względu na obowiązujące więzy krwi.

Nieładną twarz Adair wykrzywił paskudny uśmiech, kiedy wędrowała przed siebie w zapadającym mroku.

- Wygląda na to, że zniknęła - stwierdził zdenerwowany Galvan po tym, jak wszyscy, łącznie z domownikami i niewolnikami, obeszlili całe domostwo i okoliczne domy. - Zniknęły dwa konie, a jeden z nich był wierzchowcem Adair, którego przywiozła sobie z domu.

Gwynn również brała udział w poszukiwaniach i teraz czuła się cokolwiek dziwnie na myśl o tym, że jej rywalka tak po prostu opuściła Gergowie. Co bardziej zdumiewające, odjechała również Adair. Obie siostry nie zabrały ze sobą swoich rzeczy, ale z sypialni Adair zniknęły pieniądze i broń, wyglądało więc na to, że jedna wyjechała w pośpiechu, a druga

podążyła za nią bardziej już przygotowana do drogi.

- Co teraz zrobisz? - zapytała męża. - Chyba nie będziesz jej gonił?

- A co według ciebie powinienem zrobić, Gwynn? Zostawić ją tak samą sobie? Ostatecznie jest moją żoną.

- Tak, która raz cię zawiodła, zabijając twoje dziecko - przypomniała Gwynn z goryczą - a teraz zniknęła bez słowa.

- Musiała wiedzieć, że nie przystąpimy do wojny, więc odjechała do ojca - rozumował Galvan. - Ale mogła przecież poprosić, dostałaby eskortę i służbę. Bądź co bądź nie jest jakąś niewolnicą, ale germańską księżniczką.

Gwynn wykrzywiła usta w gorzkim grymasie. Czy Galvan był tak bardzo przywiązany do Lorelei, czy też z jego strony były to wyłącznie uprzejmość i zasady dobrego wychowania?

- Nie jedź za nią, proszę cię - błagała ze łzami w oczach. - Galvanie, jesteś potrzebny tutaj, zwłaszcza teraz, kiedy doszło do wojny między Germanami a Rzymem, a przynajmniej wojna ta wisi w powietrzu. Nie odjeżdżaj w pogoni za córką Ariowista! Ona sama złamała warunki sojuszu, odjeżdżając bez twojej zgody.

Galvan zasepił się, gdyż wiedział doskonale, że akurat w tej kwestii Gwynn ma rację. Niestety taka była prawda i Galvan nie mógł temu zaprzeczyć. Lorelei złamała warunki sojuszu, odjeżdżając od męża wbrew jego woli, czyli de facto porzucając go. Czyniąc w ten sposób, zwalniała go z odpowiedzialności za siebie. Ale Galvan, chociaż nie kochał Lorelei, czuł wobec niej lojalność, a poza tym był człowiekiem honoru i spokoju nie dawał mu fakt, że samotna kobieta miałaby podróżować sama przez dzikie trakty. Może Uatah poradziłaby sobie z bandą złoczyńców na gościńcu, ale z pewnością nie Lorelei. Już prędzej jej siostra.

Galvan nie wiedział, co myśleć o Adair. Od początku zauważył, że dziewczyna jest nim zauroczona, ale po pierwsze sama nie była w jego typie, a po drugie była jego szwagierką, więc stosunek ten wykluczał jakiegokolwiek pozamałżeńskie... zabawy (inaczej nie mógłby tego nazwać). Adair jednak była inteligentna i wykształcona, widocznie Ariowist uczył ją

szpiegowania i wszystkiego, co potrzebne w tej profesji. Galvan wiedział, że oprócz rodzimego języka władała ona biegle łaciną, greką i celtyckimi narzeczaniami. Rozumiała każde słowo wypowiedziane w wielkiej sieni, wiedziała, o czym on rozmawia ze swoimi domownikami, a dzięki opanowaniu sztuki szpiegowania znała każdy jego ruch, więc Galvan nie wątpił, że o wszystkim donosiła Ariowistowi, będąc jego oczami i uszami w domu Wercyngetoryksa. To sprawiało, że nie lubił Adair, choć pewnie ona sama wolałaby piastować funkcję jego żony, a nie szpiegującej donosicielki. Z drugiej strony darzył siostrę Lorelei podziwem i szacunkiem, chociaż jednocześnie uważał, że jest strasznie brzydka i nieatrakcyjna, a to mimo wszystko wpływało na negatywną ocenę Adair.

Z początku Gwynn była chorobliwie zazdrosna o Lorelei, ale w stosunku do jej siostry przejawiała jedynie chłodną uprzejmość, nic więcej. Gwynn jej nie ufała. Nie lubiła, kiedy ich dzieci bawiły się w pobliżu Germanki, zupełnie jakby Adair miała je zaczarować i zjeść albo zabić w jakimś drastycznym rytuale. Adair musiała źle się czuć u Arwernów, ale Galvan nic nie mógł na to poradzić.

A teraz obie zniknęły i Galvan domyślał się, że jedna ściga drugą. Siostry nie darzyły się uczuciem, pochodziły z różnych matek rywalizujących zapewne ze sobą o względy Ariowista. On, Brennus i Celtillognatos pochodzili z trzech różnych matek, a jednak darzyli się braterską miłością i byli sobie oddani, ale najwidoczniej u Germanów panowały inne obyczaje. Gdzieś w głębi ducha Galvan współczuł obu siostram, gdyż wiedział, że jedna jest nieszczęśliwie wydana za mąż, a druga nieszczęśliwie zakochana. Szkoda, że nie wiedział o sekretnej miłości Lorelei do Jorga i o jej niezłomnym postanowieniu spędzenia w jego objęciach choć jednej nocy. Gdyby o tym wiedział, z pewnością, wiedziony współczuciem, zwróciłby jej wolność.

- Nie będę jej ścigał - powiedział wreszcie z wyraźną udręką, za to Gwynn odetchnęła z ulgą. - Ale wyślę jej śladem dwóch zbrojnych ludzi. Nie pozwolę, by opuściła moje ziemie całkowicie bezbronna.

Gwynn gotowa była dla świętego spokoju przystać na taki kompromis. Ostatecznie zgadzała się z mężem w tej kwestii, również bowiem uważała, że nie godzi się, aby ich gość i domownik odjeżdżał sam narażony na niebezpieczeństwo. Jakkolwiek Lorelei wzgardziła gościnnością Wercyngetoryksa, to jednak nie wypadało pozostawić jej bez opieki i pozwolić podróżować samej jak zwykłej zbiegłej niewolnicy.

- Tak zrób - poparła go. - Niech Ariowist nie pomyśli, że ją wypędziliśmy.

- Myślę, że ona przyzna się do swego czynu - powiedział Galvan w zadumie. - Ona po prostu uznała, że teraz sojusz na nic się nie zda i że jej miejsce jest przy ojcu.

- A Adair? - Gwynn niemal wypluła to imię.

- Ona? - prychnął Galvan. - Nie chcę się o niej źle wypowiadać, Gwynn, ale nie ufam tej dziewczynie. Mam co do niej paskudne przeczucia.

Gwynn pokiwała głową. Ona uważała podobnie.

Czuła ulgę na myśl, że Galvan nigdzie nie pojedzie. Musiała jednak przyznać, że bała się również ojcowskiego gniewu Ariowista i drżała na myśl o tym, co ów przerażający Sweb uczyniłby Galvanowi, gdyby ujrzał powracającą w hańbie córkę. Poza tym nie miała też ochoty wysłać swego męża do Eduów, gdzie panoszyli się Rzymianie. Raz ich widziała i wystarczy. Wiedziała, że naród wznoszący tak potężne budowle, mieszkający w ogromnym mieście, budujący drogi, statki, handlujący w całej Europie i Afryce jest dostatecznie silny, by zagrozić tak niewielkiemu plemieniu jak Arwernowie. I bała się tego, co może przynieść przyszłość, skoro ci potężni Rzymianie przybyli do Celtyki, nawet jeśli na razie byli daleko od Gergowii.

Jednocześnie jednak czuła również ulgę na myśl, że Lorelei zniknęła z ich życia, być może na zawsze. I kiedy później dowiedziała się, jaki los ostatecznie ją spotkał, poczuła współczucie i żal, ale nawet wówczas nie zmieniła zdania i nadal cieszyła się, że Lorelei okazała się w życiu jej i Galvana jedynie epizodem.

Lorelei dotarła do obozu Swebów czwartego dnia pod

wieczór. Był początek lata, a im dalej na północ się posuwała, tym dłuższe stawały się dni. Lorelei miała przy sobie dość pieniędzy, by stać ją było na opłacenie noclegu w przydrożnych gospodach, ale ze względu na swój akcent i niedostateczną znajomość języka wołała nie ryzykować, toteż sypiała w lasach i krzakach, ale skołatane nerwy nie pozwalały jej na dłuższy wypoczynek. Może to i dobrze, bo najbardziej ze wszystkiego obawiała się spotkania z Adair i konfrontacji z nią. Wiedziała, że młodsza siostra jest wściekła i nie zawaha się posunąć do ostateczności, a potem powiedzieć Ariowistowi, że napadli na nie zbójcy. Albo, co gorsza, Rzymianie. Lorelei przekonała się, że jej siostra jest zdolna do wielu rzeczy, także do niekoniecznie dobrych i zgodnych z prawem.

Rzymian widziała z daleka. Dostrzegła ich obóz, kiedy zbliżała się do miejsca, w którym spędziła dzieciństwo. Z nienawiścią pomyślała o Eduach. Oni i Sekwanowie byli siebie warci: najpierw czegoś chcieli, a potem wołali na pomoc swoich potężnych rzymskich sojuszników. Ariowist nie powinien był nigdy w życiu przechodzić na drugą stronę Renu. Nie powinien był nigdy przyjeżdżać na ziemie Sekwanów i Eduów.

Kiedy przyjechała, postanowiła nie zwlekać, tylko natychmiast udać się do ojca, mimo że wiedziała, iż nie będzie zachwycony jej obecnością i być może ją ukarze. Nie miało to dla niej większego znaczenia.

Kiedy Lorelei weszła do jego namiotu, Ariowist zasiadał na swoim „tronie” i przewodził obradom swoich wojów. Na widok córki zerwał się z miejsca jak rażony gromem.

- Lorelei! - huknął, zapominając na chwilę o swojej godności. - Co ty tu robisz?! Miałaś być w Gergowii!

- Tak, ale kiedy jasne się stało, że Wercyngetoryks nie pomoże ci pokonać Rzymian, postanowiłam wrócić - odparła Lorelei bez ogródek. - Opuściłam go.

Ariowist przez chwilę gapił się na nią oniemiały, po czym rozkazał wojom rozejść się. Zrobił to jednym ruchem ręki i wszyscy jak za poruszeniem czarodziejskiej różdżki wyszli z namiotu.

- Jak to opuściłaś?! - warknął. - Nie dostałaś mojego

pozwolenia.

- Nie dbam o twoje pozwolenie, ojciec - odparła śmiało Lorelei, chociaż wzbierał w niej płacz. Więc Ariowist nie cieszył się wcale z jej powrotu. - Jestem dorosła i sama decyduję o sobie.

- Lorelei, gdybyś tam została, ułatwiłabyś mi wiele spraw - powiedział Ariowist znużonym tonem.

- Wercyngetoryks nie przyjedzie ci z pomocą - powtórzyła cicho.

- Ależ wcale nie chcę jego pomocy! - odparł ojciec hardo. - Cezar przybył tu w glorii zwycięzcy i puszy się wśród tych zdrajców i żmij, Eduów, i sądzi, że pokona mnie w walce. Ale Hulda powiedziała mi, że bym nie stawał do walki wcześniej niż po letniej pełni. I ja zamierzam jej posłuchać. Jeśli wytrzymam, zwycięstwo będzie moje.

Lorelei spojrzała ojcu prosto w oczy.

- Dlaczego kazałeś Adair mnie szpiegować? - zapytała ze złością. - Podglądała mnie nawet w sypialni!

- Tak, i doniosła mi, co zrobiłaś ze swoim dzieckiem - nachmurzył się Ariowist. - Dlaczego usunęłaś ciążę, głupia? Mogłaś zginąć. Mniejsza o tego bękarta, nic dla mnie nie znaczy, ale mogłaś się wykrwawić! Dostać zakażenia! Pomyślałaś o tym, Lorelei?

Córka milczała, zagryzając wargi. Bękart... A więc dobrze uczyniła, pozbywając się płodu, skoro dla Ariowista nie miał on znaczenia. A czy miałby dla Galvana? Czy byłby jedynie problemem? Germańsko-celtycką mieszanką? Kimś, kto nie miałby prawa nazywać siebie ani Swebem, ani Arwernem?

A przecież było to życie wyrwane z niej brutalnie i okrutnie. Łzy spłynęły jej po twarzy. Ariowist przyciągnął córkę do siebie i przytulił, a ona zniknęła całkowicie w jego potężnych objęciach.

- Tak mi brakowało domu. - Załkała. - Byłam tam taka samotna!

- Lorelei, ty głupie, naiwne dziecko - mruzczał Ariowist. - Mogłaś zostać u Arwernów. Tam żaden Rzymianin nie tknąłby cię małym palcem, a ja nie mam ochoty patrzeć, jak Cezar

zakuwa cię w złoty łańcuch i prowadzi w triumfalnym pochodzie.

- Nie uczyni tego, ojczy - odparła Lorelei poważnie. - Nie pozwolę na to.

- Jeśli przegram bitwę, będziesz musiała sama odebrać sobie życie - ostrzegł ją Ariowist. - Zwycięzca bierze wszystko. Żony, córki, synów, bogactwa, wszystko, Lorelei.

Sądził, że ona się tym przestraszy, ale Lorelei hardo patrzyła ojcu w oczy. Tak, strach przed śmiercią jej nie towarzyszył. To Adair chciała za wszelką cenę żyć i to Adair sprzedalaby wszystko i wszystkich, nawet siebie, nawet jego, nawet swoją matkę.

Poły namiotu rozchyliły się i stanął w nich zdeorientowany Jorg. Przez chwilę patrzył w milczeniu na ojca i córkę, po czym niepewnie przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał coś powiedzieć. Ariowist spojrzał na niego ponad ramieniem Lorelei.

- Wejdz, Jorg - powiedział z krzywym uśmiechem.

Lorelei uniosła głowę. Posłała Jorgowi jedno tylko spojrzenie, od którego nawet Ariowistowi zakręciły się łzy w oczach.

Hulda powiedziała, że będzie miała swój czas z Jorgiem.

Spojrzała błagalnie na ojca. Zrobiłam, co chciałeś. Wypełniłam swój obowiązek. Przez cały rok mieszkałam u Wercyngetoryksa, byłam ci posłuszna, ale już nie chcę. On nie wypełni swego przymierza. Uciekłam od niego. Zrobiłam źle, popełniłam błąd, ale błagam, musiałam to zrobić, musiałam ujrzeć go jeszcze raz przed końcem...

- Jest twoja, jeśli tego pragniesz - zwrócił się Ariowist do swego woja.

Jorg zamrugał.

- To zaszczyt dla mnie - zaczął niepewnie.

- Och, daj spokój. - Ariowist machnął ręką. - Bierz ją i cieszcie się sobą, póki na to jeszcze czas. Dopóki pertraktuję z Cezarem, miejcie trochę radości. Bo lada dzień wybuchnie wojna i nie wiem, jak się potoczą jej losy. Może będziemy musieli uciekać za Ren, a może zginiemy.

Lorelei bez słowa podbiegła do Jorga i zarzuciła mu ręce na szyję, a on objął ją, po czym wziął za rękę i wyprowadził z namiotu. Nie opierała się ani przez moment.

Obudziła się z poczuciem przyjemnego rozleniwienia. Jeszcze zanim dotarło do niej, co się stało, zorientowała się, że śpi w silnych objęciach mężczyzny, który jednak nie był Galvanem. Pachniał inaczej, oddychał inaczej i Lorelei oddychała równo z nim, co jej się dotąd nie przydarzyło.

Jorg – pomyślała.

Wypowiedziała na głos jego imię i otworzyła oczy. Spał obok niej, nagi, okryty jedynie cienką narzutą, ponieważ było upalne lato. Jego ciemnoblond włosy leżały rozrzucone na poduszce, jedno ramię podłożył Lorelei pod głowę, drugim ją obejmował. Oddychał równo i miarowo. Lorelei poczuła przypływ czułości i szczęścia. Była z nim, spędziła noc w jego objęciach i wreszcie poczuła się spełniona. To było coś zupełnie innego niż zimna, głucha namiętność w objęciach Galvana, który jako mężczyzna sprawował się bez zarzutu i potrafił dać jej morze rozkoszy, ale nigdy nie poznał sposobu na pozyskanie jej miłości. Wystarczyło zaś, by Jorg ją dotknął, a miłość w jednej chwili wypełniała ją całkowicie. To, czego wczoraj doznała, warte było całego roku poświęcania się w Gergowii.

Uniosła się na łokciu i delikatnie palcami obrysowywała kontury jego twarzy, kwadratową szczękę, proste usta, nos, jasne łuki brwi. Nagle świadomość bliskości nieprzyjaciela oddaliła się od niej w czasie, przestrzeni i umyśle – nagle był tylko Jorg wypełniający całe jej jestestwo. Lorelei po raz pierwszy w życiu była całkowicie, w pełni szczęśliwa.

Otworzył oczy, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Bogowie, Lorelei – szepnął. – Czekałem na ciebie tyle lat. I nigdy nie sądziłem, że cię dostanę.

Patrzył na nią z zachwytem. Była nieskończenie piękna, jej srebrzyste włosy opadały kaskadą na jego ramiona, jasnoniebieskie oczy przywodziły na myśl wiosenne niebo, zęby lśniły bielą, a ciało zdawało się gładziej od wypolerowanej stali.

– A ja sądziłam, że ojciec, za to, że uciekłam od męża,

zedrze ze mnie skórę żywcem – odparła, śmiejąc się. – Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że tak po prostu mnie tobie odda.

– I dobrze, że to zrobił – zamruczał Jorg, tuląc się do niej. Czuł, że znowu jej pragnie, i wcale tego nie ukrywał. – Inaczej sam bym sobie ciebie wziął. Wywalczyłbym cię mieczem.

Lorelei poczuła go na swoim udzie i stwierdziła, że nie miałyby nic przeciwko zbrojnemu wystąpieniu. Chętnie zostałyby jego wojennym łupem.

Ogarnęła ją cudowna błogość. W jego ramionach czuła się jak w innym wymiarze, nieziemsko, cudownie, tak jak jeszcze nigdy z nikim.

– Jorg, powiedz mi, czy to prawda, że Rzymianie wypowiedzieli nam wojnę? – zapytała go jakiś czas później, kiedy ich oddechy uspokoiły się, a on trzymał ją mocno w ramionach.

Wyczuła, że zacisnął szczęki i nawet zgrzytnął ze złości zębami.

– Rzymianie! – parsknął. – To zdradzieckie psy. Cezar planował to od początku i tylko czekał na pretekst. Dali mu go Eduowie, te źmije. Najpierw wysłali do niego petycję, aby poskromił Helwetów, a kiedy mu się to udało, poprosili o pomoc w wypędzeniu Ariowista za Ren.

– I co Cezar na to?

– A jak sądzisz? Codziennie prowokuje Ariowista do walki. Ale Hulda powiedziała mu, by nie zaczynał wojny przed pełnią księżyca. Jeżeli to uczyni, przegra. Zostały trzy dni. Dlatego Ariowist nie reaguje na ich zaczepki. A Rzymianie są o tyle mocni, że w tej walce mogą liczyć na pełne wsparcie Eduów. Wydaje się, że Sekwanowie również przyłączyliby się do tego paktu, gdyby nie fakt, że Eduowie to ich najzacieklejsi wrogowie.

– Gdyby mój ojciec wezwał do wypełnienia sojuszu Wercyngetoryksa, Cezar miałby na karku Arwernów – powiedziała cicho Lorelei. – Ale Arwernowie nie chcieli wojny, pomimo że Wercyngetoryks ich do tego namawiał.

– Twój mąż nie jest głupcem – stwierdził Jorg. – Doskonale wie, co oznacza obecność Rzymian po tej stronie Alp. Byłem

z wami w Rzymie i widziałem wtedy Cezara.

- Też go widziałam - przypomniała Lorelei. - To człowiek, który nie zadowoli się byle zwycięstwem nad Helwetami. On będzie chciał więcej i więcej, aż otrzyma wszystko, co możliwe.

- Cezar jest ambitny - westchnął Jorg. - Twój ojciec źle zrobił, że go nie docenił. Byłem w Rzymie wiele razy, szpiegując dla Ariowista, i słyszałem, co mówili o nim ludzie, a mimo to Ariowist postanowił zawrzeć z nim porozumienie, aby tylko stać się Przyjacielem Narodu Rzymskiego.

- Rzymianie kierują się chłodną kalkulacją - zauważyła Lorelei. - Tak jak moja siostra.

Jorg wyczuł w jej głosie niechęć, kiedy wspomniała Adair.

- Co zrobisz teraz, jeśli Rzymianie rozpętają wojnę? - zapytała go. - Pójdiesz walczyć?

- Nie sądzisz chyba, że będę siedział jak baba z założonymi rękami? - zaśmiał się Jorg. - To by dopiero była hańba. Chciałabyś takiego męża?

- Nie chcę, żebyś zginął.

- Wcale nie zamierzam.

- Mówisz tak, jakbyś nie bał się śmierci.

- Bo się nie boję. Otrzymałem wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, Lorelei. Dostałem ciebie. Jeśli zginę, umrę szczęśliwy z twoim imieniem na ustach.

- Wolałabym, żebyś żył szczęśliwy - stwierdziła Lorelei. - Nie chcę patrzeć, jak giniesz. Nie chcę o tym nawet myśleć.

- Jeżeli Ariowist wytrzyma jeszcze trzy dni, zwyciężymy Rzymian, a wtedy oni odejdą stąd jak niepyszni. I nigdy tu nie powrócą.

- Mylisz się. Powrócą. Silniejsi i bardziej zdeterminowani upokorzeniem.

- Być może. Ale wówczas my będziemy przygotowani na ich nadejście.

Lorelei wdychała jego zapach i czuła w sercu radość przeplatającą się z dominującym smutkiem. Jorg mówił o tym wszystkim z lekkością i w taki sposób, jakby opowiadał o dobrej zabawie, chodziło tymczasem o wojnę z przeciwnikiem, którego

w tej kampanii nikt jeszcze nie poskromił. Oczywiście słyszała, że rzymska armia wcale nie należała do niepokonanych, ale kiedy jechała do obozu Ariowista pod osłoną nocy, wojska rzymskie wzbudziły w niej strach.

- Nie chcę, żebyś umierał, Jorg - powtórzyła cicho.

Poczuła jego dłonie pieszczące jej ramiona.

- Nie zginę - odparł pewny siebie. - Pokonamy Rzymian i wtedy cię poślubię, Lorelei. Będziemy razem, cokolwiek się później stanie.

- Jorg, a jeśli nie będę mogła dać ci dziecka? - zapytała nagle. - W Gergowii straciłam... poroniłam... - Nie wiedziała, jak mu wytłumaczyć swój czyn, i nie wiedziała, czy tak naprawdę chce to zrobić.

- Nie dbam o dzieci - odparł zdecydowanie. - Chcę tylko ciebie. Na zawsze.

Lorelei zamknęła oczy, pragnąc w duchu, by ten dzień nigdy się nie skończył i by nigdy nie nadeszło jutro. Bała się spełnienia przepowiedni Huldy, było w niej bowiem coś, co kazało jej zastanowić się nad słowami wieszczki. Dostała Jorga w przededniu wojny z Rzymianami, w obliczu tego, co nieuchronne. Czy tak miało być? Czy była to tylko złośliwość losu? Nie chciała tego wiedzieć. Jeśli już miał nadejść koniec, to chciała umierać ze świadomością, że należy do Jorga i tylko do niego.

Adair przyjechała nazajutrz rano. Była zmęczona, głodna, obolała i wściekła, ponieważ straciła ulubionego wierzchowca, a tej idiotce Lorelei udało się wystrychnąć ją na dudka. Kiedy przejeżdżała w pobliżu siedzib Eduów, dostrzegła czerwone sztandary Rzymian, a kiedy przyjrzała się lepiej, ujrzała nawet prostokątny namiot prokonsula z rzymskim orłem i insygniami po obu stronach. Więc Rzymianie zadomowili się już na dobre na ziemiach Eduów i teraz postanowili zrobić porządek z Ariowistem.

Gdyby Lorelei miała odrobinę oleju w głowie, zostałaaby u Eduów tak długo, jak to tylko możliwe. Ale ta głupia musiała jechać do swego Jorga, porzucając dobre życie pod dachem

Galvana. Niczego jej tam nie brakowało, miała stawę, własną sypialnię, posag dany jej przez ojca, służbę, swobodę i fantastycznego mężczyznę, nawet jeśli musiała dzielić go z Gwynn i tuzinem służących, z którymi lubił się od czasu do czasu zabawić. Nic to, każdy mężczyzna był taki sam i traktował kobiety jak zabawki do łóżka. Nic nowego, Adair widziała na własne oczy, jak jej ojciec wychodził z sieni w towarzystwie tej czy innej ładnej kobiety, ale i tak wracał do Mergh i do jej matki.

Gdy wróciła do obozu, daleko jej było do dobrego nastroju. Wiedziała, że Lorelei przyjechała przed nią, w zagrodzie bowiem ujrzała jej konia. To nie wróżyło nic dobrego, pewnie córeczka Ariowista wypaplała już, jaka zła i okropna była dla niej Adair. Wiedziała oczywiście, że to niedorzeczne myśleć w ten sposób o Lorelei, ale Adair ogarnięta była nienawiścią do siostry i zazdrością o Ariowista i o Galvana, którego nie mogła mieć, choćby nie wiadomo jak się starała.

Weszła do namiotu swej matki Grynildy, która nie wyglądała na ani trochę zdumioną jej obecnością.

- Dość późno przyjechałaś - zauważyła cierpko. - Twoja siostra zdążyła już przybyć.

- Zabiła po drodze mojego konia - wycedziła przez zęby Adair.

- To coś nowego! - prychnęła Grynilda z pogardą. - Nie spodziewałabym się tego po niej. Ale dość o Lorelei. Adair, Ariowist jest na ciebie wściekły, żeś jej nie upilnowała.

Adair uśmiechnęła się pod nosem.

- A jak niby miałam ją upilnować, matko? - zapytała ironicznie. - Ojciec zlecił mi ją szpiegować, donosić o wszystkim, co się działo w domu Wercyngetoryksa, i to czyniłam, a nie pilnować mojej starszej przyrodniej siostry. Na bogów!

Grynilda posłała jej ponure spojrzenie.

- Nie zapominaj, Adair, że ta dziewczucha to jego oczko w głowie - sarknęła. - Cokolwiek się stanie, ty zawsze będziesz od niej gorsza. Ariowist jest jak każdy mężczyzna, dla niego liczy się ładna twarz i zgrabne ciało, nic więcej nie musi istnieć.

Twój ojciec toleruje mnie, bo jestem mu przydatna, ale nie sądzę, że traktuje mnie równie dobrze jak Mergh.

- Lorelei to ckliwa idiotka - orzekła Adair z pasją.

- Nie inaczej - przytaknęła matka. - Ale jest ulubienicą Ariowista i nic na to nie poradzisz, moje dziecko. Lepiej od razu do niego idź i przyjmij burę.

- Czy Lorelei też otrzymała burę od ojca? - zapytała Adair głosem słodkim jak miód. - Czy powiedział jej choć słowo na temat tego, co zrobiła?

- A jak sądzisz?

To wystarczyło za odpowiedź. Adair, chcąc nie chcąc, westchnęła ciężko i udała się do namiotu ojca, gdzie spodziewała się otrzymać solidną reprimendę. Kiedy jednak weszła, czekało ją coś znacznie gorszego. Na jej widok Ariowist zerwał się z krzesła, które zajmował, podszedł do niej ciężkim krokiem i bez słowa zdzielił ją w twarz na oczach wszystkich swoich wojów.

- Cholerny pomiole! - syknął rozzłoszczony. - Kazałem ci mieć na nią baczenie, a ona uciekła pod twoim nosem z bezpiecznej Gergowii!

Adair przyłożyła rękę do policzka, który pulsował ogniem. W ustach czuła smak krwi i zdała sobie sprawę, że jeden z tylnych zębów niebezpiecznie jej się chwieje. Czy tak Ariowist wita swoją córkę? Czy tak powitał też Lorelei?

Zimna nienawiść rozlała się po jej duszy niczym ostudzona płynna stal.

- Nie uczyniłam niczego, czym mogłam zasłużyć na twój gniew, ojczy - odezwała się spokojnie, pomimo że upokorzenie paliło ją od wewnątrz. - Co miesiąc otrzymywałeś ode mnie raporty. Twój sługa przyjeżdżał i dostawał ustną relację. Wiesz o wszystkim, co działo się w Gergowii. Wiesz, z kim Wercyngetoryks paktował, z kim jadał, z kim sypiał i ile razy dziennie chodził za potrzebą. Wiesz wszystko o wszystkich. Podczas gdy moja siostra zabawiała się w jego łóżku, ja wykonywałam dla ciebie ciężką pracę, a ty w taki sposób mnie witasz?

Ariowist wyglądał jak chmura gradowa, ale po takich

słowach w obecności zbrojnych nie mógł sobie pozwolić na kolejne uderzenie. Jego młodsza córka w istocie wykonała dobrą robotę, ale Ariowist nie mógł jej darować tego, że nie upilnowała Lorelei, która była gwarantem sojuszu i de facto kurą znoszącą złote jajka. To jej pożądał Wercyngetoryks, a Adair zręcznie wykorzystywała jego zaślepienie. Dzięki Adair Ariowist wiedział wszystko o młodym naczelniku Arwernów. Znał jego myśli, znał relacje rodzinne. Wiedział, kto z Arwernów będzie sympatyzował z Rzymianami, a kto będzie im przeciwny. A mimo to jego złość znalazła ujście w takiej właśnie formie.

Gdyby Ariowist bardziej interesował się Adair, zapewne powstrzymałby się przed publicznym upokorzeniem tego dziecka. Lorelei była posłuszna, łagodna i ustępliwa, ale Adair ze swym charakterem była bardziej niebezpieczna od jadowitej żmii, o czym Ariowist przekonać się miał zbyt późno.

- Nie wypełniłaś swego zadania należycie - upierał się. - Pozwoliłaś jej wymknąć się Arwernom. A wcześniej nie dopilnowałaś, by nie usunęła ciąży.

- Ojczy! - Głos Adair był ostry jak brzytwa. - Ja nie sypiałam w jej sypialni. Nie miałam prawa wstępu do jej łóżnicy. Nikt nie wiedział, co ona uczyni. Nikt nie wiedział, że jest brzemienna. Nawet Geillis, z którą była blisko. Sam Wercyngetoryks o niczym nie wiedział. Kiedy Geillis ją znalazła, Lorelei wykrawiała się na śmierć. Jak miałam czegokolwiek dopilnować, skoro nie wiedziałam o jej sytuacji?

- To twoja wina - orzekł Ariowist z braku innych kozłów ofiarnych.

Adair pomyślała, że ma dosyć.

- Za karę odeślę cię za Ren - dodał zły jak osa. - Jutro rano ty i twoja matka odjedziecie stąd.

- Moja matka? - Adair nie mogła uwierzyć. - Ojczy, przecież moja matka jest najlepszym tłumaczem, jakiego miałeś!

Ariowist wiedział o tym, ale zaślepiiony wściekłością na moment stracił zdolność logicznego myślenia. Wściekał się, że ta mała przebiegła lisica wytyka mu logiczne błędy

w obecności jego wojska. Ruchem głowy nakazał jej opuszczenie namiotu. Adair bez słowa odwróciła się na pięcie i wyszła.

Żar lał się z lipcowego nieba. Nie pamiętała takich upałów, chyba że jeszcze z czasów, gdy mieszkała w ich ojczyźnie – na południowym wschodzie, u podnóża Jury. Idąc długimi krokami do namiotu matki, zastanawiała się, co też strzeliło ojcu do głowy, ale nie miała zbyt dużo czasu na myślenie, drogę przecięła jej bowiem Lorelei idąca za rękę z Jorgiem. Szli jak gdyby nigdy nic, jakby trzydzieści tysięcy wrogich wojsk nie stało raptem dziesięć kilometrów dalej. Nigdy jeszcze nie widziała takiej radości na twarzy siostry i poczuła na ten widok tak gorącą nienawiść, że omal się nie udławiła.

– Ty przekłeta suko! – wrzasnęła i rzuciła się w stronę Lorelei tak prędko, że Jorg nie zdążył zareagować. – Zapłacisz mi za to!

Zanim Lorelei się obejrzała, już leżała na ziemi, a Adair siedziała na niej okrakiem.

– Złaż ze mnie! – prychnęła starsza z sióstr.

– Zapłacisz mi za całe upokorzenie, jakiego przez ciebie doznałam – wysyczała wściekle Adair. – Przysięgam ci na moją krew, Lorelei.

Jorg ocknął się i jednym szarpnięciem postawił dziewczynę na nogi. Adair dyszała ciężko, ale opamiętała się. Jorg był zaufanym człowiekiem Ariowista i nowym kochankiem jej siostry, nie należało zbytnio go drażnić. Ale w tym momencie Adair podjęła decyzję. Nigdzie jutro rano nie pojedzie. A już na pewno nie uda się na wygnanie za Ren, podczas gdy ta tutaj będzie się pysznić u boku swego bohatera.

Otrzeпаła ubranie i skierowała się do namiotu Grynildy. Cieszyła się, że nie zdążyła rozpakować juków, bo będą jej potrzebne. Konia zamierzała zostawić, nie chciała narażać na niebezpieczeństwo biednego zwierzęcia. Tam, dokąd zmierzała, była masa koni. Były też broń, dobre jedzenie i odpowiednia zapłata. Adair wiedziała, co robi i jaka kara ją za to czeka, ale uznała, że jest jej to obojętne. Tutaj zawsze pozostanie w cieniu młodszej siostry, podczas gdy Cezar

za pewne informacje może jej nieźle zapłacić. Nawet jeśli będzie nią gardził jako zdrajczynią.

Adair słyszała od swej matki opowieść, jak to kiedyś, przed wiekami, skończyła pewna rzymska zdrajczyni imieniem Tarpeja. Kiedy Rzymianie prowadzili wojnę z Sabinami, westalka Tarpeja zakochała się w ich wodzu Tytusie Tacjuszu. Obiecała otworzyć mu bramę w zamian za obietnicę małżeństwa oraz otrzymania tego, co Sabinowie nosili na lewym ręku. Miała na myśli ich złote naramienniki i zapomniała, że nosili tam również tarcze. Gdy otworzyła im bramy pod osłoną nocy, Sabinowie tarczami zepchnęli ją ze skały, która na zawsze zyskała miano Skały Tarpejskiej. Czy Cezar zabije córkę Ariowista jako zdrajczynię?

Pod osłoną nocy przekradała się przez rozległą równinę w stronę migoczących świateł pochodni w rzymskim obozie. Wiedziała, że dostanie się za palisadę graniczy z cudem, ale mimo to postanowiła spróbować. Noc była jasna, rosnący do pełni księżyc oświetlał jej drogę. Znała tę okolicę doskonale, jako dziecko i później przemierzała ją bowiem wielokrotnie konno. Na moment powróciła myślami do ojca i matki, do uśpionych pobratymców, do rodaków, do Lorelei zażywającej niechybnie rozkoszy w ramionach Jorga i pomyślała, że źle czyni, zdradzając ich. Z drugiej jednak strony na jakie życie mogła liczyć druga, gorsza córka Ariowista, którą on w ramach zapłaty za dobrze wykonaną pracę zwyczajnie wzgardził? Dla niego liczyła się jedynie Lorelei, a nawet jeśli tak nie było, to w każdym razie publicznie tego nie okazywał.

Zraniona dumą i miłość bolały bardziej od wybitego ojcowską ręką zęba.

Oczywiście natknęła się na straż. Dwaj legionieści z obnażonymi mieczami zastąpili jej drogę przed fosą.

- Kim jesteś? - zapytał jeden z nich po galijsku i Adair stwierdziła, że Cezar nie jest w ciemny bity, skoro wystawia na wartość celtyckie auxilia.

- Jestem Adair, córka Ariowista - powiedziała zgodnie z prawdą. - Mam interes do prokonsula.

Strażnik parsknął śmiechem.

- No jasne, a ja jestem Gnejusz Pompejusz, wódz Rzymian, pogromca piratów - odparował.

- Posłuchaj, człowieku - odezwała się Adair po łacinie. - Nie mam czasu wdawać się tu z tobą w dyskusje. Jeśli chcecie pokonać w tej kampanii Ariowista, prowadź mnie natychmiast do Cezara.

- A co, ty może wiesz, jak to zrobić? - zadrwił strażnik.

- A wiem - warknęła Adair - ty wykastrowana świnio - dodała w swoim języku.

- Co się dzieje? - w ciemnościach rozległ się nieprzyjemny głos.

Legioniści umilkli, widocznie obawiali się tego, który stąpał cicho w mroku nocy. Musiała być trzecia albo czwarta wigilia, pomimo letniej pory panowała bowiem ciemność, rozpraszana jedynie blaskiem księżyca i pochodniami. Adair wiedziała, że niebawem zacznie się rozjaśniać.

- Jakaś galijska dziewczka chce się widzieć z Cezarem, legacie Labienusie - poinformował go legionista. - Wpuścić ją?

- Dziewka, hę? - zarechotał Labienus. - Dawać ją. Nawet jeśli nie mówi prawdy, to chętnie porozmawiam z nią na osobności. Skoro sama się tu pcha.

- Nie będę z tobą rozmawiać na osobności - prychnęła Adair po łacinie. - Dziwek, jak sądzę, macie dosyć w obozie.

Labienus wyłonił się z mroku. Był potężny i przerażający, patrzył na nią z góry swoimi okrutnymi oczami w twarzy o okrutnym wyrazie. Adair w okamgnieniu zdała sobie sprawę, że z tym mężczyzną nie ma żartów. Jeżeli uzna, że ona blefuje, to zgwałci ją bez litości, a potem albo odda wojsku do zabawy, albo rozpląta mieczem, a Cezar nawet się nie dowie, że ona tu była.

- Skąd znasz łacinę? - zapytał ostro.

- Moja matka mnie nauczyła - odparła bez cienia strachu w głosie. - Była rzymską niewolnicą, potem została wyzwolona i wróciła do Germanii. Byłam z moim ojcem w Rzymie latem zeszłego roku, kiedy Cezar był konsulem, i gościłam w jego domu. Mogę ci powiedzieć, co gdzie się znajduje i w co konsul był odziany podczas kolacji, którą z nami jadł. Powiem ci, jak

wyglądała jego żona Kalpurnia i jaki miała kolor oczu. Ilu Cezar posiada niewolników i jak wyglądają.

Labienus miał nietęgą minę, ale nie ustępował.

- Jakiego koloru jest posadzka w cubiculum Cezara?

- Jest lazuruwa, przedstawia mozaikę z rybami - odparła Adair. - W triclinium posadzka wysadzana jest terakotą na wzór etruski. Cezar gościł nas w Domus Publica i odziany był w szafranową tunikę, togę z purpurowym szlakiem konsula, a na nogach miał czerwone sandały, jakie przysługują najwyższemu kapłanowi. Jego żona nosiła błękitną stołę wiążaną w pasie białym sznurem, miała włosy spięte niebieską szarfą, a w uszach potrójne złote kolczyki. Drzwi otwierał nam afrykański niewolnik ze srebrnym łańcuchem na szyi - nie nosił kajdan na nogach, jak to jest u was w zwyczaju - a potem syryjska niewolnica podała nam wodę do umycia rąk w terakotowej misie ze zdobieniami korynckimi.

Labienus zbladł. Uświadomił sobie, że brzydka dziewczyna czekająca przed strażą nie udaje. Albo faktycznie jest córką Ariowista, albo jego znakomitym szpiegiem, tak czy inaczej należy ją zaprowadzić przed oblicze Cezara i skonfrontować jej informacje z jego zdaniem.

- Zawiążcie jej oczy - rozkazał.

Adair pogrążyła się w ciemności, po czym została przerzucona jak worek zboża przez potężne ramię Labienusa. Niósł ją bez żadnego wysiłku, a ona wdychała mocno jego męski zapach i pomyślała, że ten człowiek musi być brutalny również w łóżku, a myśl ta dziwnie ją podnieciła.

Szli krótko. Labienus niezbyt delikatnie postawił ją na ziemi, po czym ktoś zdjął jej z oczu opaskę. Znajdowała się w namiocie prokonsula, poznała to po rozmiarach, po strażnikach stojących przed połami namiotu i w jego rogach, a także po dużym składanym stole. Zaszleścił materiał i do namiotu wszedł ktoś, kto stawiał mocne, równe kroki.

Adair pamiętała Cezara jako eleganckiego, czarującego mężczyznę o przebiegłych oczach, tu jednak miała przed sobą żołnierza. Wkroczył do namiotu pewny siebie i zdecydowany, władczy i budzący respekt. Adair pomyślała, że to jest

mężczyzna, któremu bez reszty by uległa, i jednocześnie zdała sobie sprawę, że on nigdy jej nie zechce. Gustował w kobietach pokroju Mergh - silnych i pięknych; nawet Lorelei nie przypadła mu do smaku. Miał ogoloną głowę, pokrytą czarną, nierówną szczeciną. Jego rysy twarzy cechowała surowość. Zniknął gdzieś lew salonowy. Ten Cezar stanowił całkowite zaprzeczenie tamtego gościnnego urzędnika.

Spojrzał na Adair i na jego prostych ustach pojawił się uśmiech.

- Witaj, Adair, córko Ariowista - odezwał się uprzejmym tonem. - Co cię sprowadza do mojego obozu?

Za jej plecami Labienus zgrzytnął zębami. Adair poczuła się na chwilę bezpieczna.

XII

Cezar przebywał w Vesontio już od dwóch tygodni.

Powiedzieć, że przebywał, to niezupełnie dokładne określenie, ponieważ w chwili, gdy Adair zaszczyciła skromne progi jego namiotu, znajdował się w dość niekorzystnej dla siebie pozycji, a siły Ariowista odcinały go od głównego traktu do miasta i od zaopatrzenia. Obie armie znajdowały się u stóp Wogezów, osiemdziesiąt kilometrów od miasta, dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od Renu. Pech chciał, że Ariowist dysponował armią w liczbie stu dwudziestu tysięcy wojowników, z czego sześć tysięcy stanowiła sama konnica. Cezar posiadał zaś sześć legionów, dodatkową pomoc w postaci dwudziestu tysięcy galijskich wojowników, którym po ostatnich wydarzeniach nie ufał w stu procentach, a także pięć tysięcy jazdy. Jego jednostki były niemal trzykrotnie mniejsze od sił wroga. Mimo to uważał, że nie ma wyboru i musi zmierzyć się z Ariowistem, którego rok temu odznaczył tytułem Przyjaciela Narodu Rzymskiego.

W zasadzie Cezar nie zamierzał początkowo występować przeciw niemu zbrojnie. Zaczęło się w Bibrakte, do którego wkroczył jako zwycięzca i gdzie w ciągu pięciu dni zjechały delegacje niemal wszystkich galijskich ludów, a przynajmniej większości z terytoriów zachodnich i centralnych. Swą obecnością nie zaszczycili go Arwernowie i Belgowie, ale powód tego wkrótce się wyjaśnił.

W Bibrakte Cezar dał swoim żołnierzom kilka dni na odpoczynek. Wiedział, że nic nie działa na młodych mężczyzn po bitwie tak dobroczynnie jak obecność kobiety i możliwość zabawienia się z towarzyszami broni. Nie zamierzał

im jednak zbyt folgować, a nawet myślał o skierowaniu swych sił na Bałkany. Ale delegacja galijskich wodzów przybyła z gratulacjami sprawiła, że postanowił rozprawić się z wodzem Germanów.

Galijscy delegaci prześcigali się w gratulacjach i lizusostwie, co Cezar zauważył z pewnym niesmakiem. Znał Galów na tyle, by wiedzieć, że to nie osobiste powody ani uznanie dla jego osoby skłoniły ich do przybycia do Bibrakte, ale przeczność i zmysł polityczny. Wiedział już, że galijskie sojusze łatwo brały w łeb, kiedy sytuacja stawała się niekorzystna. Teraz też wąsaci i długowłosi naczelnicy powtarzali, że doskonale rozumieją, iż Cezar musiał ukarać Helwetów za dawne przewinienia wyrządzone przez nich ludowi rzymskiemu, odbyło się to jednakże z korzyścią zarówno dla całej Galii, jak i dla ludu rzymskiego, ponieważ Helweci posiadali wspaniałe domostwa i ziemie i porzucili to wszystko tylko po to, by wywołać wojnę w Galii i podporządkować krainę swojej dominacji. Cezar słuchał tego z niewzruszonym wyrazem twarzy, ale doskonale wiedział, że jeszcze trzy miesiące temu żadne galijskie plemię jakoś nie sprzeciwiało się marszowi Helwetów i że to w zasadzie broniący swoich dziedzin Eduowie zaalarmowali Cezara o tym, co się wyprawia poza granicami rzymskiej Prowincji.

Inna sprawa, że Cezar niekoniecznie musiał się w to mieszać, ale skoro już pokonał Helwetów, Senat nie miał innego wyjścia i musiał zaaprobować jego poczynania. Zapewne gdyby przegrał w tej bitwie, te nadęte pyszałki z Senatu uznałyby jego działanie za pogwałcenie litery prawa i wezwałyby go do złożenia urzędu. Doprawdy Cezar miał niebywale szczęście, że udało mu się pokonać Helwetów.

A może to nie było szczęście, ale wrodzone zdolności strategiczne? Tak czy inaczej siedział teraz w swoim namiocie na kurulnym krześle i wysłuchiwał kwiecistych przemów Galów, które tłumaczył mu jego zaufany tłumacz Trocyllus.

Kiedy naczelnicy zakończyli już swą adorację, poprosili, aby wolno im było w określonym dniu zwołać ogólne zgromadzenie przedstawicieli całej Galii, jako że mają do omówienia masę

spraw, które należy mu przedłożyć. Cezar, rzecz jasna, przystał na to, po czym rozwiązał zgromadzenie i chciał je zakończyć, ale ci sami naczelnicy, którzy przed chwilą tak mu kadzili, rzucili się z płaczem do jego stóp, zawodząc głośno i błagając o to, by ich wysłuchał. Wybrali jednego, który powstał, aby przemawiać w imieniu wszystkich.

- Jednakowo usilnie zabiegamy o to, byś nas wysłuchał, Cezarze, ponieważ gdyby inni naczelnicy dowiedzieli się, czego od ciebie chcemy, pewnikiem wysłaliby nas na śmierć - oświadczył siwy mężczyzna, który jeszcze potrafił utrzymać miecz w zniszczonych rękach. - I to na śmierć w najokrutniejszych męczarniach.

Cezar pomyślał, że doprawdy Galowie mają ogromną skłonność do przesady, wyznaczył jednakże Dywicjaka, któremu ufał, aby przedstawił sprawę ogółu.

- Cezarze, zacznę od tego, że w całej Celtyce istnieją dwa ugrupowania polityczne - odezwał się druid spokojnie. - Pierwszeństwo w jednym utrzymują Eduowie, w drugim zaś Arwernowie.

Cezar nadstawił uszu, oto bowiem już drugi raz usłyszał o Arwernach, którzy kontrolowali szlak handlowy na Rodanie. Od swoich informatorów wiedział, że jest to potężne plemię, którego naczelnikiem od niedawna jest Wercyngetoryks, który wziął za żonę jedną z córek Ariowista.

- Mów, Dywicjaku - ponaglił go, stwierdził bowiem, że to, co ma do powiedzenia druid, może być interesujące.

- Nasze plemię oraz Arwernowie od wielu lat toczyliśmy walkę o hegemonię, mogę się do tego przyznać bez wstydu - ciągnął Dywicjak. - Ale czternaście lat temu Sekwanowie, za cichym pozwoleniem Arwernów, ściągnęli nam na karki Germanów. Wówczas to naczelnikiem Arwernów był Cynnus, który nie tak dawno zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. To właśnie po nim rządy objął jego bratanek Wercyngetoryks. Germanie zaś pod wodzą Ariowista, króla Swebów, skwapliwie przekroczyli Ren najpierw w liczbie piętnastu tysięcy wojowników, następnie zaś, kiedy tym dzikusom znad Bałtyku spodobało się cywilizowane i dostatnie życie, przeprowadziło się

ich znacznie więcej. Rzecz jasna chodziło o to, by walczyć po stronie Arwernów przeciwko nam. Obecnie jest ich w Celtyce ponad sto dwadzieścia tysięcy samych mężczyzn zdolnych do walki.

Cezar potarł brodę dłonią. Sto dwadzieścia tysięcy mieczy to było czterokrotnie więcej od sił, jakimi on sam dysponował, nie licząc oczywiście galijskich auxilia. Taki zatem sprytny był Ariowist.

- Plemię Eduów wraz ze swoimi klientami walczyło z Germanami wielokrotnie, ale było przez nich pokonywane. Doznaliśmy wielkiej klęski, straciliśmy całą górę plemienną, całą starszysnę, a także niemal całą jazdę. I tak my, którzy dzięki naszemu męstwu oraz wieloletnim związkom wzajemnej gościnności z ludem rzymskim posiadaliśmy największe znaczenie w Celtyce, zmuszeni byliśmy wydać Sekwanom zakładników spośród najznamienitszych rodzin i pod przysięgą zobowiązać się, że nie będziemy się domagać zwrotu tych zakładników ani nigdy nie skierujemy się do ludu rzymskiego z prośbą o pomoc.

Dywicjak wyglądał na zmartwionego i jednocześnie zdeterminowanego, aby raz na zawsze skończyć z żalonym położeniem swego ludu. Najwyraźniej Eduowie nie mieli innego wyjścia, jak tylko siedzieć cicho pod butem Germanów, skoro tamci zyskali miano Przyjaciół Narodu Rzymskiego, a do tego zjednoczyli się z Arwernami. Cezar zastanawiał się, gdzie teraz jest najświeższy koalicjant Ariowista Wercyngetoryks i czy Arwernowie zechcą stanąć w obronie Swebów. Jeśli tak, mogło się to okazać nieciekawe dla Rzymu. Jeśli nie, Cezar miałby do wykonania stosunkowo łatwe zadanie.

- Jestem jedynym spośród Eduów, którego nie zdołali zmusić do złożenia tej przysięgi - kontynuował Dywicjak spokojnym tonem, choć Cezar widział na jego twarzy wzburzenie. - Nie wydałem moich dzieci jako zakładników temu potworowi zza Renu, ale też z tego powodu musiałem wyjechać z kraju i udałem się do Rzymu, aby prosić Senat o pomoc, jako że ja jeden nie byłem skrepowany przysięgami i zakładnikami. Ale Sekwanom, naszym odwiecznym wrogom,

przydarzyło się coś znacznie gorszego, jako że Ariowist osiedlił się w ich kraju i zażądał jednej trzeciej sekwańskich ziem, które zaliczają się do najżyźniejszych w całej Celtyce, a obecnie zażądał, aby Sekwanowie wynosili się z trzeciej części swoich ziem, on bowiem planuje ściągnąć zza Renu dwadzieścia cztery tysiące Harudów i nie starcza mu ziemi, aby ich wyżywić. Za kilka lat dojdzie do tego, że wszyscy Celtowie zostaną wyparci ze swoich ziem, a wszyscy Germanie przekroczą Ren. Ariowist od czasu, gdy pokonał armię celtycką pod Magetobrygą, rządzi w sposób butny i niehumanitarny. Na zakładników żąda dzieci góry plemiennej i dla przykładu poddaje je najsurowszym karom i udrękom, jeśli nie wykonają czegoś, czego on od nich żąda. Ariowist, Cezarze, to człowiek nieokrzesany, dziki i porywczy, nie da się przewidzieć jego zachowania, a charakter ma niestały. Nie możemy już dłużej wytrzymać jego niehumanitarnej tyranii. Jeśli twoja armia, Cezarze, nie przyjdzie nam z pomocą, będziemy musieli uczynić to samo, co Helwetowie, a mianowicie wynieść się z naszych ziem, szukać innego miejsca na osiedlenie się, innych siedzib oddalonych od Germanów i doświadczyć wszystkiego, co zrządzi los. Gdyby zaś Ariowist dowiedział się o tym, co ci mówię, to nie ulega wątpliwości, że wszystkich zakładników, jacy u niego są, poddałby najsurowszym represjom. Cezarze, jedynie ty, przez wzgląd na swój autorytet oraz potęgę twojej armii, ze względu na niedawno odniesione zwycięstwo i na imię ludu rzymskiego, możesz odstraszyć Germanów od przekroczenia Renu i od osiedlania się w Celtyce, a nas samych obronić przed krzywdami, jakie ów nam wyrządza¹.

Kiedy skończył przemawiać i gdy przebrzmiał głos tłumacza, poruszeni jego słowami Celtowie zaczęli jeden przez drugiego błagać w różnych dialektach, aby Cezar przyszedł im z pomocą. Ten jednak zauważył, że spośród wszystkich zgromadzonych w jego namiocie naczelników plemiennych jedynie Sekwanowie nie odezwali się, tylko stali ze zwieszonymi głowami, jakby doskonale wiedzieli, że to za ich namową Germanie przekroczyli Ren i teraz robili na ich ziemiach, co im się żywnie podobało.

- Dlaczego milczycie? - zapytał ich łagodnym tonem, nie chcąc wywoływać sporów między plemionami.

Naczelnicy nie reagowali na jego słowa i dalej trwali uparcie w milczeniu, pomimo że Cezar kilkakrotnie powtarzał swoje pytanie. Wreszcie głos zabrał Dywicjak, który najwyraźniej czuł się zobligowany do przemawiania w imieniu swoich rodaków.

- Los Sekwanów jest najnędnniejszy ze wszystkich plemion, ponieważ nie mają oni odwagi nawet potajemnie poskarżyć się komuś ani też prosić o pomoc, jako że nawet pod nieobecność Ariowista obawiają się jego okrucieństw, tak jakby znajdował się tu we własnej osobie i mógł wszystko usłyszeć. Wszak inni mają możliwość ucieczki, podczas gdy w przypadku Sekwanów, którzy sami wpuścili Germanów na własne ziemie, ich miasta znajdują się we władaniu Ariowista, a oni sami muszą znosić jego okrucieństwa.

Dywicjak umilkł. Cezar w zamyśleniu przyglądał się naczelnikom, zastanawiając się, jak trudna tak naprawdę była sytuacja w Galii. Co prawda ten obszar nie należał terytorialnie do Prowincji i nie podlegał w żadnym razie rzymskiej jurysdykcji, ale gdyby zdecydował się rozpętać wojnę z Ariowistem, miałby przynajmniej znakomity pretekst, jakim było bez wątpienia wystąpienie Eduów. Senat rzymski okryłby się hańbą, gdyby zabronił mu udzielić pomocy Przyjaciołom Narodu Rzymskiego. Lud nigdy nie wybaczyłby tego senatorom. Cezar miał znakomitą okazję do wszczęcia wojny, z drugiej jednak strony Ariowist również mienił się sojusznikiem Rzymu i nie tak łatwo będzie sprowokować go do wojny. Cezar zyskałby i na tym, że Ariowist dobrowolnie cofnąłby się za Ren, rozsądek podpowiadał mu jednak, że Germanin raczej nie zechce wracać na gorsze ziemie, skoro z łatwością może sięgnąć po lepsze.

Mało tego, właśnie to robił.

Cezar wyobraził sobie, co się stanie, jeśli germańskie wojska wedrą się do Galii. Jedno po drugim wyłaniać się będą zza Wogezów, przedzierać się przez wschodnie równiny, które nie mają końca, osiedlać się w Galii i wypierać Galów, a potem

zjednoczą się i uderzą na Rzym. To było nie do przyjęcia. Jeśli teraz pozwoli Ariowistowi na sprowadzenie dwudziestu czterech tysięcy mężczyzn – a ile to będzie osób, jeśli policzyć również kobiety, dzieci i starców – to on za rok sprowadzi dwa razy tyle. Niebezpieczna perspektywa. Cezar nie mógł pozwolić sobie na taką lekkomyślność i aprobować działań Ariowista, nieważne, kim się on tam mieni.

– Galowie, obiecuję wam, że osobiście zajmę się tą sprawą – oznajmił. – Mam wielką nadzieję, że Ariowist, mając na uwadze otrzymane od ludu rzymskiego dobrodziejstwa oraz przez wzgląd na mój autorytet, zaprzestanie zadawania wam krzywd.

Gorzej, jeśli nie – dokończył ponuro w myślach.

Kiedy ustalił już wszystko, co należało, zamknął zebranie i zwołał do siebie legatów, aby w spokoju zastanowić się nad podjęciem dalszych kroków. Spośród wszystkich jedynie Labienus nakłaniał go do wojny, czego zresztą należało się spodziewać, inni odradzali mu zbrojne wystąpienia. Cezar jednak skwitował ich marudzenie stwierdzeniem, że nie można dopuścić do tego, by kolejni Germanie na podobieństwo Cymbrów i Teutonów połakomili się na napaść na Rzym.

– A poza tym pycha Ariowista stała się tak ogromna, że nie mogę jej już ścierpieć – dodał zgryźliwie. – Co on sobie myśli, że jacyś przekłęci barbarzyńcy będą się tu uważać za władców świata? Ta rola jest już obsadzona przez naród rzymski.

Tym stwierdzeniem skutecznie zamknął usta swoim interlokutorom.

Stanęło na tym, że Cezar zdecydował się wysłać do Ariowista posłów, którzy mieli od niego zażądać wybrania jakiegoś miejsca oddalonego tak samo od jednego i drugiego wodza, celem przeprowadzenia negocjacji. Nie chciał na razie wypowiadać mu wojny, ale spróbować rozmów i zobaczyć, co z tego wyniknie, jakkolwiek jego przewidywania były raczej dalekie od nastawiania się na sukces.

Po dwóch dniach posłowie wrócili z wiadomością od Ariowista. Oznajmiał on, że jeśliby sam czegoś chciał od Cezara, to osobiście udałby się do niego, a jeśli Cezar życzy sobie czegoś od niego, to powinien się pokwapić do jego obozu.

W dodatku on, Ariowist, nie odważyłby się bez wojska udać na ziemie, które są we władaniu Cezara, a wszak nie mógłby ścigać swego wojska na jedno miejsce bez znacznych zapasów żywności i kłopotliwych przygotowań. Poza tym dziwne mu się wydaje, co Cezara i lud rzymski obchodzi ten teren Galii, który on sam zdobył na drodze wojennej.

Cezar wysłuchał tych rewelacji z kamienną twarzą.

- No proszę - sarknął. - To dopiero odpowiedź. Ariowist, jak widzę, uważa się już za króla całej Galii.

Niezrażony jednak odpowiedzią ponownie wyprawił do Ariowista posłów z następującą wiadomością, którą zapisał im na woskowych tablicach:

Skoro za tyle dobrodziejstw zarówno z mojej strony, jak i ze strony ludu rzymskiego teraz tak się odwdzięczasz, że mimo zaproszeń ociągasz się z przybyciem na rozmowę i nie uważasz, że należy pomówić o wspólnych sprawach i zapoznać się z nimi, w takim razie w imieniu ludu rzymskiego domagam się od ciebie, abyś nie przeprowadzał już więcej przez Ren do Galii żadnych nowych rzesz ludzi. po wtóre zwrócisz wziętych od Eduów zakładników i zezwolisz Sekwanom, aby za twoją zgodą mogli oddać im posiadanych zakładników, wreszcie nie będziesz więcej wyrządzać krzywd Eduom i nie będziesz nękał wojną ich samych ani plemion z nimi sprzymierzonych. Jeśli dostosujesz się do moich żądań, zaskarbisz sobie dożgonną wdzięczność i przyjaźń moją oraz ludu rzymskiego, jeśli jednak żądania nie zostaną spełnione, to ja osobiście nie pozostawię bezkarnie krzywd Eduów, ponieważ za konsulatu Marka Messali i Marka Pizona Senat postanowił, że każdorazowy namiestnik Prowincji galijskiej zobowiązany jest zgodnie z interesami Republiki bronić Eduów i pozostałych przyjaciół ludu rzymskiego^{II}.

Balbus zbladł, kiedy przed wyruszeniem posłów ujrzał owo pismo.

- Prowokujesz go, Cezarze - stwierdził. - Ariowist nie pozostanie bierny wobec takiej wiadomości.

Cezar uśmiechnął się pod nosem.

- Doprawdy? - mruknął. - Nie spodziewam się niczego

innego.

Doskonale wiedział, jaka będzie odpowiedź Ariowista, bo też i on sam nie pozostałby niewzruszony, gdyby inny wódz wysunął w stosunku do niego takie roszczenia. Posłowie wyruszyli, a po dwóch dniach powrócili z odpowiedzią, która wprost emanowała bezczelnością:

Zgodnie z prawem wojny zwycięzcy wedle swej woli rządzą tymi, których pokonali. Lud rzymski również zwykł rządzić pokonanymi nie według zaleceń kogoś innego, ale według własnego uznania. Jeżeli ja sam nie doradzam ludowi rzymskiemu, jak ma korzystać ze swoich uprawnień, to lud rzymski nie powinien przeszkadzać mi w korzystaniu z moich. Eduowie stali się moimi lennikami, ponieważ próbowali szczęścia wojennego, walczyli z bronią w ręku i zostali pokonani. Wyrządziłbyś mi wielką krzywdę, gdybyś przez swoje wtrącanie się uszczuplił należne mi daniny. Nie zwrócę Eduom zakładników, ale również nie rozpocznę przeciwko nim wojny, jeżeli wytrwają w tym, do czego się zobowiązali, i będą uiszczać coroczną daninę. Jeśli nie będą tego czynić, tytuł braci ludu rzymskiego niewiele im pomoże. Jeszcze nikt nie walczył ze mną bez własnej zguby. Jeżeli chcesz, uderzaj, wówczas przekonasz się, czego dzięki swej waleczności potrafią dokonać najwspanialej wyćwiczeni we władaniu bronią, niezwyciężeni Germanie, którzy od czternastu lat nie wchodzili pod dach.

Jedyną widoczną reakcją Cezara na te słowa był ironiczny uśmiech na jego twarzy.

- Niezwyciężeni! - prychnął. - Doprawdy, za kogo się uważasz, Ariowicie! „Jeszcze nikt nie walczył ze mną bez swojej zguby”, racz to wziąć pod uwagę.

Nie zdążył jednak podjąć nawet należytej decyzji, gdy jeszcze tego samego dnia przybyli do niego posłowie od Eduów i Trewerów z informacją, że plemię Harudów, którzy przez ten czas zdążyli przekroczyć Ren, pustoszy ich ziemie i nawet po otrzymaniu zakładników nie zamierza zaprzestawać walk. Trewerowie zawiadamiali, że Swebowie rozłożyli się nad brzegiem Renu i zamierzają przekroczyć rzekę pod wodzą dwóch braci: Nasua i Cymberiusza.

- Na Jowisza! - wykrzyknął Cezar, kiedy przekazano mu te wieści. - Doprawdy Ariowist to większy cwaniak, niż mógłbym przypuszczać. Pisze, że nie wypowie wojny Eduom, a na drugim brzegu Renu gromadzi wojsko.

Pojął, że w tym przypadku nie ma co zwlekać, tylko brać się do działania i jak najszybciej opuścić Bibrakte, żeby udać się na wschód. Jeżeli nie uderzy teraz, to nowe zastępy Swebów rozlokują się na ziemiach Eduów, a wówczas będzie ich już zdecydowanie zbyt wiele, by można je było pokonać w jednej bitwie. On sam zaś nie miał zamiaru liczyć na pomoc ze strony Galów, wiedział bowiem, jak bardzo są płosi i niezorganizowani na polu bitwy.

Tak więc po zgromadzeniu odpowiedniej ilości zaopatrzenia kazał zwinąć obóz i ruszyć dalej, aby stoczyć wojnę z niedawnym sojusznikiem.

Tymczasem Ariowist, o czym Cezar dowiedział się po trzech dniach szybkiego marszu, nie zasypiał gruszek w popiele i ze wszystkimi swoimi siłami ruszył na Vesontio. Było to największe oppidum na terytorium Sekwanów, a Ariowist zdołał już rozlokować swoje wojska w odległości trzech dni od miasta. Cezar uznał, że należy dołożyć wszelkich starań, aby przeszkodzić Germanom w jego zdobyciu, było ono bowiem obficie wyposażone we wszystko, co konieczne jest podczas wojny, a poza tym dzięki swemu położeniu było tak umocnione, że można w nim było obwarować się na długi czas i nie martwić o dostawy pożywienia i broni. Miasto opasane było rzeką Dubis niemal jak kołem, co upodabniało je do wyspy, natomiast wolne miejsce nie było szersze niż sześćset stóp, tak że niezwykle trudno było owo miasto zdobyć. Jeśliby Germanie pierwsi do niego wkroczyli, szanse Cezara na pokonanie Ariowista gwałtownie by zmalały. Dlatego Cezar maszerował w dzień i w nocy, robiąc tylko krótkie przerwy na odpoczynek, ale dzięki temu zdołał zająć miasto przed Ariowistem i obsadzić w nim załogę.

Vesontio było miastem znajdującym się na szlaku handlowym, przybywali do niego kupcy z zachodu i ze wschodu,

dzikie ludy znad Bałtyku, które przywoziły do Galii cenny bursztyn, a nawet Sveawowie z północy, jasnowłosi olbrzymi o błękitnych oczach i swawolnym zachowaniu. Paradowali tu wszyscy ci ludzie, którzy tak bardzo różnili się od Rzymian usposobieniem, językiem i dyscypliną, jako że Galowie i reszta barbarzyńców wcale się nią nie przejmowali.

Naturalną kolejną rzeczą było zasięganie informacji o Germanach, których jak dotąd rzymscy legionieści nie mieli okazji poznać w polu. Czym innym była bowiem zeszłoroczna wizyta dyplomatyczna wodza Swebów, a czym innym stanięcie z tą dziką hordą do walki. Rzymianie przyzwyczajeni byli do walk z różnymi przeciwnikami, Germanie jednak stanowili dla nich nowość, toteż legionieści wypytywali kupców i samych mieszkańców Vesontio, którzy przecież nierzadko mieli z nimi do czynienia.

Ku zaskoczeniu rzymskich żołnierzy okazało się, że wśród Galów Germanie budzą postrach. Opowiadano tu niezwykle historie o przybyszach zza Renu, a każda jedna przerastała poprzednią. Kiedy wreszcie po kilku dniach legionieści poskładali wszystkie niesamowite opowieści do kupy, okazało się, że ich wrogowie odznaczają się niezwykle wysokim wzrostem i siłą, że nie sposób wytrzymać samego wyrazu ich twarzy i ich ponurego spojrzenia, że są niepokonani na polu bitwy i nie można ich chociażby drasnąć, że w niesłychanie biegły sposób posługują się orężem i potrafią zabić człowieka, nie zbliżając się do niego. Legionieści rekrutowali się w dużej części z zamożnych senatorskich rodzin i większość z nich nigdy wcześniej nie walczyła, toteż wierzyli ślepo w każde powtarzane przez pijanych Galów słowo. Należy dodać, że tego rodzaju informacje zdobywali, przebywając w karczmach, domach rozpusty i innych miłych przybytkach miejskich.

Nie minęło wiele czasu, a żołnierze z trwogą zaczęli przekazywać sobie z ust do ust owe wiadomości, dodatkowo jeszcze je „upiększając”. Koniec końców wojsko doszło do wniosku, że wojna z Ariowistem równa się samobójstwu. Ferment zaczął narastać najpierw wśród trybunów wojskowych, z których, jako się rzekło, większość stanowiła potomstwo

śmietanki towarzyskiej Rzymu. Ci, którzy wyprawili się z Cezarem, liczyli na szybki zysk i sławę wojenną, ale na pewno nie na szybką śmierć, w dodatku z ręki jakiegoś germańskiego półboga. Następnymi skorymi do siania fermentu w wojsku po trybunach wojskowych byli prefekci. Ponieważ honor nie pozwalał im na dezercję, zaczęli jeden po drugim przychodzić do Cezara z prośbą, by udzielił im zgody na wyjazd do domu, a każdy z nich przedstawiał coraz bardziej wymyślne wymówki. Inni, którzy wstydzili się iść do wodza i bezczelnie prosić go o zwolnienie z obowiązku służenia ojczyźnie, zaszywali się w swoich namiotach, gdzie spisywali testamenty i upijali się do nieprzytomności, zalewając się przy okazji łzami na myśl o nadchodzącej śmierci. Jeszcze inni powtarzali, że nie sposób dostać się do Ariowista ze względu na ciasnotę przejść górskich oraz głębokie, nieprzebyte lasy, a także udawali, że trapią się sprawnym dowozem zaopatrzenia. Znaleźli się wreszcie i tacy, którzy odważyli się powiadomić Cezara, że jeśli wyda rozkaz zwinięcia obozu i wyruszenia na Germanów, i tak tego nie uczynią.

Doszło do tego, że Cezar w końcu stracił cierpliwość.

- Co się, na Jowisza, dzieje z tym cholernym wojskiem?! - wściekał się w swoim namiocie i Labienus po raz pierwszy od początku kampanii miał okazję widzieć prawdziwą złość swego wodza. - Czy oni się z małpami na rozumy pozamieniali?! Co drugi przyłazi do mnie i prosi o urlop, co trzeci lamentuje w namiocie, a co czwarty grozi, że nie wykona mojego rozkazu! To już niemal otwarty bunt! Oni się chyba zapominają i uważają, że ja jestem Aleksandrem, a oni jego hetairosami. Otóż mylą się!

- Nasłuchali się opowieści, że Germanie to półbogowie, w dodatku nieśmiertelni i groźni jak zaraza ateńska - odparł Labienus ze swoim irytującym uśmiechem.

- Doprawdy! - parsknął Cezar. - Czy legionieści to małe dzieci, które straszy się historyjkami o lamiach i strzygach?

- Na to wygląda, wodzu - zarechotał Labienus.

- Ja w tym akurat nie widzę nic śmiesznego - zauważył Cezar. - Sytuacja taka jak ta stanowi zarzewie buntu, a ja nie

mam ochoty akurat teraz się w to bawić. Germanie są takimi samymi śmiertelnikami jak ja i ty, piją, jedzą, śpią, srają i pieprzą kobiety. I krwawią, jeśli się ich zrani. Nigdy w życiu nie słyszałem podobnych bredni do tych, które opowiadają żołnierze!

- A ja nigdy w życiu nie widziałem nikogo nieśmiertelnego - stwierdził Labienus ze swoim okrutnym wyrazem twarzy. - Zwłaszcza jak kogoś patroszyłem.

- Daruj sobie - mruknął Cezar. - No nic, trzeba im raz na zawsze wybić z głowy podobne zachowanie. Zwołaj mi apel. Wszyscy mają się stawić, kto nie przyjdzie, ten będzie skrócony o głowę. Powiedz im o tym z łaski swojej.

Kiedy Labienus wyszedł, Cezar westchnął głęboko. Stał oto u progu nowej wojny i znowu miał przed sobą niebezpieczeństwo buntu ze strony żołnierzy, tylko dlatego, że ktoś nakładł im do głów totalnych bzdur. Już on nauczy ich rozumu. Doskonale wiedział, jak pociągnąć za sobą tłumy, nie od parady został konsulem. Kiedy usłyszał, że żołnierze zgromadzili się już na placu przed jego namiotem, wyszedł i bez słowa wszedł na podwyższenie. Nie miał jednak zamiaru rozmawiać z nimi równie przyjaźnie jak zazwyczaj.

- Wydaje mi się, że pomyliliście miejsce i czas, legionieści - zaczął surowym tonem. - Nie jesteście na Forum w Rzymie ani w Kurii na posiedzeniu Senatu! Wojsko to nie jest zgromadzenie ludowe, na którym wolno wam zabierać głos. Czy wam się wydaje, że możecie bezkarnie wypytywać, zastanawiać się i kwestionować rozkazy wodza, rozmyślać nad tym, gdzie i po co się was wysyła? Za mojego konsulatu Ariowist niebywale natrętnie domagał się przyjaźni ludu rzymskiego, kto zatem mógłby przypuszczać, że w tak krótkim czasie odstąpi od swoich zobowiązań? Jestem głęboko przekonany, że gdy tylko Ariowist zapozna się z moimi żądaniami i pojmie słuszność stawianych mu propozycji, nie odrzuci przychylności mojej ani ludu rzymskiego. Gdyby zaś ogarnięty szaleństwem i głupotą wszczął jednak wojnę, to ostatecznie, żołnierze, czego mielibyście się niby obawiać?

Przez wojsko przeszedł pomruk. Żołnierze pałającymi

oczami wpatrywali się w wodza, niektórzy jednak trzymali zwieszane głowy i unikali jego wzroku, jakby nie chcieli ściągnąć na siebie karcącego spojrzenia Cezara.

- Pytam się was: dlaczego niby mielibyście zwątpić we własną waleczność bądź w moje osobiste poczucie obowiązku? Chciałbym wam przypomnieć, że niebezpieczeństwo ze strony tego nieprzyjaciela zagroziło jeszcze za pamięci naszych ojców, kiedy to Mariusz rozgromił Cymbrów i Teutonów, a wojsko rzymskie zasłużyło niewątpliwie na nie mniejszą chwałę niż sam wódz. Zmagano się z tym zagrożeniem, o ile pamiętacie, całkiem niedawno i w Italii podczas buntu niewolników, którym do pewnego stopnia pomogło przyjęte od nas wyszkolenie wojskowe i także dyscyplina. Można z tego wnosić, jaką wartość ma w sobie nieustraszona odwaga, bo choć przez jakiś czas bezpodstawnie obawiali się tych nieuzbrojonych wojowników, to później rozprawili się z nimi, mimo że byli już uzbrojeni, a nawet odnosili zwycięstwa. W końcu są to ci sami Germanie, z którymi Helweci wojowali i nad którymi często w swoim własnym kraju odnosili zwycięstwa, a przecież Helweci nie mogą równać się z nami!

Teraz przez wojsko przeszedł już znacznie bardziej zdecydowany pomruk, jakby żołnierze nie mogli znieść choćby myśli, że mieliby zostać porównani do oddziałów jakichś nieokrzesanych barbarzyńców. Cezar stłumił cisnący mu się na usta uśmiech, bo ten pomruk uświadamiał mu, że jego monolog zmierza w dobrym kierunku. Żołnierze przestępowali z nogi na nogę, jakby nie chcieli słuchać jego słów, ale dyscyplina kazała im jeszcze stać w miejscu.

- Jeżeli zaś zaniepokoiła was klęska i ucieczka Galów - podjął Cezar - to gdyby wam się chciało bliżej zapoznać z tą sprawą, zamiast zbierać plotki po szynkach, moglibyście się dowiedzieć, że Galowie byli już wtedy wyczerpani przeciągającą się wojną, Ariowist zaś przez wiele miesięcy nie opuszczał obozu i bagien, nie dając sposobności do stoczenia bitwy. Kiedy więc Galowie stracili nadzieję na orężną rozprawę z nim i rozeszli się w końcu, wówczas niespodziewanie uderzył

na nich i rozgromił ich raczej podstępny manewrem, jak Hannibal, aniżeli męstwem. Tego rodzaju taktyką można się posługiwać wobec ludzi dzikich i nieokrzesanych, ale nawet Ariowist, jak mniemam, nie jest na tyle głupi, by sądzić, że w ten sposób poradzi sobie z naszym wojskiem. Cezar umilkł. Wodził wzrokiem po twarzach swoich żołnierzy i na wielu z nich widział malujące się zwątpienie, nie umiał jednak powiedzieć, czy wątpią oni w jego słowa, czy raczej we wcześniejsze zabobony, którymi karmiono ich przez ostatnie tygodnie. Pewnie i w jedno, i w drugie. Uznał, że nie należy zwlekać. – Ci zaś, którzy chcą ukryć swój strach pod płaszczykiem rzekomych obaw o zaopatrzenie – podjął zatem cierpkim tonem – oraz o ciasne przejścia na drogach, zachowują się o wiele niegodziwiej, ponieważ albo nie mają zaufania do swojego wodza, albo też ośmielają się udzielać mu rad! Te sprawy należą do mnie. Sekwanowie, Leukowie i Lingonowie dostarczają nam zboża, już rośnie ono na polach i dojrzewa, jeśli tego nie wiecie. Co do jakości dróg, sami się niebawem przekonacie, jakie one naprawdę są. A to, że podobno żołnierze nie usłuchają moich rozkazów i nie zechcą wyruszyć, niewiele mnie obchodzi i wcale się tym nie martwię. Wiem bowiem, że wojsko nie było posłuszne tym, którzy źle kierowali sprawami i którym nie dopisywało szczęście, bądź tym, którzy dopuszczali się przestępstw lub wykazano im nieuczciwość. Za moją uczciwością przemawia całe me dotychczasowe życie, za tym zaś, że mam szczęście, fakt, iż udało nam się rozgromić Helwetów. Wprawdzie zamierzałem wyznaczyć marsz na nieco późniejszy czas, postanowiłem jednak przyspieszyć go i już najbliższej nocy o czwartej straży zwijam obóz, abym miał możliwość przekonania się, co ma dla was większe znaczenie. Poczucie godności i obowiązku czy strach. Jeżeli nawet wówczas nikt ze mną nie ruszy, to jednak mimo wszystko pójdę tylko z dziesiątym legionem, co do którego nie mam najmniejszych wątpliwości, że stanie się moją strażą przyboczną.

Cezar skończył i zszedł z podwyższenia, po czym bez słowa wszedł do namiotu i czekał na efekty swego przemówienia.

Wiedział, że wygrał tę batalię, i nie minęło wiele czasu, jak do jego uszu dotarło z zewnątrz głośne skandowanie. To legionieści przekrzykiwali jeden drugiego. Niedługo potem dziesiąty legion za pośrednictwem swoich trybunów wojskowych złożył mu podziękowanie i zapewnił o swojej gotowości do walki. Zaraz potem następni delegaci przychodzili składać mu podobne zapewnienia, a żaden legion nie chciał być gorszy od poprzedniego. Raptem okazało się, że żaden legionista ani przez chwilę nie wątpił w swego wodza i nie kwestionował jego rozkazów, a decyzje w sprawach wojny należą wyłącznie do najwyższego wodza.

Cezar śmiał się bezgłośnie w duchu, ale na zewnątrz zachował maskę godności i wysłał Dywicjaka w roli straży przedniej i zwiadowcy, aby wyszukał najbardziej odpowiednie drogi. O czwartej wigilii faktycznie zwinął obóz, a po siedmiu dniach nieustannego marszu dowiedział się, że Ariowist znajduje się w odległości dwudziestu czterech tysięcy kroków od rzymskiego wojska.

Gdy Ariowist dowiedział się, że wojsko rzymskie maszeruje na jego obóz, postanowił jeszcze bardziej rozdrażnić Cezara i zaczął słać do niego posłów. Bardzo nie w smak był mu fakt, że Rzymianie wtrącają się w jego politykę wewnętrzną, a za taką uważał swoje porachunki z Sekwanami i Eduami. Zaczął więc wysuwać propozycje spotkania i pertraktacji, chcąc odłożyć w czasie ewentualną bitwę. Kiedy zdawało się, że rzymski wódz połknął haczyk, Ariowist zażądał, by spotkali się w cztery oczy (plus rzecz jasna tłumacz), by Cezar nie ciągnął za sobą żadnej straży ani wojska. Cezar przystał na to i dwaj wodzowie spotkali się na równinie, na której znajdowało się dość wysokie wzniesienie. Zarówno Cezar, jak i Ariowist ustawili swoje wojska w odległości dwustu kroków, na wszelki wypadek, by mogli czuć się bezpiecznie, jakkolwiek groteskowo to wyglądało. Przyjechali konno i rozmawiali, pozostając na końskich grzbietach. Cezar raz jeszcze powtórzył wypowiedź o dobrodziejstwach własnych oraz Senatu, jakimi obdarzono Ariowistę, wysnuł również względem niego żądania, ale

Ariowist zdawał się całkowicie go lekceważyć. Powtórzył z kolei swoje stanowisko w sprawie podziału terytorium Galii. Rozmowy toczyły się przez całe przedpołudnie i Cezar z irytacją stwierdził, że nie uda mu się jednak przekonać Ariowista inaczej niż przy użyciu oręża, ponieważ uważa się on już za niepodzielonego władcę całej wschodniej Galii i będzie dążył do zajęcia całego jej terytorium.

Kiedy rozmowy zmierzały ku końcowi, a obaj wodzowie nadal roztrząsali kwestie sporne, jeźdźcy Ariowista podjechali bliżej Rzymian i w pewnym momencie zaczęli obrzucać legionistów włóczniami i kamieniami. Widząc to, Cezar natychmiast przerwał rozmowę i odjechał do swoich żołnierzy. Już z daleka wydał im rozkaz, aby nie atakowali przeciwników i nie wyrzucili w ich stronę choćby jednego pocisku. Nie chciał, aby rozeszły się pogłoski, że w czasie negocjacji Cezar podstępnie napadł na nieuzbrojonego Ariowista, a znał już Galów i Germanów na tyle, by wiedzieć, że są zdolni do rozpuszczenia takich plotek.

Po tym zdarzeniu wojska nie trzeba już było przekonywać do konieczności stoczenia walki z Germanami, ponieważ legioniści traktowali obrzucenie kamieniami jak obelgę i teraz w obozie sami ostrzyli miecze i pucowali tarcze. Cezar spoglądał na to z zadowoleniem, bo tym samym odpadał mu problem konieczności podniesienia morale żołnierzy. Nikt już nie wykazywał najmniejszej chęci niewykonania rozkazu wodza, co go cieszyło. Nadal jednak nie wiedział, jak wyjść z twarzą z patowej sytuacji, aż wyręczył go sam Ariowist, żądając spotkania.

Oznajmił mu, że pragnie rozmawiać o tych sprawach, o których zaczęli, ale jeszcze nie skończyli. Zażądał wysłania legata albo stawienia się osobiście przez samego Cezara. Ponieważ Cezar doskonale rozumiał, że ze strony Ariowista to nic innego jak jawna prowokacja, uznał za stosowne wysłać do niego swego legata Gajusza Waleriusza Procyllusa, który był młodym człowiekiem o bardzo wielkiej odwadze i kulturze. Jego ojciec otrzymał obywatelstwo rzymskie od Gajusza Waleriusza Flakkusa, młodzieniec zatem nie pochodził ze szlacheckiej

rodziny i liczył na wywalczenie sobie pozycji w świecie rzymskich polityków. Cieszył się zaufaniem Cezara i znał galijski język na tyle, by porozumieć się z Ariowistem, dla którego również była to obca mowa. Razem z nim Cezar wysłał Marka Mecjusza, z którym łączyły Ariowista prawa gościnności. Liczył na to, że rozmowy przebiegać będą w spokojnej atmosferze.

Jak wielkie były jego zdumienie i wściekłość, kiedy dowiedział się, że obaj posłowie zostali przez rozjuszonego Ariowista zakuci w kajdany.

Tego samego dnia Ariowist wykonał sprytny manewr i w znacznej odległości okrążył rzymski obóz, po czym rozłożył się o dwa tysiące kroków od niego, odcinając tym samym Cezarowi dowóz zboża i zaopatrzenie sprowadzane od Sekwanów. Cezar uznał, że nie ma czasu do stracenia i przez kolejne pięć dni wyprowadzał swe wojska i ustawiał je w szyku bojowym, chcąc sprowokować Ariowista do walki. Tymczasem Ariowist trzymał swe oddziały w obozie i ograniczał się jedynie do codziennych krótkich utarczek konnych. Cezar bezsilny patrzył na to wszystko i zachodził w głowę, jak by tu sprowokować Ariowista do walnej bitwy. Wiedział bowiem, że długo nie może znajdować się w takiej pozycji bez poniesienia strat. Ariowist go przechytrył. Zajął dobry posterunek i pojmał jego legatów.

I wtedy właśnie, kiedy sytuacja zdawała się patowa, w obozie Cezara pojawił się nie kto inny jak rodzona córka Ariowista.

Adair siedziała na twardym i niewygodnym rzymskim krześle, do którego nie przywykła, a które zapewne dobrze znała jej matka, i spoglądała ponuro na prokonsula, który wyglądał jak kot, kiedy dopiero co upoluje mysz. Cezar już w Rzymie jawił się jej jako przystojny mężczyzna, ale dopiero tu, w obozie, Adair dostrzegła pełne surowości detale jego urody. W niczym nie przypominał dzikich germańskich mężczyzn. Nie nosił brody ani w ogóle jakiegokolwiek zarostu, był za to dokładnie ogolony, również na głowie. Ponieważ pora była późna i noc już dawno zapadła, Cezar miał na sobie tylko wełnianą tunikę

i wojskowe buty, nie nosił nawet miecza. Od tego zapewne miał straż przyboczną, która nie ruszała się ani sprzed namiotu, ani z jego wnętrza. Przy wejściu po jednej i po drugiej stronie stali uzbrojeni po zęby legionieści.

- Jak dobrze znasz mój język, Adair? - zapytał Cezar łagodnie, choć jego czarne, niezgłębione oczy mówiły jej, że do łagodności mu teraz daleko.

W ogóle rzymski wódz sprawiał wrażenie zmęczonego. Nie mógł być jeszcze bardzo stary, zapewne dopiero co przekroczył czterdziestkę, ale wokół jego ust i między brwiami rysowały się głębokie bruzdy, oznaka zmęczenia i wojen nerwów, które zapewne wielokrotnie przeżywał. I tak był opanowany, stanowił wręcz wzór wstrzemięźliwości, jeśli chodzi o okazywanie uczuć, w przeciwieństwie do Ariowista, który owej sztuki raczej nie opanował. A przynajmniej nie potrafił tak długo udawać spokoju jak Cezar.

- Bardzo dobrze, Cezarze - odparła hardo Adair. - Moja matka była niewolnicą w Rzymie.

- Znasz również galijski - zauważył Cezar. - A kiedy gościłaś w moim domu, odniosłem wrażenie, że znasz też grekę.

- Z tą ostatnią nie najlepiej sobie radzę, ale jeśli miałabym możliwość zgłębienia jej, pewnie szybko bym się z nią uporała - przyznała Adair bez cienia skromności.

Cezar patrzył na nią przenikliwym wzrokiem. Albo była szpiegiem wysłanym przez ojca, aby go zmylić, albo po prostu uciekła z obozu Ariowista. Ale skoro tak, to dlaczego?

- Co tu robisz? - zapytał wprost. - Odpowiadaj zgodnie z prawdą. Nie mam czasu na zabawy i gierki. Jeśli Ariowist wysłał cię tu na przespiegi, pewnie doskonale wie o tym, że tu jesteś.

Adair uśmiechnęła się cierpko, a Cezar pomyślał, że widział w życiu wiele brzydkich kobiet, ta jednak była jak na jego gust wyjątkowo brzydka. Za to jej niebieskie oczy lśniły inteligencją. W zasadzie szkoda, by młoda, bystra dziewczyna odznaczała się tak mało ciekawą fizjonomią. Być może zresztą byli mężczyźni, którzy preferowali taki typ urody, ale na pewno nie on.

W każdym razie nie to było w niej najistotniejsze, ale jej rozum, o ile potrafiła dobrze go wykorzystać. A Cezar miał przecucie, że owszem, ta dziewczyna potrafi wysilać szare komórki i umie korzystać ze swoich zdolności.

- Ariowist nie wie, że tu jestem - powiedziała zuchwale. - A kiedy się dowie, będzie już za późno. Przyjechałam zaproponować ci układ, Cezarze.

Cezar patrzył na nią osłupiały, po czym wybuchnął gromkim śmiechem. Wartownicy spojrzeli po sobie zdumieni, bo nieczęsto mieli okazję słuchać szczerego śmiechu wodza, a już zwłaszcza wtedy, gdy panowała tak nerwowa atmosfera.

- Na Fortunę! - śmiał się Cezar. - Gdyby mi ktoś w Rzymie powiedział, że będę się układał z germańską dziewczyną, odesłałbym go na leczenie w ciepłych wodach Bajów. No mówże, jaki to układ chcesz mi proponować. Adair, przecież ja mogę kazać zakuć cię w kajdany i podstawić Ariowistowi pod nos albo zabić cię na jego oczach. I zapewniam, że moi ludzie sprawią, iż będziesz umierała długo i w mękach.

- Nie sądzę, żeby mój ojciec specjalnie przejął się moją śmiercią - odparła Adair obojętnym tonem. - Co innego, gdybyś uprowadził mu moją siostrę Lorelei, która była żoną Wercyngetoryksa i uciekła od niego na wieść, że szykuje się wojna między tobą a naszym ojcem.

Ach tak - pomyślał Cezar. *Tu cię mam.*

- Chcesz więc zostać zdrajczynią? - zapytał poważnym tonem. - Nie mam szacunku dla zdrajców. To niegodne.

- Cezarze, przestań opowiadać mi bajki - ofuknęła go Adair. - Nie masz szacunku dla zdrajców, a co wy tam, w Rzymie, wyrabiacie? Zdradzacie jedni drugich, zdradzacie całe narody, swoich sprzymierzeńców, już zdradziłeś Ariowistę w imię przyjaźni z Eduami i dla własnej korzyści. Nie śmieć mi prawić morałów, bo nie wiesz, dlaczego tu przyjechałam. Jeśli wyjawię ci powód, dla którego Ariowist nie chce wytoczyć ci bitwy, nie popełnię żadnej zdrady. A w zamian za informację chcę, żebyś mnie przyjął do swojego sztabu jako tłumacza i szpiega, doskonale się do tego nadaję. Jestem tak brzydka, że żaden mężczyzna mnie nie zapragnie ani w tłumie nie zwróci na mnie

większej uwagi. Wiem, co mówię. Przez rok szpiegowałam moją siostrę i szwagra dla Ariowista, a on w zamian za dobrze wykonaną robotę pobił mnie, bo pozwoliłam tej idiotce uciec od męża. Jakbym miała nad nią jakąkolwiek władzę. Donosiłam mu o wszystkich posunięciach Wercyngetoryksa, znam na pamięć hierarchię jego klanu, wiem, kto jest kim i na kogo ty sam, Cezarze, możesz liczyć. A zamiast nagrody otrzymałam razy, kopniaki i wyzwiska. I polecenia udania się za Ren, żeby gnić w jakiejś cholernej wiosce na końcu świata. Nie chcę tego, nie po to matka uczyła mnie, jak być oczami i uszami mego ojca. Mogę ci nawet powiedzieć, który z twoich niewolników ma oko na twoją żonę.

- Nie musisz - odparł Cezar cierpko, chociaż w głębi ducha był rozbawiony. - Doskonale wiem, który z nich chętnie by ją widział w swoim łożu i tylko czeka okazji. Wstał i przeszedł się po namiocie tam i z powrotem. - Chcesz więc dla mnie pracować, Adair - mruknął w zadumie. - Dobrze wiesz, że nie mogę ci niczego zagwarantować. Będziesz mieć co najwyżej własny namiot i żołąd, jaki przysługuje legatom, a poza tym na przyszłość mogę ci pomóc zdobyć własny dom w Prowincji lub w Italii, jeśli będziesz tego chciała. Za cztery lata moje namiestnictwo się kończy i o ile nie otrzymam dalszego, wojna dobiegnie kresu, a ty zostaniesz wyrzutkiem. To, o co prosisz, wiąże się z dużym ryzykiem.

- Całe życie jest ryzykiem, Cezarze - odparła dziewczyna filozoficznie. - Nie boję się życia w Galii. Chcę być kimś więcej niż drugą, niechcianą córką Ariowista.

- Dobrze więc - odparł Cezar. - Dam ci wszystko, czego żądasz. Możesz zostać w moim obozie. Jeśli wygramy tę bitwę, uczynię cię moim zaufanym tłumaczem i szpiegiem. Dam ci kwaterę w Galii Przedalpejskiej, dokąd będziesz mogła wracać po każdej wypełnionej misji. Będziesz moimi oczami i uszami w Galii. Nikt nie będzie o tym wiedział, nawet moi najbardziej zaufani legaci. Będiesz dla mnie pracowała w Rzymie, jeśli tego zechcę. Po cichu. Oficjalnie będziesz moim jeńcem i germańskim tłumaczem. Jeżeli dobrze spełnisz swoje zadanie, obiecuję na ród Juliuszów, że obsypię cię złotem

i niczego ci w życiu nie zabraknie. Masz słowo Cezara.

Adair odetchnęła głęboko. Wiedziała, że Cezarowi zależy na wygranej z Ariowistem jak na niczym innym. Nietrudno było go przekonać. Nie miała wyrzutów sumienia, wiedziała, że jej ojciec jest zbyt sprytny, aby dać się pojmać i zabić. Wiedziała też, że Lorelei ma zbyt wiele honoru, by nie umrzeć razem z Jorgiem, i bardzo jej to było na rękę.

- Ariowist usłyszał wróżbę czarownicy, że nie może wyjść do bitwy przed po pełni - wyjawiała mu sekret. - Hulda trzyma u siebie twoich legatów zakutych w kajdany i codziennie wróży i prosi Tyra i Nerthus o znaki. Tyr odpowiada, że należy ich spalić, ale jeszcze nie teraz. Czas jest niepomyślny. Pełnia nastąpi za dwa dni, jeżeli nie odwrócisz przepowiedni, poniesiesz klęskę. Musisz ruszyć na Germanów jutro, Cezarze, i doprowadzić do bitwy. Ariowist jest bardzo przesądny. Wszyscy słuchają Huldy, bo to wiedźma spoufalająca się z duchami i bogami.

- Wierzysz w to? - zapytał Cezar, patrząc na nią przenikliwie.

Adair skinęła głową.

- Wierzę, bo widziałam, co ona potrafi. Jeżeli twierdzi, że Ariowist ma iść do bitwy po pełni, to tak jest i on jej posłucha. Kiedy księżyc rośnie, rzymskie siły wzrastają, kiedy maleje, ubywa wam wigoru. Germanie walczą przy ciemnym księżycu. Sprowokuj Ariowistę. Złam go. Rusz na niego z impetem, a nie będzie miał wyjścia i odpowie ci walną bitwą przed wyznaczonym czasem.

- Czy na twój widok zmięknie mu serce?

- Nie. Możesz mnie zabić, nie boję się śmierci, ale wiedz, że to nic nie da i Ariowist nie odpowie na twoje wezwanie, nawet widząc moją głowę na srebrnej tacy, Cezarze.

Smutny uśmiech dziewczyny musiał mu wystarczyć za dowód, że nie kłamie. Adair, wypowiadając te słowa, wydawała się szczerą. Cezar pomyślał o swojej własnej córce, którą tak bardzo kochał. Kochałby ją równie mocno, gdyby była brzydka, garbata i chroma, toteż dziwił się, jak Ariowist mógł kierować się względami estetycznymi lub innymi przy

okazywaniu miłości dzieciom. Zrobiło mu się żal tej germańskiej dziewczyny, która nie była winna ani swego pochodzenia od niewolnicy, ani wyglądu, ani też charakteru, który ostatecznie musiał ukształtować się tak, a nie inaczej.

Wezwał Balbusa i kazał mu przygotować dla Adair kwaterę.

- Adair - odezwał się na koniec - jeżeli dobrze przysłużysz się Cezarowi, otrzymasz odpowiednią nagrodę. Cezar niczego nie robi za darmo, ale pamięta o wyświadczonych mu przysługach i o swoich długach wdzięczności. Nie zawieźdź mnie.

- Nie zawiodę - odparła Adair z przekonaniem, po czym wyszła z namiotu.

- A zatem żegnaj, Ariowicie - mruknął Cezar i udał się do stołu, aby naszkicować plan bitwy i rozmieszczenie nowego obozu.

Następnego dnia Cezar pozostawił w obozie wystarczającą ilość załogi do obrony w razie ewentualnej porażki, a główne siły wyprowadził i rozmieścił na widoku nieprzyjaciela, pomny słów Adair, że Ariowist nie przystąpi do bitwy przed nowiem księżyca. Brakowało dwóch dni. Czas upływał nieubłaganie, a tymczasem uprzednio Cezar bezskutecznie starał się skłonić wodza Swebów do bitwy. W zasadzie mógł dziękować Fortunie i wszystkim bogom, w których wierzył lub nie wierzył, że zesłali mu tę dziewczynę, którą zresztą zamierzał zgodnie z obietnicą hojnie wynagrodzić, jeśli rzeczywiście pozwoli mu ona odnieść zwycięstwo nad własnym ojcem. Cezar brzydził się zdradą i uważał ją za rzecz haniebną, ale w tym przypadku gotów był pójść na pewne ustępstwa na rzecz Adair, która de facto również została zdradzona przez swoją rodzinę. Tej nocy nie spał i dużo rozmyślał nad jej słowami. Dziwił się, że Wercyngetoryks nie zdecydował się uderzyć na wojska rzymskie, i doszedł do wniosku, że musiał kryć się tu dużo większy dramat. Nie chciał w to wnikać, zależało mu jedynie na odniesieniu zwycięstwa, aby po wiosennej kampanii nie musiał wracać do Prowincji z podkulonym ogonem, jak nędzny

pies.

Ponieważ liczbą legionistów ustępował Ariowistowi, aby stworzyć pozory większej liczebności wojska, postanowił posłużyć się oddziałami posiłkowymi. Sam zaś ustawił się w potrójnym szyku i podszedł aż pod obóz nieprzyjaciela. Dopiero wówczas Germanie, chcąc zachować twarz, zdecydowali się wyprowadzić swoje wojska z obozu. Ariowist ustawił swe siły w jednakowych odstępach i wypełnił je plemionami Harudów, Markomanów, Tryboków, Wangionów, Nemetów, Sedusjów i Swebów. Tym ostatnim sam dowodził, przy pomocy Jorga. Całe swe wojsko kazał otoczyć lekkimi i ciężkimi wozami, aby pozbawić ludzi nadziei na ucieczkę. Na wozach Ariowist usadził kobiety, które wyciągały ręce i błagały wyruszających do bitwy, aby nie pozwolili wziąć ich Rzymianom w niewolę.

Taki to patetyczny obraz odmalował się przed oczami rzymskiego wojska, kiedy w powietrzu wisiała bitwa Rzymu z Germanami.

- Legioniści - odezwał się Cezar, widząc, że Germanie powoli ruszają do ataku. - Ten dzień okaże się wielkim dniem dla Narodu Rzymskiego, dzisiaj bowiem pokonacie Ariowistę i pobijecie Swebów. Sprawicie wielką radość naszym sojusznikom i na zawsze okryjecie się chwałą. Każdy z was otrzyma odpowiednią nagrodę za męstwo, a najdzielniejsi dodatkowo dwumiesięczny żołd. Wszyscy jeńcy, jakich weźmiecie, są wasi. Wolno wam splądrować obóz i zabrać sobie taki łup, jaki chcecie. Dzieci jednak sprzedacie w niewolę, a tych, którzy się poddadzą i poproszą o łaskę, odeślecie do mojego obozu. Dla siebie niczego nie chcę. Pragnę jedynie widzieć, jak zdobywacie zwycięstwo, i niech Wenus będzie mi świadkiem, że mówię prawdę. Do boju!

Odpowiedział mu gromki okrzyk. Legioniści w niczym nie przypominali tych przerażonych, zapłakanych tchórzy, jakimi byli jeszcze kilka dni wcześniej. Z bojowym okrzykiem na ustach ruszyli do ataku. Bitwa z Germanami rozpoczęła się na dobre.

I Przemowa Dywicjaka za: *De bello gallico*, I 31, 4-16 - tłum. własne autorki.

II List Cezara za: *De bello gallico*, I 35, 2-4 - tłum. własne autorki.

XIII

Lorelei obudziły zgiełk i wrzawa, jakich jeszcze w życiu nie słyszała. Zamiast w bezpiecznych ramionach Jorga obudziła się na pustym pośłaniu. Jorg ubierał się w pośpiechu. Twarz miał poważną, z jego oblicza zniknął wczorajszy poranny wyraz czułości. Lubiła budzić się po nim, patrzeć, jak się odziewa, widzieć, jak jego twarz zmienia się, gdy na nią spogląda, jak pojawia się na niej uśmiech, jak Jorg niepewnym krokiem wędruje z powrotem do pośłania i jak wreszcie kładzie się obok niej, bierze ją w ramiona i kocha się z nią, a słońce przedziera się przez poły namiotu. Wiedziała, że do śmierci będzie pamiętać te chwile i upajać się nimi na starość. Ale tego poranka, gdy zobaczyła oblicze Jorga poszarzałe ze zdenerwowania, przez jej umysł jak błyskawica przemknęła myśl, że być może nie spotka jej upajająca starość.

- Co się dzieje? - zapytała, chociaż sama do końca nie była przekonana, czy chce znać odpowiedź. - Czemu jesteś taki zdenerwowany?

Jorg odwrócił się ku niej, ale nie był to spokojny, pełen czułości gest, jaki wykonywał zazwyczaj, tylko gwałtowny ruch całego ciała, jakby ktoś obudził go z letargu.

- Lorelei, wojska rzymskie podeszły pod nasz obóz - odparł krótko. - Twój ojciec dał nam rozkaz wymarszu. Muszę iść.

Lorelei skoczyła na równe nogi. Jorg na widok jej nagiego ciała poczuł zawroty głowy.

- Gdzie iść? - zapytała, nie rozumiejąc, jakby mózg miała otulony watą.

- Walczyć, najdroższa - odparł poważnie.

- Idę z tobą - zdecydowała Lorelei natychmiast.

Jorg jednym susem znalazł się przy niej.

- Oszalałaś?! - syknął. - Nigdzie nie pójdziesz!

- Owszem, pójdę - upierała się. - Wiem, że moja matka też pójdzie z moim ojcem i będzie go zagrzewać do walki. Ja nie okażę się od niej gorsza.

Jorg wydał z siebie dźwięk, który był na poły jękiem, na poły gniewnym syknięciem.

- Lorelei, nie wolno ci nigdzie iść - oznajmił. - Masz zostać tutaj i na mnie czekać. Rzymian jest mniej niż nas, do wieczora bitwa będzie wygrana.

- To dlaczego w takim razie jesteś taki spięty? - chciała wiedzieć Lorelei.

- Bo przed bitwą zazwyczaj człowiek jest spięty - powiedział Jorg lekko. - Nigdy nie wiesz, czy wrócisz z niej na własnych nogach.

Lorelei wiedziała, że to akurat prawda. Chociaż sama nigdy na własne oczy nie ujrzała bitwy - już ojciec dbał o to, by wszelkie porachunki z Sekwanami i Eduami załatwiać na ich ziemiach - to jednak widziała wracających rannych. Czasem byli bez nogi, czasem bez ręki, czasem zmasakrowani, a jeszcze kiedy indziej widywała zwłoki z wypatroszonymi wnętrznościami albo pozbawione twarzy. Wyobraziała sobie Jorga śmiertelnie rannego i poczuła, że pomimo iż jest córką germańskiego wodza, płacz dławi ją w gardle.

- Nie chcę, żebyś szedł. - Załkała jak dziecko i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Oto była jej odwaga! Córka Ariowista płakała w ramionach ukochanego, zamiast zagrzewać go do walki. Ale Lorelei nie była w tej chwili w stanie jasno i logicznie myśleć. Wiedziała tylko, że jej ogromne szczęście urwało się nagle w obliczu niepojętego, którym były bitwa i jej niepewne losy. Jorg mógł sobie mówić, co chciał, ale ona była przecież w Rzymie nie dalej jak rok temu i widziała potęgę tego państwa. Ich armia była niezliczona. W samym jednym mieście widziała większe masy ludzi niż w całej znanej jej części Galii. Co mogli zdziałać wojowie jej ojca przeciw fantastycznie wyszkolonej rzymskiej armii?

Wyczuła chyba dezaprobatę Jorga dla swojego zachowania - chociaż on nie odezwał się, tylko tulił ją do siebie jak najcenniejszy skarb - bo odsunęła się i otarła oczy. Jorg napawał się pięknem jej nagiego ciała, aż nieoczekiwanie ovladnęło nim pożądanie nie do opanowania. Jak w gorączce odszukał jej usta i rozchylił je w namiętym pocałunku. Lorelei w jednej chwili była gotowa, osunęła się z powrotem na posłanie i pozwoliła, by posiadał ją dziko i gwałtownie, jakby miało to być ich ostatnie zbliżenie.

- Lorelei - szeptał jej w rozpalone usta - wolę zginąć, niż Cię stracić. Życie bez ciebie będzie dla mnie udręką.

I dla mnie - myślała Lorelei w nawrotach świadomości.

Potem jednak oddała mu się całkowicie i do końca, niepomna zbliżającej się bitwy i niepomna już niczego więcej.

- Co tak długo?! - mruknął niezadowolony Ariowist na widok nadbiegającego w pośpiechu Jorga jakiś czas później.
- Już myślałem, że masz zamiar zdezerterować.

Jorg wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa, nie chcąc, by wódz wyczytał z jego oczu, co się przed chwilą stało.

- Spójrz na nich! - prychnął z pogardą Ariowist, wskazując ręką przed siebie. - Podeszli pod sam obóz. Ostatnio nie dali się sprowokować, a teraz sterczą tu od świtu. Jeśli nie podejmę bitwy, stracę twarz. Nie miałem wyjścia.

- Jeśli ją podejmiesz, możesz stracić życie - zauważył rezolutnie Jorg.

- Życie! - zarechotał Ariowist. - Jesteś młody i życie ci miłe, ale zapamiętaj, mój chłopcze, że w życiu nie ma nic pewniejszego niż śmierć. Jeśli tak chcą bogowie, dzisiaj przyjdzie po mnie. Żadna różnica. Ty i tak zostaniesz po mnie wodzem, jeśli ożenisz się z moją córką.

Ariowist zasępił się. Jorg poprawiał miecz u boku, kiedy usłyszał gardłowe westchnienie.

- Adair zniknęła - mruknął wódz. - I nie mam pojęcia, gdzie ona się podziewa. Hulda twierdzi, że jest u Rzymian. I że nie powinienem dzisiaj toczyć tej bitwy.

- Możesz się jeszcze wycofać - stwierdził Jorg.

- Nie mogę - odparł Ariowist i wskazał głową w bok.

Wokół licznych oddziałów ustawione były wozy bojowe. Siedziały na nich kobiety z przygotowanymi pociskami, którymi w razie potrzeby miały obrzucić nieprzyjaciela. Jorg wiedział, co to oznacza. Ariowist zdecydował się wydać bitwę na śmierć i życie, a rolą kobiet było czynne zagrzewanie mężczyzn do walki. Bo który mężczyzna cofnąłby się, wiedząc, że jeśli on padnie, wróg weźmie sobie jego kobietę i dzieci?

Jorg pospiesznie przebiegł wzrokiem po twarzach siedzących na wozie kobiet i ze zdumieniem ujrzał Mergh, która z dumnie uniesioną głową siedziała nieruchomo w obliczu śmierci. Jorg zawsze darzył żonę Ariowista respektem, teraz jednak ujrzał jasno, jak dumną i odważną jest kobietą. Podczas gdy inne lamentowały, krzyczały lub płakały, ona jedna siedziała nieruchomo, a w jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Obok niej zaś siedziała Lorelei z płonącymi oczyma, z bladą twarzą i z malującą się na niej zaciętością.

- Nie! - krzyknął Jorg i chciał zerwać się z miejsca, ale Ariowist zatrzymał go w pół ruchu.

- Zostaw - warknął. - To była jej decyzja. Czy chciałbyś, żeby twoja żona kryła się po kątach, kiedy ty oddajesz za nią życie? Jest dumna, tak jak jej matka. Może nie ma za dużo oleju w głowie, ale wreszcie pokazała, że potrafi się przysłużyć czymś więcej niż tylko rozkładaniem nóg przed moim sojusznikiem.

Na osobnym wozie siedziała Grynilda, a na jej twarzy malowała się nienawiść tak głęboka, że Jorg się przeraził. Grynilda wiedziała, co stało się z jej córką, i miała o to żal do swego męża, nie odezwała się jednak ani słowem. Być może w głębi ducha uważała, że Adair postąpiła słusznie. Ostatecznie odrzucenie przez własnego ojca musiało ją zabołeć.

Przez równinę przeszedł pomruk, a potem rozległy się bojowe okrzyki, kiedy Rzymianie ruszyli do ataku. Szli w acies triplex, potrójnym szyku, który był praktycznie nie do rozerwania. Jorg zauważył, że na widok wojska ruszającego do ofensywy Ariowist jakby na chwilę się zawahał, ale zaraz dał znak swoim ludziom, którzy również ruszyli przed siebie,

by zewrzeć się w śmiertelnych szrankach.

Ze strony Rzymian poleciały pociski. Najpierw były to długie włócznie, które z zabójczą precyzją sięgały celu, potem kamienie i drobne pociski, nie mniej skuteczne od włóczy. Jorg jechał na czele Swebów u boku Ariowista, pewien zwycięstwa i niewzruszony w swoim postanowieniu wybicia jak największej liczby wrogów. W oddali na wzniesieniu widział czerwony płaszcz Cezara, który na razie nie włączał się do bitwy. Ariowist zaś szedł ze swoimi, jakby chciał dodać im odwagi.

Oba wojska zderzyły się z impetem i rozpoczęła się krwawa potyczka. Germanie stanowili większość i początkowo wydawało się, że znakomicie wykorzystają swoją przewagę. Rzymianie jednak walczyli znacznie lepiej technicznie, jako zwarta armia, która niejedno ze sobą przeszła w boju. Potrafili też rozkładać odpowiednio siłę, a Cezar jako strateg okazywał się niezrównany. Około południa Germanie zaczęli nieznacznie cofać się pod naporem Rzymian. Jorg siekł mieczem na prawo i lewo, ale zauważył wkrótce, że jego miecz przystosowany był do cięcia i nie nadawał się do zadawania pchnięć, podczas gdy krótkie obosieczne miecze Rzymian były do tego wręcz stworzone. Ponadto potrójny szyk sprawiał, że jedna linia atakowała pod osłoną dwóch tylnych, a gdy żołnierze pierwszego szeregu zmęczeni się lub wielu ich padło, natychmiast zastępowała ich druga linia. W ten sposób Rzymianie mieli ciągle świeże posiłki.

Gdy słońce przechyliło się już znacznie w stronę północnego zachodu, Germanie cofali się do wozów bojowych. Jorg zauważył, że wielu zaczyna porzucać broń i uciekać przed siebie. W odległości dwudziestu pięciu kilometrów na wschód płynął Ren, a na jego drugim brzegu była wolność. Tam z pewnością Rzymianie nie będą chcieli się przeprawić. W miarę jak rzymska armia napierała coraz bardziej, coraz pewniejsza swego zwycięstwa, Germanie jeden za drugim dezertowali, porywając w biegu swoje żony z wozów bojowych. Coraz mniej walecznych Swebów pozostawało na polu bitwy.

Ariowist widział, co się święci, i kiedy dotarła do niego bolesna prawda, nie wahał się ani chwili dłużej. Korzystając z zamieszania, rzucił swoją broń i dał susa w stronę obozu, chcąc jak najszybciej dotrzeć do wozu, na którym siedziała Mergh. Rzymska konnica skutecznie wykańczała tę resztę niedobitków, która jeszcze walczyła, ale Ariowist słyszał za swoimi plecami nieubłagany tętent kopyt. Biegł przed siebie, nie zważając na dumę i zachowanie twarzy. Poczucie klęski jeszcze go nie dopadło, bo też nie wierzył, że klęska go czeka – wszak za Renem posiadał wielką armię, którą zmobilizuje, gdy tylko uda mu się dotrzeć na miejsce. Biegł, nie widząc nawet, że wozy bojowe stały się już łupem rzymskich legionistów.

Jorg zauważył to szybciej. Widział, jak rzymscy żołnierze z triumfalnym wyciem zajmują jeden wóz za drugim. Co odważniejsze kobiety wbijały sobie żelazo w piersi, inne zabijały własne dzieci, by nie padły ofiarą mężczyźni, w których oczach czaiła się żądza mordy za wszelką cenę. Widział Lorelei, jak staje na wozie, do którego zbliżają się Rzymianie, i poczuł, jak krew się w nim gotuje. Ujrzał konia, który stał na polu bitwy, grzebiąc niespokojnie kopytem w ziemi, i nie zastanawiał się długo. Wskoczył na jego grzbiet i pognął przed siebie, tratując wszystkich, którzy stali na jego drodze. Wydało mu się, że widzi uciekającego w popłochu Ariowista, ale przecież nie mogła to być prawda.

– Lorelei! – krzyknął z rozpaczą.

Usłyszała go w tej samej chwili, w której Rzymianie dopadli do wozu. Jorg widział, jak Mergh stanęła wyprostowana i z niesłychaną pogardą w oczach sięgnęła po nóż. Jeden płynny, zwinny ruch i ostrze tkwiło w jej szyi, rozrywając tętnicę. Mergh zdobyła się jeszcze na pełen triumfu uśmiech, zanim wyciągnęła nóż i pozwoliła, by fontanna krwi trysnęła z jej żył. Nie trwało to długo, zaledwie chwilę, i Mergh, ku rozczarowaniu Rzymian, upadła na wóz. Jorg usłyszał pełne bólu i zawodu wycie i zrozumiał, że to Ariowist krzyczy na widok śmierci swej żony. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, już bowiem ciął mieczem jednego legionistę i chwycił za rękę przerażoną Lorelei. Pociągnął ją na konia i w

galopie pomógł jej usiąść za sobą. Nie było czasu na słowa i na radość. Należało jak najszybciej przedostać się na drugi brzeg Renu.

Nie widzieli, jak Ariowist, krzyząc z rozpaczy, bierze ciało swej żony i biegnie dalej przed siebie. Ciało Mergh ciążyło mu. Jej bezwład obezwładniał i jego, więc w końcu musiał ją zostawić. Patrzył w jej martwe oczy, spoglądające w niebo i widzące rzeczy, których jemu niedane było jeszcze widzieć, i czuł, jak serce pęka mu z żalu. Ale miłość do życia okazała się silniejsza od miłości do kobiety i Ariowist ciężkim ruchem podniósł się z ziemi. Słyszał za sobą zwycięskie okrzyki Rzymian i pomyślał, że z całego serca nienawidzi Cezara za jego zdradę i podstęp.

Kiedy tak stał i zastanawiał się, co dalej, ujrzał przed sobą Adair, spokojnie siedzącą na końskim grzbiecie, przez który przerzucone miała ciało kobiety. Ariowist w pierwszej chwili był zbyt oszołomiony, by pojąć, co się stało. Dopiero po chwili odzyskał zdolność mówienia.

- Co tu robisz? - zapytał jak obłąkany.

- Przyjechałam oddać ci to - odparła i zrzuciła na ziemię ciało, które okazało się zwłokami Grynildy.

Ariowist patrzył na nią oniemiały.

- Dlaczego... Co to znaczy? - jąkał się. - Co ty tu robisz?

- Rzymianie zaatakowali cię, bo ja im zdradziłam twoją tajemnicę, ojczy - odezwała się Adair hardo. - Teraz sam pojedziesz za Ren i posmakujesz losu wygnańca oderwanego od swoich. Posmakujesz hańby, zobaczysz, jak to jest być odepchniętym, wzgardzonym i niechcianym.

Ariowist patrzył w oczy swej córce i nagle poczuł narastającą gorycz. Gdyby wtedy nie zachował się w taki sposób, gdyby Adair była córką Mergh, gdyby była piękna i słodka, gdyby nie była dzieckiem rzymskiej niewolnicy, pewnie kochałby ją równie mocno jak Lorelei i pewnie teraz to on triumfowałby nad trupem Cezara. Tymczasem spoglądał na trupy swoich żon i czuł pustkę w sercu. Naraz wszystko ucichło, wojenne okrzyki rozmyły się w ciszy letniego popołudnia i tylko cykady śpiewały swą pieśń w wysokich

trawach nad Renem. Adair patrzyła ojcu w oczy, ale nie był to wzrok kochającej córki.

- Jesteś sam - powiedziała zimno. - Mergh, moja matka i Lorelei nie żyją.

- Lorelei uciekła - odparł Ariowist odruchowo.

- Daleko nie zajedzie. Jesteś sam. Wszyscy twoi umarli z wyjątkiem mnie, która cię zdradziłam. Żyj z tym, ojcze.

Z tymi słowami Adair zawróciła konia i odjechała w stronę Rzymian. Ariowist przez chwilę patrzył na obie swe żony, które nie mogły już nic mu odpowiedzieć, po czym z ciężkim sercem powlókł się w stronę Renu.

Noga Ariowista nigdy więcej nie powstała w Galii.

Lorelei czuła niewymowną ulgę, kiedy Jorg po nią przyjechał. Do samego końca wierzyła, że mu się uda i że wyrwie ją ze szponów okrutnego losu. Woląca umrzeć, niż dać się schwytać, ale bała się uczynić to samo, co jej matka. Mergh zawsze była dumna i silna, podczas gdy Lorelei była słaba. Tak się jej przynajmniej zdawało.

Kiedy koń nagle stanął dęba, Lorelei upadła twarzą na ziemię. Dłuższą chwilę zajęło jej wygrzebanie się z dołu, w który wpadła, i pojęcie, że wierzchowiec nie żyje. Jorg pluł ziemią i krwią z przegryzionego policzka, ale wstawał już na nogi i spieszył do niej. Znajdowali się w niewielkiej odległości od rzeki, słyszeli już bowiem jej szum.

- Chodź - szepnął Jorg. - To już blisko.

Za plecami usłyszeli okrzyki rzymskich żołnierzy i tętent kopyt. Jorg chwycił Lorelei mocno za rękę i pociągnął za sobą. Poczowała w ustach smak żelaza, a serce waliło jej w piersi jak oszalałe, ale biegła, potykając się o suknię, nie zwalniała ani na chwilę, aż przed oczami zaczęły jej latać mroczki. Wtedy dopiero zatrzymała się.

W oddali szumiała rzeka. Ren przelewał się przez równinę niczym srebrzysty wąż. Jorg widział w oddali jego błękitnosrebrzyste wody, ale miał wrażenie, że widzi je jakby z wysoka, pod sobą, i wcale mu to nie poprawiało nastroju.

- Nie mogę już - wydyszała. - Idź dalej sam.

- Nie bądź głupia, nie zostawię cię tu - warknął Jorg. - Jeszcze trochę. Dasz radę, Lorelei, to już niedługo.

Lorelei czuła ciężar w piersi, jednak ostatekiem sił ruszyła dalej. Tętent kopyt za nimi przybierał na sile, a ziemia pod ich stopami zaczęła drżeć. Lorelei poczuła na sobie tchnienie wieczności. Spłynęła na nią głęboka świadomość, że nie umknie pogoni. Przeświadczenie to było tak silne, że instynktownie zwolniła i zaczęła oglądać się za siebie, a kiedy ujrzała między drzewami jeźdźców, poczuła niemal ulgę, że to się już zaraz skończy.

Ku swemu zdumieniu na jednym z koni ujrzała czerwony płaszcz wodza. A zatem sam Cezar fatygował się po córkę Ariowista!

Kątem oka zobaczyła, że jeden z konnych wyrzuca przed siebie włócznię. Poczuła gwałtowne szarpnięcie, kiedy ostrze ugodziło Jorga między łopatką a barkiem. Mężczyzna upadł na bok, ale nie wydał z siebie najmniejszego krzyku. Lorelei ukucnęła przy nim, czując obezwładniającą rozpacz.

- Jorg - szepnęła - kochany mój!

- Uciekaj - jęknął Jorg. - Ratuj siebie.

- Nie zostawię cię tak samego! - zaprotestowała gwałtownie.

- Lorelei, uciekaj - powtórzył Jorg. Czuł obezwładniający ból i nie mógł ruszać ramieniem, ale wiedział, że ona musi uciec i ratować życie, inaczej jego poświęcenie na nic się nie zda.

- Nie mogę cię tu zostawić - oponowała.

Rzymianie byli coraz bliżej.

- Lorelei - wydyszał Jorg. - Być może dzisiaj zasiałem w tobie nowe życie. Nie umieraj w rzymskiej niewoli. Idź, uciekaj, ratuj siebie. Twój ojciec czeka na ciebie za Renem. Lorelei, jeśli mnie kochasz, zrób to!

- Nie! - Lorelei płakała już otwarcie.

Jorgowi ciemne plamy wirowały przed oczami.

- Lorelei, on cię zgwałci, zhańbi, a potem da swoim ludziom, żeby się z tobą zabawili - powiedział Jorg słabym głosem. - Jak kiedyś potraktowano matkę Adair. A potem

będziesz niewolnicą w jego domu i będą cię przymuszać, kiedy zechcą i jak zechcą. Jesteś córką Ariowista. Idź.

Lorelei widziała już wyraźnie, że jednym z jeźdźców jest kobieta. Coś mignęło w jej pamięci, ale zaraz zniknęło. Jorg stracił przytomność. Bezwładnie osunął głowę na ziemię. Lorelei miała do wyboru zostać i czekać na swoich oprawców albo ratować życie. Instykt samozachowawczy okazał się silniejszy i dziewczyna, wbrew sobie, łykając łzy rozpacz, pobiegła dalej przed siebie.

Zatrzymała się gwałtownie, omal nie spadłszy w dół.

Znajdowała się na szczycie stromego wzniesienia. Pod nią Ren wił się niczym srebrny wąż. Jego wody migotały w popołudniowym letnim słońcu. Nie było zejścia, urwisko nie dawało jej najmniejszej szansy zsunięcia się w dół.

To był koniec jej drogi.

Lorelei wpatrywała się w oszałamiający błękit wód toczących się leniwie pod skałą. Rzeka zakręcała tu i była bardzo wąska, ale też głęboka. Gdyby mogła zejść na dół, przepłynęłaby ten spokojny odcinek bez większych trudności.

Dziś rano była tak szczęśliwa. Wczoraj kładła się w ramiona Jorga i nie przypuszczała nawet, że będzie to ostatni wieczór w jej życiu. Następnego już nie doczeka.

Wody Renu były chłodne. Promienie słońca tworzyły małe tęczowe krople w wodzie. Lorelei poczuła głęboki smutek. Zamiast pięknej przyszłości z Jorgiem ma przerażającą teraźniejszość. Serce pompowało krew do żył z niewiarygodną prędkością, jakby wiedziało, że już niebawem przestanie.

Na urwisko wjechali Rzymianie. W zasadzie były to trzy osoby, więcej bowiem miejsca tutaj nie było. W jednej z nich Lorelei poznała Cezara, w drugiej swą siostrę Adair, która z wymalowaną na twarzy mściwością wpatrywała się w nią z poczuciem triumfu. Trzecim jeźdźcą był wysoki mężczyzna o okrutnych oczach.

- Chodź tutaj - warknęła Adair. - Nie rób głupstw i nie myśl, że tam po ciebie pójde.

- Nie mam najmniejszego zamiaru do ciebie przychodzić - odparła Lorelei.

- Nie jesteś tak odważna jak twoja matka - zauważyła Adair bezlitośnie. - Gdybyś była, nie stałabyś teraz tutaj.

Nie, ale stoję, bo Jorg mnie uratował - pomyślała Lorelei. Uratował za cenę swojego życia. Teraz pewnie na mnie czeka, a ja się waham.

- Chyba nie skoczysz - kpiła dalej Adair.

- Aż tak ci zależy na moim życiu? - roześmiała się Lorelei. - Przecież mnie nienawidzisz.

- Ja tak, ale on chce ciebie żywą - odparła siostra.

Lorelei spojrzała w czarne, bezlitosne oczy Cezara i pojęła, do czego jest mu potrzebna. Mając córkę, będzie mógł szantażować ojca. Zależy mu na wygraniu wojny, której znaczenia Lorelei nie rozumie, i na pokonaniu wroga, którego sam sobie stworzył.

- Adair, zdradziłaś własny naród - odezwała się. - Zniszczyłaś życie ojca, matki, moje i Jorga - w imię swojej chorej ambicji.

- Tak jak ty wcześniej zniszczyłaś moje - odparła Adair i z jej oczu zniknął nagle wyraz drwiny. - Nie czuję wcale triumfu na myśl o twojej śmierci. Odpłaciłam Ariowistowi z nawiązką. Gdybyś była mądra, nie ruszyłabyś się z Gergowii. Ale ty poleciałaś za swoim kochasiem i patrz, co z tego masz.

Lorelei spojrzała na siostrę i nagle ogarnęło ją poczucie niewysłowionego szczęścia i spełnienia.

- Ależ miałam wiele, Adair - odparła cicho. - Miałam miłość tak wielką, że dla tych kilku chwil warto teraz umierać. Ty nigdy tego nie posmakujesz, choćby on obsypał cię złotem i zaszczytami. Powiedz mu to. On wie, co to znaczy kochać i utracić miłość, wiem o tym. Ale ty nigdy się tego nie dowiesz i opływając w bogactwa, umrzesz nędzna i biedna, z nienawiścią w oczach i zemstą na ustach. Żal mi ciebie, Adair. Bo ja przynajmniej zaznałam szczęścia, jakiego mało kto może doświadczyć.

Adair chciała coś powiedzieć, ale Lorelei uśmiechnęła się tylko i bez słowa rzuciła się w przepaść. Młodsza siostra zeskoczyła z konia, jakby chciała pochwycić Lorelei, ale kiedy znalazła się na brzegu urwiska, ujrzała jedynie kręgi rosnące

na wodzie w miejscu, gdzie starsza siostra musiała wpaść do wody. Czysty nurt Renu pochłoniął córkę Ariowista. Adair pozostała nad przepaścią z poczuciem, że ofiara wymknęła jej się z rąk.

Miałam to - przemknęło Lorelei przez głowę w ostatnim przebłysku myśli, zanim zimne wody rzeki zamknęły się nad nią. *Miałam Jorga. Byłam szczęśliwa.*

Potem uderzyła w twardą powierzchnię wody i tok myśli urwał się gwałtownie, a jej bezwładne ciało osunęło się powoli na piaszczyste dno Renu.

- Czyżby było ci żal siostry? - zapytał Cezar, kiedy siedzieli przy kolacji w jego namiocie.

Oprócz niego i Adair, która awansowała na osobistego szpiega Cezara, w namiocie znajdowali się również Balbus oraz Labienus, a także pozostali legaci, którzy wykazali się odwagą w walce. Tego popołudnia Cezar miał pełne ręce roboty, odwiedzając rannych, wydając odznaczenia i sporządzając wraz z kwestorami listy tych żołnierzy, którym należała się trzymiesięczna premia. Uważał, że po takim zwycięstwie nie ma co żałować ludziom pieniędzy ani wypoczynku, toteż wieńce i odznaczenia były tego dnia przyznawane pełną parą.

Poza tym jednak na Cezarze jako wodzu spoczywał obowiązek godnego pochowania poległych, co zlecił, rzecz jasna, podkomendnym. Na polu bitwy wkrótce zapłonęły ogromne stosy, których dławiący smród przyprawiał o mdłości. Cezar kazał w całym obozie zapalić pochodnie nasączone ziołowymi wywarami. Rannych żołnierzy umieszczono w lazaretach, beznadziejne przypadki litościwie dobijano, jednym słowem zawrzała pobitewna robota. Cezar nie liczył łupów, jakie legionieci sami sobie zdobyli na Germanach. Widział tylko niezliczone tabuny kobiet i dzieci, a także mężczyzn, najczęściej rannych, ale silnych i sprawnych, których można było sprzedać na najbliższym targu niewolników. Najlepsze okazy miały udać się w długim pochodzie jeńców aż do Genawy, a stamtąd czekał ich transport do Rzymu na targ niewolników, gdzie mieli trafić do szkół gladiatorских.

Kobiety i dzieci czekał nie lepszy los. Cezar doskonale wiedział, co się z nimi stanie. Kobiety zostaną przeznaczone do uprzyjemniania życia legionistom bądź sprzedane do lupanarów, przynajmniej te młode i ładne. Reszta pójdzie na targ. Dzieci również, bo młody narybek niewolniczy znakomicie się sprzedawał, jako że wygodniej było wychować niewolnika podług swojej woli i przysposobić go od maleńkości, niż kupować dorosłego człowieka, który myślałby tylko o tym, jak uciec. Cezar jednak obojętnie patrzył na to wszystko, bo dla niego jeńcy nie byli już ludźmi, a żywym towarem. Adair siedziała wśród tych roślących mężczyzn jako jedyna kobieta i czuła się z tym co najmniej dziwnie, jakkolwiek u Germanów nie byłoby to niczym niezwykłym. Adair jednak zdążyła się już dowiedzieć, że świat Rzymian był światem mężczyzn, przynajmniej jeśli chodzi o politykę i rządzenie. Miejsce kobiet było w domu, a jeżeli pojawiały się one na ucztach i oficjalnych spotkaniach, to jedynie w roli pań domu i żon swych mężów senatorów. Ona tymczasem pełniła całkiem niezwykłą funkcję jak na rzymskie wojsko, i najwyraźniej najbliższym współpracownikom Cezara nie bardzo się to podobało. Dość, że milczeli w tej kwestii i nie podważali opinii i woli wodza, chcąc nie chcąc, godząc się na jej obecność przy stole. Ale tylko w drapieżnych, okrutnych oczach Labienusa Adair dostrzegała cień zainteresowania swoją osobą.

Tego zainteresowania już sobie jednak nie życzyła.

Ale z drugiej strony jakiś głos podpowiadał jej, że skorzysta na ochronie ze strony tego człowieka, straci zaś wiele w przypadku jego niechęci do niej.

Pytanie Cezara zaskoczyło ją.

- Nie wiem, czy mi jej żal - odparła po namyśle. - Sama sobie zapracowała na swój los. Była żoną Wercyngetoryksa, mogła zostać w Gergowii i wieść dostatnie życie, a jednak zdecydowała się wbrew woli swego ojca wrócić do domu.

Cezar spoglądał na nią uważnie przenikliwymi oczami. Adair miała wrażenie, że on przepala jej duszę na wylot i że nią gardzi.

- Nie darzyłyście się siostrzaną miłością - stwierdził.

- Nie - przyznała Adair. - Ale ja nie chciałam jej śmierci.

Nie, wołała, żeby Lorelei cierpiała za swoją wyniosłość i pierwsze miejsce w ojcowskim sercu. Chciała widzieć ją upodloną i znieważoną, jak ongiś upodlona została Grynilda, chciała cieszyć się z jej upadku i hańby, ale na pewno nie patrzeć, jak rzuca się w zimną otchłań rzeki. Bądź co bądź łączyły je więzy krwi, a ona poprzez swą zdradę doprowadziła do śmierci matki i siostry.

No cóż, będzie musiała z tym żyć.

Tylko czy się uda?

Cezar patrzył na nią i wiedział, że powinien czuć niechęć, ale mimo to nie czuł jej. Ta dziewczyna z pewnością nie zasłużyła sobie na jego pogardę tylko dlatego, że dokonała zemsty na swoich krewnych. On sam również się mścił, w sposób subtelny i perfidny, ale zemsta dawała mu od czasu do czasu zaprawioną goryczą satysfakcję. Rozumiał Adair, a poza tym była mu ona potrzebna. Jeśli miała jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, to jego to nie obchodziło. To był jej własny problem, z którym sama musiała się zmierzyć. Doskonale pamiętał, jak on sam z zimną krwią wydał na śmierć piratów, z którymi codziennie jadł i pił. Jak bezwzględnie wydał za mąż swoją córkę dla korzyści politycznej. Szczęśliwie akurat to małżeństwo okazało się udane. Pamiętał, jak układał się ze swą siostrzenicą na zgubę Julii i jej ewentualnego potomstwa, o którym to niebezpieczeństwie również doskonale wiedział. A jednak uczynił to wszystko. Nie zawsze kierował się w życiu zasadami moralnymi, nie miał więc prawa osądzać Adair.

Widział też, jak Labienus na nią patrzy, i przypomniał mu się incydent z popołudnia, kiedy to zawracali ze skarpy, z której rzuciła się Lorelei. Cezar, rzecz jasna, żałował ogromnie, że taki łup wyslizgnął mu się z rąk, córka Ariowista stanowiłaby bowiem drogocenny nabytek. Dzięki niej mógłby szantażować wodza Swebów, a wiedział od Adair, że Ariowist kochał nad życie swą pierworodną. W posepnym nastroju zawrócił konia i na drodze ujrzał nieprzytomnego Germanina, którego poznał podczas wizyty w Rzymie. Był to przyboczny

Ariowista, jego zaufany dowódca.

Adair również go zobaczyła i zeskoczyła z konia, dobywając jednocześnie noża. Najwyraźniej chciała go dobić, ale Cezar był szybszy. Zwinnie zeskoczył na ziemię i mocną dłonią chwycił nadgarstek Adair w chwili, kiedy ta chciała już wbić ostrze w pierś nieprzytomnego Jorga.

- Zostaw go! - powiedział podniesionym głosem, ale nie był to jeszcze krzyk. - Labienus go ustrzelił i należy on do niego. Nie masz praw do tego człowieka.

Twarz Adair wykrzywiła się w niepohamowanej wściekłości. Miała najwyraźniej ochotę kopnąć nieprzytomnego, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

- Powinien zdechnąć jak pies - wysyczała ze złością. - Przeklęty! Zawrócił jej w głowie i dla niego okryła siebie i mnie hańbą, a jednak na moją głowę spadło przekleństwo ojca.

Cezar długo się jej wówczas przyglądał. Labienus też ze swego miejsca patrzył z zaciekawieniem na Adair, najwyraźniej dostrzegając w niej pokrewną duszę czy może raczej równie bezwzględnego zabójcę.

- Ten człowiek ma przeżyć - odezwał się Labienus. - Ty osobiście będziesz go pielęgnować, germańska księżniczko. A kiedy wyzdrowieje, uczynię go twoim niewolnikiem, z tym jednak zastrzeżeniem, że nie wolno ci go będzie zabić. To będzie twoje nemezis na śmierć twojej siostry.

Adair знаła grekę na tyle, by wiedzieć, co do niej powiedział ten posepny człowiek, którego się bała i którego nie potrafiła rozgryźć. Coś do niej miał, jednak owo „coś” nie było do końca sprecyzowane. Było to coś między niechęcią, pożądaniem i ciekawością.

Cezar patrzył na nich w milczeniu i nic nie powiedział, kiedy Labienus przerzucił nieprzytomnego Sweba przez siodło.

- Nic mu nie będzie - oznajmił przyboczny tonem znawcy, który niejednego człowieka obdarł żywcem ze skóry. - Ostrze ominęło płuca, inaczej kasłałby krwawą pianą i umarłby. Ma zapewne złamany obojczyk i przerwane ścięgna. To tęgi chłop, będzie żył.

- Raczej wegetował - mruknęła Adair ponuro.

Nie sprzeciwiła się woli Cezara i pozwoliła, by Jorg został umieszczony w lazarecie pod czujną opieką greckich medyków, którzy również znajdowali się w sztabie Cezara. Kiedy odjeżdżali do obozu Rzymian, Adair nie zaszczyciła dawnego obozu ojca ani jednym tęsknym spojrzeniem. Beznamiętnie spoglądała na ciało Mergh, złożone na kupie z innymi ciałami gotowymi do spalenia. Kiedy jednak dostrzegła swoją matkę, w jej oczach zalśniły łzy, jakby dziewczyna żałowała, że akurat Grynilda również musiała przypłacić życiem jej zdradę.

Kiedy siedziała przy stole i jadła oliwki, czarny chleb i ser, wydawała się beznamiętna, ale pytania Cezara dręczyły jej duszę.

- Dotrzymam słowa - odezwał się Cezar po chwili. - Otrzymasz wszystko, czego ode mnie żądałaś. Dałaś mi to, czego pragnąłem. Cena, jaką zapłaciłaś, jest twoją sprawą. Jeżeli chcesz, po zakończeniu mojej kampanii w Galii otrzymasz ode mnie obywatelstwo rzymskie.

Adair kiwnęła głową. Obywatelstwo dawało jej nieograniczone możliwości. Cezar machnął niedbale ręką i skierował rozmowę na inne tory, za co była mu naprawdę wdzięczna.

Po skończonym posiłku chciała iść do swojego namiotu, kiedy poczuła na ramieniu silną dłoń Labienusa. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że to on, i nie musiała się domyślać, czego on od niej chce.

- Nie jestem piękna ani czarująca jak moja siostra - odezwała się, chcąc uprzedzić jego słowa. - Jestem pospolita, brzydka i nieciekawa.

Labienus zaśmiał się gromko.

- Ale masz za to umysł, jakiego mogą ci pozazdrościć mężczyźni, masz w sobie zaciętość i brak skrupułów. Gdybyś chciała, zabiłabyś z ochotą tego szczeniaka, tak jak z zimną krwią zabiłaś swą siostrę, matkę i macochę. Podobasz mi się, Adair, bo jesteś dzika, wyrachowana i zła.

Zła. Te słowa nią wstrząsnęły. Nigdy siebie tak nie postrzegała, ale Labienus najwidoczniej nie kłamał, a ona po prostu była zbyt młoda, by rozumieć cechy swego

charakteru.

- Nie chcesz mnie wcale - odparła urażona do głębi.

- Ależ tak, właśnie chcę - zaśmiał się. - Chcę ciebie i na razie żadnej innej. Nie dam cię tknąć żadnym ciurom obozowym, którzy mieliby na ciebie ochotę, i pod moją opieką będziesz bezpieczna.

- A gdy ci się znudzę?

- Wtedy również.

- A jeśli urodzę ci dziecko?

- Oddam je na wychowanie do Rzymu. Mam wielu domowników.

Adair zawahała się.

- Naprawdę uważasz, że jestem zła? - zapytała żałośnie.

Labienus uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było życzliwości.

- Oczywiście, że tak uważam, i dlatego wyszkolę cię na znakomitego zabójcę i szpiega. Cezar nie będzie miał nikogo bardziej oddanego od ciebie i ode mnie. Jesteś dość bezwzględna, by szybko się nauczyć. Dość inteligentna, by wykorzystać swoje złe cechy. Myślisz, że ja jestem dobrym człowiekiem? A jednak żyję, oddycham i walczę. Mam nawet przyjaciół, cokolwiek to oznacza. Po co te dyskusje, Adair? Daj mi to, czego chcę, a uczynię z ciebie przydatnego żołnierza. Drugi raz nie zapytam.

Adair wahała się przez moment, ale zaraz podjęła decyzję i ruszyła za Labienusem do jego namiotu. Dopiero gdy szła za nim, uświadomiła sobie, że jest spragniona bliskości drugiego człowieka bez względu na to, czy bliskość ta będzie oznaczała jedynie chwilę namiętności. Tego też potrzebowała. Ukojenia w bólu i zatraceniu.

Jorg obudził się nagle, a jego powrotowi do świata żywych towarzyszyły ból i przerażenie. Nad sobą ujrzał twarz obcego człowieka, który mówił w dziwnym języku. Dopiero po chwili Jorg uświadomił sobie, że mężczyzna mówi po łacinie - tego śpiwnego, miękkiego języka nie sposób było nie rozróżnić. Jorg chciał poprosić go o wodę, ale ból z prawej strony

paraliżował go. Nie mógł ruszyć ramieniem i zdał sobie sprawę, że ma złamany obojczyk. Jak przez mgłę docierały do niego wspomnienia. Uciekał z Lorelei przez równinę w stronę Renu. Klęczała nad nim i płakała, a on kazał jej biec dalej. Potem nastąpiła ciemność, która ukołysała go w błogosławionych ramionach nieświadomości, aż ocknął się w dziwnym miejscu wśród obcych ludzi.

Dlaczego żył?

Walczył przecież u boku Ariowista, widział jego ucieczkę, a potem sam w obliczu zagłady i śmierci ukochanej rzucił się do ucieczki, aby ratować jej życie. Tylko to jedno miał w głowie i w sercu: ocalić Lorelei, nawet kosztem własnego życia.

Obcy człowiek odszedł, a po chwili rozległy się miękkie kroki. To szła kobieta.

Serce Jorga zabiło mocniej, ale zaraz doznał srogiego rozczarowania, twarz bowiem, która się nad nim pochyliła z kubkiem wody, była twarzą Adair.

- Pij - nakazała mu szorstko. - Cezar kazał ci wyzdrowieć.

Jorg pił łapczywie. Był spragniony, krew dudniła mu w skroniach. Kiedy skończył, Adair delikatnie ułożyła go na poduszce i uważnie spojrzała mu w oczy.

- Gdzie jestem? - zapytał półprzytomnie.

- W lazarecie w obozie Rzymian - odparła trzeźwo.

- Co się stało?

- Zostałeś ranny.

- A Lorelei?

Szukał wzrokiem w twarzy Adair jakiegokolwiek nadziei, ale jej spojrzenie pozostawało twarde i zimne. W niej samej zaszła jakaś zmiana, której znaczenia Jorg na razie nie pojmował i nad którą nie miał sił się zastanawiać. Zmiana była subtelna, a jednak widoczna. Coś jakby posiadała większą pewność siebie, jakby miała w sobie większą zuchwałość, jakby pewniejsze miała podstawy własnej egzystencji.

- Lorelei nie żyje - padła odpowiedź. - Rzuciła się ze skały do Renu.

Jorg miał wrażenie, jakby ktoś zdzielił go pięścią w brzuch. Cała krew odpłynęła mu z twarzy i byłby stracił przytomność,

gdyby Adair nie zdzieliła go porządnie w twarz.

- Kłamiesz! - krzyknął zrozpaczony. - To niemożliwe!

- A jednak - odparła Adair obojętnie. - Widziałam to na własne oczy, a ze mną Cezar i Labienus. Chcieliśmy ją ocalić, wcale nie chciałam jej śmierci, ale ona myślała, że nie żyjesz, i rzuciła się do rzeki.

Łzy strumieniem popłynęły z błękitnych oczu Jorga. Miał uczucie, że serce w nim zamiera. Dlaczego jeszcze biło, skoro pękło? Niewysłowny ból zalał jego duszę i Jorg z całych sił zapragnął śmierci. Ponieważ jednak nie mógł umrzeć, a w każdym razie nie w tej chwili, jedynym ujściem jego rozpaczyny okazał się płacz.

Adair miłosiernie zostawiła go samego.

Przyszła nazajutrz z talerzem owsianki. Jorg uparcie odmawiał jedzenia.

- Chcesz się zagłodzić na śmierć? - zapytała rzeczowo Adair. - Odradzałabym ci takie pomysły.

- Daj mi spokój! - burknął Jorg.

Coś w jego zachowaniu zmieniło się w ciągu jednej nocy i Adair doskonale tę zmianę widziała. W jednej chwili ten pełen życia mężczyzna zmienił się we wrak człowieka. Nie zależało mu już na niczym, wraz z Lorelei utracił swoje własne życie.

Tak myślała Adair, jednak Jorg miał wkrótce znaleźć nowy cel w życiu.

- Jedz, Jorg, bo jak nie, to przyjdzie Labienus i tak cię urządzi, że pożałujesz - ostrzegła Adair.

- To ten, z którym, jak mniemam, się łajdaczysz? - zadrwił Jorg. - Jesteś jego pieskiem pokojowym?

- Głupiec z ciebie - prychnęła Adair. - Nie jestem niewolnicą, mogę w każdej chwili odejść. Ale to prawda, sypiam z tym człowiekiem i widzę rzeczy, które niejednego by zdumiały. To nie jest dobry człowiek. To okrutnik, jakich mało. Radzę ci, Jorg, po dobroci, jedz i nie rób scen. Jeśli koniecznie chcesz umierać, zrób to na polu bitwy, a nie pod dachem rzymskiego namiotu, bo nie tylko ty źle skończysz, ale również ja sama. A zapewniam cię, że nie zyskasz ukojenia w śmierci.

- Tak? - zainteresował się Jorg. - A co mi ten twój Labienus

zrobi, jeśli postanowię umrzeć?

- Złamię ci kręgosłup - odparła Adair lekko, mieszając łyżką w owsiance. - Zrobi to tak, żebyś miał sparaliżowane nogi i ręce, ale nie stracisz przytomności umysłu. Będiesz rośliną, będziesz robił pod siebie i spędzisz resztę nędznego żywota w łóżku zamiast w armii. I do końca życia będziesz wspominał swoją jedyną miłość.

- Bredzisz - burknął Jorg, ale posłusznie otworzył usta, a Adair wpakowała w nie łyżkę z jedzeniem. - Skąd wiesz, że on jest zdolny do takich rzeczy?

- Bo widziałam - powiedziała Adair krótko.

Widziała rzeczywiście, co Labienus zrobił jednemu germańskiemu jeńcowi. Było to przesłuchanie połączone z torturami, które nastąpiło po tym, jak Cezar zażądał informacji na temat nowego obozu Ariowista, a jeńiec za nic nie chciał wyjawić tajemnicy swego wodza, który go opuścił i wydał na pastwę losu. Cezar przekazał go - jako przykład dla innych - Labienusowi, a ten dosłownie darł z biedaka pasy skóry, miażdżył mu z upodobaniem kości, a na koniec połamał kręgosłup w taki sposób, że biedny człowiek, zanim skonał, zdał sobie struny głosowe, wrzeszcząc z bólu. Labienus litościwie skręcił mu wreszcie kark, ale potem, w łóżku, powiedział Adair, że niektórych - dla przykładu - zostawiał sparaliżowanych.

Jako kochanek Labienus okazał się brutalny i pozbawiony sentymentów. Robił z nią najprzeróżniejsze rzeczy, które ją w mniejszym lub większym stopniu zadowalały, ale nie okazywał najmniejszej czułości poza pocałunkami, które jednak służyły wyłącznie obudzeniu żądzy. Wchodził w nią zazwyczaj brutalnie i ostro sobie poczynał, przy czym nie poprzestawał na jednym stosunku. Lubił zadawać jej ból, na który musiała się godzić. Czasami Adair musiała wpychać sobie poduszki w usta, żeby nie krzyczeć, i to nie tylko z rozkoszy.

Ich dziwny układ funkcjonował jednak doskonale. Ona spełniała jego zachcianki, on uczył ją fachu szpiega i mordercy. Cezar nie wtrącał się w ich stosunki. Nie interesowało go, co jego podkomendni robią w wolnym czasie, a już w ogóle nie

obchodziło go, kto z kim sypia. I chociaż wiedział doskonale, co łączy tych dwoje, ani razu nie wypowiedział się o tym, jakby ten temat w ogóle nie istniał.

Jorg posłusznie zjadł wszystko do ostatniej łyżki, chociaż nie miał ochoty ani jeść, ani pić, ani w ogóle oddychać. Próbował zresztą przestać oddychać, ale instynkt samozachowawczy za każdym razem zmuszał go do zaczerpnięcia powietrza. Radość życia wyparowała z jego myśli. Wspomnienie chwil spędzonych z Lorelei stanowiło dla niego nieustanną udrękę. Każdą jego komórkę wypełniał przenikliwy ból zdzieliła go porządnie w twarz.

- Kłamiesz! - krzyknął zrozpaczony. - To niemożliwe!

- A jednak - odparła Adair obojętnie. - Widziałam to na własne oczy, a ze mną Cezar i Labienus. Chcieliśmy ją ocalić, wcale nie chciałam jej śmierci, ale ona myślała, że nie żyjesz, i rzuciła się do rzeki.

Łzy strumieniem popłynęły z błękitnych oczu Jorga. Miał uczucie, że serce w nim zamiera. Dlaczego jeszcze biło, skoro pękło? Niewysłowny ból zalał jego duszę i Jorg z całych sił zapragnął śmierci. Ponieważ jednak nie mógł umrzeć, a w każdym razie nie w tej chwili, jedynym ujściem jego rozpaczyny okazał się płacz.

Adair miłosiernie zostawiła go samego.

Przyszła nazajutrz z talerzem owsianki. Jorg uparcie odmawiał jedzenia.

- Chcesz się zagłodzić na śmierć? - zapytała rzeczowo Adair. - Odradzałabym ci takie pomysły.

- Daj mi spokój! - burknął Jorg.

Coś w jego zachowaniu zmieniło się w ciągu jednej nocy i Adair doskonale tę zmianę widziała. W jednej chwili ten pełen życia mężczyzna zmienił się we wrak człowieka. Nie zależało mu już na niczym, wraz z Lorelei utracił swoje własne życie.

Tak myślała Adair, jednak Jorg miał wkrótce znaleźć nowy cel w życiu.

- Jedz, Jorg, bo jak nie, to przyjdzie Labienus i tak cię urządzi, że pożałujesz - ostrzegła Adair.

- To ten, z którym, jak mniemam, się łajdaczysz? - zadrwił

Jorg. – Jesteś jego pieskiem pokojowym?

– Głupiec z ciebie – prychnęła Adair. – Nie jestem niewolnicą, mogę w każdej chwili odejść. Ale to prawda, śpiam

z tym człowiekiem i widzę rzeczy, które niejednego by zdumiały. To nie jest dobry człowiek. To okrutnik, jakich mało. Radzę ci, Jorg, po dobroci, jedz i nie rób scen. Jeśli koniecznie chcesz umierać, zrób to na polu bitwy, a nie pod dachem rzymskiego namiotu, bo nie tylko ty źle skończysz, ale również ja sama. A zapewniam cię, że nie zyskasz ukojenia w śmierci.

– Tak? – zainteresował się Jorg. – A co mi ten twój Labienus zrobi, jeśli postanowię umrzeć?

– Złamie ci kręgosłup – odparła Adair lekko, mieszając łyżką w owsiance. – Zrobi to tak, żebyś miał sparaliżowane nogi i ręce, ale nie stracisz przytomności umysłu. Będziesz rośliną, będziesz robił pod siebie i spędzisz resztę nędznego żywota w łóżku zamiast w armii. I do końca życia będziesz wspominał swoją jedyną miłość.

– Bredzisz – burknął Jorg, ale posłusznie otworzył usta, a Adair wpakowała w nie łyżkę z jedzeniem. – Skąd wiesz, że on jest zdolny do takich rzeczy?

– Bo widziałam – powiedziała Adair krótko.

Widziała rzeczywiście, co Labienus zrobił jednemu germańskiemu jeńcowi. Było to przesłuchanie połączone z torturami, które nastąpiło po tym, jak Cezar zażądał informacji na temat nowego obozu Ariowista, a jeńiec za nic nie chciał wyjawić tajemnicy swego wodza, który go opuścił i wydał na pastwę losu. Cezar przekazał go – jako przykład dla innych – Labienusowi, a ten dosłownie darł z biedaka pasy skóry, miażdżył mu z upodobaniem kości, a na koniec połamał kręgosłup w taki sposób, że biedny człowiek, zanim skonał, zdał sobie struny głosowe, wrzeszcząc z bólu. Labienus litościwie skręcił mu wreszcie kark, ale potem, w łóżku, powiedział Adair, że niektórych – dla przykładu – zostawiał sparaliżowanych.

Jako kochanek Labienus okazał się brutalny i pozbawiony

sentymentów. Robił z nią najprzeróżniejsze rzeczy, które ją w mniejszym lub większym stopniu zadowalały, ale nie okazywał najmniejszej czułości poza pocałunkami, które jednak służyły wyłącznie obudzeniu żądz. Wchodził w nią zazwyczaj brutalnie i ostro sobie poczynał, przy czym nie poprzestawał na jednym stosunku. Lubił zadawać jej ból, na który musiała się godzić. Czasami Adair musiała wpychać sobie poduszki w usta, żeby nie krzyczeć, i to nie tylko z rozkoszy.

Ich dziwny układ funkcjonował jednak doskonale. Ona spełniała jego zachcianki, on uczył ją fachu szpiega i mordercy. Cezar nie wtrącał się w ich stosunki. Nie interesowało go, co jego podkomendni robią w wolnym czasie, a już w ogóle nie obchodziło go, kto z kim sypia. I chociaż wiedział doskonale, co łączy tych dwoje, ani razu nie wypowiedział się o tym, jakby ten temat w ogóle nie istniał.

Jorg posłusznie zjadł wszystko do ostatniej łyżki, chociaż nie miał ochoty ani jeść, ani pić, ani w ogóle oddychać. Próbował zresztą przestać oddychać, ale instynkt samozachowawczy za każdym razem zmuszał go do zaczerpnięcia powietrza. Radość życia wyparowała z jego myśli. Wspomnienie chwil spędzonych z Lorelei stanowiło dla niego nieustanną udrękę. Każdą jego komórkę wypełniał przenikliwy ból i czasami zastanawiał się, jak to możliwe, że słońce świeci i po nocy wstaje nowy dzień, skoro on tak cierpi i jego życie już się skończyło. Były chwile, kiedy pragnął obudzić się jako osiemdziesięcioletni starzec u progu śmierci. Ale kiedy Adair zaczęła do niego przychodzić, w jego sercu coraz mocniejszym płomieniem tlił się ogień pragnienia zemsty.

Zabiję ją któregoś dnia - myślał. To stanie się celem mojego życia.

Postanowienie to podjął w dniu, w którym przyszedł do niego Labienus.

- Jesteś moją własnością - oznajmił sucho. - Ale chcę, żebyś żył i dobrze służył rzymskiej armii, bo takich jak ty mało chodzi po świecie. Na moje życzenie będziesz zajmował się osobistą ochroną Adair, która z kolei zajmuje się sprawami Cezara. Jeśli odmówisz, nie umrzesz, ale zostaniesz okaleczony i będziesz

utrzymywany przy życiu. Śmierć jest zbyt lekką karą, o czym sam pewnie wiesz, bo w tej chwili o niej właśnie marzysz.

Jorg nie uznał za stosowne odpowiedzieć, kiedy Adair przetłumaczyła mu słowa Labienusa. Ten jednak z okrutnym uśmiechem usiadł na brzegu przychy Jorga i uporczywie przyglądał się mu swoimi złymi oczami.

- Myślisz, że ty jeden cierpisz, he? - zagadnął. - Nie zawsze byłem tym, kim jestem. Nie zawsze Adair była złą, pełną nienawiści kobietą. Nie zawsze Cezar z taką determinacją dążył do chwały i zwycięstw. Kiedyś mało go obchodziły wielka polityka i kampanie. Miał piękną, kochającą żonę i małą córeczkę, ale żona zmarła na nieuleczalną chorobę, a córka dorosła i wyszła za mąż. Adair miała ojca i matkę, ale ojciec nie kochał młodszej córki tak jak starszej. I była nieszczęśliwie zakochana w Jorgu, który darzył uczuciem jej siostrę. Później zaś zwróciła swoje serce w stronę innego człowieka, wodza Arwernów, który poślubił Lorelei w ramach przymierza.

- A ty? - wyrwało się Jorgowi, zanim zdążył pomyśleć.

- Ja? - zaśmiał się Labienus. - Ja miałem kobietę piękną jak sama Wenus. Była cudowna, młoda, piękna, zakochana we mnie, była mądra i odważna, była wzorem cnót. I był pewien człowiek, który ją zhańbił, kiedy spodziewała się mojego dziecka. Zgwałcił ją i pobił. Straciła dziecko. Zmarła z żalu. Sama odebrała sobie życie. Wiesz, jaka to rozpacz, kiedy twój syn umiera ci na rękach, kiedy kobieta, którą kochasz, sama otwiera sobie z żalu żyły, a ty wracasz do domu i zastajesz taką krwawą jatkę? Kochała mnie, ale bardziej kochała nasze dziecko, a może nie mogła znieść bólu i goryczy hańby, może znenawidziła mnie, bo nie mogłem jej pomóc... Ten człowiek umierał wiele dni bolesną, okrutną śmiercią. Przypalałem go ogniem, łamałem mu kości, wrywałem zęby, odzierałem go ze skóry, każdego dnia co innego. Patrzyłem w jego przepętnione strachem oczy, w których powoli gasła nadzieja na przeżycie. Poznał, co to znaczy ból. Tak długo chędożyłem go od tyłu, aż srał własną krwią i wył z bólu. Kawałek po kawałku obcinałem mu to, czym zbecześcił moją żonę, a obcięty fragment przypalałem ogniem, żeby nie krwawił.

Na koniec błagał mnie o śmierć. Nie miał już rąk i nóg, nie miał oczu, zębów, uszu, nosa, nie miał języka, był wykastrowany, z odbytu została mu krwawa miazga, nie był już człowiekiem, tylko kawałkiem mięsa. Rzuciłem go psom na pożarcie. Żywego jeszcze. A przecież wcześniej byłem normalnym człowiekiem, który kochał żonę i nigdy nie podniósł ręki na żadnego niewolnika.

Jorg milczał, kiedy Adair przetłumaczyła mu słowa Rzymianina.

- Śmierć Lorelei to nie koniec świata - odezwał się po chwili Labienus. - Będziesz żył, bo masz silną wolę życia i pragniesz żyć. Więc jedz, dbaj o siebie i wypełniaj moje rozkazy. Przytoczyłem ci tę historię jako ostrzeżenie. Dopóki jesteś moim niewolnikiem, strzeż się mnie. Jeżeli będziesz się sprawował dobrze, nawet włos ci u mnie z głowy nie spadnie. Jeżeli złamiesz reguły, to czeka cię nieciekawe życie. Wybieraj, Jorg.

Jorg kiwnął głową, ale nie odezwał się. Labienus również kiwnął głową.

- Dobrze - skwitował. - Wiedziałem, że nie jesteś głupi.

Kiedy wyszli, Jorg opadł bezsilnie na posłanie. Wiedział już, że jego nowym celem w życiu będzie pozbawienie go Adair. Nie teraz, nie dzisiaj i nie jutro, ale nadejdzie taki dzień, kiedy on się zemści i odpłaci tej rzymskiej dziwce za śmierć Lorelei i za własne złamane serce. Wiedział bowiem jedno: złamanego serca nie sposób skleić ani naprawić. I zawsze będzie ono wystukiwać nierówny rytm reszty jego życia.

Opowieści celtyckie. Cena przywództwa
Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-512-2

© Karolina Janowska i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paweł Pomianek
KOREKTA: Katarzyna Czapiewska
OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

